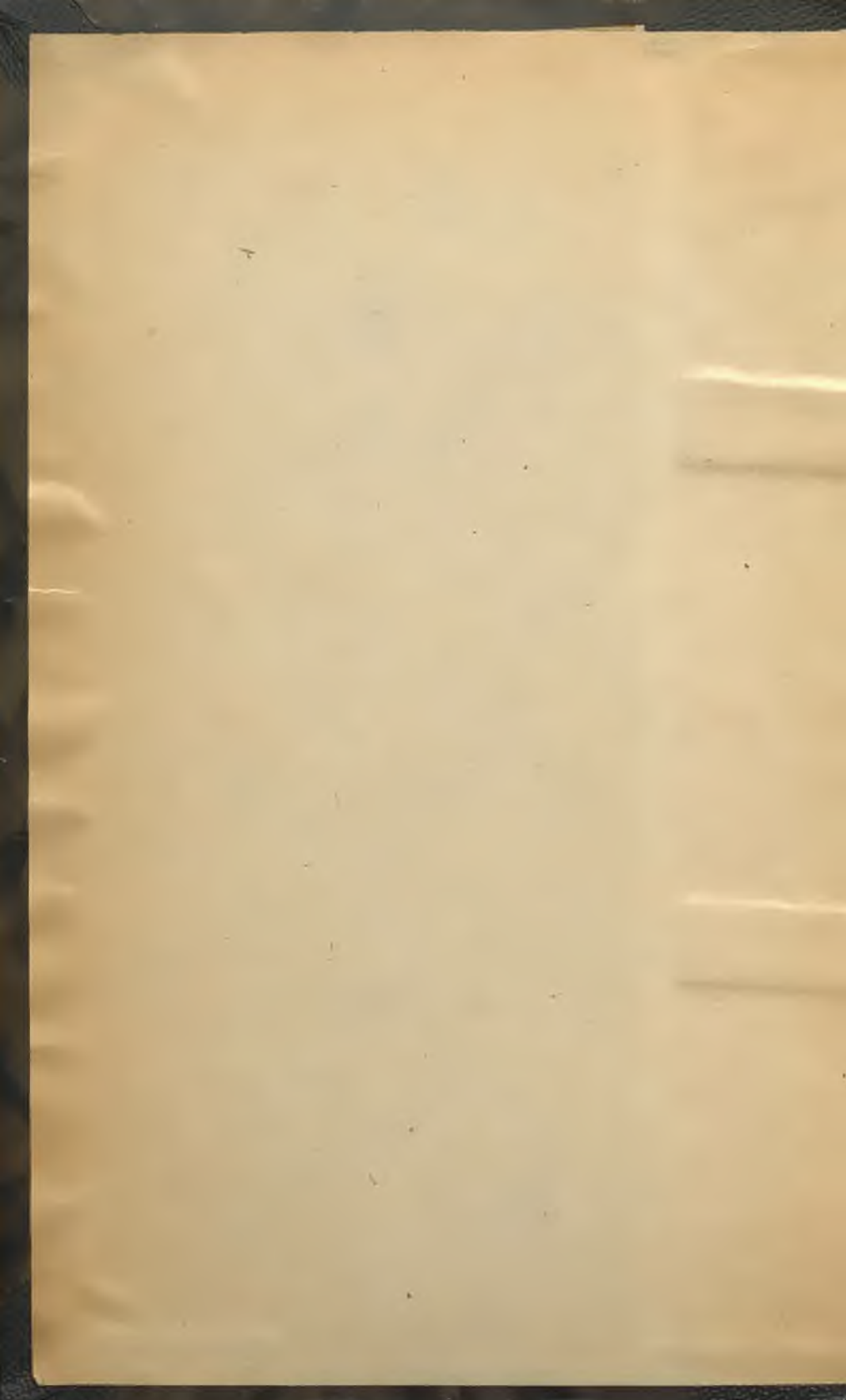


Biblioteka Sejmiku Śląskiego

4501

1848 12.3-11



PRZEGLĄD P O L S K I.

ROK XII.

K w a r t a ł I I I .

(Styczeń, Luty, Marzec).

Ogólnego zbioru tom 47.

(Zeszyty od 139 do 141).

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni »Czasu«
pod zarządem J. Zakocińskiego.

1878.

4501. 1878. 12. 3-4

II.

X-11142	
4501/	II

3-4 kw.

/12/1878



30.000,-

SPIS RZECZY

zawartych w tomie III. rocznika XII.

	str.
Cesarstwo niemieckie. Dawniejsze i dzisiejsze stronnictwa polityczne (dokończenie), przez Seweryna Przerowę	3
Przymierze polsko-rosyjskie w roku 1787 — 1788, przez X. Waleryana Kalinkę	21, 155
Książę Józef Poniatowski, przez F. P. (dokończenie) . . .	45
Jaś, jakich wielu. (Nowella), przez Z. D.	72, 176
Nasze książki szkolne. IV „Jeszcze o psychologiach.“ Odpowiedź na uwagi Dra Stefana Pawlickiego o przekładzie zarysu psychologii Dra Crügera, przez Zygmunta Sawczyńskiego	108
Do charakterystyki psa, przez Henryka Wodzieckiego	202
Szekspir w Polsce (Dokończenie), przez Stanisława Tarnowskiego	220
Aleksander Wielopolski, przez Józefa Badeniego . . .	277
Józef Dietl, przez Prof. Dra Leona Blumenstoka . . .	285
Pius IX, Papież, przez X. Biskupa Janiszewskiego . . .	III
Bogusław Radziwiłł, koniuszy litewski, przez Bernarda Kalickiego (dokończenie)	313
Chrześcijaństwo i patrycyat rzymski (zapiski z Rzymu), przez Kazimierza Morawskiego	358
X. Maryana Morawskiego, „Filozofia jej zadanie,“ przez Stefana Pawlickiego	382
„Do reformy stosunków wiejskich.“ X. O przemyśle domowym, przez Alfreda Szczepańskiego . . .	403
Przegląd literacki, przez R. Nałęcz i Stanisława Tomkowicza	419
1) Bracia Rywale, przez I. J. Kraszewskiego.	
2) Literatura w Galicyi, przez Władysława Zawadzkiego.	
Przegląd polityczny, przez Aleksandra Szukiewicza	138, 300, 431
Zapiski	151
Nowe książki	312, 444

CESARSTWO NIEMIECKIE.

Dawniejsze i dzisiejsze stronnictwa polityczne.

(Dokończenie).

Jedyną próbą, w której narodowo-liberalizm wytrwał w opozycji, ale w której też, jeśli się nie mylimy, wiadano w sferach rządowych z góry, iż kapitulacja ze strony reprezentacji kraju nie jest podobną bez doszczętnego zdyskredytowania jej wobec opinii publicznej z własną szkodą kanclerskiej polityki, była tak zwana *novella karna* z jesieni roku 1875. Rząd chciał ocalić zagrożone społeczeństwo obostrzeniem postanowień kodeksu karnego Rzeszy w dziedzinie polityki, prasy, stowarzyszeń, kompetencji władz administracyjnych. Sejm odrzucił ów projekt ratując własną opinią, co więcej, ratując siebie samego jako skuteczne narzędzie dla rządowej akcji i polityki na przyszłość, kiedy system panujący poradził sobie i bez nowelli nader skutecznie, obostrzając drogą rozporządzeń administracyjnych tak ministra sprawiedliwości, jak ministra spraw wewnętrznych cały system dyscypliny więziennej.

Kulminacyjnym punktem przecież owej *koncesyjności* i samobójczej *abdykacyjności* narodowo-liberalizmu pozostanie *reorganizacja sprawiedliwości*. Opinia publiczna krajowa, nie będąc sama wobec olśniewających sukcesów wojennych i politycznych panującego systemu zbyt śmiałą w swych żądaniach

liberalnych, spodziewała się przecież przy *tej* sposobności i w obrębie *tej* dziedziny pewnych ustępstw. Co ważniejsza, dawali narodowo-liberalizm i jego publicystyka oddawna mniej lub więcej wyraźnie do zrozumienia, że na *tę* właśnie dopiero chwilę chowają swe siły ku stoczeniu stanowczej walki i że *tę* sposobność obierają sobie do złamania nareszcie co najwięcej dolegających ogniw żelaznego łańcucha *Manteufflowej ery*. Przymus świadczenia redaktorów przeciw swym współpracownikom i dostarczycielom wiadomości, tak jaskrawo ilustrowany świeżo co dopiero przypadkami redaktorów *Frankfurter Zeitung* i redaktora *Kurjera Poznańskiego* księdza Kanteckiego; pozostawienie przestępstw prassowych i politycznych pod rygorem sądów zwyczajnych lub nawet wyjątkowych z wyłączeniem kompetencji sądów przysięgłych; zmonopolizowanie prawa poszukiwania prywatnej krzywdy na drodze kryminalnej w ręku prokuratury królewskich, z wyłączeniem i zakazem prawa podobnego ze strony samegoż poszkodowanego; zasadnicza, wyjątkowo tylko na żądanie i za zezwoleniem władz przełożonych przełamalna bezkarność kryminalnych urzędników wojskowych i administracyjnych, cały ten zasób smutnych pamiątek *ery Manteufflowej*, nie wliczając innych, miał być nareszcie według uroczystych przyrzeczeń narodowo-liberalizmu i jego prasowych organów zwalonym i wyrzuconym jednym zamachem drogą praw organicznych przy sposobności reorganizacji sprawiedliwości. Wysadzona z łona sejmu Rzeszy tak zwana komisya sprawiedliwości, w której skład wchodziłi koryfeusze i choragowie narodowo-liberalizmu prusko-niemieckiego, prócz znamienitych specjalistów ludzie polityczno-parlamentarnego stanowiska, jak Miquel, Benningsen, Gneist, Lasker, Braun, znakomity prawnik Schwarz z Saksonii, rozpoczęli w roku 1874 swą pracę, której gruntowności i pilności nie zarzucić nie można a po dwóch latach przedłożyli kadencyi sejmu Rzeszy z roku 1876 elaborat, pomiędzy którego artykułami procedury karnej i cywilnej pojawiły się istotnie w formie praw organicznych protesty przeciw dziełu *Manteufflowej ery*. Pojawiło się tedy zniesienie przymusu świadczenia redaktorów, pojawiła odpowiedzialność kryminalna urzędników administracyjnych i wojskowych, pojawiła wreszcie możność skargi prywatnej w dziedzinie procedury

karnej. Zmartwychwstały tedy przynajmniej niektóre postulaty *sine quibus non* prawdziwego liberalizmu w owym elaboracie komisji sprawiedliwości, a narodowo-liberalizm zdawał się na ten raz brać rzeczy na seryo i nie chciał ustępować. Butna ta postawa opinii i prasy narodowo-liberalnej miała tem więcej pozorów rzeczywistej „dotrwałości“, jeśli tak wolno powiedzieć, że nie tylko *publicystyka* była w tym względzie bardzo stanowczą, ale że co więcej, sam sejm Rzeszy w tak zwanych dwóch czytaniach przyjął ogromną większością elaborat komisji bez względu na protesty i zastrzeżenia rady związkowej, broniącej, jak bardzo naturalnie, wszelkich zdobyczy i zysków znanej nam już przeszłości. Odwrót narodowo-liberalizmu po takich krokach wstępnych i po daniu takich rękojmi zdawał się niepodobieństwem a przecież nastąpił bez trudu i wstydu w przeciągu dni kilku nieledwie. Cała sprawa odbyła się bardzo prosto i zwykle praktykowaną dotąd drogą. Księżę-kanclerz czyli, co na to samo wychodzi, rada związkowa, *Bundesrath*, dali do zrozumienia, że jeśli sejm nie wyrzuci bez ceremonii z komisyjnego elaboratu wszelkich objawów liberalnego apetytu, nie pozostaje im nic innego, jak cały projekt rządowy reorganizacji sprawiedliwości w Niemczech cofnąć a dzieło jedności niemieckiej w tyle ważnej dziedzinie narodowego życia pozostawić niedokończonem.

Według prostej i codziennej, ludzkiej i politycznej logiki mogłoby się było zdawać, że narodowo-liberalizm odciął sobie sam, nasamprzód własnym swym elaboratem, następnie, co ważniejsza może jeszcze, dwukrotnymi głosowaniami w sejmie, wszelką możliwość odwrotu. Niepodobieństwa i logiczno-polityczno-parlamentarne niemożliwości nie istnieją przecież dla narodowo-liberalizmu prusko-niemieckiego, a to co nastąpiło niechaj służy za materyał do ocenienia wartości i samodzielności *tego*, co się dzisiaj nazywa w Niemczech *stronnictwami politycznymi*. Od chwili kategorycznego oświadczenia rady związkowej i księcia-kanclerza nie mieli członkowie komisji, nie mieli najenergiczniejsi rzecznicy i autorowie liberalnych postulatów w jej elaboracie nic pilniejszego do roboty, jak naturalnie „w imię urzeczywistnienia faktu jedności ojczyzny niemieckiej w tyle ważnej dziedzinie“, jak „w interesie przyspieszenia dnia egzystencji jednolitego państwa“, *des Einheitsstaats*, —

obalać i wywracać co prędzej dzieło rąk własnych ku postawieniu go według woli i skazówek kanclerskich. Wszyscy owi Laskerowie, Gneisty, Benningseny, Miquelowie zebrali się z jednej strony do wykadzenia swego własnego elaboratu z wszelkiego zapachu liberalnego piżma, z drugiej do przekonania i namówienia swoich sejmowych kolegów *minorum gentium*, że dobro ojczyzny niemieckiej wymaga ustąpić i że w trzecim czytaniu trzeba będzie *jutro* jako rzecz szkodliwą odrzucić to, co się *wczoraj* postawiło jako konieczną i niezbędną. Stało się, jako chciał książę-kanclerz; narodowo-liberalizm abdykował i w tym ostatnim przypadku z wszelkiej pokusy jakiejś samodzielnej, politycznej akcji, zrzekł się wszelkiego cienia chęci zaoponowania pod Bismarkiem przeciw dziełu *Manteufflowej ery*.

Historyczna sprawiedliwość i dokładność nakazuje jednakże zapisać, że *wszystkie* odcienia czy odmiany liberalnego parlamentaryzmu nie były sobie w owym dziele zwijania własnych żagli wobec powiewów kanclerskiego wiatru *równe*, że co więcej nawet, chorągów samegoż narodowo-liberalizmu napadały niekiedy chwile pewnej słabości i niepokoju sumienia, pewne jakoby trapiące sny Piłatowej małżonki, wśród których wahali się i jakoby zatrzymywać chcieli na obranej drodze. Tak n. p. jeżeli *narodowo-liberalizm* i *wolno-konserwatyzm* piszą się bezwzględnie na politykę rządową w dziedzinie kościelnej i reorganizacji sprawiedliwości, odzywał się zbyt mało liczebnie w sejmie reprezentowany postęp, *Fortschritt*, przeciw prawom majowym, za odłączeniem kościoła od państwa. Nie inna była postawa „postępu“ (*Fortschrittu*) w sprawie reorganizacji sprawiedliwości. Zastęp ten przemawiał z trybuny i w łamach swych organów za odrzuceniem raczej całego projektu reformy sprawiedliwości, aniżeli za kompromisem z rządem, któryby był tylko negacją wszelkich warunków prawdziwego liberalizmu.

Podobnież widzimy w parlamentarnej działalności istnego patryarchy Jakóba narodowo-liberalizmu, sławnego Edwarda Laskera, pewne wątpliwości i wahania. Lasker żyjący mimo całego rozgłosu imienia swego *dzisiaj* jedynie tylko pożyczanem światłem polityki Bismarkowej, tłumaczący zrozumiałe dla *siebie* tylko zdaleka masonskie migi i znaki kanclerskiej

ręki zaciekawionej izbie i czytającej stenogramy sejmowe publiczności prowincyalnej w długich i wodnistych często mowach, głośny w nich i przez nie, nadający sobie z pewnym przyciskiem próżności izraelskiej kontury marmurowej nieskazitelnosci jakiegoś Katona Utyceńskiego, chłoszczący z piedestału owej nieskazitelnosci tem namiętniej nieczyste frymarki kolejowe *arystokracji* i *konserwatyzmu*, czy to księcia na Putbusie, czy byłego redaktora *Gazety Krzyżowej* radcy legacyjnego Wagenera, by hałasem i jaskrawością swego wystąpienia odwrócić uwagę publiczną od stokroć liczniejszych i gorszych *schwindlów* i *gründerstw swoich* współwyznawców religijnych i politycznych, tenże sam Lasker, mówimy, miewa także pewne chwile liberalnych zgryzot sumienia i słabości, objawia niekiedy widocznie pewne wątpliwości, czy to co robi, robi dobrze. W kwestyi zniesienia i wypędzenia Jezuitów głosuje przeciw wnioskowi rządowemu; w sprawie przymusu świadczenia redaktorów zdobywa się na bardzo treściwe i energiczne prawdy; w dyskusyi nad nowellą karną w październiku 1875 roku poddaje cały projekt krytyce, która go ostatecznie obala. Takie same epizody działalności parlamentarnej dałyby się wskazać nawet w zawodzie osobistości jak Wehrenpfennig. Podobne ustępy w akcji tego lub owego liberalnego odcienia, podobne wahania się czy kłopoty w działalności tego lub owego przewodzczy tego lub owego odcienia liberalnego, nie zmieniają przecież charakteru ogólnego ani owej akcji, ani owych partyj.

Streszczając rzecz, można powiedzieć, że stronnictwa prusko-niemieckie noszące nazwę *liberalnych* abdykowały z wszelkiej samodzielnej roli, że jedynie poważnem i właściwie na podobne miano zasługującym stronnictwem politycznem w cesarstwie prusko-niemieckiem jest *rząd*, że stronnictwa parlamentarne liberalnego koloru są niczem więcej, jak jego wernopoddańczym zastępem bez własnych pretensyj a że jeśli z pośród nich wyrwie się jaki głos pozornej opozycji, głos podobny wyraża, co najwięcej, bądź to życzenia i aspiracye nie mające nigdy zamiaru doprowadzić ze stanowiska własnych przekonań aż do niebezpieczeństwa jakiegoś konfliktu, bądź to odzywa się z łona żywiołów liczebnie tak słabych, że go się rząd ani obawiać, ani uwzględnić nie ma potrzeby. Słowem, podbił sukces w Cesarstwie prusko-niemieckiem wszelką opo-

zycją i wszelkie stronnictwa *polityczne*. Ogromny hałas aż dwóch sejmów a trzech izb jest tylko pokaźną maską rzeczywistego politycznego *milczenia*, książę-kanclerz jest dzisiaj panem u siebie, jak nim był w epoce swoich tryumfów Napoleon we Francyi. *Jedynym politykiem swego kraju jest, wśród i mimo gwaru sejmowego, niepodzielnie i wyłącznie sam książę Bismark.*

Wygląda to może paradoksalnie a jednakże jest czystą tylko i niezaprzeczną prawdą: *w dzisiejszem Cesarstwie prusko-niemieckiem nie ma właściwych stronnictw politycznych, są tylko ich maski, pozory i formułki bez właściwego życia i jądra.* Inne pytanie, czy grunt dzisiejszy cesarstwa prusko-niemieckiego nie jest glebą zdolną wydać *stronnictw i kształtów społecznej natury*, nie mających z tem, co jest i co nazywamy *polityką*, nic wspólnego a przecież w życiu publicznem narodu niesłuchanie ważnych i nader doniosłego znaczenia. Odpowiedź na to pytanie, wymaga przedewszystkiem definicyi tego, co rozumiemy przez akcyą i istotę stronnictw politycznych we *właściwem* znaczeniu tego wyrazu. Otóż tedy jest zadaniem i racją bytu jakiegobądź stronnictwa *politycznego z jednej* strony program zakreślający warunki organizacji państwa, wskazujący żywioły powołane do uczestniczenia w jego rządach wraz z oznaczeniem granic ich udziału, *z drugiej* strony konsekwentna akcyą parlamentarna i publicystyczna ku spełnieniu swego programu, dopóki się we wszystkich szczegółach nie doczeka urzeczywistnienia. — Zadanie istnienia i akcyi stronnictw politycznych streszcza się do kwestyi: *Kto i jak* ma państwem rządzić. W cesarstwie prusko-niemieckiem nie ma, jak na dzisiaj, do praktykowania tej kwestyi pola. *Kto* rządzi i *kto ma* rządzić, wiadomo oddawna. Wypróbowany wśród wszelkich burz i wichrów, uświęcony wiekami i tradycją brandenburgską organizm biórokratyczno-militarny z dynastyą na czele. *Jak* ma rządzić, wiadomo równie dobrze. *On* dyktuje prawa, *on* wydaje rozporządzenia a doświadczenie wskazuje, że wolno do *pewnego stopnia* gadać i pisać, ale, że jest czystą utopią kusić się o ruszenie tej skały z brązu, owego „*rocher de bronze*“ Fryderykowego za pomocą choćby najgłośniejszego gadania i pisania. Nie jestto więc grunt stworzony dla prosperowania życia *politycznego* narodu, dla wyrostu, ży-

cia i rozwoju stronnictw politycznych. Chcieć na *tem* polu dopatrywać się rozwoju życia *prawdziwie* parlamentarnego i konstytucyjnego wraz z samodzielną a skuteczną akcją stronnictw politycznych, byłoby to samo, co spodziewać się bujnego plonu z ziarna pszenicy, rzuconego w gorący piasek Sahary.

Gleba ta jest jednakże właśnie z powodu nieurodzajności swej pod ziarno *politycznej* natury, tem zdolniejszą do wydania plonu z ziarna *innego* rodzaju. A wydaje go też, jak zaraz zobaczymy! Pogląd podobny będzie zarazem wytłomaczeniem naszym wobec szanownych czytelników, dla czego w naszej dotychczasowej lustracji stronnictw polityczno-parlamentarnych cesarstwa prusko-niemieckiego nie wspomnieliśmy o trzech tyle głośnych i okazałych ich odłamach: *Katolikach czyli frakcyi centralnej, agraryjczykach i socyalistach*. Sąż to, zapytalibyśmy stronnictwa i zastępy *politycznego* znaczenia i *politycznej* natury? W odpowiedzi znów na to nowe, tyle ważne dla naszego przedmiotu pytanie, wypada nam poświęcić słów kilka ocenieniu owej metamorfozy, jakiej uległy stronnictwa polityczne, jakiej uległy wszelkie objawy publicznego życia w Niemczech z jednej strony pod wpływem starodawnego a przenoszącego się powoli na całe Niemcy militarne go organizmu pruskiego, z drugiej strony pod działalnością maszyny pneumatycznej nowoczesnego wojennego i politycznego sukcesu. Dla akcji ściśle politycznej znalazło się pole zamknięte. Dobrze to dla marzycieli z roku 1848, dobrze dla ideologów i fantastów politycznych, ale ludzie *dojrzałi* umieją korzystać ze zmiany okoliczności i zastosować do nich swą akcję. W ten to sposób zmienia epoka i fizyonomia jej zasadniczy charakter a z gąsienicy *politycznej* wyrasta wśród zachowania wszelkich politycznych firm, godeł i wyrazów nie odpowiadających już dzisiaj istocie rzeczy, — motyl *ekonomiczno-finansowo-socyalny*. Mniejsza, czy rządzi krajem ministerstwo odpowiedzialne według wszelkich formułek i szykan konstytucjonalizmu; mniejsza, czy taki lub owaki całoroczny podatek jest rezultatem obrad i zastanowień wolno obranej reprezentacji czy też gabinetu ministeryalnego; mniejsza, czy wybryki prasy lub przestępstwa polityczne sądzi zwyczajny trybunał czy też areopag przysięgłych. *Kto* rządzi i według jakich form rządzi, rzeczą obojętną; cała dziedzina *polityki* jest sprawą podrzędną. Zasadni-

czą, prawdziwie ważną staje się kwestya *materyalnego bytu* pod jakim bądź rządem i pod jakim bądź kształtem politycznym. *Tutaj* dopiero przestaje rzecz być komedią i maską a wchodzi w dziedzinę *rzeczywistości*. Zresztą jest podobny przymuszony odwrót czy zwrot działalności publicznej na pole ekonomiczno-socyalne naturalnem następstwem zamknięcia jej dziedziny *politycznej*. Prawdę tę stwierdzają dzieje wszelkiego absolutyzmu, czy to starożytności, czy nowszych czasów.

Zobaczymy teraz metodą istnej analizy chemicznej, jakie kształty, jaki charakter przyjęły wśród działalności podobnych czynników *zewnątrznych* stronnictwa parlamentarne, świecące ciągle jeszcze godłami i mianami politycznemi. Zaczynając od samegoż najliczniejszego zastępu narodowo-liberalnego, jakież zakulisowy widok nam się przedstawi? Ogromna większość tej najpokaźniejszej falangi wyrzuca z najzupełniejszą swobodą serca i umysłu, pełnemi garściami, istnie jak załoga zagrożonego okrętu najmniej potrzebne rupiecie, wszelkie rękojmie konstytucyjne i dogmata liberalizmu, byle w zamian ich wynieść w całości tobołki materyalnego bytu. Niechaj się rząd bawi do woli, mówi sobie w cichości serca narodowo-liberalizm, w państwowe wszechwładztwo, niechaj sięga po panowanie choćby i w dziedzinę dusz a zaludnia więzienia opornymi księżmi lub oczyszcza z nich kraj z nadwreżeniem wolności osobistej. Rzućmy mu na pastwę tę zabawkę a *my* tymczasem pamiętajmy o ważniejszych i esencyonalniejszych rzeczach! Stósownie do tego cichego hasła widzimy tedy nasamprzód narodowo-liberalizm sejmowy, torujący sobie drogi spekulacyi za pomocą prawodawstwa ekonomiczno-finansowego, za pomocą owych praw o stowarzyszeniach akcyjnych z roku 1868 i 1870, za pomocą owych koncesyj kolejowych Stroussberga i licznych jego naśladowców czy następców, za pomocą owych uchwał umieszczających stokilkudziesięciu-milionowy fundusz inwalidów w wątpliwej wartości papierach spekulacyjnych, za pomocą aparatu i środków, które znalazły należyte a zasłużone ocenienie w licznych broszurach i pismach ulotnych, w seryi artykułów zamieszczonych w *Kreuzzeitung* z roku 1875 pod tytułem „*Era Bleichrödera-Bismarka-Camphausena*“. Najliczniejszy tedy zastęp, zastęp narodowo-liberalizmu, *skorzystał* ze swego własnego ekonomiczno-finansowego prawodawstwa, rzu-

cił się w wir spekulacji kolejowej, fabrycznej, przemysłowej, w stowarzyszenia akcyjne, których papierów kurs stoi dzisiaj po większej części dla *publiczności* na zerze a zestawienia statystyczne przedsięwzięć owej epoki wykazują jako autorów i uczestników wszystkie niemal chrześcijańskie i semickie powagi parlamentarnego narodowo-liberalizmu, owych Bambergerów, Rothschildów, Bleichröderów, Miquelów, Braunów z Wiesbaden, Bennigsenów, nie wyliczając innych, *quorum nomen legio*.

Są przecież *spekulacye* niekoniecznie tylko *pieniężnej* natury. Jeśli większość tak szczerze *liberalnych* i tak szczerze *narodowych* ludzi otworzyła sobie służbę spekulacji finansowej, byli inni z tego samego obozu, którzy traktując w sejmie czy w prasie politykę narodowo-liberalną, spekulowali i spekulują na *karyerę*. *Anch'io son' un pittor'*! wołał Corregio; „*auch ich bin in Arcadien geboren!*“ śpiewał Schiller, czemuż i *ja* nie mam być Bucherem radcą legacyjnym, czemuż i *ja* nie mam być Michaelisem radcą ministeryalnym, czemuż i *ja* nie mam być Treitschkem profesorem uniwersytetu, wszystko w nagrodę szczerze narodowo-liberalnego zachowania się w prasie i sejmie! Jeśli zaś nie zostanę ani Bucherem, ani Michaelisem, ani Treitschkem, ani Wehrenpfennigiem, to czemuż nie miałbym zostać radcą najwyższego trybunału lub berlińskiego *Kammergerichtu*, choćby dyrektorem sądu lub adwokatem w jakim przynosiłbym miejscu, landratem lub *Regierungsrathem*? Są inni, których ambicja, zdolności i spekulacja polityczna popycha do stawki na opróżnioną tekę ministeryalną. Są, i to być może, zabłąkane sporadycznie w ten tłum robiący pod firmą politycznego liberalizmu „*swoje interesa*,” poczciwe a niedaleko sięgające naiwności, przekonane, że rzeczywiście traktują dzieło wolności i jedności ojczyzny niemieckiej, ale *wogóle* zeszyli na taki a nie inny poziom ideały polityczne z roku 1848 i otóż czem jest i co znaczy dzisiaj to, co się mieni narodowo-liberalizmem a co budząca się krytyka nazywa już teraz „*złotym internacjonalizmem*.” Takie to oblicze i wejrzenie przybrał liberalizm polityczny prusko-niemiecki pod wpływem i wrażeniem ostatnich sukcesów, otóż to rojowisko, którego prawdę, skład i właściwy charakter odkrywa zdziwionemu oku mikroskop politycznej krytyki. Niechaj, komu wola, doszukuje się tu wa-

runków jakiegoś politycznego organizmu i politycznych celów. Odmiana *postępu* (Fortschrittu) na lewo, *wolno-konserwatyzmu* na prawo, jest liczebnie za skąpo reprezentowaną, aby do powyższej charakterystyki wielkiej falangi narodowo-liberalnej wprowadzać jakąbądź essencyonalniejszą nieco modyfikacją.

Otóż to więc ekonomiczno-finansowa metamorfoza dawniejszego *liberalizmu* politycznego niemieckiego. Że powodzenie jego, że świecenie się na pierwszym planie, że okazała i pyszniąca się po parweniuszowsku fizyonomia w tym nowym mundurze, wywoła opozycją właściwego rodzaju, nie było można wątpić. Jestże ona jednakże *politycznej* natury? Broń Boże, a znów i opozycja przeciw narodowo-liberalizmowi przybierze odpowiednio do charakteru epoki ekonomiczno-finansową postać. Politycznie nazywał się niegdyś ważny i znaczny odłam owej opozycji *konserwatyzmem*; dzisiaj przechodzi na zastęp wyrażający ekonomiczno-finansową odmianę *agraryzmu*. Ten sam mniej więcej zastęp ludności pruskiej, o który się *społecznie* rozbiła burza r. 1848, na którym profesor Stahl, Gerlach, Neumann, Raumer, Westphalen, Luckner zbudowali swe dzieło „*des christlich-germanischen Staates*“ Manteuflowej ery, zastęp składający się przeważnie z reprezentantów posiadłości ziemskiej, znajdujący wyraz w *Kreuzzeitung*, znalazł się, jak już wyżej powiedziano, w nowym składzie reprezentacji kraju zredukowanym w izbie deputowanych do *czterech* osobistości, w imieniu których przemawiał jedynie tylko jeszcze zmarły w marcu roku 1877, ośmdziesięcioletni Gerlach, wywołując regularnie wystąpieniem swem nieprzyzwoity śmiech i szeptę narodowo-liberalnych Żydów. Po za obrębem politycznej partii pozostała przecież, jak dawniej, *posiadłość ziemska*, pozostały jej potrzeby a powiedzmy zarazem i jej krzywdy. Posiadłość ziemska uczuła się dotkliwie zagrożoną prawodawstwem i praktyką finansowo-ekonomiczną narodowo-liberalizmu, owem prawodawstwem akcyjnem, owem wyzyskiwaniem funduszów publicznych na rzecz spekulacji giełdowo-kolejowej, owem zwaleniem ciężarów podatkowych na ziemię, owem zniesieniem praw przeciw lichwie. Pod wpływem i wrażeniem uczucia i przeświadczenia podobnej grozy, zamienił się dawniejszy *polityczny* konserwatyzm na dzisiejszy ekonomiczno-finansowy *agraryzm*. Zastęp ten nie ma ani znaczenia, ani

charakteru, ani celów politycznych. Jest mu rzeczą obojętną *kto* rządzi i *jak* rządzi, ma jednakże racją bytu, podstawę rzeczywistości i przyszłość, gdyż zadanie jego ekonomiczne streszcza się do ważnej i poważnej kwestyi obrony ziemi przeciw zbyt niemu wyzyskiwaniu przez kapitał. Organ swój, jeśli tak wolno powiedzieć, *oficyalny*, znalazł ten zastęp w wydawanej w Berlinie *Deutsche Landeszeitung*, najznamienitszego rzecznika i obrońcę w osobie radcy sądu miejskiego berlińskiego Willmannsie do pewnego stopnia i w byłym landracie Diest z Daber, wskazanym niedawno temu za obrazę księcia-kanclerza na trzy miesiące więzienia. Sekundowała także w sposób zaczepny a co gorsza często i oszczerczy, dążnościom *agrarnymu* wydawana również w Berlinie pod redakcją literata Joachima Gehlsena *Deutsche Eisenbahnzeitung*. Czego byśmy przecież *agraryzmowi* mającemu niewątpliwie prawo przyszłości racją bytu i słuszność sprawy w obronie uczciwej własności przeciw nieuczciwej a przynajmniej ryzykownej spekulacji zarzucili, to pewną niezręczność w organizacji własnych sił i zasobów, to powolność i nieudolność akcji. Składając się z reprezentantów posiadłości ziemskiej, rozporządzając znacznymi środkami materyalnemi, niemniej znacznym liczebnie zastępem wyborców, mógł już być zaznaczyć fakt swej obecności w reprezentacyi kraju, zawołać *Huc usque* wobec gospodarowania narodowo-liberalnego, postawić prawo ziemi wobec bezprawia narodowo-liberalnej spekulacji. Cóż widzimy tymczasem? W sejmie zaledwie kilku „*agraryjczyków*“ nie chcących czy nie umięających się odezwać wobec gadaczy narodowo-liberalizmu. W prasie jedyna tylko, prawda, że umięjtnie i zręcznie redagowana *Deutsche Landeszeitung* wobec całego roju gazet i gazetek narodowo-liberalizmu zakrzykujących swym jednolitym chórem wszelki objaw przeciwnego zdania na jakiembądź polu.

Jeśli *narodowo-liberalizm* pod bardzo źle przystającą mu do prawdziwego oblicza maską polityczną rozkoszuje i używa życia; jeśli *agraryzm* broni własnego bytu, zapowiada wreszcie swą obecność i chęć życia *trzeci* żywioł, także niekłamanej postaci a zastraszającego znaczenia, bez wszelkiej maski politycznej. Jest nim *socyalizm* niemiecki, niedawno temu jeszcze pojaw zaledwie dostrzegalny, dzisiaj wzrastający gro-

źnie od roku do roku w kwadratowym postępie, rozporządzający coraz liczniejszymi głosami i rękami, posiadający swą umiejętnie przeprowadzoną organizacją, praktykujący olbrzymią propagandę za pomocą mnóstwa dzienników, z których najpokaźniejsze wychodzące w Berlinie *Social-Demokrat* i *Vorwärts*, dalej wydawany w Lipsku *Volksstaat*; zastęp wywołujący obawy wcale niebojaźliwego zkądinad księcia Bismarka, zagrażający nowemu Cesarstwu Niemieckiemu nie inaczej, jak owe gminoruchowe, nieznane i niezbadane ludy starożytnemu Rzymowi. Wszelkie zażegninywanie postępującego jak *gradowa chmura z tej strony niebezpieczeństwa* przez „*mądrych*,” jak mówi nasz lud, przez „*cudownych lekarzy*” w rodzaju Schultzego z Delicz drogą „*własnej pomocy*” (*Selbsthilfe*) okazało się bezskutecznem. Rady zmarłego od lat kilkunastu apostoła socjalizmu niemieckiego, Lassalle’a, aby *państwo* i *rząd* wzięły w rękę rozwiązanie kwestyi socyalnej, nie chciano z jednej, nie umiano z drugiej strony usłuchać. A tak rośnie od dnia do dnia, od godziny do godziny niemal, z istną siłą przybierającej powodzi nurt agitacyi socyalnej; ogarniając na szersz i głab coraz większe obszary. Nie jest to znów, jak przypomnieć należy, ani zastęp, ani ruch *politycznej* natury w ścisłym i właściwym znaczeniu tego wyrazu. Przeciwnie może, byłaby *wolność polityczna* wobec jego możliwych wybuchów na przyszłość przezornym otworem bezpieczeństwa. Socjalizm i jego wyznawcy drwią sobie bez żadnej ogródki z wszystkich programów konstytucyjnych. Pracujemy, działamy konsekwentnie i wytrwale, mówią, a pozbędziemy się tak biórokracyi, jak militaryzmu i *liberalizmu* razem. W objawie podobnej pogardy leży naturalnie rozbrat między dążnościami i celami socjalizmu a politycznym liberalizmem, który nawet, gdyby zmartwychwstał w Niemczech, na przymierze z nim, na barrykadę robotnika przeciw bagnetowi absolutyzmu liczyć nie może... Wobec podobnego coraz widoczniejszego ulatniania się *politycznego liberalizmu* w nadziemską sferę bądź to archeologii, bądź ideologii, zdobywa sobie tymczasem w charakterze groźnej rzeczywistości coraz szerszy grunt *socyjalizm* z coraz głośniejszymi imionami Bebla, Liebknechta, Hasselmanna, Hasenclevera, Mosta. Najlepszą, najdotykalniejszą owego postępu miarą są każdorazowe wybory

do sejmu Rzeszy Niemieckiej, w których panuje zasada powszechnego głosowania. Któż słyszał dawniej, przed trzema, czterema laty jeszcze o jakiejś partii socyalnej? Dzisiaj wrą przedwyborcze zgromadzenia śmiałemi mowami agitatorów tegoż zastępu; socyalizm zdobył sobie na całej już przestrzeni Niemiec prawo obywatelstwa w statystyce wyborczej, a wszędzie dzisiaj figuruje obok narodowo-liberalizmu, postępu, wolno-konserwatyzmu, frakcyi centralnej, rubryka *socyalizmu*, rubryka zaludniająca się za każdym powtarzającym się terminem wyborczym coraz to poważniejszymi cyframi. Mieszczaństwo i oficjalizm czują mimowolnie zbliżające się niebezpieczeństwo; najlepszą zaś miarą świadomości jego pozostanie hałaśliwa radość, jaką dzienniki urzędowe, narodowo-liberalne, a nawet postępowe objawiają, skoro z urny wyborczej wyjdzie na tymczasem jeszcze *nie-socyalista*. Co za okrzyk tryumfu odezwał się w *tej* właśnie części prasy niemieckiej niedawno temu, gdy po zwycięstwie kandydata socyalistycznego w piątym okręgu wyborczym miasta Berlina, udało się następnie w szóstym przeprowadzić postępowca! Wzrasta w ten sposób od dnia do dnia nurt tej powodzi, szerzy się propaganda i to nie tylko w sferze robotniczej, przez mowy owych Beblów, owych Liebknechtów, owych Mostów czy Hasencleverów z trybuny sejmowej i na zgromadzeniach ludowych, bije zaś z nich w oczy dziwnie szorstka i bezceremonialna śmiałość, ale zarazem i siła przekonania. W ogóle, powiedzielibyśmy, jest imponującą ze strony reprezentantów owej prawdziwej „*muzyki przyszłości*“ Niemiec, szczególna jakaś wiara w siebie i w ostateczne zwycięstwo swej sprawy. Z jakąż matematyczną pewnością ostatecznego rezultatu, z jakimże uśmiechem przeświadczenia niezawodnej wygranej na ponurej i zamyśłonej zwykle twarzy, spogląda istny papież dzisiejszego socyalizmu niemieckiego, Karol Marx, na organizm społeczno-polityczny dzisiejszego cesarstwa niemieckiego, nadewszystko zaś na środki wymierzone przeciw akcji i propagandzie swej falangi! Prawdziwy to śmiech dojrzałego człowieka, pozwalającego dziecku dla zabawy wiązać sobie słabą nicią ręce. Mimowolnie przypomina się tu ostatnia scena ostatniego aktu Meyerbeerowego *Proroka*, grzmiącego w uszy porywającemu się nań otoczeniu: „Co! *ja* w waszym ręku? *wy* w moim!“ — by ich rzutem iskry w grunt

podminowany prochem wyprowadzić w podróż ku niebu! — Czy podobna pewność zwycięstwa ma istotną, tak niezawodną podstawę, czy wytrzyma próbę wobec środków obronnych państwa, czy sukces dopisze w danej chwili, na wszystkie tego rodzaju pytania mogą tylko odpowiedzieć: Opatrzność dzisiaj, przyszłość później. Co tylko rzeczą już teraz pewną, to fakt egzystencji i wagi zastępu socyalnego w społeczno-politycznym składzie organizmu niemieckiego, to obecność *mass*, które *nie mają*, a które *chcą mieć*, nie maska, ani mara komedii politycznej, ale groźna i dotykalna rzeczywistość z ponurego dramatu współczesnych dziejów niemieckich, dzieło Nemezis dziejowej, mszczącej się na zwycięzcach i pogromcach idealnego, politycznej natury ruchu roku 1848 podobną sukcesją!

Otóż to zakulisowa prawda rozgrywającej się ciągle jeszcze nibyto w Niemczech na widowni parlamentarnej i publicystycznej *komedii politycznej*. Ile w tej całej polityce *prawdziwej* polityki, mieliśmy się już sposobność przekonać. Raz jeszcze wypada nam powtórzyć, że dzisiejsze brzmienia i wyrazy *polityczne* pokrywają już tylko rzeczywistość zagadnień i potrzeb ekonomicznych. Jest jednakże z tej reguły wyjątek, choć wyjątek nieprzeszkadzający bynajmniej i w niczem naszej tezie o nieobecności i nieegzystencji właściwych stronnictw *politycznych* w dzisiejszym organizmie cesarstwa prusko-niemieckiego. Mówimy tu o tak zwanej *frakcyi centralnej* czyli katolickiej, zastępie znacznym a dostrzegalnym niemniej w składzie parlamentaryzmu, jak w łamach prasy niemieckiej. Jedyna to bezwątpienia falanga, której rzeczywistość i racya bytu nie opiera się wyłącznie na *chlebie*, ale która żyje wyjątkowo *ideą* i *duchem*. Gruntem jej poważnym, uznania godnym jest ośmiomilionowa ludność katolicka, dotknięta w swych potrzebach i uczuciach Bismarkowym systemem państwowego wszechwładztwa; organami w izbie i w sejmie kilkudziesięciu deputowanych, pośród których świeciły i świecą zaszczytnie imiona Mallinckrotda, Windthorsta, Schorlemer-Alsta, znakomitego publicysty bawarskiego Jörga, kanonika Moufanga, biskupa Kettelera, Wendta, hr. Ballestrema, Frantza, Schrödera z Lippstadt i wielu innych; organami prasowymi berlińska *Germania*, *Kölnische Volkszeitung*, wrocławska *Schlesische Volkszeitung*, *Historisch-politische Blätter* Jörga, bawarskie *Vaterland*. Jestże

to jednakże mimo tak szeroko w parlamentaryzmie i publicystyce niemieckiej zajmowanego dzisiaj miejsca właściwy zastęp *polityczny*? Odpowiedź na to zapytanie winna wypaść przecząco. *Frakcja centralna* wraz z całą swą parlamentarną i publicystyczną akcją nie zrodziła się samodzielnie i samostannie, z własnej inicjatywy i z własnej potrzeby, lecz powstała, jeśli tak wolno powiedzieć, i trwa *negatywnie*, z nacisku przyczyn zewnętrznych a niezależnych od siebie, swej woli i działalności. Twórcą mimowolnym *frakcji centralnej* w sejmach i prasie jest książę-kanclerz i jego wroga kościołowi katolickiemu polityka. Trwałość tej partii zależy od trwania rządowego ucisku; racją jej bytu obrona kościoła katolickiego przeciw owemu uciskowi. Z chwilą ustania owego ucisku ustaje racja bytu osobno zorganizowanego stronnictwa katolickiego. Dzisiejsze pierwiastki jego rozprysną się i ulegną atrakcyi właściwych każdemu z nich przekonań i żywiołów, czy to politycznych czy ekonomicznych. Pojawowi podobnemu trudno tedy, mimo wszelkiego uznania jego moralnej wartości i zasadniczej słuszności, przyznać i przypisać warunki, przymioty i kwalifikacye samodzielnego i samorodnego stronnictwa *politycznego*. W spostrzeżeniu tem nie zmienia nic i nie przeinacza okoliczność, że *frakcja centralna* czyli *katolicka*, czy to w sejmie czy w prasie, idzie obecnie ręką w rękę ze wszystkimi stronnictwami czy żywiołami występującymi z postulatami szczerego i uczciwego liberalizmu politycznego. Co najwięcej, dowodziłoby to tylko starej *prawdy*, jak dalece *swoboda* i *prawo* jej są wspólnem dobrodziejstwem *wszystkich*, tych nawet, co ze stanowiska swych zasad, przekonań i pojęć uważali za rzecz konieczną zakładać swego czasu przeciw niej mniej lub więcej energiczny protest.

W ocenieniu taktyki parlamentarnej frakcyi centralnej mielibyśmy dodatkowo do zauważenia, że jeśli miała znakomitych ludzi i mowców, jak nieodżałowanego dla siebie Mallinckrotda, jak zacnego biskupa mogunckiego Kettelera, że jak teraz ma jeszcze w swych szeregach znakomitość w osobie przypominającego powierzchownością wielce maleńkiego Thiersa, byłego ministra hanowerskiego Windthorsta, że jak dalej ma przypominającego i na trybunie nawet jeszcze, czem był dawniej, rotmistrza kawaleryi, śmiałego i rezolutnego barona

Schorlemer-Alsta, nie mówiąc o innych; że frakcyja ta, mówimy, nie walczy, nie chce czy nie umie walczyć bronią, która, nie będąc może odrazu praktycznie skuteczną, doprowadzałyby przecież przeciwników do wyraźnej niedorzeczności, a co najważniejsza zdzierałaby im maskę hipokryzycznego liberalizmu. By się krótko wyrazić, walczą reprezentanci *frakcji centralnej* nienaruszalnością kościoła katolickiego i nietykalnością prawd jego, bronią nie mającą żadnej wartości wobec protestanckiej większości sejmu, kiedy nadarzała się i nadarza tysiąckrotnie rzadko bardzo tylko wyzyskana sposobność wykazania na oczy: jakich zrad, jakich aktów hipokryzji w swej polityce względem kościoła katolickiego, jego duchowieństwa i wyznawców dopuszcza się narodowo-liberalizm prusko-niemiecki przeciw pierwszym przykazom wszelkiej ludzkiej, uczciwie liberalnej i szczerze konstytucyjnej loiki. Taktyka podobna miałaby co najmniej tę korzyść, iżby przeciwnikom nie pozwoliła bawić się dłużej w kłamany liberalizm, iżby w jego reprezentantach odsłoniła serwilistów, karyerzystów i spekulantów, iżby im przeszkadzała grać rolę jakiegoś poważnego stronnictwa politycznego...

Zbliżamy się do końca naszego zadania i przystępujemy w kilku jeszcze tylko słowach do konkluzji.

Na objęte naszym tytułowem zadaniem pytanie co do istnienia, charakteru, dążności, różnic i ostatecznych celów stronnictw *politycznych* dzisiejszego cesarstwa niemieckiego, wypadło nam niniejszą rozprawą dać odpowiedź, że owych stronnictw we *właściwym* znaczeniu wyrazu wcale nie ma, że zachowane dotąd nazwy, godła i firmy *polityczne* odziewają i pokrywają rzeczywistość zupełnie innej aniżeli politycznej natury, że z wyjątkiem jedynej partii katolickiej są wyrazem *ekonomicznych* raczej dążeń i potrzeb. Aspiracje *polityczne* Niemiec, zrodzone z dążeń, pojęć i nadziei epoki po wojnach napoleońskich, dojrzałe do pewnego rozkwitu po rewolucyi Lipcowej, znajdujące wyraz w wypadkach roku 1848 i 1849, podejmujące bladą ich, ponowną na drodze konstytucyjno-legalnej próbę w epoce tak zwanej *nowej ery* pruskiej, utonęły pierwszy raz w prześladowaniach reakcyjnej represyi, drugi raz abdykowały same dobrowolnie wobec sukcesu panującego systemu! Oba razy odniósł tradycyjny, uswięcony

wiekami, biurokratyczno-militarny organizm pruski zwycięstwo nad polotem czy porywem ludności ku życiu liberalnemu i konstytucyjnemu. Odtąd panuje wśród formułek konstytucyjno-parlamentarnych, wśród wrzawy i hałasu trybun sejmowych, mogących złudzić i obalamucić niezagląającego w głąb rzeczy — *milczenie polityczne* kraju i jego reprezentantów, nie inaczej, jak za Cezarów w starożytnym Rzymie, nie inaczej jak w epoce powodzeń obu Napoleonów we Francyi. Militarne dyktatury i rządy zbudowane na gruncie bądź to wewnętrznego strachu, bądź zewnętrznych powodzeń, zamykają regularnie i wszędzie usta wszelkiej prawdziwej opozycji politycznej, krępują swobodę wszelkiego życia politycznego. Fatalnością ich nieuniknioną zmuszać ferment kipiący w każdej myślącej i żyjącej duchowo społeczności szukania sobie upływu w niedostatku swobody życia *politycznego*, na pole *ekonomiczno-społeczne*. Skoro nam udział w rządach i losach kraju własnego wzbroniony, *używajmy* póki czas i można, powiadają jedni, t.j. wyznawcy narodowo-liberalizmu; *brońmy* tego, co *mamy*, powiadają drudzy, t.j. agraryjczycy; *zdobywajmy* czego nam dobrowolnie dać nie chcą, powiadają trzeci, t.j. socjaliści; *łączmy* się około zagrożonych palladiów naszego duchowego i religijnego dobra, powiadają czwarcy, t.j. katolicy — nie wyrażając ani przedstawiając wszyscy razem czy to politycznych dążeń, czy politycznych celów. *L'état, c'est moi*, powiedział Ludwik XIV; dzisiaj *ja jeden* jestem jedynym *politykiem* i jedyną *polityką* Niemiec, może powiedzieć książę Bismark; po za mną mogą być aspiracye, westchnienia i życzenia, ale nie ma stronnictw i akcji politycznej. Wszystko, co po za mną ludzi zdala pozorami i godłami politycznej organizacji czy politycznej roboty, jest wyrazem *innych* prawd i *innych* potrzeb... Być może, iż prędzej czy później, czy to w skutek wielkiej katastrofy zewnętrznej, czy w skutek do głębi sięgających wstrząsnięć wewnętrznych, nastąpi zmiana dekoracyi w Niemczech, że stłumione sukcesem dzisiaj panującego systemu dążenia politycznej swobody odzyskają swe prawa i odnajdą swoją widownię. Gadka ludowa mówi o zamarzłych w powietrzu wśród lodowatych skał głosach, które odtajały i odezwały się piękną harmonią z powrotem wiosennego ciepła. Schiller kreśli w jednej ze swych najpiękniejszych ballad

obraz ginącego pod sztyletami zbójców lutnisty, który pamięć swej osoby i pomstę swego zgonu przekazuje jedynym jego świadkom, szybującemu po nad sobą stada żórawi. Być może, iż i w Niemczech nadejdzie pora wiosenna, w której odtają i ozwą się znów głosy swobody politycznej, stężałe i zamarzłe od chwili sukcesu z pod Sadowy. Być może, iż pojawią się kiedyś w roli Ibikowych żórawi świadkowie przedzgonnych prawd i przekonań Rasztadzkich ofiar z roku 1849, świadkowie, co przypomną przyszłym generacyom testament ich polityczny, zapisujący narodowi niemieckiemu z pewnością nie kosszarowy i biurokratyczny przymus, lecz tryskającą z tysiącznych ognisk życia federacyjnego swobodę i słoneczną pogodę. . . . *Frzypuszczenia* to jednakże tylko i domysły, nie mające w ocenieniu *dzisiejszych* stosunków politycznych niemieckich żadnej wartości. Zabsorbowała je w sobie, *przez* siebie i *dla* siebie dyktatura militarna, otwierając jakoby w zamian perspektywę na groźną, czarną, wynurzającą się z pod horyzontu coraz wyżej ku środkowi firmamentu chmurę, która w swem brzemniennem łonie chowa, chować jedynie tylko może, gromy i pioruny *społecznej* burzy.

Seweryn Przerowa ¹⁾.

¹⁾ Jestto pseudonim oddawna zaszczytnie znanego i zasłużonego pisarza. (*Przyp. Redakcyi*).

PRZYMIERZE POLSKO-ROSYJSKIE 1787—1788*)

Propozycja sojuszu Polski z Rosyą wyszła od Stanisława Augusta. Myśl ta, w której tkwiła chęć wciągnięcia Rzpltej do wojny, zajmowała Króla oddawna. W czasie wojny o sukcesyą bawarską (1778—1779) pragnął on w połączeniu z Rosyą i Prusami, uderzyć na Austryą i odebrać jej, gdyby się dało, Galicyą. W roku 1783, gdy się na wojnę z Portą zanościło, ofiarował znowu Imperatorowej swą pomoc. W Kaniowie, po raz trzeci, uczynił przez Stackelberga toż samo przedstawienie. Tym razem, myśl królewska znalazła dobre przyjęcie, ale do układu nie przyszło. „Takie rzeczy nie robią się na galerze, rzekła Imperatorowa; gdy powrócę do Petersburga, wtedy będzie czas robić koło tego.“ Tymczasem zalecono z obu stron najściślejszy sekret, tak że oprócz najbliższych osób w otoczeniu Imperatorowej i Króla, nikt o zamierzonym aliansie nie wiedział.

Jakiegolwiek zdanie możnaby mieć o tem przymierzu z Rosyą, zaprzeczyć się nie da, że myśl pociągnięcia Rzpltej do wojny była w zasadzie zbawienną. Od lat 70 z górą, Rzplta

*) Obacz poszyt grudniowy 1877.

żadnej wojny regularnej nie prowadziła; duch rycerski przysiągł w narodzie i nie mogła go zaprawdę odżywić Konfederacya barska, która z małemi wyjątkami nic więcej prócz nieporządnej ruchawki, nie wydała. Wraz z duchem wojennym zniknął i zmysł polityczny: przewaga na sejmiku i w trybunale, chwytywanie starostw i urzędów, pieniactwo i przekora, oto co stanowiło sprawy publiczne przez pół wieku z górą. „To naród adwokatów“ pisywał nieraz Stackelberg. Wszystko zdrobniało i zgnuśniało za ostatniego Sasa, lecz i w późniejszych latach nie wiele się polepszyło. Przypomnijmy jakie to sprawy w epoce, która nas zajmuje, roznamiętniały cały naród w sejmie i po za sejmem. W r. 1782 nie było ważniejszego pytania nad to: czy Sołtyk oszalał albo nie; w r. 1785, proces nikczemnej intrygantki Dogrumowej rozdzielił kraj na dwa nieawistne obozy; w rok później, dekret marszałkowski w tymże procesie wydany i nazwisko Branickiego w nim zamieszczone, stały się pierwszorzędną kwestyą stanu w gabinetach, na sejmikach i w sejmie; a im lichsze były sprawy, tem z większą zapalczywością walczone za nie, marnując siły, które sfornie i roztropnie użyte mogły być dzwignąć kraj.— W tak opłakanym rozstroju, ukazać narodowi jakiś wyższy cel, mogło już samo przez się stać się ratunkiem. Umysły Polaków sławą wojenną podnieść i zapalić, wyrwać je z kłótlivej opozycyi i rozdarcia, do którego sama nieczynność przywołać musiała; korzystać z okazji, jaką wojna podaje, aby władzę rządową wzmocnić, powiększyć armią, dać jej chrzest ognia i krwi; zdobyć na nowo jakieś uznanie i poszanowanie imienia polskiego w Europie, wprowadzić Rzpltą do traktatów europejskich, i w końcu odzyskać, o ile to podobna, część utraconych prowincyj lub jakieś za nie wynagrodzenie, — te były aż nadto usprawiedliwione powody owych dążeń królewskich. A choćby i do wojny nie przyszło, jeszcze z przymierza można było wyciągnąć znaczną korzyść; ubezpieczenie Rzpltej przed zaborczością pruską grożącą nieustannie i która każdemu, cokolwiek z polityką obznajmionemu, dobrze była wiadomą.

Wszelako, czy w położeniu tak opłakanem, w jakim się kraj i rząd jego znajdował, wśród nieprzyjaciół, jacy mu z wewnątrz i zewnątrz grozili, projekt ten, pomimo tylu niezaprzeczonych zysków, które zapowiadał, nie był zanedto

ryzykowny, nie wstrząsał zbyt silnie słabym organizmem państwa, — na to pytanie nie chcemy teraz odpowiadać; to wykaże dalszy ciąg rzeczy. Cożkolwiekby, Król nietracąc czasu, bo już pod koniec września 1787, to jest w miesiąc zaledwo po wypowiedzeniu wojny przez Portę, był gotów z projektem aliansu i posłał go na ręce Debolego gabinetowi Petersburskiemu. Pomimo usilnych starań, nie mogliśmy odszukać tego dokumentu; tylko z listów i dyskusyi dyplomatycznej, jaka się nad nim wywiązała, możemy domyślać się jego treści. Traktat odporny, według myśli królewskiej, miał ubezpieczać nawzajem wszystkie posiadłości obu państw (w Europie); w razie wojny warował pomoc 20,000 tysięcy ludzi, których Polska w kawaleryi, Moskwa bardziej w piechocie i artyleryi dostarczyć miała; na wystawienie tego korpusu posiłkowego żądał król od Moskwy 300,000 dukatów, podczas wojny, aby nadać rządowi więcej siły i jedności, domagał się pewnych zmian w urządzeniach krajowych, a mianowicie na mocy Paktów Conwentów, przywrócenia sobie prawa rozdawnictwa wszystkich urzędów; przy pokoju zastrzegał przypuszczenie Rzpltej do korzyści na nieprzyjacielu odnieść się mających, zastrzegał również umowę handlową mającą otworzyć morze Czarne produktom polskim; a nakoniec zwołanie Sejmu nadzwyczajnego, który pod węzłem konfederacyi zawiązany, to wszystko do skutku miał doprowadzić. Program jak widzimy był wielostronnie i głęboko obmyślany i dążył nieznacznie do zastąpienia gwarancyi rosyjskiej tak bardzo Rzpltą wiążącej i upośledzającej, przystojnem z Rosyą przymierzem. Prócz tego objawił król Stakelbergowi życzenie, że radby sam stanąć na czele korpusu polskiego, co oczywiście temu korpusowi znaczenia politycznego przydaćby musiało, i prosił o przysłanie jednego z jenerałów rosyjskich, któryby sprawując dowództwo nad pułkami rosyjskimi mającemi wzmocnić armią polską, był mu zarazem do pomocy w komendzie; jako nagrodę zaś dla Rzpltej, domagał się kawałka Bessarabii i Mołdawii aż do morza wraz z portem Akermanu ¹⁾). Oba te żądania, Stakelberg ujęty przez Króla popierał. Obejmując oso-

¹⁾ *Depesza Stackelberga do Imperatorowej z d. 25 września (6 październ.) 1787.*

biście dowództwo, mówił on, Król zwiąże się tem mocniej z nami, a nadto uniknie trudności, jakaby miał, gdyby wybierać musiał między czterema do dowództwa kandydatami: ks. Kazimierzem, ks. Stanisławem, hetmanem Branickim i Szczęsnym Potockim, którzy niezawodnie do komendy cisnąć się będą. Oddanie zaś kawałka ziemi aż po Akerman na rzecz Polski, wydawało się Stackelbergowi z tego powodu korzystne, że ten pas odgraniczyłby Rosyą od Austrii.— Na nieszczęście dołączone było jeszcze inne ze strony Króla życzenie; przyznawał on, że smutny stan jego finansów, niepozwoliłby mu objąć komendy bez osobnego zasiłku od Imperatorowej. Pojąć łatwo, że warunek taki nie przydawał jego żądaniom powagi; Król i dobrze obmyślane środki, własnym psuł nierządem.

Takie odebrawszy propozycye, Katarzyna nie objawiła bynajmniej, jak się na nie zapatruje, ale nie spieszyła się z odpowiedzią. Tymczasem, choć wojna nie zaczęła się jeszcze naprawdę, nabawiała Rzpltą niemałych trudności. Wewnątrz kraju, wrażliwe umysły Polaków to unosiły się zbyt łatwo nadziejami, których od tej wojny wyglądały, to się przerażały bliskiem jej sąsiedztwem. Wkrótce po zerwaniu swem z Rosyą, Porta kazała ogłosić w Chocimiu firman, w którym oświadczyła, że chce zachować przyjaźń z Polską i wzbroniła najsurowiej wszelkiego naruszenia jej granic. Ale już w połowie października Stackelberg złożył w Radzie Nieustającej notę, w której oznajmiał, że Imperatorowa z powodu wojny tureckiej była zmuszoną wysłać część swojej armii w kraje Rzpltej (nie żądając wcale jej przyzwolenia); przyczem zaręczał, że wydane zostały najściślejsze rozkazy przestrzegania w wojsku karności, i że wszelkie dostawy płacone będą gotówką ¹⁾. W istocie pięć pułków rosyjskich, pod dowództwem

¹⁾ W styczniu 1788 De Caché zaniósł notę do Rady nieustającej z żądaniem, aby armia austr., która oblegać miała Chocim, przejść mogła przez terytoryum Rzpltej. Rada odpowiedziała, że nie ma prawa decydowania w tak ważnej materii, że decyzya tylko do Sejmu należy; lecz też i sprzeciwić się nie może. Stackelberg jak Osterman okazali z tej noty austriackiej żywe niezadowolnienie; według nich nie należało z rządem polskim robić tyle ceremonij, dość było uwiadomić tylko, że armia wchodzi! Ale ks. Kaunitz nie

Galicyna, należące do armii Rumiancowa, weszło niebawem do Polski. Fakt ten, jakkolwiek przewidywany, wzniecił i w Warszawie i prowincjach ukraińskich troski i niepokój. By zapobiedz samowolności komendantów rosyjskich i obywatelstwo i włościan uchronić od ucisku i rabunków, Rada Nieustająca poleciła ukraińskim województwom wybrać komisye, któreby znosiły się z Moskwą o potrzebne dla niej dostawy. Województwo podolskie usłuchało polecenia, Wołyń odmówił i wysłał deputowanych do Króla dla usprawiedliwienia tego kroku; przy czem nieobeszło się bez cierpkich wymówek, że kraj z winy rządu na nowe uciski wystawiony będzie. Spółcześnie rozeszła się wiadomość, że hetman Branicki bawiący w kwarterze głównej Potemkina, nie będąc od nikogo upoważniony, ofiarował mu spóldziałanie Polaków przeciw Turkom; jego zaś partyzant Pułaski, zebrawszy znaczną kupę ludzi, kręcił się na Wołyniu i pograniczach Litwy, aby zaciągać ochotników w imieniu W. hetmana. Na szczęście przyszedł od Katarzyny reskrypt do Stackelberga, polecający mu, aby zapraszał Polaków do zachowania się w zupełnej spokojności; zaczęli i Rada Nieustająca uczuła się dość mocną, aby przypomnieć wszystkim oddziałom wojsk polskich, że jedynie Departamentu wojskowego słuchać mają. — Lecz i od ściany tureckiej zagroziło niebezpieczeństwo. Ponieważ z wejściem Rosyan w kraje Rzpltej, neutralność tej ostatniej została złamaną, przeto i Porta nie czuła się obowiązana granic jej szanować, i w d. 8 listopada (1787) ogłoszony był w Chocimiu nowy firman, pozwalający szukać Moskali w krajach Rzpltej, jeżeli ci przybliżą się na 4 do 5 mil od granic tureckich. Mówiono, że nowy han tatarski Arslan Geray, stojący w Mołdawii w 30,000 koni, ma już rozkaz wpaść do Polski. Rada Nieustająca poleciła Potockiemu, komendantowi ukraińskiemu, aby w porozumieniu z generałami rosyjskimi zasłonił granicę, i gdyby przyszło do najazdu, *vim vi repellere* ¹⁾.

podzielał tego zdania; nie chciał on swoim przykładem upoważniać Rosyi do rządzenia się w Polsce jak u siebie.

¹⁾ *Depesze Nuncjusza Saluzzo* z d. 10 i 17 paźd. 17 i 21 listop.; *Buchholtza* od 17 listop. do 1 grudnia 1787 i *de Caché* ze stycznia 1787; *Deboleto* z d. 1 lutego 1788.

W tak utrudnionem ze wszęch stron położeniu, Prymas i W. Kanclerz koronny objawili królowi zdanie, że nie jest podobna, iżby Rada Nieustająca ze szczupłą władzą, którą posiada, a której obywatele słuchać nie chcą, z drobnemi siłami wojskowemi jakimi rozporządza, mogła potrzebom państwa skutecznie zaradzić, i proponowali, bądź zwołanie sejmu pod laską konfederacyi; bądź zawiązanie konfederacyi w Radzie Nieustającej, bez sejmu. Król porozumiewszy się ze Stackelbergiem, oświadczył się za konfederacją bez sejmu i polecił Debolemu, iżby na to uzyskał przyzwolenie Imperatorowej. W memoryale złożonym Ostermanowi w Petersburgu, Deboli tłumaczył, że wobec fermentacyi umysłów, jaka się w Polsce objawia i wobec intryg cudzoziemskich już widocznych, przy rządzie słabym, który niezdolny jest im zapobiedz, konieczną rzeczą się wydaje utworzyć bezwłocznie konfederacją mającą na celu utrzymanie spokojności publicznej i zabezpieczenie całości Rzpltej. Taka konfederacya zawiązana w Radzie Nieustającej przy królu, zawezwałaby prowincye do wybrania marszałków i Rad wojewódzkich, ogłaszając nieprzyjacielem ojczyzny każdego, coby inny związek chciał formować. Co się tyczy sejmu, ten pod węzłem istniejącej konfederacyi, mógłby w swoim czasie to jest w październiku być zwołany ¹⁾. — W Petersburgu nie podobała się propozycya królewska; Katarzynie nie chodziło o to bynajmniej, aby rząd polski był silniejszy i czynniejszy. Osterman zrazu nierozumiał jak można konfederacją po za sejmem zawiązywać, później kłopotał się jak taki krok w Berlinie i Wiedniu usprawiedliwić, wreszcie skończyło się na odmownej odpowiedzi, którą Królowi posłano do Warszawy. W imieniu pani swojej, Stackelberg przekładał, „że utworzona bez sejmu konfederacya mogłaby rozdrażnić znaczną część narodu, po województwach wywołać różnice w aktach konfederackich i wielce utrudnić główne nasze dzieło, to jest alians.“ Przeciwnie zaś, wszystko daleko skłádniej pójdzie „jeżeli uniwersały wydane zostaną na sejmiki zwołujące wolny sejm i wtedy będzie czas zawiązać konfederacją nietylko z członków Rady nieustającej i innych dykasteryj, ale z samychże posłów, co od razu w jednym akcie zawrze wszystko.“ Ambasador za-

¹⁾ Raport Debolego do króla, 19 grudnia 1787.

kończył „próbą, aby Król tej planty trzymał się nieodmienne;“ pocieszał go tylko nadzieją, że Imperatorowa w myśli aliansu trwa niezachwianie, że skoro forma onego umówioną zostanie, Sejm nadzwyczajny będzie mógł być natychmiast zwołanym; że jeżeli dotąd z Petersburga nie nadeszła odpowiedź, to dlatego, że rzecz jest ważna i potrzebuje namysłu. „Zbiór wszystkich okoliczności (pisze Król do Debolego) i tutejszych i najbardziej petersburskich, najlepiej W Panu wiadomych, dał mi przeświadczenie, że nie zostawało dla mnie innej lepszej determinacyi, jak przyzwolić zupełnie na żądanie ambasadora, ile że ono zawierało żądanie samej Imperatorowej ¹⁾.“ Nie mniej jednak niecierpliwiły go te zwłoki. Przy powolnej machinie polskiego rządu wypadało przewidzieć cały szereg nużących i przewlokłych czynności, a do załatwienia koniecznych, pierwej, zanim choć jeden żołnierz mógłby być do boju posłanym. Chcąc zapobiedz tej mitrędze, Stanisław jeszcze jednego próbował środka. Prócz Debolego starał się wybadać gabinet rosyjski, czyby nie chciano z Petersburga dostarczyć po cichu funduszków Rzpltej na podniesienie armii do 30,000, przez coby korpus posiłkowy mógł stanąć gotowy równo z traktatem. Katarzyna miała wiele powodów, by na tę propozycyą również nie przystać; między innemi i ten, żeby Król ze zwykłą sobieszcudroblivością, zaliczonych na wojsko pieniędzy, między swych przyjaciół nie rozdał. Z jej rozkazu odpowiedział Bezborodko, że fabryka tulska dostarczy broni dla armii polskiej, gdy będzie czas po temu.

„Dość nudna z tego wszystkiego (pisze Król) wynika konieczność, że my prawie innej roli dla siebie nie mamy, jak czekać, kiedy się *tandem* Dworowi petersburskiemu będzie podobalo coś z nami zrobić. Znam ja doskonale szkodliwość tej nieczynności i tę W Pan (w Petersburgu) od czasu do czasu przypominać im możesz, jednak bez zbytniej natrętności, żeby im się nie naprzykrzać.“ — I styczeń i luty (1788) na czekaniu przeszedł, a z Petersburga, prócz obietnic, nic nie przychodziło. „Widzę ja (słowa są Króla), że to jest wielkiem teraz żądaniem i staraniem rosyjskiem, aby uspić umysły i tu i w Berlinie, a podobno i w Wiedniu takową perswazyą, że tu

¹⁾ Depesza Króla 9 stycznia 87.

wszystko ma pozostać w cichości i sytuacji teraźniejszej; to sądzę z relacji, którą mi uczynił Ambasador, jakich używa słów i sposobów do zaspokojenia ciekawości tych nawet osób, które najwięcej z jego poufałości korzystają.“ Te domysły królewskie potwierdzał Deboli, który trafnie zazwyczaj przenikał politykę rosyjską. Wiedział on, że jej dążeniem było nie dopuszczać Dworów sąsiedzkich, aby się mieszały do spraw polskich; więc i teraz chciał gabinet petersburski uniknąć wszelkiego przed nimi tłumaczenia, a ułożywszy po cichu traktat z Królem, w zwykłej porze Sejmu poddać go pod spieszną aprobacją Delegacji sejmowej, tak żeby on się stał faktem dokonanym, zanim się Dwory dowiedzą.

Oprócz królewskich, dochodziły Imperatorowej z innej strony nalegania Polaków o zawarcie z nią sojuszu. Pod koniec r. 1787 Potemkin przesłał do Petersburga plan konfederacji, ułożony przez hetmana Branickiego i Szczęsnego Potockiego. Główną myślą tego planu było, iżby konfederacja nie w Warszawie przy Królu została zawiązana, ale na prowincyi, za sprawą i pod kierunkiem autorów projektu; aby silna poparciem Imperatorowej i pomocą pieniężną od Rosyi, rozwinęła szybko zaciągi wojskowe, któremiby udaremnić mogła wszelki opór Króla i innych przeciwników; a gdy już urośnie w potęgę, zaprosiła Króla i władze rządowe do połączenia się z nią. Był to, ni mniej ni więcej, tylko zamach na obalenie istniejącego rządu a utworzenie nowego, na którego czele stanęliby hetman Branicki wraz z Szczęsnym Potockim; robota dość podobna do dawnej, radomskiej i jakoby zapowiedź tego, co w pięć lat później było wykonaniem; ostatecznym zaś celem całego wywrotu miało być połączenie wszystkich sił polskich z Rosyą na wojnę z Turkami. Godne uwagi są motywa, któremi autorowie usprawiedliwiają swój projekt przed Rosyą. Jeżeli konfederacja stanie w Warszawie, jak Król tego życzy, gabinet petersburski natrafi na przeszkody ze strony innych Dworów, a nadto narazi się na tę wielką niedogodność, że Król polski skupiwszy w rękę swoim wszystkie środki, nie o interesach Rosyi będzie myślał, ale o własnych, i Imperatorowa będzie musiała mieć wzgląd na jego żądania; tego zaś obawiać się nie należy od ludzi prywatnych, których całe znaczenie będzie w poparciu Rosyi. Wykonanie projektu zdaje się

autorom nader łatwe i zawisłe tylko od woli Imperatorowej i od funduszu, jaki na zaciągi wojskowe w Rzpltej przeznaczyć raczy. Jako pomocników domniemanych w swoim dziele autorowie wskazują tych wszystkich, z którymi łączą ich pokrewne opinie, a mianowicie hetmana Rzewuskiego, Sapiehów, Walewskich itp.

Takim jest w streszczeniu ów plan, pozbawiony równie wszelkiego zmysłu politycznego, jak godności narodowej i któryby można nazwać haniebnem dziełem zdrady, gdyby autorowie zdawali sobie jasno sprawę z jego następstw prawdopodobnych. Byle Króla poniżyć i władzę naczelną w swe ręce pochwycić, twórcy planu nie wahają się odsłonić przed obcym najślabszych stron narodu, oddać siebie i kraj pod jarzmo rosyjskie jeszcze cięższe niż to, pod którym dotąd zostawał!... Byliż to ludzie Rosyi na ślepo oddani, dla niej z uczucia, z przekonania pracujący, o Polskę nie dbający wcale? Takie zdania nieraz się słyszało. Nam się to jednak nie zdaje; my, bądź co bądź, sądzimy, że oni nie przestali być w duszy Polakami ani wówczas ani później; i za nic w świecie nie wyrzekliby się polskości. Pycha i anarchiczne nawyknięcia pozbawiły ich rozsądku, przezorności i wstydu; niczem była dla nich ta Polska, w której oni pierwszej roli nie wiedli, w której owszem *swojemu* musieli ulegać. Coby się stało, gdyby projekt ich wydał się Rosyi dogodnym podówczas? Prawdopodobnie to, co się stało w pięć lat później: interwencya obcych i rozbiór kraju. Na szczęście plan ten znalazł surowego sędziego w samej Katarzynie, która twórcom onego dała naukę nietylko roztropności, ale polskiego patriotyzmu. „Tworzyć konfederacye na prowincyi (pisze ona w uwagach swoich nad rzeczonym planem, prawdopodobnie dla Potemkina przeznaczonych) niebezpiecznie. Tego w sekrecie zrobić nie można; zresztą miałyby to pozór buntu przeciw Królowi, i takie działania mogłoby najprędzej dać powód Królowi pruskiemu do utworzenia swojej konfederacyi lub do poparcia innej, jaka się utworzy. (Tu następuje uwaga pełna przezorności). Podobne wewnętrzne bunty bodajby nas tylko więcej nie zajęły, niż nam się zdaje i nie zmusiły nas przedwcześnie zwrócić większej części sił naszych na uspokojenie Polski i na zabezpieczenie granic naszych z tej strony, z której dziś i bez tego niczego się

nie obawiamy!“ Widoczna jest, że pisząc te słowa, Katarzyna nie ulegała jeszcze wpływowi rozdrażnienia i zemsty, które później się w niej rozbudziły, nie wątpiła o życzliwości Stanisława Augusta, którego przeto tak rozsądek jak sama przyzwoitość kazały jej oszczędzać. „Nie można przypuszczać, mówi ona, żeby Król zapomniał tak dalece o wdzięczności i o własnem bezpieczeństwie, ażeby skłonił się do widoków przeciwnych Rosyi,“ i dlatego dodaje: „przy każdym przystąpieniu do konfederacyi potrzeba mocno zawarować to wszystko, co się tyczy zachowania wierności panującemu dziś Stanisławowi Augustowi.“ Ale odrzucając pomysły polskich malkontentów, Katarzyna skorzystała z ich przestrogi, że Król mógłby znowu użyć pomocy sobie udzielonej, jak to w pierwszych latach swego panowania był uczynił na wzmocnienie rządu polskiego, i dlatego zastrzega ona, że „czynności sejmu konfederacyjnego trzeba będzie ograniczyć do jednego tylko zawarcia sojuszu. Trzeba odłożyć wszystkie osobiste zamiary Króla i jego ministrów, albowiem, prawdę mówiąc, nie masz dla Rosyi korzyści ani potrzeby, aby Polska stała się czynniejszą ¹⁾.“ Nadto, mogła z tego projektu Katarzyna i o tem raz jeszcze się przekonać, że w Polsce znajdzie zawsze, kiedy zechce, gotowe narzędzia, aby Rzpltą zawichrzyć, w niej jednych na drugich poburzyć, rząd wywrócić i swoją wolę ostatecznie przeprowadzić.

W początkach lutego (1788), jak wiadomo, Cesarz Józef wydał wojnę Turcyi; wojsko austriackie rozłożyło się na ziemi polskiej, między Kamieńcem a Chocimem. Przyczyniło się to do zaniepokojenia umysłów. Prócz spustoszenia włości polskich, którego się obawiano w razie oblężenia Chocimia i które też dotkliwie dało się później uczuć, mówiono że Cesarz chce zabrać Podole, i duchy pruskie utwierdzały to mniemanie. Lecz z drugiej strony nie brakowało na bardziej uzasadnionych obawach. Powszechnie z trwogą spoglądano na ścianę pruską i przypuszczano że gabinet berliński skorzysta z zajęcia Dworów cesarskich, aby dokonać swych zaborczych na

¹⁾ Projekt konfederacyi Branickiego i Szczęsnego Potockiego, oraz uwagi Katarzyny ogłoszone w *Ostatnich latach panowania Stanisława Augusta*; II, 100—110.

Polskę zamiarów. Dochodziły wieści, że partyzanci pruscy, Skórczewski z Parczewa, dawny konfederat barski, Bniński sędzia poznański i inni, sprowadzają ukradkiem broń z zagranicy i skupują konie, co oczywiście brane było za przygotowanie do konfederacyi. Wyszły rozkazy z Departamentu wojkowego do komendanta dywizyi wielkopolskiej, jen. Malczewskiego, aby jak najpilniej śledził wszystkich poruszeń wspomnianych obywateli. W Wilnie rozrzucono odezwy, bez daty i podpisu, zapowiadające że 100,000 Prusaków wkroczy niebawem do Polski i że utworzona pod ich osłoną konfederacya wyda wojnę Moskwie. Uważano nie bez zdziwienia, że Ks. Karol Radziwiłł, który także za partyzanta pruskiego uchodził, znacznie swój dwór powiększa i jeszcze więcej niż zwyczajnie szlachty u siebie przyjmuje. A że ten pan, pomimo ogromnego majątku, miał długów bez końca i w ciągłej był potrzebie pieniędzy, przeto wydzierżawił wszystkie swoje lasy kompanii rosyjskiej na lat sześć i wziął od niej zaliczki 80 tysięcy dukatów.¹⁾ Widziano w tem znak, że Księżę chce wystąpić znowu na scenę polityczną i z pomocą pruską pomścić teraz na Moskwie hańbę konfederacyi radomskiej. Wymieniano podobnież hetm. Ogińskiego jako naczelnika konfederacyi, z poddmuchu pruskiego zawiązać się mającej. W początkach marca rozeszła się wiadomość, że pułki pruskie nad granicą polską stojące otrzymały rozkazy gotowości do marszu; że zwożono nowe orły graniczne, że w Kwidzynie urzędnicy tameczną regencyą składający, głośno zapowiadali powtórny zabór pruski, skutkiem którego granica wyciągnięta w prostej linii, od Działdowa w Prusiech Zachodnich do Wartenbergu na Szląsku, odciąć miała od Polski więcej niż trzy województwa. Było w tych pogłoskach wiele wymysłów, lub wiele przesady; jednak gdy się tak upornie powtarzały, wierzono że coś w nich musi być prawdy. Ks. Czetwertyński pokazywał nieco później księciu de Ligne list oryginalny Hertzberga do jednego z polskich panów pisany, do którego dołączone były projekta dwóch odezw: jednej, do króla Fryderyka Wilhelma z prośbą od narodu polskiego, aby jak Holandya wyratował, tak i Rzpltą z jarzma rosyjskiego oswobodził; drugiej do ministerium berlińskiego,

¹⁾ *Gazette de Leyde* (N. 22) 14 marca 1788.

aby to żądanie u króla poparło.¹⁾ Jeszcze groźniejsze a niewątpliwie już pewne wiadomości przychodziły z Gdańska. Skutkiem zdzierstw rządu pruskiego, który na płody polskie nałożył ogromne cło przewozowe (12⁰/₀), handel tego miasta upadł zupełnie; mieszkańcy zubożeli i do rozpacz przywieźdzeni nie taili się z tem, że wolą zostać pruską prowincją niż pod polską opieką używać niepodległości, umierając z głodu. Konsul pruski Lindenowski zachęcał ich potajemnie, aby się oddali jego Panu; magistrat tylko dochowywał wierności dla króla polskiego. Trwały czas dłuższy zatargi, a nie tylko Warszawę one niepokoiły ale i w Wiedniu i w Petersburgu stały się przedmiotem rozmów i korespondencji dyplomatycznej. W tym samym czasie, kompania pruska wyrobiła sobie w Wiedniu, u ces. Józefa, przywilej na wyłączną dostawę soli wielkiej dla Polski, skutkiem czego cena tej soli, pod koniec marca, o czwartą część, a następnie jeszcze wyżej się podniosła²⁾. Wywołało to powszechne w całym kraju skargi; obwiniano najniesłuszniej polskiego rezydenta w Wiedniu, Corticellego, że umyślnie dał się ubiedz Prusakom, że przekupiony zaniedbał dobrowolnie tę tak ważną dla Rzpltej sprawę. Ledwo go Król obronił od urzędowej w Radzie nagany i od destytucyi. Niemniej jednak ta koncesya cesarska dla Prusa-

¹⁾ *Cobentzel do X. Kaunitza*, 19 września 1788. W archiwum berlińskim nie znaleźliśmy śladu tych odezw; być może że nie istniały, być też może że się nie dochowały. Wszakże i to dodać musimy, że pomimo całej swobody, z jaką w temże Archiwum dozwolono nam korzystać z korespondencji dyplomatycznej, do korespondencji rządu pruskiego z poddanymi Rzpltej nie mieliśmy przystępu.

²⁾ Cetnar soli sprzedawano w Warszawie na początku marca 1788 po złp. 39; od d. 21 marca po złp. 48 a od d. 15 maja po złp. 56. To zdrożenie było tem dotkliwsze, że z Wołoch, gdzie sól kamienna w obfitości się znajdowała przez wojnę została wstrzymana, a w Krymie gdzie produkowano morską, mokre lato przeszkadzało. O przywożeniu zaś z Gdańska niepodobna było myśleć, skoro Wisła w ręku pruskiem się znajdowała. Pojąć łatwo, jak ten niedostatek musiał być dotkliwym w kraju, którego znaczna część obywateli, do niedawna, sól na swą potrzebę pobierała za darmo a raczej za koszta dobycia.

ków sprawiła przykre na Stanisławie Augustcie jak na całym narodzie wrażenie. Słaby wszystkiego się lęka; nic więc dziwnego że ujrzano w niej oznakę złowróżbnego zbliżenia się między Austryą i Prusami. „Ani chybi, mówiono, Cesarz przyzwolił już na nowy zabór Króla pruskiego w Polsce i tem sobie okupił bezpieczeństwo w Czechach i Morawie i przyszłe zdobycze na Turkach.“ — Lecz i z Ukrainy niepomyślnie raz po raz przychodziły wiadomości. Wprawdzie porówno jak Podole, Kijów i Bracław, dał się i Wołyń w końcu nakłonić do wysadzenia komisji prowianckiej, która w imieniu obywatelstwa znosiła się z dowódcami rosyjskimi; ale komisye te nie mogły zasłonić prowincyj ukraińnych od częstych i różnych dolegliwości. Fałszywe ruble w wielkiej ilości wpływały do kraju; zabierano gwałtem podwody w czasach roboczych, przymuszano chłopów polskich do rozmaitych posług wojennych; przyszło nawet do tego, że na ziemi polskiej komendanci rosyjscy werbowali lub wybierali przemocą rekruta. Przynajmniej, przeciw tym nieprawym zaciągom, z polecenia Rady Nieustającej, stawiał się dzielnie Szczęśny Potocki i oficera polskiego, który werbującym zastąpił drogę i zwerbowanych rozpuścił, sownie nagroził. Nie przeszkodziło to jednak, że nieco później, Moskwa w Berdyczowie założyła stacyą rekrutniczą, gdzie młodzież polską ubierano w rosyjskie mundury, musztrowano i stamtąd odsyłano do obozu rosyjskiego w Mohylowie. Jeden z takich oddziałów z 200 ludzi złożony kawalerya narodowa przytrzymała w maju (1788) i do polskiej odstawiła komendy.¹⁾ Król skarżył się przed Stackelbergiem, pisywał listy do Rumańcowa; Potocki domagał się od Potemkina surowych rozkazów dla zapobieżenia samowoli. Ale przedstawienia te nie wiele pomagały, skoro dla ich poparcia nie było siły; bezbronnym i między sobą rozdwojonym, sąsiedzi mocniejsi bezkarnie mogli uciskać.

Drażniło to umysły i zniechęcało do Króla; jemu, jak zwykle, przypisywano wszystko złe, jakie kraj cierpi, w mniemaniu że związany przyjaźnią z Moskalami, patrzy przez szpary

¹⁾ *Depesza* Buchholtza 23 kwietnia. *Gazetka pisana* 17 marca i 10 maja. *List króla do Potockiego* 4 kwietnia, w *Roczniku Towarzystwa historycznego*. III, 274.

na ich swawolę. W kwietniu, gdy do Rady Nieustającej nad-
szedł raport komisji prowianckiej z Bracławia o ciężkich po-
krzywdzeniach obywatelstwa od pułku Daszkowa, zabrało głos
kilku członków przemawiając ze wzruszeniem aż do łez, w ja-
kiem poniżeniu, bezsilności i bezrządzie znajduje się Rzplta
i cierpieć musi gwałty podobne. Niemniej jednak zdecydowano
załatwić tę sprawę przyjaźnie z wodzami rosyjskimi, bo nie
było innego sposobu. Odezwał się wtedy jeden z członków
radnych, Szymon Kossakowski, przypominając że on temu trzy
miesiące proponował zwołanie sejmu nadwyczajnego konfede-
rackiego ale go nie usłuchano, a dziś każdy to przyzna, że
gdyby rada jego była przyjęta, naród więcej by miał do tego
czasu siły i powagi i musiano go szanować. — Trudne było
położenie Króla; nie mogąc wyjawiać tajemnicy rozpoczętych
z Rosyą układów, ani bezskutecznych swych starań o możliwość
utworzenia takiejże, jak proponowano, konfederacji, musiał
kończyć żale ogólnemi zapewnieniami; przypominał tylko, „co się
już nieraz zdarzyło, że o co go na Radzie proszono, to on dużo
pierwej był uczynił, choć mu tego głosić nie było podobnem; a że
owoców z jego działania nie widać, to nie od niego zależy.“ — Po-
nawiały się częściej podobne wyrzuty i przypominania. Mocne
wrażenie zrobił w Warszawie i na prowincyi młody Jan Potocki,
który przybywszy świeżo z zagranicy pierwszy ostrzygł krótko
włosy, przebrał się po polsku i przedstawivszy się w tym stroju
królowi, oddał mu memoriał o obronie kraju od napaści pruskiej
i zaraz go w kopii po stolicy rozpuścił. Nadjechał Suchorzewski
wojski poznański i w swoim i kilku Wielkopolan imieniu, o-
fiarował Rzpltej, w zwyż podatków, 10 tysięcy złp. rocznie na
utrzymanie trzydziestu żołnierzy; zaczęli i Jan Potocki odda-
wał piątą część swego dochodu na pomnożenie wojska. „Takie
projekta, odpowiedział Król, wtedy dopiero będą pożyteczne,
gdy od wielu będą naśladowane“. Ale nie znalazły naśladow-
ców; tem więcej za to znalazło się takich, co wielbiąc patryo-
tyzm tych dwóch obywateli, brało ztąd pochop do wyrzeka-
nia na obojętność i nieczynność rządu polskiego. „Już nietylko
po kraju (pisze Król do Debolego) latają pisma zapalające do
zrobienia *hic et nunc* konfederacji, ale już do mnie samego
takie paszkwile dochodzą z poczty, mnie o gnusność obwinia-
jące w najprzykrzejszy sposób. Już tak daleko zachodzą, że

jak mi powiadał Jan Potocki, złośliwi głoszą, jakoby mi ja kontentował się tem, żeby mnie absolutnym księciem mazowieckim zrobiono, a resztę kraju żeby rozebrali. Pojmujesz W. Pan jak nieznośne są dla mnie tak bezecne kalumnie, a których pozór na tem się funduje, że ja uciszam, ile mogę, te zapawy patryotyczne i odkładam onych skutek do sejmu. Już ci ja w gruncie tak czynić muszę przez miłość tejże ojczyzny, kiedy nam Moskwa swojej nie chce dać prędzej podpory, ale że tego głosić nie mogę, podpadam niewinnie czernidłom ¹⁾“.

W jednej ze swych rozmów z Debolim, z którym co środa miał był zwyczaj konferować, Osterman zapytał: „Cóż Polska z siebie robi dla własnej obrony? My was pewno nie opuścimy, ale trzeba żebyście się wy sami bronili ²⁾“. Dziwne to były słowa w ustach ministra tego właśnie państwa, od zezwolenia którego każda czynność polskiego rządu była zawisła, i które szczególnie dbało o to, aby ów rząd był jak najmniej czynnym! Słowa Ostermana utkwily w pamięci Stanisława Augusta i w pierwszej rozmowie ze Stackelbergiem o pruskich zamachach pragnął okazać się gotowym do śmielszych postanowień. „Jeżeli te aparence (rzeczy), któremi nas codziennie straszą to pod imieniem kordonu antypowietrznego, to pod innemi pozorami, zbliżać się będą do prawdy, to wcześniej wam zapowiadam, że do ostatnich rezolucyj brać się będziemy musieli, choćby nakoniec z największym hazardem. W r. 1772, było was trzech na zgubę naszą złączonych i większa połowa narodu mego własnego przeciwko mnie oręż niosła a druga połowa chwiała się w niepewności i irrezolucyi, zaczem nie miałem wcale czego się jąć, i taka była moja sytuacja, jaka jest chorego, który musi sobie dać urznąć nogę i rękę, aby resztę ciała i życia salwować. Gdyby zaś król pruski jeszcze i na tę resztę miał następować gwałtownie, jużby też lepiej mężnie hazardować i ostatek życia, niżeli poddawać się samochcąc niesprawiedliwym uzurpacyom; ile gdy przecie więcej znalazłbym tą razą rodaków moich do sakryfikowania się ochoczych dla obrony ojczyzny niż wtedy“.

Stackelberg zagadnięty tak niespodzianie, odpowiedział ogólnikowo; lecz nazajutrz zapytał

¹⁾ Depesza z dnia 7 maja 1788.

²⁾ *Raport* Debolego, 24 marca.

jenerała Komarzewskiego, przez którego znosił się z Królem, czy Stanisław nie zamyśla o samodzielnej konfederacji? „Dodać nie, o ile wiem, odrzekł tenże, lecz gdyby król pruski chciał nas ukrzywdzić, to niezawodnie przyjdzie do tego.“ „W podobnym wypadku, dodał ambasador, nicbyśmy przeciw temu mieć nie mogli ¹⁾. — W tym samym duchu, jak się wyraził do Stackelberga, Stanisław August przemówił także i w Radzie Nieustającej, gdzie w gorących słowach przedstawiwszy niebezpieczeństwo grożące od mocnych sąsiadów, oświadczył, że w potrzebie stanie na czele narodu i nie dopuści nowego zaboru. Członkowie Rady byli obowiązani pod przysięgą do zachowania w tajemnicy tego, co się na Radzie mówiło, ale tajemnica nigdy nie była strzeżoną i każda ważniejsza sprawa w tej najwyższej magistraturze krajowej rozbierana, dochodziła zaraz obcych ministrów. Być może, że na to liczył Stanisław i nie omylił się w swej rachubie, gdyż Buchholtz doniósł natychmiast o tej mowie swojemu rządowi ²⁾. Rozdrażniła ona Fryderyka Wilhelma, ale przecież posłużyła ku dobremu. „Nie rozumiem (pisze on do swego gabinetu), co za mucha ukąsiła Króla polskiego, że wypalił tak niedorzeczną przemowę; trzeba przyzwać Zabłockiego (rezydenta polskiego w Berlinie), wymówić mu te pogłoski, jeśli od niego wychodzą i uspokoić tych ludzi.“ Zabłocki, człowiek prawy, do króla swego szczerze przywiązany, ale jak wszyscy podówczas polscy agenci bardzo potulny, tłumaczył się, że o niczem podobnem do Warszawy nie donosił i dawał do zrozumienia, że to raczej pochodzi od Rumiancowa, rosyjskiego ministra. Niemniej jednak Finkenstein i Herzberg (którzy gabinet berliński składali), dali mu stanowcze w imieniu pana swojego zaręczenie, że wszystkie zamiary dla Polski nieprzyjazne, ich królowi przypisywane, są najzupełniej bezzasadne, że on trwa i trwać będzie w najżyyczliwszych dla Rzpltej uczuciach i dochowa wiernie traktatów oba państwa wiążących. To oświadczenie powtórzone zostało w *Gazecie Nadwornej Berlińskiej* (29 kwietnia) i choć nie za-

¹⁾ *Depesza króla* 19 kwietnia 1788.

²⁾ *Depesza Buchholtza*, 19 kwietnia 1788.

łatwiło gdańskich zatargów, do czasu jednak usunęło a przynajmniej umniejszyło obawy Polaków od pruskiej strony ¹⁾.

Tak więc jedyny drobny rezultat, jaki w tych czasach otrzymano dla ubezpieczenia choćby chwilowego Rzpltej, zawdzięczyć należy insynuacyi ministra rosyjskiego, która skłoniła Stanisława Augusta do śmielszego stawienia się. Nasuwa się pytanie, czy Król był w możności własnymi siłami to wykonać, z czem się na Prusy odgrażał, czy mógł, nie czekając na przyzwolenie Rosyi, choćby tylko jąc się środków, któreby rząd uczyniły sprężystym, państwu dodały siły i powagi, to jest czy wbrew woli gabinetu petersburskiego, mógł był zwołać sejm konfederacki, od którego przymnożenie dochodów i powiększenie armii jedynie zawisło? Byłoby to w każdym razie przedsięwzięcie co najmniej bardzo ryzykowne, wymagające niezwyklej determinacyi i energii, stawienie wszystkiego odrazu na kartę bez żadnej pewności wygrania. Wiadomo, że to nie leżało w charakterze Stanisława Augusta. Hazardów, gwałtownych ruchów on nie lubił; czynnym był i zabiegliwym to prawda, ale nigdy na przebój, nigdy stanowczo, raczej zręcznie i ostrożnie. Z nawyknięcia, z poczucia własnej słabości, tak dobrze osobistej, jak politycznej na kimś silniejszym koniecznie oprzeć się potrzebował, a dobrze przytem pamiętał, jakie klęski spadły na Rzpltę, gdy raz jeden zerwał był z Rosyą: gwarancya i rozbiór! Trudno więc było czegoś podobnego po Stanisławie Auguście spodziewać się; wszakżeż i człowiek silniejszego, śmielszego charakteru, jego przeszłością mniej związany, przeciwnościami mniej ostrzeżony, nie wieleby na jego miejscu wstępnym bojem był poradził. Przeszkody były zbyt wielkie zewnątrz, jeszcze większe wewnątrz kraju. Jużśmy wspomnieli, że w Rzpltej zagasł duch rycerski. „Dwa są u nas narody (powiada Kitowicz): jednym jest szlachta drobna, mieszczenie i chłopki, ciby szli na wojnę ochotnie i bili by się dobrze, gdyby mieli dobrych wodzów (a zkąd ich wziąć, kiedy nawet miernych oficerów nie stawało)? Drugim narodem są panowie wielcy i majątna szlachta: ci wychowani po delikacku, pieszczeni w podrózach zagranicą, tylko do tańców i podobania się fartuszkom wykrzesani, najmniejszego niebezpieczeństwa lę-

¹⁾ *Gazette de Leyde* (N. 47) 10 jeun 1788, *Supplément*.

kają się bardziej niż ognia piekielnego, a że tacy zajmują wszystkie urzędy najwyższe i oni składają obrady państwa, jakże mają się odważyć na azard wojenny; prawdziwie piecuchy, niewieściuchy, jednym słowem terażniejsze filozofy! Oni naprzód radzą z kobietami po gotowniach; tak te panie miłościwe opanowały animusze Polaków, że można bez zawodu powiedzieć, że ich głowami kierują. Wychowanie tedy zniewieściące Polaków i krew cudzoziemskich włóczęgów, która w nich płynie, tudzież zbytnia dla białej płci powolność przyczyną jest, że Polacy terażniejsi wcale się do szabli nie porywają, idąc za swojemi mistrzyniami, te tylko środki podającemi do wzmocnienia kraju, które są łagodne i od wojny najodleglejsze ¹⁾“. Tak mówi świadek społeczny, a wszystko co zkądinąd wiemy, aż nadto potwierdza to jego smutne świadectwo. Założona przed dwudziestu kilkoma laty Szkoła Rycerska w Warszawie, nie mogła jeszcze lepszego ducha rozprzestrzenić w kraju; i w niej wreszcie zbyt miękki przeważał kierunek, jej uczniowie zbyt łatwy miewali przystęp do zabaw, któremi wówczas błyszczała Warszawa. Wspominają niektórzy, że dla przypomnienia narodowi dawnej chwały wojennej, Król wystawił pomnik Janowi III w Łazienkach i na uroczystość jego odkrycia, mało co przed sejmem 1788, wyprawił karuzel wojskowy; okazał się to być i kosztowny spektakl, ale też więcej nie pomógł niż zwykłe teatralne widowisko. Tylko wojna ducha żołnierskiego mogła rozbudzić w narodzie, i pod tym względem nie mylił się Stanisław August.

Ale było jeszcze coś gorszego od niewojowniczości w narodzie, choroba jeszcze groźniejsza a mało dostrzegana, brak zmysłu posłuszeństwa i co za tem idzie, brak siły, jedności, spólnego kierunku. Od trzech wieków w Polsce król pozbawiony był tych wszystkich środków, bez których rząd nie może odpowiedzieć swemu zadaniu; on który z natury rzeczy, jest głównym obrońcą państwa i stróżem praw, nikogo przymusić, nikogo ukarać nie mógł; był raczej powagą niż władzą. Jedyny środek rządzenia, jaki miał w swem ręku, rozdawnictwo królewsczyzn i urzędów, nie zawsze się na dobro państwa obracał i nie był zdolny zapewnić uległości poddanych, skoro

¹⁾ *Pamiętniki*. Poznań 1840, I. 208 — 214.

król udzielonej łaski nie mógł odebrać napowrót. Chciano, jak to mówiono powszechnie, odjąć królowi wszelką moc szkodzenia; lecz zapomniano przytem, że żadne społeczeństwo przez same nagrody ubezpieczyć się nie da, że potrzebuje postrachu i kary. Ów miecz sprawiedliwości, który przy koronacyi oddawano mu do rąk, miecz, który wedle wyrażenia Pisma ma być postrachem na złych, polskie instytucye stępiły zupełnie. Jak rzetelność musi zniknąć tam, gdzie niema przymusu do płacenia długów, tak posłuszeństwo stało się niepodobnem w społeczności, która nie znała kary na opornych i zuchwałych. Chorzała więc Rzplta bezkarnością i niewykonywaniem praw, a już to jedno musiało ją rozstroić. Że się dużo wcześniej nie rozpadła, przypisać trzeba głębokiemu przeświadczeniu o powinności służenia krajowi, które przez długi czas znaczną część szlachty ożywiało, a zarazem owym ludziom wyższym z charakteru, z rozumu i ofiarności, owym naturom prawdziwie heroicznym, któremi Bóg jeszcze i w XVII wieku obdarzał Rzpltą. Ich przykład podnosił i zagrzewał wielu, ich dzielność i ofiarność naprawiała instytucye, ich wysilenia zastępowały bezczynność i obojętność większości. Ale z czasem coraz mniej bywało takich ludzi wyjątkowych; w wieku XVIII zabrakło ich całkiem. Powszechnie w tym wieku zapanowała mierność i chciwość, a choć jeszcze niekiedy zajaśniały wyższe rozумы lub silniejsze charaktery, kaziła je pycha i wyłączność rodowa.— Jak wszędzie, tak i u nas, elekcyjność królów rozbijała naczelną władzę państwa, a zanadto uwielmożniała magnackie rodziny i co gorsza, oddzielała je od króla, którego najpierwszymi, naturalnemi winny być podporami. W monarchiach prawdziwych patryotyzm łączy się z przywiązaniem do dynastyi, jedno uczucie krzepi się i zasila drugim i oba zapewniają państwu spokój i trwałość, bezpieczeństwo i siłę obronną. W królestwach elekcyjnych jest to albo bardzo trudne albo zgoła niepodobne. Tu miejsce przywiązania zastępuje nieufność, miejsce spokoju troska, że król dąży do dziedziczości i *absolutum dominium*, miejsce związania interesów i siły zastępuje rozdział między interesami państwa i korony i obustronna niemoc. Jak ten rozdział jest szkodliwy, jak naród rozprasza, oducza od posłuszeństwa, demoralizuje, o tem mieliśmy sposobność przekonać się w czasie wojen szwedzkich, za Wazów

i za Augusta II. Skutkiem tej fatalności systemu elekcyjnego tworzy się potrzeba ciągłego kontrolowania króla w kraju i za granicą. Przemieniają się role: ten, co miał słuchać, jest stróżem i sędzią; ten, co miał panować, żebrze pomocy, tłómaczy się, usprawiedliwia. Rodzą się instytucje potworne: niby pośredniczące *inter majestatem et libertatem*, a właściwie gniotące i jedno i drugie, nibyto rękojmia dla narodu, a właściwie rozpołowienie jego sił, rząd obok rządu i zguba; poza krajem zaś wyrastają związki prywatnych z ościennymi Dworami, które prowadzą do podobnejże anarchii w polityce zagranicznej. Każda rodzina znaczniejsza mogła z dobrem sumieniem, na swoją rękę i nie oglądając się na naczelną lecz przemijającą władzę, układać się z sąsiednimi gabinetami, zawierać z nimi sojusze, pakta wzajemnej pomocy itp.; mogła, skoro do niej należało czuwanie nad interesami krajowemi, obmyślanie następcy dla korony. Nie było to z ich strony, jak to dziś zbyt często i zbyt ogólnie mówią, przedawaniem się obcemu, zapominaniem o ojczyźnie, albo też zdradą; logika faktów, następstwa systemu wiodły koniecznie do tego zamętu. Większość tych rodzin nie myślała wcale służyć obcemu; owszem one nim posługiwać się chciały, wprawdzie naprzód dla dźwigania siebie, lecz i dla dźwigania ojczyzny. Nie mówimy tu oczywiście o wszystkich, ale przyznać się godzi, że niejednej z tych rodzin dążenia były szlachetne, gorącym ożywione patriotyzmem, nieraz głęboko obmyślane, do pewnego stopnia przezorne. Nic dziwnego, że szlachcic uboższy, który żył w jednym tylko obozie, przy jednym tylko pańskim dworze, uderzony taką rozległością planów i nadziei, oraz nagromadzonych środków, jakie widział u swego pana, wiązał się z nim na całe życie, służył mu z zapalem, od niego wyglądał zbawienia kraju; lecz za to tych wszystkich, co przy innym ognisku pracowali, podejrzewał, nienawidził, w nich upatrywał wrogów ojczyzny i własnych. Bywały, i skutkiem tego systemu musiały być domy, które jak zagraniczną tak i wewnętrzną politykę miały swoją, wyłączną, całkiem odrębną od królewskiej; były to jakby osobne państewka dziedziczne, w których daleko większa panowała karność niżeli w Rzpltej, gdzie jej wcale nie było. Bo króla można było z zupełnem bezpieczeństwem nie usłuchać, ale biada szlachci-

cowi, który się panu naraził, niełatwo mu przychodziło ująć jego zemsty. Za to każdy, co swemu panu wiernie służył i za niego odważnie się zastawiał, zyskiwał dla siebie i dla swych dzieci opiekę i w złym wypadku pomoc rażną i skuteczną. Przywiązanie podwładnego do swego zwierzchnika jest uczuciem wrodzonym, zdrowem i dobrego stosunku między nimi dowodzi. Jestto potrzeba serc ludzkich, kiedy serca te obustronnie nie są skażone; pod rządem monarchicznym znajduje ona swe zaspokojenie w uczuciach dla dynastyi: w Polsce znajdowała je w przywiązaniu do wielkich rodzin, im też dawała siły i znaczenia. Każdy pan, który tego chciał, mógł liczyć w swoim województwie lub powiecie na daleko większą sąsiadów życzliwość i uległość, niż król w całym państwie; był, a przynajmniej mógł być prawdziwą potęgą. Za czasów Anny i Elżbiety mawiali niektórzy panowie rosyjscy, że nie było piękniejszego w świecie stanowiska, jak być polskim magnatem. Gdyby te domy chciały się trzymać za ręce, jak to widziano w XV wieku, zwłaszcza w rodach małopolskich, nie byłoby trudności, którychby nie zwyciężyły, i żaden sąsiad nie śmiałyby targnąć się na całość Rzpltej! One i króla byłyby zmusiły, aby siedł razem z nimi, jak to właśnie bywało za pierwszych Jagiellonów; one w królu i w sobie byłyby skupiły wszystkie siły narodowe. Na nieszczęście korona elekcyjna i od króla je odstrychnęła i zwaśniła między sobą, zaszczerpiła w nich zawiść dziedziczną, tradycyjne nienawiści, które koniecznie i ich otoczeniu udzielić się musiały ¹⁾. Przy takim rozstrzeleniu i potędze prowincjonalnych ognisk, jedność państwa stawała się coraz trudniejszą, jedność działania politycznego zgoła niemożliwą. Opowiadając te czasy, należałoby

¹⁾ Wypadałoby tu odpowiedzieć na pytanie, które niezawodnie nasuwa się czytelnikowi, dlaczego w wieku XV, o którym nadmieniamy, elekcyja królów nie wydała takich następstw fatalnych, jak w XVII i XVIII stuleciu? Przedmiot to zbyt obszerny; musimy go odłożyć do późniejszej Czteroletniego Sejmu chwili, w której dyskusya nad dziedzicznością tronu była, że tak powiemy, na porządku dziennym. Tu dość powiedzieć, że w wieku XV nie było jeszcze owych *paktów Henrykowych*, owej istotnej w czasach wyborczych konstytucyi naszego państwa.

raczej historią rodzin pisać niż historią kraju; bo tamte, przynajmniej niektóre z nich, miały swoją myśl przewodnią, swoje skoncentrowane działanie; tu zaś żadnego ciągu być nie mogło, bo albo go przerywała śmierć królewska, albo i przed śmiercią łamały przeszkody. Coś dodatniego w sferze politycznej przeprowadzić w kraju stało się niepodobieństwem — wszystkie wysilenia pojedynczych obozów, a były nieraz zdumiewające, kończyły się na tem, by się nawzajem neutralizować; zupełna bezwładność, bezsilność, martwość Rzpltej stały się ostatecznym rezultatem tych mozolnych, kosztownych a nawet patryotycznych zachodów. W takowem położeniu obcy, który przychodził z siłą gotową, chociażby niezbyt znaczną, mogąc zawsze liczyć na poparcie jednej części narodu przeciw drugiej, przeważał równowagę w Rzpltej, decydował o jej losie; lecz prostem następstwem tej interwencji było, że rząd pod opieką obcego mocarstwa złożony, jego też wolę wykonywać musiał. Powiada historyk święty, że po śmierci każdego sędziego „Izrael przydawał złe w obliczu Pana i wydawał go Pan w ręce nieprzyjaciół.“ Tak i my przy każdej elekcji przydawaliśmy wewnętrzne rozdarcia i po każdej dostawialiśmy się coraz więcej pod zewnętrzną przemoc.

Ze wszystkich królów elekcyjnych, Stanisław August najtrudniejsze miał zadanie. Siłą obcych na tron wprowadzony, na chętne posłuszeństwo albo na przywiązanie do swej osoby mniej niż ktokolwiek mógł liczyć; pilnem też było jego staraniem aby stworzyć sobie w kraju rodzimą podporę. Zarzucono mu w swoim czasie, że dążył do uszczuplenia zbytniej potęgi dawnych rodów wogóle mu nieprzyjaznych, do wytworzenia po województwach nowych ognisk jemu oddanych. W pierwszym dążeniu dopomogły mu wypadki, zwłaszcza Konfederacya barska, która wiele majątków w bezpłodnych zrujnowała ofiarach; drugiemu poświęcał się rzeczywiście, przez całe życie. Wiadomo z jaką uciążliwością starał się on czynić zadość wszystkim prośbom do niego zanoszonym, jak wchodził w każde żądanie, jak skwapliwie pragnął zniewalać sobie ludzi to datkiem, to urzędem, to wstęgą, to wreszcie zachodem swoim albo słowem uprzejmem. Bez zawodu, powiedzieć można, że ze wszystkich królów polskich był on najbardziej w ofiarach wylany, jeżeli nie dla kraju to dla swych poddanych, *najustu-*

źniejszy z monarchów ¹⁾. Czy tą uczynnością swoją, w której najczęściej miary należnej przebierał, dopomógł krajowi? Nie, bo jakto trafnie powiedziano, królowie polscy byli zmuszeni rozdawać urzędy krajowe nie według uzdolnienia kandydatów, ale według ich opinij politycznych ²⁾; bo chęć błyszczenia i używania bez pracy, oddawna w Polakach zakorzeniona, znalazła w zbytnej łaskawości królewskiej nową, szkodliwą podniechęć; bo dla wszystkich stało się widoczne, że aby od króla łaskę otrzymać, nie trzeba było czemś się krajowi przysłużyć albo nawet okazać zdadności do tego, wystarczało — być natrętnym. Czy przynajmniej Król siebie tą uczynnością ubezpieczył i wzmocnił? Nie sądzimy, bo choć zjednał sobie znaczną liczbę obywatelstwa; ale to zjednanie warunkowe było, poparcia trwałego nie dawało. Na chciwości, często na próżności oparte, w nich też znajdowało swą granicę i chwiało się natychmiast, skoro zachodziła obawa że wystawiając się za króla można się zrobić niepopularnym i więcej stracić niż on dał albo dać może. Cóż zbudować na tak miękkim gruncie i z tak kruchym materiałem? Jaki plan podjąć i własnymi siłami przeprowadzić? Dopóki w kraju nic się nie działo, dopóty można było utrzymać spokój, choć nie bez mokołu, bo i wtedy potrzebna była od czasu do czasu interwencja ambasadora rosyjskiego. Za to każda akcja samodzielna ze strony Króla stawiała się wyzwaniem do boju wszystkich stronnictw przeciwnych. Dość było Rosyi naówczas przerzucić swą opiekę, którą rząd zasłaniała, do obozu jego nieprzyjaciół domowych, aby króla bezmała całkiem osamotnić i przymusić do przyjęcia jeszcze twardszego jarzma. Bolesno wyznać, żaden rząd polski na własnem narodzie już oprzeć się nie mógł, żaden swojemi siłami wytrzymać nie potrafił burzy zewnętrznej albo i wewnętrznej; i Polska jak się wyraził minister francuski, przestała być państwem na serio. To też jeżeli Fryderyk Wilhelm wyparł się, jak wi-

¹⁾ Odsyłamy w tym względzie czytelnika do dzieła Br. Zaleskiego: *Korespondencya krajowa Stanisława Augusta*. Poznań 187. Jestto praca sumienna, wyczerpująca, dokument nieoszacowany do historii obyczajowej tamtych czasów.

²⁾ Szujski, *Dawna Rzeczpospolita i jej Pogrobowce. Roztrząsania i opowiadania*. Kraków 1876, str. 262.

dzieliśmy, zamiarów dla Polski nieprzyjaznych, nie uczynił tego przez wzgląd na Króla ale z obawy przed Rosyą, którą poza tem przemówieniem królewskim przeczuwał. Podobnie i Branicki wraz ze Szczęsnym, jeżeli odłożyli swe plany konfederacyi wojewódzkiej, to pewno nie z uszanowania woli królewskiej lub Rady Nieustającej, ale dlatego, że te plany Imperatorowa zgaśniła. I od obcych i od domowych nieprzyjaciół, rząd polski nie mógł się inaczej zasłonić jak tylko będąc w zgodzie z Rosyą, a zgoda z Rosyą, przy ówczesnym charakterze Polaków, była — zależnością od niej! Przenieśmy się teraz do Petersburga, gdzie tak długo zwlekano decyzją o królewskich projektach.

(Dokończenie nastąpi).

X. Waleryan Kalinka C. R.

KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI.

(Dokończenie).

Pobyt księcia Józefa w Krakowie przeciągnął się długo, aż do końca tego roku. Zostawał wśród wojska i zawiadywał uzupełnieniem nowych formacyj. Pamiętnemi są w Krakowie uroczystości wydawane dla niego i wojska w tem mieście, lub te które sam wydawał na obchód imienin Napoleona 15 sierpnia. Sukiennice zachowały dotąd znaki tych uroczystości, kiedy wszystko, co stanowiło owego czasu ozdobę i chwałę w proch się rozpadło. Po ogłoszeniu w miesiącu października traktatu pokoju, który część tylko Galicyi powrócił Polakom, wojska wracały ku Warszawie, i stolica warszawska tryumfalnem przyjęciem obchodzić chciała ten powrót. Lecz wojska w niewielkiej liczbie przeznaczone do Warszawy wracały tam 18 grudnia, a na ich czele nie było wodza, którego imię powtarzali wszyscy, i któremu okrzyki pochwalne wynagradzać miały szemrania, jakie w tem mieście przeciw niemu ustępującemu po bitwie pod Raszynem słyszeć się dały. Uniknął tryumfu i głośnych uwielbień, może pamiętając żywo przykrość jakiej wtedy doznał, pewniej daleko powodowany bezinteresowną swoją obojętnością na te hołdy, prawdziwą skromnością w uczuciu rzeczywistej zasługi jaką położył, — bo uraz zwykle nie pamiętał.

Dopiero 1 stycznia 1811 r. powrócił do Warszawy wieczorem, zameldowawszy się na rogatec tylko imieniem pułkownika Nowickiego, który z nim jechał. Tak tym razem jak i później przy objeździe garnizonów w różnych miastach i twierdz, unikał ksiązę Józef stale świetnych i tłumnych obchodów, wypraszał się od przyjęć uroczystych. Z jednej strony rzeczywiście godność swoją osobistą wyżej kładł nad okazywanie uwielbień zazwyczaj próżne, z drugiej wygodną rozrywkę w gronie kilku mężczyzn przenosił nad trud publicznych wystąpień i przemów. Obowiązkowi okazania się skrupulatnie jednak zadość czynił, gdy wymagała służba. Kiedy król ksiązę Warszawski do Warszawy wjeżdżał, tak r. 1810 jak i 1811 jechał konno przy powozie swego panującego; jako generał i minister przy jego boku w czasie bytności Monarchy znajdował się z tem odznaczeniem, które nań zawsze oczy patrzących ściągało. Do darów, któremi obdarzyła go natura, łączył słodycz wejrzenia, uprzejmość i już wtedy smętność pewną, świadectwo dojrzałości duszy już doświadczonej kolejami własnego życia i losów kraju, trapionej nieraz myślą o przyszłości, bo stanowi rzeczy publicznej nie ufał z tem zaślepieniem jakie naonczas lekkomyślnych, wyniesienia się chciwych, lub gorących nadziejami patryotów ogarniało. Z ambicyi własnej ksiązę Józef zrobił ofiarę, a raczej ona mu w gruzach dawnej Rzeczypospolitej, tronu dawnego i dobrej sławy jego rodziny zagrzebaną została; sercem został się przywiązany do kraju, wojsko kochał i zawodu wojskowego powinność pełnił, jakby ta naturą jego była, a gdy znowu wśród szeregów własnych się widział i trąba wojenna grzmiała, bez oglądania się i wahania szedł za jej głosem; wielkie zamiary tak jak ogólne poglądy zdala od niego były. Wojskowe też ćwiczenia najczęściej odbywał z temi oddziałami, które w stolicy zostawały, lub które po kraju odwiedzał; biurami wojskowemi zawiadywali podwładni; ksiązę na koniu i przed szeregami wojska czuł się dopiero sobą, i wtedy, jak zapewniali ci co go widzieli, był najpiękniejszym. Codzień patrzeli mieszkańcy Warszawy i płeć piękna tego miasta na widok ten i nigdy dość napatrzeć się go niemogli; czułe wspomnienia chwil, gdy jechał ulicą i według zwyczaju patrzył na siedzące w oknach kobiety, wznawiane były póki stało uczestników owego czasu.

Na posiedzeniach Rady Stanu i Rady Ministrów bardzo rzadko bywał, dając się zwykle zastępować, choć zdanie miał jasne i trafne; może w sprawach swego wydziału tak mocno ciężących na całym stanie księstwa Warszawskiego, wolał spory zostawić drugim, z powagą swoją zostając w oddali. Wojsko kosztowało więcej jak $\frac{2}{3}$ całego dochodu księstwa, a według głosów poważnych a nawet życzliwych księciu Józefowi, kosztowało za wiele, nie dla tego, że tak znaczna onego ilość w kraju ubogim utrzymywaną być musiała, ale dla tego, że w wielu gałęziach zarządu panował wielki nieporządek. Administracja wojskowa była jedną z najsłabszych stron zarządu Księstwa, i tą także częścią ministerstwa wojny, w której ksiązę Józef najmniej własnego miał głosu i własną kontrolą usiłował skutek osiągnąć. Ćwiczyć żołnierza, kształcić jego postawę i wojskowe przymioty, było zadaniem odpowiedniem jego skłonności; szczegóły zarządu wymagające zmuśnej pracy i rozpoznania zanadto spuszczał z oka. Między przymiotami żołnierza jest też jeden, który zdobić go powinien w czasie pokoju, a tym jest skromność w wymaganiach, która go usposabia do uprzejmego pożycia z resztą obywateli kraju; ten przymiot w wojsku księstwa był zachwiany. Epoka cała nadawała żołnierzowi przewagę. Księstwo dla wojska i nadziei, które przewidywano że bronią jeszcze wywalczyć należy, głównie istniało. Wiedział kraj o tem i nie szemrał na ilość wojska, chociaż na obejście się żołnierzy i oficerów nieraz podnoszono skargi. Ksiązę sam niewymagający, ale zanadto polegający na drugich, niezręczny w doborze zastępców, był raczej stworzonym do udzielania łaski i do zniewalania dobrocią niż do dawania przykładu potrzebnej surowości na przeciwko przekroczeniom butnego zuchwalstwa, które kazi nawet laury na polu bitew zdobyte.

W kwietniu 1811 roku jeździł do Paryża z poleceniem od króla Saskiego księcia Warszawskiego powinszowania Napoleonowi narodzenia syna królem Rzymskim nazwanego. Nie wiadomo z całego życia księcia Józefa, aby poprzednio, i aby za innym jak za tym razem znajdował się w Paryżu. Była temu na przeszkodzie młodość wojskowa w Austrii, potem rewolucya francuska i republikańskie rządy. Teraz przybywał, świeżą zasługę dla Napoleona położwszy, ale przybywał w cza-

sie największej potęgi cesarza, kiedy stolica Francyi nieustannie królów i największe znakomitości świata do siebie ściągała. Nie zdaje się, aby szczególne jakieś odznaczenie spotkało go od potężnego mocarza, aby bliższy i częstszy przystęp do niego miewał. Raz z cesarzem polował w St. Cloud. Sprawy zresztą wojskowe księstwa warszawskiego licznie opierały się o Francyą i pobyt księcia w Paryżu zdawał się dla nich użytecznym. Cesarz żądał utrzymania na wysokiej stopie wojska Księstwa, dary jednak i pomoce, które ze swej strony dlań czynił nie były odpowiadające jego wymaganiom. Teraz już w widoku przyszłej wojny znaczną sumę na skompletowanie wojska Księstwa przeznaczył.

Powrócił książę Poniatowski do kraju po 4-miesięcznym pobycie w Paryżu we wrześniu przed samym sejmem, na który król Fryderyk August zjechał w końcu tego miesiąca. W czasie sejmu tego powstały głośnie żale na ucisk kraju przez niepomiarowane wydatki, do których między innemi zarząd wojska był powodem; ale nie znalazły one wejścia na sejm, wstrzymane tak przepisany regulaminem obrad jak i obawą narażenia się potężnemu protektorowi, tem więcej drażniły po za sejmem, a uderzały także na księcia Józefa, któremu nieudolność do prowadzenia tego zarządu i słabość zarzucano. Książę obojętnym był na zaczepki, utrzymanie wojska miał za pierwszy obowiązek, narządzi lepszych jak te których używał znaleźć koło siebie nie sądził się w możności i zaspokajał się myślą, że nadużycia wszędzie się trafiają, zwłaszcza, że administracya francuska za wzór służąca, pod względem ścisłości w obracaniu groszem publicznym nie budujący wtedy, równie jak innemi czasy, dawała przykład.

Wszystkie te w znacznej części słuszne zarzuty ucichły, gdy już w końcu roku 1811 i z początkiem 1812 przygotowania wojenne coraz widoczniej występowały, a z niemi w Polsce wszystko do ostatecznego wysilenia pobudkę otrzymało. Wojsko polskie już w roku 1811 do 60 i kilku tysięcy doprowadzonym było, a w urzędzeniu wielkiej armii najznaczniejsza jego część pod nazwiskiem V korpusu i pod wodzą księcia Poniatowskiego przeznaczoną została do prawego skrzydła, którem dowodził król westfalski Hieronim.

Nieszczęśliwa Polska poddaną była w tym pamiętnym roku jednemu z najboleśniejszych przeżyć, jakie dotknąć mogą naród pełny życia, wciągnięty w wypadki, których sam nieprzygotował, i na których przebieg wpłynąć nie mógł, którego uczucia do najwyższego stopnia podniesiono, a zarazem nie dano mu odpowiedniego pola do działania ku własnemu ocaleniu. Z jednej strony sama wielkość zdarzeń przechodziła miarę tego wszystkiego co sam mógł dokonać, aby z nich korzystać; z drugiej, sposób w jaki one przychodziły wzbudzał nieufność wśród samej radości i nadziei. Przy tak ogromnym zamiarze nie było dla Polaków osobnego ich własnego zadania, kierunku wśród nawały która ich unosiła; niejasność we wszystkim co ich się tyczyło, co tak blisko, nieuchronnie, najmocniej ich dotykało; rzeczywistość odurzająca przybierała od razu postać złudzenia. Napoleon nie miał zamiarów co do Polski, co najwięcej przypuszczał przywrócenie jej w razie zupełnego pogromu Rosyi, potrzebował pomocy Polaków, lecz uważał ich tylko za narzędzie; nawet po rozpoczęciu kampanii, trzeźwiej patrząc na położenie swoje i niepewny skutku, zamiast jeszcze w Polsce szukać podstaw do działania, nie zwrócił na nią swoich myśli, choć poprzednio czuł, że tu byłyby podstawy, lecz szukał nieprzyjaciela przed sobą, aby go zgnieść od razu, idąc tylko za natchnieniem swej dumy w tej wojnie z gruntu niesprawiedliwej. Konfederacya warszawska, która miała być niejako pierwszym słowem aktu odradzającej się Polski, pozostała słowem bez znaczenia, niemając dalszego ciągu, nie mając mocy ani żadnej władzy do działania. Wojsko tylko księstwa warszawskiego posłane przewładną wolą na to obszerne pole krwi i śmierci, jakim była kampania moskiewska, naznaczyło męstwem i poświęceniem swoim tę tak smutną dla narodu epokę, zostawiając po sobie pamięć wielu świetnych czynów oręża. I tu nawet odjętą mu została chwała działania razem pod jednym znakiem; wojsko rozproszone było w kilku korpusach francuskich; tylko około 30,000 znajdowało się razem pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego.

Położenie tej głównej części armii polskiej było podrzednem wśród wielkich mas działających i podrzednem także było położenie onej dowódcy. Pomysły wielkich ruchów wy-

chodziły od cesarza, w drugim rzędzie kierunek szedł od dowodzącego skrzydłem, wykonanie dopiero zależało od podrzędnych. Gdzie tylko wojsko polskie w tej wojnie było użytem, wszędzie sprawiło się z mężstwem i dzielnością, tam nawet gdzie oddziały nieogłędnie poprowadzone porażkę odniosły. Ale niemogło, ściśle złączone z ruchami i urzędzeniami armii francuskiej uniknąć błędów i niedostatków, którym tamta uległa. Ogromne przestrzenie, rozprężenie przy trudności zaopatrzenia, brak dobrych komunikacyj i dokładnego znoszenia się oddziałów między sobą i z głównem dowództwem, wystawiały od samego zaczęcia tego niezmiernego przedsięwzięcia na ciągłe zawody, same już wątliły najlepsze siły, zużyte wreszcie zaciętem przez Napoleona ściganiem nieprzyjaciela dla pokonania go w walnej bitwie i zaciętym oporem Rosyan.

Książę Poniatowski mając wczesne na to rozkazy, przygotował zupełnie swoje wojsko do początku czerwca 1812, czekając nadejścia Westfalczyków i Sasów razem dalej wyruszyć mających, a oddawszy jazdę pod dowództwo jenerała Latour-Maubourg z jazdą francuską w przedniej straży skrzydła idącą, 4 czerwca od brzegów Wisły wskazaną poszedł drogą. W Rajgrodzie 26 wydał odezwę do wojska z odwołaniem się do patriotyzmu i waleczności, a w tej odezwie żadnej silniejszej rękojmi co do celów tej wojny przytoczyć nie mógł, jak że Napoleon sam nazwał ją drugą wojną polską. W samym końcu czerwca korpusy doszły do Niemna i przechodzić zaczęły przez tę rzekę pod Grodnem, lecz rozciągnięte na długiej linii marszu, nie znalazły się wszystkie po drugiej stronie, aż gdy Napoleon, który przeszedł znacznie wcześniej Niemen pod Kownem, znajdował się już w Wilnie, i gdy odesłał marszałka Davoust z częścią jego korpusu przeciw Bagrationowi, aby go w pochodzie ku Dnieprowi wstrzymać i oskrzydlić. W tem działaniu korpus króla Hieronima, którego Polacy główną część stanowili, miał oddaną do skutecznienia połowę ważnego planu, od którego powodzenie kampanii zależeć mogło. Plan ten nie udał się; winą za to nie spada na księcia Poniatowskiego, wątpliwem jest nawet, czy przypisać ją należy królowi Hieronimowi, czy tym trudnościom przepraw, dowozów, dróg ulewami zepsutych, które wojsko napotykało. Szedł książę Józef na Tykocin, Nowogródek, Mir, (gdzie zaszło jedno tylko w tym

pochodzie ważniejsze a nieszczęśliwe spotkanie Polaków z nieprzyjacielem), Nieśwież, zkąd usuwał się Bagration spiesznie dążąc ku Berezynie na Bobrujsk. W Nieświeżu król Hieronim obrażony na brata za ostrą naganę powolnego postępowania naprzód i polecenie, aby poszedł pod rozkazy marszałka Davoust, skoro tylko połączenie ich wojsk nastąpi, niedopełniwszy połączenia, które mogło przyjść do skutku na obu brzegach Berezyny pod Bobrujskiem, opuścił komendę swoją i armię. Książę Józef doszedłszy do Słucka, nie mając wyraźnych rozkazów, podążył dla bliższego połączenia się z marszałkiem Davoustem do Ihumena. Bagration tymczasem przeszedł Berezynę pod Bobrujskiem, i tyle tylko utracił korzyści, że nie mógł dostać się do Mohilewa, gdzie go uprzedził był Davoust, musiał zatem przejść Dniepr znacznie niżej pod Starym Bychowem, co opóźniło mu połączenie się z główną armią rosyjską. Nie uniknął też i książę Józef zarzutu od cesarza za wypuszczenie korpusu Bagrationa; umiarkowańsze zdanie jest, że nie mógł on ze zmniejszonym już wówczas swoim wojskiem, a tylko w połączeniu z jazdą generała Latour-Maubourg zetknąć się zablisko z większą znacznie siłą Bagrationa opartą o Bobrujsk, nie mając pewności o równoczesnem działaniu Davoust z drugiej strony.

Korpus polski dostawszy się pod komendę marszałka Davoust, posłanym został do Mohilewa. Następnie przeszedł na lewy brzeg Dniepru i pociągnął drogą od Mścisławia wiodącą, aby wziąć udział pod bezpośrednimi rozkazami cesarza w bitwie Smoleńskiej d. 16 sierpnia, która była zdumiewajacem śmiałością lecz przeciwnem wszelkim zwykłym obliczeniom wojennym natarciem na fortecę. Książę Poniatowski wykonał z piechotą jeden z głównych epizodów tej bitwy. Miał on wtedy, zostawiwszy jedną dywizyą (Dąbrowskiego) w Mohilewie, tylko dwie dywizye piechoty i jedną kawalerii, razem najwięcej 14 do 15,000 ludzi. Polacy przedzierali się przez wąwozy i przedmieścia Smoleńska mocno bronione, wspierani artylerją własną, którą książę sam kierował, po wysileniach i stratach wielkich, doszli do murów, których równie jak na innych punktach wojsko francuskie przejść i naruszyć nie mogło. Noc zakończyła bitwę, poczem ujrzano płomienie ogarniające miasto, i z brzaskiem dnia twierdzę opuszczoną. W dalszy jeszcze kraj

i na dalsze wysilenia ciągnęło wojowników nieuchronne następstwo ślepego przedsięwzięcia.

Przeszedłszy Wiazmę, Gzack, książę Józef zawsze o godzinę odległości na prawem skrzydle od głównej drogi do Możajska, po której król neapolitański w przedniej straży postępował, ścigając nieprzyjaciela, miał trudny pochód przez lasy i bezdroża, niezaopatrzone skutkiem zaniedbania się sztabu głównego w należyte objaśnienia i wskazówki. Wojsko błędziło i kierowało się głównie na huk dział przedniej straży, nie mając zająścia z nieprzyjacielem aż do 5 września, kiedy Napoleon doszedłszy w pobliże Borodina, polecił Muratowi natychmiast opanować wzgórze naprzód wysunięte, dobrze obwarowane, pozycyi rosyjskiej. Wezwany na pomoc przez Murata książę Józef, spieszył z nią, postawszy naprzód generała Sebastianiego, który objął był komendę jazdy pod jego dowództwem będącej. Mała część piechoty była w tej czynności, lecz książę znalazł się chwilowo, rozpoznając położenie, w osobistym niebezpieczeństwie, otoczony przez jazdę rosyjską. Dobry pałasz, wraz ze sztabem swoim torował sobie drogę do odwrotu; przytomny i waleczny, wyswobodził się. Dzień zakończonym był pomyślnie wzięciem wzgórza, i gotowano się do strasznej bitwy, zwanej bitwą pod Możajskiem na dniu 7 września, którą tym razem widocznie wojsko rosyjskie przyjąć chciało.

W tym dniu pamiętnym, naznaczonym niezmiernym krwi rozlewem, Polacy znajdowali się i w korpusie króla neapolitańskiego i w korpusie odwodowym przy boku Napoleona, korpus zaś pod wodzą księcia Józefa otrzymał zadanie oddzielne na skrajnem prawem skrzydle zdobyć wzgórze obronne i pociągnąć w tył nieprzyjaciela. Miał książę już wtedy w dwóch dywizjach przy nim pozostałych tylko około 10,000 ludzi. Zadanie mu powierzone nie mogło ze skutkiem dla ogólnego planu bitwy dopełnionem być tak małą siłą. Generał Tuczkw stojący naprzeciw niego na wzgórzu, miał zapewne nie mniejsze siły w położeniu obronnem, a okolica leśna, którą ciągle przebywać należało, napełniona była strzelcami. Brano i tracono wzgórze, mając do czynienia z nieprzyjacielem bijącym się zacięcie, i ustępującym stanowczo wtedy dopiero, gdy pozycja jego środkowa najmocniejsza, przez Francuzów zdobyta

została. Że książę Poniatowski w tym dniu z tak małą siłą nie uczynił największego wysilenia, aby zdobywszy całą okolicę wzgórze, postawić się na tyle nieprzyjaciela, zdaje się, iż tłumaczy go dostatecznie to, że nie mając rezerwy, nie zostając w styczności z głównie działającymi korpusami, nie mogąc we właściwej chwili wiedzieć o stanie bitwy w środku, mógł przewidywać, jakiby go z pewnością los spotkał, gdyby sam tak daleko się był posunął. Posłanym był tym razem, jakby stracony oddział, według wyznania samychże Francuzów.

Po bitwie Mołajskiej w kilka dni ukazała się Moskwa oczom naszych żołnierzy, ciągnących od Werei. Cokolwiek mogły serca Polaków uczuć na widok stolicy największych swoich nieprzyjaciół, teraz przed nimi bez obrony, do której wkraczali jako zwycięzcy, odzywało się wraz z wspomnieniami historycznymi w tej części wojowników, którzy nieśli z sobą pamięć swej ojczyzny. Zaczyna dusza księcia Poniatowskiego najmniej oddawać się mogła dumie z tego położenia, które go tu w ślady Żółkiewskiego postawiło mścicielem niejako krzywd wyrządzonych jego krajowi. Czuł on dobrze, jak dalece niezależącemu od niego zrządzeniu winien był, iż się tu znajdował na czele Polaków i Moskwa była mu przypomnieniem poniżenia, jakiego tu imię jego doznało w osobie jego stryja. Tryumfu z woli Opatrzności w tem wejściu do Moskwy upatrywać nie mógł; smutek osiadł był już w jego sercu, boleść, że z tylu tysięcy, któremi dowodził na początku wojny, garstka już tylko mężnych towarzyszy w koło niego została, obok wyrzutów, które po części sam sobie czynił za to, że nie w bitwach, lecz przez rozsprzężenie ogarniające całą wielką armię, znaczną część wojska utracił. Okropność pożaru Moskwy i jego następstwa dodała jeszcze grozy chwili i przyczyn rozsprzężenia. Otuchą dla księcia Józefa jedyną, było zawsze hasło wojskowe, wojskowe męstwo i honor, które go czyniły nieustraszonym i przytomnym w chwili walki, obojętnym osobiście, skoro jako żołnierz pod sztandarem pełnił swoją powinność. Dusza wylewała się w smutnych przeczuciach do zaufańszych swych podwładnych, waleczność w boju nie opuściła go nigdy.

Przykład tego świetny dał wkrótce pod Czyrykowem. Wojsko polskie w milczeniu przeciągnęło przez ulice Moskwy, zajmując część wschodnią miasta i postępowało jakiś czas drogą

ku Włodzimierzowi. Z tej strony patrzyło na płomienie palącej się stolicy. Już wtedy cały korpus polski złożony z 2 dywizyj i jazdy, liczył zaledwie 5,000 ludzi. Odpoczynek jego był bardzo krótki, już 22 poszedł książę Poniatowski z królem Muratem szukać nieprzyjaciela na drodze do Kaługi. W samej rzeczy napotkali go za Podolskiem; Murat i Bessières dowodzili tą częścią wojska francuskiego, książę Poniatowski postępując na lewo od nich i osłaniając skrzydło króla, znalazł się 29 najbliżej sił Kutuzowa i przedniej ich straży pod jenerałem Miłoradowiczem. Nie mógł uniknąć spotkania i przez 4 godziny wytrzymał nacieranie ich, obrawszy trafnie pozycyą pod wsią Czyrykowem. Jeniusz jego w chwili niebezpieczeństwa nabywał siły, zdolności doświadczonego i sprawnego wodza. Nie wspierany, bo Francuzi lubo słyszeli huk dział, przeciągali bokiem na oznaczone do spoczynku stanowiska, książę od początku utarczki sam kierował wszystkimi jej szczegółami, i nareszcie już o zmroku sam poprowadził oddział jazdy, z którym uderzywszy na nieprzyjaciela, powstrzymał ostatni jego zapęd. Zajście to, nie mające ważniejszych następstw, we francuskich opisach zaledwie wspomniane, dla Polaków zostało szacowną pamiątką dzielności wojskowej księcia Józefa i chwałą ostatnią sztandaru polskiego na tej ziemi, na której tyle krwi przelali.

Nastąpiła długa cisza obozowania w bliskim od tego miejsca Woronowie, dłuższa niż każdy inny czas odpoczynku w tej wojnie; złowroga dla przewidujących zbliżającą się ziemię i postrzegających chwiejące się postanowienia Napoleona, po szalonym zapędzie; dla czujących zaś rozwiewające się nadzieje a wstępujące w ich miejsce widoki ciemnej przyszłości, cięższa niż trudy i niebezpieczeństwa, bo osłabiająca tęskne serca. Waleczny wojownik miękł w tym przymuszonym odpoczynku z niepewnością zupełną dalszego losu, o 200 mil od ojczyzny, bez otuchy ze zwycięstwa, tylko z pamięcią przebytych już kolei wojny, myślą o tych, które jeszcze czekały, i z utratą zaufania, jeśli takowe miał poprzednio. 18 października Moskale zbudzili jakby ze snu jakiegoś łudzącego oczekiwania, dowództwo francuskie, natarciem na prawe skrzydło Murata i zadali jen. Sebastianiemu dotkliwą porażkę. Wsparł go natychmiast książę Poniatowski i utrzymał pozycyę

pod Woronowem, a Napoleon na wiadomość o tych spotkaniach opuścił Moskwę i poszedł z całą główną siłą swą ku Kałudze i stanowiskom moskiewskim, doznał niepodobieństwa przełamania tego stanowiska lub obejścia go w krwawej i daremnej bitwie pod Małojarosławcem i bocznym marszem zaczął cofać się na drogę do Smoleńska. Polacy, którzy ciągle stali byli na przodzie wobec nieprzyjaciela, nie znajdowali się w tej bitwie, jeszcze przed nią odesłani do Werei, oprócz dywizyi polskiej jen. Claparède (legia Nadwiślańska). Ztamtąd książę Józef zdążył ku drodze smoleńskiej, poprzedzając marszałka Davoustą przeznaczonego w tylnej straży do zasłony odwrotu, ucierając się ciągle z jazdą rosyjską usiłującą przeciąć drogę. O jeden marsz jeszcze od Wiazmy 2go listopada książę chcąc dojechać szybko na czoło kolumny dla przyspieszenia pochodu, niezmiernie utrudnionego naturą gruntu i mnóstwem taborów, padł z koniem który się potknął, i wywichnął nogę, tak że odtąd w pojeździe jechać musiał, a jen. Zajączek objął dowództwo korpusu.

Tu był koniec czynności księcia Poniatowskiego w tej wojnie. Ocalić więcej nie mógł, jak nie ocalił swego wojska Napoleon, ani żaden z wodzów jego, którzy choć dali nadzwyczajne dowody męstwa i wytrwałości, wszyscy nakoniec bezsilnymi byli przeciw rozprzegającej wszystko okropności zimy i nieładu w spiesznym odwrocie. Napoleon po dzielnem spotkaniu nieprzyjaciela pod Krasnem i dzielniejszej jeszcze obronie przy strasznem przejściu Berezyny, opuścił wojsko idąc za pobudkami politycznemi, opuścił je wtedy, kiedy jego dowództwo i przytomność sama jedna jeszcze coś uratować mogła. Książę Józef opuścił dowództwo wtedy, gdy nie mógł sam iść na czele reszty swoich towarzyszy i nie miał już prawie komu dowodzić. Zajączek nad Berezyną już tylko pozostałych z całego korpusu 500—600 ludzi prowadził do walki z nacierającym na prawym brzegu Czyczagowem. Walczyli jeszcze Polacy przybyli od Mińska nad Berezyną w korpusie Oudinota i dywizyi Dąbrowskiego, oraz w korpusie Victora; resztki młodej gwardyi i legii Nadwiślańskiej, nieraz ostatnie wysilenia tylnej straży czyniły oddziały polskie z rozproszonych różnych dywizyj, Polacy też odprowadzili do Warszawy część swej atyleryi i chorągwie pułkowe ocalili. Szczątki wiel-

kiego wojska francuskiego zupełnie się rozprzegły; ostatni schodzący z placu Ney ledwie już tylko kilkaset ludzi zebrać mógł pod Kownem, którzy tu poszli w rozsypkę; najstraszniejsza klęska karząca zapęd najwyuzdańszej dumy, pochłonięła w jednej z nim przepaści całe wojsko, byt Księstwa Warszawskiego i połączone z nim nadzieje.

Książę Poniatowski przybył w powozie do Wilna pierwszych dni grudnia, a 13go stanął w Warszawie. Za jego przybyciem Konfederacya ogłosiła gorącą odezwę do pospolitego ruszenia wtedy, kiedy to już było daremnem, bo ani wzbudzić do niego zapału, ani urządzić go już nie było można. Niektóre dawniejsze formacye uzupełnione i dołączone do nie-dobitków wyprawy moskiewskiej, częścią z Dąbrowskim, częścią w rozproszeniu powracających, zebrane w województwie Krakowskiem, utworzyły jeszcze razem do 12 tysięcy ludzi, których urządzenie i zaopatrzenie zajmowało księcia Józefa przez półtrzecia miesiąca wypoczynku w Warszawie, i przez ostatnie chwile pobytu jego na ziemi polskiej. W styczniu nadciągnął do Warszawy korpus austriacki księcia Schwarzenberga cofający się od Bugu i już skryte porozumienie mający z następującymi Rosyanami. Książę Józef nie przedsięwziąć nie mógł z nieuorganizowaną na nowo i w części nie-usposobioną swoją siłą. Dlatego chętnie przyjął zasłonę ofiarowaną przez sprzymierzeńca, którego atoli celem było tylko bez walki cofnąć się do krajów austriackich i zasłanianiem Polaków zapobiedz jakiemukolwiek nowemu starciu po lewej stronie Wisły. Dąbrowski tylko z dwoma tysiącami poszedłszy na Kalisz, zdołał dostać się do Elby. Książę Poniatowski wyruszywszy z Warszawy w początku lutego, przybył powolnemi marszami do Krakowa, gdzie już Rada ministrów i Konfederacya i rezydent francuski Bignon i co tylko mogło lub musiało schronić się z Warszawy, zgromadzonem było.

Konfederacya i rząd już nie mogły być czynne, ale dla księcia Józefa nastąpiła w Krakowie jedna z najważniejszych chwil jego życia, najtrudniejsza próba charakteru, którą miał złożyć na kilka tylko miesięcy przed zgonem. O ten szczytek wojska polskiego dbali tak Napoleon, bo kilkakrotnie był on przedmiotem jego układów z Austryą, jak i związkowi, Prusy z Rosyą, a mianowicie cesarz Aleksander dla zamiarów swo-

ich. Jakiegokolwiek one były, pierwszym środkiem użytym ku ich spełnieniu było usiłowanie wywołania w Księstwie Warszawskim odstępstwa od podstaw, na których był jego był oparty i z któremi zespoliły się szczerze uczucia Polaków w kilkoletnich związkach i usiłowaniach. Prawda, żądano tego w imię Ojczyzny, a dla tej upewnieniem w tej chwili być miała objawiona życzliwość Aleksandra dla narodu polskiego i nadzieje, jakie na niej gruntował zacny w przekonaniach swoich książę Adam Czartoryski; nowe nadzieje i wpływ nowo wschodzącego słońca i potęgi, do którego zawiedzeni, nieszczęśliwi, skołatani troską o przyszłość zwrócić się mieli, chwytając korzyści z chwilowego położenia wynikające. Jakkolwiek sprawa Napoleona nie była jeszcze upadłą, jednak opieka jego dla utworzonego przezeń Księstwa Warszawskiego oczywiście była straconą; Austria niepewna, król Saski wahający się, czy nie miał odłączyć swojej sprawy od sprawy swego protektora, kraj cały zajęty przez wojsko rosyjskie; sprawa Polski przestała być przedmiotem w toczącej się jeszcze wojnie. W tem położeniu rzeczy żądano od księcia, aby pozostał w kraju wbrew otrzymanym rozkazom wojskowym, przyjmując ofiarowaną sobie neutralność dla wojska i tej części kraju, którą wojsko jego zajmować będzie. Już wielu Polaków było pozyskanych dla sprawy, którą przedstawiał książę Czartoryski, i w najbliższem otoczeniu księcia znajdowali się tacy, którzy utrzymywali związane z obozem sprzymierzonych stosunki. Wtedy w miesiącu kwietniu zjawił się w Krakowie książę Antoni Radziwiłł, zbliżony do panującego domu pruskiego, z misją jak się zdaje stanowczą do księcia Józefa. Z opowiadań współczesnych wiadomem jest, i Kajetan Koźmian, sekretarz Konfederacyi, obecny wówczas w Krakowie świadek, opowiada w pamiętnikach swoich, daremne jego staranie o uzyskanie rozmowy z księciem, i jak nic nie wskórawszy odjechać musiał czyli raczej był wydalonym, zaskoniony tylko przed uwieszeniem i dalszemi następstwami niebezpiecznego kroku, jakiego się podjął, a ta odprawa stanowczym stała się dowodem wierności, z jaką ks. Poniatowski postanowił nie zstąpić z drogi, którą jedynie za prostą i obowiązkową dla siebie i dla wojska uważał.

Proste były i z jego charakterem zgodne pobudki, które mu tę drogę wskazywały. Minister i dowódca wojska kraju polskiego uroczyście uznanego, którego monarcha rozrządzający tem wojskiem zostawał jeszcze w dawnym przymierzu, choć mógł się już wahać; on pierwszy miałby dać jawnie przykład postępku samowolnego, opierając się na własnem osądzeniu politycznych korzyści chwili, i gdy wojna, którą uznano za narodową, jeszcze nie ustała, miał wchodzić w układy z dotychczasowym nieprzyjacielem? Jeszcze te sztandary, pod którymi walczone razem, szeroko powiewały i cesarz Napoleon wydawał rozkazy do wojska polskiego, oddanego pod jego naczelne dowództwo; król Saski księżę Warszawski żadnego ku układom nie wydał i nie mógł wydać rozkazu, zrobienie tego na własną rękę, z charakterem wojskowym księcia pogodzić się nie mogło. A zapewne dołączało się w nim i uczucie, że naród polski pobudzony szlachetnym zapałem dla swej niepodległości, mógł nieszczęśliwie związać się ze sprawą obiecującą mu wszystkie korzyści, lecz nie mógł w dowolnej chwili ze zmianą losu odstępować tej sprawy dla innych widoków.

Mimo że uczucie i obowiązek żołnierza i podwładnego wskazywały mu silnie, co ma czynić, przebył on jednak najcięższą walkę wewnętrzną, a tem cięższą, że za doradców ze zdaniem przeciwnem swojemu, miał ludzi, którzy w sprawach politycznych biegleszymi od niego się zdawali. On nie polityk, z prostem swem uczciwem sumieniem wzywany był do chwytania krokiem ubocznym przez obmyśloną rachubę tych środków ocalenia, jakie się teraz otwierają zdawały wśród niesłychanej wypadków grozy, a krokiem swym, imieniem swoim, godłem, które w tej chwili przedstawiał, miał nadać rachubie tej wagę, której dotąd nie miała. Walka jego wewnętrzna była tak gwałtowną, że jak zapewniają, pomyślał nawet o tem, aby ją zakończyć przez odebranie sobie życia. Nie uczynił tego, miał odwagę pójść za prostem i skromnem zdaniem swoim o obowiązku, w jakim zostawał; naród też polski poczytał mu za zasługę jego wierność, uczcił nieszczęście i rycerską prostotę, a w wojownikach swych podejmujących dalej krwawe boje, opłakał ofiary jednej świetnej chwili zbawczych nadziei, po których tylko grobowy laur pozostał.

Jeżeli wolno dalej śledzić za myślą księcia Józefa w owym czasie, kiedy na tej rozstajnej drodze się znalazł, to rzecby można, że wstręt czuł do obietnic pochodzących od tych właśnie, którzy największymi okazali się nieprzyjaciołmi Polski, których wielkość i stałe dążności miały początek i główny kierunek w zaprzeczeniu bytu i praw narodu polskiego; nie znał i znać nie mógł wspaniałego, sentymentalnego i przebiegłego cesarza Alexandra, a po tem wszystkiem co już przeżył i czego sam doświadczył, nie mógł ufać trwałości rosyjskich zobowiązań choćby chwilowo uroczystymi aktami stwierdzonych. Wstręt miał do fałszywego położenia nie odpowiadającego godności charakteru, która swoje zamiary i przekonania jawnie wyznaje.

Austria zostając jeszcze przynajmniej pozornie w przy mierzu z Napoleonem, nie mogła targnąć się na korpus polski stojący na jej granicy, lecz gdyby granicę tę przeszedł, rozbroić go chciała, co gdy wywołało nadzwyczajne oburzenie Napoleona, pozwoliła na przejście korpusu polskiego przez jej kraje dla połączenia się z armią francuską. Wojsko bez broni postępowało, co zresztą było tylko pozorem, gdy oficerowie broń zachowali, a broń żołnierzy obok nich wieziono na wozach, jakby dla ulżenia im w marszu. Pochód rozpoczął się z Krakowa 7go maja, w cztery dni zatem po odniesionem przez Napoleona zwycięstwie pod Lützen, o którym jednak naówczas pewnych jeszcze w tej odległości nie miano doniesień; odbywał się przez Szlązk, Morawę i Czechy do Zittau do granicy Saxonii, już wówczas całkowicie znowu przez wojska francuskie zajętej. Gdy tam Polacy doszli, już było po bitwie pod Bautzen, która okazała stanowczą Napoleona przewagę wojskową nad połączonymi Prusakami i Moskalami, lecz niebezpieczeństwo gromadzące się przed nim skutkiem własnego niepomiarkowania żądań, było coraz większe, i cesarz Francuzów gotujący się na dalsze boje rad był z przybycia Polaków, których miał zawsze za wybornych żołnierzy. Nastąpiło zawieszenie broni, podczas którego korpus polski rozłożony w okolicach Zittau, używał wczasu, ćwiczenia i urządzania swoje wykonywał.

I tak z tego to punktu na straży wąwozów od Czech prowadzących, gdzie Napoleon sam ustawił Polaków, główny

ten korpus reszty wojska Księstwa Warszawskiego, nazwany teraz korpusem 8ym, rozpoczął później czynności wojenne, kiedy Dąbrowski z innym oddziałem kilka tysięcy liczącym i w Niemczech sformowanym, znajdował się w okolicy Magdeburga w korpusie Gérarda. Nie miał korpus księcia udziału w bitwie pod Dreznem, 17 sierpnia, dopiero kiedy Blücher działający w Szlązku napierał silnie Francuzów przeciw niemu daleko wysuniętych, Marszałek Macdonald cofając się ściągnął go w pomoc sobie, ale gdy pod Görlitz napieranie zwolniło, Poniatowski wrócił do pozycji w Zittau, zkąd wyruszył znowu gdy wyraźniejszym stał się marsz Blüchera ku północy dla połączenia się z korpusem sprzymierzonych pod Bernadottem, teraz królewiczem szwedzkim, a Napoleon zmieniając wtedy całkowicie rozpołożenie korpusów swoich, posłał go na straż drogi ku Lipskowi wiodącej przez Waldheim z gór Czeskich, z których obawiał się powrotu armii austriackiej zachęconej porażką Vandamma pod Kulmem.

Od początku września księżę Poniatowski w przedniej straży zwrócony przeciw tej głównej armii nieprzyjacielskiej, staczał liczne potyczki z postępującymi ostrożnie korpusami sprzymierzonych i oddziałami partyzanckimi, usiłującemi przedrzeć się na tył wojska francuskiego, niepokojąc łączność z Lipskiem między innemi w świetnym spotkaniu na końcu września pobił korpusy Thielmanna i Płatowa, z którymi nieco pierwszej spotkał się był mniej szczęśliwie generał francuski Lefebvre-Desnouettes. Większe siły w tem miejscu stały się potrzebne, sprzymierzeni bowiem ciągnęli z dwóch stron dla połączenia się pod Lipskiem. Zebrane wtedy razem korpusy księcia Poniatowskiego Lauristona i Victora pod wodzą Murata wstrzymywały nieprzyjaciela, podczas gdy Napoleon próbował osobno jeszcze od północy pokonać połączonego Bernadotta z Blücherem, którzy jednak przezornie ustępowali przed tem osobnem spotkaniem z samym Cesarzem. Pomyślna potyczka z korpusem Wittgensteina pod Borną 10 października, w której Księżę wziął udział, była tylko zapowiedzią przeniesienia się całej siły działania na stronę południową, zkąd największe wojsko sprzymierzonych z naciskiem teraz postępowało. Gdy w następstwie tego oddzielne przedsięwzięcie w stronie północnej udaremntonem zostało, skupiła się cała siła Napoleona

w okolicę Lipska, stając tu do stanowczej rozprawy na punkcie największej wagi, bo stanowiącym o pozostawieniu otworem lub zamknięciu jedynej w tych okolicznościach komunikacji z linią Renu i z Francją.

Zbliżało się rozstrzygnięcie wielkiej sprawy europejskiej, którą sprzymierzeni sprawą wyswobodzenia nazwali a która była wyswobodzeniem tylko od niepohamowanej dumy jednego zdobywcy narzucającego drugim upokorzenie niezdolne. Dla Polaków zbliżała się chwila, w której po rozbiciu wzniesionej znowu części ojczystego porządku doznać mieli rozbicia w rozpaczliwym boju tego ostatecznego zbrojnego zastępu, który uniósł z Ojczyzny chorągwie narodowe i któremu przywołał wódz wsławiony i ukochany. Niemcy opuszczali szeregi Napoleona mieszając się przeciw niemu do walki, czem niepowinien był być zdziwiony. Polacy, już wygnańcy z Ojczyzny, wytrwali w śmiertelnej walce jak ofiary dumnej obudwóch stron polityki, nie mając już nic do ocalenia tylko sławę imienia swego w tym momencie historii, do którego jeszcze z bronią w ręku należeli.

Poniatowski i Dąbrowski obadwaj wodzowie Polaków na tyłu polach bitew znaleźli się znowu po długim rozłączeniu pod murami Lipska, choć nie w jednym zastępie, ale walczący razem. Dąbrowski z korpusem Ney'a po walecznem choć daremnym uganianiu się za Prusakami i Szwedami aż po Wittenberg złączył się z armią po stronie wschodniej Lipska, — Poniatowski miał sobie powierzoną jedną z najważniejszych pozycji od południa na prawo od Wachau, który to punkt stanowił środek bitwy pierwszej lipskiej 16 października słusznie za zwyciężką dla Francuzów poczytanej, gdyby wśród bitwy, ośmielony hukiem dział na całej linii nie był nadszedł z północy Blücher. Z razu cofnąwszy się nieco z pozycji w której był postawiony przez Napoleona i zajmując w linii inną mocniejszą, książę Józef przez cały dzień w niej utrzymał się już to odpierając Prusaków i Moskali, już to nacierając na nich, licząc sam zaledwie 9000 żołnierzy, wsparty tylko jedną dywizją korpusu Marszałka Augereau i czwartym korpusem jazdy złożonym z Polaków. Stanowcze usiłowania Napoleona w tym dniu, do których wszystkich nawet użył rezerw swoich dla przełamania i rozbicia nieprzyjaciela na in-

nym odbywały się punkcie, lecz utrzymanie prawego skrzydła i pozycji, którą trzymał książę Poniatowski było największej wagi właśnie dla zapewnienia tych usiłowań, jeśli zupełny ich skutek mógł być osiągnięty. Nie był nim, i z końcem dnia już przez to samo zwiększonym było w dwójnasób niebezpieczeństwo, gdyż sprzymierzonych siły przez nadejście Blüchera i Bernadotta oraz Beningsena od Drezna ogromnie pomnożone zostały. Mimo grozy położenia i gwałtownego nia zajęcia umysłu swego, Napoleon ocenił dzielność księcia Poniatowskiego w dniu 16ym okazaną. Czy chciał nadgrodzić zasługę, czy też ujrawszy już 17go niepodobieństwo utrzymania się dalej w Saksonii i konieczność opuszczenia Lipska a zapewnienia sobie odwrotu ku Renowi, chciał innym jak dotąd węzłem przywiązać wodza polskiego do swego losu, a Polaków zmienić już zupełnie w część francuskiego wojska, Cesarz mianował księcia Poniatowskiego Marszałkiem Francyi.

Ze smutkiem, z obliczem jakby zwróconem już tylko ku ostatecznemu nieszczęściu, i jakby to wyniesienie zasłaniało przed nim jeszcze więcej Ojczyznę, której służył wśród tych obcych sił zapasów, przyjął książę Józef wiadomość o mianowaniu swoim na tę godność wojskową. Zapewne, gdyby jeszcze był się znajdował dla Napoleona sposób utrzymania się na tronie Francyi, godność ta nadawała księciu na wygnaniu stanowisko przyzwoite, a tytuł Marszałka był dla niego stopniem zaszczytu wojskowego słusznie nabytym. Ale jego serce wówczas nie było już przystępnem dla pociechy i zadowolenia. Ci co go wówczas widzieli, stwierdzają że głęboki smutek wyrażonym był na jego twarzy, i tylko mężka siła nie opuszczała go jak zwykle w niebezpieczeństwie; wojenne niebezpieczeństwo podnosiło w nim odwagę do tego stopnia spokojności jaki przekonanie głębokie daje mężnej duszy wobec śmierci.

Opowiadano, że książę Józef miał sobie w młodych jeszcze latach przepowiedzianą śmierć w okolicznościach, które położenie pod Lipskiem mogło przypomnieć. Niepotrzeba było takich przypomnień. Groza tych dni strasznych, widok walącej się potęgi olbrzyma, który geniuszem swoim największe dotąd przewyciężył trudności, los idących na śmierć tylu towarzyszy, których był przywódcą i czuł się przewodnikiem, dostatecznem były do podania myśli, że tu mógł być kres zawodu dla wa-

lecznego męża. Mówiono też, że książę Józef miał przeczucie śmierci, a takim jak on śmierć na polu chwały nie wydaje się straszną, czasem wydaje się pożądaną, lecz pewnie raczej spodziewał się spotkać z kulą wśród walki, nie z takim końcem jaki mu los przeznaczył.

Druga bitwa pod Lipskiem 18go równie krwawa jak poprzedzająca stoczona była w pozycjach ścieśnionych już około miasta, i służyć miała do zapewnienia, za pomocą silnego odporu stawionego wojskom sprzymierzonym, odwrotu wojska francuskiego na Weissenfels ku Erfurtowi. Walczono znowu z nadzwyczajną zaciętością i znowu w końcu dnia Francuzi utrzymali się w swych pozycjach, mimo znaczniejszej jeszcze nierówności liczby i przejścia Sasów do sprzymierzonych. Książę Poniatowski wraz z Marszałkiem Augereau licząc razem tylko 10,000 ludzi, najprzód w Dölitz potem jeszcze więcej ku miastu w Konnewitz utrzymali stanowisko aż do nocy. Lecz już spieszny tylko zupełny odwrót mógł ocalić wojsko bardzo osłabione długim bojem i zmniejszone ogromnemi w zabitych i rannych stratami. Jeden most, czyli szereg jeden mostów na Pleisie i Elsterze był tylko do odwrotu, a po tym moście przejść musiała w nocy i ogromna artylerya i zapasy amunicyi i część rannych i korpusy, które zaraz dalej utrzymywać miały walkę z wojskami nieprzyjaciół wysłanemi dla przecinania tego odwrotnego marszu.

Dzień 19 października, później pogodny, z samego rana gęsta mgła pokrywała; książę Poniatowski, zostawionym był jak Macdonald jak Lauriston i Reynier na skrajnym obwodzie miejsca zajmowanego jeszcze przez masę ustępującego wojska, która zapełniała wszystkie dostępy w ulice miasta; ostatnie te korpusy musiały być stracone, bo choćby jak najwięcej zyskano czasu, ci co zasłaniali ocalenie drugich, nie mogliby byli przebyć wąskiego przesmyku zostającego do pochodu bez spotkania się z gwałtownie nacierającą całą siłą nieprzyjaciela. Było podobieństwo w odrocie tym do pamiętnego przejścia Berezyny, z tą różnicą że tam ujęcie poządane, prawie niepodobne, dokonaniem zostało wbrew przeszkodom, a nieprzyjaciół wycieńczony nie mógł popierać pogoni; tu zmuszenie do opuszczenia placu równało się największemu zwycięstwu dla niezmiernie silnego nieprzyjaciela. Walka niepo-

dobna i nierówna w przedmieściach Lipska trwała od rana kilka godzin, książę Poniatowski ustępował krok za krokiem walcząc, nie mogąc iść dalej dla niezmiernego natłoku, odpierając co chwila następujących nieprzyjaciół, sam nawet z przybocznymi swymi nacierał na nich z orężem w rękę, a bohaterowie ci ostatni bitwy lipskiej w każdy sposób uledez musieli. Wypadek, w zamieszaniu takim prawie będący nie do uniknienia, sprawił nieszczęśliwie, że most wysadzonym został w powietrze, pierwszej nim ostateczna zachodziła potrzeba, a huk straszny wybuchu miny oznajmił pozostałym, że ich czeka tylko śmierć albo niewola.

Poniatowski już dwa razy lekko ranny 10go i 16go, po raz trzeci kulą karabinową w lewe ramię ugodzonym został przy osobistem natarciu na nieprzyjaciół, nie dał się opatrzyć, zstąpić z konia i zejść z miejsca walki nie chciał, cały zajęty toczącym się bojem, z oczyma krwią nabiegłemi, gotowym był do ostatecznych wysileń, i wtedy to wyrzec miał te pamiętne słowa, „Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu samemu go oddam,“ które się stały godłem jego w pamięci narodu. Kiedy fatalny wybuch wskazał kres usiłowań w celu przedłużenia dla wojska czasu do wychodu z miasta, już tylko szukać można było szczęśliwego trafu, aby jakim sposobem ująć niewoli. Rzucił się więc książę Józef w bok, z kilku oficerami przebił się przez przedmieścia i przez rozsypanych już strzelców nieprzyjacielskich, ale nowy postrzał w plecy odebrał. Dobiegłszy do Pleissy wskoczył w nią i na drugim brzegu przez towarzyszących mu wydobyty był, koń jednakże w wodzie pozostał. Wsiadł osłabiony już na innego konia, którego mu podano, i dążył dalej ku Elsterze, już także obsadzonej strzelcami. Skoczył powtórnie w rzekę, — i zniknął!

Ten rys ostatniego boju i śmierci księcia Józefa skreślonym jest według opowiadań wojskowych, którzy byli w bitwie pod Lipskiem, ale aż dotąd więcej szczegółów opisanie tych dni i godzin, do których Polak rzewną pamiętkę przywiązuje, nie znamy. I dziwić się trzeba temu, że tak mało wiadomych jest okoliczności, mogących uprzytomnić je, oraz imion tych, którzy towarzyszyli wodzowi w owych chwilach ostatnich, a te opowiadania, które istnieją, są niejasne i niedokładne. To, co pułkownicy Kicki i Sierakowski podali najpierw do

gazet warszawskich, jest tak niedokładne i tak mało da się pogodzić z opisami katastrofy lipskiej zkądinąd znanymi, że zupełnego wyobrażenia rzeczy z tego źródła powziąć nie można. Jakim sposobem książę w ostatniej chwili nie znalazł pomocy, gdy osłabiony na siłach wpływem krwi i trudem sam ratować się nie mógł? kto byli ci, którzy go do ostatniej chwili otaczali? którzy oficerowie polscy przepłynąć wraz z nim chcieli rzekę i zginęli? nie wiadomo. Wszakże oficerowie otaczający księcia, mniej więcej od wszystkich byli znani. Wiadomo tylko, że ten, który najbliższy rzucił się za nim do wody i chcąc go ratować zginął, był Francuz w wojsku polskim, zwał się Hipolit Blechamps, rodem z Havre, dopiero 24 lat mający, był kapitanem adjunktem sztabu głównego wojska Księstwa Warszawskiego. I do tego czasu to jedno wierne imię pozostało przywiązane do wspomnienia śmierci szlachetnego wodza.

Przez pięć dni nie wiadano nic pewnego o losie księcia Józefa, dopiero na dniu 24 października rybak jeden znalazł w wodzie zwłoki, które po mundurze poznanemi zaraz zostały. Zebrani w Lipsku monarchowie kazali uczcić je obchodem pogrzebowym, należnym najwyższego stopnia wojskowemu. Obcy oddali mu tę cześć, a dwieście przeszło oficerów polskich, wziętych w niewolę, towarzyszyło obchodowi ze łzami, które jeśli kiedy, to natenczas wojskowej twarzy ujmą nie czyniły. Roźniecki generał, przed wyjazdem z Lipska wracając do kraju, w ogrodzie Reichenbacha, później Bethmana zwanym, blisko miejsca, o którym wieść była, że tam książę Poniatowski wskoczył do Elstery, pomnik mu wystawił i sobie zarazem w napisie, który na nim położyć kazał.

Polska długo wierzyć nie chciała tak spełnionej mierze nieszczęścia swego. Warszawa wojskami rosyjskimi zajęta, najmniej oswoić się mogła z tem, że książę Józef zginął; opuszczony dom jego „pod blachą,” więcej jak Zamek królewski, który już przechodził był koleje zmiennego losu, przemawiał teraz tem, że przeszłość miała być pogrzebaną pod ziemią, przeznaczoną na uprawę nowej zupełnie epoki. Pierwszy żal potrzebował wylania się, w drukach nie mógł się okazać, ale pozwolono nabożeństwem we wszystkich znaczniejszych miastach obchodzić pamięć księcia, jako jednego ze zna-

komitych obywateli kraju. W Warszawie pierwsze takie nabożeństwo odbyło się 19go listopada w kościele św. Krzyża, w asystencyi gwardyi narodowej i żandarmeryi departamentowej, w obecności gubernatora rosyjskiego Łańskoja, Nowosilcowa i innych generałów rosyjskich. Obecny był także książę Adam Czartoryski. Płynęły łzy prawdziwego żalu. Wspanialszy obchód pogrzebowy dała Warszawa swemu księciu w dzień miesiąc później. Jeńcy polscy z pod Lipska, generałowie i oficerowie z oddziałami żołnierzy, za wolą sprzymierzonych monarchów już z Lipska puszczeni byli wolni do kraju swego, tylko na słowo honoru; ale dopiero po zupełnem pokonaniu Napoleona, cesarz Aleksander wzięwszy Polaków w swoją opiekę i nagradzając ich męstwo wspaniałem uznaniem waleczności i poświęceń dla ojczyzny, zagrzewając ich pełnemi znaczenia nadziejami, resztę wojsk narodowych, które Napoleonowi wierni pozostali do końca, nie jako jeńców, ale jako wojsko polskie wyprawił do ojczyzny.

Wracały zbrojne hufce polskie z Francyi pod dowództwem jen. Wincentego Krasińskiego, wyznaczonego na to przez w. ks. Konstantego, który już wodzem wojska polskiego się mianował, a oddział z 50 oficerów złożony pod generałem Sokolnickim przez Lipsk idąc, zabrał z sobą za upoważnieniem i wyraźną wolą cesarza Aleksandra, zwłoki księcia Poniatowskiego, które tymczasowo w grobach miejskich tamże złożone były, d. 19 lipca 1814 r. Odtąd przy coraz jawniej występujących przyjaznych zamiarach cesarza rosyjskiego dla Polski, posypały się obchody i mowy, w których obok wspomnień, wynurzeń żalu i czci dla Księcia, brzmiały szumne i napuszone frazesy, znamionujące smak ówczesny i zwykłą słabość do pochwał narodowych.

Obchodom, od wejścia na ziemię polską orszaku wiodącego zwłoki, towarzyszył powszechny udział i powszechne uczucie. Ponawiały się one w każdym mieście, gdzie orszak się zatrzymywał, aż do Warszawy, gdzie obchód odbyć się miał najwspanialej. Była w istocie, mimo wszystkiego co razić zwykło w przygotowanych długo obchodach, wielka i piękna uroczystość w tym powrocie do swego kraju, po umilknięciu szczęku oręża, reszty wojsk polskich walczących z honorem do końca za sprawę upadłą, a wracających z zachowaniami

swemi sztandarami i znakami, uszanowanych przez zwycięzcę w imię sprawiedliwości, pokoju i braterstwa. Najmniej skłonemu do uwielbienia zamiarów, których skutek rozchwiał się tak prędko pod wpływem okoliczności już wtedy łatwych do przewidzenia, piękną wydać się musi ta chwila, choć okryta żałobą, dająca wiele zaspokożenia uczuciu własnej godności i jeszcze opromieniona nadzieją! Przyjęcie orszaku pogrzebowego poprzedziło wejście wojska wracającego z Francji. Dowództwo rosyjskie, naówczas feldmarszałek Barclay de Tolly, urządziło wraz z władzą miejską wszystkie honory wojskowe dla księcia Poniatowskiego, tak, aby ta podwójna uroczystość nosiła na sobie cechę zupełnego zbratania się dwóch narodów we wzajemnym szacunku połączonych. Ale to drzewo braterstwa, które wtędy zaszczipionem być miało, nie zapuściło korzeni, jakkolwiek piękne z pozoru i nawet jakkolwiek pożadanem byłoby było, aby żyć i owoc wydać mogło. Radość nowa, dla której gwiazdą obiecującą wszystkie pomyślności była wielkość i wspaniałość Aleksandra, łączyła się z hymnem pogrzebowym. Radości zginęły nawet pamiątki, a wspomnienie pogrzebu wyrzyło się w sercach narodu, takie jak po ostatnim rycerzu dawnej ojczyzny i takie jak je Niemcewicz w swoim pieniu żałobnem o księciu Józefie zostawił.

Ciało księcia złożonem było tymczasowo w kościele w Woli, 8go września odbyło się wejście wojska, 9 i 10go obchód pogrzebowy. Otaczali trumnę towarzysze broni; wojsko polskie i wojsko rosyjskie, ustawione w ulicach Warszawy; towarzyszyły salwy z dział i ręcznej broni, i co tylko Warszawa mogła naówczas takiemu obrzędowi dać okazałości. Wiele mów powiedziano; ale przy zwłokach w kościele św. Krzyża przemówił Woronicz z wysokiem namaszczeniem i gorącą miłością, Linowski z wytrawną myślą polityczną i śmiałością poglądu na stan rzeczy. Te dwie mowy były godnemi takiej wzniosłej chwili, i dają wraz z trenem Niemcewicza, dla potomnych, dźwięk prawdziwy serc i dusz owego czasu.

Nakoniec w roku 1816 zwłoki księcia Józefa złożonemi zostały w grobach królów polskich w katedrze krakowskiej na Wawelu. Z polecenia cesarza Aleksandra, Senatowi Rzeczypospolitej krakowskiej, utworzonej w r. 1815, powierzonym został zaszczyt czuwania nad ostatecznem ich pomieszczeniem.

Spoczywa książę Józef tam, gdzie nie dostał się stryj jego Stanisław, który polską nosił koronę, a imię będące przypomnieniem smutnych dziejów upadku, z rzewną czią widzianem jest obok prochów królewskich, dostąpiwszy królewskiej godności przez rycerskie cnoty i oddanie się ojczyźnie.

Testament księcia Józefa otworzonym był w Warszawie w grudniu 1813 roku, zrobiony przed kampanią moskiewską z datą 28 marca 1812 r. w języku francuskim własnoręcznie napisany. W nim siostra pani Tyszkiewiczowa została ustanowiona uniwersalną sukcesorką, z wezwaniem, aby spłaciwszy długi, nowych nie robiła. Sługom wszystkim wypłacić polecił sześciomiesięczną płacę, a trzechletnią tym, którzy od 15 lat służyli; tym zaś, którzy służyli dłużej, dożywotnią i hipotecznie ubezpieczoną, żądając także, aby ci, którzy poprzednio zostawali w usługach matki, króla, prymasa lub siostry, mieli policzone dawniejsze lata służby. Testament zawierał dalej legata: Michałowi Michałowskiemu, Chmielnickiemu i Józiovi Ponitckiemu, dwom pierwszym po 10, ostatniemu 15 tysięcy dukatów wraz z funduszem na jego wychowanie rocznie płacić się mającym. Pani Vauban 15 tysięcy dukatów i zegarek służący mu do użytku, z temi wyrazami: „jako bardzo słaby dowód przychylności i wdzięczności, które serce moje jej poświęciło, a która nawet ze zgonem się nie skończy.“ Glazerowi (kasyerowi, dawniej kamerdynerowi) oprócz tego co z prawa mu przypadać będzie, 2000 dukatów „jako dawnemu i dobremu słudze.“ Konie i broń puścić polecił na losy przez loteryą, rozdając bilety między tych współtowarzyszów broni, „którzyby życzyli sobie mieć upominek po mnie i każdy wygraną niech zachowa na pamiątkę.“ (To rozporządzenie nie zostało wykonanem; broń, między którą była część broni dawnej i kosztownej, leżała do r. 1831, a potem przez Moskali zabraną została). Oprócz pomniejszych jeszcze zapisów i 200 dukatów dla ubogich warszawskich, testamentem darowaniami zostały rolnikom w dobrach wszystkie zaległe należitości i dawane awanse, zaś należąca księciu zaległość gaży wojskowej przeznaczona do rozdania żołnierzom w wojsku: „pour qu'ils se donnent un bon quart d'heure, et encore un petit coup en mon intention.“ Nareszcie ostatni punkt testamentu obejmował przeznaczenie dóbr Jabłonny pod Warszawą, po śmierci

siostry, dla pani Aleksandrowej Potockiej (później Wąsowiczowej), która była jego siostrzenicą po siostrze stryjecznej.

Pamięć księcia Józefa życia i śmierci jeszcze była świeżą, szczególnie między wojskowymi towarzyszami broni, kiedy powzięto myśl uczczenia jej pomnikiem w Warszawie na placu publicznym wystawić się mającym. Linowski, książę Adam Czartoryski i stary generał Mokronowski zawiązali pierwsze grono i wydali odezwę do składek w kraju. Trzy epoki zdawały się być wyobrażone w tym gronie. Linowski choć nie należał głównie do epoki księstwa warszawskiego był w owej epoce najbliższym księcia Józefa i jako egzekutor testamentu rodzinę jego przedstawiał. Mokronowski przynosił wspomnienie dawnych bojów Rzeczypospolitej; nowa epoka czuła też już potrzebę przeciwstawienia obecnemu porządkowi rzeczy, przeszłości pełniejszej chwały, niż ją dowództwo Wks. Konstantego nowemu wojsku obiecywało; czuła powód do prowadzenia ożywającej cichej narodowej opozycji przeciw wpływowi ustalającego się porządku rzeczy. Cesarz Aleksander dał pozwolenie uczczenia ks. Józefa pomnikiem, pozwolił wybrać plac, na którym pomnik byłby postawionym, nie miał nic przeciw temu, aby miejscem ku temu było jedno z najokazalszych w Warszawie, plac Krasińskich. Mikołaj zmienił to postanowienie, przeznaczył plac przed pałacem Namiestnikowskim (dawniej Radziwiłowskim) w części między kratą a ulicą Krakowskie przedmieście. Po śmierci Mokronowskiego 1821 r. utworzył się liczniejszy komitet pod przewodnictwem księcia Adama Czartoryskiego, z ludzi, którzy prawie wszyscy zajmowali najwydatniejsze posady w rządzie i kraju królestwa Polskiego, składki i fundusze były wystarczające do wykonania zamiaru; przez lat 15 niezdolano go jednak wykonać i cały ten zamiar, z całym przygotowaniem wykonania, z funduszami zebraniem, przepadł w ogólnem wstrząśnieniu, które pochłonęło wszystkie korzyści jakich kraj w owej jeszcze epoce używał. Gdyby pomnik był już stał na miejscu swoim w chwili wybuchu r. 1830, byłby był trudniejszym do skonfiskowania, przecież gdyby był pozostał, byłby także nader obcym w tak zmienionej lat 40 później Warszawie, chyba by w tych nowych nader smutnych czasach usłużył mu był charakter zupełnie beznarodowy, jaki Torwaldson nadał postaci bohatera, przy której napis tylko

i projektowane płaskorzeźby podstawy mogły przypominać Warszawie tego który w pięknych swoich chwilach był jej chwałą i ozdobą.

Komitet zawarł z Torwaldsonem umowę o zrobienie modelu roku 1818. Sławny rzeźbiarz niechciał żadnym sposobem podjąć się zrobienia posągu inaczej jak w postaci rzymskiego wodza ubranego podobnie jak Włodzimierz Potocki jego dłuta stojący w katedrze krakowskiej. Chociaż postać na koniu wielkości kolosalnej wymagała nawet dla Torwaldsona studiów i dłuższej pracy, żadnym jednak sposobem robota niepowinna była wbrew przyrzeczeniom i terminowi kontraktu przeciągnąć się do lat 10. W roku dopiero 1829 morzem z Rzymu do Gdańska nadszedł model a w r. 1830 oglądała Warszawa złożony i wystawiony ten model z gipsu odlany. Wielkość dzieła, siła i piękność kształtów były imponujące, koń piękny przypominał konia Marka Aureliusza na Kapitolu, w tej samej spokojnej postawie. Toż samo jeździec z wyciągniętą prawą ręką krótkim rzymskim pałaszem uzbrojoną. Spokojność i powaga były w twarzy, nic nie przypominało księcia Józefa jakim był, mianowicie w boju i jakim byłby go pojął artysta narodowy, gdyby w owym czasie była jakakolwiek możność oglądania się za takim artystą. Nie było nikogo coby nawet pomysł był rzucił do innego wyobrażenia. Mimo zalet dzieła pod względem sztuki, zimnym on zostawiał patrzącego, nie jedna łza popłynęła tam przed tym wystawionym na widok publiczny posągiem gipsowym, była to łza dawnego towarzysza broni, wzbudzona myślą o nieszczęśliwym i walecznym wodzu, którego postaci w dziele wielkiego mistrza szukał nadaremnie.

Jeszcze tegoż roku 1830 zaczęło się odlewanie posągu i przeciągnęło się przez 1831, kończyło się dopiero w końcu roku po stłumieniu powstania; zawarty z odlewaczem Grégoire Francuzem kontrakt zniewalał go do ukończenia dzieła. Jakoż odlane, złożone, wykończone, stanęło w pracowni bronzownika zanim rząd rosyjski wdał się w tę sprawę. Dopiero r. 1834 nakazano wstrzymać wszelką dalszą czynność, wydać rządowi resztę funduszków i papiery komitetu. Posąg sam nocą wywieziony został do twierdzy Modlina, nazwanego Nowogiegorgiewskiem, podobno później darowany Paskiewiczowi jako trofeum

zdobytej przez niego Warszawy, dostał się do dóbr jego Homla w gubernii Witebskiej czy Mohilewskiej.

Księciu Poniatowskiemu pozostał inny pomnik jeśli nie trwalszy od spiżu to również piękny jak dzieło któregośkolwiek znakomitego artysty. Imię księcia Józefa i wyobrażenie o nim zostało w pamięci narodu tak powszechnie przedmiotem umiłowania i współczucia, że z pośród zwalisk pogrzebionej Ojczyzny stoi ta postać szlachetna jako jeden ze skarbów narodowych, jedno ze światel ostatnich gasnącej sławy narodu. Rycerski, ludzki, bezinteresowny, wierny, książę Józef jest ulubionem wyobrażeniem, a postać jego ulubionym obrazem wojownika, zagrzewającym do poświęcenia za ojczyznę. W pośrodku między dwoma wiekami, dwiema epokami Polski, dawnej ginącej z bronią w ręku i nowej budzącej się zbliżony do tronu a ostatecznie żołnierz tylko swego kraju, nieprzeżył fatalnej chwili rozwania najpiękniejszych nadziei którym służył; walcząc dla tych nadziei zstąpił do grobu jak cały okres czasu w którym przywodził hufcom narodowym. Czy w ostatniej chwili wyrzekł, czy nie, owe słowa znane „Bóg mi powierzył honor Polaków“ które mu przypisują, to z pewnością honor polskiego wojska w osobie jego wodza nienaruszonym historyi przekazał.

F. P.

JAŚ, JAKICH WIELU.

(NOWELLA)

przez **Z. D.** ¹⁾.

I.

— Niech żyje Jaś! Sto lat niech żyje! Najlepszy kolega, przyjaciel — zdrowie Jasia!

I toasty jedne po drugich wznosiły się na cześć bohatera dnia, który uroczyste obchodził dojsście do pełnoletności, i mając nazajutrz opuścić uniwersytet i miasto, żegnał nas gorącym słowem i szklanką ponczu. Siedział przed ogromną wazą, do której jeden z kolegów, mistrz w przyrządzaniu ponczu, wlewał wino, arak, wciskał pomarańcze i cytryny, co wszystko ginęło jak w otchłani.

Twarz Jasia, rozpromieniona wzruszeniem, wychyliła się z chmury gęstego dymu i serce jego widocznie wezbrało uczuciem na widok tylu przyjaciół zebranych u jego stołu; wstał, podnosząc w górę szklankę dymiącego napoju.

— Bracia kochani! — zawołał w rozczuleniu, rozszerzając ramiona, jakby w nie chciał ująć ludzkość całą.

— Jasiu — przerwał Henryk, cały zatopiony w swej robocie — zabrakło wina, pošlij Kurtę po wino.

¹⁾ Aut. "*Pierwszej Próby*" drukowanej w Przeglądzie Polskim z grudnia 1876 i stycznia 1877. (P. R.).

Jaś spełnił polecenie, poczem znowu w górę podniósł szklanę:

— Kochani bracia! — zaczął znowu od początku, ale nie natchnienia już była przerwana; wymowę miał zwykle tak ciężką, że gdy się zastanawiał nad tem, co powiedzieć, najczęściej zapominał to, co było do powiedzenia.

— Tak, bracia kochani! — powtórzył raz jeszcze, wychylił szklanę duszkiem i z trzaskiem na stole postawił.

Śmiech serdeczny zawtórował tej improwizowanej mowie.

— Kogoś na mównicę! — zawołano — kogoś na mównicę, potrzeba nam mówki!

— Niech Albert mówi — rzekł usuwając się Jaś i wskazując na brata, który trochę na uboczu siedział, nie bardzo żywy współudział biorąc w przyjacielskiej uczcie.

— Ja?.. miałbym mówić po tobie, wielki mowco i retorze? — ironicznie ruszył ramionami Albert.

— Dajcie pokój Albertowi! — zawołałem — on tylko z hrabiami umie mówić.

— I z żydami — mruknął ktoś z boku.

Albert gniewnie spojrzał na mówiącego, ale usta przyciął i nic nie odpowiedział.

— Więc Henryka na mównicę! — zawołano, wskazując kolegę, który poncz gotował.

— Wiecie dobrze, moi najserdeczniejsi — odparł zagadnięty, że ja mistrz w piciu, ale nie w gadaniu; pijcie, chwalcie mnie i dajcie mi pokój.

— No, to ty mów, Zygmunco!

— Dajcież i jemu pokój — krzyknął Henryk — gdyby tu zamiast nas siedziało kilkanaście kobiet, toby potrafił wyciąć mówkę nielada, prawda Zygmuntku?

— Z kobietami nigdy długo się nie mówi! — odparł Zygmont, zakręcając impertynencko wąsika i rozkładając się jeszcze wygodniej na ceratowej czarnej sofce — a z wami najlepiej nie.

— Więc Cenzora na mównicę, gdzież Cenzor? gdzie Juliusz?

Do naszej młodzieńczej szajki brakowało w tej chwili jeszcze jednego: od czasów szkolnych i uniwersyteckich nazywano nas zawsze „piątką“, bo trzymaliśmy się razem; Jaś,

Henryk, Zygmunt, ja i Juliusz tworzyliśmy rodzaj dworskiej kamarylli i rządzącego ministerium, na czele którego stał Jaś; ja tam byłem głosem doradczym; Juliusz, najtęższa głowa, był niejako ministrem oświaty; Zygmunt, chwat i piękny jak Antinous, regulował nasze stosunki z zagranicą, z kobietami; Jaś kosztem swoim reprezentował finanse, a Henryk był naszym ministrem bez teki, piątem kołem u wozu, przyczem podobno najlepiej wychodził.

W chwili, gdyśmy spostrzegli nieobecność Juliusza, wszedł on sam, zamyślony, jak zwykle, z zachmurzonym czołem; pochwyciliśmy go w jednej chwili w ramiona i postawili na stołku, nie zważając na to, że był o trzech nogach, a czwarta kulawa podparta była leksykonem. Juliusz przecież na tym niepewnym gruncie uczuł się odrazu jak u siebie, stał bowiem wyżej od innych.

— Czegóż chcecie?.. — spytał, nie nie spuszczać z powagi.

— Mow! mow! — zawołano — ty jeden godzien jesteś być naszym organem, żegnamy dziś Jasia, mów coś, coby nam serca rozgrzało, coby nam na zawsze zostało w pamięci.

Juliusz odchrząknął, pogładził łysawą nieco czuprynę, obejrzał się po zgromadzeniu i zaczął mówić, jak gdyby w improwizowanym natchnieniu:

— Zebrani w jedno koło bratnie żegnamy cię dziś, najdroższy przyjacielu! żegnamy na progu nowego życia; wszyscy niezadługo rozprószywszy się po świecie, każdy z nas próbować będzie siły swych skrzydeł i będzie chciał w rzeczywistość obracać ideały, które naszą młodość wykarmiły. Stoi przed nami duch nieznany, duch zaiste piękniejszy od anioła Gabriela, którego niegdyś Bóg zsyłał jako zwiastuna dobrych wieści. Witaj nam duchu młodości! wolność, ojczyzna, szczęście ludzkości, wszystkie te słowa brzmią, gdy się przybliżasz, jak struny liry, są jakby szumem twoich skrzydeł. Łzy twoich oczów zapładniają ziemię, a w dłoni trzymasz palmę męczenników! Twoje słowa oczyszczają powietrze, którem oddychasz, a lot twój tak prędko, że nikt powiedzieć nie może, kędy popłyniesz! Raz tylko w życiu widzimy cię przelatującego nad nami, o duchu wielki! A zatem bracia korzystajmy z chwili, nie dajmy zniknąć bez śladu temu aniołowi młodo-

ści; pókiśmy młodzi, czerpmy siły i ognia do spełnienia wielkich czynów, kochajmy się, niech naszym hasłem będzie poświęcenie! —

Rzęsiste oklaski przyjęły mowę Juliusza; jedyni profani, jacy byli między nami, opuścili już byli zgromadzenie. Albert, żyjąca krytyka, byłby nam może powiedział, że Juliusz dlatego spóźnił się o pół godziny, aby się na pamięć wyuczyć kilku słów znanego poety, i zręcznie go sparafrazować, ale Albert ziewnąwszy przed chwilą, wyszedł z pokoju. Henryk zaś, sceptyk i niestworzony na męczennika, zasnął nad ponczem. Zostaliśmy więc sami młodzi, pełni wiary, zapału, porwani mową Juliusza, poruszeni do głębi duszy słowami, które ognistemi zgłoskami zapisane są w dykcyonarzu młodości, słowami brzmiącemi pięknie: miłości, poświęcenia! Ktoś zaintonował pieśń, której kilkanaście zawtórowało głosów; ktoś inny głośno krzychał: Ode do młodości! — powstała wrzawa, stukanie krzesłami, brzęk szklankami, krzyki, śpiewy i głośne wiwaty. Jan był w uniesieniu, oczy jego łzami zaszyły, a jeżeli anioł młodości był wtedy rzeczywiście między nami, to tę łzę serdeczną, pocziwą i szczerą musiał zanieść przed tron Boga...

Nazajutrz jak świt, Jan był już u mnie; ranne wizyty wchodziły w program naszych zwyczajów powszednich, naszego pokrewieństwa i koleżeństwa od lat dziecinnych. Jan przyszedł mi oznajmić, że dziś jeszcze wyjeżdża z bratem na wieś i zabiera mnie z sobą; to zaproszenie niebardzo było mi na rękę; wprawdzie nie miałem chwilowo nic lepszego do roboty, jak zapolować w lasach Jasia i odpocząć po egzaminach, ale to mi szło nie w smak, że Jan dotąd nie mieszkał sam, lecz z Albertem, którego nigdy nie lubiłem.

Wspólne mieszkanie braci wpływało z układów rodzinnych.

Kosowo był to wielki i ślicznie zagospodarowany majątek, który bracia odziedziczyli po rodzicach i na którym Albert sam gospodarował aż do dojścia do pełnoletności młodszego brata, którego był opiekunem. Jan więc dotąd nie był właściwie u siebie, i to było przyczyną, czemu nie odrazu przyjąłem uprzejme zaproszenie.

Jan użył całej swojej wymowy, aby mnie przekonać.

— Albert, a ja — mówił — to jedno; nie wiem, jakie tam masz przeciw niemu uprzedzenia, ale to rzadkiego charakteru chłopiec; i moich przyjaciół z pewnością za swoich uważa. Zapewnił mnie, że sobie nie przeszkadzać nie będziemy, wyznaczył mi zupełnie osobne mieszkanie, gdzie was będę mógł gościć i przyjmować. No, Józiu przystań... mów, że przystajesz, wszyscy koledzy mi się obiecali, cała „piątka“ musi się zebrać u mnie.

— I mówisz — rzekłem, zaczynając się powoli ubierać — że będziesz miał osobne mieszkanie i twoi goście nie będą zmuszeni znosić złych humorów Alberta, ani patrzeć na zadarty nos jego książęcej mości?

Miedzy kolegami starszy brat Jana przezwany był księciem.

Jan zaręczając, że mi będzie dobrze, zaczął mi gorliwie pomagać w ubraniu, podał stłuczone lustro, powiesił na oknie i krzątał się koło mego ubrania, porozrzucanego po całym pokoju. Musiałem przystać na jego prośby, i po kilku godzinach jechaliśmy już traktem wiodącym do Kosowa. — Albert siedział przy mnie otulony w futro, Jaś jak zawsze wybrał najgorsze miejsce na koźle.

Twierdzenie Jasia przed chwilą, jakoby „Albert a on to jedno,“ nie było zupełnie dokładne; owszem trudno było znaleźć na świecie dwóch istot mniej do siebie podobnych: Albert o tyle był ciemnym brunetem, o ile Jaś jasnym blondynem, miał rysy cienkie, ostre, czy czarne, bystre, zasłonięte brwią gęstą, mało piękności ale *fizyonomii* dużo; przeciwnie twarz Jasia była otwarta, serdeczna, czy błękitne, cera rumiana, należał do tej niezliczonej rodziny Janów i Józefów, którzy na polskim gruncie rosną jak kłosa żyta, jeden do drugiego podobny.

Albert o tyle był przekonany o swej wyższości nad resztą śmiertelników, o ile Jaś chętnie ustępował każdemu pierwszego miejsca; jeżeli zaś, jak bajka mówi, z dwóch braci jeden koniecznie musi być mądry drugi głupi, nie wiem któremu z tych dwóch przyznać mam przymiot rozumu — Albert przynajmniej tak jest pewny swego rozumu, że się tą pewnością narzuca ludziom, którzy rzadko pytają rozumu o pasport, byle przeszedł granicę i utrzymał się na gruncie. Albert raz

uznany za rozumnego mógł nawet rozmaite robić głupstwa, które szły na karb młodości. W szkołach jeszcze przezwano go „księciem“ za to, że zawsze strzegł swej czapki, aby się nie zamieniła z czapką którego „z hołyszów“, że się kłaniał z góry albo wcale nie, że wreszcie był po kądzieli wnukiem jakiegoś księcia, i to pochodzenie spać mu nie dawało. Mimo to wszystko, tak głośno gadał, tak szeroko się rozpierał, że nie przestano wierzyć w jego rozum — a Jaś dostał przezwisko, brzydkie szkolne przezwisko „głupiego.“ Za co? — czy za to, że się o swoje prawo nigdy nie dopominał kułakiem, ani pięścią, że wszystko co miał, to rozdarował i kieszeń jego była kanałem, którędy rodzicielskie dukaty spływały na uboższych? Czy dlatego, że Jaś poczciwy urodził się z pewnym odcieniem donkiszoteryi, i że jak ów podróżny, który w pustyni znalazł niepotrzebny wór pereł zamiast potrzebnej kaszy, on miał wszystko co cenne, serce, uczucie, rozum nawet, a nic z tego, co potrzebne w świecie: silna wola, prosty chłopski rozsądek, spryt, szczypta egoizmu i przebiegłości.

Rozmyślałem nad niesprawiedliwością sądów ludzkich, podczas gdy rażna czwórka unosiła nas prędko po gładkim trakcie. Może cygara? przerwał Jaś moję zadumę, podając porte-cigarre stare, zniszczone, owoc zapewne jakiego handlu z przyjacielem. Albert uprzejmie wyciągnął swoje, bardzo wykwintne, z czarnej skórki, z błyszczącym monogramem. Zapaliłem cygaro, i dym błękitny nieco rozwiął moje smutne myśli i żal do losu, że Jasia tak źle zewnątrz uposażył.

— Może zresztą — myślałem — znajdzie się ktoś, co się pozna na jego wartości, który go rozgrzeje ciepłem swego serca. I mimowoli wspomniałem postać mej siostry; na tem tle byłbym snuł dalej cały romans, ale właśnie wjeżdżaliśmy w aleę żwirem wysypaną, obsadzoną kasztanami, która prowadziła do dworu.

Znałem już dawniej dwór kosowski i zawsze podziwiałem jego budowę: było staropolski dom, obrachowany na wygodę i trwałość, z ogromnemi murami, w których okna i drzwi ginęły tajemniczo, obrośnięty winem aż po drugie piętro, z ganeczkami opartymi na słupkach kamiennych. Ze zdziwieniem spostrzegłem odmiany przez nowego właściciela zaprowadzone: cała fasada była na świeżo odmalowana olejnym

pokostem, nad drzwiami i oknami wyrzeźbione herby rodzinne, i co dziwniejsze, z jednej strony domu wznosiła się lotna wieżyczka, w niczem nieodpowiadająca stylowi całości, z drugiej strony kilkunastu robotników pracowało nad nowem skrzydłem pałacu, który zapowiadał być w nieokreślonym stylu, najbardziej jeszcze zbliżonym do maurytańskiego. Te zmiany były dla nas prawdziwą niespodzianką. Albert zsiadłszy z bryki i zrzuciwszy przybory podróże, rozgoszczony w swoim pokoju, dał nam słowo zagadki.

— Żenię się — rzekł, ziewając od ucha do ucha.

Jaś z nadzwyczajnem wzruszeniem przyjął tę wiadomość.

— Albercie! — zawołał, rzucając mu się na szyję — żenisz się, a ja nic o tem nie wiedziałem, ja? twój brat? ja, co cię tak kocham...

— Więc właśnie komunikuję ci tę wiadomość.

— No, jak? z kim? czy ładna? młoda? czy cię kocha?

— Mój drogi, nie masz co tak krzyczeć, nic się nie stało, dom się nie pali.

I po chwili dodał: Panna Cetwińska, matka jej Jabłowska, posagu trzykroćstotysięcy.

Jasiowi trochę mina zrzedła; znaliśmy trochę pannę Cetwińską, kokietkę, nieładną i w dodatku dobiegającą już trzydziestki.

— No, kiedy ją kochasz — mówił Jaś w formie epilogu, na co Albert niecierpliwie machnął ręką — wszystko dobrze, kiedy ją kochasz...

Poszliśmy po chwili do mieszkania Jasia; marszałek Alberta oprowadził nas wszędzie. Apartament stanowiły trzy pokoje w oficynie, z nadzwyczajnym komfortem urządzone, i kilka pokoi gościnnych, którym także nic nie można było zarzucić. Jaś niezepsuty pod względem wygody, z nadzwyczajną radością objął w zarządy nowe królestwo.

— Starszy pan sądził, że jaśnie pan będzie zadowolony — mówił marszałek, i po chwili milczenia pełnego godności: Jaśnie pan rozkaże obiad u siebie, czy w pałacu?

— Wszystko jedno — odparł Jan nieumiejący rozkazywać — róbcie, jak dogodniej, jak pan Albert każe.

Po wyjściu marszałka rzucił się na kanapę, rozglądając się wszędzie z zadowoleniem, a gdy wkrótce Albert wszedł,

w najżywszych wyrazach oświadczył mu swą wdzięczność. — Albert przyjmował te podziękowania z godnością granda hiszpańskiego.

— Będzie mi żal opuszczać te kąty — mówił Jaś, krzątając się koło rozpakowanych kufrów.

— Dlaczegoż masz je opuszczać? — spytał brat starszy.

— Pewnie, że mi tu będzie bardzo dobrze, czegoś mi tu brak, chyba ptasiego mleka?.. ale trzeba pomyśleć o jakimś zajęciu, sam nie wiem jeszcze, na jaką się karierę zdecydować, i w tych dniach musimy o tem dłużej pomówić.

— Musimy — bąknął Albert, otaczając się kłębami dymu.

— U kogoż jak nie u ciebie znajdę radę, której mi tak trzeba; to taka ważna chwila w życiu człowieka wybór kariery, jeden krok fałszywy wiele innych za sobą pociągnie; sam nie wiem, coby korzystniej było: czy gospodarować? na to mam wielką ochotę; czy może wrócić do miasta i urzędować? kraj teraz potrzebuje urzędników...

Albert milczał, wciąż otoczony kłębem dymu, jak Jowisz gdy się chciał zakryć przed oczami śmiertelników.

— No — rzekł wreszcie, wstając — pomówimy o tem mój Jasiu, w tej chwili nic pilnego nie ma; należy ci się trochę odpoczynku, a później będziemy radzili. Obciałem się ciebie o coś spytać... a prawda, czy lubisz polowanie?

— Ba! — zawołał Jaś — to moja namiętność.

— No to zapolujmy w tych dniach, z naganką chcesz? polowanie mówię ci doskonałe, takich lasów nie znajdziesz w całej okolicy.

Tego samego wieczora zjawił się leśniczy, nisko kłaniając się u progu, z zapytaniem, czy „jaśnie pan nie ma jakich rozporządzeń co do polowania?“ Jaś uradowany wdał się z nim w długą pogawędkę; potem wszedł strzelec w zielonej kurcie, oświadczając, że „nasz pan kazał, aby wszystkie konie, sfory psów, strzelby były na rozporządzenie jaśnie pana.“ „Naszym panem“ był Albert, „jaśnie panem“ Jaś; cała służba odebrała widać instrukcje, jak ma z młodszym panem postępować, z największym respektem i uniżonością, ale trochę jak z obcym, jak z gościem.

Albert posunął uprzejmość do ostatecznych granic, sam listownie zaprosił przyjaciół brata na cały sezon polowania, czem odrazu zyskał sobie serce i tak już otwarte Jasio. Byłby nas bardzo zadziwił, ktoby nam był początek tych wszystkich grzeczności Alberta wskazał w owej murowanej wieżyczce i maurytańskim skrzydle pałacu; ale niestety! tak było. Albert mając się żenić, wykosztował się prawdziwie po polsku; nie tylko odnowił dom i przebudował na pałac, ale do pałacu zastosował salony, do salonów meble, do mebli służbę, do służby konie, a do koni pojazdy i t. d. Zaszczepny alians z rodziną panny Cetwińskiej, której matka była Jabłonowska, wymagał niejakiego wysilenia w zbytkach; więc gdyby w tej chwili Jaś był się dopominał o swoje prawo, o spłatę lub wydzielenie kilku folwarków, byłby brata w dziwny kłopot wprowadził.

Zaczął się wtedy między braćmi rodzaj walki pociemku, w której przeciwnik nie widzi przeciwnika, nie widzi ręki, która na niego godzi. Jaś niewinny i niepodejrzujący nic złego, nie krył się z swoim zamiarem, pozwalał, aby mu w karty zaglądano; rozmyślał ciągle o wyborze karyery, wahał się między gospodarstwem a urzędowaniem, jak Herkules wahał się na rozstajnych drogach między cnotą a rokoszą, albo, prościej mówiąc, jak ów osieł z bajki, niewiedzący co skubnąć, owsa czy siana. Albert także się wahał, także nie miał jasno wytkniętego celu; nie chcemy mówić, aby miał odrazu krzywdzące zamiary na brata, ale chwilowo namiętność Jasia do polowania i przyjaciele bardzo mu byli na rękę. — Jeżeli miał wyrzuty sumienia, to je zapewne uciszył, mówiąc sobie: Później... zobaczymy, a posag żony, a dobry rok... eh! jakoś to będzie!

Przypuszczam, że mało kto ze złych ludzi odrazu jest oszustem, ale staje się nim powoli; pierwszy krok nad przepaścią jest zawsze po kwiatach; proces zbrodniczy zaczyna się od lekkiego targu własnego interesu z honorem, z sumieniem, od słabego kompromisu ze złem; jeden krok fałszywie postawiony, jedna chwila niegodnej słabości, a już djabeł podejmuje się reszty.

II.

Musimy się na chwilkę przenieść napowrót do miasta, do maleńkiego buduaru urządzonego wykwintnie i stosownie do ślicznej młodej kobiety, która rozciągnięta na fotelu pali zamyślona mikroskopijny papieros. Jestto pani Matylda, cel westchnień i uwielbień całej młodzieży, z pomiędzy której kronika skandaliczna wyszczególnia dwóch, których już widzieliśmy na uczcie ponczowej: Juliusza i Zygmunta, owego młodzika, który tak impertynencko zaręczał, że „z kobietami nie warto długo mówić.“ Co do Juliusza, możemy zaręczyć, że najczyściejsze intencje powodują tym poważnym młodzieńcem, że nie ma bynajmniej na celu miłości, gdy poszukuje towarzystwa pani Matyldy i ofiaruje jej swoje broszury „o statystyce“ i „o ekonomicznych stosunkach kraju.“ Mąż pani Matyldy jest szefem biura, w którym Juliusz pracuje, jest wpływowym człowiekiem, i młody polityk wie najlepiej, że „przez świętych droga do nieba.“

Jak się rzeczy mają z Zygmuntem, w to już wchodzić nie chcemy. W tej chwili pani Matylda nie myśli o kim innym, jak o nim, a brwi jej ściągnięte świadczą o tem, że to są myśli niewesołe.

Dwa dni już listu nie było? czy się sprzeniewierzył? czy chory? z pewnością niewierny!.. to jest mniej więcej treść długiego monologu, który pani Matylda już od godziny prowadzi; aż wreszcie oczy jej zaiskrzyły się niecierpliwością, zadzwoniła gwałtownie.

— Nie było żadnego listu? — rzecze do wchodzącego kamerdynera.

Na odpowiedź przeczącą pani Matylda dała znak służącemu, że może odejść; zerwała się z kanapy i przechadzała się niespokojnie po pokoju, jak ptak uwięziony w klatce, na próżno szukający wyjścia z więzienia.

Ach! gdyby trzydziestoletnie kobiety wiedziały, ile pisanie listów kosztuje dwudziestoczteroletnich młodzieńców! jaka to dla nich męka, szczególniej dla tych, którzy jak Zygmunt nie mają weny autorskiej, jakato męka pisać rano, pisać w południe, pisać wieczór; pisać o łzach, których się nie wylało,

o westchnieniach, uczuciach i boleściach, o których się nie śniło; bo czegoż tu pisać i płakać? Kobieta wprawdzie lubi ubierać miłość w łzy i mgły cierpienia, ale młodzieniec racjonalniej patrzy na świat i rzeczy, i kochając szczęśliwie, nie widzi powodu do tkliwych lamentów. Pani Matylda nie wie o tem, że Zygmunt, zmęczony całorocznem autorstwem, potrzebuje wytchnienia i ucieka na wieś do przyjaciela, szukając spokoju jak student wakacyj.

Paroksyzm niepokoju doszedł był u pięknej kobiety do najwyższego stopnia, gdy się drzwi otworzyły i wbiegła przyjaciółka Matyldy, panna Adela Cetwińska. Jestto kobieta już lat dwudziestu kilku, nieco zwiędła, włosy jasne jak len, czoło, na którem między oczami rysuje się zmarszczka głęboka; oczy bystre, usta wąskie i ściśnięte robią z niej zjawisko nieładne, ale niepospolite i oryginalne.

Po pierwszych przywitaniach usiadła na małym taburecie u nóg Matyldy.

— I tak? — pyta jej się przyjaciółka — to wszystko prawda, idziesz za mąż za pana Alberta?

Adela dała znak potwierdzający; Matylda po serdecznych powinszowaniach i pochwałach narzeczonego, jakich wymaga grzeczność i dobre wychowanie, zadumała się i mimowoli westchnęła, spojrzawszy na narzeczoną.

Adela nie omyliła się na znaczeniu tego spojrzenia.

— Wiem, że jestem nieładna — ostro się odezwała — i że mnie pewnie bierze dla posagu, niech bierze!

— Kto ci mówi, żeś nieładna? — żywo zaprzeczyła pani Matylda — z tą twoją dziwną fizyonomią można się bardzo podobać; ale! — westchnęła — ale nie myślę ci zaprzeczać, że dla mężczyzny małżeństwo jest tylko niegodnym targiem. I ja jestem ofiarą spekulanta, który żeniąc się zemną, nie mnie widział, ale moje krocie; ja byłam niedoświadczona, i czy uwierzysz? zakochana tak, że wszystko mu pozwoliłam zrobić z moim majątkiem, z którego już ani śladu. Adelciu! strzeż się... strzeż się — mówią, że Kosowo przepyszny majątek, ale...

— O! nie bój się! — cierpko rozśmiała się narzeczona. Pani Matylda była w wojowniczym usposobieniu.

— Adelciu kochana — rzeczy łagodnie — nie bierz mi za złe, że ci chcę odsłonić złą stronę życia. My kobiety, idąc za męża, nie spodziewajmy się szczęścia, ale łez... straszna, straszna niewola.

— I w czymże ty jesteś niewolnicą? — z pewną niechęcią zawołała Adela — mieszkasz w mieście, codzień u ciebie raut od południa do wieczora, męża cały dzień nie ma w domu.

— A! zlituj się, jeszczeby miał mnie trapić swoją obojętnością! i tak żąda odemnie, abym nikogo nie przyjmowała.

— Nie może być? Taki zazdrosny?

— Jak Otello!

— I o kogoż? — nieco złośliwie pyta Adela. — Może zgodnę? pewnie o pana Juliusza? tego zgarbionego w okularach?

— Ach! okropnie! a jest też o co!.. zobaczysz go, o tej godzinie zwykle przychodzi.

— Może o pana Zygmunta zazdrośniejszy?

— Nie — odpowie Matylda, spuszczać oczy — ten rzadko kiedy zagląda... Ale wracając się do twego małżeństwa, czemużbyś i ty nie miała sobie wyrobić swobodnego stanowiska. Przedewszystkiem duszko nie daj się zakopać na wsi, żądaj zaraz od twego narzeczonego, póki jeszcze narzeczony, pamiętaj, żądaj tego, aby cię wywiózł za granicę na jakie pół roku.

— Myślisz? — rzeczy zamyślona Adela, której się ta myśl uśmiechnęła.

Odgłos dzwonka przerwał zamyślenie Adeli i dalsze nauki Matyldy, z których zdaje się Albert nie byłby kontent, gdyby je był słyszał; wszedł Juliusz, zwykły gość o tej godzinie.

— Cóż nowego, kochany ministrze? — przywitała go pani Matylda, wiedząc, że żart jej pogłaszcze go po sercu.

Wielki człowiek lubił Matyldę za to, że go tak umiała ocenić; nieraz też do niej ze zwierzeniami lub po radę przychodził. Pani Matylda zawsze umiała mu dogodzić, radząc mu własną myśl jego.

Tym razem nie szło o nic ważniejszego, jak o to, czy jechać czy nie na zaproszenie Jasia do Kosowa? Juliusz się

wahał; nie polował bowiem nigdy, mając krótki wzrok, i w tej chwili miał wiele roboty, pisał broszurę polityczną.

— No, to chyba nie jedź pan — radziła Matylda.

Ale z drugiej strony można było z tej wizyty ważniejsze wyciągnąć korzyści. Albert i Jan mieli wuja ministra w Wiedniu, należeli do najbardziej wpływowych obywateli w okolicy; można było u nich poznać tego i owego z sąsiadów i zawiązać relacje; za dwa lata przypadały nowe wybory, a Juliusz miał wioseczkę w tamtej okolicy... dalsze następstwa gubiły się już w myśli młodego polityka. Nie przyznał się do wszystkich tych marzeń pani Matyldzie, ale połowy wystarczało.

— No, to chyba jedź, kochany ministrze! — rzekła, tłumiąc ziewanie i zamykając nudziarzowi usta papierosem.

— Sam pan jedzie? — dodała po chwili.

— Nie! — najniewinniej odpowie Juliusz — z przyjaciółmi: z Henrykiem, Zygmuntem... nie wiem, czy ich pani zna?..

To ostatnie imię wielkie wrażenie zrobiło na pani Matyldzie, zapanowała jednak prędko nad sobą.

— To i pan Henryk jedzie! — rzekła, przesuując bransoletkę na rękę — a! to i on jedzie, proszę pana, a gdzież to? do kogoż?

Adela, która dotąd obojętnie słuchała rozmowy, ciekawie spojrzała na Juliusza, gdy ten wymienił Kosowo i brata Alberta, Jana.

— To jest brat?! — rzekła z lekkim zdziwieniem i żywo dodała: Któż tam gospodaruje?

— Bracia do spółki, zdaje się — odparł Juliusz, ze swojej strony zdziwiony zajęciem, które w obydwóch kobietach obudził swoim opowiadaniem. Nastąpiła chwila milczenia: pani Matylda notowała sobie, że Zygmunt pojechał do Kosowa, nie jej nie mówiąc o tem, i przysięgała zemstę; Adela rozmyślała nad wiadomością o tym bracie współdziedzicu Kosowa, o którym nie wiedziała; a Juliusz wieszował sobie, że ma taką porywającą wymowę. Sądziłem dotąd — myślał — że mam tylko wpływ na mężczyzn, ale widzę, że i kobiety bawić umiem!

Nazajutrz Juliusz z Henrykiem i Zygmuntem, który myślał, że w najzupełniejszym wyjeździe incognito, wybrali się do Kosowa. Jan na progu oficyny czekał już na nich z otwartymi rękoma i serdecznie ich przywitał, dziękując, że tak wszyscy mu dopisali.

— Tylko przez przyjaźń dla ciebie — zaręczył Juliusz — wyrwałem się ważnym zajęciom!

— Ja, mój drogi — szepnął Zygmunt — dla ciebie przerwałem rokoszną intrygę.

Henryk jeden przyznał się otwarcie, że go zwabiła do Kosowa sława doskonałego kucharza.

I tak polowanie w Kosowie stało się tylko pretekstem do innego rodzaju polowania; z wszystkich myśliwych może jeden Jaś miał szczerze sarny i zające na oku; Albert polował na grubszą zwierzynę, Henryk na mniejszą, bo na dobre obiady i na kieszeń przyjaciela; Zygmunt szukał wypoczynku; Juliusza zwabiła tu zwierzyna, za którą od młodości gonił: własny zysk i interes. A Jaś pocziwy serdecznie był wdzięczny przyjaciołom i starał się ich jak najlepiej ugościć i zabawić.

III.

W piękny dzień jesienny wracaliśmy wszyscy z polowania. Juliusz nieco zmęczony usiadł na starym pniu dębowym, na skrócie drogi prowadzącej do lasu, i zaczął nas raczyć swą wymową.

— Zawsze myślałem — mówił patrząc na robotników zajętych sprzętem siana — zawsze myślałem, że najpiękniejszym polem dla pracy myślącego człowieka jest lud.

I mówiąc to, powiódł okiem po kamieniach na polu, jak mówca patrzy po licznej zgromadzeniu, chcąc dojść wrażenia wywołanego swą mową.

Dzień już miał się ku schyłkowi; gdzie sięgnąć okiem, widziałeś urodzajne pola, gdzie niegdzie tylko tknięte sierpem żniwiarza, łąki zielone; na ugorze ozłoconym w tej chwili ukośnym promieniem zachodzącego słońca pasło się stado owiec, pasterz w szerokim kapeluszu wygrywał na fujarce nutę, która

musiała zainteresować jego psa, bo patrzył na swego pana i strzygł uszami jakby na znak zadowolenia. Wieś była niedaleko, a w wieńcu wierzb i topoli unosiła się wieża kościelna nad wiejskimi chatami, jak godło wiary, pociechy i ufności w Boga i w niebo. Prawdziwie, to pole ujęte w ramy błękitnych i spokojnych niebios, jakby zapraszało człowieka do pracy, wywoływało w sercu wszystkie uśpione uczucia szlachetne miłości ludzi i wiary w Boga.

— Lud — mówił dalej miarowym głosem Juliusz, przecierając chustką okulary — lud jest tą glebą urodzajną, na którą żadne ziarno nie pada napróżno. Panowie! — tu się zaciął i mimowoli uśmiechnął się z swego roztargnienia. Jasiu, ty jako gospodarz, dbaj o oświatę ludu, a przez to samo podniesiesz dobrobyt kraju. Statystyka dowiodła, że konsumpcya mięsa wzrasta w stosunku do liczby ludności umiejącej czytać. Starajmy się o krzewienie oświaty między tą naszą młodszą bracią; pracuj w roli i podnoś tę rolę powierzoną przez Boga twojej pieczy...

Słowa Juliusza nadzwyczajne wrażenie wywierały na Jasiu. Juliusz zajęty cały dykcją oratorską nie zauważył, że od chwili słuchacz jego opuścił głowę na dłonie i zadumał się głęboko. Po chwili zerwał się zniecierpliwiony, uderzając laską w pień, na którym siedział.

— Masz słuszość Julku — zawołał — pracować trzeba, ta beczynność musi się skończyć! czemuż jestem? takim oto pniem zeschniętym i do niczego. Dziękuję ci mój Julku, dziękuję ci za te dobre słowa!

Juliusz ciekawie przyglądał się przyjacielowi, jak doktor pacjentowi, widocznie śledził potęgi swej wymowy, i wyraz zadowolenia przemknął po jego czole.

Wróciwszy do domu. Jan do końca wieczora był roztargniony; napróżno Henryk chwalił się wielkimi czynami myśliwskimi, rachował z przyjemnością ubite zające i kuropatwy, Zygmunt rozpoczął jakąś dykteryjkę o swoich „ofiarach,” ja zaproponowałem partyjkę; Jan niechętnie odrzucił, a w rozmowie ogólnej mały brał udział.

— Myślałby kto, że nas masz dość! — rzekł wreszcie Henryk, który kilka chwil uważnie przyglądał się przyjacielowi i osądził, że pora była dobra do rozpoczęcia kampanii.

Westchnął głęboko. — Masz się doprawdy czem trapić i kłopotać; myślałby kto, patrząc na ciebie, że masz nieszczęśliwą miłość, albo... albo długi. — I drugie westchnienie wyrwało się z piersi Henryka; zaczynało się dla niego właściwe polowanie, na które do Kosowa przyjechał.

— Cóż tobie znowu? — troskliwie zapytał gospodarz.

Henryk tymczasem melancholijnie patrzył na kilka kuropatw, rzuconych na krzesło po powrocie z polowania.

— Ba! — rzekł, i widocznie jeszcze nie był wprawny w proszenie, bo się lekko zarumienił — gdyby to kuropatwę albo zajęcem można procenta opłacać!

Henryk trafiał na dobrą chwilę. Jan z zapałem uchwycił sposobność przysłużenia się przyjacielowi, wyszedł z nim do drugiego pokoju i dość długo rozmawiali z sobą, a z rozmowy obydwaj wyszli rozpromienieni. Łatwo było odgadnąć przyczynę dobrego humoru obydwóch: Henryk że upolował swego zajęcia i na sumieniu miał już tylko dług przyjacielski, z którego łatwo się uiścić, z czego? sam dobrze nie wiedział, ale intencją miał szczerą; Jan zaś był zadowolony, że ulżył jednocześnie sercu i kieszeni. Wszak oszukujemy nieraz głód fizyczny wodą i suchym chlebem, czemużbyśmy głodu moralnego szukać nie mogli? chęć do czynu, miłość ludzkości, głód prawdziwego poświęcenia szukać pierwszym lepszym datkiem, który nikomu korzyści nie przyniesie?

Wrażenie, które mowa Juliusza wywarła na Janie, było jednak tak silne, że tego samego wieczora poszedł na radę do Alberta. Oświadczył mu, że się po długim namyśle zdecydował co do wyboru kariery i że chce zostać gospodarzem; przychodził jak brat do brata z otwartym sercem, przepełnionem zapałem do pracy i dobrymi chęciami.

Albert wysłuchawszy brata, kilka razy przeszedł się po pokoju; odetchnął nieco po pierwszym przestachu. Jan o dobrych chęciach mówił, ale o prawo swoje, prawo! wstrętne słowo! nie myślał się dopominać.

— Słusznie! rzekł wreszcie tonem Mentora, bardzo słusznie, mój kochany, chcesz pracować, mieć zajęcie, będziemy myśleli o tem... Ale tymczasem, mam do ciebie wielką prośbę: proszę cię kochany Jasiu, bądź moim drużbą, za dwa tygodnie mój ślub; panna Cetwińska chciała dwóch kuzynów mieć druż-

bami, ale ja się uparłem, ty masz najpierwsze do tego 'prawo i nie chcę nikogo innego mieć za družbę. Jedziemy na przyszły tydzień do Cetwińskich, czy masz wszystko co ci potrzeba?

— Zdaje mi się że mam, odparł Jan; ale Albert chciał się sam przekonać, z prawdziwie macierzyńską troskliwością przejrzał garderobę brata, gorsząc się jego zaniedbaniem.

Jaś więc na tej rozmowie z bratem zyskał długą rozprawę o najświeższym fasonie fraków, i najmodniejszym sposobie wiązania krawatów; a że do wszystkich najdrobniejszych szczegółów życia przywiązywał dziwne uczucie obowiązkowości, słuchał brata z religijnem przejęciem i powagą.

— To wszystko do niczego niepodobne, mówił Albert, przerzucając między ubraniami z niecierpliwością; cóż znowu? jesteś młody, należysz do świata, dla którego masz pewne obowiązki; musisz dbać o siebie, ja ci tam tego wszystkiego dobrze nie wytłómaczę, ale moja żona musi cię wziąć w opiekę i wytresować...

Postępowanie Alberta zaczęło mi się nie podobać, pozwoliłem sobie raz i drugi zrobić Jasiowi uwagę, którą on przyjął z największem oburzeniem; gdy nagle Albert zmienił zupełnie taktykę. Przyszedł raz do nas w najgorszym w świecie humorze, skarżąc się na nieszczęśliwą modę jeżdżenia po ślubie za granicę. — Nie wiem co mojej narzeczonej strzeliło do głowy z tym wozajem, rzekł kwaśno, ale wymaga tego odemnie, będę musiał po ślubie zaraz wyjeżdżać na jakie pół roku, a tymczasem w głowę zachodzę, co się tu stanie z gospodarstwem?

— A ja? skwapliwie zawołał Jan.

Albert podskoczył jakby mu ta myśl nigdy do głowy nie przyszła.

— Wyratowałbyś mnie z wielkiej biedy, rzekł, gdybyś chciał na czas jakiś objąć zarząd gospodarstwa; ale gdzież tam! o tem nie ma co mówić, musisz iść na swoje, albo może zechcesz wracać do miasta: gospodarować u mnie byłoby prawdziwem poświęceniem z twojej strony.

— Nigdy Albercie, kiedy ci mogę być użytecznym; nie wiesz że mnie ratujesz z prawdziwej toni, to życie bezczynne zaczynało mnie zanadto nudzić.

Albert wahał się, nie chciał, uległ wreszcie na usilne prośby Jana, który był przekonany, że mu Albert prawdziwą łaskę wyświadcza, awansując go na pierwszego ekonoma.

Albert uderzył w słabą jego stronę, w poświęcenie: to było słowo zakłète, którem można rządzić Jasem jak dzieckiem; już teraz głuchy był na wszelkie moje przedstawienia, i głos mój, głos rozsądku, w kąt poszedł.

— Daj mi pokój, odpowiadał Jaś na wszystkie moje uwagi i cóż byś powiedział o tym, któryby własnemu bratu nie chciał dopomódz, któryby w chwili najtrudniejszej dopominał się o zdanie rachunków; mnie teraz nic nie potrzeba, żenić się nie myślę, ani chcę.

— Ale możesz chcieć.

— Eh! ruszył ramionami, któraby mnie tam panna chciała; nie myślę się teraz żenić, nic nie żądam, tylko pracy...

Rozłączyliśmy się w niezupełnie dobrej harmonii; z żalem pożegnałem Jasia; konieczne interesa powoływały mnie do domu, a wyjeżdżałem z jakimś niedobrem przecuciem, że na mego Jasia zastawiają sieci, z których mu się będzie trudno wypłatać.

IV.

Panna Cetwińska, dziś już pani Albertowa nie była podobna do zwykłej rzeszy kobiet, ładnych, lekkich i próżnych; w gospodarstwie domowem nie była bezużytecznym sprzętem, u ojca jeszcze prowadziła księgi rachunkowe jak zawołany rachmistrz, a doszedłszy pełnoletności sama zarządzała swym majątkiem. Trwało to już czas dość długi, aby samorząd przeszedł u niej w nałóg niczem niewyleczony; miała bardzo jasne wyobrażenie o tym co „moje,” co „twoje,” i nie pragnęła aby się te dwie odrębne części zwały kiedy w idealne „nasze,” nie była więc bynajmniej owym miękkim woskiem, o którym młodzi małżonkowie radzi marzą, że z niego wszystko się da zrobić co zechcą.

Widzimy państwa Albertów w kilka miesięcy po ślubie, w dzień po powrocie z zagranicy; on przechadza się po po-

koju wzburzony i niespokojny, ona leży na wpół w głębokim fotelu otulona w jakąś perską materyą.

-- Musisz mi się dowiedzieć, rzeczy młoda małżonka, na jakich warunkach stoi Towarzystwo asekuracyjne francuskie, chcę zawczasu pomyśleć o asekurowaniu życia naszego dziecka.

— Którego jeszcze nie ma... mruknął Albert, doprawdy jesteś podziwienią godna...

— Moj drogi, bardzo łagodnie mówi pani Adela, życie nasze w ręku Boga, a podobno przez sześć pierwszych tygodni życia dziecięcego asekurowanie najmniej kosztuje, bo najwięcej wypadków śmierci...

Albert wzdrygnął się mimowoli.

— Nie o tem mowa, rzekł, ocierając chustką czoło, musimy się raz rozmówić; powtarzam raz jeszcze, czy mogę rachować na te pieniądze czy nie?

— Na *jakie* pieniądze? spytała żona uważnie, czyszcząc różowe paznokcie perłowym pilniczkiem.

— No, jakież, na *twoje* pieniądze, mówił Albert, podkreślając starannie słowo „twoje.“

— Ah! śpiewnie zawołała Adela, i cienkie łuki jej brwi lekko się podniosły — w tej chwili pamiętała dobrze nauki Matyldy — i na cóż ci teraz pieniędzy?

— Na co, na co, Boże wielki! zawołał Albert, tracąc zupełnie panowanie nad sobą, spojrzysz koło siebie, za co te wszystkie graty przekłete, za co jeździliśmy przez pół roku po Wiedniach i Paryżach; mam długi; brat mój, dziś jutro, dopomni się o swoje, a wtedy...

— To już twoja rzecz, zakonkludowała Adela, ale *a propos* twego brata, chciałam z tobą pomówić o nim; cóż on tu robi? czy długo nam będzie siedział na karku?

— Na karku! gorzko roześmiał się Albert, współdziedzic Kosowa na karku!

Łuki jej brwi jeszcze się wyżej podniosły. Współdziedzic Kosowa! powtórzyła wolno; i dotychczas siedział tu, i gospodarował cierpliwie, nigdy cię nie zaczepiał o rachunki?

Albert spuścił oczy.

— To ten rumiany blondyn, który był naszym drużbą?

— On...

— Wygląda nadzwyczaj pocziwie, i... naiwnie... jakby do siebie mówiła Adela, i zamyśliła się. Ale żenić się teraz nie chce i... i nie ma żadnej miłości? cóż to za charakter?

— Charakter słaby, cicho odparł Albert, ale muszę mu przyznać serce złote.

— Jakże to melodramatycznie mówisz! uśmiechnęła się złośliwie.

— Jedyna może jego wada jest, że się rachować nie umie: przyjaciele obsiedli go jak szarańcza, słyszę że ciągle go najeżdżają, Kosowo stało się domem zajezdnym. W towarzystwie niedźwiedź prawdziwy.

— Wiesz, nieco żywiej odezwała się Adela, że ten twój blond braciszek z fajansowo-błękitnymi oczami zaczyna mnie interesować, muszę go oswoić, będzie to rozrywka w moich nudach, idźże zaraz i proś go na obiad... powiedz, że go żywo zachowałam w pamięci, i pragnę abyśmy się zbliżyli; ja, bratowa jego, i dotąd mało go znam... ja, tak ceniąca stosunki rodzinne! Prawda, odwołała jeszcze męża od progu, jeśli kto z jego przyjaciół jest, proś go także do nas, bez ceremonii, bez fraków, wymawiam sobie tylko myśliwskie wysokie buty...

Podczas gdy Albert szedł spełnić polecenie żony, Jan siedział nad jakąś gospodarską książką, ale jej nie czytał; pograżony był w smutnem rozmyślaniu. Kilka dni temu miał z Henrykiem zajście, które go zmuszało do nieprzyjemnych rachunków sumienia. Rzecz poszła o długi; kieszeń Jasia już od roku była dojną krową, z której Henryk nie mały ciągnął pożytek, i Jaś postanowił wreszcie koniec temu położyć.

— Nie miej mi za złe kochany Henryku, rzekł po należytych wstępie, który był arcydziełem delikatności, że ci muszę przypomnieć dług zaciągnięty u mnie.

A gdy Henryk milczał zdziwiony — Jak ci wiadomo, mówił dalej Jan, nie jestem jeszcze na mojem gospodarstwie; prowadzimy rachunki wspólne z bratem, i sama delikatność wymaga, abym zbyt nie obciążał budżetu. Gdy już będę na swoim, dodał serdecznie, a to niebawem nastąpi, udawaj się do mnie o wszystko, co ci się podoba; wiem jakie są prawa przyjaźni, nie zapomnę nigdy, żeśmy razem na ławie szkolnej

siedzieli, i od dzieciństwa prawie wiąże nas koleżeństwo; koleżeństwo prawdziwe, chcę mówić koleżeństwo ducha.

W miarę jak się Jaś zapalał, Henryk miał czas się namyśleć.

— Dobrze mój kochany! zawołał prędko, jutro zaraz mogę ci oddać cztery tysiące, którem ci winien; wszak cztery tysiące?

— Zawstydzasz mnie, odparł Jaś z rumieńcem, prawdziwie, że mnie zawstydzasz; sam nie wiem... i gdybym mógł zrobić inaczej.

— Ale za to będę cię prosił o jedną jeszcze małą koleżeńską przysługę. Dobrze mówisz, że jesteśmy koledzy, jakżeś to powiedział? koledzy ciałem? nie, koledzy duchem, już dalibóg nie powtórzę, ale jakoś ładnie to powiedziałeś. Otóż proszę cię, pożycz mi z jakie pięć tysięcy, idzie tu o mój los; układy rodzinne... interesa... Wiem że mi nie odmówisz, a ja ci szczerze wdzięczny będę, i żeby ci dowieść, że na mnie liczyć możesz, po obiedzie zaraz wyjeżdżam, i pocztą odsyłam dług, o który się dopominasz...

Jaś od pierwszego słowa przystał na wszystko; a Henrykowi jakoś spieszenie było wyjechać; nie chciał nawet zostać na obiedzie, mówiąc: „że obowiązek przedewszystkiem,“ wypił tylko strzeniennego: „zdrowie kochanego naszego Amfitryona,“ i odjechał. Uścił się z danego słowa; nazajutrz Jan cztery tysiące odebrał, i dopiero po namyśle spostrzegł, że targ, który zrobił, nie koniecznie był korzystny.

Dzięki przyjacielowi, gotówka którą mógł rozporządzać zupełnie była wyczerpana, i Jan rozmyślał właśnie nad smutną ostatecznością szukania gdziekolwiek pieniędzy, gdy ktoś zapukał i Albert wszedł do pokoju spełnić uprzejme polecenie żony.

— Adela bardzo ci ma za złe, mój kochany, że tak od nas stronisz, rzekł, przyjdź na obiad, i jeśli który z twych przyjaciół jest...

Jest... Zygmunt tylko.

— To i pan Zygmunt będzie mile widzianym gościem przez moją żonę, biedaczka... nudzi się trochę, nerwy, o! nerwy u tych kobiet, zrobicie mi wielkie dobrodziejstwo, gdy ją trochę rozerwiecie.

Jan poczęstował Alberta cygarem, i zaczął się powoli ubierać, był markotny, i zakłopotany widocznie.

— Albercie, zaczął wreszcie, nie będziesz mi miał za złe, ty wiesz, że odkąd powierzyłeś mi zarząd gospodarstwa, za ten znak ufności będę ci zawsze wdzięczny, odtąd pracowałem sumiennie, szczerze; rachunki nasze były dotąd wspólne, trzeba to zmienić; będę w tych dniach zmuszony zaciągnąć dług osobisty.

Albert oniemał nie krzyknął z zadziwienia, powstrzymał jednak wszelkie objawy radości, jakie mu podobna wiadomość sprawić mogła; chwilę się jeszcze zastanowił, przed zrobieniem stanowczego kroku. To bowiem o czem dawno marzył, samo wchodziło mu w ręce; Jaś pierwszy zaczął mówić o tem, co mu już dawno leżało na sercu.

— Mój drogi, rzekł po namyśle, czemuż mamy się rozłączać, ty masz interesa, i ja mieć mogę interesa przy tak wielkiem gospodarstwie, rozumiesz... jesteśmy bracia, kochamy się jak bracia, wystawmy sobie wspólnie weksle *en blanc*, ty będziesz moim, a ja twoim poręczycielem, ja za ciebie moim majątkiem, a ty twoim poręczysz, po bratersku, jak być powinno.

I ośmielając się na niepewnym jeszcze gruncie:

— Mój Jasiu, czy ci źle tak, jak ci jest z nami? bo wszakże nie myślisz jeszcze o ożenieniu? dodał z pewnym niepokojem.

— Nie, Albercie.

No więc, żyj z nami, żona moja mało cię zna, a już ma do ciebie najżywszą sympatyą, w kółku rodzinnem będzie ci weselej jak samemu na jakim samotnym folwarku, pracy tu masz dość. Co do interesu, o którym wspomniałem, powiększy on wspólny nasz kredyt, który dla nas gospodarzy jest tak potrzebny. Nie chcę się pytać, ani wiedzieć o twoich wydatkach; co mi do tego, jednak tyle na tobie polegamy, że jak ja twojego, tak ty mojego poręczenia nigdy nie nadużyjesz.

— Nigdy! zaręczył Jaś serdecznie ściskając brata.

Albert pospieszył się kuć żelazo póki gorące, w kilka dni bracia wystawili sobie wspólne weksle na swoje nazwiska, Jaś podpisując się nie wiedział, że podpisuje cyrograf, na którym się bratu zaprzedawał, jeżeli nie duszą, to ciałem, i bo-

daj czy nie na całą przyszłość. Byle mu nie przyszła fantazya się ożenić, pomyślał Albert, to nasza wygrana! Był to powtórzony niejako targ dwóch braci biblijnych; tylko role były odwrócone; starszy był tu oszukującym a młodszy oszukanym Ezawem, dobrodusznym i pełnym zaufania i wiary.

Obiad, który nastąpił po rozmowie braci, był bardzo ożywiony i wesoły. Pani Adela była promieniejąca, czarna aksamitna lekko wycięta suknia i czerwony gwoździak w płowych włosach podnosił bardzo jej oryginalne rysy. Widzi kochany pan, kochany Janie, powiem odrazu, rzekła z ruchem pełnym ujmującej grzeczności do brata, dla Ciebie się tak wystroiłam; chciałabym Cię skokietować, a my biedne kobiety musimy zaczynać od stroju. Gdy mnie poznasz bliżej, mam nadzieję, że mnie ocenisz, tak jak ja Ciebie panie Janie; z opowiadań Alberta znam Cię już dobrze, i już kochać zacynam!

Nie mniej grzecznie i uprzejmie powitała Zygmunta. Pan tutaj? zawołała poznawszy go na drugi rzut oka, bo miała wzrok krótki; cóż za szczęśliwe spotkanie? Szczęśliwy początek, uśmiechnęła się do Jana, w twoim przyjacielu poznaję mojego, a przynajmniej, dodała nieco złośliwie, *najlepszego* przyjaciela mojej *najlepszej* przyjaciółki Matyldy.

Zygmunt nisko się skłonił na znak potwierdzenia, poczem Adela wyłącznie zwróciła się do brata. Jaś pierwszy raz był na podobnej uczcie. Jakże ten obiad nie był podobny do tego wszystkiego, co dotąd widział, wszystko koło niego miało pozór wesoły, świąteczny; wszędzie widać było rękę kobiecą. Kwiaty ubierały rogi stołu, światło odbijało się o kryształ, rozstawione na białym jak śnieg obrusie; rączka biała delikatna nalewała wino przezroczyste. Nawet pani Adela wydała się piękną olśnionym oczom Jana. Po obiedzie przeszli wszyscy do małego saloniku, zasłoniętego z wszystkich stron; na marmurowym kominku palił się wesoły ogień; pani domu usiadła przy fortepianie, lekko uderzając kilka akordów, panom podano kawę.

Biednemu Jasiowi rośło serce; cóż mogło być przyjemniejszego nad takie kółko rodzinne? dotąd życie jego przechodziło wśród pracy, i mimo tylu przyjaciół, bywało, że czuł się samotny; pierwszy raz młoda kobieta podała mu rękę, i ofiarowała się sama z sojuszem przyjaźni.

Jaś dał się unieść urokowi wszystkiego co go otaczało...

Tego samego wieczora Adela pisała do swej przyjaciółki pani Matyldy: „Matyniu! miej litość! przyjeżdżaj, nie mogę! kilka takich wieczorów a umrę ze zmęczenia. Jakżeby Ci w kilku słowach wszystko opisać? Mąż polecił mojej opiece brata, mam go... nic więcej, tylko formować! czy tresować, czy jak tam chcesz! A biedak potrzebuje tego, wystaw sobie, mężczyzna wysoki na siedm stóp; ty mój aniołku będziesz musiała wspinać się, aby mu w oczy zajrzeć, włosy koloru konopi, mówi z tobą tylko po polsku, i o samych moralnych rzeczach. Odzwyczaiłam się od tych frazesów, odkąd przestałam przepisywać wzory kaligraficzne. Po pierwszym wieczorze już oswoiłam trochę wielkoluda; dziękował mi za taki wieczór miły, ale czuję że na trzeci dzień bym umarła. Potrzeba mi koniecznie pomocy. Bardzobym go chciała widzieć zakochanym... a we mnie? fe! bratowa! to niemoralnie! Co by to była za pociecha, gdybyś ty, jak nowa Kalipso oczarowała tego ciężkiego Ulisesa, gdyby on powiększył jeszcze szereg twoich wielbicieli; a jest ich podobno niemało, oj! niepocziwa Muzo! Przyjedź, będziemy miały komedią! a nudzę się tu okropnie.

Post Scriptum. Zapomniałam dodać, że nie samych nudziarzy Ci przedstawię; najprzód mój mąż! wcale miły, gdy nie z swoją żoną, potem przyjaciel Ulisesa, jakiś pan Zygmunt, bardzo przystojny, którego zdaje mi się widziałam kiedyś u Ciebie, jeśli się nie mylę...

Matylda odebrawszy ten list odczytała go uważnie, uśmiechając się kilkakrotnie. Nastręczała jej się dobra sposobność zemsty na Zygmuncie za dawne grzechy przebaczone, ale nie zapomniane. Liścik Adeli zresztą, miał jakąś subtelną woń intrygi ukrytej, domowej, która podniebienia kobiece zawsze mile połechce.

Intryga musi być chyba dla niektórych kobiet koniecznym żywiołem; tę gorączkę namiętność, którą my przynosimy na

szersze pole walk politycznych, one przenoszą do czterech ścian buduaru; nie mogąc wzburzyć morza, zamącą przynajmniej wodę w szklance. Trzeba im nawet, tym wyjątkowym kobietom, przyznać pewną wyższość nad nami, my w naszych zamięgach zawsze mamy cel osobisty, wywyższenia, chwały, korzyści materyalnych, one bynajmniej; nic im nie przyjdzie z tego, że pokłóca, poróżnia, obmówią, podejdą, podrapią i pogłaszczą... Uprawiają sztukę dla sztuki; chwilowe zajęcie, zabawka, rozrywka, to cel, za którym gonią, i broń Boże! aby do tych płochych przyczyn przywiązał się jakiś cel ważniejszy, naprzód położyć można krzyżyk na ofiarę.

W wigilią przyjazdu pani Matyldy, Adela uczuła się w obowiązku oznajmić Zygmuntowi, że jej przyjaciółka przyjeżdża, z mężem zrozumieli się na pół słowa. Nudzono się przez dwa dni okropnie, kobiety wyciągnęły z woreczków roboty kanwowe ogromnych rozmiarów; mąż Matyldy bawił panią domu, a Matylda przypadła w udziale Jasiowi; Zygmunt zaś przez kilka dni polował zawzięcie. W rozmowie z uprzejmą gospodynią dowiedział się mąż zazdrosny, że niema gorszej dziury jak Kosowo, że żywa dusza tam nie zajrzy, że umrzeć można z nudów. Kilka razy wzrok Otella przeniósł się inkwizycyjnie na Jasia, ale było coś w tej twarzy otwartej, spokojnej, uczciwej, co wzbudzało niczem niezachwianą ufność.

Te dwa dni rozmowy z piękną kobietą zrobiły jednak swoje; nerwy Jasia zaczynały ulegać dziwnemu rozprężeniu, pierwszy raz w życiu był w otoczeniu kobiet, które zdaje się nie miały innego celu jak mu się podobać. Adela tylko o tem myślała, aby bratu dogodzić, Jaś który nigdy o siebie nie dbał, ze zdziwieniem spostrzegł, że się ktoś stara przeniknąć jego najmniejsze gusta i dogodzić mu we wszystkim, pierwszy raz coś znaczył, był osobą. Pani Matylda używała go do wszystkiego, czy włóczkę potrzymać, czy podać wachlarz, czy przeczytać nowe żurnale; przy czytaniu nieraz schylała się nad nim patrząc w książkę, tak że włosy jej dotykały jego czoła. Biedny chłopiec czuł iskry w całym ciele i drżał jak liść osiny, zrywał się nie wiedząc co to znaczy i wracał na głos czarodziejski. Pracować nie mógł; jakaś siła ciągnęła go do domu, do pokoju, gdzie obie kobiety siedziały schylone nad robotą. Wzruszenie jego stawało się widoczne, sama pani Matylda

w nieobecności Jasia, pozwoliła sobie mężowi zwrócić uwagę na niego, i z lekką ironią: Cóż? nie boisz się? dodała filuternie patrząc w oczy zazdrośnika.

— Chciałbym aby wszyscy byli do niego podobni! westchnął mąż, ale daj pokój biednemu chłopcu, „dla was to żarty, im idzie o życie.“

Po jakimś czasie mąż Matyldy odjechał spokojny, zostawiając żonę pod dobrą opieką.

— Pani Adela nie chce cię puścić, rzekł przy pożegnaniu, nudź się na wsi, nudź duszko, będzie ci lepiej w domu.

Zygmunt zjawił się nazajutrz po jego wyjeździe i wtedy dopiero pani Matylda wyłącznie zajęła się Jasiem.

V.

Rok blisko nie widziałem Jasia, a ciągnęło mnie do niego przywiązanie, trochę przeczucie, że mu się nie dobrze dzieje bezemnie, trochę ciekawość poznania pani Adeli; chciałem się przekonać czy wszystko w Kosowie tak źle szło, jak mówili ludzie. Mówiono głośno, że się Albert na ożenieniu srodze omylił; pani bowiem zaczęła gospodarstwo od aktu samowoli; posagu swego nie zamknęła wprawdzie w biurku, jak twierdzili złośliwi, ale zabezpieczyła tak, że Albert ani grosza nie zobaczył. Albert podobno był w długach po uszy, co się już od kilku lat ciągnęło, a dopiero teraz zaczynało na jaw wychodzić; ludzie kiwali głowami dziwiąc się, na co mógł stracić ogromny majątek w tak krótkim czasie.

— Hulanka! miasteczko! kobiety! mówił jeden z tych, którzy nigdy nogą nie postali w mieście.

— Nierząd, nieład! twierdził ten i ów szlachcic, szczycący się porządkiem w swojej zagrodzie.

Ciekawi zaczęli dawne dzieje przetrząsać, przypominać sobie, jak Kosowo było nabyte przez rodziców Alberta i powtarzać: „Male parta idzie do czarta.“

— A to nie male parta, panie dobrodziej! zaczął raz ze mną sąsiad na jarmarku, wiedząc że mój Jasia krewny i przyjaciel, a to nie male parta, że z brata zrobił ekonoma, trzyma go na uwięzi, przeszkadza w żenieniu, jego zgubi, a siebie

czy wyratuje? ba! ba! pan Albert rozumny! wie jak radzić sobie!

Te i tym podobne pogłoski skłoniły mnie do wyjazdu do Kosowa. Miałem i ja projekta, z którymi się dawno nosiłem. Siostrę pożegnałem serdecznie, obiecując, że wrócę za tydzień najpóźniej, i polecając jej, aby przygotowała pokój dla gościa, którego z sobą przywiozę, pilno mi było bowiem wyrwać Jasia z tej Sodomy.

Przyjechałem wieczorem, gdy całe towarzystwo zebrane było w saloniku po herbacie. Zygmunt i Albert w najgorszych humorach siedzieli przy bocznym stoliku nad gazetami, i po pierwszych przywitaniach przyłączyłem się do nich.

Jaś serdecznie mnie przywitał, poczem wrócił do swego zajęcia, obierał pomarańczę dla pani Matyldy. Każdą jego niezgrabność witały obie kobiety śmiechem i klaskaniem; Jan zaś z wytrwałością godną ważniejszej sprawy, zamiast rzucić pomarańczę do ognia, jedną po drugiej obierał, i coraz mu szło gorzej.

Pani Matylda od czasu do czasu biła go po rękę wachlarzem; gdy nagle coś w ubraniu Jasia zwróciło jej uwagę, krzyknęła jakby na widok żaby lub pająka; Jaś zmieszany rzucił okiem w lustro. Cóż się pani nie podoba we mnie? rzekł czerwieniejąc po uszy, proszę cię Adelo, przecież dziś związałem krawat tak, jakeś mi kazała? Pani zawsze ze mnie się śmieje! dodał z wyrzutem. Adela zlustrowała go mrużąc oczami, i odrazu spostrzegła zbrodnię, którą Jaś popełnił; miał brylantowe guziczki u koszuli.

— Któż to nosi brylantowe spinki? zawołała zanosząc się od śmiechu, zostaw to swemu ekonomowi, gdy jedzie na odpust, jesteś rozpaczliwie nie *au courant* tego wszystkiego, ale my cię wyuczymy, to będzie *nasze* dzieło, Matyldo!

— Ale musisz nam się pan oddać, duszą i ciałem, z kokieterią dorzuciła Matylda!

— O pani! zdobył się na wykrzyknik biedny Jaś, nerwowym ruchem chcąc zakryć nieszcześne spinki.

Dobrze, więc na początek mówiła ładna kobieta, będzie pan za pokutę... i namyślała się chwilkę. Będzie pan za pokutę klęczał przez pół godziny, tu, na tym miejscu. Nóżką popchnęła aksamitną poduszkę blisko swego fotelu i kazała

Jasiowi ukłęknać. I żebyś nam pan nie uciekł, okujemy pana w łańcuchy! I wzięwszy nitkę jedwabiu zaczęła nią okręcać ręce więźnia. Jaś szedł jak baranek na rzeź.

Zniecierpliwiony widokiem tych dwóch kobiet znęcających się nad nim, rzuciłem gazetę i chciałem się oddalić. Albert, który także widać dość miał tego widowiska, poszedł za mną. Dziwną w Albercie spostrzegłem zmianę, był niespokojny, nerwowy; starał się być uprzejmym, ale widocznie myśl jego była gdzieindziej, głębokie zmarszczki na czole świadczyły o ciągłym naprężeniu myśli, usta jego drgały chwilowo, jednym słowem miałem przed sobą człowieka zagrożonego ciężkimi kłopotami.

W milczeniu szliśmy chwil kilka.

— Pałac już ukończony? rzekłem byle coś powiedzieć.

— Nie, odparł krótko, przejdziemy się, jeśli chcesz, i zadzwonił na służącego, aby nam zaświecił.

— Wieża była wewnątrz na ukończeniu, tylko brakowało schodów na górne piętro, maurytańska sala zaś najdziwniejszy przedstawiała widok; stiuki marmurowe i kolumny były przepyszne, wykończone zupełnie, ale nogi brnęły głęboko w piasku; na danie posadzki zabrakło bowiem pieniędzy. Zima przerwała roboty, zapewniał Albert.

— Jasiu! rzekłem tego samego wieczora, siłąc się na zachowanie zimnej krwi, aby go nie odstraszyć, pojedziesz ze mną, dobrze?

— On w pierwszej chwili się zawahał, ale po namyśle rzucił mi się nagle na szyję z wielkim wzruszeniem.

— Pojadę, rzekł, rozumiem cię, dziękuję. I dobrodusznie dodał: Nie trzeba mię mieć za głupszego niż jestem, dobrze że ztąd wyjadę.

Odwiedziny Jasia nie małego mnie przecież nabawiały kłopotu. Jan już był przyzwyczajony do zbytków, i do tego nieszczęsnego komfortu o którym dziś tyle ludzie mówią, a domek mój ten sam, w którym jeszcze dziad mieszkał, był na wpół w ziemię zapadnięty, nieurządzony i nietylko nowomodnego komfortu w nim nie było, ale nawet staropolskiej wygody. Na gwałt sprowadziłem wino z miasteczka, z kąd przysłano mi kilka butelek spirytusu zaprawnego czemś słodkiem, z szumną etykietą: Château Larose, która to etykieta

drogo kosztowała. Rada w radę z moim starym Józefem, jakoś poradziłyśmy sobie domowym miodem. Zresztą Różia pocieszyła mnie nieco, że już „ona sobie da radę.“ Siostra moja była nie małą ozdobą mej pustelni; jej lat szesnaście, figlarne oczy, śmiech swobodny, jakby ściągały pod mój dach promienie słońca, kwiaty, wesołość, i wszystkie zbytki młodości.

I rzeczywiście przez kilka dni zdaje mi się że Jaś nawet nie wiedział co jadł i co pił, tak był zamyślony.

Raz, po obiedzie gdyśmy zapaliwszy cygara, poszli do szpaleru okalającego ogród, Jan usiadł na ławce i zadumał się głęboko. Zdaje mi się, rzekł wreszcie, że gdybym tu dłużej został, odrodziłbym się moralnie; ogarnia mnie jakieś powietrze rodzinne, swojskie, dawno nie byłem taki szczęśliwy. Na końcu alei pokazała się Różia; miała dnia tego białą suknię; kapelusz z szerokimi skrzydłami, odrzucony na tył głowy, odsłaniał jej twarz rozpromienioną, miała na rękę zawieszony koszyk pełen owoców. Zrobiliśmy jej miejsce między nami; Różia wybierała co ładniejsze owoce i podawała gościowi, Jaś mało mówił, ale słuchał uważnie, i z większym przejęciem, aniżeli tego przedmiot wymagał, szczebiotania mojej siostry. Różia nam opowiadała o wszystkim co się podczas mej nieobecności w domu stało, nie były to epizody bardziej zajmujące jak te, że z starym Grzegorzem jeździła na polowanie i uszczuli cztery zające, że ksiądz proboszcz przyszedł kiedyś wieczorem, i grali w maryasza; ulubiony konik Rózi był chory od dwóch dni, codziennie więc chodzić musiała, nie jeździć, do żniwiarzy, w towarzystwie ochmistrzyni i kucharza który im napój roznosił. Moja Różia była wielką gospodynią; od pierwszych dni przyjazdu z pensyi zawarła ścisłą przyjaźń z ludźmi na wsi, ze zwierzętami na folwarku, z drzewami w ogrodzie, z ziemią na polu; jej energiczna młodość szukała życia, ruchu, czynu; i to była tajemnica, czemu, nie będąc piękną, zachwycała wszystkich.

— Znudziło jej się i teraz wkrótce siedzieć na miejscu, przywołała więc do nogi wyżła, który jej wszędzie towarzyszył — i podając rękę Jasiowi — Chodź kuzynku — rzeźba — pokażę ci co w ogrodzie zrobiłam — i co jeszcze mam w projekcie.

Szedłem powoli za nimi; po krótkiej chwili milczenia Różia spojrzała towarzyszowi w oczy: Jakiś ty dziś poważny Jasiu! (bliskie pokrewieństwo upoważniało ich bowiem do nazywania się po imieniu) — taki dziś śliczny dzień! jak można się troszczyć o cokolwiek — ale może masz jakie zmartwienie? dodała nagle zniżając głosu, to proszę zapomnij o niem!

Różia była w wesołym usposobieniu jak zawsze gdy tylko słońce zaświeciło jaśniej, i ozłociło drzewa i kwiaty; czuła się może jednym promieniem słonecznym więcej na tej ziemi, tak silną, szczęśliwą i młodą. — Oczy jej wtedy iskrzyły się podwójnym ogniem, pierś podnosiła wzruszeniem: „Góry bym podnosiła! mówiła zarzucając ręce wysoko nad głowę. W takim usposobieniu znieść nie mogła nieszczęśliwych, smutnych, ani biednych, byłaby w stanie oddać wszystko co miała, byle otrzeć z oczu bliźniego łzę niedoli. — Jabym tak chciała widzieć wszystkich szczęśliwymi, mówiła dalej Różia do Jana, wszystkich bez wyjątku. — Stali w tej chwili na wzgórzu, skąd widok rozległy rozciągał się na wieś, łąki i pola — Tak, wszystkich! mówiła ręką zakreślając koło w powietrzu, i jakby obejmując cały świat w panowanie, aby nieszczęśliwych przycisnąć do serca. — Ale cóż ci dziś jest? Jasiu, co tobie? Od kilku chwil Jan patrzył na nią z dziwnym wyrazem. — Co ci jest? powtórzyła drżąc mimowoli pod wejrzeniem Jana który zasłonił ręką oczy, aby jego tajemnicy nie zdradziły.

— Nic, nic.. drogie dziecko! rzekł cicho — i zdaje mi się, że w tej chwili wszystkie sztuczne uczucia które od niejakiego czasu uwodziły jego pocziwą naturę, zniknęły od razu, a natomiast w serce jego wstępował obraz czysty, dziewiczy; wraz z błogosławionem uczuciem prawdziwej miłości.

Od tego dnia, i przez jakiś czas Jan był najszczęśliwszym z ludzi, miłość dla niego była koniecznością; jemu kochać, to jak ptakowi szybować w powietrzu, rybce zanurzać się w falach wody; miłość była jego żywiołem.

Ani myślał o wyjeździe, i ja go też nie wyprawiałem, ciesząc się z szczęśliwego obrotu rzeczy. — Z Rózi byłem zadowolony; wprawdzie nie traciła ani snu, ani apetytu, i żywe kolory jej twarzy nie bladły z miłości, ale o ile wnosić mogłem, wiele miała dla Jasia przychylności i przywiązania, i choć młoda, instynktem ocenić musiała to pocziwe serce.

Co do mnie, nigdy w najśmielszych projektach, nie marzyłem o lepszym dla niej mężu, z zadowoleniem więc śledziłem postępów miłości z jednej, przyjaźni z drugiej strony. — Różia prócz wyżyła zyskała teraz drugiego, nieodstępnego towarzysza swych przechadzek; razem chodzili po ogrodzie, jeździli na polowanie, wieczorem grali w karty lub czytali, a gdy Różia raczyła usiąść do fortepianu, i zaspiewać ulubioną dumkę, Jaś był w siódmym niebie szczęścia.

Ludzie zaczęli już gadać po wsi, że ich panienka za mąż wychodzi a bezimienny przyjaciel: „Okolica,“ rozniósł wszędzie tę wiadomość, naznaczając nawet dzień ślubu.

Siedzieliśmy raz zebrani koło okrągłego stołu na ganku przy wieczornej gawędce. — Piękna noc wczesnej jesieni, blask gwiazd, zapach kwiatów, wszyscy ci powiernicy i pomocnicy miłości, sprzysięgli się dziś na moich zakochanych. Rózi oczy były wilgotne, Jaś — zawsze czuły na urok natury — milczał. Kto inny, na jego miejscu, Juliusz n. p. dla którego przyroda pustą była dekoracją, byłby nam może co wzniosłego powiedział o pięknościach tej czarodziejki, ale Jaś, milczał. Milczenie, najniebezpieczniejsza mowa miłości, przeciągało się już czas jakiś, gdy pies Rózi nagle uszy postawił, i naszczekiwać zaczął, i równocześnie usłyszeliśmy turkot pojazdu na bruku. Zdziwieni ujrzeliśmy piękną podwójną karetkę wjeżdżającą na dziedziniec — którą Jaś poznał: „To powóz braterstwa,“ zawołał uszczęśliwiony, i po chwili witaliśmy państwa Albertów. Wybacz nam panie Józefie niedyskretną wizytę — bardzo uprzejmie na samym wstępie zawołała Adela — ale w przejeździe do miasta, nie mogłam się oprzeć pokusie wstąpienia do was, i odwiedzenia najbliższych kuzynów mego męża. Rózię uściśkała czule obejmując ją przytem wzrokiem ostrym i ciekawym; cień niezadowolenia przemknął się po jej czole, podczas gdy Różia z tkliwością ją witała. Znajomość ich prędko się zrobiła, w pięć minut były już w największej przyjaźni. Nazajutrz Różia obudziła mnie rano, aby mi opowiedzieć jaka to śliczna, miła, przyjemna osoba ta pani Adela, a zaledwie ona wyszła, wpadł Jaś, wzruszony, uszczęśliwiony. Józiu! rzekł ściskając moje rękę — czyż potrzebuje ci mówić czemu Albertowie tu przyjechali? Dajcież mi ze snu się wytrzeźwić — zawołałem. Jaś rzucił mi się na szyję, potem

usiadł uspokojony nieco przy mojem łóżku. Dla czego ja tu jestem, zaczął, wiesz lepiej odemnie.

No... no... przejdźmy..

Jaś znowu ścisnął mi rękę, i dalej mówił: Albertowie przyjechali mnie... zająknął się i zaczerwienił... mnie oświadczyć. Sam nigdy nie miałbym być odwagi.

— No.. kochany chłopcze, zawołałem, wszystko więc dobrze, znamy się tak dawno, że na słowa między nami szkoda czasu, jednak nie spieszcie się bardzo z oświadczeniem, Różia bardzo młoda, kto wie? Jaś nagle zbladł jak ściana. Może mnie nie zechce rzekł głosem stłumionym, z pewnością mnie nie zechce! o! ja nieszczęśliwy!

— A to w gorącej wodzie kąpany! kto ci mówi że ona cię nie zechce, owszem, o ile ja mogłem dostrzedz, Różia ci w zupełności sprzyja, nawet od kilku dni zdaje mi się,... radzę tylko abyś zbyt się nie spieszył; z dziewczętami zawsze ostrożnie jak ze szkłem, Różia im cię lepiej pozna, tem więcej pokochać powinna.

Wszystko więc przez czas jakiś miało zostać *in statu quo*, a tymczasem Różia nie chciała słyszeć o wyjeździe Albertów. Niestety! niedługo spostrzegłem, żeśmy niebacznie wpuścili wilka do owczarni.

Adela nie potrzebowała długiego czasu do zupełnego podbicia serca Rózi; była to pierwsza młoda kobieta która się do niej zbliżyła, Różia przylgnęła do niej z całą siłą zbyt młodeńczego serca. Nie wiem jakie były przedmioty ich ciągłych rozmów, ale Różia powoli zaczynała się zmieniać w postępowaniu z Jasiem, zwłaszcza w obecności swej nowej przyjaciółki stawiała się hardo i pogardliwie, raz była bardzo wesoła, raz smutna i zamyślona. Z początku gra pani Adeli była ukryta, w towarzystwie największą przyjaźń okazywała Janowi, aż wreszcie osądziła, że może wychylić pazurki na świat. Ataki na biednego chłopca zaczęły się przy obiedzie, było to właśnie w dzień urodzin Rózi, na cześć której kazałem kilka butelek starego węgryzna wystawić, a potem podać szampana. Adela siedziała przy Jasiu, zachęcając go do picia, i wymyślając najrozmaitsze toasty. Po zdrowiu Rózi, nastąpiło zdrowie samej kusicielki, potem Alberta, moje, wszystkich przyjaciół po kolei, wreszcie pochyliła się jemu do ucha i szepnęła, tak że jednak

wszyscy usłyszeli: „Zdrowie Matyldy.“ — Jaś miał bardzo słabą głowę, po trzecim kieliszku język zaczął mu się plątać, nigdy nie był zbyt wymowny, dowcipy którymi odpowiadał na lekkie żarciki bratowej, nie odznaczały się solą atyką. Na imię Matyldy wzdrygnął się, i już nie bardzo przytomny zerwał się z za stołu rzucając kieliszkiem o ziemię.

Wszystkie niezręczności, które Jaś od początku obiadu popełniał, nie uszły uwagi Rózi, spuszczała oczy, gryzła usta ze śmiechu i zniecierpliwienia, wreszcie gdy Jan tak gwałtownie wyraził swoje niezadowolenie, wstała na pozór spokojnie choć płomień wstydu przebiegł jej czoło. Chodźmy do ogrodu! rzekła do Adeli — a gdy Jan w zawiłej mowie zaczął się uniewiniać i przepraszać — Różia ruszyła ramionami i wyrwała rękę którą on chciał całować. — Poprosiłem Jana, aby się poszedł przespać, a sam poszedłem za paniami. — Zastaliśmy je na ławeczce w szpalerze: „Chodź pan — Chodź pan — zawołała Adela, skoro mnie spostrzegła, trzeba rozbroić tę piękną zagniewaną! I cóż cię tak oburzyło w postępowaniu Jasia? nie wiem co mu się dziś stało, ale ci ręczyć mogę, że to mu się nie często zdarza. Porządniejszego chłopca nie znam pod słońcem, systematyczny, jak mój zegarek. A propos zegarków, doskonale umie je nakręcać — nigdy w Kosowie nie potrzebujemy zegarmistrzów, — Jaś gotów cały dzień koło zegarka majstrować, i zawsze naprawi. A dobry, łagodny, popularny jak dziecko, mówię ci.

Kiedy już pani wszystkie zalety tego nieocenionego chłopca wyliczasz — zawołałem ostro, nie kryjąc mego niezadowolnienia, niechże pani powie od razu że nie ma na świecie drugiego człowieka, któryby się tak poświęcał dla przyjaciół, tak był dobrym bratem, tak zapominającym o własnym interesie, dodałem patrząc jej wprost w oczy, tak pełnym wylania, miłości.

Pani Adela lekko ściągnęła brwi, ale uśmiechając się łagodnie — Miłości!... podjęła moje ostatnie słowo, prawda, wiem, że już próbował kochać, ale zdaje mi się, że mu się nie udało. Ciekawa jesteś, kto był celem jego westchnień? nie powiem, Rózieczko, za nic w świecie, a jeżeli mu się nie udało, dodała poważnie, to tylko mówi na niekorzyść kobiet; nie potrzebnie w przyszłym naszym mężu upatrujemy zawsze o-

gnistego kochanka, chcemy go mieć bohaterskim, pięknym, niepodobnym do nikogo; prawda, kochane dziecko?

Różia spuściła oczy.

— Chciałabym przecież wiedzieć, w kim się kochał?

— Zaczynał kochać, poprawiła Adela, bo przecież wiemy, że ta miłość wkrótce pierzchnęła przed inną.

— W kim się kochał? niby nie zważając mówiła Różia; ach! gdybym wiedziała, mogłabym mu dopiero dokuczyć.

I z pewną złością rzuciła zerwaną przed chwilą różę na ziemię.

— Dajmy już pokój biednemu pocziwemu Jasiowi, dorzuciła Adela, a ucieknijmy gdzie głębiej do szpalerów, bo tu słońce już zaczyna dokuczać.

Nie mogłem gonić za niemi, rola moja stawała się śmieszna; zdaleka usłyszałem jeszcze śmiechy Adeli i Rózi i pewny byłem, że Jaś znowu był ich kozłem ofiarnym.

Nigdy Różia tak się hardo nie stawiała Jasiowi, jak tego wieczora; biedny chłopiec nie wiedział, co z sobą zrobić, milcząco znosił pogardliwe pociski, a ja napróżno chciałem przerwać rozmowę i upamiętać Rózię; wreszcie Jan sam miał już dość tej gry okrutnej, z ciężkiem westchnieniem wstał i wyszedł z pokoju.

Codziennie konferencje Adeli z Rózią nie ustawały, moje przedstawienia już nie miały żadnej wagi; siostra odpowiadała na nie ruszeniem ramion, ślepo wierzyła w rozum i doświadczenie kuzynki. Im stawała się weselszą, tem Jan był posępniejszy i bardziej niespokojny, mało z nami przebywał, znikał nam czasem na pół dnia, szukając uspokojenia w samotności, w długich spacerach po lasach i polach; koń był mu zapewne powiernikiem i przyjacielem; wracali nieraz już późno w nocy, jeździec i koń zmęczeni do ostatniego. Jaś nigdy o wierzchowcu nie zapominał, nie wprowadził go do stajni zmęczonego, wprzód kilka razy sam po dziedzińcu oprowadził, derą okrył i dopiero myślał o sobie.

Jednego wieczora napróżno czekaliśmy na niego z herbatą; po twarzach moich gości i Rózi przeczuwałem, że się stało coś nadzwyczajnego. Różia była wesoła, przesadzała się w żartach, czując wejrzenie Adeli bacznie na siebie zwrócone, śmiała się równie serdecznie jak zawsze, nie wspominając

słówkiem o Jasiu; gdy go długo widać nie było, zabrała robotę i poprosiła Adeli, aby wcześniej odejść, nie czekając jego powrotu. Ja miałem pilną robotę, która mnie miała zająć aż późno w noc; Albert oświadczył, że będzie czekać na powrót brata.

Wszystko uciszyło się w domu; otworzyłem okno, aby nieco wytchnąć po pracy; Jan właśnie wracał od stajni, szedł przyspieszonym krokiem, zatrzymał się na ganku.

— I cóż? rzekł bez tchu, nie dając sobie czasu odechnąć.

Jan przychodził bowiem usłyszeć wyrok swój z ust brata; tego dnia prosił Adeli, aby go oświadczyła Rózi; myślał może, że nie mógł znaleźć lepszego posta miłości, jak czułą i dbającą o jego dobro bratową.

— I cóż? mówił głosem nieco drżącym.

— Przykro mi, odparł Albert z flegmą, przykro mi bardzo, nic z tego wszystkiego nie będzie; panna zgrymasiła, nie kocha cię, nie chce iść za męża, nie będzie cię kochać nigdy, Bóg je tam wie te kobiety, najmądrzejsza zawsze głupia.

Nastąpiło przeciągłe milczenie.

— Moja rada — wyjeżdżajmy jutro, mówił Albert; pokaż pannie, że o nią nie dbasz, weź się po dawnemu do gospodarstwa.

Jan jeszcze chwilę milczał — Łatwo ci mówić! rzekł wreszcie głosem, który mi się wydał niepodobnym do jego zwykłego głosu — czy myślisz, że bez niej chce mi się wracać do domu? Miałem projekt piękny urządzenia się w folwarku Łąckim, tam jest domek ładny, jakby dla niej stworzony. Znowu przerwał mowę na chwilę. — Wszystko w myśli mojej gotowe już było na przyjęcie, i jabym miał sam powrócić; wstręt mam teraz do wszystkiego: do wsi, do pracy, do życia. Głos biednego chłopca coraz bardziej się zniżał, aż zanurzył w niewyraźnym łkaniu.

— No, to cię zawiozę do miasta, potrzebujesz chwilowo rozrywki, mówił Albert zapewne mało wzruszony rozpaczą brata; nie zawadzi, że się otrzesz trochę w świecie; brak ci może tej ogłady, która się pannom podoba, pojedziemy razem, zobaczysz co to miasteczko, cóż do diabła miałbyś życie mar-

nować dla grymasów jednej dziewczyny; no! a teraz idź spać mój Jasiu i nie dziwacz.

Po odejściu Alberta! Jan długo jeszcze stał na ganku jakby przyrosły do ziemi; nie śmiałem iść do niego, nie wiedziałem, czy mogę mu zanieść słowo pociechy; słyszałem, jak powoli przeszedł schody i sień, zatrzymał się przed drzwiami od pokoju Rózi i nie szedł dalej. Niespokojny uchyliłem cicho drzwi, aby zobaczyć co robi. Jaś klęczał u drzwi mojej siostry, całując próg, który ta płocha dziewczyna przeszła przed chwilą i płakał jak dziecko.

Państwo Albertowie mogli się cieszyć; rozerwali nić pięknej i czystej miłości i przeszkodzili małżeństwu, któreby brata i jego majątek wyzwoliło z pod ich wpływów.

(Dokończenie nastąpi.)

NASZE KSIĄŻKI SZKOLNE.

IV.

Jeszcze „o psychologiach.“

Odpowiedź na uwagi Dra Stefana Pawlickiego o przekładzie
Zarysu Psychologii Dra Crügera ¹⁾.

Szanowny Redaktorze!

Przegląd Polski (Rok XII. Zeszyt V. Listopad, 1877) zawiera pod głównym napisem: „*Nasze książki szkolne*“ artykuł I: „O podręcznych psychologiach“ pióra Dra Stefana Pawlickiego. Uwagi o moim przekładzie Zarysu psychologii Crügera, część tego artykułu stanowiące, są powodem niniejszej odpowiedzi, o której umieszczenie w *Przeglądzie Polskim* proszę.

Dr *Pawlicki* pisze o moim przekładzie, iż „rzeczywista wartość pierwowzoru ginie pod niedbałą formą tłumaczenia“; poczem przytoczywszy kilka zdań, które za złe lub niezrozumiałe uważa, „żałuje, że mnóstwo podobnych wyrażen i zwrotów w połączeniu z tokiem mowy więcej niemieckim niż pol-

¹⁾ W dowód zupełnej bezstronności i dbałości o dobro nauki umieszczamy tę odpowiedź tem chętniej, że wysoce sobie

skim, z dobrego pierwowzoru zrobiło rzecz nader niemiłą i niestrawną.“ Nakoniec zamykając artykuł o podręcznych psychologiach, powtórzył poprzednie swe o języku i stylu mojego przekładu zdanie i orzekł ostatecznie, że podręcznik mój „prawie niepodobnym staje się w szkole.“

Zdania powyżej przytoczone, z których Dr P. wywiódł wniosek dopiero napisany, były dla mnie — szczerze to wyznając — niespodzianką; nie dlatego, żebym trzymał o sobie, iż wszystko, cokolwiek zrobię, jest już dziełem zupełnie doskonałym, a przeto i od wszelkiego zarzutu wolnym, lecz z tej przedewszystkiem przyczyny, że zabierając się do przekładu, przystępowałem do pracy z jaką taką znajomością i przedmiotem i języków, tudzież nie bez pewnej w pisaniu i tłumaczeniu wprawy, a zadania także sobie nie lekceważyłem. Nie zwykłem też pisma, które jeszcze nie zaschło, oddawać do druku, lecz rzecz ukończoną zawsze na bok odkładałem, aby po jakimś czasie przejrzeć ją na nowo i poprawić. Tak też i z przekładem Crügera miała się rzecz; w grudniu bowiem przeszłego roku ukończony, dopiero pod koniec lipca r. b., i to przepisany po raz trzeci, poszedł do druku. Do lekceważenia więc i zbywania byle jako pracy wcale się nie poczuwam; a jeżeli mimo to przekład mój — wedle zdania Dra P. — wypadł tak niefortunnie, a raczej do tego stopnia potwornie, że uczony Dr w ogólnych do niego uwagach, zapewne na podstawie mimowolnego kojarzenia się wyobrażeń, napomknął nawet o „urzędowej polszczyźnie pruskiej“, a przytem może sobie przypominał i Dra Władysława Bętkowskiego o tej polszczyźnie książkę, natenczas przekład ten chyba za skutek mojej nieudolności przyszłoby uważać.

Jednakowoż czy na prawdę tak się ma rzecz, czy zarzuty memu przekładowi uczynione zawsze na niewzruszonych opierają się podstawach, a mianowicie czy wyrok o języku, jakoby

cenimy życzliwość tak autora recenzji jak i autora odpowiedzi na nią, i że odpowiedź zawiera zarazem obszerną krytykę dwóch innych książek, oceniającą je inaczej. Polemika naukowa przyczynić się tylko może do rozświecenia rzeczy i wykazania rzeczywistej wartości książek — a o to głównie nam chodziło.

(Przyp. Redakcyi).

więcej niemieckim niż polskim, nie polega na zbyt śmiałym orzeczeniu tego uogólnieniu; nareszcie czy w ocenieniu mego przekładu i niektórych książek oryginalnie napisanych jednąkową zachowano miarę — oto właśnie pytania, których rozbiór stanowić będzie treść niniejszej odpowiedzi; pytania, które pod rozwagę i rozstrzygnięcie poddaję światłym a w sprawie bezpośrednio nieinteresowanym czytelnikom *Przeglądu Polskiego*. A już na początku wywodu sprawy niech mi wolno będzie zaznaczyć, że mną więcej, niż autorami innych książek, które w tym samym artykule oceniał, interesował się p. recenzent; albowiem już na samym wstępie uwag swych do mego przekładu nie tylko łaskawie zaprezentował mnie czytelnikom jako „używającego wielkiej powagi w pedagogicznym i uczonym świecie,” lecz i w dalszym ciągu uwag zapisać raczył, że jestem „gorącym zwolennikiem filozofii.” Nie ubliża mi wprawdzie ten zapisek; wszelako wyznaję szczerze, że niemało mnie zadziwił; to też zapytuję się Dra P., z jakich go wywnioskował danych? Wszak ani przedmowa do Zarysu Crügera, ani żaden przypisek nie dają do tego podstawy; a nadto i najskrzętniejszy nasz bibliograf, niezmordowany *Estreicher*, nie dostarczy tytułu, chociażby drobnej mego pióra filozoficznej rozprawki lub pisma, z któregooby przebiegało moje gorące filozofii uwielbienie. Osobiście z Drem P. wcale się nie znamy, nigdyśmy się ze sobą nie zetknęli w towarzystwie, żeby z rozmowy mógł być we mnie poznać gorącego filozofii wielbiciela. Zkądże więc data? Czy w drodze poufnej zasięgnął języka o tym, którego książkę miał oceniać? Powstrzymuję się od dalszych uwag, jakieby wysnuć się dały z owego zapisku, a przystępuję do omówienia zarzutów, w recenzji Dra P. zawartych.

Dr P. przytoczył w rejestrze mych grzechów *najpierw* zdanie, znajdujące się na stron. 131 mego przekładu, które brzmi: „To, co człowiek *może*, na dwóch wielkich znajduje się polach: w świecie zewnętrznym i wewnętrznym.” Pan recenzent pisze o niem: „Polakowi zdanie to i niezrozumiałem się wyda i nienaturalnem, nawet komicznem.” Być może, iż takim wyda się zdanie temu, kto *wyrwane z całości* przeczyta

w recenzji; ale może przestanie być takim dla czytelnika *Zarysu*, w którym przeczyta w związku zdanie następne: „Możemy dokonywać zmian w świecie nas otaczającym i w sobie samych; są zatem zewnętrzne i wewnętrzne chcenia skutki.“ Dodajmy do tego następne, w dwóch ustępach zawarte, bliższe określenie skutków woli zewnętrznych i wewnętrznych, a wówczas zniknie zapewne owa niezrozumiałość, a zmaleje nienaturalność i komiczność zdania. — Drugi z kolei zarzut tyczy się definicyi *poglądu* (str. 28 *Zarysu*). Dr P. zapytuje się przy tej sposobności: „kto to zrozumie i czy u nas kiedy przez „*pogląd*“ rozumiano coś takiego?“ Najpierw co do definicyi, odpowiada za nią autor, ja za tłumaczenie; na pierwszą zaś część pytania odpowiem: definicyą tę zrozumie ten, kto przeczytał poprzedzający, a pod względem instrukcyjnym znakomicie wyłożony przykład, z którego *Crüger* rozwinął definicyą *poglądu*. „Czy u nas przez „*pogląd*“ coś takiego rozumiano? Na to odpowiedź następująca:

Miałem wyłożyć niemieckie „*Anschauung*“ po polsku w znaczeniu pierwowzoru; szukałem więc odpowiedniego naukowego wyrazu w pismach filozoficznych, w pierwszym rzędzie w pismach treści psychologicznej a z prostoty i czystości języka słynących. Za takie uważałem Jana Śniadeckiego: *Rozprawy filozoficzne i filozofią ludzkiego umysłu* (Pism rozmaitych Tom IV, wyd. Wil. 1822) i *Kremera Wykład system. filoz. T. II.* — Śniadecki polemizując z redaktorem *Pamiętnika Lwowskiego*, „*Anschauung*“ Kanta wyłożył przez „*wzrok*“ (str. 122 t. IV), a w innem miejscu (str. 125) przez „*widok*“; Kremer zaś (t. II str. 424 i 425) w § 461: „*Odnoszenie się do przedmiotu zmysłowego obecnego nam*, zwróciwszy uwagę na to, że przedmiot jako zmysłowy ma różne swoje własności, które różnie na różne zmysły działają — więc „*jest zbiorem różnaitości zebranych w jedną całość*“, czynność duchową, łączącą różnaitość w jedność, „*zapatrywaniem się*“ nazywa. Ani „*wzrok*“ ani „*widok*“ Śniadeckiego nie wydały mi się stósownemi; „*zapatrywanie się*“ Kremera oznacza tylko czynność duchową, a mnie szło o wyraz, oznaczający i czynność i tej czynności wypadek; więc i „*zapatrywania się*“ użyć nie mogłem. Gdy zaś Kremer pisze następnie: „*Łubo zapatrywanie się bywa wzięte czasem w bardzo ogólnem znaczeniu, tak*

dalece, iż nawet niekiedy odnosi się do przedmiotów duchowych (mówimy np. o *zapatrywaniu się na pewną epokę historyczną*),“ przeto ja, mając na względzie, że mówimy także o *poglądzie* na epokę historyczną, wyrazu „*pogląd*“ jako z „*zapatrywaniem się*“ tak blisko spokrewnionego, użyłem. Zresztą jakżeż Dr P. wyłożył „*Anschauung*“, pisząc o książce *Hanuscha*? ¹⁾ Oto na str. 304 *Przeglądu* napisał: „Jestto chwila druga, *intuicya*, die *Anschauung*. Jabym tego wyrazu nie był użył, aby znów nie zapytał się jaki inny recenzent, czy kiedy u nas rozumiano przez „*intuicyę*“ wyobrażenie złożone z poszczególnych spostrzeżeń, przez różne zmysły od tego

¹⁾ Wzmianka o *Hanuschu* zniewala mnie do zapytania Dra P. jakim cudem podręcznik jego: „*Handbuch der Erfahrungs-Seelenlehre*“ stał się owocem elementarno-psychologicznym na wielkiem drzewie *polskiego hegelianizmu*,“ za jaki go ma Dr P. (str. 303)? Hanusch, Czech rodem, uczeń niemieckiego uniwersytetu praskiego, następnie adjunkt profesora filozofii w niemieckim uniwersytecie wiedeńskim, zostaje około 1840 r. profesorem filozofii w niemieckim uniwersytecie lwowskim; przybywa do Lwowa, nie znając języka polskiego i wydaje najpierw w roku 1842, potem w r. 1846 niemiecki podręcznik psychologii do wykładów swych uniwersyteckich, a podręcznik ten ma być „owocem na wielkiem drzewie *polskiego hegelianizmu*!“ „*Quis, quid, ubi, quibus auxiliis, cur, quomodo quando?*“ Chyba dlatego, że książka we Lwowie wydana. Jakież dzieła polskie treści psychologicznej mógł mieć wówczas pod ręką, gdyby nawet umiał być po polsku? Czy pisząc książkę niemiecką, a znając pisma Hegla i jego uczniów, potrzebował się oglądać za polskimi, gdyby nawet były? W literaturze galicyjskiej wówczas prawie się nie zajmowano filozofią; dawniej toczyła się w Pamiętniku Lwowskim polemika z Janem Śniadeckim o Kanta; później „*Haliczanin*“ umieszczał rozprawki filozoficzne, a między młodzieżą uniwersytecką dopiero Hanusch obudził zajęcie się studjami filozoficznymi. Zresztą podręcznik *Hanuscha* nie jest nawet owocem czystego, niemieckiego hegelianizmu, lecz przeplatany jest Herbartem (np. rzecz o wyobrażeniach i ich matematyczne traktowanie, lub o rozwoju myślenia). „Owoc na wielkiem drzewie *polskiego hegelianizmu* jest więc tylko conceptem i to niebardzo szczęśliwym, który może w błąd wprowadzić czytelnika, rzeczny nieświadomego.

samego samego przedmiotu odebranych? A zapytałby się mógł z równą jak Dr P. zgrozą, ale z większą od niego słusnością; bo przez intuicyą w języku codziennym rozumieją dziś rodzaj jakiegoś na jawie jasnowidzenia, bezpośredniego wnikania w świat nadzmysłowy, coś nakszałt „*extazy*“ Nowoplatoników, a „*unmittelbares Wissen, Vernunftanschauung*“ Jakobiego.

Do użycia wyrazu „*pogląd*“ inny jeszcze skłonił mnie powód. Po r. 1848 zaprowadzono do szkół naszych ludowych tak zwany „*Anschauungsunterricht*“, który odrazu pojawił się w polskiej szacie jako „*nauka poglądu*“. Kto go tak nazwał, nie wiem; to tylko pewna, że ani ówczesne władze po niemiecku urzędujące, ani organa wykonawcze: inspektorowie krajowi szkół ludowych, Niemcy Linzbauer i Macher. Nazwa ta pojawiła się między nauczycielstwem i dotychczas się utrzymała. Wiem, że należyście nie oznacza rzeczy; wiem, że przeciw niej podnosiły się głosy; znam i inne jej, również niebardzo szczęśliwe nazwy, jakimi np. są: „*nauka dostrzegania*“ lub „*nauka o rzeczach*“. Mimo to wszystko utrzymała się „*nauka poglądu*“, lub jak inni piszą „*nauka z poglądu*“, a dziś nawet do terminologii dydaktyczno-metodycznej się wcisnęła. Jako egzaminator z pedagogiki w komisji kwalifikującej nauczycieli szkół ludowych, gdy zapytam o sposób najwłaściwszy wyrabiania u dzieci jasnych i wyraźnych wyobrażeń, chyba od byłych seminarzystów otrzymam stósowną odpowiedź; kandydaci z pomiędzy tymczasowych nauczycieli, którzy niegdyś uczęszczali na kurs tak zwanej preparandy, zazwyczaj nie umieją dać sobie z tem pytaniem rady; ale po największej części zaraz się orientują, gdy się ich o „*pogląd*“ albo „*naukę z poglądu*“ zapyta.

Otóż tak ze względów powyżej wyłuszczonych, jakoteż wobec faktu właśnie co wspomnianego, gdy przekładając *Zarys Crügera*, „znacznego zastęp kandydatów, sposobiących się do egzaminów nauczycielskich, na szkoły ludowe także miałem na oku“ (obacz ostatni ustęp przedmowy) — sądziłem że w braku wyrazu naukowego, już powszechnem używaniem w nauce ustalonego, nie popełnię ciężkiego grzechu, używając wyrazu pokrewnego temu, którego użył ś. p. Kremer, a nadto już w jednym i to szerokim kole utartego.

Oto powody, dla których użyłem wyrazu „pogląd“; powody, które może posłużą także za dowód, że nie na oślep brałem pierwsze lepsze słowo na wyłożenie terminów naukowych. Jeżeli zaś Dr P. w następnej uwadze ze zgrozą czy z zadziwienia zapytuje się: „Czy słyszano kiedy, żeby drzewa lub ogrody miały swoje poglądy? — niech wybaczy, że i ja go się zapytam: Czyż ma mnie „gorącego wielbiciela filozofii“ (a przy tejto sposobności umieścić o mnie ten zapisek) za tak ograniczonego, abym drzewom lub ogrodom przypisywał poglądy? Czy udając naiwnego, zamierzył onem zapytaniem silniejsze na czytelniku wyrzucić wrażenie? Wszak gdyby nawet na tej samej stronie przekładu nie było nieco wyżej dwukrotnego wyrażenia „pogląd na melodyą“, można odrazu zrozumieć, jak się ma rzecz z onem wyrażeniem, które go do powyższego spowodowało zapytania.

Dał Dr P. w tem zapytaniu folgę swej zgrozie czy zadziwieniu; niechże pozwoli, że teraz na mnie kolej, abym i ja swemu zadziwieniu pofolgował. Oto w książce, którą równocześnie z moją oceniał, czytam na str. 96 o „*wystawie świata*“; a jednak w ocenieniu książki nie czytam zapytania się p. recenzenta: Czy słyszano kiedy, aby *świat można wystawić*? A w drugiej książce, także przezeń ocenianej, czytam znów na str. 185 zdanie następujące: „Jeżeli równocześnie na jedno i to samo narzędzie wywarte są dwa wrażenia, z których jedno mocniejsze jest, a drugie słabsze, mocniejsze wrażenie albo stępia albo zupełnie przytłumia słabsze; i dlatego mocniejsze tylko wrażenie *się poczuwa*, *słabszego zaś samowiedza znika*.“ A jednak p. recenzent, którego tkliwość i drażliwość na moje przewinienia poznałeś już czytelniku, w ocenieniu tej książki nie zapytał się autora: *do czego to poczuwa się* owo mocniejsze wyobrażenie; ani też ze zgrozą nie zawołał: czy słyszano kiedy, aby *wyobrażenia miały samowiedzę*? A nie każe także wołać ojcom: „niech moje chłopcy wcale się nie uczą nauki, która im psuje mowę, a przewraca głowy!“ A przecież o pierwszej książce napisał, że „zaleca się językiem czystym, jasnym i starannym, a pod tym względem zaspakaja wszelkie wymagania, jakie *wybredna* nawet krytyka mieć może do książki szkolnej (323), a drugiej język

jest „prosty i zrozumiały,” a książka sama jest „wcale porządną robotą” (str. 316).

Nie podobają się p. recenzentowi w przekładzie moim wyrażenia „narząd zmysłowy” lub „zmysł dotyku”; ale je pomija, „bo one w innych także filozofach i przyrodnikach znajdują się, acz nie bardzo są potrzebne.” O tej uwadze p. recenzenta możnaby uczynić uwagę, że także niebardzo jest potrzebna; bo jeśli owe wyrażenia znajdują się i w innych filozofach i przyrodnikach, tedy może dobrze sobie postąpiłem, jeśli przekładając rzecz poczęści treści filozoficznej, poczęści fizyologicznej, brałem wyrazy z pism filozofów i przyrodników. Czy wyrazy niebardzo są potrzebne, tego dowieść należało. Dodam jeszcze, że w części o zmysłach co do wyrazów naukowych poszedłem zupełnie za Dra Józefa *Majera* „*Fizyologię zmysłów*,” zatem za powagą, do której Dr P. odsyła autorów książek w ustępach 12 i 20 artykułu ocenianych. Miałżeby nie wiedzieć, że poważny autor „*Fizyologii Zmysłów*” mówi także o „zmyśle dotyku” ¹⁾. Zresztą dodam jeszcze, że i autor książki oryginalnej „zalecającej się czystym i starannym językiem” mówi na str. 12 o „narządzie myślenia,” a na str. 23 i 26 o czuciu „dotykowem”, czego jednak surowy mój p. recenzent nie wytyka. Być może, iż uważał to za rzecz zbyteczną, kiedy już w ocenieniu mojej książki uczynił o tych wyrażeniach wzmiankę. Tym sposobem oszczędził sobie trudu, ale moim wobec czytelnika kosztem; ten bowiem, kto książek ocenianych sam czytać nie będzie, nie dowie się, że i w innych książkach, wedle p. recenzenta językiem się zalecających, znajdują się owe co najmniej „niepotrzebne” wyrażenia; ale z ocenienia mojego przekładu wyniesie wrażenie sporego rejestru grzechów.

W dalszym ciągu ocenienia mego przekładu Dr P. pomija oczywiste germanizmy, jak na str. 25: „widzi krople krwi tam, gdzie nie ma nic do widzenia,” a przytacza następnie zwroty niezrozumiałe. Z uwagi tej p. recenzenta zdawa-

¹⁾ Wyrazów „zmysł dotyku”, „narząd” używa Dr Józef Oettinger (obacz *Wykład objaśniający* do tablic anatomicznych Kundera), znany w świecie lekarskim z czystości języka.

łoby się, że tych oczywistych germanizmów mnóstwo jest w przekładzie, nawet taka obfitość, że mu je nawet już pomijać przychodzi; wątpię bowiem, żeby w onym jedynym, powyżej przytoczonym zdaniu tych oczywistych, a zatem wielu dopatrzył się germanizmów. Otóż chociaż on je pomija, wybaczy, że ja ich pominąć nie mogę, lecz go się zapytam, w czym też tkwią te oczywiste germanizmy: czy w widzeniu kropli krwi, czy w samych krwi kroplach, czy wreszcie w zwrocie „gdzie nie ma nic do widzenia?” Jeżeli w zwrocie tym ich dopatrzył, tedy może wystarczy przytoczenie zwrotu z IV tomu Pism rozmaitych Jana Śniadeckiego na str. 394: „Kondillak to sobie ma do zarzucenia;“ z czego wynika, że gdyby Kondillak wolen był od zarzutu, Śniadecki byłby o nim powiedział, że nic sobie nie ma do zarzucenia. Zresztą co do germanizmów dodam tu uwagę, że znajdują się one w nie-małej liczbie i w książkach oryginalnie napisanych, recenzują Dra P. objętych, a co do języka za dobre uznanych, o których jednak w recenzji głuche panuje milczenie; co więcej, że i artykuł p. recenzenta nie całkiem od nich jest wolen, o czym poniżej szczegółowa będzie wzmianka, tak, że może będzie stosowną przypomnieć znane Horacego zdanie: „*Damus veniam petimusque vicissim.*“ Przedtem jednak załatwić muszę sprawę zdań „niezrozumiałych“, które w ocenieniu swem przytacza z kolei p. recenzent; zdań czyli zwrotów, ze związku z całością powyrywanych.

Do takich „zwrotów zupełnie niezrozumiałych“ należy najpierw zdanie na str. 58 przekładu: „jeżeli się rozchodzi o istotę instrumentu muzycznego, mało zależy na jego wielkości lub barwie.“ O zdaniu tem najpierw zapisać muszę, że niedość tego, iż z całości wyrwane, ale nawet jako zdanie *nieprzytoczone w zupełności*; brzmi ono bowiem w moim przekładzie: „*Tak np.* jeżeli się rozchodzi o istotę instrumentu muzycznego, mało zależy na jego wielkości lub barwie.“ Słowa: „*tak np.*“ wyraźnie mówią przecież, że zdanie to jest przykładem, mającym posłużyć do objaśnienia tego, o czym poprzednio była mowa. Wszak w takim razie należało przytoczyć zdanie, zawierające w sobie rzecz, którą przykład miał objaśnić. Wówczas dopiero można było wykazać, że to przykład albo niedorzeczny, albo niezrozumiały, albo nie ob-

jaśnia; prosta to bowiem rzecz, że gdybym komuś, nieznającemu składu apostolskiego, przytoczył ustęp: „ztamtąd przyjdzie, sądzić będzie żywych i umarłych“ i powiedziałbym, że to zdanie niezrozumiałe, niezawodnie zgodziłby się na to, gdyż słusznie mógłby się zapytać: kto i zkadże przyjdzie? Jakżeż zdanie to mego przekładu, wedle p. recenzenta zupełnie niezrozumiałe, wygląda w połączeniu z innemi? Znajduje się ono w ustępie, wykładającym tworzenie pojęć. Pozwolisz Szanowny Redaktorze, że przytoczę ustęp ten w znaczniejszej części już dla wykazania związku i znaczenia tego zupełnie niezrozumiałego zdania, już też, aby czytelnikom *Przeglądu*, od których nie mogę żądać, aby czytali przekład Zarysu Crügera w całości, dać próbkę mowy tego przekładu „z tokiem więcej niemieckim niż polskim, mowy, która z dobrego pierwowzoru zrobiła rzecz nader niemiłą i niestrawną.“

Brzmi ten ustęp jak następuje (§ 13, str. 57): „Łączyć wyobrażenia na podstawie ich *treści*, znaczy myśleć. Myślenie tworzy pojęcia i łączy je w sądy i wnioski. — 1. Pojęcie. Ponieważ treść wyobrażeń domaga się praw swoich, przeto (wedle trzeciego prawa odnowy) wyobrażenia *podobne nawzajem przywołują się do świadomości*. Jasne wyobrażenie *instrumentu rżniętego* np. skrzypiec sprawia, że w świadomości naszej jawią się także wyobrażenia wiolonczeli, altówki i gwardyoli. Wyobrażenie jednej *głoski* sprawia, że i resztę sobie wyobrażamy, gdyż jako głoski są do siebie podobne. Drogi kamień np. dyament, przypomina rubin, szmaragd, topaz. Skrzypce, altówka, wiolonczela i gwardyola mają te *wspólne znamiona*, że są narzędziami muzycznymi, zaopatrzonymi w struny, z których za pociągnięciem smyczka tony wydobywamy. Wszystkie głoski, jakakolwiek między nimi zachodzi różnica, mają te wspólne znamiona, że są znakami widomymi i to znakami głosów. Dusza zatem wystawia sobie *gromady przedmiotów, mających wspólne znamiona*. Wszystkie przedmioty, mające wspólne znamiona, tworzą *ten sam rodzaj*. Wspólne znamiona *muszą* znajdować się we wszystkich jednostkach, czyli przedmiotach tego samego rodzaju; każda głoska musi być widomą i znakiem głosu, bez tego bowiem nie byłaby głoską. *Znamiona wspólne wszystkim tego samego rodzaju przedmiotom, zowią się dlatego znamionami istotnymi.*

Tak np. jeżeli rozchodzi się o istotę instrumentu muzycznego, mało zależy na jego wielkości lub barwie; głoska zawsze jest głoską, czy drukowana, napisana, lub czy w jakim materiale wyryta; kamień drogi może być bezbarwny, czerwony, zielony lub innego koloru; bezbarwność bowiem albo barwa nie jest wspólnem wszystkich drogich kamieni znamieniem. Znamiona przedmiotu, które nie są wspólne wszystkim przedmiotom tego samego rodzaju, zowią się *przypadkowemi*. Gdy sobie wyobrażamy po kolei wszystkie tego samego rodzaju przedmioty (np. wszystkie głoski), tedy z każdym z nich jawią się znów w świadomości *istotne* znamiona (w przykładzie właśnie danym znamiona: „widomy i znak głosu“). Wedle prawidła: *jednakie wyobrażenia wzajemnie się wzmacniają*, muszą i wyobrażenia istotnych znamion nabierać coraz większej mocy i coraz więcej zaprzątać sobą świadomość. Przeciwnie, znamiona *przypadkowe* np. czy głoska drukowana, napisana, czy wyryta, czy łacińskiego, greckiego, niemieckiego, czy hebrajskiego abecadła, czy większa, czy mniejsza — nie powtarzają się w każdej głosce; z tej też to przyczyny wyobrażenia znamion przypadkowych słabną, zaćmiewają się i *ustępować muszą ze świadomości*. Tym sposobem tylko znamiona istotne, jako silniejsze, zajmują w świadomości miejsce, zwłaszcza że do ich spotęgowania przyczynia się także i *współczesne* ich za każdym razem jawienie się w świadomości, ilekroć nawinie się przedmiot tego samego rodzaju. A wedle *kojarzenia się wyobrażeń łączą się ze sobą wyobrażenia, równocześnie w świadomości będące*. Znamiona istotne (w przykładzie przytoczonym: „widomy i znak głosu“) muszą się więc złączyć ze sobą w wyobrażenie złożone (widomego znaku głosowego), z czego powstaje *wyobrażenie, w którym istotne znamiona stanowią treść naszego myślenia*. Wyobrażenie takie zowie się *pojęciem*. *Pojęcia więc są to wyobrażenia, w których istotne przedmiotów znamiona są treścią naszego myślenia.*“

Zapytuję się więc każdego nieuprzedzonego czytelnika, czy owo zdanie, które p. recenzent uznał za zupełnie niezrozumiałe, jest takim w samej rzeczy, niezrozumiałem do tego stopnia, żeby go nie zdołał zrozumieć już nie uczony doktor filozofii, lecz zwyczajny myślący czytelnik, albo uczeń

klasy VIII gimnazjalnej, gdy ustęp ten ze zwykłą przeczyta uwagą?

Zapytuje się następnie, czy przekład tego ustępu może stanowić dowód, że tłumacz przestawał na dosłownem słów przekładaniu, a z tłumaczenia tego wypadło coś tak dziwnego; tak komicznego, że może stanąć godnie obok urzędowej polszczyzny pruskiej?

A nie wyszukiwałem na próbkę ustępu, którybym sam uważał za najudatniejszy, od oczywistych germanizmów, złych lub niezrozumiałych zwrotów i wyrażen wolny, lecz korzystając z zarzutu p. recenzenta, przytoczyłem właśnie ten, w którym się zawiera zwrot, wedle Dra P. „zupełnie niezrozumiały.“

Zapytuje się nareszcie, czy w przekładzie tego ustępu „tok mowy jest więcej niemiecki niż polski,“ jak to p. recenzent raczył orzec w czambuł o języku mojego przekładu? Odpowiedź na te pytania pozostawiam nieuprzedzonym światłym czytelnikom.

Z kolei przytacza Dr P. zdanie (ze str. 98 przekładu): „Ponieważ w uczuciach ogólnych nie rozchodzi się o treść wyobrażeń lecz o formę ich toku“ i dodaje: „Nikt tego z pewnością nie zrozumie.“ Najniezawodniej; już dlatego, że to od „ponieważ“ zaczynające się zdanie jest zdaniem *podrzędnem*, do którego zrozumienia potrzeba zdania głównego, tego zaś p. recenzent nie raczył przytoczyć. Jeżeli zaś czytelnik przeczyta je w książce, zniknie, zdaje mi się, i owa niezrozumiałość „pewna“. Tam bowiem znajdzie najpierw podział na uczucia *ogólne* i *szczególne*, potem bliższe ogólnych określenie: „Uczucia ogólne są te, które początek mieć mogą w wyobrażeniach *jakiegokolwiek* treści; a ponieważ w nich nie rozchodzi się o treść wyobrażeń, lecz o formę ich toku, przeto uczucia ogólne zowią się także *formalnemi*. Forma toku wyobrażeń zależy na przyspieszeniu lub zwolnieniu ruchu myśli, na bogatym zasobie wyobrażeń lub ich ubóstwie i braku, na wzajemnem ich popieraniu się lub tamowaniu.“ Poczem przytoczone są najważniejsze uczucia ogólne i ich szczegółowy opis, w którym uwydatniono ich istotę; w następnym zaś § jest wykład uczuć szczególnych, zawisłych od szczególnej wyobrażeń treści.

Podobnie ma się rzecz z resztą zwrotów — jest ich jeszcze cztery — uzupełniających rejestr moich grzechów śmiertelnych. Jest między nimi jeden, zawierający w sobie oczywistą myłkę drukarską: „w wykonanie idei“ zamiast w wykonaniu idei“, o czym się z manuskryptu przekonałem, co zresztą z kontekstu, bez zaglądania do pierwowzoru, łatwo wyrozumieć.

Otóż wszystkie te zwroty czy zdania, gdy się je w związku z całością przeczyta, przestają być dla czytelnika zagadkami czy dziwolągami, za jakie je p. recenzent uważał. Na dowód, że się tak rzecz ma, mógłbym przytoczyć ustępy, w których one się zawierają; powstrzymuję się jednak od tego, bo innych kilka punktów pozostaje do omówienia.

Rejestr przewinień moich kończy wyrażenie „*odnowa wyobrażeń*“, którem oznaczyłem niemieckie „*Reproduction der Vorstellungen*“. O tym wyrazie pisze Dr P. „*Odnowa wyobrażeń* t. j. ich powrót do świadomości *nie jest także ścisłem wyrażeniem*; odnowa jest odświeżaniem rzeczy starych, nadpsutych, wybladłych, a reprodukcya nietylko odnawia przyćmione pojęcia, lecz wywołuje z pamięci takie, których tam jakoby nie było.“ Szukając na „reprodukcją“ stosownego wyrazu polskiego, wybrałem z pomiędzy kilku nawijających się „odnowę“, bo wyczytałem w Śniadeckim (Pisma rozm. IV, str. 148) zdanie: „*Godziłoby się odnawiać i wskrzeszać czasy napaści?*“ a w Lindem, który obok „odnowa“ i „odnawiać“ położył „odmładzać, wskrzeszać“, są przykłady z pisarzów wyjęte: „*Trzeci raz Pers wojnę odnowił*“ — „*Jak Chrystus zmartwychwstał, tak i my odnowmy żywot nasz*“ — „*Z twego rodu będzie wiele zacnych pań, które upadłych królestw będą odnowicielkami.*“ Jeżeli więc mówi Śniadecki o *odnowieniu* czasów napaści, tedy zapewne minione czasy napaści ma na myśli; jeśli Pers trzy razy *odnawiał* wojnę, niezawodnie nie odnawiał wojny „starej, nadpsutej i wybladłej“, lecz wojnę, która była ustała, wojnę przerwana zaczął; jeśli następnie w przykładzie trzecim *odnowienie* odpowiada *zmartwychwstaniu*, a w ostatnim mowa jest o *odnowicielkach* królestw *upadłych* czyli już nieistniejących: natenczas, zdaje mi się, wyraża „odnowa“ także i to, czego sobie życzy p. recenzent. Co więcej; w Słowniku w Wilnie wydanym (Zdanowicza i in-

nych) przy słowie „odnowa“ wyraźnie napisano: „*obacz: reprodukcya*“, następnie przytoczono: *odnawiać pamięć czego t. j. dawniejsze wspomnienia*;“ w końcu znaczenie „*odrzucać się*“ objaśniono przykładem: „*Natura odnawia się na wiosnę*.“ Sądzę, że jeśliby niedość było p. recenzentowi poprzednich przykładów, tedy ten powinienby zupełnie zaspokoić jego o ścisłość wyrażenia troskliwość; natura bowiem *odnawiając* się na wiosnę, nie odświeża tylko rzeczy „starych, nadpsutych i wyblądłych“, lecz wywołuje także z łona swego do bytu jestestwa i kształty, „których jakoby przedtem nie było.“

Oto powody, dla których użyłem wyrazu „odnowa“, tego biednego wyrazu, któremu także nie powiodło się zasłużyć sobie na względy uczonego p. recenzenta; a dodam jeszcze, że, aby zapobiedz mylnemu tegoż wyrazu zrozumieniu, obok „odnowa“ położyłem w nawiasie „reprodukcya“.

Czy znalazłem wyraz najwłaściwszy? Nie wiem. Wię to zapewna p. recenzent, który memu wyrażeniu brak ścisłości zarzucił. Jakaż szkoda, że sam ścisłego nie podał wyrazu; ale światło swe ukrył pod korcem, niepomny mądrej Horacego przestrogi: „*In vitium ducit culpae fuga*“ — a możnaby dodać: *et culpam nimium inquirere*. A jeśli p. recenzent od piszącego żąda ścisłości, tedy odpłacając się pięknem za nadobne, powiem mu, że i recenzenta *ludzkim* obowiązkiem starać się o ścisłość własnych uwag; co znaczy, że nie dość pochwycić wyraz w jednym znaczeniu, lecz rozważać go z różnych stron należy. Nie dość więc, przeczytawszy wyraz „odnowa“, przypomnieć sobie suknię wyszarżałą, do której się nowy dodaje kołnierz, lub sprzęt o wypłowiałym pokrowcu, który tapicer nową zastępuje materyą; lecz zastanowić się należy, czy też wyraz i innych nie ma znaczeń. A nie uchybi to powadze recenzentów, gdy w takich razach zajrzą i do słownika. Wówczas nie będzie się traktowało sumiennych pracowników jak wyrobników na łokcie tłómaczących, lub jak żaków lekkomyślnych. A tem więcej można wymagać od recenzenta namysłu i rozwagi w orzekaniu, jeśli w książce, którą ocenia, ma kilka przypisków, mogących posłużyć za wskazówkę, że ten, o którym orzeka, przecież z jaką taką świadomością wykonywał swą pracę.

Nakoniec w sprawie „odnowy wyobrażeń“ jedna jeszcze uwaga. W książce, która wedle zdania Dra P. zaleca się językiem czystym i starannym, jest (na str. 65tej w § 31szym w wierszu 3cim z góry) mowa o *odnowieniu* wyobrażeń; wszelako p. recenzent, tak tkliwy na moje nieściśle wyrażenia, oceniając owę książkę, żadnej autorowi nie czyni uwagi. Tylko w *mojej* książce wyraz ten przestaje być ściśłym; a dalszem tego następstwem: jedna kreska więcej w rejestrze moich przeciwników czystości i jasności języka ojczystego grzechów. A na podstawie zwrotów powyżej przytoczonych i wyrażen, do których należy i „odnowa wyobrażeń“, szereg ich zamykająca, litością wzruszony recenzent „żałuje, że *mnóstwo* podobnych wyrażen i zwrotów w połączeniu z *tokiem mowy* więcej niemieckim niż polskim z dobrego pierwowzoru zrobiło rzecz nader niemiłą i niestrawną.“

Otóż widzisz szanowny czytelniku, ile to względności i życzliwości żywi dla mnie p. recenzent! W książce *mojej mnóstwo* podobnych wyrażen i zwrotów, a on ich stosunkowo tak mało wykazał! *Tok mowy więcej niemiecki niż polski!* A on czy w dobroci serca, czy też litując się nademną, nawet nigdzie bliżej nie określił, na czem też to właściwie polega ten więcej niemiecki niż polski tok mowy *mojej* i z czego to przebijają! Nie; tego nie uczynił. Z wyrozumiałości dla mnie, a zapewne i z chęci oszczędzenia wstydu człowiekowi „używającemu wielkiej powagi w pedagogicznym i uczonym świecie“ a zarazem „gorącemu wielbicielowi filozofii“ przykrył tę „rzecz nader niemiłą i niestrawną“ — ogólnikiem!

Cóż p. recenzent rozumie przez tok mowy? Zapewne szyk, następstwo wyrazów w zdaniach i zdań łączenie. W czemże tok ten w przekładzie moim staje się więcej niemieckim niż polskim? Znana to przecież powszechnie rzecz, że język polski wcale nie krępuje w tym względzie pisarza, pozwalając rozmaitego przekładania wyrazów zwłaszcza, gdzie tego wymaga harmonia języka. Inaczej rzecz się ma z niemieckim; ten częściom zdania stałe wyznacza miejsca. Jeżeli więc tok mowy *mojej* jest więcej niemiecki niż polski, natenczas następstwo słów w moim przekładzie wlec się będzie niewolniczo za szykiem niemieckim, a główne części zdania te same, co w nie-

mieckim, i to stałe zajmą miejsca. O tem można było bardzo łatwo przekonać czytelnika, przytaczając kilka zdań niemieckich i odpowiadających im w moim przekładzie polskich i wykazując, że poszczególne słowa zajmują tu i tam te same miejsca. Czemuż p. recenzent tego nie uczynił, tak prosty mając pod ręką środek? Czemu? Tego nie wiem; ale to wiem, że napotkałby na bardzo wielkie trudności. Proszę, niech kto spróbuje z przekładu mego przekładać na odwrót na niemieckie, nie mając oryginału pod ręką, a niech tłumaczy dosłownie, skoro w mowie mojej tok jest więcej niemiecki niż polski, a obaczy, jakie dziwolagi co do toku niemieckiego będą takiej próby wypadkiem. P. recenzent nie wdawał się w takie drobnostki: ale ułatwił sobie znacznie sprawę, używszy *ogólnika* o toku mowy więcej niemieckim niż polskim.

Powiadają Niemcy: *Wer Pech hat, stolpert im Grase, fällt rücklings und bricht die Nase.* Coś podobnego i mnie spotkało z moim przekładem. *Crüger*, którego tłumaczyłem, rozróżnia, tak jak inni psychologowie niemieccy po największej części, w myśleniu dwa stopnie: *Verstand* i *Vernunft*, przypisując tamtemu tworzenie pojęć i ich łączenie w sady i wnioski, temu tworzenie i łączenie idei. Niektórzy autorowie i tłumacze książek, które Dr P. oceniał, użyli na wyrażenie niemieckiego „*Vernunft*“ słowa „*um*“, przeciw czemu p. recenzent stanowczo, a według mego zdania, całkiem słusznie, wystąpił. Ja słowa tego nigdzie nie użyłem. Ale mając przełożyć *Crügera*, a w nim *Verstand* i *Vernunft*; mając przełożyć, powtarzam, bo nie założyłem sobie przerabiać a więc i zmieniać wykładu rzeczy pierwowzoru — szukałem odpowiednich na to naukowych wyrazów. Linde przy słowie „*rozsądek*“ położył *Verstand*, przy słowie „*rozum*“ *Vernunft* i *Verstand*; a Kremer, jako heglista, ale wedle zdania Dra P. „heglista w najprzyjemniejszej formie a najlepszem znaczeniu“ wprowadzie ze stanowiska swojego mistrza, odróżnia także „*działanie pojętności* (*Verstand*), w którą i *rozsądek* wchodzi, od *rozumu* „*który dąży do poznania idei wszech rzeczy*“ (Wykl. filoz. II str. 459 i 479 w rozdziale III Myślenie). Poszedłem więc za Lindem i Kremerem, który co do języka i w literaturze filozoficznej niezaprzeczenie jest powagą.

I jak myślisz, szanowny czytelniku, co mnie za to spotkało? Oto Dr P. rozprawiwszy się z tymi autorami i tłumaczami podręcznych psychologii, którzy do pism swych „um“ wprowadzili, zwraca się do mnie, który nie będąc zwolennikiem „umu,“ wcale go nie użyłem i na str. 316tej *Przeglądu* pisze, co następuje: „Nareszcie *Crüger-Sawczyński* zamiast *umu* kładą rozum, a zamiast rozumu rozsądek, czem zwiększyli jeszcze pomieszanie.“ Najpierw *Crüger*, Niemiec, który o „umie“ nigdy nic nie słyszał, w sprawie tej Bogu ducha winien. Jeżeli już kto winien, tedy tylko ja. Ależ ja z „umem“ także nic nie miałem do czynienia; więc zamiast „umu“ nic nie kładłem. Rzecz całkiem prosta i z „umem“ niczem nie związana; *Crügera Verstand* i *Vernunft* przełożyłem po polsku na *rozsądek* i *rozum*. Skądżeż więc i jakim cudem „zwiększyłem jeszcze pomieszanie“ czyli mówiąc prostym językiem, popełniłem jeszcze większą niedorzeczność, aniżeli ci, którzy wprowadzili dowolnie słowo, w mowie potocznej nie będące w obiegu, a w słowniku *Lindego* oznaczone gwiazdką jako nieużywane i przytoczone głównie jako pierwiastek „słowiański“ z którego mnóstwo pochodzi wyrazów? Zwykły więc tłumacz, używając wyrazów utartych w języku potocznym i naukowym, więcej zawinił od autorów książek oryginalnych i tłumaczy, wprowadzających wyraz wcale nieużywany? od autorów, którzy nie skrepowani tekstem cudzym, mogli całkiem pominąć różnicę niemieckiego „*Verstand* i *Vernunft*? Czy nie sprawdza się przysłowie: „Ślusarz zawinił, a kowala powiesili!“

Tak tedy nietylko „rzeczywista wartość pierwowzoru zginęła pod niedbałą formą mego tłumaczenia“ nietylko „mnóstwo moich złych wyrażen i zwrotów w połączeniu z tokiem mowy więcej niemieckim niż polskim, zrobiło z dobrego pierwowzoru rzecz nader niemłą i niestrawną“ lecz nadto jeszcze „zwiększyłem *pomieszanie*.“ A sprawa tego „pomieszania“ inną jeszcze, a nie mniej charakterystyczną ma stronę. Autor psychologii *oryginalnie* napisanej, którą Dr P. w ustępach 23—25 ocenia, wykładając rzecz o „*myśleniu* jako sprawie umysłu“ w której między innymi także „*marzenia senne i lunatyzm*“ znalazły miejsce — odróżnił w myśleniu także „*rozsądek* i *rozum*“; tamten jako zdolność rozeznawania i rozsądzania rzeczy“, ten „*stawia (sic)* sobie pytania: *dłaczego*

i poco? i dąży już nietylko do rozpoznania rzeczy, lecz także do ich zrozumienia.“ Rozróżnienia tego na rozsądek i rozum Dr P. i temu autorowi nie pochwalił. Ale dla autora książki oryginalnej z większym niż dla mnie tłumacza był respektem, albo może autor ten większą odemnie miał u niego łaskę. Bo kiedy ja, prosty tłumacz, przekładając tekst gotowy, wyraziwszy *Verstand* i *Vernunft* w oryginale zawarte, przez rozsądek i rozum, „powiększyłem pomieszanie,“ autor owej książki oryginalnej, który mógł zaniechać tego władz umysłowych rozróżniania, wedle słów Dra P. na str. 323 „Przeglądu“ zawartych, tylko „wtrącił między wyobraźnię i rozum tak zwany rozsądek.“ On więc, jak widzisz szanowny czytelniku, nie „powiększył zamieszania“! Miał zatem słuszność, jeśli się nie mylę, Józef Dzierzkowski, dając jednej ze swych powieści tytuł: „*Niezasłużony ale szczęśliwy!*“ Jaki zaś tytuł byłby dał obrazkowi, w którymby kreślił wizerunek recenzenta, oceniającego w powyższy sposób prace cudze, twemu domysłowi pozostawiam szanowny czytelniku.

Do tego wizerunku użyćby mógł jednego jeszcze rysu. „Żadna z dotąd wydanych psychologii“ — pisze Dr P. na str. 324ej — „z wyjątkiem p. Sawczyńskiego nie odpowiada na pytanie: *czy jest dusza i czym jest właściwie?*“ Naturalnie nie moja w tem zasługa, lecz Crügera, którego przekładałem. Co do mnie, powiem tylko, iż właśnie to, że Crüger na te pytania odpowiada, było jednym z głównych powodów, dla których wybrałem podręcznik jego do tłumaczenia. Dr P. uważając umieszczenie tego zagadnienia tak ze względów naukowych jakoteż pedagogicznych słusznie za niezbędne, szeroko tę sprawę omawia i kilka razy do tego powraca, że tylko w podręczniku przeze mnie przełożonym jest mowa o tem zagadnieniu. Pisze też Dr P. na str. 325tej: „Sawczyński tylko jeden *dostatecznie* wyłożył.“ Naturalnie wyłożyłem, a raczej przełożyłem to, co było w Crügerze, a co zawiera ostatni podręcznika paragraf. Nie dotyka mnie więc w niczem że wyłożenie tej rzeczy Dr P. nazwał tylko „*dostatecznem*“. Gdy jednak o kilka wierszy niżej na tej samej stronie pisze Dr P.: „Tak postępują Herbarcyanie, którzy... jak *Zimmermann*, *Crüger* i inni, dowodzą *obszernie* nietylko, że dusza jest, lecz także że jest pojedynczą, ciągle tą samą, że ma wolę wolną.

i że jest nieśmiertelną“ — tedy mógłby ktoś sądzić, że kiedy *Crüger obszernie* rzeczy dowodzi, a ja tę samą rzecz tylko *dostatecznie* wyłożyłem, niezawodnie dopuściłem się jakiegoś skoszlawienia myśli Crügera. Tymczasem w przekładzie moim tyle jest, ile jest w Crügerze, ani mniej ani więcej.

Już z kilku przykładów, które omawiając uczynione mi zarzuty, nawiasem przytoczyłem, czytelnik mógł spostrzedz, że Dr P. mniej był łaskaw na mnie niż na autorów książek oryginalnie napisanych, o których w tym samym artykule zdawał sprawę. Jaka temu przyczyna nie wiem, ale że Dr. P. nierówną mierzył miarą, na to prócz powyższych nowe złożę dowody.

Oto w książce, którą Dr P. zajmował się w ustępach 23 i 24ym artykułu, czytać można następujące wyrażenia, zwroty i zdania. Na str. 5ej jest mowa o dwóch braciach, których rysy twarzy pod wpływem czynników psychicznych uległy przeobrażeniu; poczem następuje zdanie: „zestawmy ich *ze sobą*“; na str. 88ej: „poszczególne wyobrażenia porównujemy *ze sobą*.“ (Porówn. Suheckiego Zwięzłą gramatykę polską. Kurs wyższy Zesz. II. str. 24). Na str. 19: „czucia mogą *działać pobudzająco lub osłabiająco* (können *aufregend...* wirken); na str. 130: „działanie gniewu... w pierwszej chwili jest *pobudzające*“; a na stronie 156: „człowiek staje się spokojniejszym i chłodniej na świat *patrzącym*.“ Jabył był napisał: „staje się spokojniejszym i *chłodniej na świat patrzy*.“ Że Dr P. tego nie spostrzegł, temu się nie dziwię, bo sam tak pisze na str. 318 (początek ustępu 19): „Zarys psychologii empirycznej... *jest* może za krótki... a czasem zbyt elementarnie *się tłumaczący*“. Czy to zwrot dobry, nie wiem; ale równem prawem możnaby powiedzieć np.: uczeń ten jest ubogi, a przecież dobrze się uczący! Na str. 36 jest mowa o „*ogólnej*“ wesołości i „*ogólnej*“ radości.“ Niemieckie „*allgemein*“ znaczy nietylko „ogólny“ lecz i „*powszechny*.“ Co innego „*rzecz ogólnie* znana, a znana *powszechnie*“. Jan Śniadecki pisze zazwyczaj o *powszechnem* albo publicznem oświeceniu i o „*pożytku powszechnym*“ (list do Kołłątaja Pism rozm. I str. 129). Dziś w mowie i piśmie nie zawsze czynią nale-

żyłą w tym względzie różnicę; ale w książce naukowej należy jej przestrzegać. Pojęcie np. jest wyobrażeniem *ogólnem*; ale sądy *A* i *E* są przecież *powszechnemi*. Na str. 70: „*spotyka się ona* (hypochondrya) u ludzi, czy sama siebie spotyka? na str. 71: „minister oświaty.“ W Warszawie Ignacy Potocki był ministrem *oświecenia*, Odyniec w IV liście z Petersburga do Jul. Korsaka pisze o wieczorze muzycznym u ministra *oświecenia* Szyszkowa.“ Podobnie Jan Śn. (Pisma rozm. I str. 45, 97, 99) i Kołłątaj (list tamże str. 139) piszą bądź o oświeceniu w ogóle, bądź, jak się już nieco wyżej rzekło, o *powszechnem* lub publicznem *oświeceniu*. Str. 88: mowa o „powstaniu wyrazów“, widoczne: *Entstehung*. Ale i Dr P. pisząc o autorze książki w ustępie 18ym ocenianej, mówi, że „umiejętnie *zbijał powstanie* języka z migów.“ Tymczasem rzeczownik słowny „*powstanie*“ oznacza albo czynność dokonaną podniesienia się z miejsca, albo porwanie się zbrojne (porów. Lindego i słownik Wileński). Jan Śn. I 95 pisze: „Szpital św. Łazarza... winien swój *początek*“ co po niemiecku przysłoby wyłożyć: *seine Entstehung*. Na str. 90: „rozum .. *stawia* pytania;“ ale i Dr P. pisze przy końcu ustępu 2go na str. 300: „*Postawmy* je (t. j. pytania) podręcznym psychologiom“ a na stronie 308: „nie żąda od profesora filozofii, aby *stawiał* system samodzielny.“ Tymczasem Mickiewicz (Niepewność) „*tesknąc, sobie zadaje* pytanie,“ Jan Śn. (I 98): Stanisław August... pytania młodzi *zadawał*;“ Jędrzej Śniad. (wych. fizycz. str. 80: „*zrobię* zapytanie;“ a Skobel walczył na zabój przeciw *stawianiu* pytań, wniosków, warunków, systemów itp. jako przeciw germanizmom. Na str. 95: „dowcip *bywa*... przymiotem rzadko *spotykanym*“ i na str. 37: zbrodnie *spełniają się*;“ czy same? Na str. 96 mowa o wystawie *świata* (Weltaustellung); a „*Weltgeschichte*“ byłoby zapewne historią *świata*! Na str. 103: M. Müller jest „badaczem *językowym*“! Tem prawem i p. recenzent i autor książki, w której się to wyrażenie zawiera, byliby doktorami *filozoficznymi*, a autor nadto docentem *filozoficznym*; byliby profesorowie *matematyczni, historyczni, zoologiczni* itp.; wreszcie próżniak darmo chleb jedzący, byłby darmozjadem *chlebowym*!

Na str. 129: powrócił *jako* zwycięzca (Suchecki 29, 64); str. 135: „zmysły dostrzegają *to*; a jeżeli przekład dwuwier-

sza Goethego na str. 180 jest pióra autora, tedy w drugim wierszu: „A *sto* zwycięstw... zdołasz dokonać“ „*sto*“ równie jak poprzednie „*to*“ są błędami gramatycznymi. Str. 144: „Temperament jest wrodzonym usposobieniem... i *jako taki* (als *solches*) Such. 29. Str. 148: „podobny do rzeki... *rwijęcej*,“ jeśli nie myłka drukarska. Str. 150: „Melancholik jest przeciwnieństwem w stosunku do sangwinika, bo gdy *tamten*... ulega uczuciom..., *on* stroni od wesołości:“ Str. 161: „Potrzeby tego popędu zależą od wielu warunków, jak klimat, ruch itd.; str. 190: „od warunków jak wychowanie, przykłady... str. 23: „doznajemy... wrażeń jak opór, ciśnienie, twardość itp. Na str. 128: chociaż radość działa w początku przyjemnie i rozbudza,“ (przecież nie działa rozbudzająco!) „życie cielesne i duchowe, wszakże *długie jej trwanie może nawet stać się wyczerpującem i wielce nużącym*.“ O zwrocie tego rodzaju była wprawdzie już mowa; wszakże tu jeszcze o co innego chodzi; najpierw: *co* długie trwanie ma wyczerpywać? następnie: *czem* jest wyczerpującem i nużącym? czy długie *trwanie* ma się stać wyczerpującem i nużącym *trwanie*? Wreszcie i samo: „*długie trwanie*“ może nie bardzo zgodne z duchem języka. Jabym napisał: „wszakże, gdy dłużej potrwa, może wyczerpać siły i wielce znużyć“ — naturalnie gdybym z niemieckiego tłómaczył. Ale u mnie byłby to oczywisty germanizm, dosłowne przekładanie niemieckich wyrazów, zdanie niezrozumiałe w połączeniu z tokiem mowy więcej niemieckim niż polskim; w tej zaś książce oryginalnie napisanej zdanie to niczem nie przypomina niemieckiego: „*die lange Dauer derselben kann sogar erschöpfend und sehr ermüdend werden*.“ „*Difficile est non scribere satyram!*“ Tak jest; nie myśl czytelniku, żeby owo zdanie zawierało w sobie zwroty niemieckie; wszak tkliwy tak bardzo na każenie języka ojczystego recenzent byłby wnet pochwycił je i przypomniał polszczyznę landratów poznańskich; a on przecież i usterki powyżej przytoczone i to zdanie klasyczne zupełnie zbył milczeniem. Są to więc szczerozłote klejnoty języka polskiego; a trzeba w to uwierzyć i to tem silniej, że ów moich nawet rzekomych przewinień tak surowy sędzia napisał na str. 323 *Przeglądu Polskiego* na początku ustępu 23go, iż książka ta „*zaleca się językiem czystym, jasnym, starannym, a pod tym*

względem zaspakaja wszelkie wymagania, jakie wybredna nawet krytyka mieć może do książki szkolnej“!

„*Difficile est non scribere satyram*“! a ja powiem: trudno zachować i krew zimną i ton poważny! Porównaj bezstronny czytelniku, sąd o języku mego przekładu z tym pagnegirykiem, wypalonym językowi książki, o której była mowa; i cóż na to powiesz? Mnie się zdaje, że to nie ten sam recenzent obie oceniał książki. Licho nie śpi; może go kto jakimś, jak na Rusi mówią, „niesamowitym“ sposobem przemienił. „Są rzeczy na ziemi i na niebie, o których się nie śniło filozofom;“ dlaczegóżby nie było ich i dla mnie, który jestem tylko „gorącym wielbicielem filozofii“? Mój recenzent to bystry każdego i drobnego uchybienia spostrzegacz i sędzia surowy — ten jakiś pobłażliwy krótkowidz; sama pocziwość i uprzejmość; mój na mnie nie pozostawił pocziwej nitki — ten swojego autora wyniósł pod niebiosy! Czy możesz przypuścić, aby ten sam człowiek mógł być wydać oba te sądy? Nie — to nie ten sam recenzent! Mój, gdyby był przeczytał zdanie, jakie znajduje się w książce mego towarzysza na str. 134: „Jak gniew wpływa na wydzielanie żółci, tak przestrach działa fizyologicznie na nerki i dlatego z wielką prawdą Rembrandt namalował małego Ganimeda, którego orzeł porwya i do Olimpu unosi“ — byłby sobie użył, co się zowie! U niego nie obyłoby się zapewne bez wydzielania żółci, a u mnie, kto wie czyby się nie było skropiło na nerkach, a co najmniej byłoby mi aż w piętach postygło! Byłby się niezawodnie posypał grad pytań *dla czego to właściwie z tak wielką prawdą Rembrandt namalował małego Ganimeda?* Czy z powodu faktu, że gniew sprawuje wydzielanie żółci a przestrach działa na nerki, czy tylko z powodu działania fizyologicznego bądź jednego bądź drugiego z tych afektów z osobna? Czy Rembrandt sam się rozgniewał na orła, a uczucie to wezbrane „działając wedle wyrażenia autora, „pobudzająco,“ dodawszy natchnieniu artysty polotu, samo pokierowało pędzlem tak, że mistrz z wielką prawdą namalował Ganimeda? Czy sam Ganimed rozgniewał się czy przestraszył, a Rembrandt skutki tego psychicznego działania żywo sobie wyobraziwszy, z wielką odmalował prawdą? Ależ w takim razie przyczyną wielkiej prawdy obrazu byłby talent mistrza, a nie wzru-

szenie Ganimeda! Nakoniec, czy, gdy gniew i przestrasz fizyologicznie na organizm działają, a działanie to właściwie za sobą pociąga objawy, malarz te objawy uwytatniwszy, wielką w obrazie wyraził prawdę? Wyznaję, że nie znając obrazu, nie umiem sobie z właściwej przyczyny owej wielkiej w obrazie prawdy zdać stanowczo sprawy. Mój recenzent nie byłby mi dał tak łatwo wymknąć się z tej matni — ten wcale się o to nie troszczył! Mój, wyczytawszy na stronie 175tej książki, że namiętność wszystkie władze umysłu „niejako w służbę swą *najmuje*“ i przypisek do tego: „Linde wyprowadza *śluszenie* wyraz „*namiętność*“ od słowa „*jąć*“ *imać*“, byłby mu niezawodnie napisał: „Po co się Waszmość wdajesz w rzeczy, których widocznie nie rozumiesz; zapuszczając się w etymologizowanie na prostem podobieństwie brzmień oparte? Wolno było niegdyś Lindemu takiego protoplastę wyznaczać namiętności; ale nie wolno tego dziś czynić przy takim rozwoju badań na polu porównawczej lingwistyki, po pracach Mikłosicza na polu języków słowiańskich, po pracach, z których byłbyś się dowiedział, że od „*najać*“, (pierwiastek: *im*) pochodzić mogą w naszym przypadku rzeczowniki: najemność lub najętność, a nie namiętność, bo ta pochodzi od pierwiastka *min* w słowie „*mnieć*“, pomnieć, z którego pochodzi pa-mięć, a od niej przymiotnik pamiętny; więc dopiero od przymiotnika „*namiętny*“ w prostej linii idzie „*namiętność*.“ A byłby mu niezawodnie jeszcze dodał i moralną naukę: „Czemuż to wyczytawszy w Lindem po owym rodowodzie „*namiętności*“ przykłady wyjęte ze Skargi i Cypryana Bazylika, umieściłeś je w przypiskach na str. 173 i 174, nie uczyniwszy wzmianki, żeś je z Lindego, a nie wprost ze samychże zaczerpnął źródeł? Snadź nie znałeś słów Birkowskiego o „Próżnochwalkach, którzy wiele gadają tych rzeczy, które do ich próżnej chwały należą, aby się udali za takich, którzy wiele wiedzą, czytają, słyszą, widzieli, czynili.“ Mój recenzent, nie przepuszczający niczemu, co „musi pociągnąć za sobą skrzywienie młodych umysłów“ (str. 322), a takie na fantazyi oparte etymologizowanie obalamuca umysły i na bezdroża wiedzy, byłby niezawodnie tego nie pominął; ten widocznie na to nie zwrócił nawet uwagi.

Mój, to zupełnie co innego. W przedmowie do mego przekładu Crügerowego Zarysu uważałem za swój obowiązek

wspomnieć między innemi, że gdzie niegdzie przyszło mi przykłady niemieckie zastąpić polskimi, tudzież, że gdzie mi się nawinął przykład stósowny, umieściłem go i tam, gdzie w oryginale przykładu niema. Mój recenzent ani słówkiem nie wspominał, czy te, któremi niemieckie zastąpiłem, albo czy dodane przezemnie przykłady są szczęśliwie dobrane czy może niewłaściwe lub zbyteczne. I miał słuszość; bo na cóż było o tej częstce samodzielnej pracy tłumacza wspominać, kiedy tok mowy w całej książce więcej niemiecki niż polski uczynił z dobrego pierwowzoru rzecz nader niemiłą i niestrawną? Recenzent książki oryginalnie napisanej inaczej sobie postąpił; z takim mieć do czynienia, to nietylko szczęście, ale rozkosz prawdziwa. Bo jaka to wszędzie uprzejmość! Tak np. kiedy autorowi wytyka, że słowa „*wrażenie*“ używa zawsze w znaczeniu podniety, a nie jako iloczynu podniety i czynności duszy, powiada grzecznie, że „wrażenie jest czemś złożonem, a jego analiza nietylko pożądana, lecz zgoła niezbędna w książce elementarnej“; o kilka zaś wierszów wyżej zapisał, że w teoryi zmysłów, „*nie grzeszy autor tem, co mówi, jak raczej tem, czego nie mówi.*“ Jeżeli więc w owem znaczeniu autor używa wyrazu „wrażenie“; jeżeli np. na str. 23: opór, ciśnienie, twardość itp. nazywa „wrażeniami“ na str. 4tej wrażeniami są grzmot, huk... a na str. 158 mówi o „wrażeniach zewnętrznych“ tedy *nie grzeszy tem, co jest, lecz tem czego nie ma.* A cóżby to był mnie mój recenzent powiedział, gdybym był użył takiego wyrażenia, jeśli „odnowa wyobrażeń“ była wyrazem nieściśłym, a „pogląd“ aż uwagę o mojem gorącym uwielbieniu filozofii i prawdopodobną zgrozę rodziców wywołał! Również grzecznie „szanownemu“ autorowi wytyka, że „*czasem zbyt wiele rozprawia o rzeczach mniej potrzebnych, a zbyt mało o kwestyach esencyonalnych*“; gdy np. na 20 stronnicach dwie strony marnuje na *przykłady*, które „*dzisiaj nie mają żadnej wartości naukowej*“, lub gdy „dwie strony wypełnił wyjątkami z poetów, dowodzącemi siły wzroku i zdolności wyrażenia okiem tego, co się dzieje w głębi duszy.“ Wytyka mu następnie „dwie strony przykładów Daltonizmu i tyleż prawie optycznych przywidzeń i „*cytat z Baladyny*, który nawet *niestósowny*, boć plamka na czole zabójczyni wszystkim widzialna, zatem nie jest przywidzeniem.“ „Na 20

stronnie o wzroku — pisze ten recenzent — połowa zapełniona szczegółami *mniej lub więcej niepotrzebnymi*!“ A jakaż z tego konkluzya? Oto: „Ten brak ekonomicznego obchodzenia się z papierem po kilka kroć czuć się daje, choć *chwałebna* go tłómaczy *intencya*, bo zamiłowanie ojczystej literatury“ — czy zamiłowanie jest *intencją*? — i chęć uprzyjemnienia czytelnikom mozolnej nauki!“ Mnie się zdawało, że przykłady mają służyć za objaśnienie zjawisk psychicznych albo za materyał z którego zjawisko rozwijając, tem łatwiej wystawić je uczniowi; tudzież w myśl instrukcyi „Zarysu organizacyjnego gimn.“ za środek do łączenia psychologii z innymi naukami. Dobrze mi tak! Za to nawet *intencya* moja nie zyskała pochwały. A czyż nie miałem słuszności twierdząc, że to osobliwsze szczęście i rozkosz mieć do czynienia z takim recenzentem? Czy to nie grzeczność upersonifikowana? Powie ci uprzejmie, żeś *świele* rzeczy porobił nie do rzeczy, że niedorzecznością tą, co jest nie zgrzeszyłeś, powie ci nawet, że przykładem z Baladyny właściwie w pięćś mierzył a w nos uderzyłeś, ale mimo to dobrześ zrobił, bo miłujesz literaturę ojczystą i przykładami, bądź „nie mającemi dziś żadnej wartości naukowej“ bądź *mniej lub więcej niepotrzebnymi*“ chciałeś uprzyjemnić czytelnikowi mozolną naukę!

Czyż to możliwa, aby to był ten sam recenzent, który i moje oceniał książkę? Nie — to niepodobna! Dowiedzie ci, szanowny czytelniku, niepodobieństwa i ocenienie drugiej książki oryginalnie napisanej, które zawiera się w ustępie 18 artykułu Dra Pawlickiego. W tej książce, w której psychologia zaczyna się dopiero na str. 173iej, znajdziesz i coś z tego, co z poprzedniej przytaczałem i nowe osobliwości: „Nigdy *nie można uważać samowiedzę* (176). „*Błędy nie można przypisywać*“ (188) „*nie mogą tożsamość poznać* (216), możemy poczucia.. *między sobą* rozróżniać (185), rozum łączy pojęcia *ze sobą* — rozłącza od *siebie* (214) — który osobiście *mniemane* zjawiska *doświadczyli* (198) — aby mógł... *zgodność* lub *niezgodność* pojęć *dostrzedz* (211) — co już *dowiódł* Cicero (192) — gdyby coś brakowało (233), mowa *nie może być inaczej utworzona jak tylko* (223) *zmysłowa* czynność *ogranicza się* na dążeniu (196) *inaczej mogą być tłómaczone* (skutki) 199 — *smak musi być rozumem rządzony* (23)1. Te pojęcia *nie mogą być utwo-*

rzona 210 — usiłujemy przywieść na pamięć *doświadczone* niegdyś rzeczy lub zdarzenia (219), co trzeba czynić, albo co trzeba *opuścić* (unterlassen)! (216). Przez doświadczenie *rozumieją się wiadomości* (174), z tego powodu *obierają się* do magnetyzowania *osoby* „167.“ Rozwaga jest podstawą *towarzyszenia pojęć* (212). *Towarzyszyć* można *komuś*; więc jeśli się czyta o *towarzyszeniu pojęć*, nawija się zaraz pytanie komu też pojęcia mają towarzyszyć? Na tej samej stronie: „nie można *stowarzyszać pojęć*.“ Ze względu na właściwość języka polskiego wyrzekł w zdaniu tem autor niezbitą prawdę ale nie wyraził tego, co chciał wyrazić. *Nikogo i nic nie można stowarzyszać*, bo stowarzyszać się mogą tylko ludzie dobrowolnie.

W książce tej znajdują się wyrazy: „*mysł*“ (bliski krewny „*umu*“) kilkakrotnie (174, 176, 231, 234), *jednotnikowa* natura „(173) „*sen* pod względem *wsobnym* i *przedsobnym*“ 192 — magnetyzm *zmysłowcowy*“ 196, 198 — „*uczucie pieścliwe*“ 233 i 234 — jakieś z *pierwszości* w rozumie znajdujące się formy (210); ma to zapewne znaczyć „*a priori*“ — „czynności, dzieła *pierwotne* ma to znaczyć „oryginalne“ 230, 231, „*przedmioty ciałowe*“ 176, 178, 187 (*körperliche Gegenstände*). — Ze zdań, które nie wyrażają myśli ściśle, lub ją wypaczają, lub których budowa niekoniecznie poprawna, przytoczę kilka wybitniejszych. Już powyżej, przy innej sposobności była mowa o zdaniu, zawartem w tej książce na str. 185 dlatego mocniejsze tylko *wrażenie się poczuwa*, słabszego zaś *samowiedza* niknie — „trzeba na to zwrócić uwagę, że im liczniejsze i rozmaitsze wrażenia *wywierają się* jednocześnie“ (185). — Wszak wrażenia się nie wywierają; tylko wpływy zewnętrzne, jako podniety wywierają na duszy wrażenia. — „Wskrzeszone wyobrażenia są ciemniejsze i słabsze aniżeli wyobrażenia *pierwiastkowe*; te bowiem pochodzą z rzeczywistych przedmiotów, które mocniej i wyraźniej na zmysły działają, *aniżeli wyobrażenia oderwane od rzeczywistości*“ (189). Druga część zdania mogła pociągnąć za sobą mniemanie, że wyobrażenia, które nie pochodzą wprost od przedmiotów zewnętrznych, lecz jawią się w pamięci, działają także, chociaż słabiej na zmysły. „O ile wyobrażenia *wskrzesza i odnawia niegdyś nabyte wyobrażenia*, nazywa się *fantazyą*!“ (188). Na str. 208: „Po-

nieważ rozum często nie może przedstawionej sobie rzeczy od razu ze wszystkimi jej częściami i przymiotami przeniknąć, przeto odłącza te części i przymioty od naturalnego związku, który między nimi i podmiotem ich zachodzi i zwraca na każdą z nich pojedynczo uwagę swoją w tym celu, aby dostrzedz rozmaitych stosunków zachodzących między nimi a ich podmiotem lub też między nimi samymi. To działanie rozumu nazywa się oderwaniem.“ Aczkolwiek przekładałem z niemieckiego, jednak nie wiem, czy znajdzie się w przekładzie moim zdanie nakszałt tego, które właśnie przytoczyłem z książki oryginalnie napisanej. „Jeżeli... moc tych marzeń wzrasta, może się i to stać, że przez nie nawet mocniejsze poczucia się przytłumiają (*dass durch sie selbst die stärkeren Empfindungen unterstrückt werden*) str. 189. Na str. 219tej: „Przypomnienie (*reminiscentia*) jest wskrzeszenie mianej niegdys *wiadomości* i poznanie *tożsamości* wskrzeszonej *wiadomości* z *wiadomością* pierwiastkową z powodu zdarzającej się jakiejś *okoliczności*, która ma pewien związek z pierwiastkową *wiadomością*!“ I cóż językowi tej książki oryginalnej wytknął recenzent? Oto „zamiast „*ukuszenia*“ wolałby mieć „*smak*“ w ustach; potem wytyka nieściśle użycie wyrazu „*wrażenie*:“ nareszcie wspomniał o wyrazie „*podstata*,“ którego autor kilkakrotnie użył, a który recenzent radby za omyłkę uważał, bo nie wie, co znaczy. Wyraz ten znajduje się w Lindem wyłożony przez „*substantia, essentia, istność, jestestwo, das Wesen*.“ Użył go też autor najpierw w rozdziale I gdzie mówi o duszy. Zresztą językowi tej nie tłumaczonej lecz oryginalnej książki, ani pod względem gramatycznym, ani co do stylu i toku mowy nie nie zarzuca. Przeciwnie powiedziawszy na wstępie ustępu 18 o książce, że „*jest wcale porządną robotą*,“ do „*wielkich i niezaprzeczonych*“ jej „*zalet: język prosty i zrozumiały, bez dziwactw i neologizmów*“ zaliczył!

Cóż ty na to szanowny czytelniku? Język o licznych grubych błędach gramatycznych, zwrotach niepolskich, budowie zdań ciężkiej, język, z którego przyszło mi przytoczyć „*myśl*“ *jednotnikową* naturę, *ciałowe* przedmioty, *sen wsobny* i *przed-sobny* i magnetyzm *zmysłowcowy*, jest prosty i zrozumiały bez dziwactw i neologizmów! Proszę niech mi p. recenzent wykaże którykolwiek z onych błędów gramatycznych, owych częstych

zwrotów w stronie biernej, żywcem niemieckich, lub tego rodzaju zdania, jakie w końcu przytoczyłem, w mojej książce z *niemieckiego tłómaczonej*! Czy zdania, które mnie wytykał, mogą iść w porównanie z przytoczonymi z tej oryginalnie napisanej książki, tobie szanowny czytelniku pod sąd oddaję. A przecież ileż to razy Dr P. przytaczając zdania z mego przekładu uderzał na alarm! Cóż nie napisał z powodu definicyi „poglądu“ definicyi przetłómaczonej, która przecież zdaje mi się, nie może się równać z definicyą „przypomnienia“ zawartą w tej książce oryginalnie napisanej!

Wszak prawda, to nie mój recenzent, to ów przemieniony i o tej wyrokował książce! Mój byłby o niej zapewne powiedział, że ma mnóstwo oczywistych germanizmów,¹ złych i niezrozumiałych wyrażen i zwrotów w połączeniu z tokiem mowy więcej niemieckim niż polskim! A powiedziałyby sumienny recenzet może tem snadniej, gdyż ta książka oryginalnie napisana, której autor nie pozostawał pod ciągłym wpływem ducha języku obcego a tak różnego od języka, na który przekładać miał książkę!

A wpływ ten języka, zwłaszcza jeżeli się w nim od dzieciństwa nauki pobierało, tak się wpije w ducha, że pomimo starań i pracy około ciągłego ożywiania poczucia i kształcenia świadomości języka ojczystego, przecież i wtedy wciśnie się na pióro, kiedy w ojczystym piszemy języku. Wszak i sam Dr P. w artykule swym, przecież oryginalnie pisany spłacił także dług owemu wpływowi, któremu ulegać musiał w szkołach pruskich, a później rozczytując się w filozofach niemieckich. Kilka próbek już powyżej nawiasowo przytoczyłem; a artykuł więcej ich dostarcza. Tak np. nie brakło *na* filozofach (str. 302) — „tylko geniuszowi *danem jest* (str. 308) — kilka zmysłów posługuje się *jednem i tem samym* narzędziem, „jest w gruncie jednym *jednym i tym samym* zmysłem (309), należących *do jednej i tej samej duszy* (317) — (Suchecki na str. 26 i 126, 16, 109 — 23) — „pozwolę sobie *uwagę*“ (317). Wiele sprzeczności... można było *uniknąć*“ (319) — *nie* należy takiego wyrazu wprowadzać do szkoły i nadawać mu *znaczenie*“ 315 „*nie* uważa *zapotrzebne* definiować *główne pojęcia* 324 — „o wartości *książek mogących być używanemi* po szkołach (302) nie wiem, czy to zwrot szczeropolski? jabym

może powiedział: przydatnych do użytku szkolnego — „ustępy ... nie tylko *przez młodych i starych czytywane będą*“ (str. 321). Jabym był napisał: nietylko młodzi lecz i starzy czytywać będą — gdybym miał być przełożyć: von Jung und Alt werden gelesen werden. „Powszechnie też wrażenie w umysłowem używa się znaczeniu“ (317). To mi przypomina ogłoszenie na kartce za oknem jakiejś szwalni we Lwowie treści następującej: „*Tu się szukają panny do szycia.*“ Wreszcie może także poprawniej: słyszenie „uszyma“ niż „uszami“ (320). Nie bez słusznej, zdaje mi się, przyczyny mogłem już powyżej przypomnieć Horacego: „*veniam damus petimusque vicissim.*“

Tak tedy ma się rzecz i z przekładem moim i z jego ocenieniem w artykule Dra Pawlickiego zawartem. Wyłożyłem sprawę szczegółowo, bo ogólnikami wojować nie zwykłem. Wyłożyłem ją w obronie własnej, jednak nie dlatego, żebym się cenił zbyt wysoko i rościł sobie prawo do nietykalności lub do samych pochwał i kadzideł. Jakoż i ów zapiszek Dra Pawlickiego, którym na wstępie uwag o moim przekładzie raczył dać sygnał czytelnikom, z kim to będą mieli do czynienia, uważam za komplement, który w połączeniu z onym drugim, iż „jestem gorącym wielbicielem filozofii“ bardzo dobrze nadaje się na ogień bengalski, w którego światle tem wydatniej wystąpić mogły następne o mym przekładzie uwagi, również starannie zestawione. Wybaczą mi łaskawi czytelnicy tę w obronie własnej odpowiedź z uwagi, że winienem ją już swojemu stanowisku, może nie tak lekko osiągniętemu, wobec zarzutów, dość lekko mi ciśniętych, ale ciężko dotykających, a zarzutów, może niebardzo uzasadnionych. Toż tak z powodu *właściwości* tych zarzutów, jakoteż i *metody*, jakiej w ocenieniu pracy mojej a drugich użyto, przyszło mi prócz w sprawie własnej stanąć jeszcze i w obronie sprawy publicznej, za jaką uważam krytykę naukową, ale krytykę godziwą, sumienną, chociażby surową, jako objaw publicznej moralności. Czy sposób jakiego użył Dr P. oceniając przekład mój a książki oryginalnie napisane, o których powyżej szczegółowo pisałem, wiedzie do takiej krytyki, bez której na polu naukowem niepodobna dojść do pomyślnych wypadków? Otóż przyszło mi także odsłonić te sposoby firmy poważnej, tym razem nie-

równą ważącej wagą; toż i z tej przyczyny odpowiedź niniejsza szersze przybrała rozmiary. Że na metodzie traktowania rzeczy wiele zależy, to rzecz powszechnie wiadoma. Wszak ktoś tam kiedyś oświadczył, że z kilku słów mu danych zdoła temu, kto je napisał, wytoczyć sprawę gardłową. Używanie sposobów tego rodzaju dowodzić może wykształcenia wyobraźni twórczej czyli fantazyi, a mianowicie wprawy w dodawaniu i odejmowaniu znamion obrazowi, aby go w takim wystawić świetle, w jakim wedle naszej intencji ujrzeć go ma ten, kto nań ma patrzeć; czego zaś takie używanie sposobów dowodzi w etyce, chociażby tylko filozoficznej, tego sam nie powiem, lecz pozostawię czytelnikowi, aby z łaski swej wyszukał nazwę właściwą.

Racz przyjąć Szanowny Redaktorze wyraz poważania.

We Lwowie w grudniu 1877 r.

Zygmunt Sawczyński.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 grudnia.

Z zamknięciem roku należałoby zdać rachunek z przebiegu wypadków w ciągu niego zaszłych, gdyby je wypadało dopiero wyławiać na wielkim przestworze czasu i wydobywać na jaw, aby od zapomnienia uchronić i mieć w pogotowiu na pamięci dla związania z niemi tych, jakie się zdarzyć mogą w przyszłym roku. Ale rok ubiegający był tak obfitym w wypadki, i szły one po sobie taką koleją nie tylko chronologiczną, ale oraz konsekwentną, że stanowią nierozzerwany logiczny łańcuch a żaden też sporadyczny nie zaszedł wypadek, któryby nie zostawał w ścisłym związku z całością. Wszystko bowiem, co zaszło w ciągu całego roku 1877, ma swoje źródło i przyczynę w jednej wielkiej sprawie politycznej, do niej się głównie odnosi, z niej wypływa i na nią wpływa, a z jej tylko stanowiska ocenianem być musi, aby było zrozumiałem.

Jak astrologowie na każdy rok naznaczają planetę, która nim rządzi, tak i na politycznym widnokręgu panującą w r. 1877 planetą była sprawa wschodnia; około niej wszystko się obracało, pod jej wpływem wszystko się działo, przez nią wszystko tłumaczyć się daje. Od niej zacząć i na niej skończyć można a nawet potrzeba, zwłaszcza, że z zamknięciem roku przyszła ona do bardzo stanowczego przesilenia: bo gdy była dotychczas zlokalizowaną, choć nie politycznie, ale militarnie, jednak usiłowania, aby ją zakończyć pokojem zlokalizowanym czyli bezpośrednio między stronami wojującemi zawrzeć się mogącym, okazują się daremnemi. Wojna mogła być do-

tań tylko rosyjsko-turecką, sprawa zaś wschodnia jest sprawą europejską i tylko europejskim pokojem zamknąć się może.

Dopóki jeszcze Turcyja wytrwała stawiała wojskom rosyjskim opór, nie było wprawdzie widoków złamania potęgi Rosyi o najeżone działami wąwozy bałkańskie i o waleczną pierś żołnierza tureckiego; ale rachowano na znużenie Rosyi, na jej wycieńczenie materyalne, a nawet na jakieś domyślne czy przewidywane zmiany wewnętrzne, któreby mogły równocześnie wpłynąć na zwrot w polityce zagranicznej. Rachuby te czy przypuszczenia nie były wprawdzie szczere, bo trudno pośądzić dyplomacyę o brak znajomości tak natury ludzkiej w ogóle, jak stosunków politycznych w szczególe, ale takimi pozornemi łudzeniami łudzono się chętnie, aby móżdż ludzi innych, nie było bowiem u przeciwników Rosyi żadnego programu, a co ważniejsza, nie było siły ani nawet stałego postanowienia, aby stawić jej czoło.

Naturalnymi przeciwnikami Rosyi mogły być tylko Anglia i Austria; innych zaś przeciwników, jak np. ludność polską, opinię publiczną w Niemczech, nie można brać w rachubę dopóty, dopóki ich nie zrealizowano w tak praktyczny sposób, jak to uczyniła Rosya z powstaniem bułgarskiem i z firmą oswobodzicielki chrześcijan. Ani zaś Anglia ani Austria nie mogą czy to z osobna, czy wspólnie położyć Rosyi tamy na Wschodzie, dopóki Rosya ma po sobie Prusy. Dla tego gabinet lorda Beaconsfielda nie mógł położyć stanowczego *veto* i poprzestając na siłę odpornej Turków, zawczasu się przysposabiał, aby znaleźć dla siebie gwarancję interesów na Wschodzie; Austria zaś jako współniczka sojuszu trójcesarskiego, poczyniła pewne zastrzeżenia, które hr. Andrassy wytłómaczył delegacyom obecnie w Wiedniu obradującym.

Upadek Plewny przyspieszył akcyę także dyplomatyczną a pod względem militarnym jest faktem rozstrzygającym, bo przełamanie tej drugiej po przejściu Dunaju linii obronnej, ścieśnia już rozmiary działania militarnego i pozbawia Turcyę naturalnych fortec, a każe ograniczyć się jej na obronie głównych dróg militarnych prowadzących na Sofię i Adrianopol. Upadek też Plewny wywołał wyjaśnienia hr. Andrassego i przyspieszył zwołanie parlamentu angielskiego na d. 17 stycznia. Upadek Plewny uczynił jednak zarazem trudniejszym zawarcie pokoju z udziałem państw konferencyjnych, a wątpić można, aby odwrotnie utorował drogę pokojowi bezpośredniemu między Rosyą a Turcyą.

Car Aleksander, który trwożliwie po licznych klęskach swego wojska wyglądał jakiego czynu świetniejszego, coby rehabilitował honor oręża rosyjskiego i już chciał nim zamknąć kampanię tegoroczną, wraca jak tryumfator do Petersburga, a okrzyki ludu i dumą napuszone dzienniki rosyjskie za-

chęcąją go do prowadzenia dalej wojny, której kres objęty umową sojuszu trójcesarskiego, może być łatwo w zapale i w nadziei dalszych powodzeń prześcigniętym. Może dziś Rosya bardziej powinna się wystrzegać zbyt łatwych zwycięstw, które ją upoić zdolne, niż lękała się dotychczas szkodliwych dla swego stanowiska europejskiego niepowodzeń. Mniej niebezpiecznemi były dla rządu rosyjskiego skargi i narzekania jego poddanych na wojnę bez widoków i na opłakany stan finansów, niż mogą się stać kiedyś żądania upojonego tryumfami ludu, który żadnego nie będzie miał względu na zobowiązania poczynione mocarstwom sprzymierzonym i na konieczność zachowania pewnej miary w korzyściach.

Sprawa wschodnia odbiła się bardzo wybitnie na wewnętrznych stosunkach Austrii, zwłaszcza, że właśnie z upływem r. 1877 kończył się pierwszy dziesięcioletni okres tak zwanej ugody austro-węgierskiej, to jest aktu określającego stosunek wzajemny cesarstwa Austriackiego do królestwa Węgierskiego na podstawie dualizmu. Wypadało przeto akt ten zatwierdzić albo zmodyfikować go. Liczne głosy w Węgrzech przemawiały za zupełnem odłączeniem Węgier a zachowaniem tylko związku wspólności dynastycznej, jaki był wyrósł z sankcji pragmatycznej. W takim razie odpadłaby wspólność ministerstw spraw zagranicznych i wojny. Stosunek taki istnieje dziś w Europie jedynie między Szwecją a Norwegią; za naszej zaś pamięci istniał między Rosją a Królestwem Polskiem kongresowem, między Austrią a Węgrami i Austrią a Czechami, między Austrią a Lombardią i Wenecją, między Danią a Szlezwikiem i Holsztynem, między Holandją a Luxemburgiem, między Prusami a Neufchatelem, między Hiszpanią a ziemiami Basków, wreszcie jest łączność księstw Anhaltskich i niektórych Saskich. Duch centralizacji przełamał różnemi środkami czy to przemocą, czy konstytucjonalizmem odrębność słabszych krajów od silniejszych, a tylko w jednych Węgrzech zdołano odzyskać po części udzielnosć. Wszakże epoka zespolenia chociaż krótka zostawiła następstwa, które musiały być uregulowane. Do takich następstw należał stosunek celno-handlowy i stosunek bankowy obu państw połączonych, tudzież wspólność spraw zagranicznych i administracji militarnej a stąd wpływające kwestye długu publicznego i wydatków na ogólne potrzeby monarchii. To dawało podstawę dla tak zwanej ugody, która wymagała dalszego z upływem roku 1877 przedłużenia lub zmodyfikowania.

Przypuszczać wolno, że gdyby nie kwestya wschodnia, przedłużenie ugody austro-węgierskiej byłoby mogło napotkać w Węgrzech na nieprzełamane trudności, nie tylko z politycznych, ale i z ekonomicznych pobudek. Węgry, jako kraj przeważnie rolniczy a w przemysł fabryczny ubogi, wołałyby mieć

za tanie pieniądze wyroby zagraniczne, nie dbając o protegowanie swym kosztem przemysłu wiedeńskiego albo czeskiego; ale względ na zewnętrzne stosunki polityczne, na potrzebę utrzymania ścisłych związków między obu połowami monarchii, stworzył przynajmniej prowizoryum trzymiesięczne, zanim przyjdzie do stałego na dłuższy czas uporządkowania obustronnych stosunków. Gabinet Tiszy wcale nie okazał się trudniejszym od obrońcy niegdyś ugody Deaka, albowiem roztropność nie opuszcza w Węgrzech ludzi politycznych, do jakiegobądź należą stronnictwa. Nie doprowadzono też do zerwania rokowań, lecz chcą tylko Węgrzy coś utargować.

Wszystkie sympatyje tureckie w Węgrzech, które są właściwie dyktowane nienawiścią do Rosyi, a inaczej mówiąc obawą przed nią i przed panslawizmem, nie zaszły dalej, jak do manifestacyj publicznych na zgromadzeniach, do powinszowań konsulowi tureckiemu i do nieudanego zamachu siedmiogrodzkiego. Ale sam nawet Klapka odradzał swoim rodakom tworzenie legionów, mających walczyć w obronie Turcyi, jak też nigdzie w Węgrzech nie zbierano składek na wspomóżenie skarbu tureckiego, bo „krew i mienie Węgrów służyć ma tylko dla dobra Węgier“. Platoniczny zapal Węgrów pozostał bez wpływu na postępowanie rządu węgierskiego, a jeżeli w sejmie peszteńskim opozycja doszła aż do chęci wypowiedzenia wojny Rosyi, posłużyła ona tylko ministrowi spraw zagranicznych hr. Andrassemu do uwydatnienia swojej ostrożnej polityki i do okazania, że nie bez trudu przyszło mu odnieść górę nad gorącymi pragnieniami patryotów węgierskich i że winien był w zamian delegacyom austro-węgierskim poczynić poufne zwierzenia, których nie potrzebowałby robić, gdyby był zastał zupełną powolność. Zwierzenia te nie są w całości odsłonięte, a to, co było o nich ogłoszonem, okazuje, że hr. Andrassy wybrał jedyną drogę, jaka mu pozostała wolną, drogę zachowania neutralności pod zastrzeżeniem obrony interesów austriacko-węgierskich.

Już dawniej oświadczył był prezes gabinetu wspólnego, że jedynym środkiem zapobieżenia wojnie rosyjsko-tureckiej było wydać wojnę Rosyi. Z oświadczenia też zrobionego d. 18 stycznia w komisji budżetowej delegacji austriackiej ta sama myśl przebiega. Hr. Andrassy powiedział, że skoro nie można było przeszkodzić wojnie, pozostały do wyboru cztery drogi: 1) wojna Austrii z Turcyą przeciw Rosyi; 2) wojna Austrii z Rosyą przeciw Turcyi; 3) bezwarunkowa neutralność bez względu na następstwa; 4) neutralność pod względem militarnym i utrzymanie dobrych stosunków ze stronami wojującymi, ale pod zastrzeżeniem obrony interesów Austrii i wpływu jej na przyszłe urządzenia na Wschodzie. Już przedtem oświadczone reprezentacyi, że Austria jest obecnie dostateczniej przy-

gotowaną do wojny, niż była w chwili wybuchu wojny teraźniejszej; jeśli przeto reprezentacya nalegać będzie, rząd mógłby prowadzić wojnę. Wszelako zapytanie to odniosło ten skutek, iż nikt nie podniósł głosu za wojną. Jednym z najdrażliwszych ustępów wynurzenia ministeryalnego była Serbia; Austria bowiem czyniła zawsze co do Serbii zastrzeżenia, jako mogącej stać się kolebką państwa na południu Słowiańszczyzny, do którego zmierzać mogą aspiracye Słowian węgierskich. Względ też na Austryę nakazał ignorować obwołanie księcia Milana królem i przywrócenie na krótki czas dobrych stosunków między Serbią a Turcyą, tudzież wstrzymywanie Serbii aż do kapitulacyi Plewny od ponownych kroków wojennych. Hr. Andrassy w oświadczeniu swoim 18go grudnia znacznie złągodził swoje dawniejsze pod tym względem zastrzeżenia, ograniczając je tylko do przypadku, gdyby Serbia chciała zwrócić swoje zabory na Bośnię lub Hercegowinę czyli Kroację turecką, które zdają się być zachowane dla Austryi, jako wzmocnienie jej samej wobec Serbii. O tych domniemanych nabytkach Austryi może zawczasu dziś mówić, niemniej jednak kompensata ta leży w naturze rzeczy, jeśli przedbałkańskie posiadłości Turcyi mają być użyte na utworzenie osobnych księstw lub wynagrodzenie najbliższych sąsiadów.

Przyjąwszy raz za pewnik, że Austria po upadku Francyi nie mogła się uchylić od przystąpienia do sojuszu prusko-rosyjskiego i że obecna wojna wschodnia, może nieco przyspieszona w skutku zaburzeń w Bułgarii, była z góry od dawna ukartowaną za porozumieniem się Prus z Rosyą, nie pozostał Austryi wybór między zachowaniem sojuszu trójcesarskiego a odosobnieniem się lub nawet sprowadzeniem na siebie obu odepchniętych przyjaciół; Austria przeto chcąc nie chcąc, będzie zmuszoną przyjąć wszystkie następstwa wojny wschodniej: musi zatem takie z niej dla siebie starać się wyciągnąć korzyści, jakie jej ofiarowane będą. Jestto powtórzenie tej samej roli, jaką odegrała Austria w rozbiórce Polski, a zarazem jest poniekąd następstwem ówczesnego jej w tym rozbiórce udziału. A jednak łatwiej było Austryi przed stu laty stawić czoło naleganiom robionym ze strony obu sąsiadów, niż obecnie, gdy Prusy i Rosya tak znacznie wzrosły w siłę, iż mogłyby wywierać nacisk, gdy wówczas tylko do udziału Austryę zapraszały i pominięciem jej groziły.

Nie chciał hr. Andrassy być zmuszonym do działania wspólnie z Rosyą przeciw Turcyi, i to jego zasługą, że się z pod tego przymusu umiał uchylić, ale nie wiadomo, czy zdoła uchylić się od wszystkich następstw wojny obecnej, tak tych, jakie mogą być objęte przyszłym traktatem pokoju, na którego zawarcie wpływać będzie, jak i tych, co rzeczą nierównie ważniejszą, jakie mogą mimo jego woli i wiedzy wy-

niknąć. Może ani w Petersburgu, ani w Berlinie nie mają dokładnej świadomości pod tym względem, ale są zapewne między obu temi gabibetami pewne tajne warunki ułożone co do środków odwdzięczenia się Prusom za stworzenie takiej sytuacji, która pozwoliła Rosyi bez obawy przed Europą przystąpić do rozsadzania Turcyi. Tak daleko nie szły zwierzenia się hr. Andrassego ani w delegacyi węgierskiej, ani w komisyi budżetowej austriackiej, ale niewątpliwie nie uszły jego uwagi, bo wynikają z logicznego rozpatrywania się w położeniu, jakie stworzyć może przyszły traktat pokoju. Zadaniem jego atoli może być tylko obrona Austrii i Węgier, nie zaś przeszkodzenie, aby Rosya i Prusy nie wzmagaly się nad miarę; temu bowiem zapobiedz nie jest w stanie.

Niebezpieczeństwo to przyszłe odsłonił w delegacyi austriackiej poseł Grocholski w dniu 12 grudnia, jako mówca delegacyi polskiej. Stał on atoli na gruncie austriackim, jako jedynie na teraz praktycznym, a użył mowy swojej tylko jako motywu, dla którego Galicya popiera uznaną przez rząd potrzebę zachowania postawy zbrojnej, wbrew tym niemiecko-pruskim kierunkom, które chciały rozbrojeniem Austrii oznajmić, że może ona zupełnie polegać na przyjaźni Prus i usunąć wszelką myśl podejrziwości, jakoby Austriya mogła mieć do obrony interesa pruskim przeciwnie. W głosie p. Grocholskiego była tylko mowa o Rosyi, bo Rosya obecnie prowadzi wojnę, ale służył on zarazem za odpowiedź tym, którzy dlatego tylko nie obawiają się Rosyi, iż Prusy nie dozwolą jej zrobić Austrii krzywdy.

Mowa p. Grocholskiego nietyle była przeto polską, ile austriacką; gdyby raczej tylko miała cechę manifestacyi ducha polskiego, byłaby zbytęczną, bo nikt dotąd nie mógł zaprzeczyć Polakom miłości ojczyzny; ale byłaby oraz szkodliwą, bo nie oddając usługi Austrii, nie popierając rządu austriackiego w zamian za swobody, których naród polski używa pod panowaniem austriackiem, równocześnie byłaby wyzywającą tak Rosyę i Prusy jak Austryę. W Berlinie i Petersburgu niezawodnie byłaby przyjętą z pewnym rodzajem zadowolenia, dając powód do pocisków na Polaków; a lubo i tak nie obeszło się bez zarzutów, wszelako zrozumiano jej doniosłość, bo posłużyła ona za dowód, iż Polacy nie mając na teraz widoków odrębnego bytu politycznego, umieją bez wyrzeczenia się swojej narodowości i praw swoich, bronić interesów państwa, do którego należą, jeśli państwo to nie odmawia im prawa wyznawania swej wiary i rozwijania swej narodowości. Z tego punktu widzenia mowa ta była aktem politycznym, aby zaś nim być mogła, obracała się w granicach możebności i na warunkach położenia państwa i kraju, na czem właśnie zbywało tej redakcyi adresu sejmowego, której rząd niedopuscił.

Poseł Grocholski wcale nie oświadczał się przeciw wy-swoobodzeniu ludów słowiańskich w interesie panowania tureckiego, owszem przyznawał tym ludom prawo do wolności, ale naznaczył stanowisko Polaków wobec Rosyi pod narodowym, religijnym i społecznym względem, aby wykazać, że Rosya nie jest zdolną opiekować się ludami dążącemi do oswoobodzenia, gdyż zna ona tylko zabór i prozelityzm. Celem zatem wojny rosyjskiej jest rozpostarcie panowania, a to nastąpićby mogło jedynie ze szkodą Austrii i jej ludów. Wobec delegatów austriackich tym a nie innym przemawiać można było językiem: trzeba było przekonać ich, że niebezpieczeństwo grożące Polakom z powodu zbytńego wzmożenia się Rosyi, jest oraz niebezpieczeństwem dla Austrii. Natomiast Węgrzy inaczej zapatrują się na stosunek Rosyi do Austrii, dla Węgiei bowiem każda odrobina wolności przyznana Słowianom tureckim, czyby oni zostawali pod protektoratem rosyjskim lub byli udzielnymi, nosi w sobie zaród groźnej w przyszłości walki na szkodę żywiołu madiarskiego.

Zmadiaryzowana szlachta węgierska, jak Pulski, Czaki, Tarnoczy itd., zapomniała już starych dziejów węgierskich, kiedy Brzetysław a dawniej Koszyce były stolicami słowiańskich dzielnic, a narzucając ludowi słowiańskiemu język swój, toruje tylko Niemcom z jednej strony drogę, z drugiej zaś ułatwia Rosyi propagandę panslawistyczną, zarówno na południowych stokach Karpat, jak nad Drawą i Sawą. Sympatye tureckie Węgrów łatwo dają się wytłómaczyć; polityka węgierska przeciw Rosyi jest również naturalną, a jednak węgierscy mężowie stanu zrozumieli dobrze, iż nie można pobudzać Austrii do wojny z Rosyą, dopóki Austria mając od północy i zachodu Niemcy, a od południa Włochy, nie może mieć wolnych rąk od wschodu.

Atoli ta oględność konieczna, której rząd węgierski nie dał się pozbawić nawet hałaśliwemi demonstracyami ludu i niektórych dzienników, nie wystarczyła choćby za przestrożę i przykład dla kraju naszego. Kampania przeciw delegacji polskiej w Wiedniu, zmuszanie posłów polskich do składania mandatów i następny wybór jednego posła we Lwowie, nie miały jednak donioślejszego znaczenia politycznego, jak że okazały brak wytrawności politycznej — nie u ludności, bo ta w ogóle nigdzie i nigdy nie rozumuje, lecz zawsze i wszędzie daje się porywać wybuchom uczuciowym, — ale u tych, którzy *per fas et nefas* dobijali się popularności i wiedzieli, że nietylko we Francyi ale dotychczas i w Polsce *la phrase domine*.

Równocześnie z kampanią militarną na półwyspie Bałkańskim prowadzoną była kampania dyplomatyczna; a jak staraniem było sprzymierzonych z Rosyą Niemiec trzymać na wodzy każde mocarstwo, któreby chciało przyjść w pomoc

Turcyi, tak również dyplomacya niemiecka pracowała nad paraliżowaniem chęci wdania się obcych gabinetów. W tym celu posłużyła zasada nieinterwencyi, orzeczona zaraz w pierwszej chwili wybuchu wojny, a którą tylko Anglia zawarowała dla siebie zastrzeżeniem warunkowem, o ile interesa jej nie będą narażone na szkodę. Naprzód postawił też sojusz trójcesarski zasadę honoru militarnego Rosyi, która miała wstrzymywać wszelkie pośrednictwo aż do zadosyć uczynienia temu honorowi; następnie postawiono zasadę, że nikt nie może narzucać się na pośrednika, nie będąc do tego wezwany przez jedną ze stron wojujących. Kiedy zaś siły rosyjskie wzmożyły się tak przybyciem posiłków jak udziałem w wojnie wojska rumuńskiego, każde mocarstwo wymówiło się z kolei od pośredniczenia, mimo że je nota turecka o to upraszała. Owszem, dano Porcie do zrozumienia, że należy jej bezpośrednio prosić Rosyę o pokój, a nawet nie jest dotąd zaprzeczonem, lecz tylko podanem w wątpliwość, że poseł niemiecki w Stambule, książę Reuss, odesłał Portę do głównej kwatery rosyjskiej, jeśli chce o pokój traktować.

Po takim uchyleniu pośrednictwa postawioną była w dalszej konsekwencyi zasada, że układy o pokój traktowane być powinny bezpośrednio między stronami wojującemi. Punkt to bardzo niebezpieczny dla Anglii, i odpowiedziała nań zwołaniem parlamentu, który tym razem zebrać się ma dnia 17 stycznia, nie zaś dopiero w lutym, po upływie czasu polowania, jak się to dzieć zwykło. Kwestya zwołania parlamentu angielskiego była nawet przez chwilę kwestyą gabinetową, bo jeszcze raz próbowali stronnicy bezwzględnej neutralności, whigi i ekonomiści manczesterskiej szkoły, czyli w ogóle liberalni, rozsądzić gabinet torysów niepokojącemi artykułami *Timesa*, dyktowanemi mu przez bogatych przemysłowców i kupców city londyńskiego oraz delegacyami Izb handlowych. Rząd niezachwiał się, ale ztąd jeszcze nie wynika, aby miał interwencyą zbrojną przeszkodzić układom bezpośrednim między Rosyą a Turcyą, w którychby o interesach Anglii zapomniano i takowe nawet poświęcono: bo z jednej strony nie śmie Rosya stawiać Anglii w konieczności bronienia *unquibus et rostro* interesów swoich na Wschodzie, z drugiej zaś strony obawia się Porta, aby Anglia nie chciała jej kosztem odszkodować się. Rząd angielski chcąc choćby tylko demonstracyjnie wystąpić, potrzebował będzie kredytu, którego udzielenie wystarczy mu za wotum zaufania. Zarazem więc otwarcie parlamentu otworzy kwestyę gabinetową. Rząd angielski nie potrzebuje stawiać Izbie zapytania, jak daleko ma iść w swojej polityce antirosyjskiej, ale jeśli Izba pójdzie za radą whigów, gabinet ustąpi na kwestyi zasadniczej; przeciwnie zaś będzie miał rozwiązane ręce. Zawczasu jednak czyni Anglia przygotowania nie do wyparcia

Rosyan, lecz do zajęcia Bosforu i przeszkodzenia faktycznie żądanemu przez Rosyą warunkowi otwarcia przepływu przez Helespont. Inna wersja głosi, że Anglia zajęłaby Aleksandryę i port Saida dla zabezpieczenia kanału Sueskiego, że może objęłaby zarazem protektorat nad Egiptem, którego finansami już zawiaduje, mając w swej kieszeni Chedywa, jako niewypłacalnego dłużnika.

Bezpośredni pokój między Rosyą a Turcyą nie może być brany dosłownie. Prawda, że polegałby on na traktowaniu wprost między Petersburgiem a Stambułem, ale po jednej i drugiej stronie braliby w tych naradach udział przyjaciele. Car Aleksander nie jest wyłącznym panem sytuacji: działa on bowiem tylko za przyzwoleniem współzwiązkowych sojuszu trójcesarskiego; przeciwnie Anglia byłaby doradczą Porty. Jeżeli hr. Andrassy zapewnił delegację w Wiedniu, że bez udziału Austro-Węgier nie może zapaść żadne postanowienie co do przyszłego ukształtowania się politycznego na Wschodzie, to niepowiedział tego na wiatr. Postawiła i Austrya swoje warunki, które uwzględnione być muszą, skoro nie mogli dwaj inni współnicy żądać od niej, aby z zaparciem się siebie myślała tylko o korzyściach Rosyi i nie szukała we własnej obronie innych sprzymierzeńców. Tem więcej nie da się zaprzeczyć wpływ kancлера niemieckiego na cały przebieg sprawy wschodniej; owszem był on i jest głównym jej kierownikiem, a nie dla jakiegoś szczególnego sentymentu czy swojego, czy swojego pana i cesarza jest on tak dbałym o powodzenie Rosyi. Jeżeli Rosyi powodziło się, to dlatego, że ks. Bismark usunął wszystkie przeszkody, któreby po za walecznością Turków znajdowała w tej wojnie.

Wszystko jednak, co dotąd głoszą o bliskich układach i ich warunkach, jest przedwczesnem. Nie sformułowane są warunki ani nawet nie związane rokowania. Car Aleksander wróciwszy d. 23 grudnia do Petersburga wcale nie oznajmiał winszującym mu zwycięstwa deputacyom, iż po upadku Plewny może zawrzeć pokój i odwołać wojsko, ale owszem zapowiedział, że dokonać chce „świętego przedsięwzięcia“ i że powoła na linię bojową wojsko załogi petersburskiej. Kampania może przewlekać się przez zimę albo nawet być zawieszoną i obie strony mogą obroune zająć stanowiska, ale z wiośną rozwinię się wojna na większe rozmiary. Już bowiem w tym celu pod koniec roku ruszyli w pole Serbowie, a Grecya na zawołanie stawia się zbrojąc się obecnie, bo i ona pragnie coś zyskać na Turcyi. Jeszcze nie słychać o ruchach powstańczych w Tesalii i Epirze, a jednak Grecy tameczni nie pozostaną obojętnymi świadkami, skoroby wojsko greckie wtargnęło w ich siedziby.

Podczas sporów poprzedzających przeszłą wojnę wscho-

dnia przyrównywano Turcyę do karczocha, którego liście z kłoci są obrywane. Wystąpienie Francyi i Anglii w pomoc Turcyi wstrzymało tę robotę, i od tej chwili zaprzestano obrywać jednego po drugim liści karczocha. Czy robota ta będzie dalej prowadzoną, tak, że po oderwaniu stopniowem Multan i Wołoszczyzny, Serbii i Grecyi, przychodzi teraz kolej na Bułgaryę, Bośnię, Hercegowinę, a przyjdzie na Tesalię i Epir, tak iż pozostałoby mało co więcej nad rdzeń karczocha — Konstantynopol, lub też i reszta karczochu ma być na raz spożyta? Bądź co bądź, rok 1877 może być uważany za „początek końca,” ale im bliżej będzie tego końca, tem więcej różnostronnych interesów będzie domagało się uwzględnienia, a pókój, sam na sam między Rosyą a Turcyą zawrzeć się mający, może się stać źródłem powszechnego zawikłania.

Najmniej w całej kwestyi wschodniej da się zrozumieć i wyłómaczyć zachowanie się księcia Bismarka. Przybrał on rolę bezinteresownego przyjaciela Rosyi i zachowuje ją od początku do dziś dnia. Posądzano go, że wepchnął Rosyę w wojnę, aby zesać na nią Anglię i mieć samemu wolne ręce, że chciał niemniej Austryę wciągnąć w tę wojnę. Czy posądzania te były mylnemi, czy też kanclerz niemiecki doznawszy zawodu w swoich przewidywaniach i rachubach, teraz rad nierad, musi iść raz obranym torem, licząc jeszcze na to, że Rosya trudną i długą ma jeszcze do przebycia drogę, która może ją kosztować tyle ludzi i pieniędzy, że to, co jej pozostanie, nie wystarczy, aby mogła korzystać ze zwycięstwa. Tyle atoli jest niewątpliwem, że jeśli Rosya sama jedna dźwiga cały ciężar wojny, nie ona jedna owoce w zbierać będzie. Kanclerz niemiecki trzyma się tymczasem na uboczu, nie pokazuje się nawet w Berlinie i pozornie nie zajmuje się zarządem spraw publicznych a nadto nie przestaje grozić ciągle dymisyą.

Osobliwy też jest jego stosunek do dworu i do rządu konstytucyjnego, w którego członkach chce mieć nie towarzyszy współodpowiedzialnych i solidarnie związanych, ale powolnych wykonawców rozkazów. Możliwyby zaprawdę mniemać, że ks. Bismark jest niezadowolony ze wszystkiego, co go otacza, że pragnie sprowadzić jakąś zmianę, lecz nie ma przed sobą jasnego wyobrażenia o tem, co stać się może. Już od dawna trwa w Prusach kryzys gabinetowa a zakończyć się jednak dla tego nie może, iż kanclerz nie oznaczył wyraźnie, czego chce i do czego zmierza. Nie znosi on przy sobie żadnej powagi, żadnej wyższości nie już nad siebie, ale nad poziom popolity, a potrzebuje takich sług, którzyby nigdy zdolnościami swemi nie mogli świecić, lecz zdolności te jemu wyłącznie poświęć, nie przyznając się do nich, nie okazując, że się na sobie samych rozumieją. Wyparł on się osobistych przyjaciół, odepchnął życzliwych, zniechęcił podwładnych, prześladuje prze-

ciwników, do zemsty pochopny, dumny i porywczy, coraz więcej staje się trudnym, a może okazałby się nieznosnym, gdyby zmuszony był przebywać ciągle w stolicy i w otoczeniu ludzi publicznych. Ministrowie Delbrück i hr. Eulenburg usunęli się, nie chcąc ulegać zmiennym usposobieniom ks. Bismarka, gdyż od pierwszego żądał unieważnienia postanowień lubo przez niego potwierdzonych, od drugiego cofnięcia rozporządzeń uchwalonych, sankcyonowanych i na pół weszłych w wykonanie.

Ks. Bismark jest wyznawcą wszechwładzy państwa może dla tego jedynie, że w osobie swojej skupia tę władzę, gdy dawniej należąc do partii krzyżowej, organizację państwa na systemie feudalnym opartą i z ścisłym podziałem stanów poczytywał za wzorową. Pietysta dawniej, stał się prześladowcą kościoła tylko ze względu na interes władzy państwa; obrońca hierarchii, podkopuje ją obecnie. Posiada on wszystkie właściwości, które się składają na uzurpatora i o ile w danych okolicznościach można było, ogarnął wszystką władzę zwierzchniczą w Niemczech, a przewagę w międzynarodowych stosunkach.

W tem też głównie szukać należy przyczyny jego nienawiści do katolicyzmu i jego pogardy dla instytucyj republikańskich; do pierwszego, że od państwa jest niezależnym i sam w sobie wyrodził organizacjędzielną, z własną hierarchią i na posadach niezachwianych; do drugich, dla ich ducha niwelacyjnego; a mimo tego przeszkadzał restauracyi we Francyi, że ta stawiała zasadę trwałą i wprowadzała w organizację państwa stósunki hierarchiczne.

Broń, której rząd pruski używa na pogniębienie katolicyzmu, odbija się prawie bez zostawienia śladów na puklerzu stalowym wiary, ale walka ta sprawiła ten szkodliwy wpływ w kościele protestanckim, że podkopała wszelkie w nim pozytywne, jakie jeszcze zostały doktryny i otwarła na oścież wrota wszystkim dążeniom rozkładowym. Racyonalizm zajął tam ambonę i katedrę, nawet urzędy kościelne i spowodował wewnętrzne zapasy, które się oparły aż o najwyższe magistratury tego oficjalnego kościoła. Spór dotąd nierozstrzygnięty; ale była chwila, że przypuszczano, iż w walce tej padnie minister wyznań Falk, i że upadku jego nie przetrzyma sam kanclerz, poniosłszy ciężką moralną porażkę. Dwór, świadek tej walki, usiłuje zażegnać ją, a kanclerz widząc niebezpieczeństwo, waha się, czy ma zerwać zupełnie z organizacją kościoła ewangelickiego i wejść na drogę otwartego racjonalizmu, a pod hasłem państwa bezwyznaniowego otoczyć się poważnie ministrami ze stronnictwa liberalnego.

Wypadki na Wschodzie nie odejmują sprawie powyższej znaczenia, jak to przyszłość okaże, ale mniej pozwalają zwra-

cać na nią uwagi. Uwydatniła się ona tylko nieco podczas obrad budżetowych w Berlinie ¹⁾ a niezwykle wzrost socjalistycznych stowarzyszeń i korporacyj świadczy o skutkach walki kościelnej w społeczności. Poważniejsze umysły zaczynają się trwożyć różnemi symptomatami na tem polu.

Jeśli nie za bezpośrednim wpływem kanclerza niemieckiego, to po jego myśli nastała we Francyi zmiana bardzo stanowcza. Gabinet Broglie-Fourtou upadł, nie utrzymał się także gabinet jenerała Rochebouet, powołany jakby dla stawienia oporu choćby z bronią w rękę dążeniom do obalenia Mac-Mahona. Chociaż ks. Bismark nienawidzi instytucyj republikańskich, jednak nie szczędził starania i pokątnych kroków, aby lewica republikańska otrzymała we Francyi przewagę, bo republika francuska daje mu większe rękojmie, iż pójdzie z nim zgodnie w działaniu przeciw kościołowi katolickiemu, a w zapasach stronnictw nie dozwoli, aby Francya zmierzała do odzyskania straconego w Europie stanowiska.

Nowy gabinet francuski utworzył się d. 13 grudnia pod przewodem Dufaure; w skład jego wchodzi Marcère, Waddington, Bardoux, Borel, Pothuau, Say, Teissereuc i Freycinet. Marszałek zupełną zostawił nowemu gabinetowi władzę wykonawczą, sobie tylko tytuł prezydenta zachowując. Pierwsze też kroki nowego rządu były wymierzone na obalenie wszystkiego, co zastał po poprzednim gabinecie: zmiana całkowita osób administracyi w stolicy i w departamentach, zmiana reprezentantów Francyi za granicą. Izba deputowanych powitała nowy gabinet uchwaleniem ryczałtówem tymczasowego budżetu częściowego i rozwiązaniem się komitetu wykonawczego, który był ustanowiony jako władza wykonawcza przeciw ministerstwu. Radykałiści nie mogli jeszcze liczyć, że przyjdą do władzy, ale wiedzą oni, że Francya nieraz już posuwając się po równi pochyłej, ich nawet po drodze obalała; więc jeszcze raz tę samą odbywając drogę z mniejszym tylko zapędem, zejdzie stopniowo i do nich.

Podobnie, lubo z innych powodów, zaszła zmiana częściowa gabinetu we Włoszech, głównie w tym celu, aby można się pozbyć skompromitowanego osobiście ministra spraw wewnętrznych Nicotery, wmieszanego w sprawy kolejowe a wprowadzić na jego miejsce Crispiego, który już otrzymał w Berlinie podczas swojego tam pobytu wotum zaufania. Gabinet Depretisa powstanie zatem na nowo, jak feniks z popiołów, w nowe przystrojony pierze, ale nie oczyszczony jak feniks ogniem, bo zawsze jest to ten sam gabinet, który powstał był

¹⁾ Znakomite mowy posłów naszych, broniących z niestrudzoną wytrwałością sprawiedliwości i praw naszych zasługują na osobne sprawozdanie.

dla uregulowania spraw kolejowych i na tych samych kolejach rozbił się, aby znów się rehabilitować.

Stan zdrowia papieża Piusa IX nie jest zaspakajający. Wobec tego zmiany ministrów we Francyi i Włoszech mogą mieć wielką doniosłość. Któż zaprzeczy, że kanclerz niemiecki, zacięty przeciwnik kościoła katolickiego, obcym był utworzeniu gabinetu francuskiego, w którym aż trzech ministrów protestantów zasiada, a między tymi minister spraw zagranicznych Waddington, i że obcym był wejściu do gabinetu włoskiego Crispiego, którego z wielkiem odznaczeniem podejmowano w Berlinie niemal w charakterze urzędowym, chociaż jako prezes Izby deputowanych był on za granicą osobą zupełnie prywatną?

Aleksander Szukiewicz.

ZAPISKI.

Henryka Siemiradzkiego Pochodnie Nerona — Świeczniki Chrześcijaństwa. Przez kilka tygodni mieliśmy szczęśliwą sposobność oglądania w sali Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych wielkiego tego dzieła. Kto żył, spieszył kilkakrotnie patrzeć, podziwiać, rozprawiać. Z prowincyi, nawet z daleka przybywali w tym celu goście do Krakowa. Tym z naszych czytelników, którzy znają „Przegląd“ dopiero od stycznia 1877 i których mogłoby razić, że nie podajemy sprawozdania, przypominamy, że ogłosiliśmy je już przed rokiem w zeszycie z grudnia 1876 t. j. jeszcze wtedy, gdy obraz wystawiony był w Wiedniu. Sąd autora owego artykułu hr. C. był tak dojrzały i z naszym zgodny, że nie potrzebujemy nic dodawać — oprócz chyba wyrazów wdzięczności dla mistrza, za przysłanie obrazu do Krakowa i do Lwowa.

Księgarnia *J. K. Żupańskiego* oddała do druku dzieło dwutomowe pod tytułem: *Lucyana Siemieńskiego Varia z literatury, historii, archeologii i przyrody*. Pierwszy tom zawierać będzie: O róży, o słowiku, Laur i Laureaci, o księżycu, Dzwon Zygmunowski, Ogrody w historii i poezyi, Wilia Bożego Narodzenia, z okolicy Podgórskiej, Bajka Krasickiego. Drugi zaś tom mieścić będzie: O piórze i pisaniu, kobiernictwo i potop Zygmunta Augusta, Album amicorum, Kazimierz Pułaski w Ameryce, Książę Karol de Ligne, Wierszokleta starej daty, Niewiasta homeryczna.

Byłoby rzeczą zbyteczną podnosić zalety pióra Lucyana Siemieńskiego. Format książki będzie taki, jak Portretów Literackich.

Cena tych dwóch tomów marek 6, trwająca tylko do wyjścia Igo tomu, poczem nastanie cena marek 8. Prenumeratę przyjmuje także *Przegląd Polski*. Można ją nadsyłać razem z prenumeratą na *Przegląd* (6 marek = 3 złr. 90 ct.)

— **Sprawozdanie z obchodu jubileuszowego 400le-**tniej rocznicy założenia *Wszechnicy Upsalskiej* d. 4—7 września 1877 r. *Towarzystwu przyjaciół nauk* w Poznaniu złożył w ofierze *Wawrzyniec hr. Engeström*, Poznań. Nakładem autora. Z drukarni Kraszewskiego. (Dr W. Łebński) 1877. Z widokiem Upsali. Str. 82. Sprawozdanie znanego i zasłużonego Autora obszerne i zajmujące. Wydanie ładne.

— **Zygmunt Krasinski.** *Moja Beatrice.* Kraków w drukarni „Czasu“ 1878. str. 46. Zbiórek ten zawiera 16 poematów nieśmiertelnego poety i przedmowę *Lucyana Siemieńskiego.*

— **We Lwowie** zapowiedziano cztery nowe pisma. *Piast X. Stojatowskiego* zamienia się na pismo polityczne mające wychodzić trzy razy na tydzień. Księgarz *Richter* wskrzesza pismo ilustrowane mające wychodzić w zeszytach co pół miesiąca p. t. *Strzecha.* Dyrektor teatru St. Dobrzański zapowiada wydawnictwo *Biblioteki teatrów amatorskich.* Pod redakcją p. Zontaka wychodzić będzie *Łowiec.* *Przegląd Lwowski* nie tylko nie przestaje wychodzić, jak głośzono, ale rozszerza ramy i dodawać będzie powieści.

Literatura w Galicyi 1772—1848. *Ustęp z pamiętników Władysława Zawadzkiego.* Lwów. Nakładem Władysława Webera. Z drukarni Wł. Łozińskiego 1878. w 80 str. 160. Zajmująca ta i ważna książka zasługuje na osobne sprawozdanie, które podamy wkrótce.

PRZYMIERZE POLSKO-ROSYJSKIE 1787 — 1788.

(Dokończenie).

Imperatorowa rosyjska pragnęła mocno aliansu, ale w otoczeniu jej różne były zdania. Musimy zatrzymać się przez chwilę nad tem jej otoczeniem, nad temi mianowicie osobistościami, które w opowiadaniu naszym częściej powracać będą. Zarząd spraw zagranicznych w Rosyi, od usunięcia Panina, nie był oddany jednemu ministrowi, ale należał do tak zwanego kolegium, złożonego zazwyczaj z trzech członków. Każdy z nich pracował osobno z Imperatorową i miał sobie poruczoną korespondencyą dyplomatyczną w jakiejś sprawie, która dla kolegów jego była dość często tajemnicą. Oczywiście, że każdy z nich ubiegał się o taki dowód zaufania swej monarchini, starając się jak najdokładniej odgadnąć jej myśl; lecz ona jedna tylko o wszystkich sprawach wiedziała. Trzeba było potężnej głowy, aby się zoryentować w takim zamieszaniu i mnogości spraw, i nic dziwnego, że się przewlekały lub wychodziły z pamięci. — Pierwszym członkiem kolegium spraw zagranicznych i jego viceprezesem był podówczas hr. Osterman. W latach już podeszły, miał opinią uczciwego człowieka;

przy miernych zdolnościach posiadał zalety długiej praktyki, prostego, zdrowego, doświadczonego rozsądku. W całym swym życiu i działaniu nader systematyczny, w obejściu i pojęciach swoich dosyć sztywny, miał naturę raczej Niemca niż Rosyana; nie sprzyjał on ryzykownym, wyzywającym przedsięwzięciom, i w awanturniczych planach księcia Potemkina wcale się nie lubował. Suwarow mawiał o nim, że za partą wiska odda całą armią. Ze stanowiska i charakteru figura na wskróś urzędowa; dawał obiady, konferował z ministrami zagranicznymi, utrzymywał korespondencją z reprezentantami przy obcych Dworach, podpisywał noty, deklaracje i traktaty. Poważny i małowowny, służył Katarzynie wybornie za oficjalny parawan jej niespokojnej, różnolcowej i podstępnej polityki, której zaledwo część znał, a przy właściwej mu regularności, swą chłodną obojętnością doskonale ją zasłaniał. Nie był on wcale niechętnym Polsce, ale przymierza z nią nie pochwalał z obawy, by królowi pruskiemu nie dać powodu do wmieszania się w sprawy Rzpltej i mniemał, że lepiej było odroczyć je do ukończenia wojny tureckiej. Katarzyna, chociaż go zawsze z odznaczeniem przyjmowała, nie uważała na jego zdanie. „*On durak, mawiała, a drugoje, nie lubit toho, czto sam nie uydumał*”¹⁾. Jego więc opozycja, zresztą pełna uszanowania i łatwa do ustępstwa, nie tamowała biegu sprawy. — Ważniejszą osobistością był Bezborodko. Małorosyanin, z kancelaryi Rumiancowa, gdzie się odznaczył redakcją raportów, przysłany do Imperatorowej na sekretarza, uderzył ją nadzwyczajną pamięcią, bystrością pojęcia i trafnością sądu; i odtąd (1776) przez lat dwadzieścia, używała go ona do coraz ważniejszych czynności, tak dobrze w wewnętrznych jak zewnętrznych sprawach. Jedyny na jej Dworze, który nie będąc faworytem, wyniósł się do najpierwszych godności; jedynym był także, który zarówno matki jak syna umiał zyskać zaufanie, gdyż po śmierci Katarzyny, Paweł podniósł go do godności książęcej i zamianował kanclerzem państwa. Obsypany łaskami, za którymi się

¹⁾ *Zapiski Chrapowickawo (Cztenia w obszczestwie istorii moskowskoj)* Moskwa 1862; pod d. 22 stycz. 1789, p. 164. *Pamiętniki księcia Adama Czartoryskiego*, ms.

zbytecznie nie ubiegał, otrzymał w darze kilkadziesiąt tysięcy dusz, warzelnię soli w Krymie, prawo rybołówstwa na morzu kaspijskiem; był naczelnym dyrektorem poczt, z których przez lat wiele nie zdawał rachunku; przez jego ręce przechodziły sprawy o odkupach, akcyzach, procesa, które wymagały decyzji monarszej; jako członek kolegium spraw zagranicznych należał do każdej ważniejszej czynności, a wszystko to było dla niego źródłem niezmiernych dochodów, które zaledwo wystarczyły mogły jego rozrzutności; przy czem jednak, w interesach pieniężnych reputacji swojej nie zaszargał. On jeden swemi przedstawieniami, które zawsze cechowała znajomość rzeczy i wielka przezorność, mógł być przeważać w umyśle Imperatorowej wpływ Potemkina. Ale smakosz, rozrzutnik i w całym znaczeniu tego wyrazu sybaryta, w życiu grubym i materyalnem ocieężał; choć nadzwyczajną miał do pracy łatwość, pracować nie lubił; zbyt leniwy, aby być ambitnym, zbyt obojętny i nieruchawy, zbyt do wygod życia był przywiązany, aby się narażać na walkę z przeciwnikami lub upierać się przy swoim zdaniu, jeśli Imperatorowa inaczej rzecz widziała. Kiedy mógł, zamykał się u siebie lub uciekał z Petersburga na wieś, gdzie w brudnych uciechach dnie i noce przepędzał. Ten lichy rodzaj życia a przytem wielość i rozmaitość spraw, któremi go obarczano, były przyczyną, że każdy interes w jego ręku opóźniał się bez końca; i nie tylko koledzy i przyjaciele, ale sama Imperatorowa miała trudność wydobyć od Bezborodki powierzony mu referat; a zastąpić go było niełatwo (choć kilka razy próbowano), tak bardzo górował nad wszystkimi objęciem rzeczy, dokładnością i jasnością redakcyi. Od upadku wpływu pruskiego, przez Austryą pozyskany, był on może najsilniejszą podporą hr. Cobentzla, który go też bezustannie naprzód wysuwał. Z jego natchnienia przychodzili do Bezborodki przyjaciele, jak Woroncowa i Zawadowski, i prawili mu morały, by go wyrwać z gnuśności i przez niego pobudzić Imperatorowę do jakiejś decyzji, zwłaszcza też wbrew woli Potemkina. Słuchał ich z kwasem i uprzykrzeniem; przyrzekał, by się ich pozbyć coprędzej, aż gdy skończyli, otwierał drzwi i okna na oścież, i sapiąc i oddychając całą pierś i machając rękoma, wołał gniewny: „przecie, że

sobie poszły precz te nieznosne pedagogi! ¹⁾“ — Trzeci członek kolegium, Markow, Rosyanin czystej krwi, ambitny, charakteru mniej jeszcze od innych pewnego, nie miał podówczas znaczenia; od Katarzyny nie był lubiony i tylko dla łatwej i zręcznej we francuskim języku redakcyi, wprowadzony był do kolegium; później dopiero wkręcił się do łaski Zubowa.

Ale niejedno tylko kolegium decydowało o sprawach zagranicznych; ważnym był wpływ faworytów, którym Katarzyna bądź ze wszystkich spraw się zwierzała, bądź jakąś znacniejszą poruczała; faworyt zaś oddawał ją jednemu z członków kolegium, którego chciał protegować. W czasie, o którym mówimy, obowiązek faworyta pełnił Mamonow; lecz wpływ i znaczenie księcia Potemkina górowały nad wszystkimi. Ten, choć na drugim końcu imperium miał sobie zlecony naczelnny kierunek działań wojennych, pilnie śledził tego, co się działo w Petersburgu i o każdej znacniejszej sprawie był zawiadamiany bądź przez Imperatorową, która się go radziła, bądź właśnie przez Mamonowa, który od Księcia w swojej funkcyi zainstalowany, jemu też wiernie służył i kredyt jego stale popierał. W bujnej głowie Potemkina wiele, jak wiadomo, snuło się naraz projektów, często dziwacznych, fantastycznych; niezgodnych z sobą, niezgodnych z polityką Cesarstwa, nawet do wykonania niepodobnych a jednak z zaciętością bronionych; i nieraz przychodziło spotkać się z opozycją z jego strony, której powodu nie można było dociec, ale i złamać jej nie było łatwo. W sprawach natury czysto-politycznej, w ocenieniu sytuacji, w nakreśleniu ogólnego planu, Imperatorowa miała najczęściej sąd jasny i trafny; podrażniona jakąś namiętnością umiała zamysły swoje z niepojętą przebiegłością i energią przeprowadzać. Atoli w zwykłym stanie rzeczy, kiedy nie o zarysowanie planu, lecz o jego wykonanie chodziło, chwiała się nieraz, szukała światła, podpory, a widząc koło siebie różnorodne wpływy i słysząc najsprzeczniesze zdania, ociągała się z decyzją. Pojąć więc łatwo, że gdy z góry nie było popędu, a z dołu tyle przeróżnych do zwle-

¹⁾ Grybowski. *Zapiski o Imperatrice Ekaterinie*. Moskwa 1864. — *Depesze Cobentzla 1788 i 1789 passim*. — *Pamiętniki ks. Adama Czartoryskiego*.

kania przyczyn, sprawy wszystkie żółwim postępowały krokiem. Depesze ministrów zagranicznych z tego czasu napełnione są skargami na tę powolność i opieszałość gabinetu petersburskiego, a najwięcej do uzalania się okazyj miał austriacki minister hr. Cobentzel. Lecz jeżeli ten ambasador potężnego a jedyne go sprzymierzeńca, jakiego Rosya wówczas posiadała, nie znajdował lekarstwa na te szkodliwe dla swego Pana przewłoki, to cóż dziwnego, że ich przewyciężyć nie mógł Deboli, minister słabej Rzpltej, na którą Imperatorowa nie potrzebowała się oglądać. A nie zbywało, jak wiemy, i na wyższych względach, które Imperatorowej nie pozwalały spieszyć się w sprawie polskiego przymierza.

Wspomnieliśmy, że książę Potemkin przysłał był do Petersburga plan konfederacyi w Polsce, od króla niezależnej, ułożony przez Branickiego i Szczęsnego Potockiego ¹⁾ i że Katarzyna wbrew namowie Księcia plan ten odrzuciła. Wiemy także, że Król pragnął sam objąć dowództwo nad korpusem polskim, który Rosyi miał iść w pomoc; odradzał to Potemkin, żądając, aby korpus polski do jego armii był przyłączony, a że i Katarzyna nie życzyła sobie komendy królewskiej, więc polecono Stackelbergowi usunąć tę sprawę milczeniem. Nieco później doniósł Książę, że gdyby mu dostarczono broni, możnaby nie czekając, aż alians będzie zawarty, zbierać w obozie rosyjskim polskich ochotników. Myśl ta wyszła od Branickiego, który spodziewał się, że znaczniejszą w ten sposób pod swoim dowództwem potrafi zgromadzić siłę. Zrazu ten projekt podobał się w Petersburgu, lecz nie został wykonany, czy dlatego, że Imperatorowa zmieniła zdanie, czy też że o nim zapomniano ²⁾. — Czytelnik przypomni sobie, że i Dwór wiedeński radził użyć Polaków do wojny z Prusami i w tym celu wprowadzić Rzpltę w potrójne przymierze. Wówczas to po raz pierwszy (luty 1788) Katarzyna przyznała się Austrii, że zamyśla o osobnym sojuszu z Polską i doniosła, że nim

¹⁾ Nazywamy go Szczęsnym, bo z tem nazwiskiem pozostał w historii, chociaż sam podpisywał się wówczas *Stanisław Felix*.

²⁾ *Zapiski Chrapowickawo* 14 (26) kwietnia 1788. *Depesza Imperatorowej do Stackelberga*, 12 maja s. s.

właśnie mają się zająć w Petersburgu. Ale znowu sprawa poszła w odwłokę. Dopiero, gdy Potemkin, mając wyruszyć na Oczaków, silniej począł nalegać, iżby nie opóźniano negocyacyj z Polakami, bo ich pomoc przydać się może, Imperatorowa dała wreszcie Bezborodce rozkaz przygotowania kontrprojektu w odpowiedzi na propozycye królewskie. Dokument ten długo ważony i oddawna zapowiadany, nie pierwszej aż z początkiem czerwca doszedł rąk Stackelberga. Oto treść jego:

Gabinet petersburski proponuje Rzpłtej traktat odporny na lat ośm, wraz ze wzajemnem poręczeniem posiadłości obu państw w Europie, zastrzegając pomoc obustronną w razie napadu od jakiegobądź nieprzyjaciela; ze strony Rosyi dzieściu tysięcy piechoty i dwóch tysięcy jazdy z odpowiednią artyleryą, ze strony polskiej trzech brygad kawalerii narodowej, razem dwunastu tysięcy ludzi. Wojska te mają zostawać pod dowództwem generałów strony rekrutującej; gdyby zaś ta pomoc nie wystarczała, mają oba państwa ku wzajemnej obronie użyć wszystkich swoich sił, o ile na to ich własne bezpieczeństwo zezwoli. Potwierdzone są wszystkie umowy między Polską a Rosyą zawarte, poczynawszy od andruszowskiej z roku 1686, a mianowicie traktaty z r. 1768 i 1775 wraz z aktami dodatkowemi (to jest gwarancyą) i te w całej swojej sile mają być utrzymane nadal. Nareszcie, osobny artykuł, o którym, o ile wiemy, w projekcie polskim nie było wzmianki, zastrzega, że skutkiem szczęśliwego obu państw porozumienia, tam gdzieby jedno z nich nie miało za granicą swego reprezentanta, minister albo konsul drugiego załatwiać będzie jego sprawy i udzielać opieki jego poddanym. — Przysłana w tym samym czasie obszerna dla Stackelberga instrukcyja wyjaśnia bliżej zasady, które gabinetem petersburskim w ułożeniu tego projektu kierowały. „Byłoby zbyt uciążliwe dla Rosyi (mówi w tem piśmie Imperatorowa), gdyby ona płacić miała tak znaczne subsydyja jak te, których Polska zdaje się pragnąć (300,000 dukatów). Mniemam, że jestem dosyć wspaniałomyślną, kiedy biorę na siebie całkowite utrzymanie wojsk posiłkowych, których Rzpłta zobowiązuje się dostawić na wojnę. Wojska te ograniczam do liczby dwunastu tysięcy ludzi, bo ta ilość, jak z jednej strony zaspokoi naród dręczony swoją nieczynnością, tak z drugiej nie obudzi niepokoju w sąsiadach, których nie

można dosyć oszczędzać w tej chwili. A że mam podostatkiem piechoty, słuszną więc, iżbym żądała posiłków w jeździe, ile że ta broń więcej odpowiada narodowi polskiemu i że przez to pomoc jego będzie skuteczniejszą. Wszelako, aby dać dowód jeszcze większy mojej życzliwości dla narodu polskiego, przeznaczam dla niego sumę 300,000 dukatów holenderskich, które mu płacone będą w ratach rocznych przez lat sześć, licząc pierwszą ratę w sześć miesięcy od skończenia obecnej wojny. Po otrzymaniu odemnie tak znacznej pomocy, nie będzie już trudno Rzpltej podnieść reszty swej armii bez nowych podatków, w ten jednak sposób, aby żołnierzy a nie oficerów sztabowych lub innych do niej przydawano. Pozwoliłam, aby korpus posiłkowy polski moim kosztem był uzbrojony bez żadnego od Rzpltej wynagrodzenia, jak również pozwalam, aby inne jej wojska mogły zaopatrzyć się w broń potrzebną z moich fabryk po cenach umiarkowanych, o ile wymagania moich armij tego dopuszczają.... Art. 10 i art. 2 dodatkowy projektu polskiego (mówi dalej instrukcja) jest bezwątpienia najdrażliwszy i najdelikatniejszy tak na chwilę obecną, jak dla przeprowadzenia samejże negocyacji. Pierwszy odnosi się do formy rządu ustanowionej w r. 1775. Król zanadto zna ducha i charakter swego narodu, aby nie miał zrozumieć, że dość byłoby dotknąć tego punktu, aby ze strony przeciwników wywołać natychmiast mnóstwo kwestyj, których najmniejszą niedogodnością byłoby zmarnowanie czasu, tak że sam projekt przymierza, można się obawiać, poszedłby z dymem i Rzplta wpadłaby napowrót w odmet zawichrzenia, którego smutny w ostatnich czasach przedstawiała obraz. Zwracam więc najpilniejszą twoją uwagę na ten punkt arcyważny i spodziewam się tego po twojej czynności, że potrafisz usunąć z Sejmu wszystkie propozycje, któreby mogły zachwiać lub zmienić esencjonalnie formę rządu przezemnie zaręczoną, naruszyć interes państw sąsiednich lub podniecić istniejących stronnictw niechęci....“ Imperatorowa przechodzi następnie do wynagrodzeń terytoryalnych, żądanych przez Stanisława Augusta przy zawarciu pokoju. Jaka w tej mierze była jej opinia, wiemy zkadinał; oddawna zwierzył się Bezborodko hrabiemu Cobentzel, że Król polski domaga się za swoją pomoc Mołdawii, ale

Rosya bynajmniej na to nie przystaje ¹⁾. Obaczmy, co mówi rosyjska instrukcja: „Król polski, jego ministrowie i wiele osób w Rzpltej podejrzewają Dwór pruski o zamiar zaokrąglenia się kosztem Polski. Ta obawa może nie być bezzasadną. Czyż więc roztropność sama nie nakazuje ograniczyć się do zachowania tego, co się posiada i nie okazywać chęci nowych nabytków, aby podobnejże chęci w drugich nie wywołać? Czyżby się nie dało, inaczej postępując, królowi pruskiemu okazyi do zagarnięcia już teraz pewnej części Polski na rachunek i jakoby w wynagrodzeniu przyszłych na Turkach zdobyczy, dziś oczywiście wątpliwych, bo zależnych od wojny? Wszak mój projekt dosyć już i bez tego dowodzi, jak bardzo dbam nietylko o całość i zachowanie Rzpltej, ale i o wzrost jej pomyślności i o istotne dla niej korzyści, o ile w danych okolicznościach jest to podobne.“ Rzecz więc prosta, że Król polski na tylu dowodach życzliwości Imperatorowej poprzestać powinien i zbytecznemi zastrzeżeniami nie utrudniać dzieła. Dalej określa instrukcja, kiedy i w jaki sposób zawiadomić należy ministrów zagranicznych o gotującym się przymierzu i co przełożyć potrzeba pod decyzją skonfederowanych Stanów. Na ostatku wspomina o komendzie korpusu. O życzeniu Króla, aby sam objął dowództwo, nie ma już wzmianki; natomiast mówi Imperatorowa: „Żądając w moim kontrprojekcie trzech brygad kawalerii narodowej, pragnę, aby komenda rozdzielona była między trzech dowódców, których w moim imieniu Królowi polskiemu przedstawisz. Są to: w. hetman Branicki, wojewoda ruski Potocki i w. podskarbi litewski ks. Stanisław Poniatowski. Zasługi ich, przychylność dla zawiązującego się systemu i moje zaufanie skłoniły mnie na ich stronę. Każdemu z nich trzeba zostawić zaciągnięcie i sformowanie swej brygady. A gdy z pomocą Bożą to wszystko będzie załatwione, ułożysz się z Królem i Radą Nieustającą, aby brygada pierwsza (hetm. Branickiego) posłana była do armii feldmarszałka księcia Potemkina Tauryckiego, dwie zaś drugie przydzielone do komendy feldmarszałka hr. Rumiancowa Zadunajskiego.“

¹⁾ Depesza Cobentzla do księcia Kaunitza, 1 marca 1788.

Taka jest osnowa kontrprojektu i żądań gabinetu petersburskiego. Wojsko polskie posłane na linią bojową, przejdzie pod komendę marszałków rosyjskich. Pozbawiony wszelkiego znaczenia politycznego, rozdrobniony na trzy oddziały, korpus ten pełnić będzie służbę Szwajcarów zaciężnych, za co Rzplta otrzymywać będzie po wojnie przez lat sześć po 50 tysięcy dukatów. Zresztą udziału w zdobyczach żadnego; gwarancya i podległość względem Rosyi utrzymane najzupełniej, owszem, powiększone jeszcze tem osobliwzem zastrzeżeniem, że za granicą, oba państwa spólnych mieć mogą reprezentantów! Potrzebaż dodawać, że przymierze takie nie pożytkiem ale szkodą było dla Polski? „Nie ma wątpliwości, mówi nuncyusz Saluzzo, że projekt sojuszu wyszedł od tutejszego panującego. Dążeniem jego było zastąpić gwarancyą aliansem i pomnożyć liczbę wojska stosownie do potrzeby. Jedno i drugie odpowiadało najzupełniej dobru kraju, bo gdyby raz Polacy zwiększyli swoje siły, musianoby ich, co najmniej, szanować. Ale okoliczności wszystko zmieniły i to, co było poczęte dla dobra tutejszego kraju, obróciło się na korzyść Rosyi. Dziś o ile wiem, Imperatorowa nastaje na zawarcie przymierza, a król polski albo już wycofać się nie może, albo jeszcze przewiduje więcej dogodności niż niebezpieczeństw z takowego układu ¹⁾.” — Król, my dodamy, wycofać się nie chciał, nawet nie mógł bez obrazy Imperatorowej, a choć w swym zapale znacznie ochłódł, spodziewał się jednak, że to przymierze ułatwi pomnożenie wojska, które było w myśli wszystkich, i że on sam, z pomocą Stackelkerga, wymoże jeszcze pewne ustępstwa na Imperatorowej. Jakoż i wymógł niektóre. Na uwagi jego nad kontrprojektem rosyjskim posłane do Petersburga w początkach lipca, Katarzyna odpowiedziała w połowie września, przystając nareszcie na zamieszczenie w traktacie warunku wynagrodzeń terytoryalnych dla Polski bez bliższego ich atoli oznaczenia, oraz na wypłatę bezzwłoczną stu tysięcy dukatów na pomnożenie armii, resztę, to jest dwieście tysięcy dukatów odkładając na czas pokoju ²⁾. Ale już te ustępstwa

¹⁾ *Depesza do kard. Sekretarza Stanu, 1 paźdz. 1788.*

²⁾ *Depesza króla do Debolego z d. 2 lipca i 24 września 1788.*

przyszły w chwili, gdy gwałtowne wystąpienie Dworu pruskiego zmieniło całkiem stan rzeczy. Musimy z kolei opowiedzieć ten ostatni epizod rzeczonyj negocyacji, która choć do końca nie doprowadzona, tak ważne a zupełnie nieprzewidywane wywołała następstwa.

*

*

*

Przytoczoną powyżej instrukcją Stackelberg miał sobie zlecone, skoro sejmiki się odbędą i wydane zostaną na sejm uniwersały, uwiadomić ministrów austriackiego i pruskiego w Warszawie o zamierzonym z Polską przymierzu. Co do Austrii, nie było trudności; w zasadzie, cddawna nań zgodziła się, nie znając nawet jego warunków. Hr. Cobentzel, gdy mu go dość późno w odpisie udzielono, mniemał, że to jest rzecz najniewinniejsza w świecie; książkę Kaunitz innego był zdania. Wprawdzie, na żądanie gabinetu petersburskiego, dał on rozkaz panu de Caché popierać przedstawienia Stackelberga, wszelako ostrożnie i wtedy tylko, gdy będzie do tego przyzwany; polecił przytem zwrócić uwagę posła rosyjskiego, że Dwór pruski skorzystać może z tej negocyacji, aby wywołać zawichrzenia w Polsce, co mu da upragnioną sposobność do wysłania armii swej do Polski i dokonania na niej nowych grabieży. Też same obawy kazał później hrabiemu Cobentzel przełożyć z naciskiem w Petersburgu, a bliskie wypadki przekonały, że kanclerz austriacki dobrze znał swego sąsiada ¹⁾).

Reprezentantem Prus w Warszawie był, jak wiadomo, Buchholtz. Ciężki, leniwy do wizyt i do interesów, miernych zdolności, powierzchowny a wiele o sobie trzymający, mało miał w Polsce stosunków i raporta swoje zazwyczaj puste i niedokładne opierał na tem, co mu Essen, rezydent saski, powiedział; ten zaś najdawniej ze wszystkich ministrów zagranicznych w Warszawie zamieszkały, tak jego jak innych swemi informacyami obdzielał, a były zawsze Polsce i jej Królowi nieprzychylne. Zresztą, Buchholtz miał baczność takie swemu Panu posyłać doniesienia, o których wiedział, że mu podobać

¹⁾ *Depesze Kaunitza do de Caché z d. 6 września, do Cobentzla z d. 20 i 26 września; depesza Cobentzla z d. 10 października.*

się będą, i popularność Króla pruskiego i liczbę jego przyjaciół szumnie wysławiał. Na prawdę zaś, partyi pruskiej zorganizowanej w Polsce nie było i być nie mogło, skoro ten i ów, co pragnął zbliżyć się do Prus, ani w Warszawie ani w Berlinie nie znajdował do tego zachęty. Rosya zazdrosna była zawsze o swój wpływ w Rzpltej; który z Dworów chciał być z nią w przyjaźni, musiał na tem polu przyznać jej pierwszeństwo. Raz tylko Józef II chciał iść z nią o lepsze i pod przewodem marszałka Lubomirskiego i Księcia generała ziem podolskich utworzyć dla siebie osobne stronnictwo; a były do tego liczne materyały w poddanych galicyjskich, którzy na sejmie znaczny stanowili poczet. Przysłany do Warszawy Thugut (1779) miał odziedziczyć równe Stakelbergowi stanowisko i umiał je w istocie zachować. Atoli Cesarz w planach swoich niestały, prędko zaniechał tej próby i Thuguta dla zgody z Moskwą odwołał. Stackelberg utrzymał pole, a tak mocno dbał o swoje górujące w Warszawie znaczenie, że nawet Nuncyuszowi, na publicznych u Dworu przyjęciach, nie chciał ustępować kroku i nie byłby ustąpił, gdyby na szczęście Stanisław nie stanął był mocno przy prawach Stolicy Apostolskiej. Kiedy w Warszawie mówiono „*Ambasador*,” to znaczyło reprezentanta Katarzyny; wszyscy inni byli drugorzędnymi ministrami. — Gabinet berliński, dopóki żył Fryderyk II, nie próbował w Warszawie stawiać czoła petersburskiemu, dobrowolnie niższe przyjmując miejsce; i nie zmienił tej polityki nawet wtedy, gdy Moskwa odstąpiwszy Prus, związała się z Austryą przymierzem. Stosunek Ambasadora z Buchholtzem jak był, tak i pozostał najprzyjaźniejszy. Bądź z przekonania, bądź że mu takim wypadało się okazywać, Stackelberg w poufnych swych rozmowach z Buchholtzem wyznawał się stronnikiem pruskim, twierdził, że przyjaźń z Cesarzem sprzykrzy się Imperatorowej, że rychlej niż mniemają, wróci ona do wypróbowanego od lat wielu sprzymierzeńca. Skwapliwie te wyznania spisywał minister pruski, jeszcze skwapliwiej czytywał je Fryderyk Wilhelm i nawzajem kazał upewniać Stackelberga o swej życzliwości i niezmienną objawiać mu względność. A tak, pomimo że gabinety rozeszły się w swych drogach, w Warszawie wszystko pozostało podawnemu, na pozór przynajmniej; Buchholtz nigdy oficjalnie nie występował przeciw Stackelber-

gowi. Dopiero sprawa aliansu polsko-rosyjskiego zmieniła ten stan rzeczy: zamiast cichego potakiwania, otwarty i stanowczy ze strony pruskiej antagonizm. Już ta zmiana sama przez się dotkliwą była dla polityki rosyjskiej w Warszawie, uszczuplała powagi Ambasadora, ośmielała niechętnych i mogła była nader korzystną stać się dla Rzpltej, gdyby rząd polski chciał być trzymać się w pośrodku między dwoma walczącymi z sobą wpływami, nie wiążąc się z żadnym na ślepo. „Nie bądźcie ani Prusakami ani Moskalami, mawiał książę de Ligne, bądźcie Polakami.“ Na nieszczęście, tej miary jedynie godnej niepodległego narodu, nie umieliśmy zachować: ulżywszy sobie jarzma z jednej strony, poddaliśmy karki nasze dobrowolnie pod drugie, o wiele gorsze od pierwszego, bo zdradliwsze. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Dnia 27 sierpnia Buchholtz zawiadomił swój Dwór, że Stackelberg zaprosił go na konferencję, oznajmił mu, że Monarchini jego z uwagi na trudności obecnej wojny z Portą i dla ubezpieczenia całości Polski, postanowiła zawrzeć na przyszłym sejmie z Królem i Rzpltą polską traktat odporny, który w żadnym wypadku interesów pruskich naruszyć nie może. Wiadomość ta spadła w Berlinie jak bomba, i w gabinecie, który mało dotąd sprawami wewnętrznymi Rzpltej się zajmował, obudziła nadzwyczajną na nie uwagę i gorączkową czynność. Hertzberg, przesyłając Królowi do Poczdamu depeszę Buchholtza, pisze (2 września): „Niepodobna wątpić, że to przymierze wymierzone jest jedynie przeciw WKMości i ma na celu przeszkodzić powiększeniu Prus; interes zatem WKMości wymaga robić wszystko co można, aby to przymierze odwrócić. Mniemam, że najlepiej będzie, jeżeli WKMość ze swojej także strony zaproponujesz Rzpltej odnowienie dawnych sojuszków, a hrabiemu Stackelberg każesz odpowiedzieć, że choć nie widzisz żadnego powodu do takiego traktatu, ale powodowany podobną troskliwością o dobro Polski, chcesz WKMość odnowić z nią swoje związki. Taka deklaracja może powstrzymać projekt przymierza; lecz potrzeba przytem postarać się o nasze stronnictwo i nie dozwolić sejmu skonfederowanego, co nie jest niepodobnem z uwagi na niechęć znacznej części narodu polskiego do Rosyi. Zdaje mi się, że WKMość będziesz zmuszony Rosyi postawić się ostro. Pierwsze

to myśli, które mi się nasunęły po odebraniu tej uderzającej wiadomości.“ — Król przyjął propozycje ministra i nazajutrz wyprawiono kuryera do Warszawy z obszerną instrukcją dla Buchholtza (3 września). Depesza ta, podpisana przez Fryderyka Wilhelma a ułożona przez obu ministrów, na to szczególnie nastaje, że Król nie widzi żadnej potrzeby takowego aliansu, „bo gdy Imperatorowa nie może go zawierać przeciw swemu sprzymierzeńcowi, Cesarzowi rzymskiemu, ani przeciw Turcyi, która dotrzymuje święcie wszystkich warunków traktatu karłowickiego względem Polski, Król więc przypuścić musi, że to w niego godzi zamierzony sojusz. Że postępowanie Prus więcej niż przyjacielskie dla Rosyi, nie dało do niego przyczyny; lecz jeśli pomimo to, nowe sojusze wydają się dla Polski potrzebne, to i Król pruski swój ofiaruje. Bo rzecz prosta, że gdy przeciw Prusom chcą zawierać traktaty, muszą i one szukać takowych.“ Po takiej odpowiedzi przeznaczonej dla Stackelberga, następują polecenia dla pruskiego ministra, a mianowicie żądanie raportu o stanie kraju i wskazanie środków, jakichby użyć należało do utworzenia możnej pruskiej partyi. „Ponieważ wiem (pisze dalej Król), że większość narodu polskiego zapaliła się do projektu pomnożenia wojska, nie trzeba zatem temu projektowi wprost się sprzeciwiać, ale interes mój wymaga, aby po cichu i nieznacznie nie dopuścić takowego powiększenia, bo zawsze ta armia mogłaby dla mnie być niebezpieczną, zwłaszcza gdyby Król polski z W. hetmanem zgodzili się na jedno. Równie ważnem jest pytanie, czy przyszły sejm ma być wolny czy skonfederowany? Jest w moim interesie, aby on był wolnym i aby, w razie potrzeby, można go zerwać; należy więc przeszkadzać konfederacyi.“ Zapytuje w końcu, ile Buchholtz potrzebować będzie pieniędzy dla puszczania w ruch całej машины, obecnie i na początku sejmu?

Od roku blisko, jak widzieliśmy, Król wraz z Hertzbergiem pieścili się myślą, że z pomocą sztucznie skombinowanych planów będą mogli z wojny tureckiej w ten sposób korzystać, aby najbardziej ku zachodowi wysunięte polskie prowincye Prusom się dostały. W tych planach zastaje ich projekt polsko-rosyjskiego przymierza i wszystkie ich nadzieje od jednego razu wywraca. Zrozumieć łatwo rozdrażnienie i sta-

nowczość, które przebijają z depesz powyższych; i chciwość pruska i miłość własna autorska tak silnie w Hertzbergu rozwinięta, były tym projektem najboleśniej obrażone. Ale pojmowano też w Berlinie, że aby w Warszawie stanąć do boju i z partją królewską i ze Stackelbergiem i odpowiednie rozpocząć działanie, na to osobistość Buchholtza nie wystarczała. Zdecydowano posłać mu do pomocy hr. Goltza, który rodem z Prus zachodnich, umiał po polsku i między szlachtą wielkopolską liczył krewnych i znajomych; jemu też polecono udać się najprzód do Leszna dla porozumienia się z księciem Sułkowskim, który swe usługi ofiarował i dla zbadania wielkopolskiej szlachty. Ale jeszcze silniejszy obmyślany był sukces. Zamierzano właśnie odwołać z Petersburga barona Kellera a na jego miejsce wysłać tamże margr. Lucchesiniego, nader gładkiego i szczwanego Włocha, który z dowcipu i nauki wielce Fryderykowi II się spodobał i przez niego był używany. Czekano tylko na przyjazd do Berlina Nesselrodego, który przez gabinet petersburski był już zapowiedziany w miejsce Rumiancowa; nim zaś to nastąpi, Lucchesini miał się zatrzymać w Warszawie i swoją obrotnością i wymową dopomódz Buchholtzowi. — W tym czasie spadła na Rosyą, prócz tureckiej, wojna szwedzka, o której w swoim miejscu wspomnimy. Im większe były Rosyi kłopoty, tem bardziej rosła w Berlinie odwaga, z mocnem postanowieniem nie przyzwolenia na zamiary północnego sąsiada. Łatwo swojemi planami upajający się Hertzberg, w naiwnej zarozumiałości widział się już panem sytuacji i mniemał, że grzmiącemi depeszami Rosyą i Austryą wystraszy. „Zdaje mi się (pisze on), że aby zbrzydzić Polakom alians rosyjski, dość byłoby wystawić im, że przez to najoczywiściej wystawią się na wojnę z Turkami, którzy spustoszą im wielką część kraju, jak obecnie pustoszą Węgry; że Polski nie zasłonią wtedy Rosya i Austrya, które same nie mogąc się obronić, będą najpewniej zmuszone prosić nas o protekcję. Jeżeli Imperatorowa uprze się przy swoim projekcie, to zmusi Króla do związania się z Turcyą i Szwecyą. Co wtedy stanie się z Rosyą, Austryą i Polską? Nie zasłoni ich pewno Francya od naszych 200 tysięcy ludzi. Ona sama dość u siebie zaprzątnięta, a my przeciw niej wystawimy 70 tysięcy ludzi. Nasza gra jest tak mocna i tak dobrze po-

myślana, że te dwa dumne Dwory będą musiały uleść naszej woli; ja też pewno nie opuszczę tej okazji, by monarchią naszą postawić na stanowisku, które jej Opatrzność przeznacza. Możesz przyczynić się do tego swoim zachodem i wraz z przyszłością państwa i swoją zbudować. Proponuję dzisiaj Królowi, aby na początek posłał ci dwa tysiące dukatów i upoważnił cię do prowadzenia wystawnego domu ¹⁾. — Mniej butna ale nie mniej stanowcza jest depesza królewska z tejże daty. „Bądź co bądź (pisze Fryderyk Wilhelm), alians ten muszę wyrzucić albo zawrzeć osobne przymierze z tą częścią narodu, która się przy mnie skonfederuje. Zaprosisz hr. Ogińskiego, aby bezwzględnie przyjechał do Warszawy i obaczysz, czy wypada go zrobić naczelnikiem naszego obozu. Książę Radziwiłł, wojewoda wileński, ofiarował mi swoją gotowość przez dworzanina swego, Petersona. Spodziewam się, że potrafisz zniewolić na naszą stronę hrabiego Przebendowskiego (marszałka Rady Nieustającej), Biskupa kujawskiego (Rybińskiego), niemniej jak Krasickich krewnych Biskupa warmińskiego, ks. Sułkowskiego, generała (wojewodę łęczyckiego) Gądomskiego, p. Bnińskiego i innych, których znasz. Byłoby rzeczą bardzo ważną, gdybyś potrafił wciągnąć Potockich, którzy z Rosyi i z Króla polskiego nie są kontenci. Jeżeli wojewoda (ruski) Potocki przechyla się na stronę dworską dla tego, że jego majątki są pod ręką Rosyan, powinienes mu wytłómaczyć, że gdyby Rzplta weszła w przymierze z Rosyą, najwyraźniej przeciw Turkom, fortuna jego uległaby ciężkiemu z ich strony niebezpieczeństwu, od którego Rosya nie potrafiłaby ochronić, bo sądząc z obecnego postępu wojny, Turcy ani chybi wpadliby do Polski. Że zaś projekt przymierza polsko-rosyjskiego musi być powszechnie w Warszawie wiadomy, nie zaniedbasz jawnie i stanowczo. Polaków, z którymi mówić będziesz, ostrzegać, że powinni się dobrze zastanowić, zanim przystaną na traktat tak groźny, przeciw Turkom a prawdopodobnie i przeciw Prusom wymierzony; że w każdym razie przymierze ze mną o wiele lepiej ubezpieczy ich od najazdu tureckiego; a co do całości

¹⁾ *Hertzberg do Buchholtza*, 16 września 1788. Zbiór depesz p. t. *Die polnisch-russische Allianz*; Archiwum tajne berlińskie.

Polski możesz każdemu Polakowi dać *słowne* zapewnienie, że Prusy prędzej, niż którebądź państwo jej ustrzegą, powodowane w tem własnym interesem i troskliwością o dobro i niepodległość Polski. Postarasz się w ogólności zniszczyć to mniemanie, które rozpowszechniono, jakoby ja zamyślał o nowych nabytkach z tej strony“.

Tak więc — alians polsko-rosyjski jakimbyż kosztem zniweczyć, lub gdyby się to nie dało, naród rozerwać i z drugą jego połową zawrzeć osobne przymierze; w tym celu gromadzić z pośpiechem osobne pruskie stronnictwo a żadnych obietnic, żadnego zaręczenia i uspokojenia (byłe słownych) Polakom nie szczędzić, skrycie zaś powiększeniu wojska i konfederacyi koniecznie przeszkodzić, — oto rozkazy jakie Buchholtz na swe doniesienie odbierał przez kuryerów, których w tej nagłej okoliczności, jednego po drugim, z Berlina wysyłano. — Odpowiedź pruska dotkliwie uderzyła Stackelberga, a mianowicie oświadczenie, że jeżeli Imperatorowa nie cofnie swego projektu, to król będzie proponował swój także alians Rzpłtej. Ambasador oznajmił Buchholtzowi, że wiadomość ta nie sprawi przyjemności jego monarchini, że ona miała w tej sprawie najszczerze intencye; że pomysł przymierza nie od niej wyszedł, ale od Króla polskiego, że owszem broniła się od niego od sześciu lat, lecz gdy w ostatnich czasach, zwłaszcza od wojny tureckiej, naród polski począł sarkać na Rosyą i rwać się do działania na własną rękę, należało się obawiać, aby nie przyszło do cięższego zawichrzenia w Rzpłtej a nawet do wojny domowej, gdyby wcześniej nie postarano się naród ten zjednoczyć, związać go z Rosyą i ukazać cel, któryby mu dał zajęcie. Buchholtz przyznał, że projekt ten nie wydawałby się jego panu tak niebezpiecznym, gdyby Rosyą pozostawała w aliansie z Prusami; ale że w obecnym stanie, musi go uważać jako uzupełnienie przymierza Dworów cesarskich, tem samem jako zamach skierowany przeciw niemu samemu. Dodał i to, że takie sprawy, jak zawieranie traktatów, powinny być na sejmie wolnym rozstrzygane, w moc konstytucyi polskiej, lecz z tym ostatnim zarzutem prędko się załatwił Stackelberg mówiąc, że mocarstwa gwarantujące mogą zezwolić na to, co im się podoba: wszakże i traktat z r. 1775 był na sejmie skonfede-

rowanym zawarty, a zapewne król pruski nie zaprzeczy jego ważności.

W depeszy, którą Stackelberg wyprawił kuryerem do Petersburga (10 września) i w rozmowie, jaką miał tegoż samego dnia ze Stanisławem Augustem, nie ukrywał ciężkiego frasunku z tak ostrego postawienia się Berlina. „W chwili, gdy pomimo znacznych trudności (pisze on do swego ministerjum) udało mi się, połączywszy me starania z Królem polskim, przeprowadzić na sejmikach większość posłów nam życziwych i ubezpieczyć pożądaný skutek negocyacji, spotykamy naraz wielką zaporę w stanowczej opozycji Króla pruskiego. Przypuszczałem ja, że projekt ten nie trafi mu do smaku i że będzie go pocichu utrudniał. Przeszkody ze strony Polaków dałyby się zwyciężyć, gdyby tak jawnej nie znajdowali podpory, ale sprawa ta, jak dzisiaj stanęła, przechodzi już zakres mojego działania i musi być przedmiotem wyższej negocyacji ¹⁾“. Oczywiście, że od tej wyższej negocyacji oczekiwał teraz skutku, że otrzymać go na miejscu, już się nie spodziewał. — I Stanisława Augusta mocno poruszyła ta nowina, lecz przyuczony łamać się z przeciwnościami i za każdą zmianą swą pracę zawiązywać na nowo, prędko się pokrzepił. „Bylebyście (rzekł on do Stackelberga) nie bronili nam aukcyi wojska, to ja nie mam jeszcze rzeczy za zdesperowane“. „Wcale nie bronię (odpowiedział poseł), owszem radzę wykonać. Już powiedziałem nie jednemu, że choćby Polska traktatu teraz formalnego z nami nie zrobiła, to jednak powiększenie jej wojska nam samym się przyda; bo jeśli tak mała garstka przez to całe lato tak wielce była nam usługną, to tem bardziej zwię-

¹⁾ *Raport Buchholtza*, 12 września. *Depesza Stackelberga do Ostermana i Bezborodki*, 10 września. W rozmowie, którą temi czasy miał Stackelberg z De Caché, powiedział mu, że przewidując trudności, jakich alians dozna teraz na sejmie, radził on swojej pani, aby go zaniechała. (*Depesza De Caché do Kaunitza*, 20 września). Być może, że tak do rezydenta austriackiego mówił, trafiając w myśl X. Kaunitza; jednak za aliansem jeszcze obstawał. Katarzyna przyobiegała mu order św. Andrzeja, jeśli do skutku doprowadzi negocyacją; żał mu też było tego wpływu, który w Polsce o wiele byłby urósł po zawarciu przymierza.

kszone wojsko polskie w innych potrzebach będzie nam jeszcze pomocniejsze“. Nazajutrz (11 września) Król zwołał do siebie Prymasa, marsz. Mnischa, ks. Stanisława i Chreptowicza. Stackelberg, który był obecny tej naradzie, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, radził najmocniej trwać w rozpoczętem dziele, pomimo pruskiej przekory; bo choćby, jak mówił, Imperatorowa cofnęła się przed nią, to zawsze Król i ci co z nim stają, dadzą jej dowód swojej dobrej woli „a tymczasem aukcja wojska aukcją będzie“. I Król tego samego był zdania i nową zaraz nastrecał kombinacją. Trwać trzeba, mówił, nawet wtedy „gdyby i Król pruski, gdyby naostatek i Cesarz swoje traktaty proponowali“. Bo ponieważ to mają być traktaty odporne, przeto jeden drugiego nie wyklucza, „a przymierze z Moskwą służyłoby na postrach i wędzidło dla tamtych, gdyby ze szkodą Polski swoje umowy zrywać chcieli“. Ta myśl niezupełnie dogadzała widzeniu Stackelberga; atoli ponieważ to wszystko za leżało od odpowiedzi Katarzyny, przeto nie wdając się na teraz w dalsze roztrząśnienia, postanowiono czekać na powrót kuryera z Petersburga ¹⁾.

Inaczej niż w Warszawie przedstawiała się ta rzecz w Petersburgu. Katarzyna potrzebowała przede wszystkim spokojności w Polsce i żadne pożytki zamierzonego aliansu nie mogłyby zrównoważyć tych niedogodności i szkód, jakieby dla Rosyi (my dodamy — bardziej jeszcze dla Polski) wyniknąć musiały z rozerwania narodu, z zawiązanej drugiej konfederacji pod osłoną króla pruskiego, do czego ten ostatni dąży najwidoczniej, i z wtargnięcia wojsk pruskich w kraje Rpltej. Prawda, że od tego ostatniego wypadku broniła umowa świeżo z Austryą zawarta; ale pominąwszy, że Katarzyna nie rada byłaby dopuścić Austrii do uspokojenia Polski, zawsze i w tym razie potrzebna byłaby jakaś znaczna ze strony Rosyi siła zbrojna. Tej zaś nie było w pogotowiu, gdy dwie już wojny, jedna od północy druga od południa, wszystkie zasoby Rosyi do dna wyczerpywały. W takim położeniu, wyzywać do boju trzecie mocarstwo, i to tak silne jak Prusy, byłoby najwyższą nieroztropnością. Jakkolwiek więc postępkami króla pruskiego głęboko oburzona, Imperatorowa postanowiła uleść

¹⁾ *Depesza króla do Debolego, 13 września.*

na teraz okolicznościom i to postanowienie swoje powzięła pierwaj jeszcze, zanim przyszły naglące w tymże duchu depesze ks. Kaunitza ¹⁾. Dnia 28 września, kuryer z Petersburga przywiózł Stackelbergowi nowe instrukcye, w moc których tenże oświadczył Królowi, że Imperatorowa oszczędzając króla pruskiego, nie chce nateraz naglić na zawarcie traktatu z Polską, nie zrzekając się go nadal zupełnie i to jeszcze w ciągu sejmu tegorocznego, jeśliby po temu zdarzył się czas dogodny.— „*In consequenti* (pisze Król do Debolego) nasza robota tutejsza jest taka, że chcemy zrobić konfederacyą, której wypisane objekta w akcie mają być tylko *aukcya wojska i poprawki wewnętrzne*, a w porozumieniu z ambasadorem zachowujemy sobie zawsze i traktat, jeśli się pora pokaże. Lubo jest mi wielce przykro widzieć to dzieło odłożone do niepewnego czasu, jednak przyznać muszę, że poniekąd i dobrze się stało, że Imperatorowa kazała ambasadorowi ulegnąć teraz, ponieważ po wahaniach się referendarza Małachowskiego (przyszłego marszałka sejmowego), po uporach jeszcze wyraźniejszych ks. stolnika Czartoryskiego, którego żadne argumenta przepierać nie mogły, a co gorsza, po odgłosie tak licznym posłów nadjeżdżających, że ledwie mogłem sobie obiecywać piątą część pewnie zezwalających na traktat, po tych mówię przeszkodach, rzecz byłaby do zrobienia tak trudną, że ją nazwać można prawie niepodobną“. Jako przyczyny takiego usposobienia w narodzie kładzie Król: „pogróżki pruskie, powszechną prawie niechęć do wojowania z Turkami, wstręt do Cesarza aż do obrzydzenia dochodzący, a przytem pamięć różnych krzywd i od Dworu rosyjskiego i od wojsk jego w różnych czasach nam czynionych, które wpływ pruski jak najpilniej odświeżał teraz we wszystkich umysłach. Ta jednak ostatnia racya (dodaje Stanisław August) najmniej skutkowała, ile że co tylko jest ludzi trochę światlejszych, wszyscy przyznają, że idąc za rozumem a nie za gustem, z żadną potencją nam nie wypada łączyć się bardziej, jak z Moskwą, tak dalece, że i sam ks. stolnik Czartoryski to przyznaje. Więc teraz profitować nam trzeba z generalnej chęci całego narodu do aukcyi wojska, którą luboby Berlin w duchu także rad zepsuł, ale sam Buch-

¹⁾ *Depesza Cobentzla do ks. Kaunitza. 10 października.*

holtz widzi, że tego nie może przeprzeć i że traciłby wielu adherentów, gdyby temu jawnie się przeciwiał. Jego też robota na tem tylko od dni kilku zawisła, aby się nasz sejm nie obrócił w konfederacyą, dobrze znając jak wiele łatwości się znajdzie do zepsucia sejmu wolnego i aukcyi wojska. A zatem, nasze staranie całkiem jest na to obrócone, aby ten sejm odprawiał się pod konfederacyą i w tem mi ambasador szczerze i dzielnie pomaga, jako i do aukcyi wojska, bo ma do tego rozkaz ¹⁾“.

* * *

Myśl aliansu odłożona na później, nie miała się już ziścić. Czy należy tego żałować? Widzieliśmy, że sam Król niebardzo żałował. Chociaż misternie przezeń obmyślany, sojusz ten byłby w końcu zaciągnął Rzpltę w większą jeszcze od Moskwy zależność. Kiedy słabszy chce się posługiwać mocniejszym, wbrew swojej woli jemu służyć musi. Jeżeli Fryderyk II, jeżeli cesarz Józef, związani z Katarzyną przymierzem, mimo całej swej potęgi, musieli nieraz więcej dla niej świadczyć niżeli sami chcieli, niżeli na to ich własny interes zezwalał, jakżeż bezsilna i poniżona Rzplta mogła się spodziewać, że swoje interesa, swoją godność i resztki swej niezawisłości w tym sojuszu ubezpieczy? Dość było i aż nadto złego, że Rosya pozyskała tak wiele wpływu na sprawy wewnętrzne Polski; potrzebaż było jeszcze zaprzęgać Rzpltą dobrowolnie do moskiewskiej zagranicznej polityki? Widzieliśmy, jakie Katarzyna postawiła żądania. Państwo tak słabe, że ci nawet, co go potrzebują, mogą podobne kłaść mu wymagania, nie ma widocznie niezbędnych warunków, aby bez narażenia swojej przyszłości, do rozległych, europejskich mieszać się kombinacyj.

Jest mądrość polityczna w tem przysłowiu: *według stawu grobla*; tej mądrości życzyłoby należało narodowi w każdym położeniu i w każdym czasie. Zamiary królewskie za szeroką stawiały groblę na nasz staw już uszczuplony i wewnątrz zamulony bardzo. Pomimo wszystkiego co na ich usprawiedliwienie powiedzieć można, myśl przymierza z Rosyą wydaje nam się u Stanisława Augusta raczej grą politycznej

¹⁾ *Depesza króla, 1 października.*

fantazyi, raczej płodem patryotycznej niecierpliwości, niż rezultatem zimnej rachuby, spokojnego, trzeźwego ocenienia sytuacji zewnętrznej, a przede wszystkim wewnętrznej. Jest i drugie przysłowie: *próżno się na polu wadzisz, pokąd doma nie uładzisz*. Naprzód pracą domową odrobić, zapłacić, wiekowe próżniactwo i zaniedbanie na wszystkich punktach; przez pracę przyjść do zdrowia, do ładu, do trzeźwości; a dopiero następnie odzyskiwać powoli utracone zagranicą poszanowanie i wpływ. „Aukcyja wojska i poprawki wewnętrzne, oto cała nasza nateraz robota“, pisze Stanisław August w chwili, gdy projekt aliansu już przepadł; my dodamy, robota najpilniejsza i zupełnie na czas dłuższy wystarczająca, gdyby do tych poprawek wewnętrznych, które Król miał na myśli, przyłożyć chciano i poprawę moralną narodu, poprawę życia i indywidualów, tak dobrze w prywatnej jak publicznej sferze. Bo wypadki dziejowe i odmiany polityczne niczem innem nie są, jak tylko wyrazem tego, co się dzieje i co się odmienia w duszy narodu i indywidualów, które go składają; bo, jak trafnie powiedziano, wielcy ludzie i wielkie chwile, to tylko kwiat i owoc na koronie tego drzewa, co bierze soki z ziemi, w której rośnie. Im lepsza ziemia, tem zdrowsze soki, tem kwiat i owoc szlachetniejszym i pełniejszym być musi.

Cóżkolwiekby, było za co dziękować Bogu, że wśród trudności, w jakich mocarstwa zaborcze były uwikłane, zostawiono nam w domu nieco folgi; że wpośród wojny sąsiedzkiej, naród mógł dźwigać się ostrożnie, w neutralności niezbrojnej jeszcze, ale już zbrojącej się; że coś przecie istotnego dla wzmocnienia Rzpltej można było przedsięwziąć w tym czasie, z wyraźnem przyzwoleniem Rosyi a nawet spółdziałaniem jej ambasadora, z cichem przyzwoleniem Austrii. To chwilowe ugłaskanie sąsiadów było zasługą Stanisława Augusta. A dla czego z niej nie korzystano, za czyją sprawą, przez jaki zbieg okoliczności, przez jaką znowu polityczną fantazyą czy patryotyczną niecierpliwość, ten program jego doznał tak stanowczej odmiany i w swej podstawie i w swoich rozmiarach, to właśnie niniejsze opowiadanie ma na celu wykazać.

JAŚ, JAKICH WIELU.

(NOWELLA)

przez **Z. D.**

(Dokończenie).

Jaś nazajutrz przyszedł się ze mną pożegnać. Przyjąłem go prawie z gniewem, bo przez noc miałem czas namyślić się nad tem wszystkiem.

— Gdyby nie twój brat — rzekłem, nie mogąc się w tej chwili zdobyć na słodycz — gdyby nie twój brat i ta kochana pani bratowa, bylibyście dziś zaręczeni. Oni tu po to przyjechali, żeby nie dopuścić twego małżeństwa, bo im z tobą wygodnie.

Jan nie dał mi dokończyć; nigdy rycerz średniowieczny nie ujął się tak za czią swej bogdanki, jak Jaś za honorem brata.

— Nie mów mi nic złego o nim — zawołał gorąco — i nie stawiaj mnie w smutnej ostateczności wybierania między nim a tobą.

— Nie unos się Jasiu, i póki czas usłuchaj mojej rady. Z Rózią nic nie ma zrozpaczonego, ja ci to mówię.

Jan tylko głową kiwnął i odwrócił się odemnie, aby mi ukryć smutek głęboki.

— Widziałem się z nią — rzekł — i pożegnałem na zawsze.

I z prostotą dodał:

— Jej widok byłby dla mnie powolną trucizną — ona mnie nie kocha.

— Za rok o tem, kochany Jasiu pomówimy, i jeszcze jedną przyjacielską radę przyjmij. Jeżeli jest w tem co prawdy, żeście wzajem za siebie ręczyli z Albertem, to wycofaj się coprędzej z tego interesu, który z pewnością jemu na dobre wyjdzie, ale nie tobie; niegodnie cię podszedł.

— Jeszcze raz — zawołał Jan, wpadając mi w słowo — nigdy mi o tem nie wspominaj. Ty inaczej sądzisz Alberta, ja inaczej. Zresztą choćby i tak było — dodał powoli — choćby rzeczywiście Albert mnie podszedł i... i chciał oszukać, to niech mu to na korzyść idzie. On potrzebny żonie, wkrótce dziecku; a ja, a ja... mnie żyć jak najemnikowi z dnia na dzień.

Może państwo Albertowie sądzili, że za tyle ustępstw należy się Jasiowi jakieś wynagrodzenie za dobrowolne poświęcenie brata: Albert z początku zapraszał jego przyjaciół i wyprawiał mu polowania, potem go poprosił na družbę na swoje wesele, a wreszcie teraz na ojca chrzestnego swego pierworodnego syna; zawsze jednak w drugiej parze, bo interesa tak już były wówczas popłatane, że się po Jasiu nie można było spodziewać zapisu ani sukcesyi; pierworodnemu dano na imię Michał, Jerzy, Jan. Michała imię z pradziada księcia, Jerzego chłopiec sobie przyniósł na świat, a trzeci dopiero patron w kalendarzu był patronem pocziwego Jasia.

Pani Adela zostawała w ciągłej korespondencji z Rózią. Jeden z tych listów przypadkiem wpadł mi w ręce:

„Odtęsknić się nie mogę za tobą — pisała ta czuła kobieta wśród kłopotów codziennego życia — wspomnienie waszego cichego domku przypomina mi się jak idealna Tebaida. Dwa lata cię nie widziałam, a jeszcze serce moje nie ostygło; wierz mi Róziu, masz we mnie najczulszą przyjaciółkę. Gdyby cię spotkało zmartwienie, gdyby, broń Boże, troska kiedy zachmurzyła twoje białe czoło, zaćmiła blask tych ślicznych oczu, rachuj na mnie, kocham cię moje dziecko, i marzę tylko

o tem, aby moja córeczka, moja dwumiesięczna Idalcia do ciebie była podobna.

„Zajmuję się dużo ogrodem, róże są moim ulubionym kwiatem, pewnie przez wspomnienie twoje Róziu, tak wielkie zajęłaś miejsce w mojem sercu, że wszystko w mej myśli stosuję do ciebie.

„Nie pokazuj tego listu twemu bratu, on nie zna naszych uczuć, on w kobiety nie wierzy... a odpisz mi, odpisz szeroko, czy masz czas tęsknić za mną, czy to serduszko buntownicze zabiło wreszcie dla kogo?“

A w *postscriptum*: „Załączamy najpiękniejsze ukłony twemu bratu, do których dołączam ukłony Jasia, który niedawno pisał do mnie ze Lwowa. Z tego co pisze, co mi ludzie mówią, zdaje się, że wyszedł na złotego młodzieńca, bawi się doskonale — i podobno... ale nie, nie powiem, rządziłam się zawsze zasadą: nie obmawiaj bliźniego. Co „podobno“, tego więc nie powtórzę; ale co „z pewnością“, to to, że się kocha, zgadnij... nie zgadniesz nigdy... pocziwy Jaś kocha się w mężatce, i podobno, muszę wykrztusić, w primadonnie opery włoskiej.

VI.

Rzadko bywałem w mieście, raz na rok około św. Jana, z konieczności, dla zawierania kontraktów, dla wypłat i innych niezbędnych interesów gospodarskich. Tego roku wybrałem się o zwykłej porze, i pierwszą osobą, którą spotkałem w hotelu, był mój kochany Jaś. Wydał mi się, nie powiem zmienionym, ale zupełnie odmiennym od dawnego Jana, którego jeszcze pamiętałem studencko zaniedbanym w ruchach i w ubiorze. Teraz najskrupulatniejszy znawca nie mógł był mu nic zarzucić. Poznałem go po wzruszeniu, które go ogarnęło na mój widok, a nad którym nie potrafił zapanować.

— Jak się masz?

— Jak się masz?... jakoś mi zbladłeś w mieście.

— Nic mi nie jest. Z czemeś przyjechał?

— Z interesami jak zawsze. A ty cóż porabiasz?

— Ja? to co zawsze, w tej chwili zamówiliśmy obiad na jutro z Henrykiem; pamiętasz Henryka?

— A któżby go nie pamiętał? to przecież jeden z naszej piątki; co się z resztą dzieje?

— Zygmunt — odparł Jan — jest tutaj.

— Cóż robi?

— Co robi?... a! jaki wieśniak z ciebie z takimi kwestiami — zawołał Jaś, przybierając ton jemu niewłaściwy, obcy, ton człowieka światowego — nic nie robi, kocha się; my tu wszyscy nic nie robimy! — dodał z odcieniem smutku, w którym znowu dawny Jaś się odbijał.

— Nic nie robicie?... ha! to także praca; a Juliusz? kiedy już mowa o przyjaciółach, gdzież Julek się obraca?

— Wszyscy jesteśmy tu w wielkim komplecie. Julek dotąd trzymał się na uboczu, ale teraz chce wstąpić do „naszego“ kasyna (tu *nowy* Jaś się odezwał). Do „naszego“ kasyna będzie miał wielkie trudności, ja go będę popierał całymi siłami, choć sam przyznaję, że nazwisko jego niebardzo brzmi po szlachecku. Julek, słyszę, wystąpi także na nowych wyborach jako kandydat.

— Widzę, że Julek przez cały ten czas nie spuszczał celu z oka... no, a ty?

— Dobrze, żeś przyjechał — zagadał Jaś moje kwestyą — jutrzejszy obiad na moję cześć wyprawiamy, mam nadzieję, że mi nie odmówisz.

— I owszem, mój chłopcze... powiedzże mi Jasiu, słyszę, że się tu bawisz jak król, młodzież cię na ręku nosi... a kobiety...

— Rzeczywiście, nie ma pocziwszego miasta jak to; odrazu wpadłem w tłum przyjaciół. Rok mi zeszedł, nie wiem sam na czym. Wiesz, że tu przyjechał zniechęcony do gospodarstwa (głos jego na chwilę zmienił modulacją i znów stary Jaś odezwał się z pod nowego), chciałem znaleźć zajęcie, pracę jaką; Albert mi poradził kilka tygodni rozrywki, przedstawił mnie kilkunastu znajomym, poradził, abym się wpisał do kasyna, zaprowadził mnie do znaczniejszych osób z tutejszego towarzystwa... zacząłem bywać, ot i zeszło... Pracujże tu, kiedy od rana: puk, puk, jesteś w domu Jasiu? Jestem. Przyjdzie jeden, drugi znajomy na cygaro, na herbatę,

wyciągnie na wizytę; trzeba przecież żyć w świecie i umieć żyć w nim... i tak zejdzie dzień za dniem. Gorzej, bo czuję, że głupieję na prawdę; nic ze mnie nie będzie, Józiu.

— I pewnie [to gadasz wszystkim, wszem w obec i każdemu z osobna, i w mówisz wreszcie ludziom, żeś głupi. Nie rozumiem cię mój Jasiu, podczas gdy drudzy, mając szczyptę rozumu, gotowiby wejść na wieżę ratuszową i ogłosić to całemu miastu — ty wiecznie krzyczysz, żeś głupi. Inni lichy towar za wielkie pieniądze sprzedają, a ty dobry towar za lichą oddajesz cenę. W świecie trzeba się umieć sprzedąć, to cała filozofia.

— Ba! — ruszył Jaś ramionami i zaczął o czem innem mówić

O interesach Alberta nic nie wiedział i nie troszczył się o przyszłość.

Z pewnem rozczarowaniem spostrzegłem, iż rzeczywiście nie był tym samym co dawniej; życie miejskie, wielkoświatowe nie wyszło mu na korzyść. Nie mogłem się obronić od podejrzywania Alberta, że znał dobrze naturę brata, gdy go wciągnął do tego życia, bo tej natury wzniosłej, szlachetnej, choć słabej, nic innego nie mgło poniżyć, związać, skrepować, tylko tysiączne więzy, któremi świat krępuje swych niewolników. Albert dobrze wiedział, czem świat jest dla niektórych ludzi, świat łagodny despota, który dla swej ofiary nie ma tortur, ale łoża miękkie, wygodne, puchowe, z kąd się już własną nie podniesie siłą; świat, zły duch o uśmiechniętej twarzy, który nie spycha ze skały w przepaść niedoli, ale zawodzi na trzęsawiska pokryte kwiatami, gdzie się grzęźnie nieznacznie, powoli, w coraz głębsze błoto mierności i głupstwa.

„O Boże! jakże wszechwładne jest panowanie głupstwa. Jak te ludy nadmorskie, które o każdą piędź ziemi walczą z napływającym zewsząd morzem, stawiając mu tamę za tamą, tak my biedni walczyć musimy z głupstwem, co nas zewsząd otacza i zalewa, walczyć o każdą chwilkę naszego życia. Zapomnijmyż raz tylko o codziennej pracy, nie brońmy się całemi siłami, a już morze głupstwa znajdzie miejsce otwarte, aby nas zalać swemi falami.“

Filozofowałem tak mimowoli na owym obiedzie, wyprawionym na cześć Jana, a na który mnie zaprosił. Gośćmi byli po

większej części młodziki ze starem doświadczeniem w sztuce życia; na ich mądrze ułożonym obiedzie nie poznałem się, przyznam się, że nie wiedziałem nawet co jadłem, tyle było przypraw, zagadkowych sosów i figlów, a rozmowa wydała mi się moralnie równie niestrawną potrawą. Henryk, odkąd go nie widziałem, utył ogromnie, zapuścił faworyty nadzwyczajnie starannie utrzymane, czoło mu już zaczynało łysieć i nos lekko czerwienić; mówił długo o następstwie win podczas obiadów wykwintnych, poczem rozmowa przeszła na kwestyą, czy się powinno i w jaki sposób zaginać różki biletów; niepewność rozstrzygnął Zygmunt na korzyść zaginania wzdłuż. Mówiono jeszcze czas jakiś o modnych cyfrach do listów, i wreszcie o kwestyach dziennych, o nieobecnych, o wstąpieniu Juliusza do kasyna i dziwnej pre tensyi tego młodzieńca do zyskania sobie wpływu na towarzystwo złotej młodzieży. Jan wprawdzie bohatersko stawiał czoło burzy, która się nagle zerwała na wszystkich rogach stołu przeciw plebejuszowi — o Krupkach, to nazwisko nosił nasz wielki człowiek, nie ma bowiem wzmianki w żadnym herbarzu.

— Juliusz jest *moim* przyjacielem — gorąco zawołał Jan — kto przeciwko niemu występuje, *mnie* obraża!

Widocznie nikt nie miał ochoty zarywać z Jasiem, zartato całą sprawę głośnym toastem na cześć najlepszego z przyjaciół, i zacząłem wierzyć, że pocziwy chłopiec zyskał sobie rzeczywiście wielu przychylnych w tym tłumie.

Po obiedzie spytałem z ciekawości garsona, kto też zapłacił za te wszystkie frykasy i szampany i cały obiad na cześć Jana wyprawiony. Garson spojrzał na mnie zdziwiony moją nieświadomością. „Zapisujemy na rachunek hrabiego Jana“ odparł nieco pogardliwie.

Z dość smutnej zadumy wyrwał mnie młodzik, wesół, rumiany, sąsiad mój obiadowy, który się rozsiadł bez ceremonii przy mnie, i puszczając mi pod nos kłęby dymu, zaczął swój dowcip zaostrzać na Jasiu. W śmieszny sposób odkrywał wszystkie jego słabe strony, drwił z jego miłostek.

— W kimże się kocha? — spytałem, patrząc z niesmakiem na niedorostka.

— W kim?.. całe miasto o tem gada, wróble o tem śpiewają na dachach! — zawołał rad, że zaintryguje parafia-

nina — ale fu, fu... ma *ona* rozum. Przyznam się panu, że gdybym był kobietą, nigdybym Jasia nie wybrał; nie dziwię się n. p., że tak przepadają za Zygmuntem, co za szyk! przypatrz się pan, jaka figura! surdut jak zrobiony. — Patrzcieno, różę ma w butonierce, czyżby fijołki już były niemodne? — i niespokojnie spojrzał na swój bukiet.

— Panowie! — przerwał Henryk, podchodząc z kieliszkami — jeszcze raz zdrowie Jasia, naszego najdroższego Jasia.

— Jakie wino? — spytał młodzik.

— Po pięć reńskich.

— To mało.

— Ależ pół butelki.

— No to dawaj.

I towarzysz mój dołączył swój głos do ogólnego chóru: „Niech żyje Jaś!”

Po obiedzie poszliśmy wszyscy do teatru; uważałem, że Henryk na krok prawie nie odstępował Jana.

— Mój drogi — rzekł niedbale przed wejściem do łoży — może masz dwie pary rękawiczek przy sobie, zapomniałem moich w domu.

Jaś bez namysłu ściągnął swoje z ręki, a bura mu się jeszcze dostała za to, że zaciasne.

Gdy tak obadwaj siedzieli na przodzie łoży, Jaś mizerniejszy i bledszy przy świetle, Henryk bardziej czerwony i pełny, wzdrygnąłem się mimowoli, spojrzawszy na nich; Henryk robił mi wrażenie pijawki, która przyczepiona do swej ofiary, tuczy się jej ubytkiem i karmi jej krwią, póki krwi starczy, a wtedy odpada sama z siebie.

Jaś z całą uwagą obrócił się do sceny, na którą wystąpiła śpiewaczka, cel, jak mi mówiono, jego uwielbień.

Wkrótce łoża zaczęła się zapełniać tużurkami i frakami, od których odbijał uroczysty biały krawat. Zygmunt świetniejszy niż kiedykolwiek zasiadł obok przyjaciela, i odrazu zciemnił go swym blaskiem.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi, i schylony, zgarbiony we dwoje wszedł Juliusz; zdziwiłem się jego obecności w łoży zakupionej wyłącznie przez młodzież klubową. Juliusz oświadczył wszystkim uprzejmie dobry wieczór i spojrzał w głąb tea-

tru, czy go kto spostrzegł; wszystkim podał rękę, żywo gestykulować zaczął, choć o niczem zajmującym nie mówił, nieproszony usiadł, tak że dalszym widzom mogło się zdawać, iż jest u siebie, wśród przyjaciół. Tego tylko pragnął, do tego wzdychał, jak święty do raju.

— Pan do nas... z interesem? — ozięble spytał jeden z paniczów.

Juliusz się nie zmięszał, ale muszkuly jego twarzy zadrgały widocznie.

— Z interesem, do ciebie Jasiu! proszę cię na chwilkę.

— I cóż? — rzekł chciwie, skoro się znaleźli w saloniku, gdzie przed chwilą i ja wyszedłem odpocząć.

— Przy Józiu możemy mówić otwarcie — odparł Jaś — a więc mój Julku musisz się podać, ja cię przeprowadzę wbrew im wszystkim.

Juliusz dość kwaśno się uśmiechnął, podziękował przyjacielowi i ostentacyjnie biorąc go pod rękę, wrócił do łóży. Przy końcu trzeciego aktu, gdy artystka kończyła solową aryę, szmer się zrobił, wniesiono przepyszny bukiet, hojnie przez Jasia zapłacony.

— Ja cię wyręczę — rzekł Zygmunt, biorąc bukiet, wychylił się z łóży i rzucił na scenę, za co mu się słodkie spojrzenie dostało.

Młodzi ludzie wyszli przed końcem sztuki, w którym już śpiewaczka nie występowała; mieliśmy ją wszyscy odprowadzić do hotelu. Szczęśliwemu dawcy bukietu przypadł zaszczyt prowadzenia ją pod rękę i patrzenia w jej czarne oczy. Jan siedł obok na ulicy, bo na chodniku nie było miejsca, i dźwigał na rękę biały szal algierski.

Nazajutrz był wielki dzień, w którym się miały ważyć losy Juliusza. Pierwszy krok, który stawiał w świecie, miał dla niego rozstrzygnąć o dalszej drodze, o dalszych opiniach politycznych. „Albo z nimi, albo przeciw nim,“ postanowił w głębi duszy.

Poszedłszy rano do Jasia, zastałem już u niego Juliusza na konferencyi, a na uboczu Henryka przy resztkach sutego śniadania. Jaś opowiadał Juliuszowi swoje zabiegi koło najliczniejszego zebrania wszystkich swoich przyjaciół przy balo-

townianu i za dobry skutek ręczył; Henryk słuchał tego wszystkiego dość niedbale, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka, który poznałem jako należący niegdyś do Jasia. W krótkim czasie zrobił wielkie postępy, doszedł był już do pewnej doskonałości, zjadłszy sumiennie śniadanie, wypiwszy wino do ostatniej kropli, wstał, wziął cygaro z biurka Jasia, i oglądając się za kapeluszem, sięgnął do kieszeni.

— Mój kochany — rzekł z niezmąconą olimpijską pogodą czoła — może masz dziesięć rs. do pożyczenia mi, nie mam drobnych przy sobie.

Po wyjściu Henryka Jaś z wesołą twarzą odwrócił się do mnie.

— Masz dziś ze mną iść na wieczór — rzekł — pani Matylda, znasz ją przecież, widziała nas wczoraj w łoży i prosiła mnie na herbatę; a gdym się wymawiał obowiązkami przyjaźni, przykazała mi, aby i ciebie koniecznie przyprowadzić. Wszak pójdziesz? nikogo nie będzie, może Zygmunt.

Przystałem, kontent z tego, że będę się mógł przypastryczyć wszystkiemu i przekonać, jak wiele prawdy było w tem, co ludzie mówili.

Jaś, z obawy abym mu nie uciekł, cały dzień nie puścił mnie od siebie; rad nie rad, musiałem słuchać polityki Juliusza, który godzinę jeszcze nas nudził; musiałem przełknąć jednego po drugim wszystkich przyjaciół Jasia, którzy nieustanną procesją przechodzili gościnne jego progi. Jaś opuścił mnie tylko na chwilę, aby pójść na sesję klubową, i przysięgał, że albo przeprowadzi Juliusza, albo z wszystkimi po kolei strzelać się będzie.

Dobłą godzinę czekałem na jego powrót; wpadł raczej niż wszedł, wołając: Tryumf! nasza wygrana! Juliusz ma co chciał! jest już członkiem kasyna! Wprawdzie, dodał siadając i ocierając pot z czoła — tryumf niewielki, miał dwie gałki czarne!

Mało obznajmiony z życiem światowem, nie rozumiałem dobrze, o co właściwie tak bardzo chodziło Juliuszowi, w czem był jego tryumf, a w czem niepowodzenie; dowiedziałem się od Jasia, że wstęp do klubu był niejako biletem wejścia w świat, patentem na dobrą opinią; a komuż barażiej o taki

patent chodziło, jak nie Juliuszowi, który się gotował do walki na szerszem polu?

Jaś mi to wszystko starał się wytłómaczyć, ubierając się na wieczór do pani Matyldy, a tłumaczenie i ubieranie szło bardzo powoli; długo rozmyślał nad tem, czy wziąć frak i jaki krawat, wąski czy szeroki?

W salonie pani Matyldy nie zapomniał zupełnie o tych drobnych kłopotach; zdejmował to wkładał rękawiczki, poprawiał kołnierzyki, kilka razy niespokojnie rzucił okiem w lustro. Nie zastaliśmy nikogo, prócz pani domu i jakiejś starej panny, która jej służyła za tło obrazu. Pani Matylda zawsze była śliczna, przywitała nas bardzo uprzejmie, ale była widocznie roztargniona, nadśłuchiwała turkotu powozów; śmiała się tam, gdzie wypadało westchnąć. Jaś tych wszystkich odcieni nie spostrzegł, które dla niego były zbyt subtelne; w ogóle zauważyłem, że się w tym salonie dziwnie przedstawiał. Wśród kwiatów, drobiazgów, które tam nagromadziła ręka kobiety, wśród labiryntu mniejszych i większych sprzętów, mój przyjaciel wyglądał jak Guliwer w królestwie liliputów. Ton nawet jego mowy, jakkolwiek Jaś tak się starał zastosować do konwenansów, nie harmonizował z atmosferą lekką, pieszczoną, która panią Matyldę otaczała.

Wreszcie dzwonek rozległ się w przedpokoju; Jaś właśnie opowiadał o jakimś pogrzebie ministeryalnym; Matylda zaczęła się śmiać serdecznie i nagle rozbudziła się ze stanu moralnego odrętwienia, w który przy Jasiu była wpadła.

— Może ciasteczek? — rzekła z nagłą uprzejmością, siadając blisko Jasia.

Po chwili wszedł Zygmunt, piękny jak zawsze, jak zawsze z miną zwycięzcy, pewny siebie i drugich. Bo on prawdziwe dziecko świata, był tu na swoim miejscu. Patrząc na niego i na Jasia, zauważałem, że świat nie jest zawsze zgręcznym snycerzem, potrafi ulepić figurkę z wosku lub z gliny, ale z szlachetniejszego kruszcu, z marmuru lub bronzu, stworzy najczęściej nieudane dzieło.

Matylda mało zwróciła uwagi na Zygmunta, który przysiadł się do starej kuzynki i z wielką cierpliwością zaczął jej zwijać bawełnę. Prawda, że wkrótce zjawił się mąż zazdrosny i zdawało mi się, że na widok Zygmunta czoło jego niecier-

pliwie się zmarszczyło. Małżonkowie na chwilę znaleźli się sami w przyległym gabinecie, i mimowoli ukryty za portierą salonu, usłyszałem kilka słów zamienionych między nimi na przódce.

— Cóż oni tu znowu robią? — mówił mąż.

— Mój drogi — odpowiedziała żona — przecież o Jasia gniewać się nie będziesz, to taki zacny dobry chłopiec, nie wiem czemu przyprowadza z sobą tego Zygmunta, który na nerwy mi działa; nie cały wieczór nie mówi, tylko z Salomecią coś szeptają.

— Pójdiesz dziś do klubu? — dodała po chwili — ja może Jasia zatrzymam trochę dłużej, ale Zygmunta będę się starała pozbyć.

Nie słyszałem reszty, ale musiała pani Matylda użyć kilku jeszcze przekonywających argumentów, bo mąż wyszedł wypogodzony i rozweselony, i po krótkiej rozmowie pożegnał gości, aby swoim zwyczajem pójść do klubu.

Zygmunt tak był zajęty panną Salomeą, że zaledwie zauważył wyjście pana domu; a co do Jasia, to najzazdrośniejszy mąż mógł żonę z nim zostawić, jak pod skrzydłami anioła stróża. A przecież Jaś także się umizgał! tylko że mu nikt nie brał tego za złe. Po zniknięciu gospodarza odrazu zmieniły się pionki na szachownicy: pani Matylda zamañewrowała tak zręcznie, że mnie się panna Salomea dostała w udziale, Zygmunt przysiadł się do niej, a Jasiowi przypadło vis-a-vis lampy.

Stało się tak widocznem, żeśmy już niepotrzebni, że nasza rola z odejściem męża już skończona, że pierwszy wziąłem za kapelusz i mrugnąłem na Jasia, a panna Salomea złożyła robotę i wyszła równocześnie z nami, tylko innemi drzwiami.

Chwilę szliśmy w milczeniu; noc była piękna, gwiazdy błyszczały w całym blasku, księżyc oświecał wierzchołki domów, resztę zostawiając w tajemniczym cieniu.

— I kochasz się w niej bardzo? — zawołałem na skraj ulicy, zniecierpliwiony nad wszelki wyraz tem, co widziałem przed chwilą.

Jaś stanął zdziwiony moim atakiem, i widziałem, że cały

sztuczny jego humor znikł gdzieś odrazu; serce mu wezbrało dawnem uczuciem.

— Wiesz dobrze — rzekł cichym głosem — że tylko jedną kobietę kochałem w życiu, i gdyby... byłbym dziś może porządnym człowiekiem. Nie dziw się mnie, ale im więcej kochałem Rózię, tem więcej szukam kobiet, u których mógłbym o niej zapomnieć.

— I cóż, znalazłeś przynajmniej? — zapytałem z złe utajonem szyderstwem, za które mnie wnet potem sumienie zabolalo. — Nie, nie, mój Jasiu! niech ciebie ludzie lekceważą, oszukują i mają za nic, ja ciebie szanuję; urodziłeś się pod tą samą gwiazdą, co niegdyś błędny rycerz Cerwantesa, — i wśród tylu śmieszności, głupstw i miernostek zachowałeś przecież w piersi święty ogień miłości i zapomnienia o sobie.

Namyśliwszy się, postanowiłem po raz drugi wyrwać Jasia z przyjacielskiej łóżni i zawieźć do siebie; obowiązkiem moim było zwrócić krewnego i przyjaciela z tej drogi, na której go tylko czekała zguba majątkowa i moralny upadek. Sądziłem, że może jeszcze czas, aby się wyrwał z duszących objęć Alberta i zaczął życie niezależne. W wilią mego wyjazdu podsunąłem mu więc projekt, aby jechał ze mną. Gorący rumieniec oblał twarz Jasia.

— Chcesz?... jakto chcesz? — wyjąknął — a ona?

— Ona... gdyby nie Albert, byłaby dawno twoją żoną; teraz, nie chcę cię łudzić, daleko trudniejszym byłoby zdobyć jej serca, ale będziemy się starali. W każdym razie jadąc ze mną, uciekniesz z pod głupich wpływów, odświeżysz się powietrzem zdrowem, rodzinnem, i będziemy radzili o przyszłości, bo tak dalej rzeczy zostać nie mogą.

Nazajutrz raniutko Jaś przybiegł do mnie, ale nie był wybrany do podróży, był bardzo wzruszony.

— Wszystko się zmieniło — rzekł — nie możemy jechać dziś ani jutro, mam pojedynek.

— Z kim? jak? co? — zawołałem z największą niecierpliwością.

Jan usiadł na mojem łóżku i spokojniej mówił:

— Wczoraj w kasynie Juliusz krzywdząco odezwał się o pani Matyldzie i niemniej krzywdząco o Zygmunście. Nie będę ci szczegółów powtarzał, zanadto jeszcze jestem oburzo-

ny; nie mogłem zrobić inaczej. Przykro mi tylko, że to na Juliusza wypadło.

— A gdzież był Zygmunt, że nie mógł sam bronić swego honoru? — spytałem opryskliwie.

— Zygmunt — odparł Jaś — wyjechał na wieś, ale pewny jestem, że *sam*. Ona także wyjechała, odprowadzałem ją, honorem rękę, że *sama*.

— Ej Jasiu, Jasiu! co ci do głowy przychodzi — zawołałem — zkąd tobie bronić honoru kobiety, o której wszyscy źle mówią, a która ciebie nie obchodzić nie powinna; po co ci życie narażać za przyjaciela, który...

Jaś mi usta ręką zamknął.

— No — rzekłem — a nie ma możliwej zgody?

— Nie ma.

Proszony na sekundanta, ubrałem się prędko i pojechałem do kasyna, aby się dowiedzieć o całym zajściu; wrzało tam jak w ulu, każdy był innego zdania, a tylko na to godzili się wszyscy, że Jaś głupi, aby występować w takiej sprawie. Nie było możliwego pogodzenia, ani nadziei, żeby pojedynek skończył się na szampanie; Juliusz został ciężko obrażony przez Jasia, który w uniesieniu, ujmując się za honorem przyjaciela i Matyldy, nie żałował tonu i nie przebierał w słowach.

Juliusz odgrażał się, że tylko krwią zmazać może obrazę.

Z ciężkiem sercem pojechałem tedy wprost do niego z nadzieją, że przecież w imię przyjaźni potrafię go ułagodzić; Jaś świeżo oddał mu ważne przysługi, i to mi dodawało otuchy. Na moje pierwsze słowo o zgodzie, pargaminowa twarz wielkiego człowieka przeciągnęła się kwaśnym uśmiechem; odpowiedział mi mową bardzo kwiecistą, z pięknymi zwrotami, której już nie potrafię powtórzyć. Mimo pięknej sukienki, w którą Juliusz swoje uczucie ubierał, honoru, godności osobistej itd., treść mowy była jednak ta, że od niedawna należą do dobrego świata, niepewny swego gruntu, musiał postępować według utartych prawideł, aby się na zdobytem stanowisku utrzymać i na niem utwierdzić.

Nie pamiętał już, kto mu głównie do zdobycia tego stanowiska dopomógł; co on tam wiedział o przyjaźni! przyjaźń dla niego była tylko szczeblem do pięcia się wyżej; po

plecach przyjaciela wdrapał się na wysokość; teraz już mu drabina nie była potrzebna, odtrącał ją od siebie. Wyniosłem z rozmowy z Juliuszem przekonanie, że nawet rad był całemu zająsci; pewien rozgłos w kronice światowej potrzebny jest bowiem ludziom, przed którymi nie wszystkie jeszcze drzwi otwarte.

Pojedynek odbył się o kilka mil od miasta, w majątku jednego ze znajomych. Jaś za pierwszym wystrzałem przeciwnika został ugodzony w lewy bok. Zdaje mi się, że już na to był stworzony, aby wszystkie kule godziły w jego serce. Padając zbiczony we krwi, szepnął mi tylko: „Nie mów nic Zygmunтови.“

Rana była ciężka, ale do wyleczenia. Wstrzymałem mój wyjazd, póki by Jaś nie wyszedł z niebezpieczeństwa; dałem znać Albertowi, ale odpisała mi tylko pani Adela, że mąż jej wyjechał do miasta za pilnym interesem. Dowiedziałem się później, że Albert już się chwytał ostatnich środków; przyjechał do miasta tylko na trzy godziny, układać się z kilkoma głównymi wierzycielami o zwłokę; nie znalazł czasu na odwiedzenie brata. Za to żydzi trafiali do Jasia, jako do poręczyciela, ale ich do chorego nie wpuściłem.

W chorobie ludzie okazywali Jasiowi wiele przyjaźni, t. j. nie odstępowali łoża chorego, pili na jego zdrowie i powiększali jego gorączkę. Jednemu Zygmunтови oddać muszę tę sprawiedliwość, że się pokazał prawdziwym jego przyjacielem. Może, gdyby był w mieście w czasie całego zająscia, byłyby rzeczy inny wzięły obrót, ale on tymczasem używał kilka tygodni wilegiatury (mąż pani Matyldy był w Karlsbadzie) — i w kalendarzu miłości Zygmunta ten cały czasznaczony był różowym ołówkiem; zapomnieli o świecie całym.

Pierwszy raz, gdy Zygmunt spojrzał na bladą twarz Jasia, łązy mu stanęły w oczach, w milczeniu ścisnął rękę przyjaciela i nie odstępował go już przez czas całej choroby, pielęgnował go jak najczulsza matka. Gdy więc już z Jasiem było lepiej, mogłem odjechać spokojny, że jest pod dobrą opieką; prosiłem go tylko, aby na cały czas rekonwalescencji do nas przyjechał i poleciłem go staraniom Zygmunta.

VII.

Przez kilka tygodni czekaliśmy niecierpliwie przyjazdu rekonwalescenta; widziałem z radością, że Różia gorliwie przygotowywała się do przyjęcia chorego, jakby wiedziona wyrzutami sumienia. Wybrała najwygodniejszy pokój gościnny, kazała zawiesić firanki, ubrała pokój kwiatami, przyniosła tam wszystko, co tylko mogło rozweselić oko.

Porównanie między przyjazdem Jasia teraźniejszym a przed laty, nastroczało dość melancholijne myśli; wówczas przyjeżdżał jeszcze w pełni powodzenia, zdrowia, pierwszej młodości, z świetną przyszłością majątkową przed sobą; a teraz, starszy nie tyle wiekiem co doświadczeniem, złamany chorobą, zagrożony stratami majątkowymi. Miałem czas rozmyślać nad nieszczęściami Jasia, gubiłem się w myślach, jakby go wyratować, wycofać z nieszczęsnej wspólności interesów z Albertem; sądziłem, że jest jeszcze droga wyjścia. Nie znałem jeszcze wówczas całego stanu rzeczy; Albert tak umiał zręcznie kierować tonącą swą nawę, że wówczas, gdy położenie było najrozpaczliwsze, zaczęli ludzie podziwiać jego spryt i zaręczać, że z pewnością z ciężkiego położenia wyjdzie. Chcąc więc Jasia wyswobodzić zupełnie z pod wpływu brata, myślałem bardziej jeszcze o moralnej jego stronie niż o majątku; sądziłem bowiem, że gdy raz mężem Rózi zostanie i moim szwagrem, we dwóch damy przecież radę Albertowi.

Jaś przyjechał wieczorem, i dopiero po pierwszych przywitaniach spostrześliśmy, że ktoś stał za nim.

— Mój najlepszy przyjaciel! — rzekł Jan, przedstawiając go mojej siostrze — ten, co mnie tak pielęgnował w chorobie, nie chciałem go puścić od siebie.

Nie wiem, kto był bardziej zmięszany, Jan, Różia, czy Zygmunt, który widocznie uderzony był pięknością Rózi; ona podała mu rękę, nie patrząc na niego.

— Dziękujemy panu za staranie o Jasia... dziękujemy serdecznie — i na więcej się nie zdobyła.

I Zygmunt pierwszy raz może w życiu nie wiedział co powiedzieć.

Nazajutrz, wróciwszy z gospodarstwa, zastałem moich państwa młodych razem: Jan siedział obok Rózi i trzymał koszyk, w którym ona układała kwiaty świeżo widać przez obojga zerwane i rozsypane koło nich. Ten jeden dzień więcej zrobił dla zdrowia Jasia, niż parę miesięcy doktorskiej kuracyi; w obecności kobiety, którą kochał nad życie, zapomniał o wszystkim.

Rózia wybiegła na chwilę.

— No. jakże tam? — spytałem Jasia, który oparty o poręcz jej krzesła, zakrył twarz w dłonie.

— Odzwyczałem się od szczęścia — rzekł — nie śmiem wierzyć. Józiu, Józiu! to być nie może, ale jeżeli to sen, że ona mnie zaczyna kochać, jeden z wielu snów, które w życiu prześniłem, to mnie nie budź; zostawcie mnie czas jakiś przy sobie; być między wami, patrzeć się na nią, słuchać jej, to mi wystarcza!

— Uważaj tylko na nią — dodał — dziwna jakaś zmiana w niej zaszła, odkąd jej nie widziałem, ona zaczyna kochać.

Ruszyłem niedowierzająco ramionami.

— Bądź pewny — zawołał gorąco — nie mogę, nie śmiem wierzyć, abym ja się do tego przyczynił, ale w jej sercu stanowcza zaszła zmiana.

Twierdzenie Jasia miało wszelkie prawdopodobieństwo za sobą; mogło się w Rózi serce obudzić na widok Jasia, takim jakim był teraz, na myśl niebezpieczeństw, które przeszedł, przez współczucie słabości, które niedawno pokazane męstwo podnosiło i idealizowało.

Choroba Jana, pojedynek, były najulubieńszym tematem rozmów Rózi; nigdy nie miała dość szczegółów; słuchała z bijącym sercem, w wymownych oczach malowało się wzruszenie, Jan jednak nie lubił mówić o dziejach, w których sam był bohaterem; w opowiadaniu jego własna jego osoba zostawała w cieniu, a Zygmunt występował w świetle, opromieniony blaskiem przyjaźni najtkliwszej. Spostrzegłem ze zdziwieniem, że znowu poświęcenie Jasia poszło w zupełne zapomnienie, z powieści jego zdawałoby się, że niewielką miał zasługę, stawiając życie na szali za honor przyjaciela, a że Zygmunt pielęgnując go w chorobie, poświęcał się prawdziwie.

— Tak — mówiła raz Rózia, gdy jak zwykle rozmawiali o Zygmuncie — on musi być dobry, musisz go bardzo, bardzo... i po lekkim wahaniu dodała — kochać?

— Kocham go całym sercem!

— Jak to musi być pięknie — mówiła w zamyśleniu — kochać całym sercem. — Mimowolnym ruchem rączkę przyłożyła do serca, do tej skarbnicy, mieszczącej najczystsze perły dziewiczych uczuć.

— Jasiu! — znowu spytała — zapomniałam, jak twemu przyjacielowi na imię?

— Zapomniałaś? ciągle ci o nim mówię.

— Zapomniałam! — z figlarnym odpowie uśmiechem.

— Zygmunt przecież!

— A prawda, Zygmunt, Zygmunt! — Przeszła się kilka razy po pokoju, stanęła przed fortepianem; po kilku akordach zaczęła śpiewać.

Zrozumiałem zachwyt, z jakim Jan patrzył na tę śliczną dziewczynę, którą miłość opromieniała teraz całym swym blaskiem.

Właśnie Zygmunt wszedł do pokoju, wracał z polowania, złożył cicho broń i przybory i stanął na progu; zamienili z Rózią jedno spojrzenie. Dość miałem na tem, już wiedziałem, dla kogo serce Rózi, uwolnione z dziecinnych więzów, wyrwało się jak kwiat do słońca.

Zygmunt przecież musiał coś wiedzieć o miłości Jasia; widziałem, że walczył przez jakiś czas z swoim uczuciem, które teraz podwójną było zdradą: unikał Rózi, chciał wyjechać, lecz został na usilne prośby Jasia; może i Rózia wtajemniczona teraz we wszystkie nieszczęścia i niepowodzenia Jasia, marzyła czas jakiś o tem, że się dla niego poświęci; Zygmunt brał na siebie obowiązek święty odwzięczenia się przyjacielowi. Obowiązek może nie dość ściśle określony w katechizmie konieczności moralnych, i zakochani im bardziej lgnęli do siebie, tem bardziej przychodzili do przekoannia, że znowu nie mieli tak wielkich obowiązków dla Jasia.

Może gdyby był n. p. zrzucił się z trzeciego piętra i zламаł nogę, gdyby był w pojedynku stracił oko lub rękę — mieliby jakiś znak widomy jego miłości i poświęcenia: ale z miłości

dla Rózi rzucił się w życie wręcz przeciwne jego usposobieniu, poniżył się, narażał na śmieszności, stał się tylko kaleką moralnym; dla Zygmunta naraził życie; ale go przecie nie stracił. Żył wreszcie, i był zdrow; nikt ran wewnętrznych nie widział które mu serce krwawiły.

Rekonwalescencya Jasia szła teraz bardzo powoli — siedział raz ze mną przy otwartym oknie swego pokoju, które wychodziło na ogród. Nie mówiliśmy, bo też nie było o czem mówić. Jan miał oczy zwrócone na jeden punkt stały który widać zwracał całą jego uwagę. Stara lipa na końcu ogrodu o tej porze jesiennej była na pół ogołocona z liści, i już nie zasłaniała Zygmunta i Rózi, którzy pod nią usiedli, i rozmawiali żywo.

— Piękny — piękny był dzień! mówił Jan powoli schylając głowę; ale już słońce zachodzi. I dodał spokojnym na pozór głosem: Zygmunt teraz oświadcza się o nią, prosiłem go sam o to.

— Cóżś zrobił? zawołałem gwałtownie.

— Chłopiec bardzo majątny, powszechnie lubiony — porządny człowiek — mówił Jan, i przecież raz gorzki uśmiech zjawił się na jego ustach. Ta niepewność mnie zabijała — teraz będę spokojniejszy! Drgnął jakby żądłem dotknięty, słońce przedarło się ostatnimi promieniami w głąb drzew, dostrzegliśmy Zygmunta — u nóg Rózi. Mimo całego hartu duszy Jaś zbladł, i za serce się uchwycił — ręka przyjaciela po raz drugi zadawała mu cios morderczy.

W usposobieniu, w jakim teraz był Jan, przyjął dość obojętnie nagłą i niespodzianą wiadomość, która nas w kilka dni później doszła. Gmach, który się chwiało od lat kilku, runął nareszcie, Albert nie mając już z nikąd ratunku, uciekł za granicę przed dłużnikami; mówiono że w pierwszej chwili chciał sobie życie odebrać, ale miłość życia przemogła. — Żona jego dawno przewidując burzę schroniła się była z dziećmi kilka miesięcy temu pod dach rodziców. Ruina brata pociągała za sobą zupełną ruinę Jasia; przyjął obojętnie ten cios straszny, i tej samej nocy w której wiadomość nas do-

szła, wyjechał do Kosowa, aby wedle możliwości uratować co by się dało w ogólnym potopie.

Parę tygodni po ślubie Rózi, nie mogąc znieść pustek w domu, a mając ciągle na myśli biednego Jasia, podążyłem za nim do Kosowa. — Zastałem tam najzupełniejszy bezrząd jaki sobie tylko wyobrazić można. Natychmiast, skoro się tylko rozeszła wieść o ucieczce Alberta, dłużnicy więksi i mniejsi zlecieli się jak kruki, ci co mieli dobre numera hypoteki byli spokojniejsi i z dumą patrzyli na tych co stali na ostatnich numerach, lub mieli tylko kwity i weksle. Rozpacz i niepokój tych ostatnich opisać się nie da, sami sobie robiąc sprawiedliwość, zrabowali widać tymczasem co się dało, zanim się można było obejrzeć; wozownie zostały opróżnione z kosztownych powozów, wyprowadzono co lepsze konie, pozdzierano obrazy ze ścian, z salonów znikły kosztowniejsze sprzęty... Na podwórzu kręcili się obcy ludzie, rozlegał się krzyk, wrzask, szwargot, jak w sądny dzień. Nie odrazu udało mi się znaleźć kwaterę Jasia; przyjął mnie na ganku pan Mejsels główny wierzyciel Alberta, i widocznie mający się już za właściciela Kosowa. Zajmował najlepszy pokój w całym pałacu i nosił się już z rozmaitemi projektami zmian i reform domowych; między innemi sala przybudowana przez Alberta w stylu maurytańskim, miała być obrócona na bóżnicę. Jasia zastałem otoczonego żydostwem, nie mógł w zupełności sprostać wszystkim trudnościom które go nagle nawiedziły — stan, w którym Albert zostawił interesa, był rzeczywiście opłakany, pokazało się że w ostatnich czasach nawet posag pani Adeli poszedł w otchłań; Albert w ten lub w ów sposób potrafił ją nakłonić do pożyczania całej sumy na dobra Kosowskie. Jedynym celem, jaki więc Jan sobie założył, było wyratowanie tej sumy posagowej, pozawierał z wierzycielami układy, z których wiele było nie korzystnych a najniekorzystniejszych dla niego. Pojąć nie mogliśmy, gdzie się podział ten milionowy majątek, na co właściwie Albert mógł wszystko przetrwonić, bo długów osobistych Jasia było bardzo mało. Pycha, nierząd, popchnęły widać Alberta w przepaść bez wyjścia. — Ofiarowałem się Jasiowi pomagać mu, o ile mi tylko sił starczyło, i długi czas zszedł nam wśród ciągłego mokołu. Kosowo zostało przy panu Mejselsie — udało nam się tylko ocalić część sumy posagowej pani Adeli, a Jasiowi

zostało z ogromnej fortuny kilkanaście tysięcy złotych. Pomimo to nie pamiętam aby mu się kiedy wyrwało słowo potępienia lub skargi na brata; doniósł Albertowi o skutku połączonych naszych zabiegów, i o swoim zamiarze wzięcia dzierżawy lub szukania miejsca na rządzącę, ale bez słowa wymówki albo żalu.

Odpowiedź Alberta na list brata poruszyła Jana do głębi serca; była tak wdzięczna, serdeczna, czuła, nawet pokorna że i ja zacząłem wierzyć w jego skruchę: musiał wreszcie wejść sam w siebie i pożałować, że tak zmarnował życie brata. Albert żalił się bardzo na opuszczenie i samotność i list jego stał się przyczyną do nagłej zmiany w projektach Jana. Oświadczył mi dnia jednego, że chce pojechać do Alberta; i nie było sposobu odwieść go od tej myśli; napróżno dowodziłem mu że na taką przejażdżkę w teraźniejszych ciężkich okolicznościach w jakich się znajdował, szkoda wydatku; Jan na wszystkie moje uwagi miał gotową odpowiedź, przedewszystkiem tę, że pragnie uściskać brata, pokazać że mu przebaczył....

Wyjechał więc i w krótkce doniósł mi, że Albert zdrow, znalazł miejsce przy domu komisowym w Frankfurcie — i że lepsza przyszłość zdaje mu się uśmiechać. Albert umieścił był jego kapitałik, resztkę jego fortuny, w akcyach na mające się budować koleje na Wschodzie, i zaręczył Janowi że spekulacya obiecywała być bardzo korzystną... Jaś na to zaręczenie spuścił się z całym spokojem niewinnego sumienia.

Niestety, tu był klucz do odgadnięcia tajemnicy, jaką była pokuta Alberta, bo wkrótce dowiedziałem się że zaczął grać na giełdzie.

VIII.

Na bardzo długi czas straciłem Jasia z oczów. Okoliczności jakie wówczas zaszły w mem życiu, oddaliły mnie od miejsc rodzinnych; ożeniwszy się, przeniósłem się do innej części Polski, i tam dziesięć lat mieszkalem bez żadnej o nim wiadomości. Nie ma większych samolubów jak szczęśliwi! Jaś z początku często do mnie pisywał, ale w miodowych mie-

siącach nie miałem czasu na korespondencye, i listy Jasia stały się rzadsze, aż wreszcie zamilkł zupełnie.

A jednak pamięć zacnego chłopca żyła jeszcze w mem sercu: w miarę jak mijała młodość, a doświadczenie otwierało mi oczy na życie i ludzi, nabierałem coraz większego szacunku dla niego. Dziś coraz ciśnieć na świecie, każdy chce się utrzymać na stanowisku, na które się najbliżsi jemu wdzierają, człowiek zbroi się przeciw człowiekowi, walcząc bronią rozumu, majątku, szczęścia, bezczelności czasem... tem dziwniejsze było dla mnie wspomnienie człowieka, który w zapasy z życiem szedł bezbronny jak dwuletnie dziecko, z sercem czystym jak kryształ, nie tylko nie czyhając na cudze dobro, ale ustępując każdemu, kto sięgnął po jego własność. Po tylu latach nieobecności, wracałem wreszcie w rodzinne strony i wprost udałem się do Lwowa; tam mnie ciągnęło serce, wspomnienia młodzieńcze, chęć odnalezienia przyjaciół, i odnowienia dawno zapomnianych stosunków.

A przedewszystkiem tęskno mi się zrobiło za pocziwą twarzą Jasia, chciałem go koniecznie odnaleźć, dowiedzieć się przynajmniej co się z nim stało. Poszedłem do kasyna, gdzie na moje pytanie o Jasia ruszono ramionami jak gdyby mowa była o żelaznym wilku; widocznie Jan nie odzyskał już majątku i świat przeszedł nad nim do porządku dziennego. O nim nikt już nie mówił, ale za to usta wszystkich pełne były nazwiska jego brata, który znowu na wierzch wypłynął, miał znowu znaczny majątek, wrócił do kraju, i stał na czele niedawno utworzonego banku. Podobno z początku mówiono o nim jako o spekulancie, który nie zupełnie uczciwymi sposobami dochodził do celu, ale dziś gdy mu się już stale wieść zaczęło, mówiono już tylko o jego rzadkich zdolnościach. Dowiedziałem się o jego adresie, poszedłem pewny że się czegoś o Jasiu dowiem; strach mnie ogarnął czy biedny chłopiec żyje jeszcze. Dom Alberta urządzony był na wielką stopę, szklane drzwi prowadziły do szerokich schodów wysłanych dywanem, w przedpokoju kamerdyner stał na rozkazy gościa i wprowadził mnie do wykwintnie urządzonego gabinetu. Długi czas w którym go nie widziałem nie zostawił na nim żadnego śladu, prócz tego że zatarł na jego twarzy wszystko co niegdyś ją odznaczało. Miałem przed sobą uśmiechniętą maskę. Albert przy-

jął mnie bardzo uprzejmie, zdziwiłem się że od dziesięciu lat nie stracił mnie był z oka, wiedział z kim się ożeniłem, z bratem mej żony, hrabią Z. był w zażyłych stosunkach.. A Jaś? spytałem ciekawie, korzystając z chwili przerwy w rozmowie. Albert ruszył ramionami, i częstując mnie uprzejmie hawańskim wybornem cygarem rzekł: „Niewiem prawdziwie gdzie w tej chwili się znajduje; biedny chłopiec nie dobrą poszedł drogą — stracił majątek — ha! nie chciał mnie słuchać — nie moja wina.... I puścił w górę słup dymu który mi zakrył wyraz jego twarzy. Zawsze był niepraktyczny — dał obojętnie.

Przypomniała mi się ostatnia lokacya kapitału Jasia — widocznie ta zyskowna spekulacya nie poszła mu na korzyść, a kto wie? może była pierwszym kamieniem węgielnym powodzenia brata. Albert nie chciał mnie puścić przed obiadem. Przy stole siedziała pani Adela wyświeżona i odmłodziła. uprzejmie robiąc honory domu; ale mimo dobrego jej humoru, mimo wykwintnych win i potraw, obiad nie chciał mi jakoś przejść przez gardło, miałem przykre uczucie że kto inny niż częstujący za niego zapłacił. Wiedziałem że kilkoro dzieci umarło Albertom; został tylko syn pierworodny, o którego spytałem Alberta. — Musi już być spory chłopak! rzekłem, czy w szkołach? Żałowałem zapytania, bo przykry wyraz bólesci i zakłopotania zjawił się na twarzach rodziców. To on, rzekł Albert patrząc w inną stronę, bo w tej chwili drzwi się otworzyły i na wózku przywieziono dziecko już wyrastające z dzieciństwa, a którego twarz żadnego uczucia ani myśli nie wyrażała. Nie mówi, nie chodzi... szepnęła matka, cośmy się już radzili doktorów, na próżno! Głuche zapanowało milczenie przerwane tylko okrzykiem chłopca na widok ciastek i owoców. Nie chciałem przedłużać przykrej sceny — pożegnałem wkrótce nieszcześliwych, i wyszedłem zamyślony.

Przez kilka dni mej bytności w mieście odszukałem kilku kolegów: wszystkim dobrze się powodziło, szczególnie Juliuszowi, o czem mówiły porozlepiane po rogach ulic afisze do wyborców, i nazwisko jego, czerniące się z daleka. Dowiedziałem się że dziś należał do ludzi powszechnie szanowanych z uczoności i rozumu, był wszędzie przyjmowany, i u szczytu powodzenia politycznego. Na cześć jego przygotowywała mło-

dzień tego samego wieczora pochód tryumfalny z pochodniami. Poszedłem do wielkiego człowieka — myślałem że może u niego dowiem się co o Jasiu, wspólnym naszym niegdyś przyjacielu. Musiałam kilka chwil czekać na Juliusza, wyszedł do mnie nie ubrany jeszcze, po prostu z łóżka, choć było po południu. Był to już młody starzec, twarz jego była żółkła i wychudła, wyłysiał zupełnie, a ruch ustawiczny oka i ust świadczył o ciągłym naprężeniu nerwów. Zacząłem mu winszować powodzenia, na co mi odpowiedział uśmiechem pełnym godności i samouznania; rozmawiał kilka chwil o polityce wewnętrznej, przerywając często ziewaniem, gdyż jak mi mówił, od kilku lat cierpiał na ciągłą bezsenność. — Mimochodem spytałem go się o Jasia, ale nazwiska jego nie mógł sobie od razu przypomnieć, a gdy spostrzegł pewne zdziwienie na mej twarzy, rzekł spokojnie: Trudno pamiętać wszystkich kolegów, kochany panie — daleko jesteśmy od tych czasów.

Henryka spotkałem na ulicy; szedłem piechotą, on jechał breakiem księcia W. zaprzężonym w cztery konie. Zeskoczył poznawszy mnie od razu, przywitał mnie serdecznie i z nogą na stopniu pojazdu zaprosił mnie na śniadanie, na które poszedłem, choć znając zwyczaj Henryka, wiedziałem że za niego zapłacę. Przy ostatnim kieliszku spytałem go się o Jana. — Henryk tylko się roześmiał, i ręką zakreslił krzyż w powietrzu jak nad nieboszczykiem. Znikł zupełnie z horyzontu! rzekł, żebyś mnie zabił, nie wiem dobrze jak wygląda! Tym razem cierpliwości mi zabrakło, oburzony chciałem go się zapytać czy nie pamięta od kogo ma zegarek, który dotąd nosił na sobie, czy już nie wie z czyjej kieszeni żył przez dwa lata, ale wolałem zamilczeć, wyszedłem tylko zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Korzystając z pierwszej chwili wolnej pojechałem do mojej siostry; zastałem ich w pełni sielankowości, mieli śliczny dworek wynajęty za miastem, otoczony kwiatami, prawdziwe gniazdko miłości. Czas uszanował piękność obojga, Zygmunt był zawsze tym samym don Żuanem któremu trudno było się oprzeć. Róży piękność rozkwitła zupełnie przez te kilka lat szczęśliwego pożycia, którego żadne cierpienie nie zakłóciło; jedyną troską były chyba częste wyjazdy Zygmunta... Wtedy zakochana chodziła od okna do okna, nad-

słuchiwała każdego turkotu, pytała. „Gdzie on też mógł pojechać? Raz, w wylaniu serca, dodała załamując ręce: Gdyby on był mniej piękny!...

Zdawało mi się że przynajmniej tu wspomnienie Jasia nie zatarło się zupełnie: przedstawiono mi sześciolatniego malca któremu na imię było Jaś, i którego on trzymał do chrztu. Ale wspomnienie biedaka żyło w tej szczęśliwej rodzinie już tylko jako cień przeszłości. Gdzieś w gościnnym pokoju wisiał wybladły jego dagerotyp.

Ostatni wieczór we Lwowie przepędziłem u pani Matyldy. Przepływała wówczas czterdziestkę — i była jeszcze zachwycającą. Zastałem w salonie młodego artystę, który zdaje mi się przyczynił się do tego, że mnie ta piękna kobieta przywitała bez cienia żalu jako dawnego znajomego. Wszakże widocznie berło jeszcze nie wypadło jej z rąk, jeszcze rządziła ludźmi; o przeszłości mogliśmy mówić bez zakłopotania; bo młodość kobiety dopiero wraz z jej wielbicielami się kończy. Gdy wśród innych dawnych przyjaciół o których mówiliśmy, wspomniałem o Jasiu, przypomniała go sobie po chwilowym wysiłku pamięci i zaczęła śmiać się serdecznie. Mówże mi Pan co o nim! zawołała śmiejąc się ciągle — czy go pamiętam? a któżby go nie pamiętał! taki pocziwy, a taki głupi!

Serce mi się ścisnęło. Z tego wszystkiego przekonywałem się, że Jaś choć żył jeszcze, do koła żyjących nie należał. Świat któremu służył, pogrzebał go, a piękne rączki kobiet, które niegdyś uwielbiał i kochał całym ogniem swej młodocianej duszy, wyryły jego napis grobowy: „pocziwy a głupi!“

Nie mogłem więc dowiedzieć się o losie Jana, o miejscu jego teraźniejszego pobytu, i dopiero później przypadek naprowadził mnie na ślad jego zatarty.

Pan Mejzels przyjechał raz do mnie, już nie po interesie, ale jako właściciel Kosowa, jak sąsiad do sąsiada.

On jeden Jasia pamiętał, bo mu był przed kilku laty pożyczył nieznaczną sumkę, z której się tenże powoli wypłacał. Objaśniał mi, że Jaś mieszkał w jakiejś lichej mieścinie jako pisarz przy sądzie, miał pokój w kamienicy pana Mejzelsa, a i na cenie lokalu chciał zdaje się żyd odbijać nie-regularnie płacone procenta.

Natychmiast pojechałem do dawno niewidzianego. Zjechałem późno do miasteczka, słońce miało się już ku zachodowi, dzień jesienny, pogodny, usposabiał jakoś do smutku. Wskazano mi domek na uboczu, na wpół w ziemię zapadnięty. Ciasna uliczka, źle obrukowana, prowadziła do niego; ale, jakby na pociechę smutnego samotnika, który tam osiadł, rozciągał się z drugiej strony piękny widok. Szeroka łąka bujnie zarosła trawą i kwieciami, i smugą mgły przystrojona, pola, dalekielec drzew, przez które w tej chwili jechały wozy naładowane zbożem i podróżni przechodzili z wesołą pieśnią na ustach. Serce mi biło gdym zapukał do drzwi Jasia, żaden głos z wewnątrz nie odpowiedział, uchyliłem wolno drzwi. Mój biedny Don Kiszot był widać chory, leżał na dość nędznym tapczanie, i spał. W pokoiku tak było cicho, że słysząc było brzęk komara, który z łąki wleciał do pokoju; czarny pies leżał przy łóżku chorego, i pilnował widać snu jego, bo na mój widok podniósł się i warknął, ale cicho, aby pana nie obudzić, a oczy jego śledzące mnie niespokojnie widocznie nakazywały mi milczenie. Usiadłem cicho, i rzutem oka objąłem śpiącego; czoło jego było pogodne, choć mgłą smutku powleczone. Spał snem, który nazywają powszechnie snem spokojnego sumienia. Było coś dziwnie imponującego w tej ciszy i samotności, w nędzy ubogiej izdebki, i w tym śnie dziecinny, spokojny pod strażą czujnego psa. Boże! pomyślałem! może jest wyższa sprawiedliwość, której ty jeden znasz ostatnie słowo; mimo powodzeń, szczęścia, blasku, nie wynalazł jeszcze świat nagrody równo ważącej temu, co Bóg wlał w piersi najniższego z biednych, spokój sumienia... Jedyna to wyższość, jedyna przegroda moralna między cnotliwym a zbrodniarzem. Na jedną szalę rzucił zły duch wszystko co zwiemy szczęściem, chwałą, bogactwem, złotem i powodzeniem wszelkie, na drugą Bóg rzucił tylko spokój sumienia, i to jedno przeważało na korzyść szczęścia.

Jaś przeciągnął się na łóżku, otworzył oczy — spostrzegł mnie i poznał od razu, rzuciłem mu się na szyję i przycisnąłem do serca. Mówiliśmy dużo, o wszystkim, o wszystkich; ze zbolałem sercem spostrzegłem, że on jeden zachował cześć dla przeszłości. Nad łóżkiem jego wisiały religijnie zachowane fotografie brata i całej jego rodziny; poznałem fotografie, mi-

niatury, portreciki wszystkich przyjaciół, wszystkich miłości których to serce kochające nigdy dość mieć nie mogło. Zaszyszonych kilka kwiatków i różowa wybladła wstążka wisiały na miniaturze Rózi. Chory samotnik przeniknął może myśl moję, bo westchnął i prędko spuścił oczy. „To mój wierny przyjaciel! rzekł z łagodnym uśmiechem, wskazując psa który mu rękę lizał — i ostatni!

DO CHARAKTERYSTYKI PSA.

Do JW. Hrabiny H. R.

Laskawa Pani!

Toczyła się często między nami, jako lubownikami psa, rozmowa o własnościach, zaletach, uczuciach i dowodach przywiązania pocziwego tego zwierzęcia. Zbieraliśmy i udzielali sobie nawzajem różne o psach historie, podnoszące zawsze nasz wspólny dla nich podziw i sympatyę.

Razu jednego powiedziałem Pani, że od dawna mam chęć spisania tego wszystkiego, cośmy w tym przedmiocie mówili, razem z wnioskami, domysłami i przypuszczeniami naszemi. Gorąco przez Panią zachęcony dodałem na pół żartem: Napiszę, jeżeli Pani pozwolisz pismo to sobie poświęcić. Żart był wzięty na seryo, i kazałaś pisać pod warunkiem, że rozprawka Tobie poświęconą będzie.

Pisałem więc uważając Panią jako współpracowniczkę tego pisemka i składam je u stóp Pani; nie ośmielałem się jednak zbyt skromnej pracy ozdobić dedykacją Pani, ale oddaję Ci ją, abyś nią rozporządziła według woli i chęci. Może oddasz do druku, może ją zamkniesz do biórka, ale jestem pewny, że jej nie zniszczysz, bo zajmuje się miłym dla Ciebie przedmiotem, przypomina swobodne rozmowy swobodniejszych czasów; niech będzie oraz dowodem mojej pamięci i szczerej, niezmiennej przyjaźni.

Wiesbaden 15 grudnia 1877.

H. Wodzicki.

Do Szanownej Redakcyi Przeglądu Polskiego w Krakowie.

Z listu tu przyłączonego przekona się Szanowna Redakcyja, że mam prawo rozporządzać rękopisem, który przesyłam z prośbą o umieszczenie go w *Przegądzie Polskim*. Autor znany zresztą Szanownej Redakcyi z artykułów poważniejszej treści, mnie pozostawił ocenienie, czy pismo to zasługuje na miejsce pomiędzy pracami, któremi się zwykle odznaczają zeszyty *Przeglądu*. Moja kobieca logika nie pozostawia mi żadnej pod tym względem wątpliwości, bo każde pocziwe uczucie, choćby w świecie zwierzęcym objawiające się, miłe sprawia wrażenie, a sądzę, że nie jedna z czytelniczek *Przeglądu* wdzięczną mi będzie za przyjemność przeczytania tych kilku kartek, których autor przypisuje mi uprzejmie współpracownictwo.

Łączę wyraz wysokiego poważania

H. Rostworowska.

Rybna 19 grudnia 1877.

Lubo nie piszę historyi naturalnej psa, nie mogę sobie jednak odmówić przytoczenia jako wstępu kilku pięknych ustępów z Buffona (Hist. nat.).

Nikt lepiej od niego nie nacechował charakteru i zdolności psa oraz ważności usług, jakie człowiekowi oddaje.

„Oprócz piękności kształtu, szybkości, siły i lekkości, „pies ma wszystkie zalety wewnętrzne, które mu zjednać musiały względy człowieka. Natura gorąca, gwałtowna, nawet „okrutna i krwiożercza czyni psa dzikiego niebezpiecznym dla „wszystkich zwierząt.

„Natura ta w psie domowym zamienia się w uczucie „najsłodsze, w przywiązanie i przyjemność podobania się. Bez „światła rozumu, jak człowiek, ma on całą gorącość uczucia, „a ma więcej od człowieka wierności i stałości w przywiązaniu. „Czyż człowiek bez pomocy psa byłby był mógł zwyciężyć, za- „panować i zamienić w niewolników inne zwierzęta? Czyżby „dziś jeszcze mógł nowe kraje odkrywać, polować i niszczyć dzi- „kie i szkodliwe zwierzęta. Żeby znaleźć bezpieczeństwo i zostać „panem żyjącego świata, trzeba było zacząć od znalezienia so- „bie sprzymierzeńca między zwierzętami, któryby był zdolny być „posłusznym, przywiązanym i użytym przeciw innym zwierzę- „tom. Pierwszą więc sztuką człowieka było wychowanie psa; „owocem tej sztuki zdobycie i spokojne posiadanie ziemi.“

Uzbierałem wiele zadziwiających a prawdziwych historyj o psach, dowodzących jego przywiązania do człowieka, jego inteligencji, instynktów i doskonałości zmysłów. Są atoli i fakta stwierdzające niewątpliwie, że objawia się u psów jakiś nieodgadniony stan jasnowidzenia, którego w żadnem innem nie widzimy stworzeniu. Od tego więc jako od najdziwniejszego i najwięcej zajmującego zaczął opowiadania moje.

Rzecz dziwna, że Buffon o wszystkich zaletach, zmysłach i instynktach psów pisząc, podnosząc szczególnie zdolność przywiązania się, nie wzmiankuje nawet o tej nieodgadnionej zdolności widzenia czy przeczuwania, które zawsze z tego przywiązania pochodzi, w niem ma swoją pobudkę i w niem się potęguje. Że te objawy znane jednak być musiały od dawna, nie wątpię, mimo teoryj nowoczesnych o przekształceniu się zwierząt, przez co jak wiadomo z małpy wykształca się człowiek. Twierdzić można stanowczo, że zwierzęta w ogóle nie doskonalą się co do inteligencji; człowiek tylko może wynajdować nowe sposoby użytkowania tej inteligencji, ale ta jest u zwierząt od początku świata zawsze ta sama; może także człowiek udoskonalić rasy zwierząt, to jest wydoskonalić ich niektóre zalety, ale to niewątpliwie na rozwinięcie ich przyrodzonych zdolności nie wpływa; przeciwnie ośmieliłbym się twierdzić, że udoskonalenie zwierzęcia pod względem zalet ciała zmniejsza te instynkta, które mu natura dała; staje ono się więcej narzędziem człowieka, a mniej jest tem, czem je natura stworzyła.

Znaną jest rzeczą, że człowiek do nadzwyczajnego stopnia rozwija u zwierząt zdolności, które mu są do pewnych celów potrzebne. Jak w rasach wszystkich zwierząt tak i w psach przez rozumne hodowanie doszli Anglicy do nadzwyczajnego wydoskonalenia pewnych ich zalet; czy to szybkości, czy siły, czy wytrwałości, czy, myśliwskim mówiąc językiem, wiatru to jest powonienia. Różni znowu ludzie rozwijali zdolności psa w kierunku posłuszeństwa i w rozumieniu znaków i do zadziwiających dochodzili rezultatów; to są psy uczone (*les chiens savants*), temi się wcale zajmować nie będę. Jeżeli o nich wspominam, to jedynie aby wyciągnąć to ogólne spostrzeżenie na długiej obserwacyi oparte, że nie uszlachetnienie rasy, ani wpływ człowieka na psa wydoskonalają w nim ten nad-

zwyczajny zmysł, który w wyjątkowych okolicznościach się okazuje i o którym przedewszystkiem pomówię.

Dla udowodnienia tego, że u psa jest zmysł widzenia i wiedzenia, bez pomocy zmysłów, tego co się w znacznej odległości dzieje, spiszę naprzód kilka faktów pewnych.

Pan M., mój znajomy, zesłaniec do Tobolska, spotkał się z rodziną polską od kilku lat tam przebywającą. Sam pan B., za którym żona z dziećmi przyjechała, był namiętnym myśliwym, wyjeżdżał w odległe strony i bawił niekiedy czas długi bez żadnej z rodziną swoją komunikacyi; nie wiadano oczywiście nigdy kiedy wróci; nieobecność jego trwała czasem dni kilka, czasem kilkanaście.

Pan M. robił często dalekie za miasto wycieczki. Razu jednego uszedłszy mniej więcej milę, znalazł się niedaleko mostku rzuconego na rzeczce, i ze zdziwieniem ujrzał na mostku siedzącego i ciągle w jedną stronę patrzącego dobrze znanego psa rodziny B. Pan M. przystąpił do psa, który go poznał i znakami przyjaźni przyjął. Pan M. sądząc, że pies się zbłąkał, że może drogi do domu odnaleźć nie może, chciał go z sobą do miasta zabrać. Wszystkie namowy, zachęty, wołania i karesy były bezskuteczne; po kilku krokach za panem M. zrobionych, niby w dowód wdzięczności za okazaną mu przychylność, pies wracał na most i siadał z widocznem postanowieniem nieopuszczania obranego posterunku. Zaciekawiony do wysokiego stopnia pan M. wracając do miasta, wstępuje do rodziny B. i opowiada dziwne swoje spotkanie; na to powstaje radośny okrzyk rodziny: „Mąż powraca dzisiaj, ojciec powraca“; dowiaduje się nareszcie, że od lat kilku nie zdarzyło się nigdy, żeby wierny pies gdy wyjdzie na pewien posterunek za miasto, nie doczekał się pana. Czekał pies krócej lub dłużej, czasem kilka godzin, nie zdarzyło się nigdy, żeby sam bez pana swego do domu powrócił.

Inne zdarzenie jest smutne i tragiczne. Pan R., obywatel z Królestwa Polskiego, podczas ostatniego powstania 1863 roku został uwięziony. Po kilku miesiącach skazany na śmierć i powieszony.

Z ust własnych matki pana R. słyszałem następujące opowiadanie. Zaczyna matrona często łzami opowiadanie prze-

rywala; ja słuchałem z zajęciem. Gdy skończyła miałem także łzę w oku.

Gdy pana R. wywieziono do miasta P. o kilka mil od jego posiadłości odległego i uwięziono, pozostał w domu pies jego. Uważano że od uwięzienia swego pana, zawsze był smutny i widocznie za nim tęsknił. Jednego dnia znikł, i nie widziano go już nigdy. W okropnych czasach ówczesnego stanu nic o losie pana R. nie wiedzano i dopytywać się nie śmiano. Jego skazanie i wyrok i dzień wykonania kary śmierci najgłębszą były pokryte tajemnicą. Gdy pana R. wywieziono za miasto na miejsce egzekucyi, znalazł się u stóp szubienicy wierny przyjaciel i sługa, pies jego. Niepostrzeżony przez żołnierzy, smętnie patrzył na śmierć pana swego; nie odstępiał go na chwilę i czekał. Po kilku godzinach zdjęto pana z szubienicy, wykopano dół, a złożony tam ciało, przysypano ziemią i zostawiono na straży dwóch żołnierzy. Pies siadłszy o kilka kroków, patrzył na to wszystko uważnie; gdy robotę ukończono, przyszedł pies, położył się na świeżej ziemi i począł wyć litościwie. Zrazu żołnierze sami rozczuleni, chcieli dobrymi słowy psa do odejścia zniewolić. Pozostawał na miejscu, następnie już kijami i kolbami zmuszali do odejścia, pies wył ciągle i skurczył się kładąc się ciągle na grobie pana swego; nareszcie nie mogąc ani się go pozbyć ani go uciszyć, strzałem karabinowym położyli go trupem nad ciałem pana.

Nic dziwnego, że opowiadanie to matki głęboko się wryło w mojej pamięci. Dodam jeszcze w krótkich słowach jedno prawdziwe zdarzenie. Pan Z. chory wyjechał na kuracyą do Karlsbadu, zostawiając w domu swojego psa. Pewnego dnia psa znaleziono nieżywego, a w kilka dni potem dowiedziano się, że tegoż samego dnia pan Z. umarł w Karlsbadzie.

Zanim przyjdę do uwag, jakie zdarzenia te nastroczają, opowiem fakta tego samego rodzaju mniej uderzające, dowodzące jednak, że objawy takie nie są wyjątkowe.

W znakomitym domu Pana A. była piękna angielska wyżlica, doskonała do polowania. Z tego tytułu lubiona przez pana, który jej jednak wielkich konfindencyj nie pozwalał, i nie znosił jej obecności w salonie, w którym też podczas jego pobytu nie było wolno jej przebywać. Bywało więc, że gdy

pan wybrał się w dłuższą podróż, suka tego samego dnia instalowała się w salonach; kładła się po kanapach, krzesłach, przed kominkiem, słowem była u siebie. W owym czasie nie było ani telegrafów, ani kolei żelaznych, powrót więc pana do domu nigdy ściśle nie był oznaczony. Zdarzyło się nie raz, lub dwa, ale dziesięć i dwadzieścia razy, że suka cichaczem wynosiła się z salonu i wracała do swego skromnego posłania. Było to zawsze w dzień powrotu pana do domu.

I jeszcze jedno w tym samym rodzaju. Miałem sam wyjechać bardzo do mnie przywiązanego. Wyjeżdżałem wtedy w różne okolice na łowy, nie oznaczając dnia mego powrotu, a że drogi bywały bardzo złe, brałem z sobą wierzchowca dla szybszego powrotu. W późny wieczór pies spokojnie w moim pokoju spoczywał. Naraz zrywa się, drapie do drzwi, wybiega na dwór jak szalony i znika w ciemnościach. Jadę cicho i spokojnie, jeszcze o ćwierć mili od domu, słyszę znane mi i wesołe szczekanie i w ciemności poznaję mego psa witającego mnie, skaczącego do strzemion w radosnem uniesieniu.

Wiem o psie, którego pani mieszka o milę od dworca kolei żelaznej, i często na krótszy lub dłuższy czas z domu wyjeżdża. Gdy wraca do domu, pies zawsze na dworcu na nią czeka, nie opóźni i nie zawiedzie się nigdy.

Po przytoczonych tu faktach twierdzić można stanowczo, że w tego rodzaju objawach nie służą psu jego zmysły, jakkolwiekby były doskonałe; ani powonienie, ani słuch, ani wzrok nie mogą psu służyć do wiedzenia, że pan jego o kilka mil będący, zbliża się w jego kierunku — jak to się działo koło Tobolska. Żaden zmysł nie mógł także służyć psu, aby wiedział o dniu tracenia na szubienicy pana R., w miejscu o kilka mil odległym; ani też suka pana A. nie mogła za pomocą zmysłów wiedzieć o dniu powrotu jego do domu. Sądzę, że to najmniejszej nie ulega wątpliwości. Tu się więc otwiera szerokie pole domysłów, wniosków i przypuszczeń.

Do naukowego wytłómaczenia tych objawów nie mam żadnej pretensyi, jednakże zastanawiając się długo nad nimi, i porównyując je z innemi objawami tego rodzaju, spisuję moje domysły i przypuszczenia.

Zdarzyło się nieraz, że gdym o tych dziwnych fenomenach ze światłą jaką mówił osobą, i pytał o możebne rozwią-

zanie zagadki, odpowiedziano mi krótko „to przeczucie.“ Z tem tłómaczeniem żadnym sposobem zgodzić się nie mogę. Na-przód jest to wyraz nic ściśle nie oznaczający, pięknie brzmiący w romansie, w którym widzimy bohaterów przeczuwających zdarzenia, spotkania, przygody, nieszczęścia. W rzeczywistości przeczucia są tak niepewne (i mniej jeszcze) jak domysły, przypuszczenia, przewidzenia i przepowiednie. Przeczucia zawodzą tak często, że ziszczenie ich niekiedy, za prosty przypadek poczytane być musi; zresztą dla czego by pies miał mieć doskonalsze przeczucia niż człowiek? Dla czego by pies miał się w przeczuciu nigdy nie mylić, a człowiek bardzo często. Na to niema odpowiedzi, i zdaje mi się, że to przypuszczenie zupełnie usunięte być winno, jako nic nie tłómaczące.

Myśląc nad temi objawami, doszedłem do zupełnie innego więcej prawdopodobnego wniosku.

Stan jasnowidzenia u ludzi jest dotąd przedmiotem rozpraw między uczonymi a szczególnie między nieuczonymi. Gdy jedni zaprzeczają zupełnie możebności takiego stanu, drudzy wyjątkowo go przypuszczają, inni jeszcze podciągają go już pod pewne i niezawodne formuły, i ustalają pewne warunki, przy dopełnieniu których stan jasnowidzenia u ludzi następuje. Któż nie słyszał o jasnowidzących, o śnie magnetycznym, o głośnych medjach amerykańskich, które ludzi aż w bezpośredni stosunek z duchami tamtego świata wprowadzały. Cóżkolwiek bądź, i przypuszczając, że w tem wszystkim jest wiele przesady, szalbierstwa, oszukaństwa w celu zysku z jednej strony, a wiele łatwowierności i głupoty z drugiej, jest dla mnie niezaprzeczonemi i pewnemi dowodami stwierdzonym faktem, że stan jasnowidzenia zdarza się. Nie zajmowałem się nigdy głęboko badaniem tego przedmiotu, ale wiem kilka faktów od ludzi tak poważnych, tak rozumnych i tak chłodnych, że o możności stanu jasnowidzenia w rzadkich wprawdzie i wyjątkowych warunkach wątpić nie mogę. Tych faktów nie opisuję, bo to do rzeczy nie należy i od przedmiotu by nas za daleko odwiodło, dość będzie oznaczyć ich naturę i ściśle określić granice jasnowidzenia, to jest granice czasu i przestrzeni, w jakich działać może. Fakta mi znane stwierdzają dwie rzeczy: że jasnowidzenie objawia się stanowczo i tylko w przedmiotach materialnych i że się odnosi tylko do teraźniejszości.

Uważam więc wszystkie objawy po za te granice wychodzące za szarlatanizm, za oszukaństwo, lub za fanatyzm do zaślepienia prowadzący.

Do tej kategorii należą przepowiadania przyszłości, odgadywania uczuć sercowych, zgadywanie numerów na loteryi wyjść mających, zapowiedzenie szczęścia, zawodów lub niedoli, opowiadanie przeszłości. Słowem do szarlataneryi, prosząc o przebaczenie inaczej wierzących, zaliczam to wszystko, co się odnosić ma do przeszłości, przyszłości i stanu duchowego człowieka.

Szukając tłumaczenia objawów widzenia w odległości u psów, zdaje mi się jedynie możebnem, przypuszczalnem i prawdopodobnem, że psy są w tych chwilach w stanie jasnowidzenia, że jedynie excytacja, gorączkowe uczucie przywiązania, w ten stan je wprowadzają, i że ten stan jest przypadkowy, wyjątkowy i nigdy ciągle nie trwa. Kto tylko psami się zajmował, a mianowicie kto jest myśliwym, wie doskonale, że w zwykłym stanie pies nie ma żadnego jasnowidzenia, że nie odgaduje nic, co leży poza granicami jego zmysłów, to jest wzroku, powonienia, lub słuchu; najlepszy i najrozumniejszy wyżeł przechodzi koło zwierzyny i nie wie o niej, jeżeli jej nie zawietrzy lub nie dopatrzy. Lubo więc wyżeł jest namiętnym myśliwcem, służy mu do polowania jedynie jego zmysły i naturalne jego instynkta, które również choć w różnym stopniu posiadają inne zwierzęta.

Widzimy go w wyjątkowym stanie objawiającego tak nadzwyczajne usposobienie, jak to powyżej wykazaliśmy.

Nie koniec tu pytaniom które się nasuwają. I tak. Jasnowidzenie w człowieku zdarza się bardzo rzadko, samo przez się niekiedy spostrzegano je w pewnym chorobliwym stanie. Objawia się zawsze we śnie, do tego stopnia, że po przebudzeniu osoba przed chwilą jasnowidząca, nie wie nic z tego co widziała lub mówiła. Bywa ono wywołane sztucznie przez wpływ innej osoby, posiadającej jakąś tajemniczą siłę; psy zaś dochodzą do tego samego stanu same przez się, przez jakiś wewnętrzny fenomen. Zachodzi pytanie, czyby także sztucznie stanu tego u psa wywołać nie można. Doświadczeń i prób w tym kierunku nie robiono; czy je robić warto, czy są one możebne, czyby rezultaty mogły znaleźć dla użytku człowieka jakiegol-

wiek zastosowanie, nie śmiałbym orzekać; a jeszcze mniej śmiałbym polecać badanie tych zjawisk uczonym. To wszakże szczególnie, że tak mało zastanawiano się nad jedną z najdziwniejszych tajemnic świata zwierzęcego.

Przejdźmy do różnych innych faktów z historii psów. Wszystkie są prawdziwe, a okazują tak rozmaite przymioty zdolności i uczucia, że stawiają je wyżej nad wszystkie inne zwierzęta. Na równi z nim stoi może z całego świata zwierzęcego tylko słoń, o którego zaletach moralnych dziwne opowiadają rzeczy.

Zacznę od opisanego w dziennikach za pierwszego cesarstwa we Francyi zdarzenia, mało komu może u nas znanego.

Lekarz przechodzący przez ogród Luksemburski w Paryżu, słyszy w klombie skowyczącego pieska ze złamaną nóżką. Z litości bierze go na ręce, zanosi do domu, opatruje, składa nogę i w parę tygodni leczy go zupełnie. Pies inteligentny i przyjacielski przywiązuje się do lekarza i wierny kilka tygodni w jego domu zostaje. Jednego dnia nie wraca; Lekarz znając jego sympatyczną naturę, przypuszcza, że znalazł swojego dawnego pana i że już do niego nie wróci. Kilka tygodni później słyszy pewnego dnia drapanie psa do swoich drzwi, a otworzywszy je, widzi dawnego swego pacyenta, który z wielkimi oznakami radości wpada do jego pokoju; po chwili jednak znowu się drapie do drzwi, aby go wypuszczono; gdy wyszedł, znowu się drapie napowrót; lekarz domyśla się, że pies chce koniecznie wyprowadzić go z pokoju. Wychodzi za psem, te same manewra odbywają się na schodach; zabiega drogę, gdy lekarz wraca, idzie przed nim, gdy schodzi, i tak doprowadza go aż na ulicę przed dom, gdzie znajduje innego psa ze złamaną nogą. Kronika już dalej nie mówi o kuracyi psa drugiego, lub czy się jeszcze powiększyło koło tego rodzaju pacjentów.

Że sobie psy udzielają pewnych wiadomości, żadnej dla mnie wątpliwości nie ulega; oprócz powyżej opisanego zdarzenia przytoczę jeszcze inne.

Hrabina S. znana ze swoich różnych excentryczności, lubiła psy i miała ich wiele i pięknych. Podczas dłuższego jej pobytu w Wiedniu, widząc dużo psów biednych i zgłodniałych, umyśliła dawać obiady dla psów, któreby na pewną godzinę do niej przyszły; i w tym celu urządziła na strychu pewien rodzaj table d'hôte. Jak się ta wiadomość między psami rozeszła, nie wiem, ale to pewna, że bez zaproszenia w kilka dni codziennie w oznaczonej godzinie kilkadziesiąt psów przychodziło na obiad, tak że w końcu musiano ograniczyć ilość rozdawanych porcyj i spóźniających się w mniej lub więcej grzeczny sposób wypraszano.

Mieliśmy na wsi dwa przecudnej urody jamniczki, Kopka i Fufunię. Miały one zwyczaj przychodzić do nas na śniadanie. Zdarzało się czasem że Kopek sam przyszedł, dosyć wtedy było mu powiedzieć: „a gdzie Fufunia?“ — żeby zaraz wybiegał i dopóty szukał towarzyszkę, dopóki jej na śniadanie nie przyprowadził.

Któż nie słyszał o powracaniu psów do swoich panów, w wielkich odległościach, choć je wieziono w miejsca im wcale nieznane, a czasem i w nocy. Wiele takich faktów jako zbyt znanych opowiadać nie będę. Dwa wszakże zapiszę z powodu że przechodzą zwykłą ich miarę.

Dwóch braci stoi na dworcu kolei żelaznej w Królestwie Polskiem, obaj młodzi i serdecznym stosunkiem związani. Jeden z nich zesłany na wywiezienie do Orenburga, drugi go odprowadza dla pożegnania w daleką podróż. Za zostającym w kraju przybiegł jego wyżeł. Odjeżdżający opuszczając wszystko co kochał, mówi: „Bracie, daj mi tego psa, niech mam koło siebie jedno żyjące stworzenie, któreby mnie kochało i miłe budziło wspomnienie.“ Pies pojechał i zajechał aż do Orenburga, ale jakież było zdziwienie brata, gdy po miesiącu ujrział psa wracającego do jego domu z Orenburga! Gdybym tego faktu nie miał z najwiarogodniejszych ust, nie śmiałybym go za prawdę podawać.

Właściciel sprzedaje wieś, opuszcza ją i przenosi się w okolice o kilka mil odległą. Pozostawia sukę bardzo przy-

wiązaną, która właśnie miała szczenięta. Uważano, że suka była smutna, że za panem tęskniła; przypuszczano wszakże, że przywiązanie macierzyńskie przeważa i że w końcu z losem się swoim pogodzi. Stało się wszakże inaczej. Nie chciała ani dzieci opuścić, ani ich po jednym przenosić. Cóż więc wymyśla? oto znajduje wielkie i obszerne buty myśliwskie nowego swego pana. Wszystkie szczenięta w jeden but kładzie i tak je o kilka mil do dawnego swego pana przenosi.

Podróże te psów spowodowane przywiązaniem, mają w sobie już coś niewytłómaczonego; nie można ich kłaść na karb ślepego instynktu, który gna n. p. ptaki na wiosnę i w jesieni w pewnym kierunku. Tu jest jakaś ślepa siła, którą daje natura; porównałby ją można z tem prawem natury, które sprawia, że krzewy kwitną na wiosnę a więdną w jesieni. Tu się żadne nie objawia uczucie, ale pies, który wraca do pana, którego kocha i odnajduje kierunek sobie zupełnie nieznanym, ma widocznie jakiś zmysł, równie człowiekowi, jak innym zwierzętom zupełnie obcy.

Jak dziwne są zdarzenia, w których pies dowodzi, że posiada najdelikatniejsze uczucia, jak chęć naprawiania złego, które wyrządził, żal za popełnioną krzywdę, skruchę i poprawę, gotowość ratowania w potrzebie. Że wszystkie te uczucia posiada pies, są na to tysiączne dowody; przytoczę kilka.

Był w domu mi znanym wyżeł dosyć złego charakteru; warczał, pokazywał zęby, a często nieznanego i zaczepiał i potargnął. Zdarzyło się, że wyciągnąwszy się przed domem na słońcu, zasnął głęboko. Córeczka pani domu, kilkoletnia dziewczynka, skacząc i biegając, nieostrożnie stąpa mu na nogę; pies się zrywa i łapie ją zębami za rękę; dziewczynka w płacz; pies spojrzawszy na nią poznawszy ją, nuż piszczeć, wyć i lamentować i kłaść się do nóg dziewczynki, martwiąc się i przepraszając za przestרח i ból, którego był powodem. Czy człowiek mógłby więcej zrobić i być wymowniejszym?

Na Ukrainie, w zamożnym domu był piękny i lubiony przez wszystkich wyżeł. Państwo zwykle zimowali za granicą. Za ich na wiosnę powrotem pies z radością i poufałością witał wracających.

Zdarzyło się jednej zimy, że pies wskutek choroby stracił oko i wiele ze swojej piękności. Wracający do domu pytają o ulubionego psa; nie było go na przyjęcie, służba go wreszcie odnajduje; przychodzi smutny i potulny, ani skoków, ani radości, czołga się skromnie do nóg. Widocznie, tak widocznie, że wszyscy na tę samą myśl wpadli; pies pomyślał sobie: czy mnie też zeszepeconego i kalekę państwo w łasce zachowają, czy mnie do takich konfidencyj jak dawniej przypuszczą? Nie był pewny i złego obawiał się przyjęcia. Wiedział czy widział, że z znikającymi powabami i affekta czasem znikają. Tu wszakże stało się inaczej; państwo byli dobrzy, ale pies długo nie dowierzał, aż wkońcu dobrem obchodzeniem przekonali go o niezmienionej dla niego przychylności.

Miałem wyżła, namiętnego myśliwca, który nienawidził kotów, i mimo wielkiego posłuszeństwa od pogoni za kotem powstrzymać się nie dawał. Jednego razu dostaliśmy w podarunku ślicznego kota białego. Na jego widok pies z zaiskrzonymi oczyma i z najeżoną siercią chciał się rzucić na kota; wstrzymywałem go i miałem do niego łagodną i długą przemowę. Mówiłem, że to jest kotek mojej córki, że on tu zostanie, że go powinien szanować i nic mu złego nie robić. Mogę zapewnić, że od tego czasu pies był zupełnie przy kotku spokojny, nienawidzac zawsze całej jego rasy; znosił nawet często, z nadzwyczajną cierpliwością, psoty i zaczepki młodego i figlarnego kotka. Jednego słowa więcej mówić nie potrzebowałem, a jednak wspólne to pożycie pod jednym dachem trwało lat parę.

Myśliwy polując na błotach niebezpiecznych z wyżłem, wpada w głębokie moczary, zapada się coraz głębiej i tonie, ratując się w poprzek przed sobą położoną strzelbą. Kilka chwil jeszcze, a utonie. Człowieka żadnego w pobliżu; strzelec towarzyszący oddalił się tak, że wołania usłyszeć nie mógł. Wyżeł patrzył czas jakiś na rozpaczliwe położenie pana, narazie jakby po namyśle, pędem bieży do strzelca, przybiega, szczeka, kilka razy odbiega w tym samym kierunku i znowu wraca. Strzelec domyśla się wreszcie, że dzieje się coś nad-

zwyczajnego, pospiesza za psem, który go doprowadza do pana już tonącego i od śmierci go ocala.

W Wiedniu niedawno jedzie w nocy wąską ulicą ciężko obładowany omnibus; woźnica spostrzega pudła rzucającego się ku pyskom koni, szczekającego i ciągle zabiegającego koniom drogę; zaciekawiony zatrzymuje konie, zsiada z kozła, idzie ulicą i już o kilkanaście kroków przed końmi spostrzega człowieka ze złamaną nogą, leżącego na środku ulicy, którego byłby niewątpliwie omnibus przejechał, gdyby nie pies, który woźnicę swemi zabiegami ostrzegł.

Przychodził w jednym domu ulubiony pies zawsze na śniadanie do państwa, gdzie dostawał całą bułeczkę. Uważano, że od kilku dni brał jak zwykle bułeczkę, ale wzięwszy ją w pysk nie zjadał jej, lecz wynosił się cichaczem. Nareszcie posłano za nim, aby się dowiedzieć co robi. Zanościł on bułkę przyjacielowi na folwarku, pospolitemu kundysowi, który niedawno był oślepl.

Są inne zdarzenia szczególnego dowcipu i sprytu u psa dowodzące.

Był w mieście D. pies, który nauczony chodził z koszykiem do przekupki po bułki. W koszyku były pieniądze. Razu jednego czy przez figel, czy ze złego humoru, przekupka nie kładła długi czas bułek do koszyka. Pies się upominał to mručeniem, to szczekaniem, zniecierpliwiony nareszcie chwytając wiszący blisko fartuch przekupki i odchodzi. W pogoń za psem, pies kółkiem obiega i wraca do przekupki, ale nie oddaje fartucha, dopiero gdy widzi bułki w koszyku, wtedy puściwszy fartuch spokojnie go zabiera.

Jamnik, długi, niski i cienki, złowił udziec barani i spożywał go spokojnie. Miał go wszakże ciągle na oku duży kundys, który mimo przewagi wzrostu miał dla jamnika z powodu wielkiej tych psów zaciętości wielki respekt. Jamnik najadłszy się do syta, szuka miejsca zacienionego w ogrodzie; wykopuje jamę, kładzie tam resztę pieczenia, zakopuje starannie, ubija i gładzi nosem. Kundys obserwator dopatrzył kryjówki, skrada

się do klombu i zaczyna grzebać, ale i jamnik niedowierzający został na straży swojego skarbu; wpada na kundysa, wywiązuje się walka, w której ten ostatni pobity ustępuje z pola. Jamnik widząc, że kryjówka niedostateczna, wykopuje mięso, przenosi w inne miejsce w dolinie położone i do nowego zabiera się zakopywania. Wtem podniósłszy głowę, widzi na górze stojącego i obserwującego kundysa. Tak ciągle szpiegowany zabiera mięso i upatruje w murze granicznym otwór, przez który on szczupły przesunąć się mógł, ale który dla kundysa był za ciasny; za tym murem złożywszy zdobycz, wraca i jakby urągając się patrzy na kundysa; sztuka mu się udała.

Jeszcze kilka przykładów :

Znani mi państwo przyjeżdżają pierwszy raz do Berlina. Pan miał ze sobą pinczerkę bardzo rozumną. Chodzą po mieście parę godzin, chcą wreszcie wrócić do domu. Zapomnieli nazwy i ulicy i hotelu. Z początku było to zabawne, wkońcu nie wiedzieli co robić. Pan sobie przypomina, że na surowy i powtórzony rozkaz suczka wracała do domu sama ze spaceru. Używa tego środka. Suczka zasmucona i spuściwsza ogonek, odwraca się od państwa, powoli dąży, nie wahając się, w pewnym kierunku i najspokojniej doprowadza ich do hotelu, w którym mieszkali.

Opowiadano mi jako rzecz pewną, że pies jeździł koleją żelazną o kilka mil od Warszawy odwiedzać swoich państwa, gdy latem przebywali na wsi. Wskakiwał na odkryty wagon; kilka razy obity i odpędzony zdobył sobie wreszcie pobłażenie służby kolejowej, która się bawiła temi przejażdżkami regularnie się powtarzającemi. Na pewnej stacyi zeskakiwał z wagonu i biegł do swoich chlebobawców.

Dwie rodziny z gromadką dzieci wybrały się daleko za miasto na podwieczorek, z łakociami, zabawkami, i koszykami. Po długiej zabawie rozłączają się, w przeciwnie udając się strony. Przy jednej z tych rodzin był biały pudel, który jej towarzyszył w powrocie. W jednej chwili opuszcza ją, i pędem bieży w kierunku obranym przez tamtą rodzinę. Zdzi-

wienie wielkie. Czy pies oszalał? Po niejakim czasie wraca pies niosąc tryumfalnie koszyczek należący do jednego z dzieci. Dowiedziano się nazajutrz, że pies przybiegł do towarzystwa najspokojniej, odebrał koszyczek niesiony przez jedno dziecko i oddał go prawej właścicielce.

Tu nie było ani nauki, ani wykonania rozkazu, znowu nowy zmysł trudny do wytłómaczenia.

Mieszkaliśmy razem z panem T. we Lwowie. Razu jednego kiedyśmy wracali późno w nocy do domu, przyczepił się do nas duży i piękny pies. Szedł zwolna za nami, gdyśmy w jedną ulicę wchodzili, wyprzedzał nas tuż idąc przed nami. Przed jednym domem zaczął szczeleć i skakać do rączki od dzwonka. Zadziwieni zrazu, gdy ten manewr trwał dosyć długo, zrozumieliśmy, że pies nas prosi, abyśmy mu powrót do jego domu ułatwili. Rzeczywiście zadzwoniliśmy kilka razy. Gdy się wrota otwały, pies chyżo wskoczył do domu, a stróż poznawszy domownika, chrypliwym głosem zawołał: „A ty łotrze, gdzieś tak długo bawił!”

Zdarzyło się, że złapano młodego dzikiego kaczora, a obciąwszy skrzydła puszczono pomiędzy drób domowy, gdzie piękną barwą odbijał przy reszcie pospolitych kaczek i z tego powodu był zabawką i podziwieniem dzieci. Były w tym domu i pies wyżel i kot w przyjaźni zresztą żyjący. Razu jednego kot złapał owego kaczora; kaczor kwęka, pies wybiega widząc ulubionego kaczora w niebezpieczeństwie, rzuca się na kota a poturbowawszy niedelikatnie, odbiera mu kaczora, bierze go lekko w pysk, niesie, puszcza na wodę i nosem dalej popycha. Przy drugiej podobnej scenie pies tak się rozgniewał, że o mało co kota na dobre nie zadusił.

Jedna z najdziwniejszych i najdelikatniejszego zmysłu dowodząca anegdota jest następująca:

W domu państwa C. kwitło myśliwstwo wszelkiego rodzaju. Była tam angielska wyżlica w domu chowana, był i kilkoletni synek państwa, któremu zaprawiając go do rzemiosła myśliwskiego, darowano drewnianą fuzyjkę do strzelania z pistonów. Malec wychodzi do ogrodu ze strzelbą i torbą

myśliwską; suka widząc to, towarzyszy mu i udaje, biegając po ogrodzie, że szuka zwierzyny; tymczasem malec chowa chustkę pod krzakiem, suka udaje że nie widzi, i pobiegawszy, przychodzi niedaleko od owego krzaku i staje wryta, jak do zwierzyny. Chłopaczek wtedy pali z kapsla, suka się rzuca na chustkę i aportuje małemu myśliwemu. Tu więc, do tego nieuczony, bawił pies synka swojego pana.

Jeżeli wszystko co dotąd powiedziano, podnosi tylko piękną i szlachetną stronę psa, to trzeba jednak dodać, że są takie, które długo nie zapominają krzywdy im wyrządzonej. Za wadę tego jednak poczytać nie można, dowodzi to przeciwnie, że nie fatalny albo ślepy jakiś instynkt wpływa ostatecznie na uczucia psa, ale że jest u niego i sąd o tem, co słuszne i niesłuszne.

Wiele jest znanych w tym względzie anegdot; jedną tylko, bardzo dziwną, przytoczę.

Pan hr. K. miał w Warszawie dwa piękne psy. Za jakąś psotę dnia jednego z rozkazu pana srodze obite zostały. Niedługo potem tego samego dnia opuściły dom i na noc nie wróciły. Przypadek chciał, że dnia następnego pan K. jechał do dóbr swoich, o kilka mil od Warszawy położonych. Jadąc postrzega psy swoje wolno idące w tym samym co on kierunku. Zdaje się, że psy szły do dóbr jego. Gdy go zoczyły i poznały, odwróciły się i mimo wołania, poszły na powrót do Warszawy, nie chcąc widocznie przebywać w tym samym domu, gdzie był ich pan. Dosyć długiego trzeba było czasu, i dobrego obchodzenia się, aby psy zapomniały urazy.

W pamiętnym roku 1846, kiedy Kraków zajęty był przez Naczelników ruchu, ogłosił dyktaturę i wydał wojnę trzem mocarstwom, oprócz scen bolesnych i śmiesznych bywały i chwile groźne dla pojedynczych ludzi. Był wówczas w Krakowie p. H. M. znany z rozumu, z satyrycznego dowcipu i z wiecznej opozycji. Mówił on o sobie, i było to prawdą, że każdy jakiegokolwiek rząd nastający w Krakowie, zaczynał swoje panowanie od aresztowania go. Tak się też stało i wtedy. P. M. posądzony o konszachty i porozumiewania się z nieprzyjaciółmi

Rzeczypospolitej, miał być aresztowanym, ale nim to nastąpić mogło, na śmierć skazany został; wielu zacnym ludziom chodzić musiało o uratowanie go od śmierci i zasłonięcie krótkiego tego panowania od przelania krwi niewinnej. Wobec teorii przez dowódców ruchu wtedy przyjętej, że terroryzmem tylko ojczyznę zbawić można, lekceważyć owego wyroku nie można było. Jeden człowiek dość popularny, dość odważny, i poważany, mógł stanąć w obronie pana M. wobec dyktatury. Był on naczelnikiem gwardyi narodowej. Nie było go jednak w domu i wszystkim rozesłanym ludziom nie udało się odszukać go. Czas naglił, nie wiedziano co robić, wtem przypomniał sobie jeden z domowników, że suczka naczelnika odnosiła swemu panu drobne rzeczy jej podane. Biorą więc rękawiczkę naczelnika, oddają succe, która szybko z domu wybiega; człowiek za nią biegnie, ona zaś bez wahania i wprost dąży do mieszkania, gdzie pan jej z kilkoma obywatelami przy zamkniętych drzwiach na poufnej był schadzce. Rzeczywiście w ostatniej chwili pan J. W. użył swojego wpływu i ocalił pana H. M.

Już to dawno temu, miałem wyżyła, który podczas mojego pobytu w Krakowie chodził zawsze we wtorki i piątki do Ogrodu Strzeleckiego; były to dni, w których grywała muzyka. Był on układny i grzeczny, porobił widać liczne znajomości, którym podwieczorki swoje zawdzięczał; co dziwniejsza to, że nie tylko dni tych nigdy nie opuścił, ale że w inne dni wcale w ogrodzie tym nie bywał. Nie zdarzyło się także nigdy temu psu, czy to w mieście czy na wsi, wybrać się za mną gdyś szedł do kościoła, a wychodził zawsze naprzeciw mnie, kiedym z kościoła wracał.

Na zakończenie wspomnieć wypada, że każdemu z nas nasuwa się dosyć dziwne pytanie, dlaczego i z kąd poszło, że szczególnie w naszym języku pies i wszystkie jego części służą za wyraz wzgardy lub przekleństwa; wszystko zaczawszy od duszy i krwi do nogi, kości itd. W ogóle wyrazy te tak weszły w zwyczaj, że czasem oznaczają uczucia przyjaźni i czułości. Komuż się nie zdarzyło słyszyć serdecznego powitania, rozpoczynają-

jącego się od wykrzyknika, zawierającego choć cząstkę jaką psa, i najczulsze pożegnania często się takim samym kończą wyrazem. Pies wszędzie jest obrazem wierności, a przecież nawet wyrażenie „wierny jak pies“ ma coś u nas pogardliwego.

Tak spisawszy co tylko wydatniejszego z charakterystyki psa, przyczynić się tylko pragnąłem do uznania, że pies za służenie nazwanym być może, nie tylko sługą ale i przyjacielem człowieka.

H. Wodzicki.

SZEKSPIR W POLSCE.

(Dokończenie) ¹⁾.

IV.

We wszystkich prawie wydaniach Szekspira, angielskich czy obcych, zachowuje się ten zwyczaj, że szereg komedyj rozpoczyna *Burza*. Czy „z wieku jej i z urzędu ten zaszczyt należy?” W każdym razie nie z wieku, skoro znawcy dowodzą, że ona jest jednym z ostatnich jeżeli nie najostateczniejszem z dzieł poety. A więc z urzędu? Może są między komedjami takie, które miałyby prawo protestować przeciw bezwzględnemu pierwszeństwu *Burzy*: ale, że choć nie bezwzględnie pierwsza należy do pierwszych, że jest jednym z najbardziej uroczych klejnotów poezji Szekspira i świata, któżby jej śmiał tego zaprzeczyć. Wdzięk, jaki bywa w fantastycznych a choćby i w dziecinnych powiastkach, nigdy nie był tak uchwycony, tak wydobyty na jaw, tak podniesiony do godności i blasku poezji, jak tu, gdzie geniusz i sztuka do jakiejś historyjki o zaczarowanej wyspie, historyjki nie lepszej zapewne od tysiąca podobnych, dorobiły cudowne postacie Ariela, Mirandy i Ferdynanda. Za arcydzieło zupełne i doskonałe w swoim fantastycznym i nieco idyllicznym rodzaju uchodziła *Burza* zawsze,

¹⁾ Patrz *Przegląd Polski*, grudzień 1877.

za brylant bez najmniejszej skazy, za perłę najdoskonalej, najrówniej okrągłą; i dlatego może wydawcy Szekspira lubią kłaść ją na pierwszym miejscu między komedjami. Nasi nie odstąpili od tej dawnej tradycyi, i tom trzeci *Dzieł* Szekspira zawierający komedye, rozpoczęli od *Burzy* tłómaczonej przez pana Paszkowskiego.

Ale ta doskonałość dzieła i ten jego wdzięk niezrównany, zasadzający się właśnie na naiwnej a jak lot motyla lekkiej i kapryśnej fantastyczności tego świata, który tam jest przedstawiony, sprawia, że tłómaczyć *Burzę* to zadanie jedno z najtrudniejszych na tym świecie. Trzeba mieć w swoim stylu słowa lekkie i przejrzyste jak powietrze, żeby na nich swobodnie mogła się kołysać zefirowa postać Ariela, i słowa proste jak pierwsze słowa dziecka a jaśniejsze jak pierwszy uśmiech miłości, żeby budzące się uczucie Mirandy dobrze się w nich wydać mogło. I dlatego czytając *Burzę*, żałuje się zawsze tak samo, jak przy *Śnie Nocy Letniej*, że jej na polskie nie przetłómaczył Słowacki. On jeden z Polaków mógłby był, sądząc po fantastycznych scenach Balladyny, zrobić taki przekład tych dwóch rzeczy, w którym żaden ich wdzięk i żaden blask nie byłby zaginął, nie byłby się starł żaden tęczowy pyłek z motyliich skrzydełek Puka czy Ariela.

Ale pana Paszkowskiego przekład *Burzy*, choć oryginalowi nie ze wszystkiem równy, a o tem tylko marzyć można nie zaś rozsądnie tego od tłómacza żądać, jest nietylko bardzo dobry, ale i bardzo ładny. Zaraz w pierwszej scenie zamieszanie i trwoga okrętowej załogi, gniewny i szorstki ton Bosmana, łającego tych wszystkich wielkich panów, którzy mu swojemi osobami i pytaniami zawadzają na pokładzie w chwili niebezpieczeństwa, usposabia czytelnika przychylnie dla tłómacza i tłómaczenia. A dalsze sceny dotrzymują co obiecuje pierwsza. Czasem, rzadko, jakieś wyrażenie, które razi trochę, jak naprzykład „*kwestya*“ (w drugiej scenie tego aktu), lub razi bardzo, jak „*eksploatować*“ (akt II scena I): — (przynajemy zresztą, że w pierwszej scenie aktu Ilgo, *admira-cya* uniknąć się nie dała, bo tłómacz musiał użyć w tem miejscu jakiegoś słowa pokrewnego imieniu Mirandy) — oto wszystko, z czego możnaby tłómaczowi zrobić zarzut dotykający i dający się dowieść. Bo wdawać się we wszystkie subtelne

odcienia stylu na to, by dowieść, że styl tłumacza poetycznym urokiem nie dochodzi stylu Szekspira, to robota naprzód nie prowadząca do niczego, bo te różnice nie dadzą się uchwycić, określić i dowieść, a następnie robota nie potrzebna, bo każdy wie, że przekład oryginałowi zupełnie równy jest wyjątkiem nie regułą i że mu zarzutu ztąd słusznie robić nie można, jeżeli pozostał cokolwiek niżej od oryginału. W tym razie tak się stało istotnie, ale różnicę tę przyjmując jako konieczność, przyznać trzeba z prawdziwą radością, że przekład pomimo wszystkich niezwykle trudności udał się bardzo szczęśliwie. W roli Aryela, czy szemrze a wyłajany przez Prospera pokornie przeprasza, czy zwodzi i straszy rozbiteków, czy Ferdnanda czaruje swoim śpiewem, czy wreszcie cieszy się naprzód obiecaną wolnością, jest naprawdę wiele gracy i wdzięku. Oto naprzykład ten śpiew, którym wodzi po wyspie pięknego młodzieńca, żeby go zawieść do grotty dziewczyny:

Śpiew Aryela.

Pójdź tu, dróżyno hoża,
 Na cichy ten brzeg morza;
 A gdy się uściśniesz,
 Niech dłoń się z dłonią splecie,
 I w krąg zawodząc tany,
 Śpiewajcie naprzemiany!
 Czy słyszysz tam?
 (*Głosy tu i owdzie*). Ham! ham!
 To piesków nuta.
 (*Głosy tu i owdzie*). Ham! ham!
 Czy słyszysz tam? Koguta
 Poznają po tym krzyku;
 On woła: kukuryku!

FERDYNAND.

Zkąd ta muzyka? Z powietrza? czy z ziemi?
 Już brzmieć przestała: — brzmiała ona pewnie
 Bóstwu tej wyspy. Siedziałem nad brzegiem,
 Śmierć króla, ojca mego oplakując,
 Wtem ona ku mnie z nad fal zaleciała,
 I ukoila ich gniew a mój smutek
 Słodką melodyą. Pobiegłem tu za nią,

A raczej ona mię tu pociągnęła: —
I zmiłkła nagle. — Nie, zaczyna znowu.

ARYEL (*śpiewa*).

Twój ojciec leży w głębi fal:
Koralem kości jego,
Perłami oczy: — ukój żal,
Nie spotka go nic złego:
Bo może pod swą cudną tonią
Bogaci owszem wszelki twór.
Tam nimfy wodne wciąż mu dzwonią;
Czy słyszysz? — dyn! dyn! — Ich to chór.

CHÓR.

Dyn! dyn! dyn!

FERDYNAND.

Śpiew ten odnawia w mej pamięci stratę
Drogiego ojca. Nie wyszedł on z piersi
Istot śmiertelnych; nie ziemskie to dźwięki:
Jeszcze je słyszę gdzieś tam w górze.

A ta jego radość, kiedy wie że za chwilę będzie już
wolnym:

Będę miód ssal razem z pszczołką
Łożem mojem będzie ziółko,
Pyłki kwiatów mą podściółką
Z nietoperzem i pustułką
Będę w nocy latał w kółko —
Rozkosznie, rozkosznie będę żył znów
Wśród kwiecia cienistych drzewin i krzów.

Bardzo ładnie tłómaczona jest ta rozmowa, w której
Prosper przypomina mu ciężką jego niewolę u czarownicy Sy-
corax, i grozi podobną, jeżeli nie będzie posłusznym. Ale co
wypadło wybornie, to cała rola Kalibana i jego przyjaciół pi-
jaków. Oto naprzód jego słowa, kiedy się upił i przystał na
służbę do nowego pana rozczulony wódką a więcej nadzieją
wyzwolenia się z pod władzy Prospera:

Powiodę kędy leśne jabłka rosną,
Długiem paznokciami wygrzebywać

Będę ci trufle: Wskażę sojczy gniazda.
Nauczęć chwytać zwinne koczkodony,
Orzechy zbierać ci będę, i szukać
Dla cię po skałach młodych mew.

To stworzenie, które od bydłęcia różni się tylko mową (i złem sercem), jest blizkiem natury jak zwierzęta, i zna różne jej tajemnice, ma jakiś swój instynktowy przemysł, jakąś wrodzoną sztukę i zręczność w zaspokajaniu swoich potrzeb, którą człowiek tracił w miarę, jak swoje życie od życia innych stworzeń oddzielał.

A to znowu jego pieśń tryumfalna po pijanemu wyśpiewana, przełożona nie dosłownie ale bardzo zręcznie:

Nie będę mu już łowić ryb
Ni nosić drzewa
Jak zaśpiewa
Ni czyścić naczyń w zwykły tryb.
Hej dana! dana!
Kaliban ma innego pana.
Innego sobie szukaj Kalibana.

Jego lenistwo, jego złość, jego chęć zemsty i strach, wszystko oddane jest doskonale: za dowód niech służy jego pierwsza rozmowa z Prosperem:

PROSPERO.

Przekłęty leniu, przez samego czarta
Spłodzony z twoją matką! Czy nie wyjdiesz?
(*Wchodzi Kaliban*).

KALIBAN.

Żeby zatruta rosa na was spadła!
Podobna do tej, jaką moja matka
Piórami kruka zbierała z błot zgniłych;
Żeby was wschodnio-południowa wieja
Raziła nagle i okryła trądem!

PROSPERO.

Za to przekleństwo spędzisz tę noc w kurczach;
Kolki ci w piersiach zatamują oddech;

Pijawki cię obsiedą i tak gęste
 Porobiąć cięcia, jak komórki w ulu;
 A każde cięcie, bardziej boleć będzie
 Niż ukąszenie pszczoł, co je budują.

KALIBAN.

Muszę zjeść obiad. Ta wyspa jest moją
 Z prawa po matce, i tyś mi ją zabrał.
 Gdyś się tu zjawił, głaskałeś mię zrazu,
 I szło ci o mnie; dawałeś mi wody
 Z jagodzinami, uczyłeś mię nazwisk
 Tego wielkiego i małego światła,
 Co tleje dniem i nocą; to też wtedy
 Lubilem ciebie; tom ci też wskazywał
 Wszelkie własności tej wyspy: jej słońce
 I słodkie źródła, grunt płodny i żyzny.
 Bodajem zmarniał za to! Niech was razem
 Opadną wszystkie plagi Sykoraksy:
 Jaszczurki, żaby, chrząszcze, nietoperze!
 Gdy ja, co byłem tu wszechwładnym panem,
 Obrócon jestem przez was w poddanego,
 I z łaski waszej, jak pies na łańcuchu,
 Przykuty jestem do tej twardej skały,
 Zdała od reszty świata.

PROSPERO.

Podły kłamco!

Czuły na chłostę, nie na dobrodziejstwa!
 Jam cię traktował po ludzku; kał taki
 Gościłem w chacie, pókiś się nie targnął
 Na honor mego dziecka.

KALIBAN.

Ho! ho! Szkoda,
 Żeś w porę przyszedł, aby mi przeszkodzić;
 Inaczej byłbym był Kalibanami
 Zaludnił wyspę.

PROSPERO.

Nędzny tworze, w którym
 Dobrych skłonności nie ma ani śladu,
 A wszelkie złe się krzewią! jam miał litość

Nad twoim stanem; nie szczędziłem trudu,
 By cię nauczyć mówić; co godzina
 Umysł twój wzbogacałem. Gdys w dzikości
 Nie wiedział nawet sam, czego pragnąłeś,
 Tylkoś mamrotał jak zwierzę, jam w usta
 Włożył ci słowa do oddania myśli.
 Ale w skażonej twej naturze tkwiło,
 Mimo nauki, coś, z czem szlachetniejsze
 Usposobienia nie mogły się zgodzić:
 Zostałeś przeto słusznie osadzony
 W tej skale, luboś właściwie zasłużył
 Na coś gorszego niż więzienie.

KALIBAN.

Z mowy,
 Której się, dzięki tobie, nauczyłem,
 Tyle mam zysku, że przeklinać umiem.
 Niechaj zaraza na cię spadnie za tę
 Twoję naukę!

PROSPERO.

Precz szatańskie plemię!
 Przynieś drzazg, śpiesz się, bo cię jeszcze czeka
 Inna robota. Wzruszasz ramionami?
 Słuchaj. ladaco: jeśli mi zaniedbasz,
 Albo niechętnie spełnisz, co ci każę,
 To cię nabawię pedogryecznych bólów
 I darcia w kościach, tak, że ryczeć będziesz,
 I rykiem swoim przerażać zwierzęta.

KALIBAN.

O, nie czyn tego, błagam. (*Na stronie*). Muszę uledez,
 Bo on jest tak potężny, żeby zdołał
 Zmóżdż i ujarzmić samego Seteba,
 Boga mej matki.

Wreszcie jako próbka stylu poważnego a wysokiego
 niech służy ta przemowa, którą Prosper żegna swoją wyspę
 i wszystkie podległe sobie stworzenia:

PROSPERO.

Sylfy pagórków, strug, jezior i gajów
 I wy, co śladów niezostawiającą

Stopą ścigacie po morskich wybrzeżach
 Neptuna, kiedy odpływa, a kiedy
 Wraca, pierzchacie; drobne półistotki,
 Co przy promieniu księżyca tworzycie
 Zielone krążki, kwaśne w smaku, których
 Owce gryść nie chcą, albo grzybki nocne;
 Co się odgłosem wieczornego dzwonka
 Rozkoszujecie; przy pomocy których,
 Lubo tak wątych, zaćmiewałem słońce
 W samo południe, rozpasane wichry
 Wywoływałem, zmagłem do walki
 Zielone morze z lazurowym stropem,
 Straszliwe grzmoty uzbrajałem ogniem,
 I Jowiszowe dęby własnem jego
 Berłem kruszyłem, wstrząsałem warownie,
 Posady lądu i wykorzeniałem
 Sosny i cedry; coście byli świadkiem,
 Jak na mój rozkaz groby przebudzały
 Uśpionych swoich mieszkańców,
 I za mą sprawą stanąwszy otworem,
 Z łona ich swego puszczały; — wam wszystkim
 Wiadomo czynię, że się odtąd rzekam.
 Tego ciemnego potężnego kunsztu.

Dwaj panowie z Werony to starzy znajomi od lat przeszło dziesięciu, znajomi z pierwszego tomu przekładów p. Stanisława Koźmiana. Za nimi idą *Figle Kobiet* — tak bowiem pan Paszkowski nazwał *The merry wives of Windsor*. Czy dobrze nazwał? nie śmiemy orzekać, ale to wiemy, że dotychczasowe polskie przerobienia tego tytułu, *Puste Kobiety* lub *Wesołe Kumoszki z Windsoru* nie zupełnie także przypadały nam do smaku. Epitet *pustych* nie przypada ani do angielskiego *merry*, ani do wieku i humoru tych kobiet, które są wesołe, ale na pustoty za dojrzaie. A *kumoszki*, to także nie dla nich nazwa, bo tę dają sobie gospodynie ze wsi, przekupki, żony wyrobników lub rzemieślników, ale nie takie bogate obywatelki, których mężowie mają kamienice, zapewne jakiś handel, może i urząd sędziego pokoju, ławnika lub może nawet burmistrza; słowem, tytuł tej komedyi, prawda, że do

przetłómaczenia na polskie trudny, bo nie mamy nic coby tak dobrze oddawało odcień oryginału, jak niemieckie *Lustige Weiber* lub francuskie *Joyeuses Commères*, tytuł ten dotąd dobrze przetłómaczonym nie jest. Ale mniejsza o tytuł. Przeciwnie komedyi samej nie mielibyśmy nic, przynajmniej nie ważnego: za to znajdujemy błędy rażące, krzyczące, tam gdzieby ich najmniej można się spodziewać i obawiać, w spisie osób. Nie chce się wierzyć swoim oczom, widząc nazwisko *Page* przetłómaczone na polskie Paż — *pan Paż, pani Paż*, (czemuż już nie Paziowa? i *panna Anna Paż* (czy Paziówna). Że *page* znaczy na polskie *paż*, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. ale w tym razie *Page*, jak wskazuje sama wielka litera na początku, jest imieniem własnem, a imiona własne nawet kiedy coś znaczą, nie tłómaczą się na obcy język. Ale jeżeli to da się nie usprawiedliwić, lecz mylnem zapatrywaniem wytłómaczyć, to tego już żadną miarą zrozumieć nie można, dlaczego tłómacze zastępują nazwiska angielskie nadane osobie przez Szekspira, innem angielskiem przez siebie wymyślonem? *Ford* i jego żona figurują w naszym przekładzie jako *pan Wud* i *pani Wud*. Dlaczego? Gdyby jeszcze to nazwisko było trudnem do wymówienia, możnaby domyślać się jakiegoś zrozumiałego powodu, ale dalibóg łatwiej wymówi się *Ford* niż *Wud*. I dlaczego *Wud* właśnie? czemu nie *Pud*, albo *Gud*, albo *Bud*, albo cokolwiek innego? Dlaczego tak bez potrzeby, bez najmniejszego powodu, jak żeby naumyślnie odstępować od oryginału, a tem odstąpieniem szpecić bardzo dobre tłómaczenie? Dlatego, że Niemcy tę biedną panię *Ford* przechrzcili na *Frau Fluth*? Że oni źle zrobili, to nas nie usprawiedliwia, a jeżeli już oni mają być naszą wymówką i naszym wzorem, to lepiej już było trzymać się tego wzoru i zestawić niemieckie nazwisko *Fluth* a z niem niemieckim tłómaczom i odpowiedzialność za zmianę. A najlepiej było nie tykać oryginalnego nazwiska. Na widok tych *Paziów* i *Wudów* przejęła nas taka zgroza, że *pani Kwikli* (prawda, że nie po raz pierwszy widziana) już nas prawie nie zgorszyła. A to jeszcze nic; jest coś gorszego. Czy uwierzysz czytelniku, że te dwie wesołe czy puste kobiety czy kumoszki, które znasz tak dobrze, żona, o którą *Ford* jest tak zazdrosny, i ta druga, matka rodziny, matka *Anny Page*, są obie pannami? Nie wierzysz?

zajrzyj do spisu osób tej komedyi w polskim przekładzie dzieł Szekspira, a zobaczysz czarno na białem i jasno jak słońce **Miss Wud** i **Miss Paż**. Czyż wydawcy nie wiedzieli, że *miss* to panna, i że mężatka to nie panna? i że mężatka w Anglii nie używa tytułu *Miss* ale *Mistress*? Do nich należało poprawić tę pomyłkę tak małą a tak ogromną, jeżeli ją tłómacz jakimś niepojętym sposobem popełnił, i na nich spada odpowiedzialność. Należało napisać po prostu, po polsku: *pani* Page i *pani* Ford, a jeżeli nie, to tak jak piszą Anglicy *Mistress*. Ale jeżeli nas domysł nie zawodzi, to kolosalna śmieszność tej pomyłki musi być skutkiem tej nieszczęśnie przyjętej (choć niekonsekwentnie zachowywanej) zasady naśladowania angielskiej wymowy polską ortografią. Jak wiadomo, *mistress* wymawia się w całym swoim brzmieniu tylko, kiedy podwładni mówią do swoich pań, a w innych razach *t* i *r* gdzieś się podziewa, a zostaje jakieś niewyraźne *missis*, czy coś podobnego. Czy nie to brzmienie czasem naśladować chciało? a że ono jest tak niewyraźne, tak skrócone i ściśnięte, że Anglicy sami literami dokładnie wypisać go nie mogą, więc obcięto jego drugą połowę, zostawiono pierwszą i w ten sposób z kobiet zameężnych i matek zrobiono dwie panny. Nie brzydszego, jak mówić złośliwie *a widzisz*, kiedy ktoś źle wyszedł na tem, że naszych rad nie słuchał: ale nie możemy wstrzymać się od uwagi, że śmieszność ta, której pierwsi i najserdeczniej żalujemy, wychodzi na stwierdzenie słuszności naszych zdań i przestróg. Od dziesięciu lat, bo od wyjścia pierwszego tomu tłómaczeń pana Koźmiana, prosiliśmy i błagaliśmy, żeby pięknych i cennych rzeczy nie szpecić małemi brzydotami i nie naśladować brzmień angielskich polską ortografią, ale zostawić nazwiskom ich własną. Głos wołający na puszczy nie przekonał nikogo, zasada (chcielibyśmy prawie powiedzieć *mania*) polszczenia utrzymała się w najlepsze i darzyła nas *Uorekami* i *paniami Kwikli*, aż wreszcie siłą rzeczy doprosiła się sama do niedorzeczności, kiedy z żon i matek porobiła panny. Miejmy nadzieję, że się tem przynajmniej sama raz na zawsze zabije, i że w drugim (które daj Boże) wydaniu znikną te nieprzyjemne i brzydkie skazy, któremi obecne zepsute jest tak niepotrzebnie, tak bez powodu, a już bez ra-tunku.

Znowu o tytuł kłócić się musimy, tym razem z panem Ulrichem. *Miarka za Miarkę*? co to znaczy? po jakimu to? czy jest jakie polskie przysłowie lub polski sposób mówienia, któryby do tego był podobny? Jest zapewne: ale jeżeli tłómacz chciał koniecznie zachować *miarkę*, to powinien był napisać: *Jaką miarką mierzysz*, choćby był dla krótkości i opuścił dalszy ciąg: *taką będzie ci odmierzono*; czytelnik byłby się już domyślił, o co chodzi, byłby poznał zbyt znane przysłowie. Ale i tego nie było potrzeba. Wszakże jest wyrażenie doskonałe, zawsze w ustach każdego, do angielskiego *Measure for Measure* przystające jak druga rękawiczka z tej samej pary, to *Wet za Wet*, wskazany, naturalny, jedyny dobry tytuł polski dla tej komedyi, i nieraz już używany nawet, (nie dalek jak w rozprawie hr. Kazimierza Stadnickiego). Dlaczego pan Ulrich go nie użył? Chyba przez zapomnienie, przez roztargnienie, bardzo naturalne u człowieka, który nad tłómaczeniem strawił tyle czasu i zadał sobie tyle trudu, że chwilami może już nie dojrzeć tego co najbliższe i najprostsze. W spisie osób znajdujemy *panią Przepieczoną* (Mrs. Overdone), z którą nasz sposób myślenia tak samo zgodzić się nie może, jak niegdyś z *panią Żwawińską*. Ale przekład sam tej komedyi, która nie należąc do najcelniejszych, musi, jak sądzimy, należeć do bardzo trudnych przez mnóstwo conceptów, przekręceń, dwuznaczników, któremi jest naszpikowana, wydał nam się bardzo dobrym. Komedia zaś sama, choć jej do innych daleko, ma swoje ustępy bardzo piękne, a ten romantyczno-filozoficzny książę, który udaje daleką podróż, żeby z klasztor-nego ukrycia śledzić co się w jego kraju dzieje, miewa czasem choć młody takie myśli głębokie, spokojne a smutne, jak żeby z habitem był włożył na siebie i wiek i doświadczenie Lorenza z Romea i Julii. Oto naprzykład piękne i pięknie przetłómaczone jego kazanie o marności tego świata do skazanego na śmierć Kłaudia:

KSIAŻĘ.

Na śmierć się gotuj, a śmierć albo życie
 Słodsze ci będą. Z życiem tak rozumuj:
 Jeśli cię stracę, stracę rzecz, o którą
 Jeden się tylko może głupiec troszczyć.

Bo czemuż jesteś? Tylko lekkim technieniem,
Wszystkich niebieskich wpływów niewolnikiem,
Swoj dom co chwila boleścią napełniasz.
Tylko igraszką śmierci jesteś wieczną,
Całą twą troską, jak od niej uciekać,
A uciekając, do niej tylko lecisz.
Wszelka szlachetność daleko od ciebie,
Bo pospolitość wszystkich twych rozkoszy
Jest rodzicielką; nie masz i odwagi,
Bo drżysz przed żądłem lichego robaka;
Sen jest najlepszym twoim wypoczynkiem,
Często go szukasz, a przecie niekazemnie
Śmierci się lękasz, która snem jest tylko.
Nie jesteś samo sobą, bo cię składa
Tysiąc atomów z prochu wydzielonych.
Na chwilę nawet nie jesteś szczęśliwe,
Bo gonisz za tem, czego nie posiadasz,
A nie dbasz o to, co w twem posiadaniu.
Nie jesteś stałe, każdy bowiem księżyc
Dziwne przemiany w tobie wywołuje.
Jesteś ubogie, choć bogactwa dzierzysz,
Bo jako osieł pod złotem się gnący
W krótkiej podróży niesiesz ciężkie skarby,
Aż śmierć je zdejmie; nie masz przyjacieli,
Bo twe wnętrzości, które zwą cię ojcem,
Ten czysty wpływ własnych swoich lędźwi,
Klnie trąd, podagrę, febry i katary,
Że tak powoli do końca cię wiodą;
Nie masz młodości ni starego wieku,
Ale podobne do snu po obiedzie
Jesteś ich tylko przelotnem marzeniem;
Bo twoja młodość, jak wiekowy nędzarz
Koślawych starców o jałmużnę prosi,
A gdy bogactwo przyjdzie ze starością,
Nie masz piękności, ognia, uczuć, członków,
Aby bogactwo wdzięki jakie miało.
Cóż się więc mieści w tem, co zwiemy życiem?
O, tysiąc śmierci w tem się życiu kryje,

A my, szaleni, śmierci się lękamy,
Co wkońcu godzi wszystkie te sprzeczności.

Może to bardzo zły gust, ale jeżeli tak, to musimy pokornie uderzyć się w piersi, przeprosić, i wyznać, że dość lubimy *Komedyę Omyłek*. Qui pro quo, to środek komiczny strasznie naciągany, zawsze sztuczny i niesmaczny, a dziś już tak zużyty, że go bez wstępu prawie widzieć nie można? Prawda, ale przecież czasem dobrze użyty, może sprowadzić zapewne zawikłania i sytuacje, a tak zręcznej i naturalnej razem płataniny pomyłek jak tutaj, nie ma może nigdzie, ani może nawet w komedii hiszpańskiej, która tak lubi tego rodzaju intrygi. Tłómaczem był znowu pan Ulrich.

Ale za wszystkie swoje poświęcenia dostała mu się jedna przynajmniej nagroda: dostała mu się do tłumaczenia nie najbardziej poetyczna, ale najbardziej ludzka, najdowcipniejsza z komedii Szekspira, a przytem niezawodnie jedna z najgłębszych i najwdzięczniejszych zarazem: *Wiele Hałasu o Nic*.

Co za perła! W całej literaturze świata niema drugich dwóch figur tak dowcipnych i tak poprostu, pocziwie, sympatycznie dowcipnych, jak Benedykt i Beatrice. U samego Figara dowcip miesza się z tysiącem różnych pierwiastków, z ironią, z opiniami politycznymi, z filozofią — tu jest sam przez się, sam dla siebie, sam sobą, swobodny, wolny od wszelkich ubocznych myśli i celów: oni są weseli i dowcipni tak jak kwiaty kwitną i pachną, dla niczego, dla siebie, bo muszą. Znamy, a niektórzy z czytelników Przeglądu może sobie przypomną, mały rozbiór tej komedii ogłoszony w naszym piśmie w roku jeszcze 1872, z powodu jakiegoś jej teatralnego przedstawienia. Nie wypada to może chwalić własnego pisma a tem bardziej własnych przyjaciół, ale znowu pisząc o różnych u nas w Polsce nad Szekspirem pracach, ma się prawo a nawet i obowiązek wspomnieć o tej recenzji, która napisana od niechcecia a zagubiona dziś między starymi teatralnymi sprawozdaniami, zasługiwałaby na to, żeby ją przedrukować i od zapomnienia uratować, bo w swoich małych rozmiarach i skromnych pozorach jest niezawodnie jedną z rzeczy najładniejszych i najtrafniejszych, jakie kiedykolwiek po polsku o Szekspirze napisano. Jak bystro odkrył, jak subtelnie odcieniował autor

(pan Stanisław Koźmian mł.), różnicę uczuć tych dwóch młodych par w komedyi, z których jedna kocha się na prawdę, a druga myśli że się kocha, kiedy sobie tylko z różnych innych względów dogadza i odpowiada. „Jednocześnie“ — mówi on — „z pełnym prawdy i uczucia romansem między Beatrice i Benedyktem, odbywa się konwencyonalna konkurencya Claudia o Hero. To przeciwstawienie nie jest nigdzie „wyraźnie orzeczone, a przecież jest namacalne. Między Beatrice a Benedyktem grają prawdziwe uczucia, między Hero a Claudioem względy światowe. Claudio chcąc się oświadczyć „o Hero pyta przedewszystkiem: „Czy ona jest jedyną dziewcziczką Leonata?“ A Hero, typ bogatej wychuchanej jędynaczki, w skutku pomyłki mniema przez chwilę, że się o nią „starać będzie sam książę i mile jej się to uśmiecha: lecz gdy „wywiedziona jest z błędu bez wahania i natychmiast oddaje „rękę Claudiovi, a nie mogąc za księcia, idzie za faworyta „księcia, za młodego, pięknego, świetnego Claudia! Jedyną z niepospolitych piękności tej komedyi, jest właśnie „to przeciwstawienie charakterów Beatrice i Hero, Benedykta „i Claudia, przeciwstawienie uczucia prawdziwego, nastroszeniu „się na uczucie, małżeństwa ze skłonności, małżeństwu z *konwenansu*. Ztąd także pochodzi forma zewnętrzna romansu „między jedną a drugą parą. Z jednej strony sentymentalizm „nie wolny oczywiście od deklamacyi, konwencyonalne oświadczenia uczuć: z drugiej żywa gra uczuć, bez deklamacyi „i napuszonych frazesów, pełna swobody, wesołości... i t. d.“ Jak tę różnicę charakterów i uczuć wykazuje autor recenzyi na całym przebiegu sztuki, jak ślicznie i *con amore* umie pokazać i pozyskać sympatyą dla swoich ulubionych figur Benedykta i Beatrice..... Żal nam tylko, że nie możemy tu całej jego rozprawki przytoczyć. Ale o tłumaczenia Szekspira chodzi nam głównie, wracajmy do tłumaczeń. Trzeba być wielkim mistrzem, żeby przekładając na obcy język tę wojnę na dowcipy, które się tu sypią jak nieustanny fajerwerk, dowcipu nie stępić, a znowu żeby głupstwa nieocenionego Dogberry nie popsuć, nie zrobić broń Boże mniej głupiem. To ostatnie zadanie udało się panu Ulrichowi świetnie. *Dogberry* wprowadzie nazywa się *Ciarką* a jego pomocnik *Verges Kwaskiem*,

(o to się już spierać nie będziemy) — ale kretynizm ich świeci w przekładzie w całej swojej okazałości:

CIARKA.

Czy nasza kurperacya już w komplecie?

KWASEK.

Hej tam! przynieść krzesło i materacyk dla Zakrystyana.

ZAKRYSTYAN.

Gdzie są winowajcy?

CIARKA.

Także pytanie! Ja i mój kolega.

KWASEK.

Nie ma wątpliwości, mamy egzaminować indagacyą.

ZAKRYSTYAN.

Lecz gdzie są delikwenci, których mamy indykować? Niech się stawia przed panem porucznikiem.

CIARKA.

Tak jest, niech się stawia przed moją osobą. Imię twoje, przyjacielu?

BORACHJO.

Borachjo.

CIARKA.

Zapisz, proszę, Borachjo. A twoje, mopanku?

KONRAD.

Jestem szlachcie, Panie poruczniku, a nazywam się Konrad.

CIARKA.

Zapisz: pan szlachcie Konrad. Czy służycie Bogu, mopankowie?

KONRAD I BORACHJO.

Tak jest, tak się nam zdaje przynajmniej.

CIARKA.

Zapisz: że im się zdaje, że służą Bogu. Napisz Bogu w pierwszej linii, bo uchowaj Boże, aby Bóg nie stał wyżej takich hajdamaków. Mopankowie, już jest tak dobrze jak dowiezione, że nic z was lepszego jak wierutne lotry, a wkrótce rzecz ta prawdopodobną się okaże. Co macie do powiedzenia na wasze usprawiedliwienie?

KONRAD.

Co mamy do powiedzenia? Mamy do powiedzenia, że nie jesteśmy nimi wcale.

CIARKA.

Nie lada éwik z tego jegomości, prawdziwie; ale przyjdzie na niego kolej. Pójdź tu sam, mości panie, mam ci coś powiedzieć do ucha; mówię ci, iż ludzie myślą, że wierutne z was łotry.

BORACHJO.

A ja ci powtarzam, panie poruczniku, że nie jesteśmy nimi wcale?

CIARKA.

Bardzo dobrze. Odstap na stronę. Przez Boga żywego, to zmowa wyraźna. Czy zapisałeś, że nie są nimi wcale?

ZAKRYSTYAN.

Panie poruczniku, złą wzięłeś drogę do indagacyi; należy powołać straż, która ich oskarża.

CIARKA.

Na uczciwość, to najkrótsza droga. Zawołać straż. Mości panowie, wzywam was w imieniu Książęcia, abyście ludzi tych oskarżyli.

PIERWSZY STRAŻNIK.

Człowiek ten powiedział, Panie poruczniku, że Don Juan, brat książęcy jest łotrem.

CIARKA.

Zapisz: Książę Don Juan, łotr. Kto zaprzeczy, że to jasne jak dzień krzywoprzysięstwo, nazywać łotrem brata książęcego.

BORACHJO.

Panie poruczniku —

CIARKA.

Mopanku, milcz, jeźli łaska. Nie podoba mi się twoja mi-na, możesz mi wierzyć.

ZAKRYSTYAN.

Co słyszałeś więcej?

DRUGI STRAŻNIK.

Słyszałem, że dostał tysiąc dukatów od Don Juana, aby fałszywie oskarżyć panią Hero.

CIARKA.

To wyraźny rozbój, jakiego jeszcze nigdy nie widziano.

KWASEK.

To rozbój, na honor.

ZAKRYSTYAN.

Co więcej?

PIERWSZY STRAŻNIK.

Że hrabia Klaudyo, na jego zaręczenie, postanowił zbeszcześcić Hero w przytomności całego zgromadzenia i nie pojąć jej za żonę.

CIARKA.

O, łotrze! skazany będziesz za to na wieczne zbawienie.

ZAKRYSTYAN.

Co jeszcze?

DRUGI STRAŻNIK.

Nic więcej.

ZAKRYSTYAN.

A to jest więcej, niż możecie zaprzeczyć. Tej nocy Książę Don Juan opuścił miasto ukradkiem; Hero w ten właśnie sposób była oskarżona, w ten właśnie sposób odrzucona, a z bólesci nagle umarła. Panie poruczniku, każ tych ludzi związać i poprowadzić do Leonata, ja ich tymczasem poprzedzę, aby mu naszą indagacyą pokazać.

(Wychodzi).

KWASEK.

Dalej, okuć ich w dyby.

KONRAD.

Precz ztąd, kapcany!

CIARKA.

Boże nieśmiertelny! Gdzie Zakrystyan? Niech zapisze, że książeccy urzędnik jest kapcan. Żwawo, w kij ich wsadzić. A ty hultaju!

KONRAD.

Precz mi! co za osieł! co za osieł!

CIARKA.

Czy ty nie domyślasz się mojej godności? Czy ty nie domyślasz się mojego wieku? O, czemu go tu nie ma! czemu go tu niema! żeby zapisał, żem osieł! Wy przynajmniej, mości panowie, nie zapomnijcie, żem osieł; choć rzecz niezapisana, pamiętajcie, żem osieł. Ty zaś, hultaju, pobożna z ciebie sztuka, jak ci tego dobrzy świadkowie dowiodą. Dzięki Bogu, nie jestem

głupi; co większa, jestem urzędnik; co większa jestem pensyjonat; co większa, jestem sztuka mięsa, jakiej w całej Messynie nie znajdziesz, a prócz tego znam prawo, bądź spokojny; a prócz tego nie jestem bez grosza, bądź spokojny; choć poniósłem pewne straty, mam jeszcze dwa płaszcze i niemało pięknych rzeczy mam na mojej osobie. Wyprowadzić go! O, gdyby był zapiśnięt, żem osieł!

(*Wychodzą*).

Tamto drugie, walka dwóch ostrych języków i dwóch głów szalenie wesołych, było oczywiście nierównie trudniejszym. Ale oprócz małych pomyłek nie wiemy coby tłómaczeniu tych scen zarzucić. Te pomyłki, a może nawet nie pomyłki, tylko nam jakoś nie mile brzmiące zwroty lub wyrażenia są następujące:

W pierwszym akcie książę rozkazuje coś Benedyktowi na jego *maństwo*, wyraz wprowadzie przez dawnych pisarzy używany, ale dziś tak już zapomniany, że w jego miejscu wolelibyśmy widzieć „lenniczą“ albo „poddaniczą powinność.“ *Abordować* (akt II. sc. I). to już z pewnością słowo ani dobre ani stare ani polskie. Że w pierwszym akcie Benedykt nazywa Beatrice *panią Wzgardnicką* (*Lady Disdain*), a w piątym Klaudia *panem Bezbrodnickim* (*Lord Lackbeard*), to naszym zdaniem jest w najlepszym razie wątpliwej wartości. Imiona własne polskie rażą nas zawsze w tych cudzoziemskich komedjach, i wolelibyśmy powiedzieć po prostu *Gołowąs* niż wymyślać to po polsku na *cki* zakończone nazwisko. Za to *polonez*, *mazur*, i *kozak* (Akt II sc. I) wydają nam się usprawiedliwione, bo trudno było tłómaczyć nazwiska jakichś przedwiecznych angielskich tańców, które nazw swoich w polskim języku oczywiście nie mają. Jest tam jeszcze jakieś „*serce biedziątko*“ niesmaczne, jakieś zupełnie niezrozumiałe „*posuwaj krowę*“. (Klaudio do księcia, kiedy Benedykt podsłuchuje ich rozmowy) — oto podobno wszystko lub prawie wszystko co nam się wydaje niedobrem lub niepewnie dobrem. A czy Beatrice i Benedykt zachowali w tym przekładzie swój humor, fantazyją, i swój cięty dowcip, o tem niech czytelnik sam sądzi z wyjątków.

LEONATO.

Czy Księżę Juan był na uczcie?

ANTONIO.

Nie widziałem go.

BEATRYKS.

Co za kwaśną miał minę! Ile razy go widzę, przez godzinę pali mnie zgaga.

HERO.

Nadzwyczaj melancholiczny ma charakter.

BEATRYKS.

Doskonały byłby to człowiek, któryby środek trzymał między nim a Benedyktem. Jeden zbyt podobny do obrazka, nie nie mówi, drugi, jak najstarszy syn jejmości, ciągle paple.

LEONATO.

Tak więc pół języka signor Benedyka w gębie księcia Jana, a pół melancholii księcia Jana w twarzy signor Benedyka —

BEATRYKS.

A do tego piękna stopa i pewna noga, wujaszku, i mieszek nie pusty, taki mężczyzna podbiłby serce każdej kobiety — byle na jej względy potrafił zarobić.

LEONATO.

Na uczciwość, synowico, nie znajdziesz nigdy męża, jeśli tak będziesz ciągle siekła językiem.

ANTONIO.

Zbyt złośliwa, na honor.

BEATRYKS.

Zbyt złośliwa, to więcej niż zła; ja też zmniejszą złe dane od Boga; bo powiedziano jest: zły krowie Bóg daje krótkie rogi, ale krowie zbyt złośliwej nie da żadnych.

LEONATO

Że więc jesteś zbyt złośliwą, Bóg nie da ci rogów.

BEATRYKS.

Bez wątpienia, jeśli mi nie da męża, błogosławieństwo — o które go co wieczór i co rano na kolanach proszę. Panie! nie mogłabym znieść męża z brodą na twarzy; wołałabym raczej spać na wełnie.

LEONATO.

Możesz dostać męża bez brody.

BEATRYKS.

A cóżbym mogła z nim zrobić? Ubrać go w moje suknie i zrobić go moją pokojówką. Kto ma brodę, jest więcej niż dzieciuch, a kto jej niema, mniej jest niż mąż; a kto jest więcej niż dzieciuch, nie jest dla mnie, a kto jest mniej niż mąż nie jestem dla niego. Gotowa więc jestem przyjąć szóstak jako zadatek od niedźwiednika i wszystkie jego małpy zaprowadzić do piekła ¹⁾).

LEONATO.

Do piekła więc pójdziesz?

BEATRYKS.

Nie, tylko do bram piekielnych. Tam, na moje spotkanie wyjdzie djabeł, stary rogal, z rogami na czole, i powie: „Idź do nieba, Beatryks, idź do nieba, nie ma tu miejsca dla was dziewic.“ Wręcę mu więc moje małpy i dalej do świętego Piotra, do nieba, on mi pokaże, gdzie przebywają kawalerowie, i tam żyć będziemy wesoło jak dzień długi.

ANTONIO (*do Hero*).

Ty przynajmniej, synowico, dasz się kierować radom twojego ojca.

BEATRYKS.

Bez wątpienia; powinnością mojej kuzynki dygnać pokornie i mówić: jak ci się podoba; ale mimo tego, kuzynko, niech to będzie kraśny chłopiec, bo inaczej, dyg drugi, i słowa: ojcze, jak mnie się podoba.

LEONATO.

Mów, co ci się podoba, ja ani wątpię, że i ty znajdziesz w końcu męża.

BEATRYKS.

Nigdy, dopóki Bóg nie ulepi mężczyzny z innego metalu jak ziemia. Nie byłoby to upokorzeniem dla kobiety dać się rządzić garstce zuchwałego prochu? zdawać rachunek ze swojego postępowania bryle zrzędnego marglu? Nie, wujaszku, nie chcę. Synowie Adama są moimi braćmi; grzechem mi się wydaje, szukać męża między rodzeństwem.

¹⁾ Stare panny, wedle dawnego angielskiego przysłowia, po śmierci prowadziły małpy do piekła.

LEONATO.

Nie zapomnij, córko, co ci mówiłem. Jeśli ci książę podobne zrobi oświadczenie, wiesz, co masz mu odpowiedzieć.

BEATRYKS.

Będzie winą muzyki, kuzynku, jeśli książę nie zachowa miary w konkurach. Gdyby przypadkiem za ostro nastawał, powiedz mu, że jest miara we wszystkim i wytnij mu w miarę odpowiedź. Bo słuchaj mnie, Hero, umizgi, ślub i żal, to jest mazurek, polonez i kozak. Pierwsze oświadczenie jest gorące i namiętne, jak mazurek pełne fantazyi i ognia; zaślubiny uroczyste i skromne, jak polonez, pełne senatorskiej powagi; aż przychodzi żal, który na krzywych nogach coraz żwawiej i żwawiej wywija kominki, aż w grób zapadnie.

LEONATO.

Czarno widzisz rzeczy, moja synowico.

BEATRYKS.

Dobre mam oczy, wujaszku, i póki widno, mogę obaczyć kościół.

LEONATO.

Przychodzą maski; zróbmy im miejsce, bracie.

A tu znowu Benedykt wyśmiany przez Beatrice pod maską, zawstydzony, i zły na siebie i na nią:

DON PEDRO.

Beatryks nie na żarty gniewa się na ciebie. Szlachcic, który z nią tańczył, powiedział jej, że ją ciężko pokrzywdziłeś.

BENEDYK.

To ona pomiatała mną jak ostatnim; pniak by tego nie wytrzymał. Dąb, z jednym zielonym liściem na wierzchołku, ofuknąłby się. Maską nawet moja zaczęła do życia przychodzić i z nią się borukać. Powiedziała mi, nie myśląc że do mnie mówi, że byłem błaznem książęcym, nudniejszym od wielkich roztopów. Szyderstwo za szyderstwem z taką miotała na mnie zręcznością, że stałem jak trusia przy celu, do którego strzela cała armia. Sztylety z ust jej wychodzą, każde jej słowo przebija. Gdyby jej oddech tak był jadowity jak jej wyrazy, ani podobna byłoby żyć w jej sąsiedztwie; zarazilaby powietrze do północnego bieguna. Nie chciałbym jej za żonę, choćby miała

w posagu wszystko, co posiadał Adam przed grzechem. Onaby zmusiła Herkulesa do obracania różna i do połupania własnej maczugi na szczypcy. Lecz dosyć tego; nie mówmy o niej. To furja piekielna w wielkiej toalecie. Dałby Bóg, żeby ją jaki mędredek zażegnał, bo póki ona jest na ziemi, łatwiej znaleźć pokój w piekle niż tu w kaplicy, i ludzie gotowi grzeszyć naumyślnie, żeby się tam dostać co prędzej. Niepokój, zgroza i zamieszanie idą za jej śladem.

(*Wchodzą Klaudyo, Beatryks, Leonato i Hero*).

DON PEDRO.

Patrz, to ona.

BENEDYK.

Czy nie raczy Wasza Łaskawość wysłać mnie w służbowych interesach na koniec świata? Gotów jestem za lada sprawą pośpieszyć do Antypodów; pójdę ci po piórko do zębów za ostatnie krańce Azyi; przyniosę ci dokładną miarę stopy księdza Jana, albo włos z brody wielkiego Hana; podejmę się poselstwa do pigmejczyków, wszystkiego raczej niż wytrzymać trzy słowa rozmowy z tą harpią. Czy nie masz żadnych dla mnie zleceń mości Książę?

DON PEDRO.

Żadnych; pragnę jedynie twojego przyjemnego towarzystwa.

BENEDYK.

Jest tu potrawa, Panie, wcale mi nie do smaku. Nie jestem w stanie znieść pani języka.

(*Wychodzi*).

Stracone Zachody Miłości — (dla czego stracone, kiedy za rok oczywiście wszystkie cztery panny pójdą za swoich konkurentów?) — przetłomaczone są znowu, i bardzo dobrze, przez pana Ulricha. *Sen Nocny Letniej*, tłumaczenia pana Koźmiana zyskał wiele w tem powtórnem wydaniu. W ogóle został on takim jakim się ukazał lat temu jedenaście, a był już bardzo dobrym. Ale były wtedy pewne drobne usterki, które go szpeciły, a których dziś z wielką radością jużśmy nie dostrzegli. Poddani Oberona i Tytanii nie są już, jak wtedy, *wieszczkami*, ale noszą swoje rodzinne i właściwe tytuły *Elfów* i *Sylfów* — ich pieśń nad usypiającą Tytanią zmieniła się także na korzyść. Słowem, jeżeli w ogóle powtórzyć musimy,

cośmy przed laty o tym przekładzie pisali, to jest, że choć nie ma całej lekkości i całego wdzięku oryginału, to z pewnością nie ma ich mniej od sławnych i za doskonałe uznanych tłumaczeń niemieckich, to możemy co do szczegółów ówczesne nasze zdanie zmienić, i powiedzieć że nie widzimy już dziś tego co nam się podówczas trochę nie podobało. Uważamy za swój obowiązek przytoczyć parę wyjątków, które lepiej od naszych zapewnień przekonają każdego o wysokich zaletach przekładu.

PUK.

Witajże, duchu! dokąd to wędrujesz?

ELF.

Przez wzgórza, rozłogi,
Przez krzaki, przez głogi,
Przez płoty, ogrody,
I ognie i wody,

Lot mój, lżejszy od promyka,
Prędzej niż księżyc pomyka.
Ja z królową elfów chodzę
Skrapiać kępki po rozłodze.
Patrz, pierwiosnki, dworzan rotę;
Cętki zdobią strój ich złoty,
To rubiny, w których łonie.
Z daru elfów, wonność płonie.

Tym jej dworzanom, skoro rosę zbiorę,
Każdemu perlę na uchu zawieszę.
Bądź zdrow, cudaku. Muszę zdążyć w porę.
Wnet tu królowa zwoła elfów rzeszę.

PUK.

Dziś tu król nocne wyprawia igrzysko.
Strzeż, by Tytania nie weszła za blisko.
Gdyż on w strasliwym trwa ku niej zawzięciu,
Że wykradzione indyjskiemu księciu
Śliczne pacholę skryła w swe orszaki.
Nie służył u niej jeszcze pieszczoch taki.
Oberon, chciwy i w zazdrości skory,
Chce go mieć giermkim do wycieczek w bory.

Lecz ona gwałtem odmawia chłopczyny,
 Stroi go kwieciami jakby skarb jedyny.
 Ztąd gdy się zejda w gaju lub na łące,
 Przy czystym źródle, gdy skrzą gwiazdy drżące,
 Taki spór wiodą, że elfy co raźniej
 W kubki żółędne kryją się z bojaźni.

ELF.

Jeśli mnie postać i głos twój nie łudzi,
 Tyś figlarz, psotnik, tak zwany u ludzi
 Robin Dobry-Druł. Powiedz, czy się mylę?
 Ty to wieśniaczkom płatasz figlów tyle,
 Skradasz śmietankę, w żarnach stroisz harce,
 Masła wyrobić zdyszanej mleczarce,
 Drożdżom musować nie pozwalasz w trunku,
 Zwiódłszy — drwisz z nocnych wędrowców frasunku.
 Kto Hobgoblinem, lubym Pukiem zwie cię,
 Temu usłużysz, dasz szczęście na świecie.
 Czy zgadłam?

PUK.

Zgadłaś. Jam to żartobliwy
 Nocy wędrowiec. Ja wyprawiam dziwy,
 Ja bawię króla, daję śmiechu hasło,
 Gdy rżąc jak żrebię zwiode klacz opasłą
 Na tłustym bobie. Czasem znów mnie plotka
 Na dnie swej szklanki skrytego napotka
 W suszonym jabłku, a gdy łyka duszkiem,
 Nagle ją w usta utnę tem jabłuszkiem,
 I zwiędłe łono zleje piwa strugą.
 Gdy mądra ciocia prawiąc powieść długą,
 Ku mnie jak w stołek gnie swe ciężkie brzemię,
 Umknę się z pod niej, baba brzdęk na ziemię,
 Krztusi się, kaszle, krzyczy: *Czort nie stołek!*
 Pęka od śmiechu grono przyjaciołek
 Z uciechy parska, gzi się i zaklina,
 Że nigdy milsza nie przeszła godzina.
 Otóż Oberon. Uchodź. Ja nie mogę.

ELF.

A tu Tytania. Pocóż wszedł nam w drogę!

A to znowu locus classicus, sławny choć może nie ze
wszystkiem zasłużony komplement dla królowej Elżbiety:

Mój luby Puku, zbliż się. Wszakże pomnisz,
Jak raz ze szczytu przyłądka słuchałem
Syreny, która na grzbiecie Delfina
Nuciła głosem tak słodkim i dźwięcznym,
Że gniewne morze korzyło się przed nią,
A gwiazdy w szale z sfer swych przybiegały,
By się jej tonom przysłuchać.

PUK.

Pamiętam.

OBERON.

Wtędym to widział, choć tyś widzieć nie mógł,
Jak zbrojny Kupid biegać między ziemią
A mdłym księżycem, wziął na cel Westalkę
Błyszczącą wdziękiem na tronie zachodu,
I grot miłości tak dzielnie pełną z łuku,
Jakby chciał przeszyć wraz sere sto tysięcy.
Lecz mglisty księżyc zgasił płomienistą
Strzałę Kupida chłodem swych promieni,
I przeszła dalej kapłanka królowa,
Wolna miłości w dziewiczym spokoju.
A jam uważał, gdzie padł grot Kupida,
Padł na kwiat drobny, wprzód jak mleko biały,
Teraz miłości raną purpurowy,
Dziewice zowią te kwiatki bratkami.
Znajdźże mi taki, jam ci go raz wskazał.
Sok zeń spuszczoney na śpiące powieki
Mężczyzn czy niewiast, każe im miłować
Twór, który najpierw ujrzą po ocknieniu.
Znajdź mi to ziółko, i wprzód do mnie powróć,
Nim jedną milę upłynie lewiatan.

PUK.

Dokoła ziemię mym lotem opaszę
W czterdzieści minut.

A wreszcie jak Tytania oświadcza swoją miłość przemienionemu w osła gburowi:

TYTANIA.

Niech cię myśl żadna za ten las nie niesie.
 Czy chcesz, czy nie chcesz, zostaniesz w tym lesie.
 Jam duchem, który wzniosłym rodem słynie.
 Wieczne się lato święci w mej dziedzinie.
 Kocham cię, przeto pójdz ze mną, mój miły;
 Me piękne elfy będą ci służyły.
 One ci w morzu znajdą perły na dnie,
 Śpiewać ci będą, gdy cię sen owładnie.
 Ma moc śmiertelną z ciebie ciężkość zetrze,
 Byś jak duch zdołał wzlatywać w powietrze.
 Ōmo, Pajęczynko, Groszku i Gorczyczko!

(Wchodzą cztery elfy).

PIERWSZY.

Jestem.

DRUGI.

Ja także.

TRZECI.

I ja.

CZWARTY.

I ja jestem.

WSZYSCY.

Gdzież bieżeć mamy?

TYTANIA.

Rączo, uprzejmie służcie temu panu,
 Niech go wasz taniec i skoki weselą.
 Karmcie go morwą, jeżyną, morelą,
 Zieloną figą, modrem winogronem,
 I skrzętnej pszczołki miodopłynnym plonem
 Z jej nóg woskowych pochodnia skręcona
 I w świętojańskim robaczku zatlona,
 Niech kochankowi do łoża przyświeca.
 Senne mu oko chrońcie od księżyca
 Malownym skrzydeł motyliach wachlarzem.
 Korzcie się elfy przed waszym mocarzem.

PIERWSZY.

Cześć ci, śmiertelny, cześć.

DRUGI.

Cześć ci.

TRZECI.

Cześć ci.

CZWARTY.

Cześć.

SPODEK.

Z całego serca dziękuję wam, dostojne panie. Błagam; jakież imię twojej dostojności?

PAJĘCZYŃKA.

Pajęczynka.

SPODEK.

Proszę cię o bliższą znajomość, dobra pani Pajęczynko. Gdy się skaleczę w palec, śmiało się do twej usługi odwołam. A twoje imię, poczciwy szlachcicu?

GROSZEK.

Groszek.

SPODEK.

Pokornie upraszam, racz mię polecić pani Łupinie, twej matce, i panu Strączkowi, twemu ojcu. Dobry Panie Groszku, i z tobą będę się starał bliższą zawiązać znajomość. A twoja godność, jeśli śmiałym się zapytać?

GORCZYCZKA.

Gorczyczka.

SPODEK.

Dobra Pani Gorczyczko, znam dobrze twoją cierpliwość. Ten nielitościwy olbrzym, pośladek wołowy, pożarł niejedno dziecko twego rodu. Wierz mi, rodzina twoja niemało już mi łez z oczu wycisnęła. I z tobą radbym bliżej się poznać, dobra Pani Gorczyczko.

TYTANIA.

Strzeżcie go, wiedźcie wraz do mej altany.

Zda mi się księżyc w krąg łzami wezbrany.

Gdy księżyc płacze, płacze każde kwiecie,

Że jakaś czystość cierpi gwałt na świecie.

Idąc z mym lubym, usta mu zwiążecie.

(*Wychodzą*).

Zapewne już czytelnik czeka niecierpliwie na wiadomość o tłumaczeniu *Kupca Weneckiego*. Jak między Historyami Ryszarda III, jak Hamleta i Macbetha między tragediami, tak

między komediami szuka się machinalnie zawsze naprzód tej, która i znana najpowszechniej, i najbogatsza w efekta (choć nie komiczne może), i przez rozmiary figury Shylocka najpotężniejsza, a przez wdzięk figur takich jak Porcy i Bassanio, rozmów takich jak Lorenza z Jessiką, jedna z najmielszych jakie Szekspir napisał. Trzymając się kolei wyznaczonej komedjom przez wydawców teraz dopiero dochodzimy do *Kupca*. Tłómaczył go pan Paszkowski. Nie tak świetnie, wyznać trzeba, jak *Othella*, nie tak jak *Burzę*. Tu są ustępy przełożone doskonale, ale są i błędy liczniejsze niż tam i czasem trochę rażące.

Są zaraz w pierwszej scenie. Naprzykład byłoby z pewnością lepiej gdyby Salarino mówiąc o galerach Antonia nie nazywał ich *reprezentantami* władców morza, albo żeby zamiast *dukwić* użył jakiego słowa dziś więcej używanego: ale co myśli Gracyano kiedy mówi, że „*milczenie zaleca jedynie „ozór w pęcherzu?”*” albo dla czego obiad nazywa *wyżerką*? Albo znowu w drugiej scenie dla czego opuszczone jest co mówi Porcy o synowcu księcia Saskiego, że „nigdy nie pójdzie za gąbkę? o tem już nie wspominając, że nie łatwo jest zrozumieć jój rozkazu „wsadź w niepomyślną skrzynię butelkę „reńskiego wina, bo choćby szatan w innej siedział, a tej pokusy brakowało, gotówby inną wybrać.“ Ona właśnie każe postawić wino nie w skrzynce, ale na skrzynce (*on the contrary casket*), bo gdyby sam djabeł siedział w środku, pijanica Niemiec chwyci za tę, na której zobaczy trunek.

Ostatnia scena tego aktu, a pierwsza w której występuje Shylock, jego opowiadanie o Jakóbie i jego podstępach na dowód że „każdy zysk jest błogosławieństwem, jego ironija i złość kiedy mówi:

Łaskawy Panie! przeszłej środy

Plunałeś na mnie, kopnąłeś mnie w piątek,

Innego znowu dnia psem mnie nazwałeś,

Za te grzeczności gotówem ci chętnie

Tyle a tyle pieniędzy pożyczyć

wreszcie układ o pożyczkę i funt mięsa z pod serca na przypadek nie oddania długu na termin, cała ta scena przetłómaczona jest dobrze.

W drugim akcie tylko mniejsze usterki: Lancelot kiedy udaje i kłamie przed ojcem, każe uważać jaką mu *puści fontannę*: Gracyano prawi coś o *rendez-vous* Bassanio znowu każe mu trzymać na wodzy „*bryczną naturę*“ — ksiązę Marokański zaręcza, że *zryzykuje* swoje księstwo. Ksiązę Aragoński w napisie na srebrnej skrzyni wyczytuje *sensowne zdanie*. Oto podobno wszystkim.

W akcie trzecim sceny Shylocka, w których żal za straconemi wraz z córką dukatami miesza się z wściekłą radością, że uczyni zadość swojej zemście, a jedno i drugie uczucie występuje z taką energią i namiętnością, oddane są bardzo dobrze.

SALARINO.

Nie zechcesz mu przecie rznąć ciała, jeżeli nie zapłaci w terminie; na cóżby ci się zdało?

SZYLOK.

Na przynętę dla ryb. Jeżeli zresztą nie nasyci nikogo, nasyci przynajmniej moją zemstę. On mię łżył, wydarł mi na jakie pół miliona spodziewanych korzyści; naigrawał się z mojej straty; bluźnił memu narodowi; krzyżował moje zarobki; odwodził ode mnie przyjaciół a nieprzyjaciół na mnie podszczuwał. I za cóż to wszystko? za to, że jestem żydem. Czyliżto żyd nie ma rąk, członków, organów, zmysłów, uczuć, namiętności? Nie żywił się temi samemi pokarmami, nie może być zraniony takim samem narzędziem, nie ulegał takim samym chorobom, nie leczył się takimi środkami, nie czujeż tak samo zimna w zimie a ciepła w lecie, jak chrześcianin? Nie płynięz z nas krew, jak nas za-klujecie? Nie śmiejemyż się, jak nas załaskoczekcie? Nie umieramyż, jak nas otrujecie? a jak nas skrzywdzicie, nie mamyż się mścić za to? Jeżeliśmy we wszystkim innem do was podobni, to i w tem chcemy wam dorównać. Jeżeli żyd skrzywdzi chrześcianina, w czemże się objawi jego pokora? — w zemście.

Nieszczęściem sceny te zepsute są jednym dodatkiem tak niepotrzebnym i nieusprawiedliwionym a tak niesmacznym że znowu pojąć nie możemy jak tłumacz tak dobry mógł taki błąd popełnić:

TUBAL.

W wielu miejscach słyszałem o twojej córce, ale jej nigdzie znaleźć nie mogłem.

SHYLOCK.

Aj waj mir! Aj waj mir! Przepadł mój dyament i t. d.

TUBAL.

Mówiłem z kilkoma majtkami, którzy ocalili z rozbicia (galery Antonia).

SHYLOCK.

Dziękuję ci *Giter Tubal* i t. d.

Na miłość boską czy Shylock był polskim żydem, żeby miał mówić tym niemiecko-żydowskim szwargotem? Albo czy Szekspir może oznaczyć jakimkolwiek sposobem akcent żydowski w wymowie Shylocka? Nie. A więc jakim prawem i z jakiego powodu tłumacz oznacza w przekładzie akcent tam, gdzie go w oryginale nie ma? Że aktor, który tę rolę gra, nada sobie trochę akcentu, w tem nie widzimy nic złego, byle utrzymał to w mierze, i widzieliśmy wielkich nawet aktorów, którzy wymawiali nieco z żydowska, żeby przytoczyć tylko przykład sławnego Laroche w Wiedniu. Ale co aktorowi wolno, bo verba volant, to tłumaczowi którego scripta manent, nie uchodzi. A cóż dopiero dodawać żydowi, który w Wenecyi mieszka i zapewne nie urodził się na Kaźmierzu tylko na Giudece, na rzymskiem Ghetto, może i na Wschodzie, specyficzne znamiona żydów polskich, kłaść mu w usta *Aj waj* i ze-psutą niemczyznę, to jest licencya, na którą i obowiązek wierności i dobry smak powinny były tłumaczowi nie pozwolić.

Prześliczna rozmowa Porcy i Bassania przed wyborem ołowianej skrzyni i podczas tego wyboru, nie można powiedzieć, żeby była wypadła źle, ale jednak tak jej daleko do poetycznego wdzięku oryginału, że za zupełnie udatną uważać jej także nie można. Najlepiej może wypadł początek tej sceny.

PORCYA.

Wstrzymaj się jeszcze, signore; zaczekaj
Dzień lub dwa, zanim dokonasz wyboru.
Bo gdybyś błędnie wybrał, pozbawioną
Byłabym twojej obecności; bądź więc

Cierpliwy, proszę. Coś mi skrycie mówi
 (Lecz to nie miłość), że rozstać się z panem
 Z trudnościaby mi przyszło, a sam przyznasz,
 Że nienawiści głos bywa odmienny.
 Abyś mię jednak pan lepiej zrozumiał,
 (Choć to kobiecie myśleć tylko wolno,
 Ale nie mówić), chętniebym cię miesiąc,
 Albo dwa, w moim zatrzymała domu,
 Zanimbyś odbył tę grę hazardowną.
 Mogłabym pewne podać ci skazówki
 Co do trafności wyboru, lecz wtedy,
 Złamałbym moję musiała przysięgę,
 A tego nigdy nie uczynię. Tak więc
 Możesz mię chybić; jeśliś zaś chybił,
 Zaiste dałbyś mi powód do grzechu,
 Boby mi przyszło żałować, żem była
 Wierną przysiędze. O te oczy wasze
 Opanowały mię i rozdziwiły:
 Jedna połowa moja już jest waszą;
 Druga połowa waszą, to jest moją,
 Chciałam powiedzieć! lecz jeżeli moją,
 To waszą także, więc i całość wasza.
 Zawistna dolo! żeby kłaść przegrodę
 Między własnością, a właścicielami!
 I waszą jestem i nie waszą. Jeśli
 Na tem się skończy, co jest, niechaj za to
 Fortuna będzie nie ja potępioną.
 Za długo mówię, ale to jedynie
 Aby czas przewlec, rozciągnąć, przedłużyć,
 A z nim wasz wybór.

A znowu drobne ale straszne usterki psują ten akt. Czy to do uwierzenia naprzykład, że raz Porcyra mówi coś o *repertuarze*? Od biedy można tego słowa używać w mowie, ale pisać go nie godzi się nigdy. A cóż dopiero jak Gracyano zapytany czy chce z Nerissą żenić się *na seryo* — (już i to dość złe), odpowiada *Jak najseryoźniej!!!* kto nie wierzy niech zobaczy, stoi czarne na białem wydrukowane wszystkimi literami, *jak najseryoźniej*. Słyszeliśmy prawda ten przymio-

tnik i inne jego godne, słyszeliśmy pochwałę jakiejś pani, która była niezmiernie *gracyozna*, a przy tem bardzo *seryozna*, ale słysząc uciekliśmy „unosząc zadziwione słuchy“ i prosząc Boga, żeby nam herezyi takiej nigdy już więcej nieśły-szeć pozwolił. A widzieć ją wydrukowaną, napisaną, przez człowieka i pisarza nie *seryoznego* tylko poważnego, i umie-jącego po polsku, to już nie zdziwienie ale zgorzsenie. I żeby nam raz chcieli wytłómaczyć dla czego tak piszą? dla czego te *repertuary*, to *abordowanie*, to *rendez-vous*, te wszystkie niesmaczne i nie polskie wyrażenia? Wszakżeż żadne wyraże-nie, żadne słowo koniecznem nie jest, każde da się zastąpić in-nem, i nie trudno nawet. Bo o cóż chodzi? O to tylko, aby zdaniu nadać inny obrót, i obracać go tak długo, aż wreszcie ono nie przyjmie formy takiej, któraby i myśl oryginału do-brze oddawała i polskiego ucha nie raziła a nie kaleczyła pol-skiego języka. Nie ma zaś zdania na świecie (zdania grama-tycznego ma się rozumieć), któreby się nie dało sto razy obrócić i zmienić bez naruszenia myśli w niem zawartej. Czy nie czują, że to źle i brzydko? Niepodobna, bo umieją i do-brze piszą po polsku. Słowem, tych błędów zgoła zrozumieć nie możemy, a to tem mniej, że chodzi o słowa, o poprawki najmniejsze i najłatwiejsze! Nie mogąc zaś zrozumieć, prosimy przynajmniej i zaklinamy, żeby w drugim wydaniu, jeżeli Bóg da że do niego kiedy przyjdzie, błędy te zdarzające się w prze-kładach pana Paszkowskiego i pana Ulricha (u pana Koźmiana takich nie pamiętamy) były koniecznie poprawione.

Wielka scena czwartego aktu, tak w swoim pierwiastku patetycznym jak i w komicznym, namiętność Shylocka, spokój Antonia, dowcipna dyplomacya Porcyi, gwałtowne gniewy i złośliwe żarty Gracyana, scena ta z całej sztuki przetłómaczona jest najlepiej. Ale i tu nieszczęsny zwyczaj musiał się poka-zać: Shylock mówi, że ma do Antonia *ansę*:

DOŻA.

Zejdźcie mu z drogi, niech stanie przed nami.

Szyloku, wszyscy sądzą i ja myślę,

Że tę pozorną złośliwość posuwasz

Tylko do chwili jej wywarcia; gdy zaś

Przyjdzie ją wyrzucić, okażesz łagodność
 I zmiłowanie, w wyższym jeszcze stopniu,
 Niż to udane okrucieństwo. Zamiast
 Poszukiwania swej należytości,
 Na ciele tego nieszczęsnego kupca,
 Nie tylko, tuszysz, karę tę umorzysz,
 Ale co więcej, przejęty ludzkością,
 Darujesz nawet połowę waluty,
 Przez wzgląd na straty, jakie świeżo poniósł;
 Straty tak wielkie, że byłyby zdolne
 Ze szczerem przygnać króla wszystkich kupców,
 Oraz współzucie wzbudzić nawet w sercach
 Twardych jak krzemień; w piersiach kutych z miedzi,
 W dzikich Tatarach i Turkach, co nigdy
 Żadnej czułości nie znali przystępu.
 Żydzisz, czekamy na twoją odpowiedź,
 I spodziewamy się wszyscy łagodnej.

SHYLOK.

Jużem oznajmił Waszej Wysokości
 Stały mój zamiar; poprzysiągłem w szabas,
 Że będę żądał, co mi się należy
 Z mocy obligu: jeźlibym w tej mierze
 Sprawiedliwości nie uzyskał, niechaj
 Odpowiedzialność ciąży na swobodach
 I przywilejach tego miasta. Może
 Wasza Wysokość zapyta, dlaczego
 Wolę wziąć marny funt mięsa, niż przyjąć
 Zwrot mych dukatów? Na to nie odpowiem.
 Przypuśćmy jednak, że to kaprys; stanież
 To za opowiedź? Gdybym, mając w domu
 Szczura co broi, chciał dać trzy tysiące
 Dukatów za to, żeby go się pozbyć?
 Nie stanież jeszcze i to za odpowiedź?
 Są, co nie mogą znieść kwiku prosięcia;
 Innych w szaleństwo wprawia widok kota;
 Są znowu tacy, którym nerwy miękną
 Skoro usłyszą głos kobziego nosa;
 Wrażliwość bowiem, pani wszelkich wzruszeń,
 Kieruje nimi wedle tego, co jej

Mile przypada albo odrażliwie.
Moja odpowiedź tak brzmi zatem: Jako
Nie można znaleźć słusznego powodu,
Dlaczego jednych razi kwik prosięcia,
Tych widok kota, bestyi tak niewinnej,
A tamtych odgłos dud wydętych; wszakże
Tak ci, jak owi, mimowolnie muszą
Ściągać na siebie zarzt, że zostawszy
Obrażonemi, wzajem obrażają:
Tak samo i ja, oprócz pewnej ansy
I wstrętu, jaki czuję do Antonia,
Ani znam, ani chcę naznaczyć powód,
Dlaczego z własnym uszczerbkiem dochodzę
Praw moich na nim. Dażem już odpowiedź?

BASSANIO.

To nie odpowiedź, człowieku bez serca;
Nie zdoła ona okrucieństwa twego
Usprawiedliwić.

SZYLOK.

Nie mam obowiązku
Zadawalania was mą odpowiedzią.

BASSANIO.

Mamyż zabijać to, czego nie lubim?

SZYLOK.

Któżby oszczędzał to, co nienawidzi?

BASSANIO.

Obraza racyaż jest do nienawiści?

SZYLOK.

Dacież się żmii po dwakroć ukąsić?

ANTONIO.

Daj pokój; pomnij, że masz sprawę z żydem.
Kazać ustąpić pieniacej się fali;
Mógłbyś zarówno prawować się z wilkiem
Słyszac beczącą za jagnięciem owcę;
Mógłbyś zarówno wzbronąć sosnom w górach
Wyniosłe czoła uginać i szumieć,
Gdy niemi wicher gwałtowny szamoce:
Słowem, najcięższe chcieć złamać trudności,

Jak usiłować wzruszyć jego twarde,
 Żydowskie serce. Szlachetni Panowie,
 Nie proponujcie mu niczego więcej;
 Nie przedsięwierzcie żadnych dalszych kroków,
 Lecz pozostawcie bieg zwyczajny prawu,
 A jemu wolność czynienia co zechce.

BASANIO.

Za trzy tysiące dając sześć tysięcy
 Dukatów.

SZYLOK.

Choćbyś każdy z tych dukatów
 Podzielił na trzy części, i chociażby
 Każda z tych części dukatem się stała,
 Nie przyjąłbym ich i żądałbym tego,
 Co wyrażone w obliżu.

DOŻA.

Jak możesz

Liczyć na względy, kiedy sam ich nie masz?

SZYLOK.

Za cóżbym miał się obawiać wyroku,
 Gdy nie nic czynię niesprawiedliwego?
 Macie niemało płatnych niewolników,
 Których na równi z osłami i psami
 Do jak najniższych posług używacie,
 Dlatego, żeście ich kupili. Gdybym
 Ozwał się do was: powróćcie im wolność,
 Przyjmcie ich w grono swej rodziny; po co
 Wkładacie na nich tak wielkie ciężary?
 Niech mają łoża tak miękkie jak wasze,
 I strawę równie wykwinłą jak wasza,
 Wy odpowiecie, „toż ci niewolnicy
 Są przecie naszą własnością; podobnież
 Ja odpowiadam: ten marny funt mięsa,
 Którego żądam, moją jest własnością;
 Drogom go kupił i chce go posiadać:
 Jeśli mi tego odmówicie, hańba
 Waszemu prawu! Ustawy Wenecyi
 Są czezą literą, mocy nie mającą.
 Czekam na wyrok; usłyszysz go dzisiaj?

Wreszcie, zapyta naturalnie czytelnik, musi zapytać każdy kto raz w życiu *Kupca* czytał, jak jest przetłómaczona rozmowa Lorenza z Jesyką w pierwszej scenie V aktu. Jak? Niech czytelnik sam sądzi. Naszom zdaniem nie jest to styl *Szwajcaryi* Słowackiego, a potrzebaby tu tak poetycznego, tylko prostszego, nie tak wykwintnego, ale jest dobrze.

Jak wdzięcznie,

Na tym pagórku śpi światło miesiąca!
 Siądźmy tu sobie i niech dźwięk muzyki
 Płynie nam w ucho: noc i nocna cisza
 Godzą się z słodkim urokiem harmonii.
 Usiądź, Jessyko; patrz, jak przestwórz nieba
 Gęsto w złociste gwiazdki jest utkany;
 A każdy krążek z tych, które tam widzisz,
 Bieg odbywając, dołącza pieśń swoją
 Do chóru jasnoookich cherubinów.
 Tak, są harmonii pełne czyste duchy:
 Tylko my, których duch jest powinięty
 W skorupę prochu, słyszeć jej nie możemy.

(*Wchodzą Muzykanci*).

Zbliźcie się! zbudźcie śpiewnym hymnem Dyane,
 Wyślijcie naprzód na spotkanie pani
 Echo najbardziej melodyjnych tonów,
 I przyciągnijcie ją niemi do domu.

(*Muzyka*).

JESSYKA.

Ilekróć słodką muzykę usłyszę,
 Rzewnie mi jakoś.

LORENCO.

Bo władze twej duszy

Są, widać, wtedy pilnie natężone.
 Popatrz na dziką i swawolną trzodę,
 Albo na stado młodych bystrych żrebców;
 Brykają one, beczą i rżą głośno,
 Bo to w naturze jest ich krwi gorącej:
 Lecz niechno trąbka przypadkowo zabrzmiał,
 Lub jakkolwiek muzykalny odgłos
 Słuch ich uderzy, zobaczysz, jak nagle

Wszystkie przystaną, jak się ich figlarne
 Oko zaduma, pod wpływem czarownej
 Potęgi dźwięków.
 Ztądto poeci mówią, że Orfeusz
 Pociągał drzewa, kamienie i fale;
 Bo nie ma rzeczy tak martwej, tak twardej
 I tak burzliwej, żeby jej natury
 Muzyka zmienić chwilowo nie mogła.
 Człowiek, harmonii nie mający w sobie,
 Którego współdźwięk tonów nie porusza,
 Zdolny jest zdradzić cię, oszukać, złupić;
 Umysł u niego ciężki jak mgła nocna,
 A serce czarne jak Erebus. Nie ufaj
 Nikomu z takich. — Słuchajmy muzyki.

Śliczna rycerska idylliczna powiastka raczej jak kome-
 dyja *As You like it* (Jak się wam podoba), przetłómaczona
 przez pana Ulricha wygląda bardzo ładnie w swojej polskiej
 szacie. Młody Orlando zachowuje swoją fizioznomią tak sym-
 patycznie złożoną z nieśmiałości, tęgłości, prostoty, i z męz-
 kiego daru dawania sobie rady — Rozalinda swój dowcip,
 swoją naturę energiczną a kapryśną, i swoje serce pełne in-
 stynktów trafnych a silnych popędów — Jacques swoją sen-
 tymentalną filozofią i mizantropią, stary Adam swój prosty
 a niezwykły rozum. Słowem całość jest wcale wdzięczna, a tylko
 w szczegółach zostaje czasem coś do życzenia lub coś do wą-
 pienia. Nie wiemy naprzykład czy książkę polując szczęśliwie
 nazywa jelenia *głupiątkiem*. Już na to możebyśmy się zgo-
 dzili, że Błazen *Touchstone* nazwany jest Próbieczykiem,
 a Próbieczyk, który siebie między kozami przyrównywa do
 Ovidiusza między *kozakami*, choć oryginał mówi tu o Gotach
 a nie o kozakach, jest może dowcipny, ale zanadto naszym
 zdaniem spolszczony. Że

„od Paryża do Berlina

„pierwszą perłą Rozalina”

to, choć w oryginale nie ma mowy o Berlinie ani o Paryżu,
 tylko o Indyach, byłoby mniejszem złem, gdyby i te i nastę-
 pne wiersze Orlanda były w przekładzie tak ładne jak w ory-

ginalne. Zdaje nam się jednak, że go nie dochodzą. Za to parodia ich improwizowana przez Próbiereczyka udała się świetnie:

Gdy samicy chce ptaszyna
Niech szuka gdzie Rozalina.
„Zakochana co kocina
„Miauczy? — Gdzie jest Rozalina i t. d.

Albo ta pieśń myśliwska śpiewana na cześć strzelca, co zabił jelenia:

„Zabił jelenia; i cóż mu dacie?
Damy mu skórę, damy mu rogi.
Nie gardź rogami strzelcze mój drogi,
Bo to herb starszy niżli ty, bracie.
On twego dziada nobilitował
I twój się ojciec nim pieczętował.
Niech żyją rogi zawsze i wszędzie
Któż niemi gardzić, śmiać się z nich będzie?

albo pieśń paziów, tak pełna poezyi pod swoim lekkim wesołym pozorem:

P I E Ś Ń.

I.

Szedł z kochanką zakochany.
Śpiewał dana, dana, dana!
Szedł przez łąki, szedł przez łany,
Szedł wśród wiosny, pory pieśni;
Ptastwo nuci hymn miłosny,
A kochankom trzeba wiosny.

II.

Gdzie wśród łanów szumi zboże,
Nucąc dana, dana, dana!
Tam kochankom wonne łoże,
Pośród wiosny, pory pieśni,
Gdy ptak nuci hymn, miłosny.
Bo kochankom trzeba wiosny.

III.

Tak gdy młodość im ucieka,
Nuć dana, dana, dana!
Kwiatkiem tylko życie człeka
Pośród wiosny, pory pieśni,
Gdy ptak nuci hymn miłosny.
Bo kochankom trzeba wiosny.

IV.

Zbieraj kwiaty, gdy czas służy,
Nuć dana, dana, dana!
Bo nie znajdziesz pączków róży
Tylko w wiosnie, porze pieśni,
Gdy ptak nuci hymn miłosny,
A kochankom trzeba wiosny.

Ale nie same tylko żartobliwe ustępy udają się dobrze
naszemu tłómaczowi, Z poważnych i poetycznych wychodzi on
z trudniejszą a z większą chwałą. Na dowód ta przemowa
Jakóba:

JAKÓB.

Świat jest teatrem, aktorami ludzie,
Którzy kolejno wchodzą i znikają.
Każdy tam aktor nie jedną gra rolę,
Bo siedem wieków dramat życia składa.
W pierwszym więc akcie słabe niemowlątko
Na piersiach mamki ślini się i kwili;
Następnie, student z teką, zapłakany,
Z rumianą twarzą jak poranne niebo,
Ślimaczem krokiem wlecze się do szkoły;
Potem kochanek, jak miech wzdychający,
Pisze sonety do brwi swej kochanki;
Z kolei żołnierz, dziwnych przekleństw pełny,
Z brodą jak kozieł, drażliwym honorem,
Żywy, gwałtowny, do sporów pohopny,
Leci, w gardzieli armat szukać sławy,
Tej pustej bańki; następnie więc sędzia,

Z okrągłym brzuchem, na kapłonach spasy,
 Z surowem okiem, podstrzyżoną brodą,
 Zdań mądrych pełny i nowych przykładów,
 Gra swoją rolę; później, w szóstym wieku,
 Chudy pantalon w pantoflach się zjawia,
 Nos w okulary ujął, a u boku
 Sakwy zawiesił, w przestronych pończochach
 Które zachował od lat swej młodości
 Gubią się drżące, pokurczone łydki,
 Głos męzki wrócił do dziecka dyszkantu,
 Cienki, świszczący jak piszczałki tony;
 Aż i na koniec przychodzi akt siódmy,
 Koniec historii zdarzeń dziwnych pełnej,
 Pamięć zagasła w drugim niemowlęctwie,
 Bez zębów, oczu, smaku, bez wszystkiego.

Albo Orlando kiedy głodny napada na księcia i jego towarzyszy i chce im gwałtem odebrać śniadanie:

ORLANDO.

Jeść mi co dajcie, bo umieram z głodu.

KSIĄŻĘ.

Więc jedz i siadaj i bądź naszym gościem.

ORLANDO.

Ah, co za dobroć! Darujcie mi, proszę!
 Jam myślał, że tu wszystko jest okrutne,
 Dla tego postać surową przybrałem.
 Ale ktokolwiek jesteście, panowie,
 Co w tej dalekiej, niedostępnej puszczy,
 W posępnym cieniu dębów starożytnych,
 Zapominacie, jak płyną godziny,
 Jeśliście kiedy piękniejsze znali,
 Tam gdzie dzwon wołał ludzi do kościoła,
 U dobrych ludzi siadali za stołem,
 Jeśli z ócz waszych łza kiedy ściekała,
 Jeśli nie obce wam jest miłosierdzie,
 Niech wasza dobroć przymus mój zastąpi,
 I w tej nadziei ze wstydem miecz chowam.

KSIĄŻĘ.

Tak jest, znaleźmy kiedyś dnie piękniejsze,
 I do kościoła dzwon święty nas wołał,
 U dobrych ludzi byliśmy za stołem,
 Łzy nam z ocz święta wyciskała litość,
 Dla tego usiądź i dla twej potrzeby,
 Z tego, co mamy, bierz z całą ufnością.

ORLANDO.

O, jeszcze krótką zaczekajcie chwilę,
 Abym jak sarna po kozłę me pobiegł,
 I dał mu pokarm. Tam biedny jest starzec,
 Który przez miłość dla mnie, długą drogę
 Wlókł słabe kroki; do ust nie nie wezmę,
 Aż on pokrzepi ciało powalone
 Od dwóch tyranów — głodu i starości.

KSIĄŻĘ.

Idź, spiesz się! wszystko na powrót wasz czeka.

ORLANDO.

Za waszą dobroć niech Bóg wam zapłaci!

Wreszcie Orlando kiedy na drzewach wypisuje i rozwiesza swoje czułe wiersze, jak żeby był czytał Orlanda i chciał naśladować Medora. Czy to czasem nie przypomnienie poematu Ariosta?

ORLANDO.

Tu zawieszę me pieśni jak uczuć mych znaki.
 A ty, czysta Dyano, wśród niebios otchłani,
 Czytaj pogodnem okiem, blade mierzące szlaki,
 Imię twojej kapłanki, życia mego pani.
 O Rozalino! drzewa te będą księgami,
 Wyrzję myśli moje na twardej ich korze,
 Aby się wszędzie karmił twoich cnót świadkami,
 Wędrowiec zabłąkany w tym samotnym borze,
 Niechaj więc drzewo każde imię tej zachowa,
 Która czystsza, piękniejszą nad wszystkie jest słowa.

Naszem zdaniem *the Taming of the Shrew* niezupełnie szczęśliwie oddane jest przez *Ugłaskanie Sekutnicy*. Od „se-kutnicy“ wolelibyśmy prostą złośnicę: ale nie właściwem wy-

daje nam się to *ugłaskanie*, kiedy wiadomo że inną wcale metodą Petruchio swoją żonę doprowadził do posłuszeństwa. *Oblaskawienie* odpowiadałoby lepiej angielskiemu *taming*, a miałoby i tę zaletę, że się używa o takich naturach dzikich jak Katarzyna. Ale jeżeli to podobieństwo ze zwierzętami miałoby przynosić jej jaką ujmę, więc niechby już zostało przyjęte dotychczas *poskromienie*, tylko nie *spornej* (jak piszą nasze teatralne ogłoszenia), lecz *złościcy*.

Komedią poprzedza objaśnienie, w którym prolog jej: młody szlachcic angielski który spiącego pijanego chłopą każe przenieść do swego dworu, przebrać w piękne suknie, a przebudzonego mistyfikuje, porównany jest do starej polskiej komedyi z *Chłopa Król*. Uznajemy z wdzięcznością sumienność komentatora który stara się dociec z jakiego (lub z jakich źródeł) wielki Szekspir i mały Baryka czerpali treść do swoich komedyj. Ale pozwolilibyśmy sobie zwrócić uwagę jego i czytelnika, na podobieństwo tej sytuacji z inną i z nową komedią polską. Pan Janusz w Jowialskim ma taki sam pomysł, jak ów młody Lord Szekspira. Czyby Fredro był tu znalazł węzeł komedyi który dalej zupełnie inaczej zaplątał i rozplątał? Nie sądzimy żeby był wiele zajmował się Szekspirem a zwłaszcza żeby w tych latach kiedy Jowialskiego pisał, był go znał od deski, do deski, aż do mniej znaczących komedyj. Dlatego nie zdaje nam się prawdopodobnem, żeby mistyfikacja Jowialskich była powstała w jego głowie pod wpływem tej. Podobieństwo musi być przypadkowem, ale skoro już jest mowa o podobnych sytuacjach w komedyi polskiej, zdawało nam się słusznem przypomnieć i to podobieństwo z Jowialskim.

Komedia sama jest zdaniem naszym bardzo ładna. Wesoła i śmieszna, zbudowana tak regularnie jak się rzadko u Szekspira zdarza, pełna dowcipu, w jednej scenie kiedy *Lucentio* uczy *Biankę* po łacinie a *Hortensio* w kącie stroi swoją gitarę, ma nawet w swoim dowcipie wiele wdzięku. I znowu możnaby pytać czy nie ta lekcya łaciny naprowadziła zachowanego Almawię czy przebiegłego Figara na myśl tej lekcji muzyki nad którą dzięki Rossiniemu świat cały rozpywa się w *Cyruliku*.

Tłómaczenie (pana Paszkowskiego) bardzo dobre. Katarzyna i Petruccio (nazwany Petrycym), zachowali swoje charaktery w całej ich świetności. Ona popędliwość, gwałtowność, potem strach, potem rozstrojenie nerwów i płacz, i w końcu potulną uległość: on rubaszną tęgość, wesołość trochę grubiańską, rozum, i tę pewność siebie która w końcu często zwycięża. Jedną ich rozmowę, mianowicie zaraz pierwszą, tłómacz znacznie zmienił, o czem sam uprzedza, podając za powód: „gry wyrazów i dwuznaczników których jest pełno w oryginale nie podobna było oddać wprost, i szczegóły dla dzisiejszego smaku za pieprzne.“ Dlatego starał się tylko oddać wiernie „samego ducha oryginału.“ Nie przeczymy ani trudności dochodzącej prawie do niepodobieństwa, ani też *pieprzności* niektórych conceptów, przechodzącej wszelką miarę. Czy jednak tłómacz ma prawo odstępować od oryginału, i tylko jego ducha się trzymać? nie wiemy: choć w tym razie niewątpliwie trzymał się go nie tylko wiernie, ale i z ręcznie:

Dzień dobry, Kasiu, bo tak, jak słyszałem,
Zowią Waćpannę.

KATARZYNA.

Dobrześ Waćpan słyszał,
Ale masz w uszach skrzywione bębenki:
Kto o mnie mówi, zwie mię Katarzyną.

PETRYCY.

Kłamiesz Waćpanna, bo wiem, że po prostu
Zowią cię Kasią, krotofilną Kasią,
Niekiedy i złą Kasią, ale zawsze
Kasią najmiłą w chrześcijańskim świecie.
A zatem Kasiu, Kasieńko, Kasiuniu,
Pieszczoto moja, bo w Kasi, Kasieńce,
Jest w każdym razie coś pieszczotliwego,
Następujące czynić oświadczenie:
Słyszac, jak cały świat chwali twą słodycz,
Głosi twe cnoty, wdzięki twe wynosi,
Nie tyle jednak, ile tego warte;
Takem wieściami temi był wzruszony,
Że zapragnąłem pojąć cię za żonę.

KATARZYNA.

Wzruszony? proszę! Skoro o ruch idzie
To ruszaj sobie Waćpan, z kąd przyszedłeś.
Jużem ja zaraz na wstępie poznała,
Że Waćpan jesteś ruchomością.

PETRYCY.

Jaką?

KATARZYNA.

Butem.

PETRYCY.

Wybornie! wuj mię, moja Kasiu.

KATARZYNA.

Kobiety butów nie noszą.

PETRYCY.

I owszem;

Noszą.

KATARZYNA.

Nie takie przynajmniej jak Waćpan.

PETRYCY.

Nie będę cię naciskał, luba Kasiu;
Bo widząc, żeś jest tak młodą i lekką —

KATARZYNA.

Tak lekką, że mię taki cap nie złapie,
Dość jednak ważną w rzeczy samej.

PETRYCY.

Ważną

Będziesz dopiero zostawszy poważną.

KATARZYNA.

Powagi pewnie nie nada mi taki
Raróg jak Waćpan.

PETRYCY.

Jeżelim ja raróg,

To cię ułowie, moja turkaweczko.

KATARZYNA.

Turkawka grucha, strzeżże się mnie Waćpan,
Bo mogę gruchnąć tak, żeć uszy spuchną.

PETRYCY.

Idź, oso, widzę, żeś jest złą nad miarę.

KATARZYNA.

Jeżelim osa, to radzę Waćpanu
Lękać się mego żądła.

PETRYCY.

Przeciw żądłu
Najlepszym środkiem jest jego wyrwanie.

KATARZYNA.

Tak, tylko głupcy nie wiedzą, gdzie ono.

PETRYCY.

Gdzie osy mają żądło, to nie sekret.

KATARZYNA.

Gdzież więc?

PETRYCY.

Nie w pyszczku.

KATARZYNA.

To zapewne w łapkach.
(*Uderza go*).

PETRYCY.

Kasiu, uprzedzam cię, że jestem szlachcic;
Szlachcica bić nie wolno, a kto bije,
Ten bywa bity.

KATARZYNA.

Tak?

PETRYCY.

Tak mój klejnocie.

KATARZYNA.

Tobys się Waćpan targnął na swój klejnot,
Gdybyś mię obił i zakałbyś przyniósł
Swemu szlachectwu.

PETRYCY.

Heraldyczką jesteś?

Umieścić moją tarczę w swoim polu.

KATARZYNA.

Jakiż herb pański? Bałwan?

PETRYCY.

Bałwan wodny,
Co będzie szparki okręt twój kołysał.

KATARZYNA.

Długo się będzie tłukł, nim mię dosięże.

PETRYCY.

Ejże, Kasieńku, nie bądź mi tak kwaśną.

KATARZYNA.

Taką ja zawsze jestem kiedy patrzę
Na kapuściane głowy.

PETRYCY.

Tu ich niema.

KATARZYNA.

I owszem.

PETRYCY.

Pokaż, gdzie?

KATARZYNA.

Nie mam zwierciadła.

PETRYCY.

Czyliżby moja? —

KATARZYNA.

Proszę, co za dowcip

W tak młodym wieku!

PETRYCY.

Prawdęś powiedziała.

Za młody jestem dla cię.

KATARZYNA.

A już zwiędły.

PETRYCY.

Skutkiem trosk.

KATARZYNA.

O to wcale się nie troszczę.

(*Chce odejść*).

PETRYCY.

Zaczekaj, Kasiu, tak mi się nie wymkniesz.

KATARZYNA.

Rozgniewałabym pana dłużej bawiąc,
Proszę mnie puścić.

PETRYCY.

Bynajmniej, bynajmniej:

Owszem, znajdując ze wszech miar przyjemną.

Mówiono, żeś jest szorstką, prędką, cierpką,

Istna to potwarz, jasno widzę teraz:

Boś ty wesoła, żartobliwa, grzeczna,

Nie popędliwa w mowie, raczej słodka,
 Jak kwiat wiosenny; ty nie jesteś zdolną
 Gniewać się, marsa stawiać, krzywo patrzeć,
 Ty nie masz w sobie ducha przeciwności;
 Uprzejmą jesteś dla swych konkurentów,
 Łatwą w obejściu, skromną i potulną.
 Co ludzie prawią, że Kasia kuleje?
 O, złe języki! Kasia jest tak prostą,
 Smukłą i zgrabną, jak pręt leszczynowy;
 Brunatnej cery jak laskowy orzech,
 A dwakroć słodsza niż orzecha jądro.
 Przejdźno się; wszak nie chromasz?

KATARZYNA.

Idź błaznie:

Rozkazuj takim, jakeś sam.

PETRYCY.

Czyż kiedy

Chód Djany w lesie wydał się tak pięknym,
 Jak w tym pokoju królewski chód Kasi?
 O, bądź ty Djana, a jej daj być Kasią!
 Niech wtedy Kasia będzie nieprzystępną,
 A Djana zmięknie.

KATARZYNA.

Gdzieżeś się to Waćpan

Tej patetycznej nauczył oracyi?

PETRYCY.

Ot, ułożyłem ją tak, *ex tempore*
 Mam dowcip z matki.

KATARZYNA.

O, dowcipna matko

Niedowcipnego syna.

PETRYCY.

Czy rozumiesz,

Że ja mam tępe objęcie?

KATARZYNA.

Tak ostre

Jak bicz furmański.

PETRYCY.

Sprawdzisz to, Kasieńko,

Gdy w mem objęciu spocznieś, i dlatego,
Czczą gadaninę odkładając na bok,
Oświadczam pani krótko, węzłowato,
Że mi jej ojciec daje ją za żonę:
Co do posagu rzecz już ułożona,
Będiesz więc moją, chcesz czy nie chcesz.—Ejże!
Jam jest mąż, właśnie dla ciebie, Kasieńko,
I na to światło, przy którym twa piękność
Tak się uroczu przedstawia mym oczom,
Nikt twym nie będzie mężem, tylko ja.
Jam jest stworzony Kasiu, nie kto inny,
Do ugłaskania cię, do przerobienia
Z lwicy na kotkę, taką jak i inne
Obłaskawione kotki. — No, koteczko,
Twój ojciec idzie; nie bądźże mi krzywą:
Chcę cię za żonę pojąć, taki muszę.

Wszystkie dalsze nieszczęścia biednej żłoŃnicy i wszystkie sposoby, któremi ją mąż poprawia, znużenie, głód, upokorzenie i t. d., wszystko przetłómaczone jest z wielkiem życiem. Drobne usterki naturalnie być muszą. Nie rozumiemy na przykład, dlaczego Katarzyna mówi siostrze: *włóŹ w oko palec i zakwił jak malec*“ (akt I). Że ona do ślubu ma wystąpić *galante*, to Petruccio mówi umyślnie, z żartu. Ale o swojej *junakieryi* mówi na prawdę, a powinienby wiedzieć, że mało jest rzeczy tak nieprzyjemnych i raŹących polskie ucho, jak wyraz utworzony z dobrego polskiego wyrazu przez dodanie koŃcówki obcej. *Junak* jest takim bardzo dobrem słowem polskiem, a zakończenie *erya* jest francuskie, i w słowach z francuskiego wziętych jak galanterya, Źandarmerya i t. p., uchodzi, ale wyraz polski tak zakoŃczony wygląda tak śmiesznie i niesmacznie, jak wyglądałby człowiek, który do kontusza i pasa włożyłby poŃczochy i trzewiki.

Czy polska przypowieść „przemówił dziad do obrazu“ nie jest zbyt polską? nie wiemy. Ale tego jesteśmy pewni, że *kundman* to słowo zbyt niemieckie, a *epuza* zbyt francuskie. A co znaczy, że *Katarzyna siedzi kieby miłosierdzie w mur-*

ku (oryginał mówi tylko, że siedzi jak ktoś tylko co ze snu zbudzony i nieprzytomny), co to jest *miłosierdzie w murku*? dlaczego *miłosierdzie* siedzi *w murku*? tego znowu nie wiemy, jak nie wiemy, dlaczego wdowa, z którą żeni się Hortenzyusz, nazwana jest Dorotą, albo dlaczego zamiast przydomku *wał-konia* Petruccio nie daje jednemu ze swoich sług jakiegoś mniej przestarzałego a więcej zrozumiałego.

„*Wszystko dobre co kończy się dobrze*“ (czy nie byłoby właściwiej: *Dobry koniec dzieło chwali*?) przekład pana Ulricha, grzeszy także samemi małemi błędami, jak np. *żenować*, *datel*, może i ta *cewa*, na którą król choruje — nic ważniejszego.

„*Wieczór Trzech Króli, Dwunasta Noc* po Bożem Narodzeniu, obchodzonym był w Anglii wesołością, ucztami, wy-borem jednodniowego fantastycznego króla i jego dworu. Był „to wieczór zabawnych przemian, a takie właśnie przemiany „są komedyi treścią. Jest to: *co sobie chcecie*, dziwactwo, jak „żeby dla zabawy tego wieczoru napisane;“ oto jak tłumaczy wstęp tytuł angielski komedyi *Co chcecie, Twelfth Night* i swoje przerobienie tego tytułu na *Wieczór Trzech Króli*. Z tytułem *Północnej Godziny* (zupełnie nieusprawiedliwionym) tłumaczył ją nigdyś w r. 1844 pan John of Dycalp. Czy trzeba mówić, że przekład obecny jest o wiele od tamtego lepszy? Wprawdzie i tu *Sir Toby Belch* nazywa się *Czławką* (tam nazywał się *Łykciem*), a *Sir Andrew Ague Cheek*, który tam był *Niedotęgą*, tu jak przystało na polskiego szlachcica, kończy się na *ski*, jest panem *Czerwonogębskim*, ale cóż na to poradzić? To dawanie polskich nazwisk przyjęli widać tłumacze za zasadę i musieli mieć jakieś do tego powody, naszym zdaniem nie dobre, ale których przepierać już nie można. W komedyi samej wytknęlibyśmy chyba tylko niektóre wyrażenia, które przez wielką wierność stają się niezupełnie zrozumiałe, jak naprzykład *myszka cnoty* (Pajac do Olivii w akcie I), dosłownie przetłumaczona z angielskiego, ale po polsku nie wiedzieć co znacząca.

Ostatnią jest *Zimowa Powieść*, oprócz zwykłego wstępu objaśniającego czas w którym, i źródła, z których prawdopodobnie powstać mogła, opatrzona jeszcze krótką ale bardzo zajmującą przedmową, a raczej rozprawą p. Stanisława Koźmiana „o kilku dawnych cudzoziemskich utworach z przedmiotów

polskich." Z powodu tej okoliczności, zupełnie jak się zdaje udowodnionej, że *Zimowa Powieść* o niesłusznie posądzonej przez męża królowej wzięta jest z prawdziwej historii Ziemo-wita III, księcia Mazowieckiego i jego żony Ludmiły, podaje pan Koźmian wiadomość o różnych starych romansach lub dramatach zagranicznych, w których jest jakiś ślad, jakieś żdźbło polskiej historii lub wiadomości o Polsce, a znajduje takie w literaturze angielskiej (przed Szekspirem i po nim), we francuskiej i w hiszpańskiej. Kto wie, czy ślad polskiego początku tej sztuki nie przechował się i w pochodzeniu tej Sycylijskiej królowej, która mówi o sobie, że jest „*Cesarza Moskiewskiego córką*?” Wszystko jest przeniesione w jakieś fantastyczne kraje, w jakieś nadmorskie a arkadyjskie Czechy i w jakąś Sycylią pół-grecką, pół-średniowieczną, ale to wspomnienie kraju geograficznie przyległego, może jest także jedną ze wskazówek, że Szekspir o czemś polskiem czytał i myślał, kiedy tworzył tę dziwną *Zimową Powieść*.

Czy nie należałaby ona do najładniejszych komedyj Szekspira, czy przez swoje sytuacje patetyczne nie równałaby się z *Kupcem Weneckim*, przez śliczny akt czwarty z najładniejszymi sielankowemi scenami *As you like it*, gdyby nie dwie rzeczy, które ją psują? Jedną jest ta nieprzyjemna, niesmaczna mistyfikacja z posągiem. Że Paulina ukrywała przed wszystkimi tajemnicę życia Hermiony i ją samą, to daje się jeszcze zrozumieć, choć doprawdy mogła była oddać ją mężowi, kiedy ten niesprawiedliwości swojej tak gorzko żałował. Ale że jej kazała udawać posąg, że kobieta, która od lat kilkunastu nie widziała męża i dziecka, nie idzie do nich od razu, ale przez pół godziny stoi na postumencie, to, nie wiem jakim byłoby w naturze, ale w sztuce wydaje się i nieprawdopodobnem i niesmacznem. Druga zaś rzecz, która *Powieść Zimową* psuje, to ta zazdrość Leontesa, która się bierze nie wiedzieć zkąd, a za jedyną wymówkę ma chyba bardzo słabą głowę jego królewskiej Mości. Pojmuje się zazdrość bez najmniejszego cienia powodu, ale żeby człowiek w jednej chwili nie posądzał ani żony ani przyjaciela, żeby jej kazał zatrzymać go w domu i bawić, a kiedy ona to zrobiła, w tej chwili bez żadnego inszego powodu ją wtrącił do więzienia a jego starał się otruć, to więcej niż zwykła ludzka zmienność

lub namiętność dopuszcza: taki człowiek jeżeli nie był szalonym, musiał być strasznie ograniczonym. Tutaj, jak w *Learze* niczem nie usprawiedliwiony gniew na Kordelią musi pochodzić ztąd, że Szekspir wziął żywcem zawiązanie akcji z tej legendy czy powieści na której osnuł sztukę, przyjął je jako dane, nie pytając i nie roztrząsając.

Przekład Zimowej Powieści należy do najładniejszych pana Ulricha. Wolelibyśmy może, żeby Leontes patrząc z zadróżką na uprzejmość Hermiony dla Polixena nie mówił, że ona zwraca ku niemu swój *dzióbek*, już *buzia* byłaby może lepszą; w innem miejscu liczenie z pomocą *szczotów*, choć one myśl dobrze oddają, jest może tak wyłącznie rosyjskim zwyczajem, że jakaś ogólna nieokreślona szkolna *tabliczka* byłaby lepszą: *Perdita* znowu nazwana jest nie zbyt zrozumiale *królową śmietanki*, królowa obory i nabiału byłaby może mniej dosłowną a za to więcej określoną; ale to wszystko są drobiazgi, o których mówić nie warto. W całości zaś tak sceny patetyczne Hermiony, Leontesa i Pauliny, jak pełne gracyi czułe rozmowy Florizela z Perditą, jak oszustwa rzezimieszka Autolykusa i błazeństwa Pajaca oddane są bardzo szczęśliwie. Oto na zakończenie parę przykładów:

HERMIONA.

Gdy co mam mówić, musi być jedynie
 Wszystkich oskarżeń prostem zaprzeczeniem,
 I gdy jedynem z mej strony świadectwem
 Jest to, sędziowie, które sama daję,
 Daremno powiem: „tak, jestem niewinną,”
 Bo gdyście cnotę mą wzięli za zbrodnię,
 Świadectwo moje za kłamstwo weźmiecie,
 Lecz jeśli bóstwo ludzkie czyny widzi,
 (Jak silnie wierzę), o, wtedy, nie wątpię,
 Że ma niewinność twarz oskarżycieli
 Wstydem oblecze, a przed cierpliwością
 Tyrania zblednie. — Królu, wiesz najlepiej,
 (Choć niewiadomość udawać chcesz teraz),
 Że przeszłe życie moje było czyste,
 Tak czyste, szczere, jak dziś me nieszczęścia,
 A równych nieszczęść nie znajdziesz w powieściach

Zmyślonych, żeby rozrzewnić słuchacza.
 Patrzenie, spółniczka królewskiego łoża,
 Spółniczka tronu, i córka królewska,
 Matka księżęcia pełnego nadziei,
 Dziś się rozprawiam o życie i honor
 W obliczu wszystkich, co mnie słuchać raczą.
 Me życie cenię jak moje boleści —
 Skończyć je pragnę — lecz czysty mój honor,
 Ten z przodków biorę, i dzieciom go winnam,
 I tego bronię. Niech twoje sumienie
 Świadczy mi, Królu, czy nim Poliksenes
 Na dwór twój przybył, czy twojej miłości
 Godną nie byłam? Od jego przybycia
 Jakimże krokiem niebaczny, występny
 Zarzut ściągnęłam? Jeśli przekroczyłam
 Na jedną jotę granice honoru
 Czynem, lub wolą, lub myśli skłonnością,
 Najbliżsi krewni moi niech nie mają
 Nie dla mogiły mojej prócz pogardy!

A teraz ta scena, kiedy Polixenes i Kamillo w przebra-
 niu przychodzą szukać Florizela na pasterskiej zabawie:

PERDYTA.

Witam was, panowie!

Mojego ojca taka była wola,
 Żebym dnia tego była gospodynią,
 A więc was witam! Dorkas, daj mi kwiaty.
 Przyjmijcie, proszę, rutę i rozmaryn,
 Które przez zimę liść i woń chowają,
 A dobra pamięć niech wam towarzyszy!
 Witajcie u nas!

POLIKSENES.

Urodna pasterko,
 Słusznie, że starcom dajesz kwiaty zimy.

PERDYTA.

Rok się starzeje, lato nie skończyło,
 Drżąca się jeszcze zima nie zrodziła;
 Kwiat najpiękniejszy pory tej — gwoździki,
 I lak pstrokaty, bękartem natury

Zwany czasami, wiejski mój ogródek
Kwiatów tych nie ma i nie chcę ich sadzić.

POLIKSENES.

Piękna dziewczyno, czemu nie dbasz o nie?

PERDYTA.

Bo mi mówiono, że jest jakaś sztuka,
Która w ich listków pstrzeniu dzieli władzę
Z twórczą naturą.

POLIKSENES.

Że tak jest, przypuścimy;

Lecz nie ma środków lepszania natury,
Jeśli natura środków tych nie dała;
A tak więc sztuka, o której powiadasz,
Że chce naturze dodawać, jest sztuką
Natury samej. Czyliż, piękne dziewczę,
Nie szczepim słodszej płonki na pniu dzikim,
W podlejszej korze, szlachetniejszym pączkiem
Budząc owoce? Przyznasz, to jest sztuka,
Która poprawia, przemienia naturę,
Ale ta sztuka sama jest naturą.

PERDYTA.

Prawda.

POLIKSENES.

Więc napełń ogródek twój lakiem,
I odtąd, proszę, nie zwiej go bękartem.

PERDYTA.

Nigdy się grzędy mej nie dotknę rydlem,
By jedną laku gałązkę zasadzić.
Jak nie chcę, gdybym malowała lice,
Żeby ten młodzian mówił, że to pięknie,
I że dla różu miłości mej szukał.
To kwiaty dla was: gorąca lawenda,
Mięta i cząber, wonny majeranek,
Kaczyniec, co się kładzie spać ze słońcem,
I z słońcem oko płaczące otwiera:
Wszystkie te kwiaty średniego są lata,
I ludziom wieku średniego przystoją.
Jeszcze raz szczerem pozdrawiam was sercem!

KAMILLO.

Gdybym był jedną owcą z twojej trzody,
Rzuciłbym trawę a karmił się okiem.

PERDYTA.

Takbyś wnet wysechł, że wiatry styczniowe
Na wskrószy mogły przez ciebie przewiewać. —
A ty, mój piękny, piękny przyjacielu,
Ah, czemuż nie mam kilku wiosny kwiatów,
Aby je zbratać z twego życia wiosną!

(Do wieśniaków).

I dla was także.

(Do wieśniaczek).

I dla was, me siostry,
Na których świeżych, zielonych gałązkach
Czysty, dziewiczy rozwija się pączek!
O Prozerpino! gdzie kwiaty, twą dłonią
Z Plutona wozu w trwodze poronione?
Powrót jaskółki przedzące narcyzy,
Które pięknością zwodzą wiatr kwietniowy;
Fijołki skromne, lecz czystsze, lecz słodsze,
Nad wzrok Junony i oddech Cytery;
Blade pierwiosnki, co w dziewictwie giną,
Wprzód nim Feba w całym ujrzą blasku,
(Los smutny, często grożący dziewicom);
Harde łyszczaki, korony cesarskie,
Irys i wszystkie lilii odmiany,
Chciałabym wszystkie w jeden upleść wianek,
Osuć cię niemi, słodki przyjacielu.

FLORYZEL.

Jak umarłego?

PERDYTA.

Nie, jak darń zieloną,
Na której miłość bawi się i drzemie,
Albo też tak jest, jakby umarłego
By cię w ramionach mych pochować żywcem.
Weźcie te kwiaty! — Ale gram, jak widzę,
Jak ich już nie raz widziałam grających,
Nową sielankę na Zielone Świątki.
Odzież ta moje przewróciła myśli.

FLORYZEL.

Wszystko, co robisz, zawsze najpiękniejsze;
 Gdy mówisz, chciałbym byś mówiła ciągle;
 Gdy śpiewasz, chciałbym, by śpiew był ci środkiem
 Kupna, przedaży, dawania jałmużny,
 Twojej modlitwy, chciałbym żeby piosnka
 Była rozkazów domowych tłómaczem;
 Gdy tańczysz, słodka, chciałbym cię przemienić
 Na morską falę, byś wiecznie tańczyła,
 Taniec jedynem był ci zatrudnieniem;
 Bo każda cząstka każdej twej czynności
 Obecny czyn twój jak koroną wieńczy:
 I wszystkie czyny twoje są królami.

PERDYTA.

O, Doryklesie, zbytnie to pochwały,
 I gdyby młodość i szczerą krew twoją,
 Która tak pięknie z twych liców przemawia,
 Nie poświęcały, żeś pasterz bez plamy,
 Miałabym prawo myśleć, Doryklesie,
 Żeś drogą fałszu miłości mej szukał.

FLORYZEL.

Tak mało, sędzę, powodów masz trwogi,
 Jak ja mam mało trwogę w tobie budzić.
 Ale do tańca.

Na tej komedyi kończy się zbiorowy pierwszy całkowity przekład, który jest ostatnim rezultatem prac polskich na tem polu. Będzie temu sto lat mniej więcej, jak zaczęliśmy coś o Szekspirze słyszeć i wiedzieć, a będzie około czterdziestu, jak zaczęto go u nas tłómaczyć na prawdę, z oryginału. O wszystkich tych próbach i usiłowaniach wspomnieliśmy na wstępie. Wszystkie, czy mniej czy więcej szczęśliwe, były potrzebne jako szczeble, po których wychodziliśmy coraz wyżej, aż do przekładu zupełnego i dobrego, i wszystkie dowodziły, że było i coraz żywsze pragnienie i coraz lepsze zrozumienie tego, czem przekład Szekspira być powinien. Powoli więc i stopniowo, ale ciągle i wytrwale dążyliśmy do tego celu, i wreszcie dał się osiągnąć, może późno, ale dobrze, tak że każdy nawet najbardziej wymagający może poprzestać na tej

mierze osiągniętego rezultatu. Chciałoby się, żeby na wszystkich innych polach usiłowania nasze do takich doprowadziły: marzenie mogłoby żądać więcej, ale sumienie i potrzeba miałyby się czem zaspokoić. Chciałoby się także, żeby ten skutek zdobyty na polu literackim stał się typem i przykładem, nauką, jakim sposobem dochodzi się do celu. Wytrwałość, ciągłość, rzetelna sumienność usiłowań i stopniowe zbliżanie się do dobrego, oto droga, którą doszliśmy do przekładu angielskiego poety. Obyśmy na podobnej przenieśli do siebie i inne angielskie skarby, pieniężne, umysłowe i polityczne.

Ale od tych marzeń i życzeń wracając do rzeczy, to jest do naszego przekładu, nie powiemy że ten ostatni rezultat naszych prac około Szekspira jest największym, bo choć poprzednich wcale lekko nie ważymy, przecież z małemi wyjątkami nie trudno było je przewyższyć. Powiemy więc tylko, bez porównań, że on jest dobrym, bardzo dobrym. W roztrząsaniu jego niedostatków do zbytku może drobiazgowi i surowi, teraz w zakończeniu powiedzieć mamy prawo, i obowiązkiem, że jakkolwiek pod względem poetycznego wrażenia przekład oryginału nie dochodzi — (a tłumacze którzy swoim wzrotem są zupełnie równi liczą się na palcach w literaturze świata) — to przecież ma on prawo liczyć się do najlepszych w Europie. Niemcy naprzykład tak dumni, i słusznie, ze swoich tłumaczeń Szekspira, może z przekąsem dziwiliby się nam Polakom, że tak późno zdobyliśmy się na zupełne jego tłumaczenie. Ale zdziwiliby się dopiero bardziej, gdyby czytając nasz przekład, przyznać musieli, że ani co do sumiennej wierności, ani co do formy, ani nawet co do tego najtrudniejszego poetycznego wrażenia, on ich sławnym tłumaczeniom nie wiele ustępuje. A kiedy mówimy *nie wiele*, to tylko z obawy, żeby przez narodową miłość własną nie wpaść w przesadę, bo na prawdę myślimy i chcielibyśmy powiedzieć: nie ustępuje niemieckim tłumaczeniom nic. A zważywszy stosunkową łatwość tłumaczenia z języka angielskiego na niemiecki, ogromne zaś oddalenie języka polskiego od angielskiego, musimy koniecznie w dobrym przekładzie polskim uznać przełamanie nierównie większych trudności, większą zasługę, i większy tryumf.

Nie cieszymy się też tylko lub chlubimy, ale prawdziwie tryumfujemy na widok takiego dokonanego dzieła. Znaczenia

i wartości jego dla naszej literatury, dla naszej oświaty, wskazywać nie potrzebujemy. Żadna literatura długo kwitnąć ani nawet żyć porządnie nie może, jeżeli zasklepiona jest sama w sobie a od innych odgraniczona chińskim murem, tak samo jak nie może żyć i kwitnąć ekonomicznie kraj, któryby się dusił w wewnętrznym tylko handlu. Przekłady wielkich dzieł obcych są tem dla literatury i dla oświaty, czem są łatwe komunikacye, czem zamiana produktów i wyrobów w stosunkach ekonomicznych. Któż wie i kto zliczy ile na tem nasza literatura i nasz stan umysłowy w ogóle traci, że nie mamy dotąd zupełnych i zupełnie dobrych tłumaczeń poetów starożytnych, Göthego, Schillera? Kto wie czy publiczność lepiej i powszechniej z nimi przez przekłady obeznana, nie wzniosłaby wyżej swego smaku a swoich sądów głębiej nie zapuszczała? W każdym razie brak takich tłumaczeń jest jedną z nędz naszej literatury, i powiedzmy otwarcie jednym z jej wstydów. Pomiedzy największe zasługi i najniewątpliwsze tytuły do wdzięczności i chwały zgasłego świeżo Lucyana Siemieńskiego, policzono powszechnie, i słusznie, przekład Odyssei. Przekład Szekspira był przedsięwzięciem materyalnie nierównie większem, a choć z nowożytnego języka, nie łatwiejszem. Był zaś może potrzebniejszym, bo Szekspir bliższy naszych czasów i naszej cywilizacji, poeta naszego świata, więcej ma z nim styczności a w nim znaczenia aniżeli Homer. I dla tego jego przekład, choćby pod względem formy mniej doskonały — a pod tym względem wiemy jak mało kto mógłby zrównać Siemieńskiemu, który miał dar szczególny i zupełnie wyjątkowy — nie będzie mniejszą zasługą, nie przyniesie mniej zaszczytu tym, którzy go dokonali, ani mniej pożytku polskiej literaturze i polskiej cywilizacji. Możemy też śmiało i sumiennie sprawozdanie nasze o polskich pracach około Szekspira zakończyć słowem, że odniosły one skutek zupełny, skutek nad który lepszego nie potrzeba, w dniu kiedy wyszedł na świat przekład panów Koźmiana, Ulricha i Paszkowskiego, i że oni tym przekładem zrobili sobie wieczną w literaturze polskiej zasługę, a zarobili na wieczną pamięć i chwałę.

St. Tarnowski.

ALEKSANDER WIELOPOLSKI ¹⁾

Kiedy Pan Bóg chce dopełnić kielicha goryczy nieszczęść narodowych, to zsyła w chwilach stanowczych ludzi, na których naród poznać się nie umie. Następuje przegrana; a do cierpienia, jakie wywołuje, przybywa wyrzut własnej winy, lub też, co gorsza, naród już utracił poczucie własnej odpowiedzialności.

Dla Polski kielich ten goryczy dopełnionym został w roku 1863.

Gdy po klęskach r. 1831 wszystko zdawało się dla Królestwa straconem, a możność nawet pożytecznego działania była na pozór odjęta, znalazł się zastęp ludzi dobrej woli, którzy radą i przykładem kraj na drogę pracy zwrócili i dźwignęli z upadku tak, że w trzydzieści lat po strasznem rozbiciu uczuł on znowu „dreszcze zmartwychwstania.“

¹⁾ Wiadomość o śmierci ś. p. margr. Wielopolskiego doszła nas w chwili, kiedy nasz zeszyt styczniowy już wychodził z pod prasy. Nie mogliśmy zatem w owym zeszycie złożyć pamięci jego hołdu, jaki jej się należy. Dopełniamy obowiązku teraz, a zarazem pospieszamy czytelnikom naszym zapowiedzieć, że w ciągu bieżącego roku będziemy mieli zaszczyt podania im obszernego studyum o urzędowej działalności margr. Wielopolskiego, tego samego pióra, które kreśliło niniejszy zarys. (Przyp. Red.).

Wypadki z r. 1861 zaskoczyły Królestwo niespodzianie.

Póki chodziło o zachowanie wśród prześladowania wiary i narodowości naszej, o podnoszenie wśród najnieprzyjaźniejszych okoliczności zasobów materyalnych i moralnych kraju, ludzie, którzy przewodniczyli dotąd pracy narodowej, wystarczali zupełnie do tego zadania; skoro jednak nadeszła chwila, w której można było i należało użyć nagromadzonych zasobów do postawienia kroku naprzód, nie wiedzieli, co począć. Wobec nowego położenia stali się nieporadnymi. Jeden był tylko w kraju wyjątek. Był nim margrabia Wielopolski.

On jeden w pierwszych zaraz chwilach budzącego się ruchu, zrozumiał ówczesne kraju położenie, zrozumiał, że tylko nadanie ruchowi prawnej podstawy może go uczynić skutecznym, wskazał drogę, którą iść należało i na tej drodze kraj poprowadzić był gotów.

Mając na uwadze, że konstytucya z r. 1815 nigdzie wyraźnie nie została zniesioną, a statut organiczny z r. 1832, który ją miał zastąpić, dotąd w życie wprowadzonym nie był, powziął myśl przeprowadzenia w kraju adresu do tronu z prośbą o przywrócenie rzeczonyj konstytucyi.

Myśl ta odrzuconą została przez jednych, bo twierdzili, że Polakowi tylko o prawa całej Polski upominać się godzi; przez drugich dlatego, że ratunek kraju upatrywali jedynie w zbrojnym powstaniu, do którego na drodze spisku dążyli.

W spisku ówczesnym ukrywały się nietylko dążności narodowe; były w grze również pierwiastki rewolucyjne.

Podziwiać nam przychodzi przenikliwość Margrabiego, który to odgadł odrazu wtedy, kiedy ludzie najznakomitsi nawet tego jeszcze nie przypuszczali. Pojął on, jakie krajowi zagrażało niebezpieczeństwo. Adresu podanego do tronu po wypadkach d. 27 lutego podpisać nie chciał. Zrozumiał, że kto chce przeciwko spiskowi i rewolucyi skutecznie walczyć, oprzeć się musi na istniejącym w kraju Rządzie. A nie mogąc wypowiedzieć zasady, wprowadził ją w czyn i wstąpił do Rządu.

Ci, którzy przypatrywali się zbliżka ówczesnym wypadkom, wiedzą, jakiej niezwyklej trzeba było odwagi, aby wśród ogólnego rozgorączkowania stanowisko to przyjąć; jakiego hartu duszy i woli niezłomnej, aby na niem wytrwać.

Od owej chwili zaczyna się olbrzymia zaiste walka Wielopolskiego: z jednej strony z nieprzyjaciołmi narodowości polskiej w Rosyi, z drugiej z przeciwnikami myśli jego politycznej w kraju; walka, w której po nadludzkich przeszło dwuletnich wysileniach uległ nareszcie, na nieszczęście kraju.

Nie z próżnemi rękami rozpoczynał Margrabia swój zawód urzędowy. Przyjmując stanowisko w rządzie, przyczynił się do wyjednania instytucyj, nie sięgających wprawdzie tak daleko jak myśl jego pierwotna, ale zdolnych doprowadzić Królestwo do zupełnej autonomii. Instytucye te nigdy nie były przez kraj szczerze przyjęte; krótkość ich trwania, niezwykle stan umysłów, napotykane zewsząd trudności nie dały im się należyście rozwinać; pomimo to pod dobroczynnym ich wpływem Królestwo widocznie dźwigać się poczęło.

Orlim wzrokiem objął Margrabia, czego krajowi było potrzeba: na chwilę obecną uporządkowania administracyi, poprawy sądownictwa karnego, zabezpieczenia ładu społecznego przez uregulowanie kwestyj włościańskiej i żydowskiej; dla pokoleń zaś, dorastającego i przyszłych, wychowania publicznego.

Wśród zewsząd piętrzących się trudności wziął się Wielopolski do dzieła. Na co innym potrzebaby było lat, jemu dni wystarczały.

On do wszystkiego umiał znaleźć ludzi, bo przyświecał im pochodnią swego niezrównanego umysłu.

Nie było kwestyi żywotnie kraj obchodzącej, którejby był twórczem swoim technieniem nie poruszył, nie zbadał, nie rozstrzygnął w sposób, jaki chwilowym potrzebom odpowiadał najlepiej, największe na przyszłość zapewniał korzyści.

Prawem o „oczyszczaniu z urzędu“ wyprowadził kwestyą włościańską z nieokreślonego prawnie położenia, w jakim się od zaprowadzenia w Królestwie Polskiem kodeksu francuskiego znajdowała. Wprawdzie burza, która nieszczęśliwym naszym krajem wstrząsnęła, nie dozwoliła prawu temu wejść w życie, ale pozostanie pamięć, że przeprowadzenie jego byłoby podniosło dobrobyt ogólny i położyło na zawsze tamę waśnieniu pomiędzy sobą pojedynczych warstw społeczeństwa.

Prawem „o wychowaniu publicznem“ postawił sobie Wielopolski „*monumentum aere perennius*.“ Długo jeszcze nie dadzą zatrzeć się ślady wpływu zbawiennego, jaki ono wywarło, pomimo że tak krótko obowiązywało; a ktokolwiek na przyszłość zechce gruntownie zająć się kwestyą wychowania w Polsce, będzie musiał, jak w źródłu ożywczym, czerpać w pomysłach Wielopolskiego.

Oba te prawa pozostaną na zawsze wzorem kodyfikacyi.

Margrabia szczególniejszym darem Bożym posiadał zdolności niemal wszechstronne. Biegły prawnik, dzielny administrator, głęboki polityk, był zarazem znakomitym uczonym, wzorowym pisarzem, niepospolitym mówcą.

Trzydzieści lat odosobnienia w Chrobrzu takie wydały owoce.

Wielopolski miał czas na wszystko. Mianowany zrazu Dyrektorem wskrzeszonej dla niego Komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, podejmuje się dodatkowo prezydowania w Komisji rządowej sprawiedliwości, zakłada Dziennik Powszechny, którym kieruje, wywiera w Radzie Administracyjnej wpływ przeważny na wszystkie sprawy krajowe, wszystko przewiduje, porządkuje, jednym słowem wciela w siebie prawie całą machinę rządową.

A kraj? Policzyć można ludzi, którzy śmiało obok Wielopolskiego stanęli. Reszta albo się otwarcie przeciwko niemu oświadczyła, lub też zajęła stanowisko wyczekujące.

Że Margrabia w pierwszych zaraz chwilach swego wystąpienia nie wzbudzał zaufania, to jest do pojęcia. Postać jego w kraju naszym tak niezwykła, wywoływała albo namiętną niechęć, albo trwożliwy niepokój. Dokąd nas prowadzi? pytano zewsząd. Nie dziw, że w kraju, który pod wieloletnim uciskiem był odwykły od życia publicznego, myśl Wielopolskiego nie mogła być odrazu zrozumiana. Działalność jego urzędowa nie dość ją jasno tłómaczyła. Droga, którą wskazywał, była co najmniej długa, trudna, mozolna. Kraj w swojej niecierpliwości chciał ujrzeć przynajmniej cel ostateczny, do którego wiodła. Jak żaden mąż stanu, tak i Wielopolski temu żądaniu zadość uczynić nie mógł, to pewna; ale powinien był wszelkimi sposobami usiłować, aby zdobyć sobie przychyłność opinii publicznej, — tymczasem i

dumną postawą swoją, i nie dość zręcznym wyborem środków działania, on ją jeszcze od siebie oddalał. Przekonany o prawdzie i trafności swoich pomysłów, sądził że kraj doniosłość ich zrozumieć musi, niepomny na to, że prawda w zbyt nieprzystępną formę odziana, nie może nigdy ku sobie pociągać, a najmniej w chwili, w której jak ówczesnie z dwóch przeciwnych stron zaćmić ją usiłowano.

Trwające ciągle w kraju nieporządki nadały chwilowo przewagę żywiołowi wojskowemu. Margrabia który po 8 kwietnia, dla ocalenia udzielonych Królestwu koncesyj, miał odwagę wziąć na siebie część odpowiedzialności za krwawą represyą, której był przeciwny, nie zawahał się opuścić swego stanowiska, jak tylko reprezentowany przez niego stan prawny, miał być zastąpiony dowolnością żołnierską. — I udał się do Petersburga.

Ustał naraz zbawienny wpływ obecności Margrabiego w Rządzie i zaczęła się znowu srożyć bezmyślna represya. Wtedy dopiero kraj pojął, ile już Wielopolskiemu zawdzięczał. Z ogłoszonych przez niego przed wyjazdem z Warszawy projektów do praw, mieli wszyscy sposobność przekonać się, jak się na najżywotniejsze sprawy krajowe zapatrywał. Kraj zrozumiał całą tych praw doniosłość, odgadł, że tylko ich twórca potrafi im u władzy wyjednać sankcyą i dlatego przeważna większość obywateli zapragnęła gorąco powrotu Wielopolskiego do władzy.

Nastąpił nagły zwrot w opinii i gorączkowo wyczekiwano wiadomości o skutkach zabiegów jego w Petersburgu.

Piękną zaiste kartą w życiu Margrabiego jest jego pobyt nad Newną.

Z jaką godnością umiał on reprezentować Królestwo, z jaką zręcznością bronić praw jego, z jaką trafnością obmyślać zbawienne dlań instytucye, z jaką wytrwałością krok za krokiem zdobywać u tronu ustępstwa!

Po zaciętej z licznymi przeciwnikami walce, zwycięża i wraca do władzy jako Naczelnik Rządu cywilnego.

Zdawało się, że w owej chwili stanowczej kraj cały stanie przy nim. Stało się przeciwnie. Spisek skorzystał z kilku miesięcy wyczekiwania. Jednych uwikłał w swoje sidła, dru-

gich steroryzował. I znowu garstka tylko ludzi znalazła się przy Wielopolskim.

Niezachwiany w swoim przedsięwzięciu, obojętnością kraju nieczrażony, niestrwożony zbrodniczymi przeciwko niemu zamachami, bierze się nanowo do zamierzonego dzieła; cała administracya krajowa potężnym ożywia się duchem, instytucye zaczynają się rozwijać. Ale spisek nie ustaje. I tutaj — jakby w tej na wskrós klasycznej postaci Wielopolskiego nie miało braknąć żadnego pierwiastku tragiczności — spotykamy się z jego błędem największym. Nie wierzył, żeby spisek był ówczesnie cały już kraj ogarnął, i dlatego myślał, że go jednym zamachem złamać potrafi. Zapomniał, że tylko część władzy powierzoną mu została, a działał jakby całkowitą był miał w rękę.

Do ostatniej chwili ufał i w potęgę myśli swojej i w rozsądek większości. Tymczasem kraj z pomiędzy dwóch dróg wybrał tę, która go do zguby doprowadzić musiała.

Po olbrzymich wysileniach, godnych lepszego losu, upadł Margrabia.

Wkrótce potem morze krwi i łez zalało kraj cały. —

Jaka część odpowiedzialności za ten krok rozpaczliwy ciąży na Rządzie Rosyjskim i na zagranicy, nie tu miejsce rozbierać, ale dość sobie przypomnieć, czem było Królestwo za rządów Wielopolskiego, i pomyśleć do jakiego rozwoju na wskazanej przez niego drodze dojść mogło — a spojrzeć następnie na jego stan obecny, aby żal piersi ścisnął.

Jeżeli nie cała Polska, to przynajmniej Królestwo zdaje sobie już dzisiaj sprawę z tego, co w Wielopolskim straciło; wie, że droga przez niego wskazana była nie tylko dobrą, ale ówczesnie jedynie możliwą.

Podejrzывano jego zamiary; ale kto, tak jak on, był w stanie w podeszłym już wieku poświęcić dla kraju cały swój czas, swoje mienie, zajęcia i zamięłowania, znosić cierpliwie potwarze, narażać swoje i swych najbliższych życie, a to bez uznania, bez pomocy ze strony tych, dla których się poświęcał, nie dla chwały, ale z przekonania — ten zaiste musiał kraj swój namiętnie kochać, gorącym być patryotą.

Dla tych, którzy jeszcze o tem wątpią, pouczającą być powinna nienawiść do Margrabiego tych Rosyan, którzy ży-

wioł polski wytepić pragną. Najlepszy to dowód, że niebezpieczeństwa, jakie mu zagrażały, Wielopolski przeczuł, że chciał je odwrócić i że środki ku temu trafnie były obrane.

Inna rzecz, czy nienawiść ta jest usprawiedliwioną. — Służąc dobrze sprawie polskiej, nie uległ, jak to już trafnie powiedziano, pokusie Wallenrodyzmu. Inaczej tylko obowiązki państwowe pojmował, jak stronnictwo dziś w Rosyi u steru rządu stojące. Mniemał, że sprawiedliwe uznanie praw narodowości polskiej, ujarzmionemu i zwycięzcy wyjdzie na dobre. Przyszłość może niedaleka pokaże, czy się pomylił.

Gdy dziś, po uciszeniu się namiętności, uprzytomnimy sobie myśl polityczną Wielopolskiego i wspomnimy, wśród jakich okoliczności działał, z jakimi trudnościami walczył, wiele z nich pokonał, co w tak krótkim czasie stworzył; gdy się rozpatrzymy we wszystkich rysach tego wielkiego charakteru i przywiedziemy sobie na pamięć, że wśród ogólnego zaślepienia zachował jasny na sprawy krajowe pogląd i przedstawił mu gotowy, w szczegółach nawet obmyślany program działania — trudno nam będzie nie przyznać, że on był najpotężniejszą postacią polityczną, jaką społeczeństwo nasze porozbiorowe wydało.

A jednak kraj trzy razy się go zaparł. Raz, gdy zamierzał przeprowadzić adres do Tronu z prośbą o przywrócenie dla Królestwa konstytucyi z r. 1815. Drugi raz, kiedy po 8ym kwietnia objął kierunek komisji rządowej sprawie dliwości. Wreszcie gdy po zwycięstwie odniesionem w Petersburgu nad wrogami narodowości polskiej żywiołami, wrócił do kraju wraz z bratem cesarskim.

Upadek Wielopolskiego wtrącił Polskę w przepaść. Upadek zaś sprawy polskiej wpłynął na zmianę — nie ma w tem żadnej przesady — postaci całej Europy. Gdyby bowiem w r. 1863 sprawa polska nie była wzięła tak nieszczęśliwego obrotu, Dania nie byłaby w r. 1864 pozostała odosobnioną. Sprawa duńska wywołała wojnę austriacko-pruską. Bez Sadowy nie byłoby Sedanu, bez Sedanu Plevny.

Kończąc tę krótką wzmiankę, godzi się nam wspomnieć o mękach moralnych, jakie Wielopolski po swoim upadku przecierpieć musiał. On, co wszystko dla ratunku kraju poświęcić był gotów, został przezeń odtrąconym, a z tym bó-

lem łączył się ból największy, że patrzył złamany na nadmiar nieszczęść narodowych, które bezskutecznie odwrócić usiłował.

A jednak z ust jego nie wyszło ani jedno słowo skargi, ani jedno słowo wyrzutu.

Tylko człowiek niezwyklej miary zdolny jest takiego nad samym sobą zwycięstwa.

Po czternastu latach cierpienia pękło mu serce!

Dalby Bóg, aby tragiczny koniec wielkiego przez Wielopolskiego podjętego dzieła posłużył narodowi naszemu za naukę i przestrogę.

Józef Badeni.

JÓZEF DIETL

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

... ex humili potens ...

Dzień 18 stycznia 1878 r. okrył całe miasto nasze głęboką żałobą, a jęk boleści, który wydobył się z piersi mieszkańców starożytnego grodu, szybkością iskry elektrycznej oddźwięczał we wszystkich dzielnicach biednej ojczyzny naszej. Do gromów niestety przywykli a na ten cios po części już przygotowani, osłupieliśmy wszyscy na wiadomość, że nieubłagana konieczność kazała nam rozstać się z potężnym umysłem, który był chwałą naszą wobec postronnych, a wzorem naśladowania godnym dla swoich. Gdzie spojrzalesz, oblicza smętne w milczeniu ponurem ubolewały nad stratą wielkiego obywatela, a każda warstwa społeczeństwa w innej dziedzinie upatrywała próżnię pozostałą po ustąpieniu zasłużonego męża, dając przez to wymowne świadectwo o wszechstronnej działalności jego i zasług różnorodności. Większość we wdzięcznej zachowując pamięci usługi oddane przez zmarłego gminie, krajowi i cierpiącej ludzkości, składała hołd jego zbawiennemu działaniu przy łóżku chorego i tej niezwykłej słodyczy, która nawet tam, gdzie pomoc ludzka była już niemożliwą, umiała łagodzić cierpienie i krzepić nadzieję, — uznała nie-

zmordowane zabiegi jego koło odzyskania praw narodowych w dziedzinie drogiej nam, pięknej mowy naszej i wychowania przyszłych pokoleń; — inni wszędzie niezatarte napotykając ślady jego gospodarstwa miejskiego, opłakiwali stratę pierwszego autonomicznego naczelnika miasta; inni wreszcie z nie-mniejszą dumą patryotyczną cofając się o kilkanaście lat wstecz widzieli w duchu wspaniałą postać rektora uniwersytetu, przypominającą najświetniejsze czasy tej perły Piastów i Jagiellonów, przemawiającą z krzesła rektorskiego w sposób napawający młodociane umysły nowem życiem i zapowiadający starodawnę burzami skolatanę szkole przyszłość, o jakiej do niedawna nie śmiano nawet marzyć, — przypomnieli sobie ubóstwanego nauczyciela, którego zjawienie się na ziemi ojczystej po długiej nieobecności młodzież akademicka powitała jako powrót ukochanego ojca, którego łaskawe nieba zachowały dla spragnionej dziatwy! Cóż dziwnego, że żałoba ta powszechna a szczerza znalazła wyraz w pogrzebie uroczystym i wspaniałym, jakiego obecne pokolenie nie zapamiętało. Wszyscy albo wiedzieli, albo przynajmniej czuli instynktownie, że oddają cześć ostatnią mężowi, który dobrze zasłużył się ojczyźnie. —

Mężem tym zasłużonym był lekarz-nauczyciel; był on bowiem lekarzem zawołanym i znakomitym profesorem, zanim bogaty i wszechstronny zasób swej wiedzy i swego doświadczenia i w innych dziedzinach oddawał na usługi miasta i kraju; a gdyby, czego się nieobawiamy, patryotyczne usiłowania posła i burmistrza miały kiedyś uleść zapomnieniu, historia medycyny uchroni od zagłady imię pierwszego lekarza polskiego, który pracami swojemi zasłużył sobie na miejsce zaszczytne w poczecie znakomitości, będących własnością wspólną nie tylko Europy ale świata całego.

Wdzięczne wspomnienie moje zwraca się więc przede-wszystkiem ku lekarzowi, który obwieścił światu uczonemu, że żyjemy, i że wyrzuceni z koncertu politycznego, pracą naszą organiczną możemy i powinniśmy zająć przynajmniej godne miejsce w panteonie wiedzy. Miałem zaszczyt i szczęście być uczniem wielkiego tego mistrza w czasie, gdy gwiazda jego błyszczała najżywiej, byłem świadkiem ruchliwej i zbawiennej jego działalności, mam więc niejakię prawo do ocenienia najważniejszej strony jego żywota.

Józef Dietl urodził się w r. 1804 w Podbieżu, wiosce karpackiej położonej w Samborskiem, z Franciszka i Anny z Kulczyckich. Ojciec był urzędnikiem w dobrach kameralnych. Nauki początkowe pobierał w Samborze, później w Tarnowie i w Nowym Sączu, gdzie ukończył gimnazjum jako uczeń celujący. Straciwszy już poprzednio ojca, ujrzał się we Lwowie, dokąd się udał na kursa tak zwane filozoficzne, pozbawionym wszelkich zasobów materyalnych, jednak wrodzona energia nie dozwoliła mu upaść pod brzemieniem niedoli, lecz owszem spotęgowała jego siły tak, że udzielaniem lekcyj prywatnych z matematyki nie tylko zdołał utrzymać się we Lwowie przez trzy lata, wśród których z postępem celującym ukończył studia filozoficzne, ale nawet zaoszczędzić nieco gotówki, która mu umożliwiła podróż do Wiednia, dokąd wyjechał w roku 1823 celem zapisania się na wydział lekarski. Tam położenie jego z razu było rozpaczliwem, wkrótce jednak otrzymał lekcyę prywatną, a następnie stypendyum ówczesnych stanów galicyjskich, przy pomocy którego ukończył nauki lekarskie, a otrzymawszy w r. 1829 stopień doktora medycyny oraz posadę asystenta przy katedrze mineralogii i zoologii, poświęcał się naukom przyrodniczym, a nawet ubiegał się o katedrę tych nauk w Pawii, napisawszy w tym celu rozprawę konkursową w języku włoskim, którego podczas studyów swoich w Wiedniu był się wyuczył. Na szczęście nasze i swoje Dietl otrzymał wprawdzie uznanie, że rozprawa jego była najlepszą, ale posadę w Pawii udzielono Włochowi, natomiast mianowany on został w r. 1833 fizykiem powiatowym na największem przedmieściu wiedeńskiem. Rok ten stanowi epokę w życiu Dietla. Młody stypendysta galicyjski znany w stolicy rakuskiej z rzadkiej urody męskiej, znajomości języków i takownego postępowania, otrzymuje nagle jedną z najlepszych posad lekarskich, rokującą mu wielkie powodzenie w praktyce, a widząc się tak prędko u celu marzeń swoich popada w pewien rozstrój, bo wyznać sobie musi, że szczupłe wiadomości lekarskie, które wyniósł ze szkoły ówczesnej wiedeńskiej, a które prawie całkiem uronił był wśród zajęcia się naukami przyrodniczemi, bynajmniej nie wystarczają wobec wymogów klienteli, z każdym dniem nad wszelkie spodziewanie wzmagającej się. Staął wówczas na niebezpiecznem rozdrożu:

z jednej strony czarodziejska a wówczas istnie złotodajna różczka Hahnemana i Mesmera wskazywała drogę świetnego a łatwego powodzenia; z drugiej zaś wabiło światółko, które zaledwie migotać się poczęło w nędznej szopie szpitala wiedeńskiego, gdzie równy Dietlowi wiekiem i pochodzeniem słowiańskim wielki reformator anatomii patologicznej wśród nadludzkich prawie wysileń, niedostatku a zrazu nawet i pogardy, zniewalał śmierć do oddawania się na usługi życia. Piękny Polak, ulubieniec wielkiego świata wiedeńskiego, niedługo się namyślał i wstąpił śmiało i energicznie na ciernistą drogę ciężkiej i ofiar pełnej pracy. Zawiązała się między nim a Rokitańskim przyjaźń, która przetrwała dziesiątki lat a odświeżoną została, gdy obaj badacze spotkali się znów z sobą już nie w szopie wzgardzonej, lecz w innej Izbie, jako dwaj jedyni lekarze zaszczytzeni parostwem austriackim. Ośm lat ciężkiej a gruntownej pracy nadały naszemu wielkiemu rodakowi już nie prawa do względów publiczności i możnych, ale i do piastowania ważnej posady lekarza ordynującego w nowo założonym szpitalu na Wiedniu, a że posadę tę zawdzięczył już własnej zasłudze, dowodzi pierwsze jego dzieło, które w roku 1846 ukazało się w Wiedniu, znakomite dzieło p. t. „*Klinika anatomiczna chorób mózgowych*.“ We dwa lata później ogłosił dziełko skromne na pozór tak co do objętości, jako też tytułu (*O upuście krwi w zapaleniu płuc*), które jednak mimo to wywołało rewolucyą w obozach lekarskich, a imię autora wślawiło w całym świecie. Mianowany dyrektorem szpitala, którego dotąd jednym tylko oddziałem zawiadował, mając pod opieką swoją do tysiąca chorych, Dietl gnany żądzą wiedzy, widocznie jakby mu się spieszyło, aby z jak największym zapasem rozumowego doświadczenia stanąć na ważnem swoim przyszłem stanowisku w kraju, nie tylko nie pofołgował w pracy swojej, ale jako przełożony zniewalał wszystkich podwładnych sobie lekarzy do badań i doświadczeń, tak że po wielu jeszcze latach spotykać się można było w Wiedniu z prymaryuszami i starymi praktykami, którzy wręcz przyznawali, że wszystko co wiedzą, zawdzięczają jedynie Dietlowi, którego opieka z razu zdawała im się uciążliwą, później zaś dobroczynną. Kosztem rządu wysłany do Europy zachodniej celem zbadania tamecznych zakładów szpitalnych, po-

wrócił Dietl z nowym zasobem doświadczenia, którego wynikiem było dzieło znakomite, niestety już rzadkie, które w r. 1853 ukazało się w Wiedniu p. t. „*Krytyczny opis szpitali europejskich*.”

Jako sierota i biedny student opuścił był Dietl Galicyą, a chcąc powrócić do niej, musiał porzucić świetne stanowisko dyrektora wielkiego szpitala wiedeńskiego oraz rozległą praktykę i wyrzec się licznych stosunków przyjacielskich, koleżeńskich i towarzyskich, zawiązanych w ciągu 28-letniego pobytu w stolicy. Nie zawahał się jednak, gdy usług jego zażądał kraj rodzinny, gdy go wezwała Wszechnica jagiellońska, a zwłaszcza, gdy osobiście udał się do niego ujmujący słodyczą i wymową swoją ówczesny rektor a obecny prezes Akademii Umiejętności, na którego wezwanie kilka lat przedtem nawet Mickiewicz gotów był porzucić stolicę świata i przyjąć katedrę krakowską.

Osieroconą klinikę lekarską w Krakowie objął Dietl dnia 12 maja 1851 r. Rzućmy zasłonę na przeszłość; nie tu miejsce zastanawiać się nad przyczynami, dlaczego Kraków pozostał był w tyle za ruchem reformacyjnym w medycynie, który wyszedłszy z Francyi, skoncentrował się był w Wiedniu, z kąd wysłał promienie na wszystkie strony świata; radujmy się raczej, że z tryady gwiazd, która świeciła wówczas na widnokręgu lekarskim w Wiedniu, a która stała się drogowskazem dla nowego pokolenia lekarskiego na całym świecie, jedna gwiazda wyszła od nas i do nas powróciła. Zaprawdę, z nie-równie większą dumą, aniżeli łabędź z nad Aufidu, który chciał się, że eolskie pienia do italskiego nastroił taktu, mógłby nasz mistrz powiedzieć o sobie, że samem pojawieniem się swoim wśród nas medycynę ówczesną zaszczerpił w kraju ojczystym, bo samo pojawienie się na katedrze klinicznej było wymownym programem reformy, która w wielkiej części wyszła była od niego samego. Cóż dziwnego, że działalność profesora kliniki przez spragnioną i wiedzy łaknącą młodzież długo oczekiwanego, stanowi epokę w annalach uniwersytetu naszego; coś dziwnego, że indywidualność tak potężna oczarowała nie tylko umysły młodociane, ale i lekarzy starszych, którzy garnęli się do obfitej krynicy wiedzy, pragnąc nie tylko uzupełnić wiadomości swoje, ale i nastroić je do zmienionego z gruntu

stanowiska nauki? To też nie wielu miał Dietl przeciwników pomiędzy lekarzami krajowymi, bo chyba tylko tych, którzy za starzy, aby zaprzyjaźnić się z nowym porządkiem rzeczy, zmuszeni koniecznością trzymać się zdala, miasto utyskiwania na wiek i nieudolność, woleli zbywać żartami potężny ruch, który zawładnął był całym światem lekarskim. Z wyjątkiem tych istnie białych kruków Dietl nakształt wielkich mędrców starożytnych zyskał tylko uczniów, dla których *αὐτὸς ἑφη* mistrza było prawie dogmatem, żadnej krytyce uledez nie mogącym. Bo też rzadko który mistrz jednoczył w sobie w takim stopniu wszystkie warunki czyniące go bożyszczem dla swoich uczni. Postać wspaniała i imponująca, wymowa świetna i przekonująca, bezwzględna wiara w siebie i zasady swoje, pilność nadzwyczajna i pracowitość mrówcza, wykład jasny i trzeźwy, indukcya połączona z loiką bystrą, wysnuwającą z objawów fizycznych wnioski tylko fizyczne a zniewalającą ucznia do podobnego myślenia i unikania wszelkich skoków, badanie ściśle każdego chorego i wymaganie od każdego ucznia, aby w przytomności profesora sam badał i uczył się korzystać ze zmysłów swoich, leczenie proste, — obok rozległego wykształcenia ogólnego, przenikliwego rozumu, wielkiej znajomości ludzi i stosunków, ojcowskiej życzliwości dla uczniów, owej życzliwości, która umie pobłażać ale i karcić, — oto przymioty męża, którego uśmiech wystarczał, aby młodzieńca zachęcić do wytrwania wśród trudności, a zmarszczenie pięknego czoła, przenikającego wskrós błędzącego naprowadzało go na drogę prawą. To też szkoła Dietla była szkołą w całem słowa znaczeniu; w niej uczniowie zaprawiali się do przyszłego zawodu swego praktycznego, a niepojawienie się ucznia na wykładzie nie tyle przez profesora, ile przez współuczniów poczytane było za grzech popełniony na przysłem swoim powołaniu.

Przez lat 14 Dietl był czynnym na wydziale lekarskim. Podczas gdy uczniowie jego liczni nietylko po Galicyi ale i w Królestwie i w prowincjach zabranych, zwłaszcza przed założeniem szkoły głównej w Warszawie, roznosili sławę mistrza, ciesząc się nawzajem jego poparciem i radą, on sam nie zaniechał pracy naukowej, a korzystając zwłaszcza z wakacyj, objeżdżał już to Europę południowo-wschodnią i dotarł aż do Grecyi, wysp Jońskich i Małej Azyi, czyniąc wszędzie

studya nad *zimnicą*, już to zwiedzał głównejsze zdrojowiska Europy środkowej. Z ogłoszeniem rezultatu naukowego z podróży pierwszej nosił się aż do końca życia swego, — z doświadczenia zaś zebranego w zdrojowiskach zdał sprawę w czasopismach niemieckich, a następnie spożytkował je na rzecz ojczyzny swojej. „Naród o urządzenie swoich zdrojowisk nie dbały, nie poznał się jeszcze na bogactwach ziemi swojej i nie stanął jeszcze na tym stopniu cywilizacyi, który, ciągnąc ko-rzyści z rodzimych swych skarbów, mnoży pomyślność i za-możność kraju” — z tego wychodząc stanowiska zawiązał *komisyę balneologiczną* w Towarzystwie naukowem krakowskiem, której był duszą i przewodnikiem, napisał kilka prac w przedmiocie zdrojowisk krajowych, a mianowicie o Krynicy, Iwoniczu, Swoszowicach, Bardyowie i t. d., z których zwłaszcza monografia o Krynicy (1857) uznaną została w swoim czasie przez znawców kompetentnych jako wzór, jak tego rodzaju prace pisać należy. Zabiegi te jego koło podniesienia bogactwa krajowego odniosły świetny na razie skutek, a jakkolwiek komisyja balneologiczna pod koniec życia Dietla widocznie chylić się zaczęła ku upadkowi, to jednak weszła ona w drugi okres swego bytu, odkąd przejęta przez Towarzystwo lekarskie krakowskie pozostaje pod sprężystem kierownictwem Dra Korczyńskiego, obecnego prof. kliniki lekarskiej.

Śród tych licznych zajęć ukazały się liczne prace Dietla ściśle naukowe, z których zwłaszcza rozprawy o *tyfusie*, *cholerze*, *śledzionie i nerce wędrującej*, jako też o *kołtunie* mają trwałe znaczenie w umiejętności, a mieszczące się w nich niektóre na pozór małoważne szczegóły jeszcze dziś przytaczane bywają przez badaczyw nowszych jako dowód rzadkiego daru spostrzegawczego. Ojczyźnie zaś naszej przysłużył się Dietl szczegółowo zdjęciem z niej kłątwy, jakoby była gniazdem szczególnego rodzaju nieestetycznej choroby. Jak dzieci nasze po dziś dzień litują się nad pierwszymi mieszkańcami grodu naszego trapiionymi przez smoka podwawelskiego, tak nauka dawniejsza złośliwie ubolewała nad biednym krajem, śród którego gościł kołtun nadwiślański, a my sami znosząc cierpliwie chłostę hołdowaliśmy przesądowi, że posiadamy smutny przywilej na chorobę ciężką, nietylko oszpecającą najpiękniejszą ozdobę człowieka, ale nawet nurtującą we wnętrzo-

ściach naszych. Dietl powróciwszy do kraju oko w oko zmierzył się ze smokiem nowoczesnym i położył koniec jego panowaniu. Zgromiony leżał kołtun u nóg zwycięzcy, który pod sam koniec życia doczekał się jeszcze pięknej pracy młodego polskiego lekarza dowodzącej, że kołtun jako choroba nie tylko nie istnieje, ale istnieć nawet nie może.

Gdy w r. 1861 język ojczysty odzyskał święte swe prawa w uniwersytecie tutejszym, Dietl zachęcał uczniów i lekarzy do pisania, a na wniosek jego powstał *Przegląd Lekarski*, tygodnik wydawany zrazu przez Towarzystwo naukowe, stojący na straży czystości i poprawności języka, zwłaszcza słownictwa lekarskiego; organ ten, liczący obecnie już siedemnasty rok swego istnienia, od czasu zwłaszcza przejęcia go przez Tow. lek. krak., postępuje coraz bardziej i śmiało ubiegać się może o lepsze z celniejszymi pismami zagranicznymi. I pod tym więc względem Dietl dobrze zasłużył się ojczyźnie.

Gdy prof. Dietl, podczas zaprowadzonej w uniwersytecie kuratorji za czasów bachowskich smutnej pamięci, mianowany został przez rząd dziekanem wydziału lek., — a było to w r. 1856 —, wtedy tak profesorowie jako uczniowie w nominacji tej powitali zapowiedź lepszych czasów, spodziewając się po jego koleżeńskiej uprzejmości i ojcowskiej życzliwości słusznego pogodzenia wymogów rządu z wolnością, bez której nauczać i uczyć się nie można. Zaiste nie zawiodła ich nadzieja; łagodne i pełne taktu rządy Dietla zjednały mu z jednej strony uznanie władz, z drugiej wdzięczność kolegów, którzy po zniesieniu kuratorji w r. 1860 wolnemi już głosami powołali go do sprawowania urzędu dziekańskiego jeszcze na rok następny.

Listem odręcznym z dnia 20 października 1860 roku Najj. Pan nakazał, aby mu minister stanu przedłożył projekt do ustawy względem języka wykładowego w uniwersytecie Jagiellońskim. W komisji w tym celu zwołanej do Wiednia z polecenia hr. Gołuchowskiego, jako ówczesnego ministra stanu, Dietl nadzwyczaj ważne zajął stanowisko, zbijając silnemi argumentami wszelkie zarzuty, czynione ze strony niechętnych tej sprawie urzędników wyższych ministerstwa, tak jak w r. 1854 oświadczył się był przeciw zaprowadzeniu języka niemieckiego jako wykładowego. Jemu więc wielką przyznać należy zasługę, że mimo ustąpienia hr. Gołuchowskiego i obję-

cia steru przez p. Schmerlinga reskryptem tego ostatniego z dnia 13 lutego 1861 r. język polski zaprowadzono przynajmniej jako wykładowy na dwóch wydziałach. Reskrypt ten oczywiście nie zadowolili nikogo, a najmniej Dietla, który na posiedzeniu Sejmu galicyjskiego dnia 24 kwietnia 1861 r. nazwał go trafnie mozaiką, której w wykładach naukowych nie pojmuję i przejęty wielkiem znaczeniem wykładów w języku ojczystym wyrzekł pamiętne słowa: „*Przyszłość nasza zależy od kierunku, jaki wychowaniu publicznemu nadacie.*“

Poprzednio jeszcze, powróciwszy z owej narady wiedeńskiej a przewidując ciężkie przeprawy wyborcze wobec zwołanego na miesiąc kwiecień 1861 r. pierwszego Sejmu galicyjskiego, Dietl zstąpił na chwilę z katedry i już to jako „Michał Wiarosław“ przemawiał do ludu wiejskiego (*Dyplom Cesarski i Sejm galicyjski, Kraków 1861*), już to jako „obywatel z pod Tuchowa“ odzywał się do obywateli (*Nie bójmy się włościan, Kraków 1861*); z jednej i drugiej odezwy wieje gorąca miłość kraju i chęć pogodzenia żywiołów poważnionych, aby ułatwić zadanie Sejmu. Zaufaniem właścicieli większych posiadłości z obwodów: krakowskiego, bocheńskiego i wadowickiego powołany na posła sejmowego uczynił wniosek względem zupełnego przywrócenia języka polskiego w uniwersytecie krakowskim i ogłoszenia odnośnego rozporządzenia w dzienniku praw państwa; z Sejmu wyszedł jako delegat do Rady państwa w Wiedniu, otrzymawszy największą ilość głosów.

Niedługo potem wybrany został rektorem na rok szkolny 1861/2. Nigdy nie zapomnę uroczystości inauguracyjnej odbytej w d. 10 października 1861 r. i ogromnego wrażenia, jakie ona zrobiła na wszystkich obecnych. Zdawało się, że zmartwychwstał jakiś Najmanowicz a razem z nim świetne nasze czasy; tyle uroku dodawała godności rektorskiej świetna postać Dietla i przemówienie jego, pewne siebie i pełne wiary w przyszłość, bo opierające się na pełnej chwały przeszłości. Pokolenie, które wzrosło pod kuratoryą, chwyciło chciwie słowa złotoustego rektora i przyklaskiwało programowi jego i hasłu: *autonomia, karność, praca*. Program jego nie pozostał też frazesem. W ciągu jednorocznego rektorstwa swego Dietl rozwinął wszechstronną i gorączkową prawie czynność, jakby chciał w mgnieniu oka urzeczywistnić prośbę wystoso-

waną w mowie swej do młodzieży akademickiej: „Bądźcie wiernymi synami ojczyzny, a hasłem waszem niechaj będzie: *kształćmy się, ażeby co ,rędey służyć krajowi.*“ W ciągu tego roku nie tylko na miejscu dołożył wszelkich starań, ale korzystając z pobytu swego w Wiedniu jako delegat, zawiązał stosunki z młodszymi uczonymi polskimi, zachęcając ich do starania się o katedry lub docentury w Krakowie, a w sprawozdaniu złożonem w dniu 20 grudnia 1862 r. przy inauguracyi nowego rektora mógł ze sprawiedliwym zadowoleniem wewnętrznem wskazać na liczbę 456 uczniów zapisanych na wszechnicę krakowską, a więc na liczbę, jakiej od pół wieku nie było, na instytucją docentów prywatnych, która się w ciągu roku jego rektorskiego rozwinęła była tak dalece, że 7 kandydatów uzyskało już było potwierdzenie rządowe, na wzbogacenie się grona profesorów pięciu znakomitymi rodakami, na liczne prace profesorów, na powstanie dwóch czasopism fachowych w języku ojczystym i t. d. i t. d. Uznali słusznie te niezwykle zasługi Dietla koledzy obrawszy go ponownie rektorem; tym razem jednak wybór jego z przyczyn formalnych zatwierdzonym już nie został. Mimo to jednak nie przestał być czynnym dla uniwersytetu jako prorektor, a przy wybuchu powstania styczniowego wydał pamiętną odezwę do młodzieży, aby ją wstrzymać od udziału w takowem.

Z ogłoszeniem stanu oblężenia w Galicyi w r. 1864 smutne nastały czasy i dla wszechnicy jagiellońskiej. Wybory akademickie nie zostały zatwierdzone a rząd zamianował członków senatu. Wtedy Dietl na pierwszym posiedzeniu wydziału lek. wystąpił z protestem przeciw temu niesłusznemu zawieszeniu praw uniwersyteckich, a krokiem tym jako też śmiałem słowem wypowiedzianem już dawniej w Radzie państwa, ściągnął na siebie niełaskę ówczesnego ministerstwa; to też gdy z końcem r. 1865 po raz trzeci wybrany został rektorem, rząd usunął go poprzednio z katedry, wyboru jego nie zatwierdził.

Tak więc skończyła się 14-letnia błoga działalność Dietla na wydziale lekarskim i w uniwersytecie. Wiadomość o jego usunięciu przeraziła kraj, może zarówno jak śmierć jego; powszechnem było przeświadczenie, że uniwersytetowi wyrządzoną została krzywda powetować się nie dająca. Jakkolwiek nie

wątpię, że Dietl mógłby być przez lat kilka jeszcze służyć świetnie uniwersytetowi, to jednak jako wielbiciel niezwykłych zalet jego nie narażę się może na zarzut stronnictwa, jeżeli otwarcie wypowiem głębokie moje przekonanie, że usunięcie Dietla było zdarzeniem pomyślnem dla niego, dla wydziału lekarskiego i dla kraju. Jeżeli bowiem za szczęśliwego poczytujemy człowieka, który usunięty zostaje z widowni w chwili największej swej świetności, to wyznać potrzeba, że wtedy, gdy Dietl pozbawiony został katedry, dostąpił był zenitu swej sławy i że znajdował się w wieku, w którym w Francyi na mocy ustawy każdy profesor ustąpić musi, ponieważ wtedy już po nim spodziewać się nie można prac znaczniejszych i samodzielnych. To też ostatnie prace ściśle naukowe Dietla ukazały się w r. 1862, a większego swego dzieła o zimnicy, o którym do ostatniej chwili życia marzył, już wykończyć nie był w stanie, nie z powodu osłabienia umysłowego, — bo umysł jego pozostał bystry do ostatniej prawie chwili życia, — lecz ponieważ ogromny postęp nauk lekarskich w ostatnim czasie już nieco pozostawił go w tyle, gdy innemi ważnemi dla kraju pracami był zaprzątnięty. Okoliczność ta mogłaby mu się przy dłuższem pozostaniu na katedrze mocno dawać we znaki, zwłaszcza wobec pewnych wad, które posiadał a których wytknięcie zapewne nie ubliżył pamięci męża, obdarzonego tyloma zaletami. Dietl wierzył mocno w siebie a z zdaniem innych, zwłaszcza młodszych powag, wtedy tylko zapoznawał swoich uczniów, jeżeli sam nabył przekonania o ich trafności; stąd poszło, że uczniowie przejęli się wyłącznie jego zasadami, cudze przyjmując z niedowierzaniem, o ile one nie licowały ze znanemi sobie zapatrywaniami mistrza. Poniekąd więc słusznie zarzucano uczniom Dietla zamknięcie się w sobie i gardzenie doświadczeniem cudzem, a tem samem posądzano ich o brak samodzielności. Mają to do siebie ludzie jeńialni, że z całym wylaniem wynoszą podwładnych sobie, ale też ciążą na nich całym brzemieniem przewagi swej umysłowej pozbawiając ich inicjatywy; podwładni ci są na miejscu swoim, dopóki czuwa nad nimi oko pańskie, a gdy to oko się zamknie, okazują się nieporadnymi i oglądają się za nową komendą. Historia podnosi zarzut przeciw generałom Aleksandra W. i Napoleona I, że samodzielnej roli odegrać nie zdo-

łali; z ustąpieniem Dietla żaden z jego uczniów nie był w stanie zająć jego miejsca. Rzecz dziwna, że Dietl, ten wielki znawca ludzi, który, jak mieliśmy sposobność przekonania się, nigdy nie mylił się co do wartości człowieka, którego nieco bliżej poznał był, przecież nie wychował takich, którzyby zdolali prowadzić dalej jego dzieło. Jak deus ex machina stanął on u nas wśród zastoju i ociężałych posunął naprzód; łaskawe zaś nieba uchroniły dzielnego szermierza od smutnego widoku, jaki przedstawia profesor, który się przeżył, i zachowały nam raczej poważną postać uczonego w całej świeżości i piękności. Dla miasta zaś i kraju usunięcie jego z katedry było również zdarzeniem szczęśliwym, ponieważ pozwoliło mu obrócić działanie swoje w inną stronę i spożytkować w innych kierunkach znakomitą swą indywidualność dla kraju i narodu.

To też przynieciona na chwilę ofiara Schmerlinga podniosła się wnet jako feniks omlodniały i rozpostarła skrzydła swoje, gotowe do nowego i śmiałego lotu. Upadł Schmerling a dla Galicyi zabłysła nadzieja lepszych czasów. Historia przeobrażeń, które nastąpiły, w świeżej prawie wszystkich jest pamięci. Udział Dietla we wszystkich sprawach krajowych był nader ważnym. Pracował on łącznie z nieodżałowanym hr. Adamem Potockim oraz z namiestnikiem hr. Gołuchowskim nad uzyskaniem jak najszerzej autonomii administracyjnej dla kraju. Najbardziej atoli zajmowały go sprawy wychowania publicznego. A przystąpił do rzeczy ze zwykłą gruntownością, zapoznał się z ustawami wzorowymi zagranicy, z ustawodawstwem szkolnem austriackiem oraz ze statystyką szkolną, a owocem tych gorliwych badań była wydana w roku 1865 w Krakowie część 1sza, a w r. 1866 część 2ga dzieła: „*O reformie szkół krajowych*“, na czele którego zamieścił godło: „Dobrze urządzone szkoły są niewyczerpanem bogactwem kraju.“ Piękne są słowa jego zapisane w przedmowie, w której przypomina ministerstwu, aby zmianę na lepsze rozpoczęło od urządzenia szkół krajowych w duchu *autonomicznym*. „Wtenczas“ — mówi on — „umiejętność stanie się potęgą, a na „tej potędze oprze się nietylko kraj ale i państwo. Oświata „ludowa, to produkcyja; produkcyja, to źródło niewyczerpanych „bogactw, bo je nieustannie zasila prąd inteligencji ludowej.“ Wskazując na ścisły związek zachodzący między ministerstwami

oświaty a skarbu, wzywa wreszcie nowy rząd, aby hasłem swoim uczynił „nie podniesienie podatków, lecz podniesienie produkcji mocą oświaty w dobrze urządzonych szkołach.“ Za najważniejszy środek do osiągnięcia tego celu uważał ustanowienie samodzielnej Rady szkolnej krajowej i wszelkich dokładał starań, aby ją kraj nasz mógł uzyskać.

Podczas gdy działalność jego na zewnątrz skierowaną była ku wywalczeniu jak najszerzej autonomii, na wewnątrz starał się, aby kraj z każdego udzielonego sobie prawa korzystał w sposób najlepszy. Podniesienie zaś oświaty ludowej i nadanie jej kierunku najodpowiedniejszego dla naszej indywidualności narodowej — było głównym celem do którego dążył.

Te same zasady pragnął przeprowadzić w szczególności w Krakowie, gdy w r. 1866 prawie jednomyślnie wybrany został prezydentem naszego miasta. Mowa jego wypowiedziana w Radzie miejskiej w d. 31 października 1866 r. przy objęciu berła burmistrzowskiego była świetną, programową; zaprawdę nie było to odezwanie się pensjonowanego profesora, ani znakomitego lekarza; na krześle prezydyalnym pojawił się jakby nowy Wierzynek, który wprawdzie już nie cesarzów i królów, ale przynajmniej namiestników cesarskich i nuncjuszów apostolskich przyjmuje z powagą i okazałością, godną lepszych czasów; talent organizacyjny z kliniki i uniwersytetu przenosi do ratusza miejskiego i jakby z wiekiem spotężniał jeszcze i jakby nowy zakres działania był jeszcze za ciasnym, wzywa ojców miasta, aby rozrządzili osobą i siłami jego, bo skoro go zapisali w poczet mieszczan krakowskich, dumny będzie, jeżeli z czasem przyznać zechcą, że był dobrym mieszczaninem. Porusza wszystkie sprężyny, aby autonomią, na którąby nikomu nie pozwolił targnąć się, spożytkować ku podniesieniu miasta. Organizacja magistratu i straży ogniowej, wzięcie w dzierżawę akcyzy, zaciągnięcie pożyczki na cele produkcyjne, na upiększenie i asanizację miasta, ratowanie dawnych jego zabytków od zagłady, rozwój przemysłu i handlu, a przedewszystkiem celem podniesienia istniejących i zakładania nowych szkół i t. d., — oto cały szereg spraw, który Dietl poruszył, a po części nawet przeprowadził. Zbyteczna szerzyć się nad szczegółami, które wszystkim są znane; wszakże obecny prezydent miasta żegnając zwłoki poprzednika swego

uznał, że wszystko, co się teraz robi w Krakowie i dla Krakowa, wyszło z inicjatywy Dietla!

Nie dziw, że mąż ten niezwykle zjednał sobie uznanie we wszystkich sferach. Monarcha powołał go na członka dożywotniego Izby Panów i udzielił mu order korony żelaznej; Ojciec św. mianował go komandorem orderu Grzegorza W., Akademia Umiejętności wybrała go zastępcą prezaesa i dyrektorem wydziału, ojczyzna szczeni się nim jako jednym z największych synów, Kraków wielbi go jako najlepszego obywatela swego. Był on obywatelem honorowym Krakowa i N. Sącza, niemniej członkiem honorowym towarzystw lekarskich: w Krakowie, Lwowie i Czerniowcach, członkiem Tow. Przyjaciół nauk w Poznaniu, towarzystw lekarskich: w Warszawie, Wilnie, Wiedniu i Chrystyauui, towarzystw agronomicznych w Krakowie i Lwowie i t. d. i t. d.

Ex humili potens! Pod niską zrodzony strzechą, urósł on ni z roli, ni z soli, lecz z tego, co boli. Biedny Podbużanin wszystko samemu sobie zawdzięczał i wytrwałej swej pracy. Dla młodzieży polskiej, którą Dietl tak serdecznie i tak gorąco miłował, w której widział rękomię lepszej przyszłości narodu, życie tego męża powinno być wzorem i dowodem, jak trzeźwa praca organiczna nawet wśród największych przeciwnieństw toruje drogę do chwały i wdzięczności narodu. Tej młodzieży godłem niechaj pozostaną na zawsze pamiętne słowa Rektora: „*Praca*, niech będzie naszym hasłem, *wytrwałość*, naszą *tar-
-czą*, *nauka*, naszą ozdobą, *szczęście kraju*, naszą nagrodą!“

Wśród największego pogwałcenia Galicya, ten kraj wzgardzony, wydała równocześnie prawie trzy pierwszorządne znakomitości organizacyjne, trzech mężów pod niektórymi względami do siebie podobnych, konsekwentnie zdążających do wytkniętych sobie celów: *Wielopolskiego*, *Gołuchowskiego* i *Dietla*. Wszyscy trzej pragnęli gorąco dobra narodu, jakkolwiek różnili się co do środków, którymi się posługiwali. Sąd o tych mężach pierwszorzędnych należy do historii; najszcześliwszym atoli z nich był *Dietl*. „Społeczeństwa naszego najbardziej „ujemną stroną“ — utyskiwał on — „*jest brak silnego stanu
-średniego*. Dopóki ten brak nie będzie uzupełniony, chromać „i niedomagać będzie nasze towarzystwo, bo mu nie staje tej

„nieodzownej spójni, która łącząc między sobą skrajne ogniwa „społeczności, wiąże ją w masę zbitą i ześrodkowaną, a tem „samem poważną, potężną i wytrwałą.“ Czyż powstanie męża tak znakomitego właśnie z łona tego stanu nie zdaje się być zapowiedzią pomyślnego powstania i społeczności poważnej, potężnej i wytrwałej?

Prof. Dr. L. Blumenstok.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 stycznia.

Wypadki tak szybko idą po sobie na wielkiej widowni politycznej, która ogarnia dziś świat niemal cały, iż to, co się pisze dziś na schyłku miesiąca, może w ciągu jednej doby już się przestarzeć i pozostać tylko historycznym materiałem, zamiast być obrazem chwili obecnej. Jedna tylko sprawa nie przeleżała się, owszem obraca się ciągle w błędnem kole, lub też jak śruba nieustająca nie ma nigdy końca, a sprawą tą jest ugoda austriacko-węgierska. Do zawarcia jej bowiem nie wystarczył rok, w którym czas jej upłynął, lecz pod zasłoną „provisorium“ może jeszcze przeciągać się trzy miesiące, a nic nie przeszkadza, aby dodatkowe „provisorium“ nie miało jeszcze ściągnąć się po za pierwszy kwartał roku, z którego rozpoczęciem powinna była nowa stanąć umowa. Francuska Izba deputowanych mając się rozejść na święta bez uchwalenia budżetu, którego odmówiła była poprzedniemu rządowi, a nowemu przyznać chciała bez rozbioru pozycji, jako dowód zaufania uchwaliła tymczasowy budżet dwumiesięczny. Takie uchwalanie tymczasowego i domniemanego budżetu zdarza się i w innych krajach, gdzie nie ma, jak w Anglii, zrozumienia właściwej istoty ciała prawodawczego, iż ono i tylko ono ma prawo dozwalać na wydatki i na pobór dochodów, a przeto budżet uchwalony bywa kilku miesiącami wprzód; wszelako we Francji chciała Izba dać wyraz swojego zadowolenia ze zmiany gabinetu a uznania dla nowych ministrów. Ugoda austro-węgierska nie może być traktowana jako kwestya zaufania, ani jako budżet prowizoryczny: albo ugoda jest, albo jej nie ma; albo

kontrakt obustronny obowiązujący przez lat dziesięć, ma obowiązywać na czas nieograniczony, albo powinien ustąpić miejscu innemu określeniu obustronnych stosunków. Nikt już dziś nie uznaje „formuły na wieczne czasy“, przekonany będąc, że każdy traktat, każda umowa trwa, dopóki odpowiada interesom kontrahentów, lub też dopóki jedna ze stron, czując się na siłach wymuszenia korzystniejszych warunków, nie wypowie, albo nie zerwie umowy. Czy wobec zewnętrznych stosunków politycznych mogła tu jedna ze stron pomyśleć o zmuszeniu drugiej strony do ustępstw na jej niekorzyść, czyli na korzyść własną? A jednak z obu stron panuje przekonanie, że umowy zerwać nie można, że względy ekonomiczne muszą ustąpić politycznym, a przede wszystkim, że pośpiech był konieczny, aby można na podstawie ugody przystąpić do traktatów handlowych z innymi państwami, i że jeśli przed zawarciem nowej ugody Austria została włączona w sprawę wschodnią i zmuszona do zajęcia w niej określonego stanowiska, czy Austria, czy Węgry skorzystałyby poważnie lub większą poniosłyby szkodę w interesach swych ekonomicznych i w wartościach swego wywozu i przywozu, zawsze wypadłaby stąd szkoda dla całości. Przypuściwszy bowiem tę okoliczność, która zresztą może być brana w rachubę jako ewentualna, że Austria zajęłaby Bośnię i Hercegowinę nie tylko przez chwilową militarną okupację, ale jako posiadłość, naówczas wypadłoby chyba znów przeistoczyć ugodę austro-węgierską ze względu na te kraje ościenne w system handlowy austriacko-węgierski wciągnięte. Wobec zaś pośpiechu, z jakim sprawa wschodnia zbliża się do rozstrzygnięcia, ważne te wypadki mogą wyprzedzić zawarcie ugody austro-węgierskiej. Jeżeli rząd niemiecki ociągał się z zawarciem traktatu handlowego z Austrią i wreszcie od dalszych układów usunął się, uczynił to właśnie ze względu na możebny, czy domniemany obrót, jaki może na Wschodzie postawić Austrię w roli uczestniczki, aby mógł eskontować handlowe te korzyści, któreby Austria osiągnęła terytoryalnie.

Oba rządy, austriacki i węgierski starały się przyspieszyć wreszcie ugodę, aby zawarcia jej nie uprzedził pokój, któryby monarchię austriacko-węgierską zastał nieprzygotowaną, bo w swoich wewnętrznych stosunkach nie skonsolidowaną. W ciągu narad między Wiedniem a Pesztem znaleziono wreszcie drogę pośrednią, na której oba rządy spotkać się mogą i zarównać różnicę w kwestyi kwot, w sprawie restytucyi i ze względu na dług 80-milionowy. Ale wypadało uzyskać wprzód od Rady państwa przyjęcie ceł finansowych, mianowicie od kawy i nafty, na które oba rządy zgodziły się w zadosyćuczynieniu żądaniom węgierskim i dla ceł protekcyjnych, wypadających na korzyść producentów niemieckich w Austrii. Gabinet ks.

Auersperga przewidywał trudności, jakie z żądaniami swemi napotka w Izbie deputowanych i starał się wyrozumieć poprzednio różne koła deputowanych a zapowiedział z góry, że nieprzyjęcie wniosków cłowych stanie się dla gabinetu kwestią życia. Mimo tego nie powziął przekonania, aby mógł uzyskać wotum przychylne i podał się do dymisji.

Uгода więc austriacko-węgierska nie stanęła, a do licznych prowizoryów przybywa jeszcze prowizoryczne ministerjum, gdyż zanim nowy gabinet złożonym zostanie, teraźniejsi ministrowie sprawować będą urząd swój tymczasowo. W chwili nader trudnej pod względem politycznym, wykazała się dostatecznie wadliwość unii austriacko-węgierskiej, skoro każda połowa monarchii zarówno politycznie jak ekonomicznie różne ma kierunki. Obecna przeto kryzys może pod wpływem zewnętrznych okoliczności sprowadzić nie tylko nowych ministrów, ale oraz zmianę systemu, a nawet organizacji państwa.

Możnaby tu sobie pozwolić przykładami z historii wykazać szkodliwe skutki natężonej fiskalności, jak np. podatek „dziesiątego feniga“ w Holandyi, albo cło od herbaty w amerykańskich koloniach Anglii; ale nie idzie tu o wykazanie, który system podatkowy jest więcej racjonalny, zyskowniejszy dla skarbu a dla kontrybuentów mniej uciążliwy: czy progresywny, czy konsumpcyjny i jak dalece słusznie ten ostatni ma dotyczyć wszystkich niemal równo co do wysokości cyfry a bardzo nierówno ze względu na stosunek podatku do ilości wydatków konsumenta. Ale na tej zasadzie opiera się np. podatek od soli, albo od mlewa w Prusiech i Włoszech, gdyż bogaty i ubogi niemal jednaki płacą tego rodzaju podatek. W jednej tylko Anglii od czasu reformy zbożowej za rządów Peela nie tylko podatki niższe są stopniowo, ale zarazem dobrobyt tak się wzmacza, że mało już brakuje do urzeczywistnienia życzenia Henryka IV francuskiego, aby każdy chłop mógł mieć w niedzielę kurę w garnku. Cła finansowe, cła protekcyjne w Austrii nie są zasadniczo z systemem budżetowym związane, ale są tylko dorywczymi środkami fiskalnymi dla zrównoważenia budżetu, a że są heroicznymi, świadczą o tem dymisya gabinetu.

Kiedy uwaga powszechna w Europie skierowaną była niemal wyłącznie ku Wschodowi, gdzie po klęsce Plewny wypadki wojenne miały rozwijać szybko polityczny wątek kwestyi wschodniej, fakt nieprzewidziany, nagły, zaszedł we Włoszech. Król Wiktor Emanuel po pięciodniowej zaledwie chorobie zakończył życie d. 9 stycznia.

Czy fakt ten ze wszystkimi towarzyszącymi mu okolicznościami zajmie w dziejach obecnych miejsce tylko epizodu, który pozostanie po za obrębem politycznej akcji lub też czy wejdzie w bliższy związek z ogólnym tokiem polityki i wpływ

swój nań wyrze — dziś przesądzać jeszcze nie można, bo tak Włochy jak Europa zostają jeszcze pod wrażeniem tego faktu i poprzestały dotąd na zewnętrznych jego stronach, jakimi była śmierć króla, pogrzeb jego, obwołanie jego syna Humberta królem i uznanie go zarówno przez naród, jak przez dwory zagraniczne. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło, prócz imienia króla. Prawo następstwa domu Savoie-Carignan i konstytucya włoska przebyły tę pierwszą kryzys szczęśliwie. Ten sam gabinet utrzymał się jak na teraz, a tylko sesya parlamentu została zamkniętą, aby z duiem 20 lutego nowy król mógł otworzyć sesyę mową tronową.

Król Wiktor Emanuel więcej miał szczęścia i powodzenia, niż zdolności polityka i wodza. Nie on też zdobył dla małego dziedzicznego państwa swego, Piemontu, stanowisko niemal europejskie przez udział w wojnie krymskiej i podpisanie przez swego pełnomocnika traktatu paryskiego; nie on zajął Toskanję i Neapol, nie on zdobył Lombardyę i Wenecyę; on tylko zabrał Rzym, mając już całe niemal Włochy w swem ręku. Pracowali dla niego republikanie i unitarzyści włoscy, Mazzini i Garibaldi, cesarz Napoleon i król Wilhelm pruski, niemniej Anglia, pragnąca wzmocnić nowe państwo Włoskie, aby mogło się obywać bez opieki francuskiej i z czasem współzawodniczyć z Francją na morzu Śródziemnem; pracowali wreszcie wszyscy przeciwnicy władzy świeckiej Papieża a nawet wszyscy nieprzyjaciele instytucji papiestwa, zarówno, czy należeli do karbonarów lub wolnomularzy, czy spiskowali w ukryciu lub z dyplomatycznej kancelaryi rozsyłali depesze. Monarchowie uznawali dom sabaudzki jako jeden z najstarszych udziałnych domów w Europie; republikanie pozwalali być Wiktorowi Emanuelowi królem, że najmniej był do królów podobny powierzchownie i że uważali go za przejście do republiki. Żaden może panujący w Europie, prócz chyba jakiego księcia małego kraiku niemieckiego, niepotrzebującego się troszczyć o politykę, nie zajmował się mniej sprawami publicznymi od Wiktora Emanuela i żaden może nie trwonął więcej on niego grosza publicznego. tak iż konstytucyjni jego ministrowie mieli za pierwsze zadanie i za pierwszy warunek swojego utrzymania się przy władzy, nietylko powiększać listę cywilną, ale nawet wynajdywać fundusze i środki jawne lub tajne dla zapłacenia długów królewskich lub opędzenia bieżących wydatków dworu królewskiego. Ministrowie, którzy musieli uciekać się do wszelkiego rodzaju intryg, aby dostać pieniędzy dla króla, nie mogli być Katonami. Budżet we Włoszech należał też do najzawilszych zadań arytmetycznych, a lubo cyfry jego były sprawdzane pod względem formalnym, ale dowody i allegata bywały zawsze podejrzanej ścisłości. O kwestyę też dzierżawy ruchu na zakupionych tylko imien-

nie przez skarb kolejach żelaznych, rozbiły się dwa gabinety ostatnie. Wiadomem jest także, że przedsiębiorcy dostaw opłacali się wprost lub też przychodzili dobrowolnie z pożyczką w pomoc dworowi a pamiętni są zajęcia z wekslami, na których podpis królewski był uznany za podrobiony. Nadużywano zapewne imienia króla, ale dla tego tylko, że wiadano, iż król podpisuje weksle, inaczej bowiem któżby się ośmielił produkować weksle królewskie? W zeszłym wieku weksle bardzo drobne jednego z królewiczów angielskich nie mogły znaleźć żeranta, tak dalece upadł kredyt królewskiego domu, ale też o mało ten wypadek nie przywiódł królewicza o utratę tronu.

Wiktorowi Emanuelowi wiele uchodziło, bo z jednej strony panowała obawa, aby postępowanie jego nie przyniosło szkody jednoci włoskiej, z drugiej, że lepiej przypadał republikanom król, który dostojęństwem swem szarzał, niż gdyby będąc surowych obyczajów, otoczył był tron powagą i dumą godności. Nie był jednak pierwszy król Włoski pozbawiony pewnej zręczności, która mu pozwalała wyzyskiwać nawet ujemne strony swego charakteru, usposobienia i obyczaju, jedynając mu popularność, a stąd dając mu pewną siłę przez oparcie się na ludzie. Umiał też odłączać w danym razie osobę swoją od królewskiego charakteru, osobiste swe interesa od interesów państwa, osobiste uczucia od obowiązków swego powołania, i gdy jako człowiek używał zupełnej swobody, jako król konstytucyjny zastawiał się odpowiedzialnymi ministrami.

Dotąd niewiadomo wcale, chyba że wyświecą to kiedyś pamiętniki osób ocierających się bliżej nie o dwór, bo takiego pojęcia pod politycznym względem nie można dawać otoczeniu króla zmarłego, ale o ludzi publicznych w ostatnich latach we Włoszech, — dotąd nie wiadomo wcale, jak dalece Wiktor Emanuel wywierał wpływ na bieg spraw politycznych kraju swego i jak dalece ci nieliczni doradcy, których niekiedy zdania zasięgał po za chwilowo urzędującymi ministrami, wywierali wpływ na króla i kierowali sprawami publicznymi. Ale bacząc na polityczne i geograficzne położenie Włoch, na krzyżujące się interesa obcych państw, możnaby przypuścić, że polityka Wiktora Emanuela była okolicznościową, stosującą się do danej chwili i do danego położenia. Krzyżowały się tam wpływy naprzód francuski i angielski, potem francuski i niemiecki, znów rosyjski i austriacki. Zanosilo się też we Włoszech na różne sojusze i przymierza a zawsze w celach uzyskania czegoś, zarobienia na sporach sąsiedzkich, i taką też, jaką była geneza królestwa Włoskiego, musiało być konsekwentnie dalsze działanie polityki włoskiej. Nawet marzono tam o zaborach nie już tylko na Austrii ale i na Turcyi, niby czując się spadkobiercami Wenecyi, która tak dobrze za wojen krzyżo-

wych jak za wojen cesarstwa Wschodniego umiała ciągnąć ko-
rzyści na Wschodzie.

Po śmierci Wiktora Emanuela wszystkie rządy europejskie pośpieszyły wzmocnić królestwo Włoskie i dynastję sabaudzką swoim uznaniem i używając dworowi włoskiemu powagi swego poparcia. Dla jednych bowiem państw szło o to, aby Włochy utwierdzić w stanowisku zajętem wobec Stolicy Apostolskiej; dla drugich, aby wzmocnić dynastję dla zapobieżenia możebnym popędom republikańskim. Dojrzałość jednak polityczna narodu włoskiego od razu wskazała mu, jakie niebezpieczeństwo zagrażałoby jedności, gdyby kwestya następstwa tronu została choćby tylko dotkniętą. Z bardzo przeto małym wyjątkiem drobnych a mało znanych pisemek, cała prasa bez względu na opinie swoje i na stronnictwo, do którego należy, podniosła głos na rzecz króla Humberta i wysypała hołdy na cześć przybywających obcych wysłanników, zwłaszcza, że byli między nimi książęta krwi; dwór austriacki wysłał arcyksięcia Rajnera, pruski prześcignął go jeszcze, wysyłając następcę tronu. Najbardziej nieprzejednani republikańscy zajaśniali dumą, że świeżo powstałe państwo tak wielkiej używa już powagi u obcych rządów i dworów; zamiast więc podkopywać nowy tron w Kwirynale wzniesiony, postanowili uświetnić go i wywyższyć, choćby sami mieli służyć za stopnie, po których król Humbert wstępował na tron. Nie w grobach też familijnych, ale w Rzymie w Panteonie pochowano zwłoki pierwszego króla Włoskiego, który umarł na tronie, bo dotąd zdarzali się tylko tytułarni królowie rzymscy czy pod osłoną cesarzów niemieckich, czy też francuskich. Wiktor Emanuel przeżył cesarstwo Francuskie a z cesarstwem Niemieckiem żył w zgodzie i przyjaźni i przyjaźń tę zostawił synowi w spadku.

Pogrzeb zmarłego króla odprawiony był za udziałem duchowieństwa stosownie do przepisów kościelnych, albowiem król będąc chorym, uzyskał na własną prośbę zwolnienie z cenzur kościelnych. Stosunek wszelako jego następcy do Stolicy Apostolskiej w niczem się nie zmienił, i zmieniłby się nie mógł. Absolucya daną była umierającemu, ale nie uprawniała czynów, które cenzurę kościelną nań ściągnęły a przeto nie uwolniła od winy tych, którzy z czynów przez absolwowanego dokonanych korzystają. Nie tylko kodeks duchowny, ale i świecki w ten sam sposób rozumieją, pierwszy absolucję, drugi amnestję; przeciwne temu tłumaczenie stać się może powodem ponowienia cenzury. Wszakże i królowie Neapolitańscy przez wieki zostawali pod nią a Stolica Apostolska nie mogła jej cofnąć bez restytucyi. Tak prawo kościelne, jak prawo publiczne jednakowo zapatrują się w tym względzie. Fakt nie ulegalizowany może istnieć, ale za prawo uznanym nie będzie bez odpowiedniego instrumentu.

Zmiana tronu we Włoszech sprowadziła za sobą większe zbliżenie się rządu i króla do Niemiec, tak iż berlińska *Provinzial Correspondenz* śmiało mogła zapisać, że pobyt królewicza Pruskiego w Rzymie wielką ma polityczną doniosłość. Król Humbert nie posiada też przywiązania do Piusa IX., z jakim nie tał się ojciec jego, który chciał zawsze osobiste swoje uczucia odłączać od wymagań polityki rządu swego; nie żywi też sympatyj dla Francyi, gdy Wiktor Emanuel nigdy się jej nie zapierał, nie używa u ludu tej popularności, jaka stanowiła silną podporę tronu zmarłego króla, a czy braki te zastąpi innemi przymiotami lub zdolnościami, o tem przyszłość i może niedaleka przekona.

Nowy rząd francuski, noszący datę 13go grudnia, w ciągu półtora miesięcznego żywota swego zajmował się przedewszystkiem uchynieniem tego wszystkiego, co pozostało w spadku po jego poprzedniku 16go maja tak w administracyi, jak w dyplomacyi, jak w prawodawstwie, znalazłszy powolną sobie Izbę, uzyskawszy od niej tymczasowy budżet i wotum zaufania. Przedewszystkiem zajął się więc puryfikacją urzędników, co zresztą bywa zwykle jednym z pierwszych zadań każdego ministerstwa we Francyi, gdzie między misją polityczną a biegiem regularnym administracyi niema ściśle oznaczonej granicy, a wypływa to z zastosowania systemu centralizacyjnego w całej drabinie hierarchicznej władz, na wielką szkodę interesów lokalnych i stanowi jedną z głównych przyczyn, a także jeden z głównych środków zbyt częstych nie tylko ewolucyj ale i rewolucyj we Francyi. Od prefekta aż do ostatniego *garde champêtre* wszyscy funkcjonaryusze muszą do jednego należeć obozu, do tego, który jest w danej chwili panem położenia i z którego wyszedł rząd. Kto się nie nada, zostaje wyrzucony, bo choćby nawet był deputowanym, większość panująca nie uzna jego mandatu, gdyż we Francyi niema pojęcia wolności, jest tylko pojęcie równości, ponad którą sterczy jeno zwierzchność czy ona wybrana, czy zdobyta, czy ją postawiło głosowanie powszechne, czy rewolucya i przemoc.

Nowy gabinet francuski pozyskał sobie względy Berlina, raz przez stanowcze zerwanie z rojalizmem, powtórę dla swoich liberalnych i bezwyznaniowych zasad. Tegoczesna szkoła liberalna niemiecka, mieniąca się być wykonawczynią zasad krzewionych przez filozofów swego narodu jest tylko córką i uczennicą dawnych encyklopedystów i retorów francuskich, a stała się na odwrót nauczycielką Francyi nowoczesnej. Zanim jeszcze służyło się w Niemczech o ustawach majowych, już rewolucya francuska burzyła kościoły, rozganiała księży, więziła biskupów. A jeżeli dziś we Francyi formy złagodniały, bo żaden porządny człowiek nie chce uchodzić za wyznawcę Komuny, jednak rząd i większość Izby zmierzają do zerwania z kościo-

łem, jak w Prusach, do sekularyzowania umiejętności i wykluczenia prawd wiary z programu wychowania publicznego. Nie mógł przeto gabinet Dufaure wyrządzić większej usługi Niemcom, jak gdy te przestały obawiać się, aby religia katolicka i instytucja papieżstwa znalazły we Francji protekcję i opiekę, niby że w wyprawach Gibelinów niemieckich do Rzymu, Francya nie przyjmie na siebie roli Gwelfów.

Zdawało się przez dobę, że nowy gabinet francuski zajmie na zewnątrz wybitniejsze stanowisko i że rehabilitując wpływ Francji za granicą, podniesie zarazem powagę swoją. Atoli od chwili, gdy szło o ratowanie nie już szczątek traktatu paryskiego z r. 1856, którego Francya była głównym poręczyicielem, ale o ratowanie praw Francji, jako opiekuna Maronitów w Syrii i łacinników w Miejscach Świętych, ani jednego nie ma dotąd aktu, któryby to specjalne stanowisko Francji na Wschodzie warował. Natomiast szedł rząd 13go grudnia o lepsze z rządem 16go maja, gdy szło o przekonanie Europy, że Francya zamyka się w domu i nie porzuci roli spokojnego przedsiębiorcy wystawy paryskiej, a nadto, że nie myśli zajmować się sprawami zewnętrznymi, lecz zaciąga nowy dług 900 milionów na budowę podrzędnych kolei żelaznych, kilkoletni do tej roboty naznaczając termin. Miała i Rosya swoje epoki słabości, lecz ks. Górczaków w sławnym wyrażeniu „*La Russie serecueille*“ dał poznać, że pokonana wypoczywa, aby nowych sił nabrać, ale nie zrzeka się swej roli. Nie oczekiwano od Francji, aby w kilku latach po ciężkiej klęsce przyszła już do dawnych sił, ale tem mniej przewidywano, aby wywczasu tego używała dla wskrobania z historii swojej najświetniejszych kart przeszłości i wychować chciała młode pokolenie w poczuciu niemocy. Nie idzie tu już o obronę Turcji, ale o zapewnienie Francji pewnego wpływu na Wschodzie, gdzie od wojen krzyżowych po dziś dzień posiadała Francya mnóstwo interesów do bronięcia i była na Wschodzie reprezentantką cywilizacji zachodniej i Kościoła rzymskiego, zarówno wobec islamu, jak schizmy.

Obawa przed Niemcami ciśnie od ostatniej wojny nad Francją. i obawę tę zarówno żywił i wzmacniał poprzedni jak i obecny gabinet, pierwszy szukając dla siebie spokoju i bezpieczeństwa, drugi upatrując w życzliwości Prus środek do rozwijania republikańskich doktryn w kraju i zapewniając sobie wsparcie rządowej partii liberalnej w Prusach, a więc i samego rządu. Jak Fryderyk II i Katarzyna II objawiali sympatyę francuskim dezorganizatorom, i jednali sobie pochlebstwa Voltaira, Rousseau i d'Alemberta, tak dziś w Berlinie Gabetta z adherentami swymi wielkiej używa popularności a u rządu wielkiego wzięcia.

Przez cały ten miesiąc nie dali Niemcy ani znaku życia wśród ogólnej wrzawy politycznej. Postawą obojętną odchyłały wszelkie posądzenia, jakoby przyznawały sobie rolę przeważną w grze politycznej. A jednak trzymały one straż interesów rosyjskich w Europie, czuwały nad Austryą, aby ta nie dała się wciągnąć w bliższe związki z Anglią i w neutralności swej oddawały wielkie usługi Rosyi; jedynie zaś na polu walki kościelnej nie ustawały w pracy. Ale zapasy te nie posuwały ani na krok naprzód zamiarów owładnięcia kościołem: mogły być dla osób narażonych na prześladowanie dotkliwemi; politycznie jednak nie przyniosły żadnej rządowi korzyści, owszem rodziły w łonie protestantyzmu swary i podkopywały jego atrybucye. Kanclerz przekonywał się, że należy mu zmienić narzędzia działania i tylko wahał się w wyborze tych narzędzi: czy ma zwrócić się ku żywiłowi konserwatywnemu, ale wtedy wypadłoby zakończyć wojnę z kościołem, a rozpocząć ją z socyalizmem coraz bardziej szerzącym swoje doktryny rozkładowe w społeczności, lub też zsolidaryzować z rządem partycję liberalną, wciągając jej reprezentantów do gabinetu i z jej pomocą stawić czoło na obie strony: u góry i na dole, zdobyć dla takiego gabinetu niezależność od dworu i zapobiedz grożącemu wcześniej czy później rozpnięciu się większości ministeryalnej. Zamysł ten objawił się już przez usunięcie hr. Eulenburga i miał być wprowadzony w życie usunięciem Camphausena i Leonhardta, nie mówiąc już o innych niższego rzędu członkach gabinetu. Liczne w tym celu odbywał ks. Bismark narady z przywódcami partycji liberalnej, a lubo dotąd sprawa ta nie dojrzała i ciągle wisi w powietrzu, jako kryzys kanclerska, zdaje się jednak, iż przyjdzie do rozstrzygnięcia, a hasłem dla niej ma być większe jeszcze niż dotąd usamowolnienie kanclerza, który zostawiłby sobie tylko zarząd ogólny polityczny, powierzając załatwianie spraw bieżących swemu następcy.

Parlament angielski zwykle zwoływany po skończeniu pory łowów, zwołany został tym razem o wiele wcześniej, bo 17go stycznia. Sprawa wschodnia stała się tego powodem. Rząd chciał przedewszystkiem znaleźć dla siebie arenę, na której mógłby zdawać sprawę z dyplomatycznego działania swego, złożyć z siebie odpowiedzialności na parlament, wprowadzić opozycję z trybun meetingowych do Izby i znaleźć w Izbach tych pomoc dla swojej polityki, a w danym razie oddać niejako parlamentowi prawo rozstrzygania o kierunku działalności gabinetu.

Od ostatnich dni grudnia rząd rosyjski oświadczał się z gotowością zakończenia wojny pokojem; wszelako uchylał wszelkie pośrednictwo, żądając, aby Porta wprost do głównej kwatery rosyjskiej zgłosiła się z prośbą o pokój. To wykluczenie obcego pośrednictwa mogło rząd angielski niepokoić,

gdyż zapowiadało pokój odrębny między stronami wojującemi, bez żadnego wpływu ze strony mocarstw gwarantujących byt Turcyi na zasadzie traktatu paryskiego. Przeciw takiemu pokojowi uczyniła Anglia zastrzeżenie a niemniej Austria zaniechała do Stambułu przedstawienie ze względu na interesa swoje jako państwa sąsiedzkiego. Pochód atoli wojsk rosyjskich i rozbicie resztek sił tureckich już wycieńczonych i nieopatrywanych należycie wśród trudów i mozołów, zniewoliły Portę do poddania się temu ciężkiemu nakazowi, który równał się niemal zdaniu się na łaskę zwycięzcy. Gabinet londyński nie mógł przeszkodzić temu krokowi Porty, nie biorąc na siebie obowiązku bronięcia Turcyi od postępującego naprzód nieprzyjaciela. Liczył atoli na to, że przed otwarciem parlamentu, a najpóźniej 15go stycznia, komisarze tureccy wysłani do głównej kwatery rosyjskiej poznają warunki rosyjskie rozejmu, a przeto mowa tronowa z otwarciem sesyi parlamentu d. 17 bm. będzie mogła naznaczyć stanowisko Anglii wobec układów pokojowych. Atoli musiano ułożyć mowę tronową bez znajomości tych warunków, wypadła ona przeto błada i zamykała się w ogólnikach, które wyrażały nadzieję zawarcia pokoju i zastrzegały obronę interesów Anglii. Warunki rosyjskie odnosiły się przedewszystkiem do rozejmu, który miał dać podstawę układom o pokój. Ociąganie się zaś rządu rosyjskiego z ich udzieleniem miało i ten cel, aby jak największe odnieść korzyści militarne przed podpisaniem rozejmu, iżby stan posiadania w chwili podpisania umowy mógł służyć za określenie terytoryalne nabytków, a tyczyło się to szczególnie Serbii i Czarnogóry, skoro Rosya z góry oświadczyła, iż żadnego na Turcyi nie dokona zaboru w Europie, ograniczając się do korzyści terytoryalnych w Azji.

Wśród tego wojsko tureckie opuściło Adrianopol na żądanie Rosyi, gdyż miasto to było naznaczone na miejsce podpisania pokoju, któryby w pamięć poprzedniego pokoju adrianopolskiego przed pół wiekiem zawartego, nosił nazwę drugiego pokoju adrianopolskiego. Wojsko rosyjskie zajęło też Adrianopol, dokąd główna kwatera rosyjska została przeniesioną, i tam udali się komisarze tureccy, początkowo do Kazanliku wysłani.

Do tej chwili nie są jeszcze znane autentycznie warunki rosyjskie, ale gdy ich udzielił hr. Szuwałów poufaie rządowi angielskiemu, ten uznał za stosowne zażądać od parlamentu kredytu sześciu milionów funtów sterlingów na cele uzbrojenia wojska i floty w obronie interesów angielskich na Wschodzie. Żądanie to poczytał lord Beaconsfield za kwestyę ministeryalną, a rozprawy nad tym wnioskiem rozpoczną się jutro d. 31 stycznia w nocy. Kwestya ta już sprowadziła częściową zmianę w gabinecie, gdy i hr. Carnarvon, minister kolonij, ob-

jawiwszy do jednej z deputacyj zbyt stanowcze zdanie o bezwzględnej neutralności rządu angielskiego, zniewolony był wziąć dymisyę, a nawet sam lord Derby podał się do dymisyi, upatrując w oświadczeniu ministra Stafforda Northcote zbyt wybitną dążność wojenną; cofnął jednak dymisyę swoją, aby nie sprowadzać w tak groźnej chwili kryzys gabinetowej a zarazem przekonawszy się z dwuznacznych oświadczeń rosyjskich, iż mimo zastrzeżenia Anglii Rosya nie wyrzeka się możności posunięcia wojsk swoich na Gallipoli, to jest obsadzenia militarnie brzegów dardanelskich a nadto odbycia tryumfalnego wjazdu wodza rosyjskiego do Carogrodu.

Wojna turecko rosyjska ukończona; ale rozpoczęły się w jej następstwie groźne zatargi rosyjsko-angielskie. Wprawdzie zapewnia gabinet petersburski Anglię, że uwzględni jej interesy; wszelako od jego woli zależy oznaczenie doniosłości tych interesów, czy takowe ograniczą się na szanowaniu wolnego przejazdu kanałem Sueskim i zabezpieczeniu doliny Eufratu, lub też rozciągną się do tych zastrzeżeń, jakieby mogła postawić Anglia. W pierwszym ich rzędzie znajduje się warunek, że Turcyja nie ma prawa zawrzeć z Rosyą pokoju, bo gdy byt państwa Ottomańskiego zaręczony został traktatami europejskimi, przeto ostateczne zmiany mogące zajść w Turcyi wymagają przychylenia się ze strony państw podpisanych na traktacie paryskim. Liczy w tym względzie Anglia na poparcie Austrii, jak to dał poznać w parlamencie minister Northcote, a stąd wynika, że Rosya pod naciskiem tych dwóch zastrzeżeń będzie musiała zmodyfikować, jeśli nie główną istotę warunków swoich, to przynajmniej zbytnią ich wobec tych dwóch mocarstw twardość, a mianowicie ze względu na Anglię w kwestyi przepływu przez Dardanelle, ze względu zaś na Austryę, co do rozszerzenia posiadłości serbskich i czarnogórskich kosztem Turcyi.

Warunki rosyjskie, o ile je hr. Szuwałów wskazał w głównych zarysach gabinetowi londyńskiemu, są podobne do owych główek z guttaperki, które naciągnięte w szerz lub w dłuż albo się słodko uśmiechają, albo się krzywią i potworne przybierają rysy twarzy. Uśmiechały się humanitarnym zamysłem Anglii reformy konferencyi konstantynopolitańskiej, zapowiadające wolność autonomiczną ziem chrześcijańskich, równość w obliczu prawa, prawo wyznawania religii i używania własnego języka w stosunkach z władzami, rządy gubernatorów chrześcian i rady prowincjonalne z atrybucjami prawodawczemi w celach administracyi lokalnej; aż tu za naciśnięciem przeobraziły się te koncesye w groźne dla Turcyi a niebezpieczne dla Austrii i Anglii przeobrażenie całego Wschodu, nie zostawiając Sułtanowi nic prócz imiennego protektoratu nad dotychczasowemi poddanymi prowincyami, z których mają ~~wkrótce~~ wyrość nie-

podległe państwa, jakimi się dziś staną Rumunia, Serbia i Czarnogóra.

Otóż warunki rosyjskie, jak je udzielił sir N. Northcote parlamentowi angielskiemu na podstawie poufnych udzielen hr. Szuwałowa, są następujące:

1) Bułgaria, jak daleko sięga narodowość bułgarska, wszelako nie w mniejszych rozmiarach, niż ją konferencya miała na myśli, ma utworzyć księstwo autonomowe, obowiązane do płacenia haraczu, z gubernatorem chrześcijańskim i milicyą z krajowców złożoną; wojska tureckie prócz kilku miejsc, później oznaczyć się mających, nigdzie tam nie mogą przebywać. 2) Niepodległość Czarnogóry z przyłączeniem ziem odpowiednio do militarnego *status quo*, w granicach później oznaczyć się mających. 3) Niepodległość Rumunii z odpowiedniem wynagrodzeniem w ziemi. 4) Niepodległość Serbii z sprostowaniem jej granic. 5) Autonomiczny poręczony zarząd Bośni i Hercegowiny. 6) Podobne reformy dla wszystkich innych prowincyj chrześcijańskich Turcyi. 7) Wynagrodzenie kosztów wojennych dla Rosyi w pieniądzu, ziemi lub w innej formie później oznaczyć się mającej. 8) Porozumienie się późniejsze co do opieki nad prawami i interesami Rosyi w cieśninach.

Oprócz tej wersyi obiegały inne, które wymieniły: zabór Batum, Karsu, Erzerum, Ardahanu, wynagrodzenie 100 milionów liwrów tureckich i wzięcie w zastaw posiadłości tureckich dla zabezpieczenia spłaty tej należności, zniesienie twierdz tureckich nad Dunajem, oddanie Rosyi Besarabii itd.

Ta różnorodność warunków, które miały być podane do wiadomości Niemiec, Austrii, Anglii i Turcyi, przekonywa, że nigdzie nie udzielono tych warunków dokładnie, a w ogóle, że warunki nie są sformułowane stale, lecz tylko w ogólnych zarysach są rzucone, aby można je stosownie do okoliczności rozciągać lub ścieśniać.

Jeżeli Rosya przed zebraniem europejskiego kongresu wymagać będzie od Porty i siłą wymaganie to poprze, aby ta przystąpiła do wykonania punktów przez siebie podpisanych, zostawiając szczegóły na później, naówczas kongres europejski będzie miał chyba tylko do rozstrzygnięcia czyny dokonane. Właśnie w chwili podpisania warunków rozejmu wojska czarnogórskie i serbskie posuwają swoje zagony, aby na podstawie *uti possidetis* można traktować o przyszłych tych krajów granicach. A czyż nadaremnie Grecya sposobiła się do wojny? Chciałażby z kwitkiem być odprawioną, gdy dzielą się okrucami Turcyi ludy przez nią niegdyś podbite? Jeszcze nie wszystko skończone. Jeszcze Epir i Tesalia mogą powstać i pretensye Grecyi znaleźć dodatkowy do żądań rosyjskich warunków. Ta niejasność roszczeń rosyjskich budzi niepokój nawet w Wiedniu.

Aleksander Szukiewicz.

Nowe książki.

Adam Mickiewicz's „Dziady“ („Todtenfeier“) von *Heinrich Blumenstok*. Separatabdruck aus dem VII. Jahrgange des literarischen Jahrbuches „Die Dioskuren“. Wien. Druck der k. k. Hof- und Staatsdruckerei 1878. w 8vo str. 24.

Um die Erde. Reisebilder von der Erdumseglung mit S. M. Corvette „Erzherzog Friedrich“ in den Jahren 1874, 1875, 1876 von *Josef Lehnert*, k. k. Linienschiffs-Lieutenant. Mit 160 original Illustrationen und Karten. Wien. 1877. *Alfred Hölder*, k. k. Hof- und Universitäts-Buchhändler. I. Rothenthurmstrasse 15. Lieferung 3—8.

Księżę Józef Poniatowski. Napisał F. P. w Krakowie w drukarni „Czasu“. Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego“. Nakładem Redakcyi. 8vo str. 90.

Listy z Peruwii i Boliwii skreślił *Władysław Kluger*, inżynier rządowy i profesor Szkoły Inżynierów w Limie, czł. koresp. Akad. Um. w Krakowie. Wydanie drugie pomnożone Listami z Boliwii i nowemi z Peruwii. Kraków 1878 w drukarni „Czasu“. 8vo str. 112.

Lucyan Siemieński. Wspomnienie pośmiertne przez L. Z. D. Cena 60 ct. W Krakowie. Nakładem księgarń J. M. Himmelblaua 1878 Drukiem „Czasu“.

Katechizm hodowania drzew owocowych jako też rozpoznawania owoców i wyrabianie jabłeczniku, ułożony przez *Antoniego Schmidta*, pomologa w dobrach J. E. Alfreda hr. Potockiego. We Lwowie nakładem Karola Wilda 1878, str. 122.

Pamiętka polskiej pielgrzymki do Rzymu w maju 1877 r. z powodu 50-letniego jubileuszu Ojca św Piusa IX, napisał X. O. Hołyński. We Lwowie. Nakładem autora. Z drukarni Ludowej 1877, str. 253.

Kalendarz czasopisma „Chaty“ na rok 1878. We Lwowie. Nakładem X. O. Hołyńskiego, redaktora „Chaty“, 1877. 8vo, 9 arkuszy druku. Cena 35 ct.

„Strzechy“ wydawanej co 14 dni we Lwowie w księgarni Richtera wyszły już dwa pierwsze zeszyty i zwróciły na siebie uwagę głównie *Pogadankami Wł. Zagórskiego*. Drukuje się w nich także powieść niewyczerpanego J. I. Kraśzewskiego p. t. „Upiór“.

(Ciąg dalszy dla braku miejsca odkładamy do przyszłego miesiąca).

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

PIUS IX, PAPIEŻ.

Dzień 7my lutego, w którym Pius IX przeniósł się do wieczności, będzie dniem pamiętnym nie tylko w dziejach kościoła, ale nawet całej ludzkości. Każdy wprawdzie papież, jako najwyższy dusz pasterz dwustu milionów wiernych katolików po całej kuli ziemskiej rozsianych, wywiera niezmierny wpływ na wypadki świata, bo te miliony jego nauki, jego rozporządzeń, jego rad i przestróg słuchają; ale, jeśli z tą powagą boską, jaka go otacza, z tym urokiem Namiestnika Chrystusowego łączą się wielkie przymioty duszy i serca, jeśli wszystkie jego czyny i kroki jaśnieją blaskiem świętobliwości i cnoty, o ileż ten wpływ musi być większym, potężniejszym. W Piusie IX podniósł jeszcze potęgę tego wpływu długi lat szereg jego panowania i rzadkie w dziejach świata wypadki. Z pomiędzy 257 następców Piotra ś. jemu jedynemu dozwoliła Opatrzność nie tylko dożyć lat pierwszego Namiestnika Chrystusowego, ale je nawet znacznie prześcignąć. Rządził bowiem Kościołem Bożym przeszło lat 31. Miłość i uwielbienie świata katolickiego z każdym dniem dla niego rosło; na akatolikach zaś, a nawet na przeciwnikach swoich wymusił cnotami swemi cześć i poszanowanie.

Nie nadeszła jeszcze pora, aby pisać biografią tego wielkiego Papieża. Słowa te mają być tylko wyrazem naszej wysokiej czci dla jednego z najznakomitszych Namiestników Chrystusowych i naszego serdecznego przy-

wiązania do tego, który nas Polaków tak umiłował i miłował aż do końca.

Pomijamy przeto całkiem młodość i karierę duchowną Piusa IX i rzucamy tylko pobieżnie okiem na wielkie i rozliczne dzieła, jakich od dnia 16 czerwca 1846 r. w czasie swego pontyfikatu dokonał.

Cóż to był za czas, w którym Opatrzność Jana Mastai Ferretti na Stolicę Apostolską wyniosła? Cóż to był za czas pod względem religijnym, politycznym i społecznym? Jaki w tym czasie Pius IX wywarł wpływ na religią, politykę i społeczność? Ostatnie dwa względy pomijamy tu całkiem, bo to przedmiot zbyt obszerny. Wyczerpujący sąd o jego wielkich zasługach pod względem religii zdoła dopiero wydać potomność, gdyż dziś nie wszystkie jeszcze owoce jego zasiewu dojrzały, nie wszystkie są już widzialne, nie wszystkie zatem można już rozpoznać i ocenić. Dziś ledwo przejrzeć zdołamy jego obszerny zakres działania na polu religii.

Pod względem religii czas był nader smutny, kiedy Pius IX wstąpił na Stolicę Apostolską. W świecie katolickim przeważała obojętność, w akatolickim zaś zupełna niewiara, która się już zaczęła wyradzać w nienawiść do tego wszystkiego, co się zowie religią, a w szczególności chrześcijańską, co jednym słowem spoczywa na nadprzyrodzonym fundamencie objawienia Bożego. Rewolucya kościelna szesnastego wieku, którą powszechnie „reformacją“ zowią, roztoczyła zwolna w sojuszu z odrodzeniem starożytnego pogaństwa (*renaissance*) wszystkie fundamentalne prawdy nauki objawionej. Że proces takiego rozkładu trwać musiał wieki, nim zdołał огоłocić umysł, wolę i serce człowieka z wyobrażeń, pojęć, dążeń i uczuć odnoszących się do krainy wieczności i osadzić go *in puris naturalibus* na nizinach całkiem pogańskiej doczesności, którą teraz so-

cyaliści niebem zowią; któż się temu dziwić może? Rozwój bowiem zasad wielkiej doniosłości, wyciąganie z nich konsekwencyj teoretycznych i praktycznych, które w abstrakcyjnych pojęciach głęboko ukryte spoczywają, wiele wymaga czasu, nim zdoła dotychczasowym wyobrażeniom panowanie wydrzeć i w miejsce ich swoje osadzić.

Sami tak nazwani reformatorem szesnastego wieku ani pojmowali, ani przeczuwali, że zasadą niczem nieograniczonej wolności badania i tłumaczenia Pisma ś. odrazu czyli jakby jednym zamachem wywrócili wiarę w nadprzyrodzone objawienie boskie, na którym całe chrześcijaństwo spoczywa, i postawili się wraz z swymi wyznawcami na tle czysto pogańskim. Kto bowiem przyjmuje i wierzy, że księgi święte są dziełem natchnienia Ducha ś., że zatem prawdom w nim zawartym bezwzględne należy się uznanie i posłuszeństwo, a Kościołowi odmawia prawa do ich autentycznego i nieomylnego tłumaczenia, dopuszcza się rażącej sprzeczności, która rychlej czy później logicznego skarcenia ująć nie może. Bo któż jest ostatecznie autorem inspiracji Pisma ś.? Duch Boży. Któż tedy może być autentycznym i nieomylnym tłumaczem tychże pism? Niewątpliwie nikt inny, jak tenże Duch Boży, który żyje w Kościele i nim rządzi. Ktoby zatem utrzymywał, że ten Duch Boży, który te pisma kiedyś natchnął, dziś ich wytłumaczyć nie jest w stanie, naraziłby się na taką śmieszność, jak ten, który ma przekonanie, że cuda w ogólności są niepodobne, a jednak wierzył w te, które się przed 1800 laty stały. Co gorsza, w miejsce powagi boskiej, przed którą każdy przynajmniej chrześcijanin głowę skłonić powinien, stawia swoją własną, a zatem ludzką powagę, bo to tylko za nieomylną prawdę uznaje, co swoim rozumem w Piśmie ś. wynajdzie. W ostatniej przeto instancyi decyduje o prawdach boskich nie Bóg,

ale człowiek, a decyduje tak co do prawd teoretycznych czyli dogmatycznych, jak co do prawd praktycznych czyli nauki obyczajów. Tą samą zasadą wyzwolono tak rozum jak wolę człowieka z pod powagi Boga. Pierwszy nie uznaje żadnego wyższego nad siebie światła, ostatnia żadnego boskiego przykazania. Rozumowi wolno uznawać za prawdę, co mu się podoba, a woli czynić, co jej się podoba. Człowiek stał się absolutem czyli Bogiem. Oto konsekwencye rewolucyi kościelnej szesnastego wieku.

Do tych ostatecznych wypadków zbliżały się następstwa pryncypalnej zasady rewolucyi kościelnej szesnastego wieku, kiedy Pius IX objął rządy kościoła i w czasie jego długoletniego panowania wydały swoje gorzkie i cierpkie owoce we wszystkich dziedzinach wiedzy ludzkiej i praktycznego jej zastosowania. Późniejsze rewolucye polityczne przeniosły tylko tę samą zasadę ubóstwienia człowieka na stósunki polityczne i społeczne. Pius IX nie miał zatem tyle do walczenia z herezjami i sektami religijnymi, ile inni papieże upłynionych wieków, chociaż i te całkiem jeszcze nie wymarły. Herezye bowiem i sekty religijne spoczywają zawsze na tle wiary, jakkolwiek błędnej. Z pomiędzy 150 i kilku sekt protestanckich, które jeszcze przechowały w swem ciasnem gronie wyniesione z Kościoła katolickiego szczątki wiary chrześcijańskiej, nie masz już ani jednej, któraby tyle jeszcze miała w sobie siły żywotnej, aby była w stanie jakąkolwiek znaczniejszą w historyi odegrać rolę i wywrzeć wpływ na przekonania religijne świata. Wobec pełni całego światła wiary w Kościele katolickim przechowanej, błdną i maleją te okruczności tak, iż dziś już mało w rachubę wchodzi. Przez protestantyzm rozumie się dziś niewiara. Starokatolicy nawet, którzy tak pożądaną dla potężnego rządu byli bronią przeciw kościołowi katolickiemu i troskliwej od

niego doznawali i doznają opieki, nie są w stanie nędznej swej egzystencji nadal zachować i widocznie na suchoty i wycieńczenie umierają. A to właśnie z tej przyczyny, że nie wiara, ale brak wiary dał im początek. Nie tyle przeto z błędną wiarą, nie tyle z sektami religijnymi miał Pius IX do walczenia, ile raczej z niewiarą, z bezreligią. Za jego rządów mało mówiono o Luteranach, Kalwinach, Kwakrach, Methodystach i t. d. i t. d., którzy w każdym razie przypuszczają pewne dogmata chrześcijańskie, cały raczej bój toczył i toczy się jeszcze pomiędzy wiarą a niewiarą, pomiędzy chrystyanizmem a poganizmem czyli raczej antychrystyanizmem. Odstępstwo bowiem odznacza się zwykle charakterystycznym piętnem nienawiści. Boga, którego opuścił, i prawd Jego objawionych, których się wyparł, nienawidzi potem człowiek. Za rządów przeto Piusa IX rozpadł się świat cały na dwa głównie obozy, t. j. chrześcijański czyli katolicki i antychrześcijański. Co się pomiędzy temi dwoma obozami znajduje, jest tak małej wagi, że niewarto o tem wspominać. Mówię: czyli katolicki, bo, lubo nie zaprzeczam, że w niektórych sektach protestanckich i w cerkwi szyzmatycznej jest jeszcze wiara chrześcijańska w przedmiotowym znaczeniu tego wyrazu, chociaż z błędami zmieszana, to przecież ani pierwsze ani druga nigdzie się nie zdobyły na tyle siły i odwagi, aby na którymkolwiek punkcie skutecznie stały czoło tej powszechnej reakcyi pogańskiej, która usiłuje do szczytu wykorzeń chrystyanizm. Ani tajnym sektom masońskim, które dziś wszędzie prawie są u steru, ani rządowi, które ubóstwieniem człowieka w wszechwładztwie państwa wypowiedziały Bogu otwartą wojnę, nie zdołały śmiałego, odważnego i skutecznego stawić oporu. Nie masz w nich tej siły, tego namaszczenia, tego majestatycznego poczucia wyższego po-

ślannictwa, które dawało natchnienie i odwagę świętym Ambrożym, Leonom, Grzegorzom, obok których śmiało możemy postawić Piusa IX. Cały przeto ciężar tej walki, która się toczy o zachowanie najwyższych dóbr dla ludzkości t. j. wiary, a z nią najdroższych nabytków cywilizacyi i obyczajów chrześcijańskich, spadł na barki Kościoła katolickiego i na nich spoczywa pod naczelnem dowództwem zgasłego Piusa IX. Wobec groźnego nieprzyjaciela schronił się faktycznie chrystyanizm do przybytków Kościoła katolickiego.

Mało pewno jest ludzi, którzy zrozumieli i pojęli znaczenie i ostateczny cel tej wojny, którą cały nieledwie świat, począwszy od Newy i Sprei aż do Brazylii, wypowiedział kościołowi katolickiemu. Bój ten bowiem zbyt jest w zasadzie i w celach swoich ohydny, aby mógł być jawnym, z tego powodu musi się maskować. Obecni przeto prześladowcy nie idą wstępnym bojem, jak Nerony, Decyusze i Dyoklecyany na Kościół; w Rosyi nawet, gdzie już krew płynęła, starano się wobec świata zachować pozór, że „nawracających się do prawosławia przyjmują.“ Jawne bowiem odsłonięcie zamiarów otworzyłoby oczy wszystkim i oburzyłoby dość jeszcze silne przeświadczenie, i lubo często ślepe, zawsze jednak potężne przywiązanie do religii chrześcijańskiej, trzeba więc było koniecznie omijać ten szkopuł niebezpieczny i stósownie do położenia każdego kraju upozorować tę napaść czy to „obroną wolności,“ czy „patriotyzmem,“ czy „ratowaniem honoru narodowego,“ czy „koniecznością własnej obrony,“ aby nieświadomych uwieść, prześladowanie naprzód usprawiedliwić, i tym sposobem ludzi dobrej wiary pod chorągiew antychrześcijańską zaciągnąć. Kto bowiem na pojedyńcze tylko zaczepki, w rozmaitych krajach rozpoczęte, zwracał uwagę, na szczegółowe starcia i spory, a nie zastanawiał się nad zasadniczą myślą, któ-

ra niemi wszędzie do jednego celu kieruje — temu łatwo wydawać się mogło, że tu tylko chodzi o małe i drobne ustępstwa, na które Papież mógłby bez narażenia wiary i wolności Kościoła na niebezpieczeństwo zezwolić.

Bystry, przenikliwy i łaską z góry oświecony umysł Piusa IX zrozumiał i pojął odrazu, o co chodzi, i od tego straszliwego niebezpieczeństwa trzodę mu powierzoną ratował. Jakież środki? Od rozlanej po całym świecie zarazy i trucizny niedowiarstwa i fałszywych zasad nie było w jego i nie jest w niczyjej mocy ją całkiem zasłonić. Ale natomiast uzbroił ją wewnątrz duchem wiary, nadziei i miłości, aby za pomocą tych cnót chrześcijańskich pokonała pokusy i niebezpieczeństwa ducha antychrześcijańskiego. Był bowiem aż do zgonu tego przekonania, że tylko odrodzenie się wewnętrzne, rozbudzenie i ożywienie uspięnej wiary zdoła katolików od powszechnego obłąkania umysłów ratować i woli nadać prawdziwie boski kierunek, a od zboczeń pogańskiego skażenia obyczajów uchronić. Tym także duchem gorliwości apostolskiej natchnione były wszystkie jego allokucye, których aż do r. 1870 miał 57, wszystkie jego encykliki wydane do wszystkich biskupów całego świata, których było 15, wszystkie pisma apostolskie wydane do biskupów całych krajów, wszystkie jego brevia, wydane do pojedynczych biskupów, i wszystkie jego niezliczone przemowy, miane do wszelkiego rodzaju deputacyj, świeckich i duchownych korporacyj, do pielgrzymów i t. d. Pismem i żywym najpierw słowem swego ducha gorącej wiary przelewał w serca biskupów, kapłanów i wiernych, dopóki ich nie rozgrzał i nie zapalił. Biskupów szczególnie upominał i zaklinał, aby starannie wychowali młode pokolenia duchowne, a w starych przez rekolekcyje regularnie odprawiane odnawiali i rozgrzewali ducha powołania ka-

płańskiego. Do odnowienia i utrzymania karności zakonnej osobną złożył komisją. Ćwiczenia zatem duchowne, które oddawna już były w zapomnienie poszły, jego gorliwość apostolska z pyłu odgrzebała, w życie wprowadziła i przygotowała na wszystkich punktach odrodzenie. Obudzenie i odświeżenie nabożeństwa do najświętszego serca Jezusowego, oddanie całego kościoła pod opiekę ś. Józefa niewymownie podniosło ducha pobożności. Gdyby te wszystkie starania i zabiegi apostolskie nie były poprzednio uprawiły roli serc duchowieństwa, byłoby teraz w stanie wytrzymać ucisk i utrapienia prześladowań? Jakie w ogóle w tym kierunku podjęte prace nieustanne przyniosły owoce, o tem nie mamy potrzeby mówić, znane są bowiem całemu światu, chociaż doniosłości tego niewidzialnego działania nikt zmierzyć nie zdoła.

Rzućmy tylko okiem na nieprzejrzany prawie szereg wielkich dzieł, których zagrzany tym gorącym duchem wiary w najrozmaitszych kierunkach służby apostolskiej dokonał. Któżby je zdołał dziś wszystkie choćby tylko wymienić? Przytoczmy przynajmniej niektóre ważniejsze. W ciągu swoich rządów zawarł dziewięć konkordatów i konwencyj: z Hiszpanią, z republikami amerykańskimi: Costorica, Guatemala, Nicaregua i S. Salvador, z Austryą, która go jednostronnie zniosła, z Rosyą, która go nigdy nie wykonała, z Wirtembergem i Badeniem. Stolic metropolitalnych założył 29, biskupstw 132, z których na Amerykę przypada 76, na Anglią 13, na Hollandyą 5, a prócz tego któż policzy wszystkie wikaryaty apostolskie przez niego założone? Cóż powiedzieć o licznych kanonizacyach i beatyfikacyach, z pośród których i myśmy. udarowani zostali ś. Jozafatem i błogosławionym Andrzejem Bobolą. Czyż i te akty, które dowodzą, że Kościół wojujący, jak przed wieki, tak i teraz ciągle mieści w łonie swoim świętych, nie

musiały ożywiać i podnosić ducha wiary i pobożności w całym Kościele? Liczne przy tego rodzaju okolicznościach zebrania się biskupów około osoby Ojca ś. czyż nie musiały świata katolickiego coraz bardziej zbliżyć do Stolicy Apostolskiej i tą łącznością jedność wiary tem wyraźniej i silniej uwydatniać? Definicja dogmatu Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny, zwołanie powszechnego Soboru i definicja nieomyłności głowy kościoła w rzeczach wiary i obyczajów, przyczyniły się potężnie do utwierdzenia i ustalenia wiary w przekonaniach katolików, a mianowicie tych, którzy owiani duchem niedowiarstwa i wątpliwości chwiać się już w wierze poczynali. Sławna bulla „*Quanta cura*“ z d. 8 grudnia 1864 wraz z Syllabusem obejmującym 80 błędów, które się weisnęły w dziedzinę religii, umiejętności, w życie publiczne i społeczne, przeraziły początkowo niektórych nawet katolików, których prąd wieku porwał z sobą i uniósł. Zaczęto przedmioty w tej bulli poruszone ściślej badać i roztrząsać, zaczęto się z uprzedzeniami powziętymi sumienniej rachować, aż się zwolna wzburzenie umysłów uspokoiło, a katolicy z wdzięcznością i pewną dumą spoglądali na ojca wiernych i błogosławili Boga, że wśród powszechnego odętu błędów zesłał im najwyższego pasterza, który umiał rozróżnić światłość od ciemności, i powierzanej sobie trzodzie prawdziwą wskazać drogę we wszystkich kierunkach życia. Katolikom w zawodzie życia publicystycznego pracującym, służyła i służy dotąd za przewodnika nieomyłnego.

Dotknęliśmy głównych tylko czynów apostolskich zgasłego Piusa IX, któremi świat katolicki z letargu budził i zaćmione umysły oświecał. Są one wszystkie owocem gorącej wiary i niewstrząśnionego zaufania w Boga. Ostatnie przebiega się najwyraźniej w spokoj-

nem i mężnem znoszeniu utrapień i prześladowań, jakich w ciągu całego swojego pontyfikatu, prócz początku, doznawał. Czego nauczał pismem i słowem żywym, tego dał przykład całym życiem swoim. Kilka chwil tylko od wstąpienia swego na Stolicę Apostolską doznał wesela i radości, kiedy więźniów udarował wolnością, a podanych swoich najswobodniejszą konstytucją, jaka w tych stósunkach była podobną. Wszysey mu wówczas przyklaskiwali i wykrzykiwali: Hosanna! Wkrótce potem odpłacili mu Włosi te dobrodziejstwa niewdzięcznością i nie przestali go trapić aż do grobu. Odtąd wygnaniem, więzieniem w własnym domu wszystkie dni żywota swego, siedł drogą cierniem usłaną. Na nim sprawdziła się najwyraźniej przepowiednia: *Cruz de cruce*. Nie chcemy tu powtarzać doznanych przez niego prześladowań od nieprzyjaciół, gorzkich i cierpkich zawodów od fałszywych przyjaciół — znane są powszechnie. Prowadził życie męczeńskie, chociaż w rzeczy samej męczennikiem nie był. Własne cierpienia i prześladowania połączyły go z nami Polakami tak ścisłym węzłem miłości i przywiązania, że wtenczas nawet, kiedy nasi słuszny dali mu powód do żalu i ostudzenia serca jego do nas, a nieprzyjaciele nasi korzystać z tego usiłowali, zwykł był odpowiadać: „Kiedy oni tacy nieszczęśliwi.“ Książkę całą trzeba by napisać, aby wszystkie dowody jego ku nam miłości wypowiedzieć. Od początku swego pontyfikatu aż do skonania nie spuścił nas, naszego Kościoła, naszych biskupów, naszego duchowieństwa z oka i zawsze nas szczególniejszą otaczał miłością. W przykładzie swoim, w naukach i upomnieniach podawał nam do ręki broń, jakiej w naszych cierpieniach używać mamy, broń, którą on sam walczył przeciw duchowi antychrześcijańskiemu i w którą zawczasu wszystkich wiernych uzbroił do boju, który się do tej chwili jeszcze

toczy. Bronią tą była wiara i niewstrząśnione zaufanie w Boga. Jakimże skutkiem jego walka uwieńczoną została? Bez armii, bez skarbu świetniejsze odniósł zwycięztwo, niż wszyscy wojownicy tego czasu, którzy ziemię krwią zboczyli. Pozbawiony korony królewskiej, jaśniał świetniejszym blaskiem chwały, niż wszyscy mocarze świata; obdarty z dochodów, znalazł bez podatków, bez egzekutorów w tej wierze, którą zaszczerpiał i ożywiał, nieprzebrane źródło tego wszystkiego, czego do prowadzenia rządów potrzebował.

Nie doczekałże się tedy Pius IX tryumfu Kościoła, o którym tak często mówiono? Kto sobie ten tryumf podobnie jak Chiliaści panowanie Chrystusa niejako materialnie wyobrażał, kto się przywrócenia doczesnego i świetnego panowania papieża, pogromienia i poniżenia wszystkich jego nieprzyjaciół i t. p. spodziewał, mógł w oczekiwaniach swoich doznać zawodu; ale nie Pius IX, który, jak to z pewnością wiemy, przez ten tryumf rozumiał odrodzenie duchowe, tryumf wiary. A tego tryumfu czyż nie oglądał? Kiedyż cały świat katolicki, biskupi, kapłani i wierni złożyli wydatniejsze dowody gorętszego zamiłowania jedności wiary, a szczególnie przywiązania do Stolicy Apostolskiej, tego centrum jedności, jak za Piusa IX?

Dziś żyjemy jeszcze wśród gry samych wypadków, i całości tego wszystkiego, co Pius IX zdziałał, wraz z następstwami jego czynów, nie jesteśmy w stanie objać, ani ocenić. Ale gdy po kilkudziesięciu latach przyjdzie historykowi przedstawić obraz pontyfikatu Piusa IX, nie wątpimy ani na chwilę, że czas ten okaże się epoką tak wspaniałego, tak świetnego tryumfu Kościoła katolickiego, a mianowicie papiestwa, jakiego w innych epokach daremnie szukać będzie, a zwłaszcza, jeśli zważy na szali sumiennego sądu czas, okoliczności i usposo-

bień ogólny umysłów, wśród których się to działo. Od połowy dziewiętnastego wieku, wśród lodów niedowiarstwa, wśród rozsypywania się na atomy innych wyznań chrześcijańskich od Kościoła oderwanych, wśród wyziębionych serc dla tego wszystkiego, co się do rzeczy niebieskich odnosi, wśród rozwielnionego panowania materjalizmu i brutalnej siły, przed którymi wielcy i mali, uczeni i prostaczekowie czołem bili, wśród nienawiści miotającej najokropniejsze bluźnierstwa na imię chrześcijańskie, rozwija papież zdumiewającą wszystkich potęgę moralną, która się niedowiarkom marzeniem do średnich wieków należącem wydawała; ludy katolickie od najniższych do najwyższych warstw społecznych przejęte jak nigdy zasadami katolickimi, ożywione gorącą wiarą, z której siłą świat zmateryalizowany już się wcale nie liczył, spieszą z radością i uniesieniem z datkami swojemi Ojcu ś. na pomoc, skoro ich tylko wieść doszła, że jej potrzebuje. Któżby za rządów Leona XII, a nawet jeszcze za Grzegorza XVI był uwierzył, gdyby mu było powiedziano, że ludy katolickie następcy jego dobrowolnie świętopietrze płacić będą? Któżby był wówczas uwierzył, że tak mieszkańcy pałaców, jak najędzniejszych chatek w tym właśnie czasie ubóstwienia cielca złotego, swoje ofiary do stóp Namiestnika Chrystusowego znosić będą? Cóż to za cudowna zmiana, chociaż na pozór naturalnym rzeczy biegiem spowodowana? Cóż to za siła niewidzialna, którą zgasiły co dopiero sternik kierował i takie skutki wywołał? Oto potęga wiary, którą był uzbrojony, potęga, która według słów Pisma ś. góry przenosi. Któż przed pontyfikatem Piusa IX troszczył się wiele o papieża? Któż tak wiele o nim mówił, pisał, kto z takim interesem, z taką ciekawością dowiadywał się, kiedy będzie allokucya, co w niej powie, jak za Piusa IX? Lubo z boleścią, na-

leży jednak wyznać prawdę, że w owych czasach słudzy nawet ołtarza często bardzo mniej się troszczyli o głos głowy Kościoła, niż o rozporządzenie ministra kultu. Jakąż rządy Piusa IX w tej mierze wywołały zmianę!

Duch antichrześcijański czasu i kierownicy jego z wyrachowaniem godzili przedewszystkiem w Stolicę Apostolską, jako centrum jedności katolickiej, a niezdolni ocenić i zrozumieć wyższego posłannictwa Namiestnika Chrystusowego, mniemali, że, skoro go strącą z tronu doczesnego, obedrą go tem samem w oczach ludu z uroku, jaki go dotąd otaczał, i pozbawią przeważnego nań wpływu. Zaiste, po ludzku sądząc, zdaje się ten środek bardzo skutecznym — synowie tego świata są roztropni w rodzaju swoim. Ale cóż temi trafniemi na pozór rachubami osiągnęli? Przyczynili się tylko do jego wywyższenia i uwielbienia. Bo kiedyż Pius IX wspanialszym majestatem był otoczony, jak w chwili, w której złożony z tronu doczesnego, widział u stóp swoich pielgrzymów z wszystkich pięciu części świata, od wschodu i zachodu, od południa i północy, niosących mu dary i upominki w dowód czci, uwielbienia, miłości i synowskiego przywiązania? Któryż z monarchów, któryż z najpotężniejszych mocarzy świata, którzy swoich poddanych mogą sownie dobrami doczesnymi wynagradzać, może się poszczycić taką czcią, takim uwielbieniem, jakich Pius IX, obdarty z królewskiego majestatu ziemskiego, od całego świata katolickiego doznał? Nareszcie dozwolił mu Pan Bóg, przedłużając cudownie dni jego życia, doczekać się tej chwili, w której duszy upokorzonego przed Bogiem nieprzyjaciela swego, który się ciężkich na Namiestniku Chrystusowym dopuścił gwałtów, mógł nieść upragniony ratunek i doznane urazy z serca mu darować. Cóż to za wznio-

sły i wspaniały akt głowy Kościoła! Wierni i niewierni schylali przed nim czoła.

Mógłże tedy Pius IX świetniejszy tryumf kościoła, a mianowicie Stolicy Apostolskiej, oglądać nad ten, którego się doczekał? Że bój nie ustał i nie ustaje, czyż ta okoliczność może zaćmić blask tego tryumfu i wzniosłej Piusa IX postaci? Czyż Kościół, w którym żyjemy, nie jest wojującym? Zgon nawet jego nowego dorzucił blasku Stolicy Apostolskiej. Nie chcemy i nie jesteśmy w stanie charakteryzować wrażenia, jakie zgon ten zrobił na otwartych i zaciętych nieprzyjaciółach jego, dość że było wielkie i tak potężne, iż zdołało, jak się zdaje, popłatać plany i zniweczyć oddawna wymierzone zamachy na Stolicę Apostolską i zapewnić swobodny wybór następcy. W ludzie zaś katolickim, a szczególnie u nas, nie masz chatki, w którejby nie opłakiwano Piusa IX i nie modlono się za niego, nie tylko jako za Ojca wiernych, ale niemniej jako za opiekuna i miłośnika narodu naszego. A ten żywy udział, ta głęboka boleść czyż nie jest także węzłem łączącym serca ludu katolickiego z Namiestnikiem Chrystusowym? Czyż ta cześć i miłość dla Ojca ś., jaką Pius IX w sercach ludu katolickiego zaszczerpił, nie przeniesie się i na następców jego? Oto nieoceniona zasługa zgasłego Papieża: ożywienie wiary, obudzenie życia religijnego w całym Kościele i wskrzeszenie serdecznego przywiązania katolików do Stolicy Apostolskiej. Mniejsza o to, że rządy zostały na boku.

Cześć pamięci tego wielkiego i mężnego obrońcy Chrystyanizmu, sprawiedliwości i wolności! *Non recedet memoria ejus et nomen ejus requiretur a generatione in generationem.*

X. Biskup Janiszewski.

BOGUSŁAW RADZIWIŁŁ,

KONIUSZY LITEWSKI.

(Dokończenie *).

XI.

Książę Janusz Radziwiłł hetman W. Lit., stryjeczny brat Bogusława, pozostawił córkę Annę Maryą, urodzoną z pierwszej żony Katarzyny Potockiej w roku 1640. Głównym opiekunem sieroty był, jak wiadomo, Bogusław. Jeszcze przed śmiercią wysłał ją książę Janusz wraz z drugą żoną swoją, Maryą księżniczką wołoską, na dwór księcia kurlandzkiego, gdzie obie dłuższy czas pozostawały. W r. 1661 umarła matkocho, opieka nad osobą Anny Maryi przeszła głównie na księżną kurlandzką.

Żyła jednak jeszcze jedna krewna księżniczki, bliższa jej krwią nawet od Bogusława, gdyż rodzona siostra księcia Janusza, Katarzyna żona Jerzego Karola Hlebowicza, hrabi na Dąbrowie i Zasławiu, podówczas starosty żmudzkiego. Katarzyna wyszła za mąż właśnie w roku urodzenia się Anny

*) Patrz „*Przegląd Polski*“ z lipca 1877. Przepraszamy czytelników jak najmocniej, że z przyczyn po części ani od nas ani od autora niezawisłych, tak późno ogłaszamy dokończenie tej monografii.
(Przyp. Red.).

Maryi. Mimo bliskości pokrewieństwa stosunki były rzadkie i dalekie. Wprawdzie czasami, zwłaszcza w porze sieroctwa młodej księżniczki upominała się pani starościna żmudzka o swoje prawa opiekuńcze, ale widać ze wszystkiego, że na jej losy nie wpłynęła niczem. Jedyny list księżniczki do ciotki który się przechował, dowodzi owszem, że nie było między niemi serdeczniejszego stosunku.

Złożyło się na to kilka okoliczności. Matka Anny Maryi odumarała ją w trzecim roku życia. W dwa lata później pojął Janusz za żonę księżniczkę wołoską. Anna pozostała jedyną córką, i rosła najpierw pod opieką macochy, obcej Polsce i polskiemu społeczeństwu, a bardzo jeszcze młoda przeniosła się na dwór całkiem obcego księcia. To wychowanie, od początku prawie do końca obce, nie mogło pozostać bez wpływu tak na wyrobienie się charakteru księżniczki, jak na jej stosunek z resztą polskiej rodziny. Co się tyczy ciotki Hlebowiczowej, oprócz zobczenia między nią i siostrzenicą było jeszcze coś gorszego, bo pewien rodzaj zniechęcenia. Bezpośrednią tego przyczyną były sprawy majątkowe. Na dobrach Janusza miała starościna żmudzka pewne należitości, o które upominać się przyszło często a bez skutku u opiekuna księżniczki Bogusława ¹⁾. Zakwasilo to zupełnie wszelkie stosunki jego ze starościna, a ponieważ Bogusław występował imieniem młodej księżniczki, za jej zgodą i w obronie jej interesów, przeto nietajona wcale niechęć starościny dla koniuszego oddziaływała także na jej usposobienie względem Anny.

Mimo braku serdeczniejszych afektów i pani starościna żmudzka i wszyscy krewni jak byli, bliżsi, dalsi i bardzo dalecy troszczyli się żywo losem młodej księżniczki. Była ona bowiem jedną z najbogatszych partyj w Polsce, a okoliczność ta ważyła bardzo dużo w rozumieniu ludzi ówczesnych. Była już całkiem dorosłą, więc ze wszech stron rozpoczęły się zabiegi o jej rękę.

Bogusław liczył całych dwadzieścia lat więcej od księżniczki. Z tego co, bezimienny wielbiciel i panegirysta o księ-

¹⁾ Świadczą o tem wzmianki w listach Bogusława, umieszczonych w Dodatkach Nra XXXII, XXXV, XXXVI, XXVII i dalsze.

ciu koniuszym przekazał potomności, widać, że tę znaczną różnicę wieku pomnażał jeszcze dotychczasowy tryb niezbyt przykładowego życia. Albowiem, czytamy w żywocie Bogusława ¹⁾ książę „nie ze wszystkim miał na głos pochlebnych syren zawarte uszy,“ „nie dobrze hamował natury upały,“ nie umiał „przyrodzoną do złego skłonność przełamować,“ ale rad się poił „jadowitym likworem,“ za co potem „nigdy grzechów swoich żałować nie przestał.“ „Aby zaś skuteczniej“ — dodaje panegirysta — „jarzmo złych nałogów połamać, chcąc małżeński stan na to od Boga ordynowany obrać, myślał, którąby z przedniejszych domów damę miał za towarzysza życia swego obrać.“

W tych „deliberacyach“ miał książę szczególnie dwa względy na oku, jeden „na religią swoją ewangelicką,“ drugi na „bogate dziedzictwo.“ Oba te względy łączyła w sobie zostająca pod opieką Bogusława córka stryjecznego brata, dziewczeczka wielkich posiadłości, w których znajdowały się liczne zbory ewangelickie. Ku niej przeto zwrócił Bogusław swoje afekta.

Księżniczka chętnie przyjęła zaloty. Żywszego uczucia dla znacznie starszego opiekuna przypuszczać trudno, ale z niewielu szczegółów, zachowanych o córce Janusza, wnosić można, że do bardzo gorących afektów nie miała usposobienia wcale. Najbliższa jej opiekunka, księżna kurlandzka, krewna Bogusławowi po matce, sprzyjała żywo temu związkowi. Gdy będzie wasz ślub“ — mawiała ²⁾ — „to was zamknę, że nikt o tem wiedzieć ani was widzieć prócz mnie nie będzie.“ Może i jej perswazyja wpłynęła na decyzję księżniczki, dość że już w roku 1663 związek stanowczo został ułożony.

Trzymano go w wielkiej tajemnicy dla wielu „racyj,“ co nie przeszkodziło, że w krótkim czasie i cała Polska i bliższa

¹⁾ Żywot Bogusława Radziwiłła z rękopisu Działyńskiego str. 167.

²⁾ Listy Bogusława Radziwiłła do księżniczki Anny Maryi, w Kotłubaja Życiu Janusza Radziwiłła str. 435 do 456. Listy te stanowią główny materiał niniejszego rozdziału, z nich wyjęte zdania i wyrażenia, przytoczone w cudzysłowach, prócz tych oczywiście, gdzie inne źródło zostało podane.

zagranica dokładnie o wszystkim wiedziały. Najpierw ta sama księżna kurlandzka „jako wszystkie białogłówniki“ milczeć nie umiała; powtóre przeszkadzała małżeństwu „według papieskich kanonów i postanowienia koncyliów krwie bliskość, które iż w Polsce swój walor miały,“ trzeba było starać się o dyspensę w Rzymie ¹⁾. Takie zaś staranie długo w ukryciu pozostać nie mogło.

Skoro się rzecz rozgłosiła, ze wszech stron zaczęły się podnosić trudności i przeszkody. Pokazało się rychło, że w całej Polsce nie miał Bogusław ani jednego przyjaciela, któryby w tym wypadku chciał mu szczerze usłużyć, że natomiast nieprzyjaciół miał wszędzie podostatkiem. Zaczynając od dworu wątpić nie można, iż królestwu związek ten wcale nie był miłym. Przekonani że na Bogusława liczyć nie mogą, nie mogli wzajem królestwo życzyć sobie wzrostu jego znaczenia i potęgi przez związek z Januszówną. Ale w trudnych stosunkach owczesnych niechęć ta nawet głośno odezwać się nie śmiała. I bez tego wiedział o niej Bogusław, frasując się mocno, że „królowa wie o dyspensie i gada o niej głośno,“ co „nam przyczyni kłopotu.“

Jeszcze ważniejszą przeszkodę stanowił dwór elektora brandenburskiego, chlebobdawcy Bogusława. Dlaczego właściwie niechętnym był temu związkowi, wybadać dziś trudno, ale że tej niechęci obawiał się koniuszy, nie ulega wątpliwości. Wyrzekając na rozgłoszenie małżeństwa ostrzega narzeczoną,

¹⁾ Biograf Bogusława na str. 169 twierdzi, że Anna Marya „jednej religii związką z nim złączoną była,“ to znaczy, że była kalwinką. Za tem zdaniem poszedł także Z. A. Helcel w rozprawie o córce Anny, który się dziwi, że oboje będąc kalwinami, udawali się o dyspensę do papieża. Otóż zdaje się, że Anna Marya była katoliczką. Matka jej, która zdaniem biografów usilnie starała się męża nawrócić, prawdopodobnie dbała także o religią córki i według powszechnego obyczaju mogła uzyskać, aby córka w wyznaniu religijnem szła za matką a nie za ojcem. W sprawie tej wreszcie, o ile nam sądzić wolno, rozstrzyga staranie się o dyspensę u papieża, o którą dwoje kalwinów byłoby się chyba tak bardzo nie troszczyło, a powtóre warunek w dyspensie położony, żeby ślub dawał ksiądz katolicki za konsensem biskupa, do którego dyecezyi należeli narzeczeni.

że szczególnie o to mu idzie, aby nowin takich nie posyłano „do Berlina.“ Innym razem donosi, że z kurfirstem różnie mnie wadzą, ale mam nadzieję w Bogu, że niepowadzą. I od waszego dworu (kurlandzkiego) bywają tam różne o nas nowinki,“ wszystko w sprawie zamierzonego małżeństwa. Być może, iż kurfirst miał inne widoki względem swego siostrzeńca, że jak niegdyś ojca, zamierzał teraz syna wyswatać z jakąś księżniczką niemiecką. Naprowadza na ten domysł okoliczność, że kiedy Bogusław był już dawno po słowie z Anną, i kiedy o tem powszechnie wiadano, zapewne nie przeciw woli „wielce szanownego wuja“ starano się usilnie wyswatać go gdzieindziej. Raz „książę brat rał mi synowicę swoją, która mieszka przy kurfirstowej saskiej;“ to znowuż „książę anhaltskie pisał do mnie rając mi wdowę księżną *de Cell*, której mąż przed tygodniem umarł.“ O tem wszystkiem donosi Bogusław narzeczonej, która wzajemnie odpowiada mu czasami, że zniecierpliwiona czekaniem „pójdzie za Niemca jakiegoś.“ Związanie takich dwóch ważnych figur rodziny radziwiłłowskiej, jak Bogusław i Anna, małżeństwami niemieckimi, mogło bardzo odpowiadać przezornej polityce „wielkiego elektora“ i pozwala na przypuszczenie, że taki właśnie zamiar usposabiał go nieprzychylnie dla zamierzonego między nimi związku.

Ale polscy konkurenci także nie mało sprawiali kłopotu. Wystąpił w ich rzędzie najpierw hetman polny litewski, Michał Kazimierz Pac, mąż poważny i znakomity. Wiadomość ta mocno zalterowała koniuszego; „wołałbym umrzeć, niż tego się doczekać“ — pisze z goryczą do narzeczonej. Jeszcze niebezpieczniejszym był Sapieha, synowiec biskupa żmudzkiego Aleksandra. Książd biskup, który „dobroczynnością swoją na to zasłużył, że go ojcem kapłanów i ubogich zwano,“ który pierwszy z rodu Sapiehów obrawszy stan duchowny, święcenie kapłańskie otrzymał w Rzymie, gdzie „sygnetem szafirowym od Urbana VIII został udarowany ¹⁾, według listów Bogusława w bardzo niepochlebnem przedstawia się świetle. Był on krewnym obojga Radziwiłłów, ale krewnym dalszym, a różnica religijna i sprawy familijne utworzyły między koniuszym i biskupem przedział, który urósł wreszcie w dość otwartą

¹⁾ Niesiecki, Korona polska.

nieprzyjaźń. Miał ksiądz biskup trzech synowców po bracie Janie, pisarzu polnym koronnym, nie dziw więc, że rad był widział księżniczkę Annę raczej za którym z nich, niżeli za Bogusławem. W tem jeszcze nie było nic złego, ale Bogusław inaczej na rzecz patrzył. Donosząc narzeczonej, że biskup, „synowcowi swemu pomaga,” dodaje bez przebierania w wyrazach: „choćby djabła zjadł ten plesz i kaleka.” Biskup wileński Jerzy Białozor, także w niełaskach u Bogusława, nazwany jest wprost „szalonym,” ale żmudzki jeszcze zawsze „gorszy.” W przystępie złego humoru donosi narzeczonej, że aby uzyskać konsens, kazał szukać po Żmudzi biskupa i znajdzie go „choćby był i u swojej kochanki.”

Tej gwałtownej do Sapiehów niechęci nie podzielała, zdaje się, księżniczka. Kawalerowie byli młodzi, należeli do znacznej rodziny, cóż więc inne względy obchodzić mogły pannę. Dość skora do sprzeczek z narzeczoną odpisywała mu czasami, że gotowa pójść za Sapiehę, pomimo że takie listy Bogusławowi „serce i duszę przerażały.”

Najniebezpieczniejszym jednak ze wszystkich był, zdaje się, młody starosta spiski, Herakliusz Lubomirski, syn Jerzego marszałka wielkiego koronnego. Tym wprowadzie nie groziła księżniczka narzeczonemu w sprzeczkach, ale „upewniając miłością swoją” koniuszego, z tym „drugim miała korespondencyą mimo jego wiadomość.” Na szczęście jednak dla Bogusława ojciec pana starosty podniósł nieszczęsny rokosz, który synowi na pewien przeciąg czasu zagroził drogę do romansów i zamiarów matrymonialnych.

Oprócz konkurentów znajdował Bogusław nie mało trudności ze strony rodziny. Krewni księżniczki po matce, Potoccy, sprzyjać temu związkowi oczywiście nie mogli. Gorliwi katolicy, dalecy od zasad któremi się Bogusław kierował, z całkiem zrozumiałą niechęcią patrzyli na związek, który rodzoną ich siostrzenicę a nadto bogatą dziedziczkę miał oddać zaciętemu kalwinowi i zobczalemu słudze zagranicznego monarchy. Najpoważniejszy w rodzinie, pan wojewoda krakowski Stanisław Potocki wysłał nawet „legacyą” do Bogusława z zapytaniem, czemu księżniczki na sejmie nie prezentuje. Na to — donosi Bogusław — „odpowiedziałem: że się my Radziwiłłowie nie pytamy, co się z panny Potockimi dzieje, i że Potockim

wzajem nie trzeba się frasować o Radziwiłłowny, które mają swoich opiekunów.“ Odpowiedź, choć niekoniecznie grzeczna, była w prawie i obyczaju uzasadnioną. Zrozumiał to pan wojewoda, usiłując w sposób przyjazny zatrzeć nieporozumienie. Ale Bogusława nie łatwo było udobruchać. „Sama mi się po-
„tem bardzo lizała“ — donosi narzeczonej — „ale ze mnie nie siła uczciwości miała.“ W czego namacalny dowód dowiedziała się młoda księżniczka z tegożsamego listu, że poważny wojewoda jej stryj jest „bz.....“, a pani wojewodzina „już cale zgniłą babą.“

Nawet jeden z najwytrwalszych do niedawna protektorów koniuszego, kanclerz wielki litewski, teraz jakoś niedopisywał. Jużci bliższym był kanclerzowi Pacowi, hetman polny litewski Pac niżeli Bogusław, a że pan hetman więcej niż przez rok cały „groził się“ na księżniczkę, mógł Bogusław znaleźć sposobność do żalów, że z domu pani kanclerzyny litewskiej niepo-
chlebne dla niego wychodziły nowinki. Zwłaszcza „siostrzyczka nasza panna wileńska (mieszkająca u kanclerzyny) siła plecie i co jej ślina do ust przynosi, to gada.“

Mniejszaby jeszcze było o pannę wileńską, ale ówczesny pan kasztelan wileński, Michał Kazimierz Radziwiłł, bliski powinowaty Bogusława i zawsze stałe mu przychylny, znalazł się także przynajmniej chwilowo zniechęconym. Książę Michał Kazimierz był wzorem uczynnego krewniaka. Zaszczycony u dworu zasłużonem zaufaniem, przy każdej sposobności pamiętał o sprawie Bogusława. Szczególniej wówczas, kiedy te sprawy najgorszy obrot brały, książę Michał nie chybił nigdy z pomocą. Wspomnieliśmy już, że kiedy marszałek Lubomirski stanął w otwartej przeciw dworowi opozycji, obwiniono zaraz Bogusława, że w tajnych i nieprzyjaznych królowi jest z nim stosunkach. Słusznie czy niesłusznie, wierzyli temu ludzie chętnie, gdyż niedawna przeszłość księcia koniuszego wszelkie podejrzenia czyniła prawdopodobnemi. Jeden tylko książę Michał „nie mało łożył starań, aby go usprawiedliwić i z zarzutów oczyścić,“ a czynił to tak gorąco i tak żarliwie, iż nareszcie „sam nawet musiał nadwereżyć swój kredyt u dworu ¹⁾.“

¹⁾ Kotłubaj, Galeria portretów radziwiłłowskich, w życiorysie księcia Michała Kazimierza str. 381.

Przed kilku laty, kiedy szło o wyjednanie amnestyi dla koniuszego, niemniej usilnie popierał tę sprawę książę Michał, a w jednej ważnej chwili życia oddał mu przysługę, jakiej zwykle nie zapomina się nigdy.

Było to w r. 1656, kiedy Bogusław pod Prostkami dostał się w niewolę Polakom. Hetman Gąsiewski oddał go pod straż księciu Michałowi, a kiedy Tatarzy domagali się stanowczo zwrotu jeńca, zawdzięczał Bogusław głównie staraniom księcia Michała, że zgodzono się na okup. Pieniędzy na razie niepodobna było zebrać, namówił więc książę Michał niejakiego Gnoińskiego, iż zgodził się zostać u Tatarów w zakładzie, dopóki okup w całości nie zostanie wypłacony.

Za te wszystkie przysługi odwdzieczył się książę koniuszcy w sposób całkiem niehonorowy. Z pod straży krewnego, pomimo danego słowa umknął przy najbliższej sposobności napowrót do Szwedów ¹⁾, i nadal nie troszczył się wcale ani o uiszczenie okupu Tatarom, ani o wyswobodzenie Gnoińskiego. W kilka lat później, dawno już po otrzymanej amnestyi, po powrocie do majątków i łaski królewskiej, po wielu innych przysługach doznanych od księcia Michała, Bogusław zostawał ciągle dłużnikiem Tatarom a Gnoiński u nich w niewoli. Byłby biedak do śmierci siedział więźniem, gdyby nie żona, która z trudem zebrawszy pieniądze, wykupiła męża w roku 1662. Zaraz po powrocie przybył Gnoiński do księcia Michała, żądając zwrotu pieniędzy wypłaconych Tatarom, skoro za jego namową podjął się być zakładnikiem za Bogusława. Książę Michał przez dłuższy lat szereg łożąc hojnie na potrzeby publiczne, był w trudnem położeniu majątkowem. Gnoiński z wszelką słusnością domagał się natarczywie wynagrodzenia. Ten, który właściwie i oddawna powinien był zapłacić, Bogusław, siedząc daleko w Prusiech głuchym był na wszystkie upomnienia. Przebrało to miarę cierpliwości księcia Michała, który listownie wypomniał Bogusławowi takie postępowanie z równym zapewne żalem, jak nigdyś ucieczkę z niewoli wbrew danemu słowu ¹⁾.

¹⁾ Tamże str. 379. Uzupełniamy tem świadectwem przypisek w rozdziale IV. List w którym książę Michał wyrzucił Bogusławowi złamanie słowa ma być z 28 paździer-

Wszystko to nie nie pomogło; książę koniuszy nie zaspokoił Gnoińskiego. W dalszych lat parę, po śmierci męża pani Gnoińska musiała aż w drodze sądowej dochodzić swej należitości. W r. 1667 uzyskała dekret na Bogusława i na księcia Michała, skutkiem czego ten ostatni znaczną część sumy z własnej zapłacić musiał kieszeni ¹⁾.

Był jednak książę Michał niewyczerpanej wyrozumiałości dla swego krewnego i doznane urazy łatwo mu puszczał w niepamięć. Spotkamy go jeszcze później w nowych dla koniuszego usługach. Teraz jednak bodaj czy kłopoty z powodu Gnoińskiego nie ochłodziły na czas jakiś stosunków przyjacielskich. Wnosić o tem można ztąd, że w sporej ilości listów w przedmiocie małżeństwa niema nigdzie wzmianki o kasztelanie wileńskim, co tembardziej zastanawia, iż w każdej niemal sprawie Bogusława spotyka się go czynnym i pomagającym.

Największymi jednak kłopotami zagroziła „wielce miłościwa siostra,” pani starościna żmudzka Hlebowiczowa. Była ona zamierzonemu związkowi stanowczo przeciwną. Wiemy już, że od dłuższego czasu stosunki między panią starościna i koniuszym były naprężone, że szło o sprawy majątkowe, o wypłatę należitości z dóbr radziwiłłowskich, których trudno było wydostać od Bogusława. Obok tego powodu niechęci musiały zapewne być jeszcze inne, ważniejsze. Niestety, o pani starościnie żmudzkiej przechowały się bardzo skąpe wiadomości, a do tej sprawy mamy tylko kilka lakonicznych wzmianek w listach, z których to jedno jest niezawodnem, że związku Bogusława z synowicą sobie nie życzyła i usilnie przeszkodzić mu pragnęła.

W roku 1663 bawiła księżniczka czas jakiś w Prusiech, przy Bogusławie. Wówczas doszło do ostatecznego porozumienia między nimi. Wiedząc o tem, czy domyślając się tylko, życzyła sobie pani starościna taksamo jak inni członkowie rodziny, jak mianowicie państwo Potoccy, aby księżniczka wró-

nika 1658 r. P. Kotłubaj powołuje go tylko, lecz nie przytacza.

¹⁾ Tamże str. 381.

²⁾ Tamże str. 383.

ciła do Polski, do rodziny, temsamem aby się skończyła jej rezydencya na obcym dworze. Przy Bogusławie mieszkać jej nie wypadało, przy ciotce rodzonej, najbliższej krewnej, pobyt pod każdym względem wydawał się rzeczą najwłaściwszą. Tego widocznie domagała się starościna i tego właśnie Bogusław nie życzył sobie wcale. Otóż w ciągu ożywionej korespondencji otrzymała starościna list następujący.¹⁾

Oświecona księżno a moja miłościwa pani i siostró.

„Po napisaniu wczorajszego listu mego zdało mi się oznaczyć W. X. Mci, że księżna JMci synowica moja nie mogąc dla powietrza się dłużej bawić w Prusiech, uprosiła się na czas krótki do Kurlandyi, czego niemogąc jako rzeczy słusznej księżnej JMci odmówić, wyprawiłem ją na tamte miejsce, gdzie ją sobie serdecznie życzą, i gdzie nauczwszy się cnót i obyczajów dobrych wszelkich jako od własnej matki wdzięcznie będzie przyjęta i traktowana. Wiem że tę drogę księżnej JMci różni różnie tłumaczyć będą, ale wie i księżniczka JMci czego się naparła i ja com pozwolił, Bogu i ludziom obaj za to odpowiadać gotowiśmy. Za ujrzeniem da Bóg namówię się z W. X. Mścią o dalszej księżnej JMci rezydencyej i czemu ją do Polski nie puszczam. Zatem się łasce W. X. Mci pilno zalecam, W. X. Mci mej M. paniej życzliwy brat i sługa.

B. Bogusław.

Z Brandemburku 10 Octobris.“

Można sobie wyobrazić z jakim usposobieniem przyjęła starościna to pismo, szczególniej przytyk, że dla jej siostrzenicy trzeba aż dworu księcia kurlandzkiego, aby się nauczyła „cnót i obyczajów dobrych.“ Jeden drobny szczegół wskazuje,

¹⁾ Ze zbiorów Wandelina Hr. Pusławskiego T. II, str. 205. List ten niema roku, ale zdaje się, że był pisany w 1663. W następnym bowiem roku 1664 według Pamiętnika własnoręcznego Bogusława str. 50 i 61, wyjechał on już 9 września z Królewca na Ruś, przez październik bawił na Litwie i dopiero w początkach 1665 wrócił do Prus. A zatem z Brandemburka pisać listu nie mógł. Nie mógł go także pisać w r. 1665.

że miała także w swym charakterze zaciętość radziwiłłowską, która niełatwo przebłagać się dawała. Kiedy rodzona córka starościny, wyszedłszy za mąż za Sapiehę „została katoliczką,” matka w „alteracyi” długo przebłagać się nie dawała. Dochodziło do scen przeprosin w których córka „mdlała srode i ledwie ją ocucono,” czem zaledwie matka uspokoić się dała ¹⁾. Tak surowa względem najbliższych sobie, trudno przypuścić aby łagodniejszą była względem dalszych, a mianowicie względem Bogusława.

Na czas dłuższy o porozumieniu się mowy być nie mogło. Kiedy w kilkanaście miesięcy później wiadomość o blizkiem małżeństwie Bogusława z Anną była już niewątpliwą, kiedy donoszono z Rzymu, że dyspensa już podpisana, pani starościna ostatecznych chciała użyć sposobów, mianowicie „zanosić protestacye.” „To śmieszne rzeczy” — pisał Bogusław, ale dodał zaraz z niesmakiem, że „z panią siostrą będzie co robić.” Jakoż nie omylił się. Do protestacyj zdaje się nie przyszło, bo na nicby się nie zdały, ale praktyczniejszą obierając drogę, zaczęła starościna trapić natarczywie koniuszego o zaspokojenie swych pretensyj. „Pani ciotka strasznie się na mnie gniewa” — donosił w kilka miesięcy później — „i chce się ze mną prawować o Zabłudów, na którym powiada że ma 80.000.”

Tymczasem nie na krótko, jak w liście zapowiadał Bogusław, ale więcej niż na dwa lata osiadła znowu księżniczka na dworze kurlandzkim. Ze wszystkich przyjaciół księstwo Kurlandzcy byli mu jeszcze najstalej przychylni, mógł przeto ufać, że księżniczka w pewnej zostaje opiece, że ani pan hetman polny litewski nie zagrozi jej na prawdę, ani pan Sapieha, posyłając do księstwa z prośbą, aby księżniczkę za syna jego wydali, nic nie wskóra, ani wreszcie inni konkurenci i krewniacy szyków mu nie popsują. Sam koniuszy, rozmaitemi sprawami zabawny, rzadko tylko i na krótko mógł się zjeżdżać z narzeczoną. Tej okoliczności zawdzięczamy dość obszerną i ciekawą korespondencją, która pozwala przypatrzeć się bliżej stosunkowi między narzeczonymi, poznać w rozmaitych szczegółach ówczesny obyczaj i pojęcia. W tych drobno-

¹⁾ Chrapowicki, Dyaryusz str. 51.

stkach maluje się dobrze duch wieku, ludzkie postacie nabierają życia i prawdy, uwydatnia się wreszcie poniekąd tło historyczne, bez którego jak wiadomo rzeczywista historia nie zawsze dokładnie może być zrozumianą.

Bogusława znamy już trochę i jako figurę historyczną i jako człowieka w życiu prywatnem, w stosunkach towarzyskich. Co się tyczy jego narzeczonej, daleko trudniej przedstawia się sprawa. Szczegółów mamy nie wiele, a i tym, które są, nie zawsze zaufać można bezwarunkowo. Biograf i panegirzysta Bogusława pisze o niej następnie ¹⁾: „Piękność jej twarzy z prześlicznej urody jej matki można poznać, która będąc z przeznaczonego domu Potockich, urodą wszystkie damy owego wieku zdała się przechodzić, i tak z pięknej urody matki, każdy o piękności córki sądzić może. Do tej ciała piękności przystępowała niewypowiedziana obyczajów piękność. Wstydliva, skromna, ludzka, łaskawa, dobroczynna, we wszystkich sprawach roztropna. Twarz jej nie wyniosła i nadęta, lecz wesoła i skromna, w uśmiechu łaskawość, w chodzie nic lekko-myślnego, w słowie nic zdrożnego, nie było: słowem we wszystkim sama w niej cnota się wydawała“.

Otóż wielka jest trudność sprawdzić, które z tych pochwał zasłużone, prawdziwe, a które tylko panegiryczną ornamentacją. Gdyby wszystkie wziąć można za prawdę, Anna Marya uderzałaby istotnie podobieństwem do swej matki Katarzyny. Tymczasem widać, że podobieństwa między nimi nie było. Katarzyna według zgodnych świadectw współczesnych oprócz piękności celowała niezwykłą pobożnością i skromnością, miała serce tkliwe, usposobienie dobre i łagodne, była w ogóle dziwnie sympatycznym zjawiskiem, pełnem cnót i przymiotów niewieścich. Skutkiem tego właśnie, mimo braku bogatego wiana ubijała się o jej rękę najbogatsza i najznakomitsza młodzież polska, a ambitny Janusz Radziwiłł zaślubił ją nie bez niechęci ambitnego ojca swego, który pragnął dla syna żony nie z polskiego dworku szlacheckiego, ale z dworu udzielnych książąt niemieckich ²⁾.

¹⁾ Żywot B. Radziwiłła str. 170.

²⁾ Że książę Krzysztof Radziwiłł niechętnym był związkowi Janusza z Potocką, świadczy tegoż list desperacki w Ko-

Jeżeli Anna pięknoscią dorównała swej matce, a w tym względzie chcemy wierzyć biografowi, to w innych przymiotach nie dorównała jej wcale. Pobożną i skromną tak jak matka nie była niezawodnie. Do związku z Katarzyną przeszkadzał Januszowi dużo kalwinizm, a chociaż tę trudność uprzątnięto, Katarzyna wszelkich dokładała starań, aby męża nawrócić do wiary katolickiej. Celu tego nie dopięła, ale nie ulega wątpliwości, że wyrobiła sobie u Janusza zupełne poszanowanie swego usposobienia religijnego. Z pewnością byłby Janusz nie śmiał zapytać jej tak, jak Bogusław Anny: „czy chcesz iść za mnie W. X. M. jeśliby dyspensy od papieża nie było?“ Wprawdzie widać, że na tę propozycyą nie zgodziła się księżniczka, skoro w innym liście przypomina jej Bogusław, wszak „upewniasz mnie, że byleś była pewną dyspensy, potem nie tęskniąc terminu czekać będziesz“. Było to jednak rzeczą naturalną nawet bez gorliwości religijnej, gdyż sam Bogusław ostrzegał, że „pojawszy się bez dyspensy“, mogą z tego urosć „jakie hałasy, albo kłopoty, albo zarzuty“, które księżniczka musiałaby „cierpliwie znaszać, nie prezentując się na takie miejsca, gdzieby mógł potkać jaki niesmak z tej okazyi“. O tym braku świadczy również mnóstwo żartów w listach Bogusława, które uczucia religijne i skromność obrażać musiały, a względem których nie zdobyła się widocznie księżniczka za właściwą odpowiedź. Donosząc, że „dyspensa przyłazła“, powtarza Bogusław aż w dwóch listach koncept, że w niej „pop święty mnie zowie synem swym a W. X. M. córką swoją, nad czem jeżeli biskupi nie będą skrupulizowali, nie wiem“. A ponieważ w dyspensie położono warunek, żeby katolicki ksiądz ślub dawał, powtarza się w kilku listach troska Bogusława, „żeby to zlecono głupiemu jakiemu plebanowi, bo się dalibóg boję, żeby przy wielkich ceremoniach nas nie poczarowano albo potruto“. To już było nie żartem, ale na prawdę i odpowiadało godnie zabobonności Bogusława. „Tak

ślubaja życiu Janusza str. 326: a że pragnął ożenienia się Janusza w Niemczech, świadczy inny list Janusza (tamże str. 267). Co się tyczy Katarzyny Potockiej, bliższe o niej szczegóły podane w naszych Zarysach historycznych, w artykule: „Swaty w r. 1637.“)

i nieboszczyka Zamojskiego oczarowano“ — przekonuje z powagą — „że choć się niezmiernie zrazu w pani swej kochał, potem ją nie tak traktował, jak należało“. Bał się tego tak szczerze, że jeszcze na kilka tygodni przed ślubem zaklinał: „tylko ceremonij niech będzie jak najmniej“ i „koniecznie“, „żeby ksiądz papieski nie wiedział o ślubie, aż go nam dać będzie, inaczej nas w niwecz poczarują“.

Tymczasem księżniczka wcale nie chciała obchodzić się bez ceremonij i wystawy. Nadaremnie donosi Bogusław prawie w każdym liście, że „z dobrami“ źle się dzieje i „temu zabieżeć niepodobna“, a „Bóg widzi, że szeląga złamanego intraty się nie spodziewam i bez pomocy kurfistowskiej nie miałbym chleba i przepadłbym“. Bez skutku pisze czasami prawie z rozpaczą: „wszyscy jakoby się ocknęli i do prawa rzucili, tak, że co godzina nowe się zjawiają długi, o których przedtem i wzmianki nie było, a co najgorsza, że nie widzę sposobu, zkądby je zapłacić. Pan Bóg tylko może z tych trudności wybawić. Gdy da Bóg będziemy ze sobą, przyjdzie się podobno rzec tych wszystkich majątności prócz Birż, byle i to można było zatrzymać, bo tych długów niezmierna moc, a każdy chce, aby mu zapłacono“. Nadaremnie przymawia się raz po raz, aby jak najmniej było ceremonij, bo „choćbym *incognito* przyjechał, tobym przecie musiał mieć z tysiąc koni i ludzi z sobą“, inaczej „trzeba dziesięcioletnią intratę na jednej wieczerzy zjeść“. Również nadaremnie donosi na zachętę, że właśnie pan Sobieski marszałek koronny „ślub wzięwszy z wdową nieboszczyka pana wojewody sandomirskiego, poszedł z nią zaraz bez żadnego bankietu do pościeli“. „Ceremonia, że krótka i niekosztowna, bardzo mi się podoba“ — dodaje także nadaremnie.

Na takie listy odpowiadała księżniczka żądaniem coraz nowego wydatku i coraz nowej kosztownej usługi. Trzeszczał nieraz mieszek pana koniuszego, o czym mimo gorącego afektu i gotowości do usług nie waha się napomknąć czasami. „List, w którym W. X. M. o materyą złocistą piszesz“ — odpowiada w styczniu 1665 r. — „zastał mnie już w drodze, zaczęm w tem nie mogłem affektacyi W. X. Mci wygodzić, ale pisałem do Francyi, zkąd zaraz na wiosnę będziesz W. X. M. miała jedwab *à la mode*. Insze drobiazgi przyjechawszy do

Królewca poszlę W. X. Mci, bo teraz jadę jako z przegranej bitwy po hultajsku“. Wnet znowuż posyła „płótna holenderskiego przedniego“ i inne sprawunki, które mnożą się, im bliżej ślubu. „Przez sługę posyłam W. X. Mci comkolwiek tu mógł dostać najlepszego“ — pisze w październiku z Królewca — „atlasu starego ani tu ani w Gdańsku nie dostano kupić; znalazłem drugi florysowany, ale nie masz go dosyć na trzy panny; starać się jednak będę i zlecam to Fererowi, że pocztą pošlę, jeśli go dostanie“. Wbrew życzeniu i namowom koniuszego stanęło na tem, że ślub będzie z ceremoniami. Suknie przeto aż w Paryżu kazał robić Bogusław, aby były „bardzo *à la mode*“. Księżna kurlandzka, która zapowiadała, że w dzień ślubu ukryje narzeczonych przed ludźmi, aby ich nie poczarowano, „teraz przecie myśli o ogonie“. „To prawda“ — dodaje koniuszy jakby z westchnieniem — „że na weselu trzeba księżnom ogony w sukni nosić“. Znowuż przeto pan Szubert wiezie materye z Królewca. Lecz nietylko o swoim i swoich panien ogonach pamiętała księżniczka. Wcześniej przed ślubem otrzymał koniuszy wskazówkę, jak się ma ubrać do tego aktu. „Chciałem ja być w czerni“ — odpisuje — „bo taki w tych i cudzych krajach zwyczaj; ale że się to W. X. Mci nie zda, postaram się o pstrą suknię, żebym był jako dzięcioł“.

Wszystko to nie nowe, i dziś jeszcze po dwóch wiekach, z małemi zmianami co do kroju i barwy sukien nie razi niezwykłością. Są jednak w tej korespondencji szczegóły dowodzące, jak daleko dzisiejszy obyczaj odbiegł od ówczesnego. Jakkolwiek bowiem jestto stosunek poufały między osobami dojrzałego wieku, bo takim jest niewątpliwie mężczyzna 44letni i za taką uchodzi panna 24letnia, niepodobna zapomnieć, że to pisuje stryj do synowicy, opiekun do pupilki, narzeczony do narzeczonej, że oboje należą do najprzedniejszej klasy społeczeństwa, celują wykwiutnem wychowaniem, a Bogusław celuje niem nietylko w Polsce lecz i za granicą. Otóż zaczy nając zwykle ceremonialną intytulacją: „Oświecona księżno a moja z serca kochana Anusio“! szpikując list każdy aż do przesyty „Waszą Książęcą Mością“, dodaje pan koniuszy gęsto poufałości, o których z trudnością tylko łagodniejszymi wyrazami dać można wyobrażenie, a nie brak takich, których

już żadną miarą żadnymi powtórzyć nie można słowami. To jeszcze kiedy pisze; „musiałbym się z W. X. M. widzieć i lepiej obłapić niż w Libawie“, albo donosząc o sukniach parryskich: „życzyłbym W. X. M. sam w nie ubierać i rozbierać“ — to jeszcze stosunkowo są wyrażenia przyzwoite. Ale jak wzdycha posyłając sprawunki: „kiedybym się w płótno przemienić mógł, tobym się w koszulkę obrócił“, pomijając nawet dalszy koncept ognisty, przyznać trzeba, że osławione w listach Sobieskiego do Marysieńki „śliczności“ gorszego nie robią wrażenia. Inny znowu list, w którym ponownie prosi księżniczkę, aby się odzwyczajała od ciepłej izby, bo to śmierć jego i zaraz miewa zawrót głowy, w którym opisuje szeroko w jaki sposób „o pierzynkę będziemy się swarzyć“, jest taki, że dzisiaj przyzwoicie wychowany mąż, w najpoufalszym liście do żony coś takiego nie odważyłby się napisać.

Nie mniej rażące są często wyrażenia i sam przedmiot doniesień. Próbkę pierwszych mieliśmy sposobność poznać przy charakterystyce Potockich i biskupa żmudzkiego. Zdarzają się podobne dość gęsto. Raz „księżna *Catherina* stara baba już umarła“; znowu westchnienie: „byle nowy żaden się nie znalazł djabeł, któremu mocno trzeba będzie dać pięścią w gębę“ i t. p. A co do przedmiotów, zrozumieć nawet trudno, dla czego co chwila wiadomości, najmniej właśnie młodej panie potrzebne. Donosząc, że „pani Dobrzyńska pożegnała się z tym światem“, musi zaraz dodać „w połogu“. O kurfirstowej raz po raz wiadomość, że „brzemienna“, a ganiąc pani Sobieskiej i pani kasztelanowej połockiej Korsakowej zbyt rychłe wyjście za mąż po śmierci pierwszych mężów, ciesząc się, że zato pani Sobieska „trafi na tak humorowatego męża, jakiego w Polsce nie masz“, znowu całkiem niepotrzebna uwaga, której w żaden sposób powtórzyć nie można.

Ale obok tych dodatków niemiłych, są w listach rzeczy dobre i piękne. — Cokolwiek bowiem wpłynęło zrazu na skłonienie się Bogusława ku Annie, widać, że z czasem skłonność zmieniła się w afekt prawdziwy, a w słowach jego gorących, serdecznych, nieraz na pozór egzaltowanych, czuć szczerość i prawdę. „Nie może być W. X. Mci tak tęskno beze mnie“ — pisze n. p. — „a ja serdecznie tęsknię bez W. X. Mci i zdaje się dalibóg, że w odległości, nietylko z bliska,

miłość moja niezmyślona ku W. X. Mci coraz to bardziej się wzmacnia. Teraz i minuty, ani w nocy ani w dzień nie mam, żebym nie miał o W. X. M. myśleć, i o tem, jakoby koniec szczęśliwości mej jako najprędzej dostąpić“. „Nie możesz W. X. M. nigdy temu wierzyć“ — pisze innym razem — „jako cudownie, im dalej, tem więcej szczerze kocham W. X. M. tak, żebym się rad i w ptaszka obrócił i poleciał do W. X. Mci, Bóg widzi serce moje, że to prawda“. Rzadko się trafi list, gdzieby nie było zapewnienia, że „nikt Cię nade mnie bardziej i szczerzej kochać nie będzie“, a jak się zdarzy gorsza nowina lub nowa urasta trudność, nie brak wykrzykników, trochę nawet za gorących. „Wolałbym sobie w łeb strzelić, niż tego doczekać“ — żebyśmy się pobrać nie mogli. „Wolałbym umrzeć, niż tego się doczekać“ — żeby pannę inną zaślubił.

Czasami dawała panna z umysłu powód do takich gwałtownych wykrzyków. „Aleć mnie niektóre paragrafy serdecznie frasują“ — pisze Bogusław — „kiedy czytam, że W. X. Mć powątpiewasz o mojej miłości i że mi już wierzyć nie będziesz, jeżeli ze sobą koło św. Jana nie będziemy. Bodaj żeby mnie wszystko złe popadło, bodajbym w ziemię przepadł, jeśli ja zwłoki i odłogów w tej sprawie przyczyną, i jeśli bym już nie rad ze wszystkiej mej duszy miał W. X. M. u siebie. Czy na żart ważyłbym 10,000 na dyspensę“ — dodaje z nieporównaną szczerością — „i cóżby mi też było po tem mitrężyć“. Spokojniej znosi „nowinki“, o których go „przestrzegają dobrzy przyjaciele“, mianowicie „żeś W. X. M. przysięgła nie czekać dłużej na mnie, tylko aż do Wielkiejnocy. Ładne te bajki białogłówni rade piszą, choć im nic po tem, i z których się ja tylko śmieję“. Czasem jednak, chociaż z podziwienia godnym spokojem i wyrozumiałością, przyszło Bogusławowi poważniej narzeczoną upomnieć.

Zdarzył się mianowicie jeden wypadek, dobrze charakteryzujący ówczesne stosunki towarzyskie. Było to w początkach roku 1665. Księżniczka napisała tajemnie list do młodego starosty spiskiego Lubomirskiego, i wysłała go przez umyślnego posłańca. List ten „od króla będąc przejęty“, tym „trefunkiem“ zaraz Bogusławowi „został odesłany“. Przedtem oczywiście czytała go królowa jejmość i wszystkie panie dworskie, mianowicie pani wojewodzina krakowska i „pani siostra“ podkan-

clerzyna koronna Leszczyńska. Oczywiście „były o tym liście różne mowy i każdy i każda go tłómaczyli“. Nie dość na tem, gdyż był to list nie pierwszy, było ich już poprzednio „trzy jeśli nie cztery“ z obojej strony, a wszystkie, tak księżniczki do starosty jak jego do niej „pokazywano pani koniuszyniej koronnej“. A „lubo w liściech nie było nic nagany godnego, ta sekretna jednak z nieznanym korespondencya do różnych mów była okazyją“. Bogusław oczywiście „życzył był wprawdzie, aby takie korespondencye ustały były“, więc było mu „bardzo markotno“ i „poruszyło humory“, „ale“ — dodaje — „uspokoił tę materyą, kiedym królowej powiedział, że potrzebował po W. X. M., żebyś do pana Lubomirskiego pisała, i żeś to na moją uczyniła rekwizycją“. „Dopiero na mnie był głos od pani wojewodziny krakowskiej i pani siostry, kiedy powiedziały, że nie miał przymuszać W. X. M. pisać do nieznanomych młodzieńców, i że mianem domowi memu uczynił. A to najbardziej W. X. M. miano za złe, żeś go księciem tytułowała, czego żaden człowiek w Polsce ani za Polską nie czyni. Nie mogąc się ich odczepić, powiedziałem, żeś go tak tytułowała, że księżna JM. kurlandzka tak mieć chciała. Nie miało to jednak miejsca i pani mi jedna powiedziała, że jeszcze w Polsce przykładu nie masz, żeby się która panna w nieznanym sobie młodzieńcu zakochać miała“.

O przejściu listu dowiedziała się rychło księżniczka, i czując się winną, „prosiła gorąco o przebaczenie“. Z powagą odpisuje jej Bogusław: „więcej się w listki nie wdawaj, bo to są rzeczy bardzo delikatne“. Co było „tego już nie wspominajmy więcej“. Poruszyło to humory dla tego, „że kocham“, gdyż „kiedybym W. X. M. szczerze nie kochał, nie dbałbym o takie fraszki“. A co się tyczy „żalu ku W. X. M. tego nie mam, a choćby się i co takiego przytrafiło było, nigdyby mię to tak zalterować nie mogło, żeby to miłość moja nie miała przewyciężyć“.

A chociaż mu „serce schnie“, choć tak gorąco pragnie „dostać szczęśliwości“, nawet chociaż „wazył już 10,000 na dyspensę“, od czasu do czasu nie waha się zwracać uwagę księżniczki, że „więcej złego jak dobrego na świecie spodziewać się musi“, więc niech rozważy, czy za jego fortuną iść będzie chciała. W jednym zaś liście pisze następnie: „Tym-

czasem W. X. M. pomyśl sobie właśnie, jeśli za mnie, znając mój humor i fantazyę, chcesz pójść, czyli za kogo innego. Dosyć, że ja W. X. M. z całego serca kocham, jednak do niczego przymuszać niechcę. Co Bóg naznaczył, a W. X. M. będzie wola, to niech się stanie, bo wolałbym umrzeć, niż żebyś W. X. M. z bojaźni co czynić miała, a potem na mnie narzekać. Dosyć na tem, iż jeszcze raz napiszę, że niewymownie W. X. M. kocham“.

Nie brak wreszcie dowodów drobiazgowej troskliwości. „Żałuję, że W. X. M. nie masz panny pokojowej; tu w Królewcu na grzeczną się nie zdobędziesz“. „Bardzo żałuję, że główka spuchła i że zęby dokuczają. Trzeba je będzie koniecznie wyrwać, bo inaczej inne ząbki zarażą, a cukierku się strzedz“. Choć go „oczy bolą“ i „doktorowie zakazali pisywać“, pisze list długi „choćbym miał potem co przycierpieć a nawet i olsnąć“. O regularną korespondencją stara się usilnie. Kiedy raz przez zapomnienie list napisany dwa dni przeleżał w kancelaryi, nazywa to „nieszczęściem“ i dodaje charakterystycznie: „ale rozumiem, że W. X. M. mi to wybaczysz, bo dano pięciu chłopcom chłostę za to“.

Przez cały czas tych konkurów i amorów oprócz przelekającej się sprawy dyspensy, kłopotowały Bogusława nieraz jeszcze inne, tak prywatne jak publiczne. Na czele stały kłopoty pieniężne i nieszczęsna sprawa zwrotu majątków hetmańskich. Po gwałtach w odbieraniu dóbr popełnionych, nadeszła chwila bardzo krytyczna, wówczas mianowicie, kiedy hetman Gąsiewski powrócił z niewoli moskiewskiej. Spodziewał się Bogusław, że Gąsiewski upomni się energicznie o swoją krzywdę, otrzymawszy przeto wiadomość o jego powrocie, pospieszył z listem nadzwyczaj przyjacielskim, „z wizytą i gratulacją braterską“, z „uprzejmem życzeniem powitania i poufałej konferencji“. Równocześnie wysłany został pan marszałek Wilkomirski, aby „braterską księcia prezentował uprzejmość“ i jak najrychlej ułagodził sprawę¹⁾. A ponieważ hetman nie spieszyl z odpowiedzią, doszedł go niebawem drugi list, jeszcze grzeczniejszy i serdeczniejszy²⁾. Do załagodzenia sprawy nie

¹⁾ Obacz Dodatek Nr XXXIII.

²⁾ Obacz Dodatek Nr XXXIV.

wystarczał widocznie pan marszałek wiłkomirski, przeto uprosił Bogusław „JMé pana kanclerza W. X. Lit. i JMé pana Owerbecka“, ażeby w jego imieniu porozumieli się z hetmanem. Nim do tego przyszło, został Gąsiewski w haniebny sposób zamordowany. Nie wiele to jednak pomogło Bogusławowi. Skonfederowane wojsko, jak widzieliśmy, uporczywie trzymało się dóbr radziwiłowskich. Jeszcze w roku 1665 narzeka koniuszy, że „królewskie i hetmańskie u tych swawolników w żadnym nie są respekcie listy“, że z Słuczyzną i innemi wszelkimi majątnościami takie dzieją się rzeczy, iż „serce się pada i wołałby człowiek nie żyć“. Na nieszczęście w ciągu roku 1665 umarł nagle p. Mierzyński, marszałek wiłkomirski, „kochanek księcia Krzysztofa i Janusza Radziwiłła“. On to prowadził głównie interesa majątkowe tak książniczki jak Bogusława, a znał je wybornie, bo jeszcze z czasów, kiedy majątki koniuszego zostawały pod opieką stryja Krzysztofa. „Nieźmiernie sturbowała“ ta śmierć Bogusława. „Prawda to“ — pisze narzeczona — „że nieboszczyk p. Mierzyński miał swoje wady, ale jeszcze prawdziwsza, że tak sposobnego do traktowania spraw naszych i nieboszczykowskich, których był wiadom, żadnego nie mamy ani mieć nie możemy“. Zaraz też rozpoczęły się najżałośniejsze skargi na brak pieniędzy, na zjawianie się coraz nowych długów, na zupełną ruinę majątkową.

Dużo zapewne ucierpieć musiały te majątki, i dużo mogło być strat, ale były to zawsze fortuny ogromne, dla których dziś niełatwo znaleźć porównania. Majątki po ojcu Anny Maryi pozostałe, składały się z kilkunastu ogromnych fortun, między niemi takie, jak Zabłudów, Kiejdany, Birże, Orle, Taurogi i wiele innych. Inwentarz ruchomości: złota, klejnotów, cennej broni i t. p. oddanych po śmierci Janusza do skarbu Bogusława, obejmuje ośm kart bardzo ścisłego druku ¹⁾. Po połączeniu tych fortun z majątkami Bogusława utworzyło się *dominium*, o którym biegli znawcy spółcześni twierdzili ²⁾,

¹⁾ Kotłubaj, Życie Janusza Radziwiłła, w dodatkach str. 420--436.

²⁾ Andrzej Chryzostom Załuski, mowy na radach i sejmach, str. 113.

że jest „jako Mantua, Modena i insze mniejsze we Włoszech państwa“. Mimoto narzekał Bogusław ciągle na niedostatek i brak pieniędzy. Widzieliśmy wreszcie, jak bardzo uroczystym zobowiązaniom nie czynił zadość, jak dopuszczał się niesłowności, z którymi zwykła uczciwość i pojęcie o honorze żadną miarą pogodzić się nie dadzą.

Za młodych lat hojny po pańsku, ofiarowanemi sobie starostwami obdarzający sługi, z czasem stał się bardzo zabiegliwym, bardzo żądnym chlebow publicznych. Straty starostwa barskiego przeboleć nie mógł. Na dobitkę zawarowana w konstytucjach sejmowych „rekompensa“ długo i daremnie czekać na siebie kazała. Nareszcie umarł Wyhowski, starostwo barskie zawakowało. Uderzył o nie Bogusław, ale nie otrzymał „dla łakomstwa wojewody krakowskiego“. Działo się to na sejmie w końcu r. 1664. Przybywszy do Warszawy jako poseł z Mińska, spotkał się Bogusław znowu z bardzo żywą, ogólną niechęcią za swoje sprawki w Prusiech. Czyniono mu ponownie trudności w zasiadaniu w izbie poselskiej ¹⁾, a „przymówek nasłuchać się musiał“ tyle, że ten sejm nazwał „swoim czyściem“. W obec takiego usposobienia stanów sejmujących, niepodobna było królowi obdarzać znacznem starostwem człowieka, który świeżo tyle nowych krzywd wyrządził ojczyźnie. Przy końcu jednak sejmu, w styczniu 1665 roku, król chcąc się uiszczyć z danego przyrzeczenia, ofiarował Bogusławowi starostwo kamienieckie. Bogusław niełatwy do ugłaskania, odmówił przyjęcia ²⁾. To znowuż uraziło króla. Kiedy w tymże roku, po śmierci podkanclerzyny Leszczyńskiej zgłosił się Bogusław o nadanie mu starostwa międzyrzeckiego, znowuż król odmówił, „a mnie dano do wyrozumienia“ — zapisuje z goryczą koniuszy ³⁾ — „że więcej nie mam się czego spodziewać“.

Tymczasem wybuchł na dobre rokosz Lubomirskiego. Korzystając z zawichrzeń domowych w Polsce, kurfirst brandeburski nosił się z planami, które mocno alarmowały koniuszego. „Obawiam się bardzo“ — pisze w kwietniu 1665 r. —

¹⁾ Żywot Bog. Radziwiłła wyd. Raczyńskiego str. 51.

²⁾ Tamże.

³⁾ Tamże.

„aby się przyjaźń między dworem a nim nie spadała. Srodze się o to frasuję“. „Dopieroż bylibyśmy nieszczęśliwymi bardzo ludźmi“. „Obrócimy się w mizernę robaczki“ — pisze w innym liście. Przypomnieć należy, że od jakiegoś czasu jak u dworu tak u kurfirsta był Bogusław „nie nader w dobrych terminach“. Za co u dworu, rzecz jasna i znana. A co do kurfirsta, może go istotnie „zwadziło“ trochę zamierzone małżeństwo, może wreszcie wpłynęły skargi Prusaków, dopraszających się usunięcia go z gubernatorstwa. Po upokorzeniu stanów pruskich był Bogusław dla kurfirsta narzędziem zbytecznem, które może było wygodniej zastąpić rodowitym Niemcem. Znalazł się przeto koniuszy w bardzo trudnem położeniu. Z kurfirstem „różnie go wadzili“; od dworu polskiego spotykały go — jak powiada — „coraz to nowe niesmaki“; a tu i z jedną i z drugą stroną trzeba było koniecznie dobre utrzymać stosunki. Jak sobie z kurfirstem poradził, nie wiemy, ale to pewne, że do końca życia „wielce szanowny wuj“ pozostał dla niego jednakowo życzliwym chlebodawcą i opiekunem. A względem dworu polskiego, zaniechawszy rankorów, postępować zaczął z największą ostrożnością.

W czasie rokoszu nie stanął wprawdzie po stronie króla, sprzyjał więcej Lubomirskiemu, ale umiał tak się zachować, że uczynić mu nie zdołano zarzutu. Gubernatorstwo pruskie dopomagało do zachowania neutralności, a ostrożność dokonała reszty. Pan marszałek zabierając się do rokoszu, zwykłym w Polsce obyczajem rozpiął się do wszystkich kolligatów i przyjaciół z szerokimi skargami na swoją krzywdę, z usilnem żądaniem poparcia. Pismo takie otrzymał także Bogusław ¹⁾, ale nie odpisał nawet marszałkowi, „bo nie wa-

¹⁾ List taki Marszałka do Bogusława, pisany w Dąbrowie 7 października 1664 r. znajduje się w bardzo nieudolnym odpisie w Mss. Zakładu Ossolińskich Nr 548 pag. 49. Piśze w nim między innemi: „jako do wszystkich sejmików, tak *particularim* tych, których za osobliwe mam przyjaciół, *opem imploro*, między którymi W. Ks. Mci *pro eo cultu* obserwancyej, który W. Ks. Mci od młodych lat moich oddawać zwykłem, jako sobie *principem* kładę i tak wielce proszę, abyś *cooperari* do tego na swoim raczył sejmiku, aby takiz, jaki mi i z inszych obiecano województw mógł

rowno". Nie pochodziło to wcale z braku sympatii. Owszem, dowiedziawszy się o zwycięstwie Lubomirskiego, nazywa je „cudem Pana Boga“, i opisuje z nietajoną radością. „Teraz król żadnej jazdy nie ma i nie wiem jak tę wojnę skończy“ — dodaje — „aleć bardziej się frasuję o moje Birże“. Przy końcu jednak upomnienie do narzeczonej: „o tem zniesieniu ludzi królewskich niechby księstwo nie głosiło, żeby potem nie rze- czono, że od nas złe nowiny wychodzą“.

Nareszcie z końcem r. 1665 zbliżał się upragniony „ko- niec szczęśliwości“. Już od oficyna był konsens „który tyle waży ile biskupi“, już wierny w usługach koniuszego pan Mo- rykoni odszukał „z ogary na Żmudzi“ biskupa „któremu dla lepszego w tej sprawie nam i potomstwu naszemu bezpieczeń- stwa trzeba się jeszcze opowiedzieć“, już wreszcie wybierał się Bogusław do Kiejdan i Birż, zkąd zamierzał „dobięgnąć“ do narzeczonej w Kurlandyi. Na kilka więc tygodni przed ślu- bem, do którego wszelkie zawady były uprzątnięte, odezwał się Bogusław po długiem milczeniu następnym listem do sta- rościny żmudzkiej ¹⁾:

„Oświecona księżno a moja miłościwa pani i siostro!

„Lubo w cudownie złej u W. X. M. zostawam opinii za udaniem tych, którzy się zawsze z niecnasek domowych cie- szyć zwykli, jednak ja zawsze stale trwam w mojej ku W. X. M. przychylności i braterskiej miłości, nie dając żadnej do niesmaków okazji, owszem starając się szczerze o niena- ruszenie onej. Na dowód tego, jakom we wszystkich sprawach i dom nasz i fortunę onego zachodzących, zwykł znaszać się z W. X. M., tak i teraz w tej mnie i książniczkę JMć pannę wojewodzanekę wileńską zachodzącej okurencyi nie chce mi się nic czynić bez dokładu W. X. Mci. Że tedy Pan najwyższy serca i umysły nasze prawdziwą skrępował miłością, ku czci bożej i pomnożeniu zborów jego, proszę W. X. M., abyś na to swoje chciała dać błogosławieństwo, zwłaszcza, że boskie

stanąć artykuł, *in quantum incumbent* nieprzyjaciele moi *in ruinam meam*, aby pp. posłowie *tueantur* mię i nie dopuścili mi *opprimi in innocentia*.“

¹⁾ Ze zbiorów Wandelina Hr. Puławskiego T. II. str. 211.

i ludzkie prawa nas dyspensują i tego złączenia nie bronią. Czekać będę na respons pomyślny od W. X. Mci, po którym zniosę się obszerniej w tej materji z W. X. Mcią, której wszelakich życząc pociech i szczęśliwości zostawam W. X. M. miłościwej mojej paniej bratem uprzejmie życzliwym i cale wolnym sługą.

Z Królewca 7 *Octobris* 1665 r.

B. Radziwiłł koniuszy W. X. Lit.“

Nie znamy niestety odpowiedzi pani starościny. Ile jednak z późniejszej wyrozumieć można korespondencji, nie wypadła ona zbyt serdecznie. W październiku wyjechał Bogusław do Kurlandyi, a w dzień św. Katarzyny odbył się ślub jego z Anną Maryą w Libawie ¹⁾. Ostatnia prośba narzeczonego była, aby księżniczka nie brała ofiarowanej sobie od księżny kurlandzkiej karlicy, „bo wszystkie Radziwiłłówny imi się

¹⁾ Że ślub się odbył w dzień ś. Katarzyny zapisuje sam Bogusław w Pamiętniku na str. 52 i biograf jego na str. 171. Tymczasem w listach u Kotłubaja str. 456 znajdują się dwa krótkie bilety Bogusława z 28 i 31 listopada, z Libawy, które wydają się jakby jeszcze przed ślubem pisane. Co to ma znaczyć, nie umiemy odgadnąć. Jeżeli bowiem w Pamiętniku podaje nieraz Bogusław fałszywą datę, bo pisał go później i mógł się pomylić, to niepodobna przypuścić, że zapomniał, którego dnia wziął ślub. Z drugiej strony trudno przypuścić, aby we dwa dni po ślubie, nie będąc do tego ważnym wypadkiem zmuszony, rozłączał się z żoną. Jest widoczne jakieś bałamuctwo. W pamiętniku zapisuje Bogusław, że 28 listopada powrócił z żoną do Memla; a w zbiorze listów tegoż dnia pisze do niej z Libawy, że wysyła naprzeciwno konie. Znowuż drugi list z Libawy 31 listopada pisany wskazuje, że tegoż dnia miała księżna przyjechać do Grobina, gdzie Bogusław, skoro o przyjeździe dowie się „jeszcze dzisiaj jednego tylko kawalera a najwięcej dwóch z sobą wzięwszy, czołem uderzy.“ Więc chyba nie była jeszcze tego dnia jego żoną, skoro potrzebował towarzystwa kawalera. Nawet z tytułu wyrozumieć różnicy nie można. Pierwszy zaczyna się: *Moje serce!*“, a drugi: *„Mon très cher coeur!“* W całej poprzedniej korespondencji ta ostatnia intytulacya już parę razy zastąpiła zwyczajną: *Oświecona księżno etc.*

brzydziły, bo to plugastwo nie umie tylko nowinki siać i stać wadzić, a do tego nie warowno się na nie zapatrować. Jakoż i teraz księżna JM. Czartoryska, która za p. wojewodą lubelskim, porodziła piękną córeczkę, ale także karlicę“.

XII.

Gorąco upragniony „koniec szczęśliwości“, jak to często ludzkie dają losy, więcej smutków przyniósł niżeli pociech. Młoda księżna bardzo często zapadała na zdrowiu. Rychło po ślubie, bo już w połowie grudnia 1665 roku, przed przyjazdem do Królewca „bardzo się źle miała w Tylży“. W kilka miesięcy później, w maju 1666 zapisuje Bogusław — „ukarał mnie Najwyższy poronieniem żony mojej“, a w dalszych parę miesięcy znowuż „zasmucił Bóg chorobą żony“.

Oprócz tych smutków domowych, oprócz „bardzo żałośnej nowiny o śmierci przyrodniego brata księcia saskiego“, chmurzył się także ogólny horyzont polityczny. Król Jan Kazimierz zapowiadał głośno abdykacyą, a nieuniknione z tego powodu przejścia słuszną przejmować mogły obawą. Zawikłania z Moskwą przyniosły już znaczny uszczerbek Koniuszemu. Z rozgraniczenia z nią stracił dwa duże hrabstwa, newelskie i siebieńskie „na 40 mil rozciągle, mające w sobie mocne zamki i fortece“. Dawne wreszcie kłopoty pieniężne nie umniejszały się wcale. Wierzyściele cisnęli, a w zrujnowanych majątkach trzeba było na nowo ład zaprowadzać.

Miedzy wierzycielami starościna żmudzka należała zawsze do głównych i natarczywszych. Postępowanie Bogusława rozjątrzyło ją mocno, co było w każdym razie rzeczą wielce niewygodną. Dobrych stosunków z rodziną potrzebował koniuszy coraz więcej, a ten wzgląd zapewne, obok szlachetniejszych pobudek tak jego jak żony spowodował, że się starano zle odrobić, niechęć starościny przejednać. Najlepsze o tem wyobrażenie daje następny list koniuszyny ¹⁾.

¹⁾ Ze zbiorów Wandelina hr. Pusłowskiego T. II. str. 163.

„Jaśnie oświecona księżno, moja miłościwa pani ciotko, z serca kochana dobrodziejko!

Przyznać się ja muszę do tego, że pono jako nieostrożnie pisząc w liście moim do W. X. Mci dałam okazyją do urazy i niełaski W. X. Mci dobrodziejce mej, czego teraz serdecznie żałuję i proszę, abyś się W. X. Mć na mię urażać nie chciała i jeślim w czem zgrzeszyła, odpuścić chciała dla miłości i pokrewienia tak blizkiego, a w dawnej mię łasce chowając, żadnej złej opinii o mnie nie była, bo Bóg świadkiem, że ja z dusze kocham W. X. Mć i kochać będę aż do śmierci moja jedyna dobrodziejko i matko, jeśli mi tak wolno tytułować W. X. Mć. W pretensjach W. X. Mci mówiłam z księciem JMć małżonkiem i dobrodziejem moim, który jako chce ukontentować W. X. Mci, rozumiem, że sam dostatecznie odpiszę do W. X. Mci. Ja uniżenie upraszam dobrodziejko moja, więcej przeze mnie nie szukaj tego, ale sama do niego pisuj i przez innych dopinaj swego. Obiecuję on W. X. M. jako najprędzej uspokoić, tylko prosi, żebyś W. X. Mć z nim łaskawie obejść chciała, a tak siła nie pretendowała, uważając, że i on, Bóg widzi, tak wiele oddać nie może, chyba żeby wszystkie majątności poprzedawał. Dałby to Bóg widzieć się nam z W. X. M., byłoby wszystko dobrze, ale jak to prędko będzie, Bóg wie. Zaczem moja jedyna dobrodziejko i w odległości miejsca bywaj na mię, niełaską W. X. Mci strapioną sługę, łaskawą, bo ja żyję i umieram W. X. Mci mej dobrodziejki uprzejmie życzliwą synowicą, córką i uniżoną sługą.

Anna Marya księżna Radziwiłłowa.

Jego Mć dobrodzieja za nogi obłapiam i w łaskę mię pilną rekomenduję. Oddawca listu mego da znać W. X. Mci i uczyni dostateczną o wszystkim relacją i o tem, co się tu dzieje, także i o zdrowiu i powodzeniu mojem.

6 *Julii* A. 1666“.

W kilka dni później pisał znowuż Bogusław list następny ¹⁾:

¹⁾ Tamże T. II, str. 167.

„Oświecona księżno a moja wielce miłościwa pani i siostró!

JMé pan marszałek wołkowyski uczynił mi bardzo nie-pocieszną i smutną o niesposobnem zdrowiu W. X. Mci relacyą i o tem, żeś się do mnie do Zabłudowia zapuściła, abyś mi pretensyą swoją do nieboszczyka księcia JMci likwidowała. Oboje to wielce mnie poalterowało, bo życząc W. X. Mci zdrowia najsposobniejszego, tego niewymownie żałuję, żeś się dla mnie utrudziła. Aleć to nie uciecze, co się odwlecze. Proszę, abyś o mojej stałej i nigdy nieodmiennej miłości braterskiej nie powątpiewała i tego pewną była, że jeśli się o to staram, abym inszym kredytorom satysfakcyą uczynił, tedyć musiałbym być arcyzapamiętałym, gdybym W. X. Mé jedyną siostrę swoją krzywdzić miał. A że się u mnie znajdują sprawy zapisowi księżnej nieboszczki cale przeciwne, o czem się nasłyszal JM. pan marszałek wołkowyski, gdy da Bóg będę w ruskich krajach, zniosę się sam z W. X. Mcią w tej materyi, albo też przez JMé księdza Andziewicza zaczęłą konferencyą kończyć obiecuję. Teraz zaś łasce W. X. Mci jako najpilniej się rekomendując, zostawam do grobowej deski W. X. Mci mojej wielce miłościwej paniej bratem i sługą cale i uniżenie powolnym

Z Królewca 10 *Julii* 1666.

B. Radziwiłł.

Jej Mé pannie starościance a mojej ślicznej dobrodziejce i siostrzenicy nizki mój przesyłam pokłon“.

Niema wątpliwości, że pani starościna miała dobre serce, że ją te listy rozbroiły. Zamiast procesów, któremi sobie dawniej grożono, wzięto się do przyjacielskich układów, a chociaż takowe jeszcze nieprędko do załagodzenia interesów doprowadziły, stosunki osobiste polepszyły się stanowczo, uciłły dawne rankory.

Niebawem spotkał Bogusława cios bardzo srogi. Dnia 27 lutego 1667 roku z niebezpieczeństwem życia matki urodziła mu się córka, aż nazbyt głośna w późniejszej historii Ludwika Karolina. Księżna jednak w „ciężką wpadła gorą-

czkę". W marcu odprawiono uroczyste chrzciny nowonarodzonej pomimo choroby matki, która wnet potem, 24 tegoż miesiąca zakończyła życie.

Strapiony małżonek, szukając folgi dla żalu w podróżach po kraju i „w publicznych zabawach“, wkrótce sam popadł w ciężką chorobę. Byłato jakaś „gorączka przyrzutliwa“, po której w kilka jeszcze miesięcy później skarży się: „lubom z łaski Bożej czerstwy, nie mogę jeszcze do sił przyjść“.

Nareszcie ukoił się smutek, wróciło zdrowie a z niem żywsze życzenia i zamysły światowe. Był Bogusław już w latach nie młodych, był w wieku, w którym Radziwiłłowie piastowali zwykle najznakomitsze godności krajowe. Wieczny tytuł koniuszego zaczynał ciążyć ambicyi, tak zwykłej w rodzinie, a której nie brakowało w synie ambitnego kasztelana Janusza, w bracie niemniej ambitnego hetmana Janusza, w synowcu dumnego i nienasyconego łask królewskich Krzysztofa. Trudne ona jednak miała zadanie wobec przeszłości koniuszego, wobec ogólnej przeciw niemu niechęci za postępowanie w Prusiech, wreszcie w obec kilkakrotnych oświadczeń dworu, że niczego spodziewać się nie powinien. Ale chociaż trudne, w Polsce ówczesnej nie było wcale niepodobne do uskutecznienia. Chodziło wreszcie o honor rodziny, o „interes domu“ — a to zdawało energią, to wiele niepodobnych rzeczy czyniło łatwemi, to pobijało bez wielkiego trudu interes publiczny, sprawę ogólną. Więc nie sam, ale w spółce „z domem“, z „familiją“ rozpoczął Bogusław starania.

Był wówczas tego domu radziwiłłowskiego niejako głową znany nam książę Michał Kazimierz kasztelan wileński, świeżo na wojewodę wileńskiego posunięty. Z Bogusławem łączyła go znowu dawna zażyłość. Książę Michał trzymał do chrztu córkę Bogusława, a w rok później oddał tenże takąsamą przysługę kasztelanowi. Jakiegokolwiek wreszcie mogły być między nimi różnice zdań i przekonań, „interes domu“ dziś na nich dwóch głównie polegający, łączył ich ściśmem porozumieniem.

W tej chwili złączył ich jeszcze silniej niebezpieczeństwem. Znany to, wiecznie powtarzający się ustęp w naszej historii, współzawodnictwo możnych rodzin, które rozmaitemi sposobami, bo nawet wojną domową wydzierały sobie przewagę na Litwie. Otóż podniosła się wysoko dość nowa i zdawna

niezbyt miła Radziwiłłom familia Paców. Jeszcze w r. 1657 pisał Bogusław z żalem do Gąsiewskiego ¹⁾: „wiem, że JMpan Pac na zdrowie, honor i fortunę moją następuje“, tłumacząc, iż to ztąd pochodzi, „żem się z nim nie lizał wtenczas, kiedy z nieboszczykiem księciem panem bratem koty darł“. Dawna ta niechęć ucichła była wprawdzie, a pan Pac kanclerz wielki litewski był nawet przez lat kilka gorliwym protektorem Bogusława. Ale zwyczajną wówczas rzeczy koleją przyjaźń ta nie była zbyt silną. Kiedy jeden Pac jako kanclerz dzierżył w rękach jeden najwyższy urząd krajowy, kiedy drugi, niedawny spółzawodnik Bogusława do ręki Anny, zamienił mniejszą buławę na większą i tym sposobem wniósł w dom drugą najwyższą godność, wydało się to Radziwiłłom wielką krzywdą i wielkiem dla ich domu niebezpieczeństwem. Kanclerstwo wziął Pac po Radziwille, a wielka buława, prawie dziedziczna w domu Radziwiłłów, nie tak dawno wypadła z rąk Janusza. Obawy Radziwiłłów nie były też całkiem bez słuszności, gdyż Pacowie usilnie teraz się starali, aby wpływem swym niedopuszczać Radziwiłłów do innych godności, aby korzystając z własnej fortuny, nie dać wynieść się na nowo familii, która groźnym była spółzawodnikiem. Po dawnemu zaczęła się przeto Litwa dzielić w dwa wrogie obozy: radziwiłłowski i pacowski, które przy każdej sposobności spotykały się po nieprzyjacielsku, czy to w domowych sprawach na Litwie, czy na dworze królewskim, a były gotowe spotkać się nawet w polu na oręże.

Obie partye wyteżyły usiłowania, aby jak najliczniejszych zjednać sobie stronników. Radziwiłłowie mieli zdawna liczną klientelę, przyjaciół, stronników, jurgeltników, wreszcie sług. Pacowie chociaż nowsza i dużo mniej znakomita familia, dzierżąc władzę, wpływ przez nią mieli niemały; szlachta lgnęła do nich jak do słońc, które na najwyższych świecą godnościach, łatwo ogrzać mogły drugich. W ten sposób zrównoważyły się rychło siły obu stronnictw, skutkiem czego każdy dygnitarz stawał się bardzo ważnym nabytkiem, jako pożądanym przyjacielem, a mógł być niebezpiecznym, skłaniając się na stronę przeciwną.

¹⁾ Ob. Dodatek Nr. IV.

Jednym z takich dygnitarzy, o którego pozyskanie obie ubiegały się strony, był starosta żmudzki Hlebowicz. Jużci należał on do familii, a nawet bardzo blizkiej Radziwiłłom; stosunki ich ze starościną były teraz nawet wcale serdeczne. Pan starosta jednak zostawał z Pacami z dawna w przyjacielskich stosunkach i dość chłodno zachowywał się względem Radziwiłłów. Zaczął więc Bogusław na nowo wszelkimi sposobami głaskać starościnę, przez którą trafić można było do starosty. Przedewszystkiem szły listy z zapewnieniem, że „pretensye W. X. Mci u mnie są w pamięci“. A że właśnie wydawali Hlebowicze drugą córkę za Kazimierza Sapiehę, wówczas podskarbiego nadwornego lit., donosi pospiesznie: „żem wyjednał prezent u kurfirsta JMci na wesele JMci pana Sapiehy sześćset talarów, które rozumiem lepiej się W. X. Mci zgodzą same niż jejmość paniej podskarbinej nadwornej, która męża ma we wszystko bogatego“. Była to tasama „śliczna starościanka“, której przed rokiem nizki posyłał ukłon. Teraz znowuż „JMci panu starości a mnie wielce miłościwemu panu i bratu nizko biję czołem“, co tembardziej na uwagę zasługuje, że w poprzednich listach żadnej o nim nie bywało wzmianki. Oprócz ukłonu jakaś „asygnacya miejskiej akcyzy królewieckiej“ z prośbą „aby tę usługę wdzięcznie przyjąwszy, wiodła JM. M. M. pana starostę do tego, aby innym sprawom moim chciał być protektorem ¹⁾“.

Sprawa ta wykuła się niebawem. Rozeszła się wieść o śmierci marszałka wielkiego litewskiego Krzysztofa Zawiszy. Obaj Radziwiłłowie, książę wojewoda wileński i koniuszy, rozpoczęli gorliwe starania, aby tę godność uzyskać dla Bogusława. Między innymi udali się także o poparcie do Jędrzeja Chryzostoma Załuskiego, późniejszego biskupa i kanclerza, głośnego czasów swoich pisarza. Z listu jego do spowiednika królewskiego widać, że Radziwiłłowie zbyt trudne podjęli zadanie. Król najmniejszej nie miał chęci uczynić im zadość, a sam Załuski, chociaż osobisty przyjaciel Bogusława, wielce się obawiał poruczenia mu tego urzędu, z powodu, że jako kalwin mógłby na tak wpływowem stanowisku szkodzić bardzo sprawie katolickiej. „Marszałek jest pierwszym dworu mi-

¹⁾ Ob. Dogatek Nr XXXVII.

nistrem“ — pisał ¹⁾ — „a ponieważ Sobieski marszałek koronny, zajęty sprawami wojennemi, zdała się zawsze znajduje, byłaby przy tym Litwinie najwyższa godność i władza“. Zamiast więc poprzeć żądanie Radziwiłłów, doradzał usilnie, aby marszałkowstwo dać albo kanclerzowi Pacowi albo wojewodzie księciu Michałowi Radziwiłłowi, a Bogusława ukontentować jakim województwem lub kasztelanią, gdyż wojewoda zawsze ma „mniejszą moc i możność szkodenia, jak marszałek“.

Jeżeli przyjaciel tak się wyrażał, można sobie wyobrazić, co mówili nieprzyjaciele, jak Pacowie lub inni współzawodnicy. Tymczasem pokazało się, że Zawisza nie umarł i marszałkostwo nie wakuje. Projekt upadł niepowrotnie, ale skoro się ten nie udał, chwycono się innych. Okoliczności nagliły. Abdykacja królewska była już nieodwołalnie postanowioną; wobec niepewności, kto po nim na tronie zasiędzie, należało korzystać i na ustępującym monarsze wytargować, co się dało. Dobre z dawna stosunki księcia Michała z dworem, osobista jego więź u Jana Kazimierza, pozwalały pomyślnego spodziewać się skutku. Jakoż przypuszczono szturm usilny. Jeszcze przed sejmem r. 1668 wyjednał sobie książę Michał podkanclerstwo litewskie, ustępując województwa wileńskiego Hlebowiczowi, po którym żmudzkie starostwo miał otrzymać Bogusław ²⁾. Według zwyczaju uroczyste konferowanie tych godności, mianowicie pieczęci, powinno było nastąpić dopiero na sejmie. Ale że Radziwiłłom było spieszo, że było rzeczą niebezpieczną narażać się na intrygi w czasie sejmu, dokonano bezzwłocznie zamiany urzędów „ze srogim podziwem wszystkich“. Książę Michał „przyjął pieczęć mniejszą i przysiągł zaraz i już zasiadł miejsce podkanclerzego, co się stało przy ośmiu senatorach“; województwo wileńskie zdał równocześnie Hlebowiczowi ³⁾. Nadzwyczaj nie w smak to było Pacom, których król zrażać sobie nie mógł stanowczo. Zażądali oni przynajmniej starostwa żmudzkiego dla swego stronnika, pisarza litewskiego Połubińskiego. Król przeto wstrzymał się z rozdaniem starostwa, a Bogusław znowu osiadł na koszu.

¹⁾ Załuski, *Epistolae historico-familiares* T. I, pag. 36.

²⁾ Chrapowicki, *Dyaryusz*, Część I, str. 46.

³⁾ Tamże str. 47.

O to starostwo i o wakującą polną buławę litewską rozpoczęły się najgorętsze zabiegi. Pacowie pragnęli obojga dla Połubińskiego, Radziwiłłowie dla siebie. Król Jan Kazimierz przed samym aktem abdykacyjnym dał polną buławę księciu Michałowi a starostwo żmudzkie Połubińskiemu. To jeszcze więcej obie strony rozdrażniło przeciwko sobie. Ponieważ nie było nadziei, aby kanclerz Pac zechciał przyłożyć pieczęć do przywileju na hetmaństwo; więc podkanclerzy Radziwiłł sam sobie konfirmował przywilej ¹⁾. Mimo to nie łatwo Radziwiłłowie przeboleć mogli starostwa.

Pierwsze swary publiczne zaczęły się na sejmie abdykacyjnym we wrześniu 1668 roku. Usiłowano załagodzić je w ten sposób, aby senatorowie przyjęli rolę sądu rozjemczego. W tym celu przed arcybiskupem gnieźnieńskim i biskupem krakowskim — jak donosi Chreptowicz ²⁾ — obie strony „krzywdy swoje przełożyły“. Nie doszło jednak do żadnej ugody.

Krótkiego czasu między sejmem abdykacyjnym a konwokacyjnym użyli Pacowie na silniejsze przyciągnięcie ku sobie Hlebowicza. Nowy wojewoda wileński odprawiał w październiku wjazd na województwo; otóż przy tej uroczystości a pod nieobecność Radziwiłłów, hetman litewski Pac był nieodstępnym towarzyszem wojewody, brał udział we wszystkich przyjęciach i uroczystościach, świadcząc tem wymownie o afektach przyjacielskich ³⁾.

¹⁾ Kochowski, Klimakter IV, ztr. 15, dodaje, że król „aby nie obrazić zalotników do tego urzędu, nakazał zachować tajemnicę i zrobił w tym razie wyjątek, bo nominacya była tylko opatrzona małą pieczęcią litewską, która się znajdowała w ręku Radziwiłła.“ Zgadza się z tem doniesienie w *Gazette de France* z r. 1669 pag. 717 iż kanclerz litewski Pac miał oświadczyć o przywileju Radziwiłła na buławę „*qu'il n'en avait eu aucune connaissance.*“ Lecz i to zapewne był tylko wybieg, skoro Radziwiłł już 20 listopada 1668 oświadczał publicznie, że mu król nadał buławę (Chrapowicki 76). Kanclerz wiedział o nadaniu, tylko niezawodnie odmówił przyłożenia pieczęci, jak to polscy i i litewscy kanclerze nieraz czynili.

²⁾ Tamże str. 60.

³⁾ Tamże str. 70.

W listopadzie na sejmie konwokacyjnym walka między obiema partjami zarysowała się wyraźniej. W samych początkach sejmu, jeszcze przed przybyciem Bogusława, chciano go rugować z izby razem z drugim posłem bialskim; po przyjeździe koniuszego i zjawieniu się w izbie „nastąpiono, że nie może być dopuszczony do głosowania jako minister postronnej prowincyi“. Bogusław zasłonił się konstytucją z 1659 r.¹⁾. Pozwalała ona właściwie tylko na dwuletnią surrogację brańską z powodu gubernatorstwa pruskiego i nie orzekała wcale, że takowe godzi się z urzędowaniem w kraju. Ale wówczas tak ściśle rzeczy tych nie brano. Bogusław pozostał w izbie. Sejm z jednej w drugą przechodząc ostateczność, wyznaczył go między osobami, „z którymi JM Xiądz Arcybiskup gnieźnieński jako poselstwa cudzoziemskie tak i insze wszystkie zachodzące Rzeczypospolitej potrzeby komunikować, odprawować i spólną radą zabiegać będzie²⁾“.

Na tym punkcie zwyciężyli Radziwiłłowie. Za to przy końcu konwokacyi, gdy przyszło do traktowania punktu o dysydyntach, rozpoczęły się gorące spory. Bogusław stawał jako głowa innowierców i spotkał tak stanowczą opozycją, że „wyszedł zagniewany“. Na to, bojąc się fatalnych następstw gniewu ksiązęcego, nawet „niektórzy biskupi poczęli byli słabiec“; dopiero ksiądz biskup warmiński z oboma Pacami wystąpiwszy silnie, zdeklarowali sprawę³⁾. Na tem skończyła się konwokacya, rozżarzona niechęć między partjami litewskimi dochodziła ostatecznych granic. Zaraz po konwokacyi wprowadzie „chciano pojednać księcia podkanclerzego z hetmanem W. lit.“, mianowicie w ten sposób, aby hetman „pozwolił“ Radziwiłłowi na buławę polną, „ale nie przyszło do tego i nie podpisali się na konfederacyi⁴⁾“. Na niedaleki sejm elekcyjny zaczęto się gotować zupełnie jak na wojnę.

Naznaczony on był na początek maja 1669 roku. Otóż w tych czasach, kiedy szło o sprawę największej wagi, o wybór przyszłego króla, o los całego narodu, kiedy nieunikniony

¹⁾ Tamże str. 73 i 76.

²⁾ *Volumina Legum* IV, 1038.

³⁾ Chrapowicki str. 79 i 80.

⁴⁾ Tamże str. 83.

zawsze sam z siebie zamęt elekcyjny i tak już wszystkiemu zagrażał, naszym przemożnym rodzinom więcej niż o tego przyszęłego króla, więcej niż o los i przyszłość całego narodu, szło o rankor osobisty, o dogodzenie chwilowej fantazyi, o postawienie na swoim. Bez przesady powiedzieć można, że hasłem tych czasów predelekcyjnych na Litwie była polna buława księcia podkanclerzego. Jeżeli myślał kto na prawdę o kandydatach do tronu, to Koroniarze; Litwini o tem myśleli i o to się starali, aby albo podkanclerzemu wydrzeć buławę, albo mu ją zapewnić. Co do króla donosili sobie z dziwną obojętnością ¹⁾, że „teraz dwaj kandydaci tylko są w konsyderacyi, jeden Moskal, o którym powiadają, bo się o to ani na się, ani na syna swego nie stara; a drugi Neuburczyk, któremu wszystkie duchowieństwo i najznacniejsi senatorowie, w Koronie królestwa życzą, temuż sprzyja i kurfirst, ale jeśli dla tego królem będzie, kto to może zgadnąć“. To była myśl polityczna Radziwiłłów. Była ona fałszem i słusznie reszta magnatów, jak wojewoda Hlebowicz, słuchali jej z „dyffidencją“, słusznie podejrzewali, że za tą bezmyślnością polityczną kryje się rogata ambicya osobista, która nie śmiąc wystąpić jawnie, za pomocą tajemnych intryg zdąża do celu.

Tymczasem zjednywano sobie gorliwie stronników, uderzano na wszystkie strony o przyjaciół. Już w lutym 1669 r. mieli Radziwiłłowie zapewnienie, że ich ani hetman wielki koronny Sobieski, szwagier księcia Michała, ani Potoccy, Lubomirscy „i pieczętarze koronni nie odstąpią“. Szło jeszcze o to, aby na Litwie równie silną utworzyć partya. Trzeba było koniecznie zjednać sobie zawsze jeszcze niepewnego Wojewodę wileńskiego. „Proszę W. X. Mci“ — pisze przeto znowu Bogusław do „wielce miłościwej siostry ²⁾“ — „chciej JMpanu wojewodzie tę diffidencją z głowy wybić i animować go, żeby z nami trzymał Radziwiłłami“. „O to najbardziej W. X. M. upraszam“ — powtarza w tym samym liście — „żebyś animowała i JMpana wojewodę i JM. PP. zięciów swoich, żeby nas Radziwiłłów nie odstępowali; wszak i to starożytne domy, z domem naszym dawno zligowane, inaczej jednego po drugim

¹⁾ Ob. Dodatek Nr. XXXVIII.

²⁾ Ob. Dodatek Nr. XXXVIII.

zdepcą nowe familie“. Było tych zięciów dwóch. Jednym był tensam Sapieha, na którego wesele wyjednał Bogusław od kurfirsta prezent sześciuset talarów, wówczas dopiero podskarbi nadworny, później wojewoda wileński i hetman wielki litewski; drugim był Maryan Ogiński krajczy litewski, wkrótce wojewoda trocki, wreszcie kanclerz litewski. Przez krajczego miał Bogusław nadzieję trafić do Połubińskiego, gdyż „bardzo mnie to korci“ — pisze — „że buława polna nas z panem Połubińskim poróżniła, aleć Bóg wie, że niema się pan Połubiński o co gniewać“. W każdym razie trzeba go „zmiękczyć“, aby „twardo przeciwko nam nie stawał“. Niech tylko się znieśie czy wprost, czy przez krajczego, „a co wiedzieć, czy nie byłby JM. z usługi mej kontent“. Taksamo trzeba, żeby krajczy starał się dobrze „dysponować“ pana pisarza polnego, a i on i pani wojewodzina niech dołożą wszelkiego starania, „jakoby dom nasz jako najwięcej miał przyjaciół, których my wzajemnie nie odstawimy“. „Przecie mogę się tem pochwalić, że interes domu mego i krewnych mych traktuję, jako się dobremu godzi“. Więc i swoim i obcym gotów służyć wzajemnością, „tylko o tem niech nikt nie myśli, żeby buławy polnej brat mój komu ustąpić miał, bo to nie może być żadną miarą“; „bo nam nikt“ — powtarza z naciskiem — „buławy nie wydrze, chyba wprzód trupem nas położywszy“.

Starania te nie jednakowym odwzięczyły się skutkiem. Pan podskarbi Sapieha z familią dał się zjednać i w czasie elekcyi stał po stronie Radziwiłłów. Zato pan Połubiński „zmiękczyć się“ nie dał, i niemało przyczynił im kłopotu, a pan wojewoda wileński umarł przed samem otwarciem sejmu.

Był to sejm jeden z najhałaśliwszych, najswarliwszych i najjaskrawszą upamiętniony niekonsekwencyą. Do tych trzech cech charakterystycznych przyczynili się nie mało nasi Radziwiłłowie.

W przeddzień otwarcia sejmu, 1 maja, odprawili wjazd swój do Warszawy najpierw książę podkanclerzy Radziwiłł, po nim obaj Pacowie, hetman i kanclerz, z panem Połubińskim. Już ten wjazd wskazywał, że zanosi się na sejm niepospolicie gwarny. Wjazd księcia podkanclerzego odbył się w następnym porządku. Szło najpierw pięć kompanij hajduków po sto lu-

dzi, dalej kompania infanteryi z 60 ludzi, dwie kompanie dragonów, jedna kawalerii niemieckiej, jedna husarzów i sześćdziesięciu szlachty uzbrojonych „po turecku“ w lance. Za nimi postępował książę na czele dwustu znakomitszych Litwinów i mnóstwa drobniejszej szlachty z orszakami służbowemi. Zamykały pochód dwie kompanie kawalerii po 100 ludzi i kompania hajduków. Razem przeto liczył orszak przeszło dwa tysiące ludzi ¹⁾. Co się tyczy Paców, twierdzi tożsamo źródło, że orszak ich był jeszcze liczniejszy i wspanialszy ²⁾.

Po upływie pierwszych trzech tygodni sejmowania, kiedy umysły coraz więcej zaczęły się zapalać a wzajemne niechęci roznamiętniać, odprawił wjazd książę koniuszy dnia 23 maja. Uznano to za tak ważny wypadek, iż dla spotkania wjeżdżającego, przerwano sesyą ³⁾. Wjechał Bogusław na czele przeszło dwóch tysięcy ludzi, a zapewne dzięki orszakowi księcia podkanclerzego, wyszło przeciw niemu więcej niż drugie tyle ⁴⁾. Na polu elekcyjnem mieli przeto Radziwiłłowie kompletną armię na swoje usługi. Wreszcie w trzy dni później przybyli Sapiehowie także z licznym orszakiem i zaraz połączyli się z Radziwiłłami ⁵⁾.

Dodać należy, iż książę Koniuszy przybywał nietylko jako poseł, ale zarazem jako urzędujący w czasie bezkrólewia funkcyonaryusz. Na mocy konstytucyi zeszłorocznej wysłano go imieniem Rzpltej posłem do elektora brandenburskiego, który

¹⁾ Opis tak podaje *Gazette de France* z r. 1669 str. 646. Zasługuje on tembardziej na wiarę, ile że wszystkie z tego czasu zamieszczone w Gazecie korespondencye sprawdzają w najdrobniejszych szczegółach inne źródła, mianowicie polskie, a przedewszystkiem Dyaryusz naocznego świadka i współaktora Chrapowickiego.

²⁾ Tamże. Chrapowicki str. 105 dodaje, że wjazd Paców, których on był wyraźnym stronnikiem, odbył się „wcale liczno i gromadno *ad invidiam* koronnych.“

³⁾ Chrapowicki str. 114.

⁴⁾ Kochowski, Klimakter IV, str. 16; *Theatrum europeum* r. 1669 str. 40 i 41. *Gazette de France* podaje liczbę orszaku Bogusława na 4000 ludzi, widocznie przez pomyłkę, gdyż piszący orszak powitalny podkanclerzego wliczył do orszaku Bogusława.

⁵⁾ *Gazette de France* str. 657.

korzystając z bezkrólewia, zajął bezprawnie starostwo drahimskie i przywłaszczył sobie tytuł pana ziem lemburskiej i bytomskiej. Trudno było o wybór niestosowniejszy, aby w sprawach kraju, z upomnieniem się o jego prawa, wysyłać do elektora jego własnego sługę. Oczywiście nie Bogusław nie wskórał, chociaż z uroczystą pompą odprawił swoją legację i niemniej uroczyście zdawał z niej relacją na sejmie ¹⁾.

Po utarczkach podjazdowych przyszło niebawem do sporów gwałtowniejszych. Obok rozmaitych intryg elekcyjnych obie partye litewskie dobrze o swoich pamiętały sprawach, obie usiłowały szkodzić sobie wzajemnie. Ze strony Paców występował najgoręcej właśnie Połubiński, „nominat na starostwo żmudzkie,“ jawny teraz współzawodnik podkanclerzego do buławy polnej. Figury główne zastawiały się ile możności przyjaciółmi i „adherentami.“ Raz za poduszczeniem księcia podkanclerzego „jakiś szlachcic z ekonomii brzeskiej podał suplikę przez marszałka, że cierpi opresyą od pana Połubińskiego,“ co oczywiście nie mały wywołało huczek ²⁾. W kilka dni później inny adherent, pan Piasoczyński „zaczął niedyskretnie mówić na pana hetmana w. lit.“ z powodu, że księciu podkanclerzemu nie pozwolił na buławę. Ujęli się stronnicy hetmańscy, zarzucając Piasoczyńskiemu „że był *rebellis*,“ „z kąd srogi powstał hałas, że niekończąc dalej sesji porwali się i rozjechali ³⁾.“ Odwdzięczali się też Pacowie przy każdej sposobności. Nie bez ich wiedzy zapewne szerzyć się zaczęła pogłoska, że Radziwiłłowie z wielkiej gorliwości dla księcia neuburskiego do nielegalnych zrywają się kroków. Oskarżono mianowicie Bogusława, że wezwał Kozaków i Tatarów, aby wpadli do Rzeczypospolitej i zmusili ją do wyboru księcia neuburskiego ⁴⁾.

¹⁾ Żywot Bogusława wyd. Działyńskiego str. 187. O relacji Bogusława na sejmie zapisuje Chrapowicki krótko na str. 136, iż „czytnił relacją legacji swojej;“ nieco obszerniej *Gazette de France* str. 727 iż względem pretensyj Rzpltej dał elektor pełnomocnictwo swoim posłom do traktowania.

²⁾ Chrapowicki str. 118.

³⁾ Tamże 121.

⁴⁾ *Gazette de France* str. 678 i 722. Chrapowicki str. 116 donosi, że samemu księciu neuburskiemu zarzucano, iż chce sprowadzić Tatarów i Kozaków, aby za ich pomocą osiągnąć koronę polską.

Nareszcie przed samą elekcyą przyszło niejako do walnej rozprawy. Wniesiono propozycyą, aby król urzędy kanclerskie i hetmańskie nieinaczej jak tylko za zgodą sejmu mógł nadawać. Było to wymierzone przeciw podkanclerzemu, który dotąd urzędownie hetmaństwa nie objął. Otóż żądali Radziwiłłowie, aby zastrzedz prawa terażniejszych posesorów. Na to wniesli Pacowie propozycyą o takzwanach inkompatibiliach, że oba takie urzędy jednocześnie przez jedną i tęsamą osobę nie mogą być piastowane ¹⁾. Tym sposobem wystąpiły do walki już wprost główne obu partyj figury. A że siły z obu stron dość były równe, skończyło się naturalnie na samych hałasach, bez jakiegokolwiek uchwały.

Poza temi jawnemi swarami kryła się intryga w daleko ważniejszym przedmiocie. Radziwiłłowie byli pozornie za księciem neuburskim, którego popierał także ich protektor, kurfirst brandenburski. Ale demonstracyjne „rewerencye,“ z jakimi przy przyjęciu jego posła wystąpili ²⁾, nie były całkiem szczere. Kiedy wykluczono Kondeusza, kiedy szanse dwóch innych kandydatów, książąt neuburskiego i lotaryńskiego coraz więcej chwiać się zaczęły, kiedy znikająca nadzieja, aby którykolwiek z nich jednomyślnością pozyskać zdołał, w licznych szeregach przyjaciół radziwiłłowskich podniesiono może najpierw myśl wyboru „Piasta“ i kandydaturę księcia Bogusława Radziwiłła. Dziś rzecz taka wydaje się całkiem do prawdy niepodobną; ale jak się pomyśli kto został wybrany, jak się przypomni ta dziwna nieloiczność obrad elekcyjnych, ta rażąca bezmyślność polityczna tłumu szlacheckiego, do którego rozsądek rzadko kiedy przemówił, ale warcholstwo zawsze porwać go za sobą mogło, to istotnie nawet dziwić się temu bardzo nie można.

Dnia 19 czerwca, po rozbiciu się kandydatur książąt neuburskiego i lotaryńskiego zaczęto powszechnie podnosić myśl kandydatury Piasta. W celu „namówienia się“ o kandydacie, rozdzieliły się województwa koronne i litewskie. Wówczas znaczna część Litwinów proponowała Koniuszego i zaczęła na niego głosować. Że była rzecz przygotowana, dowodzi oko-

¹⁾ Zawadzki, *Historia arcana* pag. 57; *Gazette de France* pag. 680.

²⁾ Chrapowicki str 125.

liczność, iż zarazem postanowiono obmyślany warunek, aby księciu pozostawić rok czasu do przejścia na religią katolicką. Istotnie, do wstydu elekcyi i czasów społecznych tego tylko brakowało, aby Bogusław zasiadł na polskim tronie. Tymczasem Koroniarze okrzyknęli królem Michała Wiśniowieckiego. Przysłano do Litwy „prosząc, aby się na to zgodzili.“ Na poparcie tej „prośby“ nadbiegła wiadomość, że jednego oponenta już zastrzelono, a drugiego rozsiekano. Przezorna Litwa, której część tylko zgadzała się na Radziwiłła, po krótkim namysle zaniechała swoich zamiarów i wzniosła „srogi okrzyk: wiwat Piast Wiśniowiecki 1).“

Na tem jednak nie koniec. Sprawa polnej buławy litewskiej odezwała się jeszcze namiętniej. Dalszy ciąg sejmu elekcyjnego został tą niezgodą familij litewskich tak dalece zawihrzony, że uznano przedewszystkim za konieczne starać się o jej uspokojenie. W kole generalnem 28 czerwca, kiedy przy rozpoczęciu każdej materyi ciągle się „przymawiano“ i żadna uchwała do skutku dojść nie mogła, „arcybiskup w mowie uczynił apostrofę do Rzeczypospolitej, żeby się włożył publiczną powagą i pojednać Paców z książętą Radziwiłłami 2).“ Zaczęło się więc jednanie, biskupi i senatorowie „umawiali się“ gorliwie, lecz nadaremnie. Pierwszego lipca po gorących swarach w kole książęta „kazali swoim następować na pp. Paców 3).“ Marszałek musiał użyć całej powagi, aby nie dopuścić do ostateczności.

1) O kandydaturze Bogusława donoszą wyraźnie dwa źródła społeczne. *Theatrum europeum* z r. 1669 pag. 43 twierdzi, że „achtzehn Woywodschaften“ głosowały na niego, co słusznie Helcel uważa za niedokładne podanie. *Gazette de France* r. 1669 pag. 725 powiada słuszniej: „cependant quelques Waywodies proposèrent aussi le prince Bogeslaus Razévil. Oba te źródła zgodnie przytaczają warunek jednorocznego czasu do przejścia na katolicyzm. Chrapowicki str. 130 nie wymienia między kandydatami, o których były „namowy,“ Bogusława, ale dziwić się temu nie można, gdyż widocznie był stronnikiem Paców i o Radziwiłłach zwykle z przekąsem się wyraża.

2) Chrapowicki str. 136.

3) Tamże str. 137. *Gazette de France* str. 727 twierdzi przeciwnie, że hetman Pac „fit metre ses gardes en bataille“.

Wieczorem chwycił się Bogusław innego sposobu rozwiązania sprawy. Kiedy nie udało się stoczyć formalnej bitwy, więc po rycersku rozprawić się pojedyńkiem. Z jednej i drugiej strony było po dwóch głównych adwersarzy; przeto Bogusław Radziwiłł wyzwał na rękę jednego Paca, kanclerza w. litew., a drugi Radziwiłł, Michał podkanclerzy litewski, drugiego Paca, wielkiego hetmana i kasztelana wileńskiego. Piśmne wyzwanie opiewało następnie ¹⁾.

„Mości Panie Kanclerzu W. X. Lit.

Ponieważ interpozycya J. K. M. i Rzeczypospolitej żadnej u W. M. nie miała wagi, żeście nas poniechać nie chcieli i ujętego niesłusznie przywrócić ²⁾ honoru, nad zdrowie nasze milszego, chcemy go mścić się ³⁾ bronią, jako nam tego i sam statut i urażony pozwala honor. Wyzywamy tedy W. M. tą kartą, abyście z J. M. panem wileńskim, jakoście obaj na nas niesłusznie ⁴⁾ nastąpili, tak abyś W. M. sam ze mną, a J. M. pan wileński z książęciem JM. panem podkanclerzym, na jednymże miejscu i polu, między Grzybowem i Czerniakowem na koniu, na brzoń przy boku będącą i na pistolety, nam się jutro o godzinie czwartej z rana stawili; nie większej liczbie, tylko każdy z WMów samopiąt, gdyż i my każdy z nas samopiąt, to jest każdy z nas ze czterma przyjaciół WM. czekać będziemy, pod obowiązkiem kawalerskiego parolu, oraz pod sekretem i tej kawalerskiej cnoty, jeśliby kto przed kim wyjawił, utratą; dla którego tylko na świadectwo biorąc liczbę pomienionych kawalerów z sobą, po uczynionej nam satysfakcyi, gdy zechcecie zostawać, będziemy.

WM. życzliwą bracią

Bogusław Radziwiłł, koniuszy W. X. Lit.

W Warszawie z gospody 1 *Julii* 1669.“

¹⁾ Kotłubaj, Galerya nieświeżska str. 222. O wyzwaniu na rękę donosi również *Gazette de France* pag. 727 i Kuchowski, Klimakter IV, str. 40.

²⁾ *restituere*.

³⁾ *vindicare*.

⁴⁾ *injuriōse*.

Zastrzeżony sekret nie uchował się długo. Wieść gruchnęła bezzwłocznie po całej Warszawie. Nowo obrany król żadną miarą niechciał dopuścić do takiej ostateczności. Gorliwie zaczęto na nowo jednanie, a nazajutrz rano, 2 lipca, zawezwani zostali przeciwnicy przed oblicze królewskie, gdzie wreszcie stanęła zgoda. Buława polna razem z pieczęcią podkanclerską została przy księciu Michale; starostwo żmudzkie otrzymał stanowczo Połubiński z warunkiem, że skoro zawakuje wielkie marszałkowstwo litewskie, będzie mu nadane, on zaś ustąpi starostwa żmudzkiego Bogusławowi. Poczem już wszyscy „obłapili się przy królu, nic nie wymawiając sobie ¹⁾.”

Tak się skończyło „srogie zajście“ dwóch rodzin litewskich. Najlepiej wyszedł książę Michał, który zatrzymał obie godności i łaskę królewską, słowem wszystko, czego mógł zapragnąć. Równie dobrze wyszedł Połubiński, bo i starostwo żmudzkie, niepoślednia godność senatorska, nie było do pogardzenia, i laska marszałkowska nie długo nasiebie czekać kazała. W satysfakcyi Połubińskiego, swego gorliwego stronnika, znaleźli Pacowie zupełne zadośćuczynienie własnej ambicji. Jeden tylko Bogusław oprócz pociechy, że familii nie wydarto buławy, jak na to zasłużył, wyszedł z kwitkiem.

Wakancyi starostwa żmudzkiego nie doczekał wcale. Wkrótce po sejmie znowu ciężko zaniemógł. Choroba przeszła wprawdzie, ale Bogusław, jak opowiada biograf, „przeczuwał bliski koniec życia swego.“ Porządkował przeto interesa, poprawił testament, w którym jedynej córce swojej naznaczył jedenastu opiekunów, między którymi był oczywiście także bliski krewny, długoletni przyjaciel, książę Michał. Ale „pierwszego opiekuna i niby ojca córce zostawił elektora brandenburskiego, czem oczywiście wszyscy inni, mianowicie polscy opiekunowie pozbawieni zostali wszelkiej rzeczywistej władzy. W końcu grudnia wracając z Warmii, nocował Bogusław w miasteczku Święta-Siekierka. „Tam“ — opowiadają zgodnie spółczesne źródła ²⁾,—

¹⁾ Chrapowicki str. 139. Zawadzki *Historia arcana* p. 59.

²⁾ Żywot Bogusława wyd. Działyńskiego str. 201 — 206.

„owej nocy przez sen widział księżę, że niewiasta jakaś mu nóż w piersiach tak głęboko wraziła, że mu się zdało, iż sam na swoje oczy widział otwartą w piersiach ranę i z niej krew pluszczącą się. Tym snem zatrwożony, gdy nazajutrz konfidentom swoim ten sen opowiadał, źle o sobie i o przyszłej śmierci rokować począł. Wybijali mu słudzy niepotrzebną aprehenzyą, twierdząc, że sen jest obłudną marą; on jednak wybić sobie z głowy niemógł obrazu owej niewiasty.“ Był wreszcie księżę „słabej kompleksyi ciała, bo krom duszności w piersiach i ciężkości w oddychaniu, dwa razy nie małe znaki apopleksyi na sobie poczuł.“ Był także jak wiemy bardzo skłonnym do zabobonów i przywidzeń. Ruszywszy dalej w drogę przez dzień cały drażnił się smutnem przeczuciem i gorzkimi żałami. Mianowicie „uskarżał się, że po tak wielu podjętych dla Rzeczypospolitej pracach, żadnej od niej nagrody nie miał.“ „W myślach owych zanurzony“ na pół mili przed Królewcem w karrecie „apopleksyą ruszony padł i umarł,“ dnia 31 grudnia 1669 roku.

Wygaśł na nim ród mężki kalwiński linii Radziwiłłów, książąt na Birżach i Dubinkach. Jedyna córka, Ludwika Karolina, wywieziona na dwór elektora, zasłynęła awanturami szczególnie smutnej pamięci. Ojciec jej, całem życiem swoim ciężki ojczyźnie, nawet po śmierci, tem ostatniem rozporządzeniem, które oddawało córkę na łup domowi elektorskiemu, był pośrednim powodem gwałtownych zaburzeń i zająć sromotnych. Kolosalna fortuna rodzinna przeszła w ręce niemieckie, i zaledwie w trzeciem pokoleniu w części jakiejś mróciła znowu w dom Radziwiłłowski ¹⁾.

Jeżeli życie księcia Bogusława samo przez się jest pouczające, jeżeli rzuca nieraz światło na wypadki historyczne, rażące osobliwszą niekonsekwencyą, jeżeli daje miarę, co był

W krótkich słowach powiada tożsamo *Theatrum europeum* z r. 1669.

¹⁾ Zyg A. Helcel. O dwukrotnem zameżczeniu księżniczki Ludwiki Karoliny Radziwiłłówniej.

wart i książę Koniuszy i liczny niestety szereg tak późniejszych jak społecznych mu magnatów, to więcej może niż to całe życie, cała działalność wyjaśnia jeden jeszcze szczegół, jedno szczere, poufne wyznanie, jedna mimowolna charakterystyka samego siebie.

W ostatnich latach życia, może właśnie już po ożenieniu się a przed przyjściem na świat córki, spisał Bogusław bardzo ciekawy dokument pod tytułem. „Informacya domowa i polityczna ¹⁾.“ Jestto rodzaj instrukcyi dla sukcesorów, dla Radziwiłłów wogóle, dla rodziny, poświadczający to co Bogusław gdzieindziej sam o sobie powiedział, „że interes domu mego i krewnych mych traktują, jako się dobremu godzi.“ Jestto owoc głębszego rozmysłu, serdecznej pamięci o tem co mu istotnie przedewszystkiem na sercu leżało.

Oświadczając z góry, że to są „pewne tajemnice polityczne i ekonomiczne,“ zaczyna od tych ostatnich. Wskazuje, jak zarządzać fortuną, aby „się majątności nie pocierały,“ jak dbać o fortece w dobrach familijnych, jakich ustanawiać komendantów, ile gdzie utrzymywać wojska, obejmując tą „tajemnicą ekonomiczną“ nietylko swoje, lecz wszystkie dobra radziwiłłowskie, bo tak samo Słuck i Birże, jak Nieśwież księcia Michała i Ołykę niegdyś księcia Albrychta Stanisława. Skreśla dokładnie obowiązki gubernatorów, podstarościch, rewizorów, *kammermajstra* itp. Słusznie radzi, aby nie iść za przykładem przodków, „którzy nigdzie żadnej rezydencji dobrze pobudowanej nie mieli, zkąd to szło, że w ustawicznych bywając włokitach, w sahajdaku wozili kancelaryą a w sakwach inwentarze i ekonomikę,“ a „tę maksymę mieli: jedną majątność wyjadłszy, do drugiej się przenosić; dla tegoż rządu nie było.“

„Młodym paniętom,“ swoim następcom z domu radziwiłłowskiego doradza mądrze, jak „trzeba się praw ojczystych na sejmach i sejmikach uczyć,“ „z razu tylko się przysłuchiwać.“ Poczciwie ostrzega, aby „oprymować uboższą szlachtę, nie dawać, ale się za ich brać krzywdę;“ a wierzyć się nie-

¹⁾ Wład. Syrokomla, przyczynki do Historji domowej w Polsce, str. 43—60.

chce, że to Bogusław pisze, czytając: „Króla pana zawsze mieć w wielkiem poszanowaniu, wiernie mu służyć, i choćby zły był, znosić defekta jego cierpliwie, wiedząc że nam od pana Boga dany. Od obcych związków być jak najdalej, które się nigdy nie udają.“

Jeżeli w całym piśmie ma autor na celu wyłącznie wielkość i znaczenie familii, potęgę i splendor domu, to zaprzeczyć nie można, że rady które daje, są trafne, zamiar najczęściej dobry, zasady zwykle słuszne. Przy końcu dopiero znajdują się dwie rady, które wszystko w odmiennem przedstawiają świetle.

„To jeszcze dodaję, że ponieważ nas Pan Bóg chciał mieć książętami św. Rzymskiego państwa, żebyśmy się koniecznie o posesyą tam starali. Niech każdy Radziwiłł majątność jaką przeda, a potem zamek jaki kupi, w księstwach Rzeszy eryguje, który niech potem najstarszy z domu trzyma Radziwiłł i z niego się pisze. Przybędzie przez to wiele blasku domowi naszemu i znaczne będą mogły stać domu naszego z domami książąt postronnych skojarzenia. I to też ostatecznie radzę, żebyśmy zawsze przy interesach elektorów brandenburskich i książąt kurlandzkich stawali i z nimi się ligowali, bo strzeż Boże przygody na Ojczyznę naszą, trzeba i gdzie indziej mieć przyjaciół.“

To była istotnie myśl polityczna całego żywota Koniuszego, a ta ostatnia rada, to haniebne wyparcie się poczucia Ojczyzny dla korzyści „domu“, „familii“ — to niestety myśl polityczna nie tylko samych kalwińskich Radziwiłłów.

Więc wówczas, kiedy jeszcze ta ojczyzna była, kiedy była wielką i potężną, kiedy potrzebowała tylko szczerej miłości, aby taką zostać, kiedy wymagała tylko uczciwej ambicji swoich synów, aby w niej i przez nią szukali chwały, wielkości, potęgi, znaczenia, wszystkiego co tylko ludzkie pożądać może serce, wówczas ci synowie „gdzieindziej szukali przyjaciół“, wówczas myśleli nie o tem, jak dźwigać kraj i siebie, ale jak „ligować się“ ze śmiertelnym kraju wrogiem, aby w przyszłości od niego utargować coś dla „domu.“

To już nie błąd polityczny, nie warcholstwo, nie zdrada zwyczajna, to już nikczemność bez granic, wynaturzenie, wy-

parcie się najszlachetniejszych uczuć, jakie Stwórca w serca ludzkie włożył. A taki grzech śmiertelny, choć w wyjątkach tylko, ale nie ukarany, nie potępiony, całe życie chodzący swobodnie, szanowany i z rewerencyą przyjmowany przez lepszych, ośmielający się bezkarnie sięgać po najwyższe godności, nawet po koronę — taki grzech i bezkarność taka musiały pomścić się srogo. I tak się też pomściły.

B. Kalicki.

CHRZEŚCIAŃSTWO

I PATRYCYAT RZYMSKI.

(Zapiski z Rzymu).

Początki chrześcijaństwa wśród społeczeństwa rzymskiego giną niemal w pomroce dziejowej: zaledwie u dwóch autorów pogańskich pobieżną o nich znajdujemy wzmiankę. Tym sposobem historia owych początków pozostałaby dla nas i nadal niedostatecznie rozjaśnioną, gdyby nie prąd badań uczonych bieżącego stulecia, który obok ksiąg i pisanych dokumentów przeszłości, postawił jako równouprawnione źródła dziejowe monumenta i napisy, słowem wszystkie na niemych głazach ryte ślady owej myśli ludzkiej, „co przetrwała wieki,“ i niby senna za dni Alaryka i Atylli, nie zbudzona brzękiem korony cesarskiej o twarde czoło Karla, ani wrzawą trybunału Rienzego, dzisiaj powstaje, aby nieść świadectwo prawdzie i odtwarzać nam wierny obraz tych czasów, o których dotąd mgliste tylko i niedokładne mieliśmy wyobrażenie.

Wobec olbrzymiego a w cichości dopełniającego się przetworzenia ludzkości przez zdobycze nurtującej coraz szerzej idei chrześcijańskiej, zadziwia niepomału owo milczenie współczesnych pogańskich autorów. Czemże to milczenie wytłómaczyć, jakim przypisać powodom? Po większej części pochodziło ono niewątpliwie stąd, iż dziejopisarstwo staro-

żytnie w ogóle mało uwzględniało społeczne przewroty, a przeważnie zajmowało się działaniem rządu i aktami panujących. Skromne początki chrześcijaństwa nie łatwo mogły zwrócić uwagę pogańskiego historyka olśnionego blaskiem cezaryzmu. Atoli więcej jeszcze zadziwia nieznajomość istoty nowej religii między urzędnikami państwa, która tylokrotnie w aktach męczeńskich się uwydatnia. Wytlómaczyć to chyba można niezdolnością Rzymianina do wszelkiej głębszej spekulacji, a po części i nienawistnem uprzedzeniem. *Malunt nescire quia iam oderunt*, powiedział Tertullian. Owa nieznajomość pokazuje się jawnie i w tem, że prawodawstwo rzymskie przez czas tak długi identyfikowało chrześcian z żydami. Rzymianin nie umiał wnikać w tajemnice nowej wiary. To też nawet i później, gdy rząd chrześcian na dobre prześladować zaczął, walczył on z nimi jedynie siłą przewagi materyjalnej, podczas gdy wszystkie filozoficzne zaczepki z pod greckiego wychodziły pióra.

Późniejsza chrześcijańska historyografia znajdując się wobec takiego braku źródeł spółczesnych, ginęła często w legendowych opowiadaniach. Legendy te czepiają się już historyi cesarza Augusta. W średnich wiekach urosło podanie, iż senat rzymski chcąc Augustowi boską cześć oddawać, zapytywał się Sybilli o radę. Ta odpowiedziała, że narodził się król, którego potęgą wszystkie inne zaćmi. Niebo się wtedy otworzyć miało i ukazać na tle błękitu cudną dziewicę z dzieciątkiem u łona. Przy czem dał się głos słyszeć: To jest ołtarz Syna Bożego. Miało się to wszystko stać na Kapitolu, gdzie też August wyrzekłszy się skutkiem sybillińskiej wskazówki czci boskiej, kazał według podania Bogu sobie objawionemu ołtarz wystawić. Legenda ta upamiętnioną została po dziś dzień kościołem zbudowanym na Kapitolu pod tytułem *Ara Coeli*, tudzież pięknemi freskami Peruzzi'ego.

Tego rodzaju podania o rzymskich cesarzach rychło bardzo obiegać zaczęły między ludem. Już Tertullian, żyjący u schyłku II wieku po Chrystusie, wzmiankuje, iż Tyberyusz, uderzony sprawozdaniem Piłata o życiu i śmierci Jezusa, zażądał od senatu przyznania czci Bożej założycielowi nowej religii. Gdy zaś senat się temu żądaniowi cesarza opierał, Tyberyusz miał przynajmniej obiecać wyznaw-

com Chrystusa czynną opiekę i obronę przeciw ich oskarżicielom. Neron, jak to podobne głosiły wieści, zrazu chciał się pouczyć nowej religii, i w początkach swego panowania był jej przychylnym. Średnie wieki nareszcie kusiły się o pomieszczenie Trajana w liczbie wybranych i zbawionych. Papież Grzegorz Wielki miał za spokój jego duszy gorące do nieba zanosić modlitwy. Znajdujemy poetyczny ślad owego mniemania w *Boskiej Komedyi* (Paradiso, canto XX). Dante w przepysnej pieśni chwali zasługi monarchów starożytnych, którzy za stałą nadzieję i pełne wiary przeczcucie odkupienia niebieską otrzymali nagrodę, w liczbie tych *gentili, ma cristiani in ferma fede* kładąc i cesarza Trajana.

Inne tego rodzaju podanie nie jest może do tyła pozbawione historycznej podstawy, ile dotąd krytyka dziejowa orzekała. Wiadomo, iż wśród pism młodszego Seneki zachowały się szczątki rzekomej filozofa korespondencji z apostołem św. Pawłem. Św. Hieronim w IV wieku już o owej korespondencji wspomina. Jest ona wszakże bez wątplenia podrobioną. Ale inne zachodzi pytanie, ażali utwór ten nie jest wyrazem prawdziwej a ustalonej tradycji? Nowsze badania dość ogólnie za tem twierdzeniem zdają się przemawiać. Św. Paweł był bowiem sądzonym w Koryncie przez M. Anneusza Galliona, rodzonego brata Seneki. W Rzymie został on później oddany w ręce Afranusza Burrusa, prefekta praetorium, który zostawał w najściślejszych z Seneką stosunkach. Wystąpienia tedy żydowskiego więźnia — nowej religii wyznawcy — musiały zwrócić na siebie uwagę całego pretoryum, a nawet wielu członków cesarskiego otoczenia i dworu. Znaleziona w naszym wieku inskrypcya kapłanów arwalskich przyniosła nowy a ważny dla tych argumentów przyczynek, wykazując, iż Seneka był konsulem w drugiej połowie 57 roku po Chrystusie, a więc właśnie w tych miesiącach, w których według najdokładniejszych badań sprawa św. Pawła przed sądem Nerona rozstrzygniętą została. Ztąd wypada, iż Seneka musiał w radzie cesarskiej naonczas zasiadać. Utwierdza nas zaś w mniemaniu o rzeczywistej a bliższej znajomości filozofa rzymskiego z apostołem pogan napis grobowy przez Visconti'ego w Ostyi znaleziony, na którym czytamy nazwisko jakiegoś Anneusza

z dodatkiem przydomku: Paulus Petrus. Czyż to nie wyraźnym dowodem stosunków łączących familię Anneuszów z apostołami nowej wiary? Wiadomo bowiem, że starożytni przybierali sobie nazwiska osób, z którymi je łączyła ścisła przyjaźń lub uczucia wdzięczności.

Nie policzymy na tej podstawie za przykładem średnich wieków tak Senekę jak i Wergiliusza w poczet świętych chrześcijańskich, wszakże przyznać należy, iż nowe badania rzuciły nadspodziewaną obfitość światła na liczne ustępy w pismach filozoficznych Seneki, z których wyraźnie chrześcijański duch wieje.

Podobne stosunki musiały z czasem doprowadzić do pewnego postępu w ocenianiu chrześcian i wyznawanej przez nich nauki. Postęp ten powoli stawał się coraz widoczniejszym. Zwrócić tu mianowicie uwagę potrzeba na stosunki samegoż dworu cesarskiego, z kąd wszelka wpływała władza.

Że chrześcijaństwo już za Nerona przekroczyło progi cesarskich pałaców, o tem świadczą owi spółwyznawcy „*de domo Caesaris*“, którym apostoł Paweł w jednym ze swoich listów przesyła pozdrowienia. Niektórzy badacze opierając się na pochwałach, które Flavius Josephus oddaje kochance Nerona Poppei, upatrywali w niej chrześciankę. Wątpić jednak nie można, że Josephus sławił ją mianowicie dla szczególnej opieki, jaką osłaniała żydów.

Za następnej dynastyi Flawiuszów nowa wiara pierwszych znajduje wyznawców w łonie samejże cesarskiej rodziny. Badania nad cmentarzem św. Domicylli dokonane, rozświeciły tu jawnie fakt tak niezmiernej doniosłości. Głową linii Flawiuszów, w której znajdujemy przedstawicieli nowej religii, był wówczas Tytus Flavius Sabinus, brat cesarza Wespazjana. Dzierżył on godność rzymskiego prefekta za czasów Nerońskiego chrześcian prześladowania. Lecz Tacyt przedstawia nam go jako *mitem virum abhorrentem a sanguine et caedibus*. Dodaje tylko, że pod koniec życia zarzucano mu pewne niedołęztwo (Hist. III, 75): *In fine vitae alii seqnem, multi moderatum et sanguinis civium parcum credidere*. Ten sam zarzut powraca często u pogańskich autorów, ilekroć o chrześcianach jest mowa. Skupienie ducha,

wejście w siebie, stronienie od hałaśliwych wystąpień i zebrań nazywali oni hurtownie niedołęztwem.

To wszystko naprowadziło genialnego badacza starożytności chrześcijańskich, komandora de Rossi, na myśl, że od owego właśnie Tytusa Sabinusa rozpoczyna się bliższy stosunek Flawiuszów z wyznawcami Ewangelii. Były prefekt rzymski liczne zostawił potomstwo, mianowicie dwóch synów, którzy w późniejszej historii wybitną grają rolę. Starszy, Tytus Flawiusz Sabinus, ożenił się z Julią, osławioną córką cesarza Tytusa; młodszy, Flawiusz Klemens, był konsulem za Domicyana. Jedna to z pierwszych ofiar wyrwanych prześladowaniem chrześcijan z łona rzymskiej arystokracji. Straconym on został za wiarę w roku 95, w którym właśnie piastował godność konsularną. Wymownym zbiegiem okoliczności piętnuje go Swetoniusz (Dom. 15) podobnym zarzutem „*contemptissimae inertiae*“, z jakim spotkaliśmy się u Tacyty w charakterystyce Flawiusza Sabinusa. Małżonka Klemensa, Flawia Domicylla, wygnana z tego samego powodu na wyspę Pandataryą, córką była tegoż samego nazwiska siostry Domicyana, z ojca historii nieznanego. Prócz obojgu prześladowanych małżonków nowa wiara innych jeszcze wśród tego samego rodu liczyła wyznawców. Córką bowiem siostry konsula Klemensa była trzecia niewiasta tego samego imienia, owa Flawia Domicylla, wygnana na wyspę Ponzia, której pamięć w dziejach Kościoła jest ściśle związaną z nazwiskami jej towarzyszy męczeńską śmiercią poległych, Nereusza i Achilleusa, a prócz tego i z cmentarzem, który nosi jej imię i przez nią bez wątpienia założonym został. Było bowiem zwyczajem, że bogatsi członkowie chrześcijańskiej społeczności ofiarowywali grunta prywatne na wspólny użytek spółwyznawców. I tak np. ziemia, na której się znajduje cmentarz św. Kallixta, była ofiarą rodu Cecyliuszów i pokrewnych im domów.

Katakumby św. Domicylli przy starożytnej Via Ardeatina odznaczają się, jak wiadomo, ornamentyką w stylu czyisto pompejańskim. Stukki i gzymsy nie ustępują tutaj wzorom klasycznym; liczba znalezionych sarkofagów daje tym katakumbom pierwszeństwo nad innemi chrześcijańskimi cmentarzyskami. Wszystko to odpowiada wysokiemu stano-

wisku ich założycieli. W wielu z napisów tu odkrytych do-
czytujemy się nazwiska Flawiuszów: jedni z nich byli za-
pewne wyzwolencami cesarskiej rodziny, inni zaś urodzeniem
do niej należeli. Tak np. w ostatnich czasach znalazł Rossi
grobowy napis Flawiusza Ptolemeusza, do którego nazwiska
dodane są litery *Pr.* Spotykamy więc w katakumbach św.
Domicyli Flawiusza pretora, przeto członka senatorskiego
stanu. Przydomek Ptolemeusza zawdzięczał on zapewne tej
okoliczności, że był synem jednego z Flawiuszów Titiani,
którzy w pierwszej połowie II wieku piastowali prefekturę
Egiptu. Te same nazwiska Flawiuszów i Titianów tamże świeżo
znaleziono na innym kamieniu z napisem greckimi wyry-
tym głoskami:

Fl. Sabinus

Titiane Adelphoi.

Piękność liter każe napis ten odnosić do II wieku.
Rossi zaś nieznane owe osobistości domysłowo łączy ze zna-
nym konsulem Klemensem (Boll. dell' Archeologia Cristiana,
1876). Wiadomo bowiem, że Klemens i Domicylla zostawili
dwóch synów, których Domicyan wziął od dzieciństwa w o-
piekę, i oddał w naukę sławnemu Kwintylijanowi. Przezna-
czeni na następców tronu, musieli oni zaniechać pierwotnych
nazwisk swoich, a przybrać miana Wespazjana i Domicjana.
Otóż gdy z upadkiem cesarza Domicjana dynastia Flawiu-
szów ustąpiła z tronu, a pamięć i czyny tegoż monarchy ule-
gły potępieniu i niesławie, synowie Klemensa wznowili pra-
wdopodobnie pierwotne swe imiona. Możliwem więc jest, że
jednym z nich jest ów Flawiusz Sabinus wspomniany wraz
z siostrą Titianą w napisie greckim cmentarza Domicyli.

Podobne stosunki nie mogły pozostać bez wielkiego
wpływu na los chrześcian w państwie Rzymskiem. Do tego
czasu uważano ich za zbrodniarzy godnych kar, wymierza-
nych pospolicie przeciw najgorszym przestępcom. Tacyt
(Ann. XV, 44) wspomina jeszcze o chrześcianach *per flagi-
tia invisī*. A wystarcza przeczytać którąkolwiek Apologią,
aby się przekonać o rodzaju i naturze zbrodni przypisywa-
nych chrześcianom. Stałym zarzutem powtarzającym się
w tych oszczerstwach było zabijanie niemowląt, tudzież or-
gie nocne połączone ze zmysłowemi wybrykami. Miłość

chrześcijańską tylko w takiej postaci umieli sobie poganie przedstawić i pojmować, a pewna tajemniczość, którą nowe społeczeństwo czynności swe osłaniać musiało, nadawała się do wysnuwania tysiącznych podejrzeń o spiskach i zbrodniach, których ta „*tenebrosa et lucifugax natio*“ dopuszczać się miała.

Za Trajana znać już pod tym względem pewną zmianę na lepsze. Pliniusz inaczej już o chrześcijanach sądzi ¹⁾, i tylko *la raison d'etat* i nadal prześladować ich każe. Ten to zresztą wzgląd przeważnie wywołał wszystkie następne prześladowania.

Wszechstronne wykształcenie łagodnego Hadryana i kosmopolityczne rzechy można dążności jego, jakkolwiekbyć musiały go do chrześcijaństwa zbliżyć. Podczas swych dalekich podróży spotkał on się był w Atenach z wyznawcami nowej wiary. Aristides i biskup Quadratus tamże zostali mu przedstawieni; że zaś apologia chrześcijaństwa zrobiła na nim pewne wrażenie, dowodem pismo cesarskie do prokonsula Azji Minucjusza Fundanusa wystósowane, które edyktem tolerancyi nazwanem być może. Oszczerstwa odtąd ustać mają, a urzędnicy takie tylko przyjmować oskarżenia, które pewnymi dowodami uzasadnionemi będą. To też opowiadano później o Hadryanie, że miał mieć nawet zamiar wybudowania świątyni Bogu chrześcijan poświęconej. Cesarz ten pochodził z rodziny Aelii, a to nazwisko znalazł świeżo Rossi w katakumbach św. Domicylli na dwóch grobowych napisach. Nie odnosi on ich do członków familii panującej, lecz myśli jedynie o wyzwoleniecach Hadryana lub Eliusza Verusa.

Podobnie rzecz się ma z Antoninami. Nazwiska Aureliuszów, Anniuszów, znalezione w podziemiach chrześcijańskich, przypominają cesarzów: Antonina Piusa, Marka Aureliusza i ich żony Faustyny (Anniae Faustinae). Między ich wyzwolencami byli więc chrześcijanie. Do samej nawet rodziny Antoninów światło wiary nieco później bardziej się jeszcze przybliżyć miało.

Zaznaczyć tu wypada napis grobowy Uranii, córki Heroda, znaleziony w katakumbach św. Pretextata, który Rossi

¹⁾ Jest to sąd urzędowy, słowa Tacyta są oddźwiękiem wyobrażeń ludowych.

z wszelkiem prawdopodobieństwem do córki Heroda Atticusa, nauczyciela Marka Aureliusza, odnosi. Co ważniejsza, znalazły się prócz tego w katakumbach św. Kallixta szczątki sarkofagów z następnymi nazwiskami: Annia Faustina, Licinia Vera, Acilia Vera, Annius Catus. Podobna grupa imion zwrócić musi uwagę ku cesarzom z Antoninńskiej dynastyi. Dwie z tych osób noszą nazwisko Anniuszów, inne mają przydomki tej rodzinie właściwe. Bo przecież i Antoninus Pius i następca jego Marek Aureli pożenieni byli z Anniami Faustynami, ostatni zaś nosił pierwotnie nazwisko: M. Annius Verus. Ale w jakimże stopniu pokrewieństwa znajdowali się do nich owi chrześciane spoczywający w katakumbach św. Kallixta? Rossi myśli tutaj o matronie Annia Faustina, wnuczce Marka Aureliusza, żyjącej w początkach III wieku, a poślubionej Pomponiuszowi Bassusowi, później małżonce Heliogabala. Z pierwszego związku pochodziły pośrednio lub bezpośrednio zapewne wymienione w tych grobowych napisach osoby. Ich wyznanie i miejsce spoczynku tym sposobem łatwo się da wyjaśnić, bo wiadomo dziś, że Pomponiusze byli jedną z pierwszych rodzin arystokratycznych dawnej Romy, która przyjęła nową wiarę, o czem napisy grobowe członków tego domu, właśnie w podziemiach św. Kallixta znalezione, najwymowniej świadczą.

Nawrócenia te łagodziły pierwotne nienawiści, nie otworzyły jednak oczu cesarzy na istotę chrześcijaństwa. Jak dalece Marek Aureli go nie pojmował, o tem świadczą słowa w jego rozważaniach filozoficznych przechowane, gdzie raz tylko chrześcian wymienia. Mówiąc o śmierci, zaleca przy niej spokój i zachowanie godności, przeciwstawiając tej radzie śmierć chrześcian, którzy wedle niego z czystego uporu na nią się wystawiają. Myśl ta niejednokrotnie u pisarzy pogańskich zaczepiających chrześcian się pojawia, w ustach jednak ukoronowanego filozofa razi ona podwójnie.

Czasy rządów wyrodnego syna i następcy Marka Aureliusza były szczególnie korzystnymi dla nowego chrześcijańskiego społeczeństwa. Łagodność obchodzenia się z wyznawcami Ewangelii nie wypływała zapewne z dobroćliwości samegoż Kommodusa, lecz przypisać ją należy wpływom najbliższego jego otoczenia. I tak na poparcie powyższego

twierdzenia, posiadamy sarkofag niejakiego Proxenesa, który był urzędnikiem na dworze cesarza i zapewne chrześcianinem, *quemadmodum alii fortasse non pauci de domo Caesaris*, dodaje Rossi (Inscr. Chr. I, p. 10). Nowe bowiem światło na położenie chrześcian w owym czasie rzuciło wydane w roku 1851 po raz pierwszy dzieło greckie p. t. *Philosophumena*. Jedynie księga IX zawiera w niem historyczne wiadomości: głównym ich przedmiotem jest panujący od r. 219—222 Papież Kalikst, któremu autor żadnych nie szczędzi zarzutów. Oszczerstwa te rozwiały się przed sądem nowoczesnej krytyki. Dotychczas nie docieczono jednak stanowczo kto był rzeczzonego dziełka, a raczej pamfletu autorem. Rossi przypisywał go Tertulianowi, którego montanistowski rygoryzm mógł być zrażonym łagodnością ś. Kaliksta wobec grzeszników. Inni przypuszczali autorstwo ś. Hipolita, które to zdanie odparł zwycięzko uczony biskup z Angers Mgr Freppel, wykazawszy odmienność nauki głoszonej w innych pismach tegoż świętego od zasad we *Philosophumena* zawartych. Nie znamy tedy dotąd autora greckiej książki, tyle tylko wiemy, iż musiała ona wyjść z pod pióra człowieka, który na dworze rzymskiego Biskupa dłuższy czas przebywał, a ztąd zdołał nam przekazać niektóre cenne szczegóły.

Dowiadujemy się n. p. od niego o chrześcianinie Karpoforze na dworze cesarza Kommodusa; Marcyą kochanką cesarza przedstawia się nam jako opiekunka chrześcian. Autor opisuje, jak Kommodus zniewolony jej prośbami zezwolił na powrót chrześcian wygnanych do Sycylii. Owę Marcyą zwią autorowie spółczesni *concubina*, może jedynie dla tego, że była córką wyzwolenca, co uniemożliwiało zupełnie legalne z cesarzem śluby. Autor *Philosophumena*ów zwie ją *philothéos*, zapewne z powodu jej miłosierdzia; Rossi przynajmniej wątpi, aby była chrześcianką. Szczegóły te dowodzą w każdym razie iż nowa wiara znana była na dworze Kommodusa, i cieszyła się nawet pewną opieką z góry.

Podobny stan rzeczy trwał do pewnego czasu i za trzeciego z kolei następcy Kommoda, Septymiusza Sewera.

Cesarz ten wydał zaraz w początkach swego panowania reskrypt zatwierdzający prawa towarzystw pogrzebowych,

tudzież cmentarzów do nich należących. Owe towarzystwa, przeważnie składające się z ludzi ubogich, miały na celu zapewnienie członkom swoim miejsca wiecznego spoczynku, za stosunkowo nader małą opłatą. Reskrypt ów Septymiusza Sewera, szczególnie dla chrześcian korzystny, był powodem jednego z najdonioślejszych faktów w historii rzymskich katakumb. Papież bowiem Zefiryn, ośmielony tem zatwierdzeniem praw korporacyjnych, przeznaczył istniejący już a znany dziś pod wezwaniem ś. Kaliksta cmentarz podziemny na groby papieży, których dotąd na pagórku Watykańskim chowano. Nowo obrane miejsce spoczynku dla następców Piotrowych dawało wszelkie warunki bezpieczeństwa, ponieważ owe grunta były darem wysokich rodzin rzymskich, które nie przestawały opieki swej nad dawną własnością rozciągać.

Septymiusz Sewer zrazu nawet wprost się opierał wszelkim zakusom prześladowania chrześcian. *Populo furenti palam restitit*, powiada Tertulian. A jakie nienawiści nurtowały pomiędzy tym ludem, o tem świadczą wymownie graffity znalezione w pałacu Cezarów na Palatynie, w części, która zapewne pażom za mieszkanie służyła. Tam jakiś dworak drwiący ze swego towarzysza chrześcianina, wyrył na ścianie osła rozpiętego na krzyżu z podpisem:

Alexamenos sebetai Theon

Alexamenos czci Boga; do innego nazwiska tytuł *episcopos* sarkastycznie dodano. Współczesny Tertulian opowiada (Apol. 91.) że szerzono wówczas karykaturę przedstawiającą człowieka w todze, z osłemi uszami i kopytami, a księgą w ręku. U spodu znajdował się napis: *Deus christianorum*. Nienawiści z góry tłumione, objawiały się pokątnie i nurtowały skrycie. Stałość chrześcian odpowiadała na nie milczeniem, nie zapierała się swych przekonań wobec podobnych nagrań i szyderstw. Na Palatynie, w tem samem miejscu znaleziono odpowiedź owego Alexamenosa na żarty pogańskich swych towarzyszków, zawartą w prostych dwóch słowach na murze rytych: *Alexamenos fidelis*. W ten sposób zatwierdził on tutaj publicznie silną a niezachwianą swą wiarę. Tertulian mówi o wrażeniu jakie owa karykatura na chrześcian sprawiała: *Risimus et nomen et formam*.

Rossi uważa graffiti na Palatynie w pałacu cesarskim odnalezione za objawy tego *populus furens* z czasów Sektymiusza Sewera. Różne pobudki wstrzymywały dość długo samego cesarza od dania folgi owym namiętnościom ludowym. Był on jak wiadomo afrykańskiego pochodzenia, a zabobonność rodzinna wszczepiła w niego rodzaj szacunku lękliwego dla nowej religii, i przynajmniej początkowo wstrzymywała go od wrogiego przeciw chrześcijaństwu wystąpienia. Osobiste stosunki niewątpliwie utrzymywały go w tem usposobieniu. Tertulian opowiada o Sewerze, że będąc raz chory, w skutek pieczołowitości a może i modlitw wyzwolenca chrześcianina przyszedł do zdrowia, za co dozgonną zachował mu wdzięczność. (Ad Scap. 4.) Pewnym jest fakt, że syn jego Karakalla miał za mamkę chrześcianką niewiastę, a pierwsze nauki także u chrześcianina pobierał. Tym wpływem zapewne przypisać należy, że Karakalla był bardzo dobrzym dzieckiem, dopóki inne okoliczności nie spaczyły jego charakteru i iście szatańskiej nie nadały mu dzikości.

I Sewerus nie pozostał wiernym pierwotnym swym zasadom. Już w roku 202 wydał edykt potępiający stanowczo przyjmowanie nowej wiary, tudzież pewne rozporządzenia korzystne dla żydów. Trzeba bowiem wiedzieć, że takie sympatyje już wtedy szły prawie zawsze ręką w rękę z prześladowaniem chrześcian. Wiadomo że Julian Apostata szczególną żydów otaczał opieką. Prawdopodobnie skłonił Sewera do tego kroku wpływ jego małżonki, Julii Domny, którą familijne związki w ojczyściej Syryi z żydami łączyły. Że Julia Domna stanowczo była nieprzychylną chrześcijaństwu, dowodzą jej znajomości i stosunki w świecie filozofów i sofistów. Ona to namówiła Philostratusa do spisania biografii czarownika Apoloniusa z Tyany, która miała być przeciwstawioną żywotowi Chrystusa Pana, i postawić inny ideał pogański obok ideału uosobionego w Jezusie Nazareńskim, opisem zaś cudów ascetycznego filozofa obniżyć postać czczonego przez chrześcian Zbawiciela. Apoloniusz z Tyany miał zostać niby pogańskim Chrystusem.

Współczesny Tertulian, tak zresztą gwałtowny, bardzo się zawsze oględnie o Sewerze wyraża. Prawdopodobnie też swą Apologią już był napisał, zanim się wrogie przeciw chrze-

ścianom działanie rozpoczęło. Znany historyk Cezarów i Antoninów, hr. de Champagny, opierając się nadto na pochodzeniu i nazwisku Tertuliana (Quintus Septimius Florens Tert.) przypuszcza możliwość pokrewieństwa między apologetą chrześcijańskim a cesarskim domem. Przypuszczenie to jednak, na domysłowych zaledwie argumentach oparte, nie wiele ma prawdopodobieństwa.

Po krótkiem panowaniu Karakalli i Makryna, kapłan syryjskiego bożka słońca zasiada na tronie cesarskim. Z nim wchodzi do Rzymu, istnego Babelu kultów całego świata, nowy żywioł religijny. Skłonność Rzymian do wschodnich i w ogóle obcych kultów wychodziła chrześcianom na dobre. Szerzący się coraz bardziej synkretyzm łagodził dawne nienawiści. Ów kierunek cechuje mianowicie panowanie Aleksandra Sewera. Cesarz ten osobiście nie był chrześcijaństwem nieprzychylnym; założyciela nowej religii stawiał przynajmniej równie wysoko jak wybitne osobistości mitologii i magii. W czasach ogólnego zamieszania pojęć, on pod tym względem przodował, pomieszczając w swem pałacowym lararium obrazy Chrystusa, Abrahama, Orfeusza, Apoloniusza z Tyany, tuż obok siebie. Próbował on nawet zaznajomić się z instytucjami nowego społeczeństwa, chwalił modus wyboru biskupów jako wzór dla wyboru urzędników. Historyk Reumont przypisuje wpływowi chrześcijaństwa wyraźny postęp i ulepszenia w ustroju administracyi rzymskiej za owego cesarza. Chrześcianie jemu w wielkiej części zawdzięczają uznanie swych miejsc zbornych za własność gminy. Wpływ matki Aleksandra, Julii Mammei, działał zapewne w tym kierunku, ona bowiem chrześcijaństwo dokładniej poznać musiała, słuchając wykładów Orygenesu w Antyochii.

Chrześcijaństwo, jak to już w wielu widzieliśmy przypadkach, dostawało się na dwór cesarski głównie przez niewolników i wyzwolenców. Oni, jak ongi rybacy galilejscy, byli prawdziwymi apostołami nowej wiary, „religii ubogich i małuczkich.“ To też jeszcze w początku III wieku pisał Tertulian że: mało jest bogatych pomiędzy nami.

A objaw ten z różnych daje się wywieść przyczyn i bardzo jest zrozumiałym. Tysiączne bowiem zapory nowemu wyznaniu zamykały wstęp do świetnych domów i rodów po-

gańskiego Rzymu. Przedewszystkiem zaś trudność pogodzenia wyznawstwa nowej wiary z jakimkolwiek stanowiskiem politycznem w państwie. Chrystus powiedział był do ewangelicznego młodzieńca: Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj wszystko co masz a rozdaj ubogim. Otóż słowa te znajdowały zupełne zastosowanie w społeczeństwie pogańskiego Rzymu. Przechodząc na nową wiarę, trzeba było okazać się gotowym na wszelkie ofiary. Trudno było urzędnikowi wyznawać chrześcijańskie zasady, bo go to narażało codziennie na prześladowanie i utratę miejsca, co więcej, na nieustanny niepokój sumienia. W każdym położeniu wystawionym on bywał na konieczność oddawania czci bogom, czy przy zabawach publicznych, czy też we właściwym zakresie swej działalności, do tego stopnia, iż rygorystyczny Tertulian powiada, iż wszystkie tego wieku godności i urzędy, nie tylko są Bogu obcemi, ale nadto wprost Mu wrogimi. (De Idol. XVIII). Dalej chociażby nawet wysoko położony człowiek nie uląkł się owych trudności i przyjąwszy nową wiarę, wyrzekał się dotychczasowych godności i bogactw, nienawiść pogan ścigała go z daleko większą zaciętością niż ubogich i nieznanych wyznawców. Głównym powodem nienawiści Juliana Apostaty przeciw Atanazemu były dokonane przez tego biskupa liczne nawrócenia niewiast z wysokich rodów, gdy zaś w V wieku ś. Paulin z Noli przeszedł do obozu chrześcijańskiego, krokiem tym zerwał wszystkie węzły rodziny i przyjaźni. „Gdzie się podzieli,” pisze on, „moi najbliżsi, moi przyjaciele dawni? Gdzie są ci, z którymi żyłem dotychczas? umarłem dla nich wszystkich, obcym jestem dla braci moich. Ci którzy kochali mnie niegdyś, odwrócili się odemnie; unikają mnie i stałem się dla nich powodem wstydu.“

Wobec takowych stosunków przypomina się drastyczne porównanie o uchu igły i wielbłądzie. Względy ludzkie, przywiązanie do własności, pycha rodowa, stały na straży pogaństwa w wyższym społeczeństwie Rzymu. To też przez długi jeszcze czas arystokracja walczyć miała za wyrzuceniem z Senatu ołtarzem Wiktoryi, zatwardziałość jej w tej mierze opłakiwał jeszcze w czwartym wieku ś. Augustyn. Trudniej jej przyszło wyrzec się pogaństwa jak pospolitemu

ludowi, trudniej nawet jak pojedynczym członkom cesarskiego dworu.

Dziwić się więc nie można, jeżeli historia liczy tylko nie wielu członków rzymskiej arystokracji między pierwszymi wyznawcami chrześcijaństwa. Wszakże gdybyśmy się tylko opierali na wzmiankach dziejopisarzy pogańskich, wydałoby nam się mogło, iż nowa wiara w pierwszych dwóch wiekach jedynie wśród najniższego pospółstwa znajdowała adeptów. A jednak Tertulian pisze w początkach III wieku: *Hesterni sumus et vestra omnia implevimus, urbes, insulas, castella, municipia, conciliabula, castra ipsa; tribus, decurias, palatium, senatum, forum*. Mówiliśmy już o chrześcijanach w palatium, o Flawiuszu Klemensie i Domicylli, a przecież ani Tacyt, ani żaden inny historyk rzymski o tym fakcie nie wspomina, i tylko grobowce lub napisy na murach prawdę nam odkryły. Oficjalna historia w podobny sposób zamlecza o senatorze Apoloniuszu, męczenniku za wiarę z czasów Kommodusa, o konsulu chrześcijaninie Aciliuszu Glabrio rychlejszych jeszcze sięgającym czasów; stare tylko metryczne napisy głoszą sławę innego patrycyusza Liberalisa, który miał piastować najwyższe w państwie urzędy, i życie dać za wiarę. Prawdziwi to *illacrimabiles* historyi.

Owi chrześcijanie na wybitnych w państwie znajdowali się stanowiskach, a jednak dziejopisarze nie uważali za stosowne śmierć ich i odwagę zaznaczyć w swych annałach. Jakżeż więc nie mieli pominąć innych wielu, którzy nie chcąc się narażać na pokusy życia publicznego, cofnęli się w ustroń, i w cichości chrześcijańskiego chwalili Boga.

Nadmienić tu wypada, że wzgląd na niebezpieczeństwo i prześladowanie grożące ze strony pogan spowodował wielu chrześcijan do pilnego ukrywania swych przekonań przed szerszą publicznością, w skutek czego pamięć ich w rocznikach chrześcijańskiego Kościoła zaginać musiała. Wymowny tego przykład znaleziono zupełnie świeżo podczas robót podjętych w r. 1877 około rozszerzenia ciasnej dotąd *Porta del Popolo*. Znaleziono tam grobową inskrypcyą mówiącą o pewnej niewieście, która uchodziła za chrześcijankę wśród chrześcijan, za poganę wśród obcych. *Inter fideles fidelis fuit, inter alienos pagana fuit*. Rossi wyjaśnił treść i znaczenie tego

napisu na jednym z ostatnich posiedzeń archeologicznych w San Carlo ai Catinari. Dotyczy on niewiasty chrześcijańskiej, która wyszedłszy za mąż za poganina nie zdradzała przed swem otoczeniem religijnych przekonań swoich. Na grobowcu wolno już było odsłonić tajemnicę zmarłej, usuniętej przed nienawiścią i wyrzutami rodziny; ojciec jej stosując się może do ostatniej jej woli, sam zatwierdził wymownym napisem chrześcijańską córkę wiarę, zastrzegając tem samem jej grobowiec od profanacyi i spełniania pogańskich ofiar.

Nec de ultima statim plebe consistimus, pisał też słusznie Minucyusz Felix (r. 31) *si honores vestros et purpuras recusamus*. Badania poczynione w katakumbach stwierdziły najzupełniej prawdę owego twierdzenia. Społeczność ograniczająca się jedynie na najniższych warstwach towarzyskich, nie byłaby się nigdy zdobyła na tak prześliczne ozdobienie swego cmentarza, jakiem nas zdumiewają podziemia ś. Domicylli, przy starej drodze Ardeatyńskiej położone. Przechadzając się po tych krużgankach, odznaczających się większą przestwornością od korytarzy innych katakumb, każdy dojdzie do przeświadczenia, że ci Chryścianie z I wieku równie biegłych i zręcznych używali tu malarzy jak bogaci właściciele Pompejańskich domów. Śliczna i bogata ornamentyka zachwyca świeżością farb i nadmiarem fantazyi. Wszystkie ściany, na małe podzielone pola, zapełnione są arabeskami, ptaszkami, zwierzętami, obrazkami z natury. Słowem odnajdujemy styl malarstwa powstały za cesarza Augusta, który się rozwinął w I wieku, a wpływem swoim osiągnął XV wieku Odrodzenia, aby w drobnych ułamkach służyć za wzór wielkiemu mistrzowi Loggii Watykańskich.

W katakumbach ś. Agnieszki kształty głosek w napisach poświadczają ich powstanie w epoce klasycznej. W katakumbach ś. Pryscylli zwracają na siebie uwagę freski i stukkowe ozdoby krypty podziemnej Pudencjuszów. Styl ich tak czysto klasyczny, że datę ich prawdopodobnie odnieść należy do końca I lub początku II wieku. A przypuszczenie to przyczynia się zarazem do stwierdzenia chrześcijańskiego podania, według którego ród Pudensów już w I wieku chrześcijańską wiarę przyjął. Podanie to opowiada, że książę

Apostołów na Eskwilinie, w t. z. *vicus Patricius*, a w domu senatora Pudensa zamieszkał. Córka senatora, ś. Praxeda wstawiła się w r. 143 u Piusa I, aby na tem miejscu świątynię wybudował. Po dziś dzień stoi tamże śliczny a nader ciekawy kościółek poświęcony pamięci drugiej córki Pudensa, ś. Pudencyanny. Wielka mozaika z IV wieku przedstawia nam osoby założycieli, tudzież ów *vicus patricius* odznaczający się pięknymi gmachami. Jest to najdoskonalsza z chrześcijańskich mozaik Rzymu. Zastanawiając się nad tem całem podaniem, uczony Rossi zwrócił uwagę badaczy na owego centuryona z aktów apostolskich Korneliusza, którego Piotr ś. nawrócił. Czyżby on nie był członkiem tejże rodziny Korneliuszów Pudensów, u której Apostoł gościnnego doznał w Rzymie przyjęcia? Dom Guéranger, światły historyk ś. Cecylii, całą powagą swej iście benedyktyńskiej nauki popiera owe przypuszczenie pana de Rossi.

Podobnie zaś jak rodzina Pudensów i inni bogaci członkowie chrześcijańskiego społeczeństwa zakładali na swoich gruntach podziemne cmentarze, a później częstokroć oddawali je na spólny użytek całej gminy chrześcijańskiej.

Tak się stało mianowicie z cmentarzem ś. Kalliksta, który w r. 197 ofiarowanym został przez swych właścicieli, należących do jednego z pierwszych rzymskich domów, na rzecz i własność Kościoła. Jak to już powyżej wspomniałem, odtąd ciała papieży na tem chowano miejscu, dającem nierównie więcej rękojmi pokoju aniżeli pagórek watykański, gdzie coraz to nowe powstawały zabudowania.

Ród Cecyliuszów był tym dobrodziejem społeczności chrześcijańskiej. Doczytujemy się w Cyceronie, że ów dom zacny i możny grzebał swych umarłych przy drodze Appijskiej. Niedaleko też od katakumb ś. Kalliksta znaleziono w początku wieku bieżącego kolumbarya i napisy dotyczące pogańskich członków rodu Cecyliuszów. Nie można dlatego było uważać za przypadkowy zbieg okoliczności, odnalezienie w pobliskich katakumbach napisów grobowych z nazwiskami Cecylianów, Cecyliuszów. O wyzwoleniach znamienitego owego domu tutaj nie podobna było myśleć. Najstarsze wprawdzie napisy chrześcijańskie unikały starannie wszelkich tytułów i wyszczególnień, ograniczały się często na jednym

tylko nazwisku, nie trzymając się pospolitego rzymskiego obyczaju używania ich trzech z rzędu. Jedno imię, słowa *in Deo* albo *in pace*, otóż zwyczajnie i wszystko czem pierwotnie umarli chrześcijanie przemawiali do pamięci i serca swych spółwyznawców. Później jednak zrobiono ustępstwo dla powszechnie utartego obyczaju i przestano się wystrzegać bliższego oznaczenia położenia i stanu zmarłych braci. A i tutaj, w katakumbach ś. Kalliksta znajdujemy przy nazwiskach niektórych Cecyliuszów pewne dodatki jak n. p. *vir clarissimus*, *clarissima foemina*, i t. p. co nie pozwala wątpić o wysokiem pogrzebanych tu osób pochodzeniu. Wiadomości więc z pogańskich zaczerpnięte źródła i zabytki chrześcijańskie zarówno utwierdzają nas w mniemaniu, iż cmentarz ś. Kalliksta był własnością Cecyliuszów i przez nich ofiarowanym został Kościołowi.

W ten też sposób niektóre szczegóły rozkładu rzeczonych katakumb najlepiej wytłómaczyć się dają. Do krypty papieskiej, w której złożono wszystkich prawie następców Piotra ś. z III wieku, przylega bezpośrednio krypta i grób ś. Cecylii. Czemże podobne wyszczególnienie tłómaczyć należy? Otóż tylko względem na wolę ofiarnych założycieli cmentarza, którzy prawdopodobnie życzyli sobie aby szczątki Biskupów rzymskich spoczywały obok ś. dziewicy z ich szlachetnego rodu. Dalsze napisy poświadczają, że i inne rodziny arystokratyczne, z Cecyliuszami spokrewnione, dzieliły z nimi to miejsce ostatniego spoczynku. Wspominałem już o Antoninach prawdopodobnie pochodzących od Annii Faustyny, wnuki Marka Aurelego, małżonki naprzód Pomponiusza Bassusa, następnie zaś cesarza Heliogabala. Nazwisko pierwszego jej męża rzuca niejaki światło na rodzinne stosunki, tłómacząc zarazem, z jakiej przyczyny potomkowie jej na cmentarz Cecyliuszów się dostali. Wiadomo bowiem, że ci Pomponii Bassi mieszkali przy schyłku I wieku po Chrystusie na Kwirynale, a dużo względów przemawia za mniemaniem, iż byli spadkobiercami sławnego Pomponiusza Attykusa, którego tak ściśle węzły przyjaźni łączyły z Cyceronem, jak o tem świadczy zachowana ich korespondencya. Ów Attykus mieszkał na Kwirynale; wuj jego macierzyński, Q. Caecilius adoptował go, co spo-

wodowało zmianę rodowego nazwiska. Wystąpiwszy z domu Pomponiuszów, przeszedł on do *gens Caecilia*. Fakta te historycznie stwierdzone rzuciły nowe światło na znalezione w podziemiach ś. Kalliksta napisy z imionami: Faustinus Atticus, Pompeia Attica, wreszcie Attica Caeciliana. Znalaziono tu także szczątki grobowców pogańskich Pomponiuszów, użyte do zamknięcia chrześcijańskich grobów, odłamy kamienia grobowego Pomp. Bassusa, który w III wieku dwa razy godność konsularną piastował, i Lucyusza Pomponiusza, prokonsula Gallii Narbońskiej.

Te wszystkie spostrzeżenia utwierdziły Rossi'ego w mniemaniu, że rody Pomponiuszów i Cecyliuszów bliskim węzłem powinowactwa z sobą połączone być musiały. Długo jednak nie mógł on znaleźć stanowczego dowodu, jakoby Pomponiusze dostarczali byli nowej wierze wyznawców. Genialne przypuszczenie wyprzedziło tu jak i w wielu innych miejscach późniejsze odkrycia.

Jądro i część najstarszą katakumb ś. Kalliksta stanowi t. z. krypta Lucyny. Ułamki znalezionych tu napisów wykazały równie w licznych przypadkach nazwiska Cecyliuszów, usprawiedliwiając przez to mniemanie że i ta część cmentarza była pierwotnie własnością i darowizną znakomitej owej rodziny. Kogóż tedy oznaczało imię Lucyny, powracające tak często w Annalach początków chrześcijańskiego społeczeństwa? Rzecz godna uwagi, że w VI wieku po Chrystusie żywym było w mieście wiecznem wspomnienie wielu Lucyn, z wielkiego i zamożnego rodu; według chrześcijańskich tradycji odgrywały one wszystkie ważną w dziejach Kościoła rolę, poczynawszy od Igo aż do IVgo wieku; z ich pamięcią łączy się zawsze wdzięczność za wyposażenie cmentarzy chrześcijańskich. Rossi zauważył, iż za czasów cesarstwa dość powszechnym było u patrycyuszów zwyczajem przybierać przydomki, których używano wyłącznie w życiu codziennem i rodzinnem, podczas gdy w aktach publicznych i obywatelskich normalnej nomenklatury trzymać się było trzeba. Rossi wyraził więc przypuszczenie, że nazwisko *Lucina* tego było rodzaju, że utrzymywało się przez kilka pokoleń w jednej lub kilku rodzinach chrześcijańskich z chrześcijańskim czysto znaczeniem. Lucynami zwano niewiasty

ze względu na światło z chrztem świętym na nie wylane, na światło które w około siebie żarliwą czynnością i miłosierdziem rozszerzały.

Wyraziwszy myśl tę tak bardzo prawdopodobną, starał się Rossi wniknąć w tajemnicę osłaniającą prawdziwą osobistość owej pierwszej Lucyny, której pamięć tak ściśle związana z katakumbami świętego Kalliksta. Napisy z nazwiskami pogańskich Pomponiuszów Bassów, w tychże katakumbach znalezione zwróciły jego uwagę na pewien ustęp z Annalów Tacyty. W rozdziale 32 księgi XIII, opowiada Rzymski historyk, jako Nero pewnemu Plancyuszowi żonę własną, Pomponię Grecynę, oskarżoną o „*superstitio externa*“ sądzić kazał, a tenże małżonkę swą za niewinną uznał. Opowiada nam dalej dziejopisarz, że owa Pomponia żyła jeszcze potem długo „w ciągłym smutku“ że wierną w usposobieniu i stroju zachowywała żałobę. Żałobę tę przypisywał po części Tacyt boleści po stracie Julii, córki Drususa, zamordowanej przez Messalinę.

Nazwą zabobonu obcego, *superstitio externa*, piętnowali Rzymianie prawie zawsze wyznanie chrześcian; tutaj ów smutek Pomponii rozświeca rzecz jeszcze dobitniej. Rzymianin nie pojmował domowego życia, stronienia od zabaw publicznych i gwarnych uciech, których unikali pilnie wyznawcy nowej wiary. Smutek, o którym Tacyt wspomina, był zapewne owym smutkiem, o którym święty Jan już mówił: *Saeculum gaudebit, vos tristes eritis*. Wątpić więc niepodobna, iż to pierwsza historyczna wiadomość, z pogańskiego pochodząca źródła, o zdobyczach nowej wiary w kołach rzymskiej arystokracji.

Rossi nieśmiało tylko objawił przypuszczenie, że Pomponia Graecina mogła być ową Luciną z katakumb ś. Kalliksta. Genialność zaś jego kombinacji stwierdzoną wnet została późniejszymi odkryciami. Zrazu brakowało mu dowodów ku stwierdzeniu przyjęcia chrześcijaństwa przez członków *gens* Pomponia, nie umiał wykazać pokrewieństwa między dwiema gałęziami jednego szczepu, z których jedna przydomku Bassów, druga Grecynów używała. Odłamy napisów później znalezionych dostarczyły nareszcie upragnionych dowodów; znalazł je Rossi w tychże ś. Kalliksta podziemiach.

Dwa z kolei napisy poświadczają chrześcijańskie pochowanie dwóch Pomponiuszów Bassów w II wieku po Chr.; Rossi znalazł niebawem w tem samym miejscu i napis chrześcijański noszący nazwisko Pomponiusza Grecynusa. Sama więc śliczna hipoteza jeżeli nie została wyniesioną do rzędu historycznych pewników, silne w samych katakumbach znalazła poparcie.

Prawdziwy to tryumf nauki, a zarazem i geniuszu Rossi'ego, który na każdym zresztą kroku zdumiewa intuicją, odgadującą tajniki niedocieczonych archeologicznych zawikłań.

Pomponiusze obydwóch linii spoczywali tedy na gruncie Cecyliuszów, z którymi spokrewnionymi byli niewątpliwie od czasów Pomponiusza Attykusa. A prócz tych znamienitych rodów, inne jeszcze świetne nazwiska jak n. p. Emiliuszów i Korneliuszów zdobią grobowe kamienie tego sławnego, i rzechy można arystokratycznego cmentarza przy drodze appijskiej.

I tutaj Rossi wykazał pokrewieństwo łączące owe rody z Cecyliuszami. Napisy chrześcijańskich Korneliuszów rzuciły także nowe światło na pewną właściwość podziemi św. Kaliksta. Zwłoki papieży z III wieku spoczywały wspólnie w tak zwanej krypcie papieskiej, w której Rossi znalazł ułamki napisów z nazwiskami czterech papieży. Uderzyć więc każdego musi ta okoliczność, że papież Korneliusz umęczony w r. 252 spoczywa gdzieindziej, w krypcie Lucyny. Grobowiec jego uderza jeszcze innemi właściwościami. Pierwszy to bowiem papież od początku chrześcijaństwa, który Rzymskie nosi nazwisko. Kamień z łacińskim napisem przywalał miejsce jego spoczynku; pod tym więc także względem różni się on od urzędowych epitafów papieży w krypcie papieskiej złożonych, gdzie język grecki, język urzędowy pierwotnego kościoła bez wyjątku był używanym.

Czyżby zatem ów papież miał pochodzić z znamienitego w Rzymie Korneliuszów rodu? Mniemanie to wiele ma za sobą prawdopodobieństwa. W pobliżu bowiem tego miejsca znaleziono mnogie napisy z patrycyuszowskimi nazwiskami Korneliuszów. Zrobiono więc przy wyborze miejsca spoczynku prawdopodobnie ustępstwo dla życzeń rodziny zmar-

łego, pragnącej ciało swego wyznawcy między krewnymi złożyć.

W bezpośrednim tego grobowca sąsiedztwie znaleziono napis grobowy pewnej Emilii Pudentilli. A imię to obok grobów Korneliuszów położone, w każdym wywołać musi pamięć owych chrześcijańskich Pudensów z czasów apostołskich, którzy niewątpliwie do *gens Cornelia* należeli.

Koło połowy III wieku zasiadał więc już prawdopodobnie na stolicy Piotrowej członek rzymskiego patrycyatu. Odtąd mimo prześladowania Dyoklecyanowego i Juliana Apostaty, chrześcijaństwo w wyższych warstwach jęło się coraz bardziej szerzyć. W IV wieku spostrzegamy wśród wyznawców religii Ukrzyżowanego potomków Emiliuszów i Scypionów, bogobojne z wysokich rodów niewiasty, żeby tylko wspomnieć Marcellę zakładającą swój klasztor na Awentynie, Paulę dążącą wraz z córkami za św. Hieronimem do Betleemu. Zięć Pauli, Pammachius, zostaje zakonnikiem w stolicy pogaństwa. Listy św. Hieronima dają miarę wysokiego wykształcenia towarzyskich sfer w jakich się obracał.

W skutek nowych badań historycznych coraz się bardziej przed nami odsłania prawda, że podobne zapały pobożnej żarliwości cechujące chrześcijańskie św. Hieronima korespondentki, nie były w IV wieku zupełną nowością, i że przed czasami Konstantyna nowa wiara już była zapuściła korzenie w arystokracji rzymskiej.

Postępy jej w tym kierunku były zapewne dość powolne, i zaprzeczyć nie można że nauka Rybaków Galilejskich pierwotnie w chatach ubogich najwięcej liczyła zdobywczy.

Podniosłem już niektóre zapory, które jej utrudniały wstęp do pałaców możnych i bogatych. W wielkich miastach, wobec wszystkich przepychów pogańskiego kultu, trudniej było pozbyć się dawnych wyobrażeń, i poświęcić dotychczasowe upodobania. Patrycyusz rzymski, rozmiłowany w dziejach przeszłości swego narodu, niełatwo rozstawał się z wiarą i zwyczajami przodków. A jednak mimo tych wszystkich węzłów do państwowej przykuwających religii, napotykamy coraz częstsze skargi wśród arystokratycznych rodów na przerezzanie się ich szeregów. Wszelkich używano środków aby ruch ten zatrzymać. Odstępstwo pogańskiego kultu patry-

cyuszowi w dwójnasób za zbrodnię poczytywanem było. Akta męczeńskie świadczą, że nie szczędzono środków aby go odstraszyć, że wyznawców wysokiego pochodzenia karano nierównie srożej niż innych chrześcian. Wszystkie te reakcyjne zakusy minęły jednak bezskutecznie i niezdolały opóźnić ostatecznego zwycięstwa prawdy ewangelicznej we wszystkich warstwach społecznych.

Od V wieku datuje też tryumf kościoła i spokojniejsze dla niego czasy: historycy zaczynają pilnie się nim zajmować, a ztąd dzieje jego jaśniej się odtąd narysowywać. Nowsze badania starały się wysledzić niektóre pośrednie węzły między skromnemi chrześcijaństwem początkami i epoką jego tryumfu; część rezultatów owych poszukiwań spróbowałem w tych kartkach streścić. Przekonać się z nich można, iż zarówno grzeszą przesadą ci, którzy na wzór szkoły pruskich exegetów z mistrzem racjonalizmu Baur'em na czele dowodzą, iż chrześcijaństwo jedynie od motłochu chciwego zabobonów przyjętem zostało, i ci którzy chcą je mieć odrazu w najwyższych sferach rzymskiej arystokracji.

Rossi, którego dziełom a i ustnym tłumaczeniom zawdzięczam niniejsze wiadomości, nie popadł w żadne z tych przeciwieństw; bez wszelakich uprzedzeń przystępując do rzeczy, opierał on się jedynie na napisach i monumentach, tudzież na pewnikach historycznych, a dwa te źródła, z których równie umiejętną czerpał ręką, objaśniają się nawzajem i w prześliczną zlewają harmonią. Geniusz jego potrafił nieraz z kilku słów odtworzyć całe karty zamierchłej przeszłości, co przypomina metodę Mommsena w dziedzinie epigrafiki pogańskiej. Hipotezy Rossi'ego wydają się nieraz zbyt śmiałymi: wszakże niedowierzanie ustaje na przypomnienie, ile to już razy późniejsze odkrycia uwierzytelniły jego przypuszczenia. Instynkt ów prawdy i znajomość rzeczy sięga tak daleko, iż napis w skąym zachowany odłamie samodzielnie uzupełnić potrafi, w tak genialny sposób, że znalezione później brakujące szczątki w niczem nie zadają kłamu jego bystrej domysłowości.

Zadziwiająca owa biegłość uwydatnia się mianowicie w odczytywaniu graffitiów, tych drobnych i nieznaczących napisów, któremi pielgrzymi na ścianach katakumbowych upa-

miętniali swą bytność w cmentarnych podziemiach, a zarazem i poświadczeni pobożną myśl o umarłych. Rossi nie ograniczył bowiem swych historycznych w katakumbach badań na czasach ich powstawania, na dziejach męczenników i prześladowanych, których tu kości składano. Śledził nadto i kroki pobożnych, którzy te miejsca zwiedzali; szukał śladów wrażeń, które często w owych nieznaczących objawiali graffitach. Po upływie kilkunastu wieków doczytano się tu wyrazu uczuć sere znękanych, które wśród tych grobowych podziemi szukały ulgi, czerpały otuchy z pamiątek swych spółwyznawców i tutaj przychodziły się krzepić na nowe może zapasy. Rossi pracując w ścisłej tej nauki dziedzinie, nie przestał być poetą w całym tego słowa znaczeniu, i nieraz na suchej niwie archeologicznej najwonniesze zbiera kwiaty. Jak z kilku napisów umie złożyć całą kartę historii, tak nieraz z kilku graffitów odtwarza domysłowe dzieje niejednej duszy zabłąkanej tu przed laty w serdecznej żałobie. Dość tu przypomnieć owe w kilku miejscach katakumb św. Kallixta odnalezione graffiti, w których prawdopodobnie osierocony małżonek wzywał nazwiska zgasłej przedwcześnie towarzyszki swego życia. Zaraz u wstępu do katakumb przesyła swej ukochanej żalosne westchnienie, aby nie zapominała o rodzinie: *Sofronia vivas cum tuis*. Postępując dalej w ciemnych kruzgankach myśli już tylko o spokoju jej duszy i ryje na ścianie: *Sofronia in Domino vivas*, a nieco dalej: *Sofronia dulcis semper vivas Deo*. Pod tym napisem znajdujemy już tylko proste: Sofronio żyć będziesz, *Sofronia vives*, jakoby odgłos ufności w Bogu i stanowczej nadziei, wrażeniami zaczerpniętymi w katakumbach natchnionej. Napisy te, niby słupy przewodnie, pozwalają nam śledzić kroki nieznanego a zbolełego pielgrzyma, wysnuwać cały dramat uczuć w biednym rozgrywający się sereu ludzkim, które na piętnaście może wieków przed nami, w podziemiach św. Kallixta szukało ulgi i snadź znalazło pociechę. . . .

Aczkolwiek owe domysłowe dzieje nieznanego osobistości nie należą do naszego przedmiotu, i ramy podjętego zadania przechodzą, przytoczyłem je tutaj jako próbkę rzetelnego nastroju poetycznych domysłów p. Rossi, który

obok ścisłych historycznych dociekań pełnemi rękoma umie zbierać obfity plon pojedynczych szczegółów i rysów, którym nie zbywa ani wdzięku, ani doniosłości. Wżył się on w te podziemia, zna dokładnie wszystkie ich krużganki, całą sieć nieprzejrzaną kurytarzy, krypt, schodów, grobów i kaplic; przysiągłbyś, że obcował z pierwszymi chrześcianami, tak dalece zna ich zwyczaje, sposób życia, nawyknięcia i roboty. Czynna opieka i poparcie, jakie znalazł u Piusa IX pozwoliły mu w całej pełni rozwinąć genialność swych poszukiwań, a jak nazwiska Rafaela i Michała Anioła nierozłącznie są związane z imieniem Leona X, tak nazwisko Rossi'ego nieoddzielnie złączonem zostanie z dziejami panowania tego papieża, którego wielokrotnie drugim tytułuje Damazym.

Dr Kazimierz Morawski.

X. MARYANA MORAWSKIEGO

„FILOZOFIA I JEJ ZADANIE.“

1. Zajmowanie się scholastyką stało się dzisiaj niemal powszechną potrzebą. Każdy wykształcony człowiek stara się mieć o niej jakie takie wyobrażenie a przeszłości badacze, do jakiegokolwiek należą obozu, na jedno się zgadzają, że wielką stała się krzywda średniowiecznym myślicielom przez długie dzieło ich zapomnienie. Sto lat temu, wszystko co wydały tamte wieki, ich poezya, sztuki piękne, nauki lub filozofia uchodziły za dzikie, niegustowne i dziwaczne wyroby, a długich potrzeba było walk i niezmiernych wysileń, aby te niczem nie uzasadnione przesady zastąpić zdrowszym, bezstronniejszym poglądem. Dzisiaj, gdy spokojnie przeszłość sądzimy i taką ją widzimy, jaką była w istocie, nie możemy się nadziwić, że był czas, gdzie ludzie nie czuli piękności *Boskiej Komedyi*, nie rozkoszowali we freskach *Giotta*, nie unosili się na widok gotyckiej katedry. Po sztukach pięknych i literaturze, scholastyka także doczekała się rehabilitacyi, która po ogólnem zasmakowaniu w średniowiecznej twórczości była raczej kwestyą czasu niż zasady. Kto upodobanie ma w *Dantem*, także pokocha *Św. Tomasza*, bo dwa te pobratymcze duchy jedną natchnioną myślą, tę samą wykładają prawdę, acz odmiennym sposobem. To też rośnie popularność ich nawet w protestanckich krajach a dość jest zajrzeć do jakiej historyi filozofii *Rittera* czy *Erdmanna* lub *Ueberwega* i cytowanych przez nich

autorów, aby przekonać się o sumienności i erudycji, z jaką pracują tam nie tylko nad ogólnem zrozumieniem scholastycznych systemów, lecz nad wyjaśnieniem nawet kwestyj szczegółowych.

2. Katolikom łatwiej było powrócić do przeszłości, bo w pewnej mierze nigdy nie zerwali z nią zupełnie. Nawet w czasach, kiedy we filozofii hołdowali nauce *Kartezyusza*, *Lockego* lub *Kondillaka*, w teologii cenili sobie wysoko powagę Ś. Tomasza i Duns Skota, jak tego wymagała ciągłość tradycji, chwała i podstawa naszego Kościoła. We większych jednak, rzec nawet można kolosalnych rozmiarach ¹⁾ zaczęto

¹⁾ Że wyraz *kolosalny* nie jest przesadzony, świadczą o tem katalogi antykwaryuszów i nakładców. Pierwsi za dzieła scholastyczne żądają nieraz cen bajecznych, drudzy podejmują się wydać z kosztami równającemi się wielkim majątkom. Szczególnie dwie firmy paryskie, *Vivés i Palmé*, obudziły podziw nadzwyczajną kosztownością i objętością swoich wydań. *Vivés* w krótkim przeciągu czasu ogłosił dzieła Ś. *Bonaaventury* w 14 tomach, *Bellarmina* w 10 tomach, *Jana de Lugo* w 8 tomach in 4to. Równocześnie ukazało się francuskie tłumaczenie *Bellarmina* także w 10 tomach. Wydanie kompletne *Suareza* w 28 tomach in 4to tak wielkiem jest przedsięwzięciem, że obok niego mniejsze wydania, n. p. teologia moralna *Lacroix* w czterech grubych tomach in 4to zupełnie znikają. Po wojnie francusko-pruskiej wydawnictwa te nie tylko nie ustały, lecz nawet się wzmożyły. *Palmé*, który już dawniej rozpoczął przedruk *Bolandystów* w kilkudziesięciu foliantach i mnóstwo dzieł historycznych, wydał sumę Ś. Tomasza w 8 tomach in 4to przez słynnego O. *Billuart*, 4te wyd. w tym wieku a 9te od czasów wynalezienia druku i przygotował nowe wyd. tak zwanych *Salmanticenses* w 20 kilku tomach. Nikt nie uwierzy, że obie firmy wydały równocześnie jezuitę *Ripalda*: *De ente supernaturali*, *Palmé* w 4 foliantach a *Vivés* w 8 tomach in 4to. *Ripaldo* nie należy do sławniejszych autorów i raczej popularności, jakiej dostąpiła scholastyka, niż jego imieniu przypisać należy dwa te wydania. Za ledwo ukończono w Parmie kompletne wyd. Ś. Tomasza w 26 tomach in 4to (1852—1870), zaczęły w Paryżu wychodzić dwa nowe wydania, z których jedno bardzo jest kosztowne. Poprzednio *Vivés* ogłosił obie *Sumy*, *Catena aurea i komentarze do listów paulińskich*, chociaż *Suma* teologiczna istniała już w kilkunastu wydaniach.

dopiero zajmować się tak starszą jak nowszą scholastyką w drugiej połowie tego wieku, mniej więcej od wstąpienia na tron Piusa IX. Ile ztąd światła wydobyto czy to na rozjaśnienie całokształtu teologii, czy na zrozumienie pojedynczych dogmatów, świadczą wymownie i bieżąca literatura teologiczna i rozprawy soboru watykańskiego i niezliczone tak podczas niego, jak zaraz po nim ogłaszane pisma dogmatycznej lub polemicznej natury. Ruch ten wielki w teologii współczesnej nie mógł pozostać bez wpływu na filozofią, która choć samodzielna i przyrodzoną jest wiedzą, z tamtą wiele ma łącznych punktów, wiele wspólnych interesów. Nie dziw przeto, że dla niej także szukano światła w scholastycznych foliantach i to z niepłonną nadzieją, gdyż do połowy tylko napełnione są teologią a w drugiej połowie filozoficznymi rozprawami. Dążność nie tylko godziwa, lecz ze wszech miar chwalebna, bo filozofia, będąc szeregiem systemów t. j. osobistych ducha ludzkiego kreacyj, więcej od innych nauk potrzebuje światła dziejowego, aby w jego promieniach mogła zdobyć przeszłości użytkować do celów przyszłości.

3. Gdyby ruch ten był pozostał w umiarkowanych granicach, gdyby zwolennicy jego nigdy nie stracili z oczu mądrej zasady, że systemy dawne powinny być dla nas szkołą, nie zaś ślepą powagą, że po ich zejściu ze świata przybyło wiele nowych myśli, odkryć i potrzeb, które w nich najczęściej pomieścić się nie dadzą, byliby bezstronnie osądzili teraźniejszość a sobie oszczędzili wiele niepotrzebnych kłopotów, wiele daremnych, bezpożytecznych kontrowers. Tymczasem fatalizm jakiś nie szczęśny zawsze wiedzie ludzi do ostateczności, tak, iż porzuciwszy bezpieczną drogę pośrednią, zdaje im się, że bardzo mądrze sobie poczną, gdy jak najdalej od niej odbiegna na prawo lub na lewo. Nie mówiąc już o Domini-

Dodajmy do tego kilka wydań *Ś. Alfonsa de Ligouri*, nieznany przedtem komentarz *Toleta* do Sumy *Ś. Tomasza* w 4 tomach, nowe wydanie dzieł wiekopomnych *Baroniusza*, *Petawiusza* i *Thomassina*, choć nie należą do właściwych scholastyków, nowe wydanie teologii *Tomasza ex Charmes* w 8 tomach, trzydzieści kilka wydań teologii *Peronnego* a otrzymamy jaki taki pogląd statystyczny na bieżący ruch teologiczno-scholastyczny.

kanach, dla których św. Tomasz pozostał alfą i omegą ludzkiej mądrości, utworzyła się liczna szkoła *Tomistów à outrance*, którzy ignorując wszystko, co zrobiła filozofia nowożytna, jedyne zbawienie upatrują w bezwzględnym powrocie do tego, czego uczył doktor anielski. A że dużo przybyło faktów naukowych, których nie łatwo w nim pomieścić, pomagają sobie w ten sposób, że albo je przekręcają albo tłómaczą w sposób, którego nauka nowożytna przyjąć nie może ¹⁾. Zdaje się, n. p. redaktorom czasopisma *La scienza italiana*, że Arystoteles i św. Tomasz znali dzisiejsze sekreta chemiczne i fizyczne, a cała w tem bieda, że nie zawsze umiemy je z dzieł ich wyczytać. Nawet umiarkowany *Ramière*, pragnący odegrać rolę pośrednika między naukami nowożytnymi a dawnymi systemami, hołduje tak ekscentrycznej opinii, która w mniej umiarkowanych głowach doszła do fanatyzmu. Nie mogąc pokonać

¹⁾ Najuczeńszym i najgorliwszym przedstawicielem tego kierunku był zmarły przed ukończeniem wielkiego dzieła swego kano: *Sansoverino*. Zob. jego *Philosophia christiana cum antiqua et nova comparata*. Neapoli 1862 w 6 tomach. Pod jego wpływem powstało czasopismo: *La scienza italiana*, którego najzdolniejszym współpracownikiem jest O. *Cornoldi*, autor kompletnego kursu filozofii, wychodzącego obecnie po włosku. Nieco umiarkowańszy O. *Liberatore* autor licznych dzieł, obecnie jeden z redaktorów słynnej rewii: *La civiltà cattolica*. W Niemczech niegdyś drogę torował *Clemens*, prof. monasterski, na której postępują teraz *Stoeckl*, *Kleutgen*, *Schneid* i kilku innych. Z Francuzów dwóch tylko wymienię: p. *Roux-Lavergne*, który napisał *Compendium philosophiae* w jednym tomiku a wydał prócz tego dwa razy sławne dzieło O. *Goudina* z XVII wieku: *Philosophia juxta inconcussa tutissima-que D. Thomae dogmata* w 4 tomach. Potem Dr *Frédault*, który dawniej napisał antropologią w duchu scholastycznym a niedawno osobną monografią: *La forme et la matière*. Należy on do najrozumnijszych scholastyków tak jak dzieło *Goudina* jest najlepszem i najjaśniejszem streszczeniem nauki S. Tomasza. Kilku innych pomijam. Prace zaś profesorów *Tongiorgi* i *Palmieri*, dzisiaj najwięcej używane po zakładach katolickich, uważać należy za samodzielne próby filozofowania, które chyba z formy przypominają scholastykę, w głównych jednak kwestyach od niej odstępują.

naukową bronią swoich przeciwników, zaczęli podawać w po-
dejście ich prawowierność, aby choć tym sposobem, często
zresztą praktykowanym, wysadzić ich z katedr w nowych uni-
wersytetach katolickich. Szczęście, że Pius IX, tolerujący
pod samym bokiem swoim najróżniejsze systemy, kazał *ks.*
Czackiemu, podówczas sekretarzowi w kongregacji studyów,
napisać sławny list do p. *Hautcoeur*, rektora uniwersytetu
w *Lille*, poczem nieco wrzawa stronnictw uciszyła się. List
ten, gdyby wcześniej ukazał się, byłby może nie jedną zmia-
nę wywołał także w książce naszego rodaka, której poświę-
cony ten nasz artykuł niniejszy; góruje zaś w twierdzeniu,
że o jednej z najważniejszych kwestyj filozoficznych wolno mieć
wręcz przeciwne od scholastyków zdanie.

4 Te uwagi mimo woli nasunęły mi się po przeczytaniu
książki *Maryana Morawskiego: Filozofia i jej zadanie*, która
dwa lata temu zaczęła wychodzić w *Przeglądzie Lwowskim*,
rok prawie już w osobnem istniejącem wydaniu, a do tej chwili
nie doczekała się krytycznego rozbioru. Pochodzi to ztąd może,
że pisanie recenzji jest u nas bardzo niewdzięcznem zadaniem,
bo czy chwalisz czy ganisz, zawsze na tem źle wychodzisz.
Mniejsza jednak o to. Tyle pewna że książka *Morawskiego*
pod niejednym względem recenzji się domaga, nie tylko dla
pięknego, jasnego języka, ściśle logicznego rozkładu i wielkiej
uczoności, lecz bardziej jeszcze dla ważności przedmiotu, któ-
rym się zajmuje. Filozofia po licznych niepowodzeniach osta-
tnich wielkich systemów idealistycznych w Niemczech, Fran-
cyi, Włoszech, a po części w Anglii i Polsce, przeżywa
głęboką, duchową kryzys, od której rozwiązania zawisły
przyszłe jej koleje. Widocznie się skupia, bada, sposobi
nowe siły do energicznej syntezy. Czy to się uda? oto
jest pytanie, które zawisło na ustach wszystkich. Wszy-
scy czekają z wytężoną ciekawością. Jedni przeczą, drudzy
spodziewają się. *Ks. Morawski* należy do pierwszych, a ma-
jąc za jedynie prawdziwą filozofią scholastykę średniowieczną,
tłómaczy niepowodzenia, bezdroża, a w końcu bankructwo
nowożytnych filozofów tem, że zerwali ze Ś. Tomaszem i
Duns Skotem. Nie pozostaje zatem nic innego jak powrócić
do wieku trzynastego, co już dzisiaj praktykuje się w *nowszej*
scholastyce, tak autor sądzi, z wielkiem powodzeniem. Oto treść

książki, rozwijana umiejętnie, odważnie, z wielkim zapałem, a interes jaki obudza, w tem właśnie, że po raz pierwszy we filozofii naszej, zostającej przeważnie pod wpływem niemieckim, zjawia się prąd inny, mający od niejakegoś czasu wielkie powodzenie u ludów romańskich.

5. Zwolennicy scholastyki uważają wyzwolenie się filozofii z pod jej jarzma za zbrodnię stanu, *crimen laesae majestatis*. Według ich przekonania, świetny gmach przeszłości zburzyli ludzie pałający nienawiścią do kościoła, do chrześcijańskiej tradycji. Istni rewolucyoniści, którzy wychowani w zasadach dawnych Rzymian i Greków, podnieśli sprośny rokosz pogańskiej cielesności przeciw duchowi chrześcijańskiemu. Jakkolwiek ks. Morawski ma wyższe o tej sprawie pojęcie, a nawet przyznaje, że *reforma była pod niejednym względem potrzebną, a każdy miał równe prawo do niej rękę przyłożyć* (str. 43), w gruncie jednak on także niewiele ceni to, co zrobiła filozofia po wieku piętnastym, gdyż kończyła regularnie albo na mrzonkach idealizmu, albo na grubym materyalizmie; prawda zaś zachowała się wyłącznie w prądzie środkowym, który „*płynię cicho (zbyt cicho może) wśród uczelni katolickich pod pogardliwą nazwą scholastyki*“ (str. 47 porówn. str. 237). Innemi słowy: przedstawicielką prawdziwej filozofii jest dzisiaj nowa scholastyka, tak jak niegdyś była nią stara, a że obie nie różnią się ani w celu ani w zasadach, lecz tylko w kwestyach drugorzędnych, przeto ktokolwiek z jedną lub drugą zrywa, by sobie nową torować drogę do tajemnic świata, musi w mniemaniu autora być buntownikiem przeciw prawdzie.

6. Atoli jest rzeczą niewątpliwą, że przez własną winę a nie przez złość ludzką upadła scholastyka. Naprzód, że zaczęła od najłżejszego zarzutu, stała się zupełnie barbarzyńską. Odpowie mi autor, że kto tak sądzi, „*nie rozumie poważnego a treściwego stylu scholastyków*“ (str. 225). Potrzeba więc bliżej określić granice tego zarzutu. Gdybyśmy go podnieśli przeciw wszystkim po łacinie piszącym filozofom i teologom od Boecjusza do Buridana lub Gabryela Biela, będzie on oczywiście niezasłużony. Są tam pierwszorzędni pisarze, którzy mimo powszechnego upadku dobrego smaku, genialne myśli wyrażają w jasnej, prostej formie, a chociaż „*rozum ich nie rozlewa się w muzycznym słowie*“ (Wi-

szniewski), to często nawet niegustowne słowa pod rytmiką myśli przybierają u nich jakieś eteryczne wdzięki. Nie piszą muszkularnemi peryodami Cycerona, to prawda, ale po chude ciało świeci nieraz tak piękna dusza, że w jej promieniach maleją fizyczne niedostatki. To jednak da się tylko powiedzieć o wybitniejszych literatach. O całe zaś średniowiecznej łacinie razem nie można wydać sądu ryczałtem, ani że jest barbarzyńską, ani że jest „poważną i treściwą.“ Trudno jednym wspólnem znamieniem objąć ośmiowiekowe piśmiennictwo, w którym każde stulecie odmienną ma barwę, a każdy nieomal pisarz innego jest narodu, wykształcenia lub temperamentu. Ale też nikt przez scholastykę nie rozumie średniowiecznej literatury, a gdy mowa o jej walce z filozofią nowoczesną, nie myśli się nawet o jej koryfeuszach, lecz o owych poważnych jegomościach, co w czternastym i piętnastym wieku dzierżyli berło teologicznej i filozoficznej mądrości po wszechnicach Europy. Ci, co nie bijąc czołem przed ich urojonym majestatem, usiłowali filozofią wprowadzić na zdrowsze, rozumniejsze gościńce, *nie mieli sprawy z Anzelmem Ś., Albertem W. lub Ś. Tomaszem*, lecz z drugo- lub pięcio, a w Polsce nawet dziesięcio-rzędnymi komentatorami, którzy oprócz wielu cech wspólnych a niekoniecznie pochlebnych, jedną mają gorującą: *barbarzyńską formę*.

7. Żeby nie posądzano maie o przesadę lub jakąkolwiek niechęć, przytoczę zdanie jednego z największych dzisiaj znawców i wielbicieli scholastyki, Dra Stoeckla: „Chociaż treść scholastyki w głównych swych częściach pozostała nietkniętą, obłożyła się jednak gorzką skorupą, która *tylko po długich, z wielką abnegacją połączonych trudach* dawała przystęp do słodkiego jądra. Gorzką tą skorupą była nasamprzód forma zaniedbana, którą scholastyka przyswoiła sobie w ciągu czternastego i piętnastego stulecia i to w coraz większych rozmiarach. Już *Duns Scotus* myśli swoje oddawał językiem, *który dla dobrego smaku jest poprostu okropny*. Następcy jego, zwłaszcza nominaliści, przewyższyli go w tem jeszcze. Zdawało się, że forma miała zginąć zupełnie na korzyść myśli. A teraz pytam, czy podobne barbarzyństwo formy, które zacząwszy się już w „złotym“ wieku scholastyki, potem rozbijało się w sposób zatrważający i dławilo w zarodku każde poczucie estetyczne, każdy

polot idealny, miało jakąkolwiek racją bytu i mogło na serio utrzymać swoje panowanie w czasach, kiedy wielkie słońca starożytne Homer, Platon i Sofokles ukazawszy się znowu na duchowem niebie ludzkości, rozlewali na wsze strony światło i ciepło najpiękniejszego z języków? Kto źle pisze, niech siebie wini, gdy go nie czytają. Dziwna zaiste pretensya, aby sobie kto zęby wykruszył na skorupie, w nadziei, że może dogryzie się ziarna. A jeśli się nie dogryzie?

8. Czyż zresztą prawda, że treść scholastyki tak była słodka, jak się wydaje *Stoecklowi* a po nim Ks. *Morawskiemu*? To cośmy usłyszeli o jej formie, każe nam sądzić przeciwnie. Może w brzydkiem ciele piękna dusza przebywać, ale nigdy myśl jasna nie ukrywa się pod mową zagmatwaną. Myśl i słowo tak się mają do siebie, że czego w drugim nie ma, także pierwszej niedostaje. Jeżeli scholastycy mówiąc o najprostszych rzeczach tłómaczyli się zawile, pochodzi to ztąd, że myśli ich były powikłane, a dzika ich mowa jest prawą córą również dzikiego sposobu myślenia. Dla większej bezstronności, odstępuję znowu słowa profesorowi *Stoecklowi*: „Metoda, której dawniejsi scholastycy tak szczęśliwie i z tak wielkiem używali powodzeniem, urosła do rozmiarów, zagrażających jej uduszeniem się we własnym tłuszczu. Przybyło tyle rozróżnień, pojęć i twierdzeń, że *tylko z niesłychanym trudem* przedostać się można przez labirynt niezliczonych wyrazów technicznych, na których opierają się owe dystynkcyje. W rozbieraniu pojęć i twierdzeń, zapuszczano sondę rozróżniania do ostatnich kryjówek myśli. Tym sposobem przez zbytek dobrego zamiast tłómaczyć rzecz i wyjaśnić, utrudniano jej zrozumienie, a umysły odstraszano trudnościami bez końca, które ich czekały, zanim przełamawszy zaporę dystynkcyi dotarli do środka. Prócz tego późniejsi scholastycy tyle przytaczają opinii, argumentów i kontrargumentów, że sama solucya maleje do drobnutkich rozmiarów. Wśród powodzi najrozmaitszych opinii, twierdzeń *pro* i *contra*, dowodzeń i zbijań, tracimy rzecz samą zupełnie z oczu, męczymy się niesłychanie, gramoląc się po mnóstwie kołyszących się na wsze strony zaciekań, trwożliwie szukamy solucyi, a gdy nareszcie doszliśmy do niej, widzimy się wobec nowego niebezpieczeństwa, że w głównej materyi odesła nas autor na powrót do dystynkcyj, które-

dawniej wyłożył w polemicznych wywodach“. Tak mówi *Stoekl*, zbadawszy gruntownie *całą scholastykę* od początku do końca. (*Geschichte der Philosophie des Mittelalters*. Tom III. str. 16 i 17).

9. Dodawszy do słów tych uwagi szanownego autora, który na str. 234 i 235 także nie mało grzechów scholastykom wyrzuca, nie pojmuję, dla czego z niechęcią mówi o „straszliwym pospolitem ruszeniu“ przeciw nauce, która dla własnych win dłużej ostać się nie mogła, a wciąż je łączy, zapewne nieumyślnie, z buntem protestantyzmu przeciw Kościołowi. Mniej uważny czytelnik gotów na seryo uwierzyć, że protestanci wyrócili scholastykę, choć powszechnie wiadomo, że oni bardzo późno i to jeszcze w duchu chrześcijańskim zaczęli uprawiać filozofią. Gdyby ich zresztą nie było na świecie, rzeczy byłyby poszły zupełnie tą samą koleją, bo interes prawdy wymagał, aby to, co się zepsuło, zastąpiono czemś nowem i dobrem, a prawda w końcu zawsze zwycięża. Dotąd mówiliśmy o ujemnych stronach scholastyki w jej późniejszych obrońcach, może się więc zdawać, że one to stały się powodem wyłącznym „pospolitego ruszenia“, które nie byłoby miało miejsca, gdyby w piętnastym wieku na katedrze paryskiej lub kolońskiej był siedział jaki nowy św. Tomasz lub Bonawentura. Otóż śmiem twierdzić, że nawet taki geniusz nie byłby uratował rozpadającego się gmachu, lecz potężnej ręki uderzeniem byłby sam go rozwalił. I tu potrzeba wykazać prawdziwą, wewnętrzną przyczynę tego dziejowego wypadku, którejśnać nie chciał dopatrzyć się żaden zwolennik *nowszej* scholastyki. Była ta nauka w dziełach swoich największych koryfeuszów syntezą filozofii i teologii, ale nie była ani jedną ani drugą. W obu zarówno posługiwano się pismem św. i Arystotelesem, a choć w zasadzie wiedziano, że co innego wiedza a co innego objawienie, w praktyce zacierano między nimi wszelką granicę, tak, iż czytelnik nigdy nie wie z pewnością, co należy do pierwszej a co do drugiej. Taki stan rzeczy może być pożądanym, nawet potrzebnym, bo odpowiada poczuciu jedności, którem przejęta nasza natura: jak nikt nie może mieć dwóch sumień w duszy, tak ani dwóch systemów w głowie. Póty będzie pracował, biedził się, zastanawiał, dopóki wiedzy przyrodzonej i nadprzyrodzonej nie ułoży sobie w zgodną ca-

łość. Ale ta zgoda, której każdy człowiek myślący dla siebie i dla innych pragnie, owocem być powinna sumiennych, samodzielnych badań, a zanim do rzeje, upłyną czasem wieki. Nie raz badania naukowe w odmiennych poszedłszy kierunkach, tracą się wzajemnie z oczu i dopiero po długich mrozach znowu się łączą w nową całość. Ale i ta synteza po niejakiś czasie, okazawszy się niedostateczną, rozkładać się poczyną, w czym ludzie małoduszni widzą śmierć tylko, a ludzie wyżsi zapowiedź nowej świetniejszej syntezy. Jestto prawo dziejowe, które żadnych nie dozwala wyjątków. Wyraził je pięknie Cycon: *Infra lunam nihil est nisi mortale et caducum*. Scholastyka także poddać się jemu musiała. Będąc zjednoczeniem wiary i wiedzy, objawienia i nauki, zaspakajała długo umysły, aż nareszcie przy ciągłym rozwoju ludzkości a nagromadzeniu nowych materiałów naukowych, okazała się niedostateczną. Wtedyto dała się uczuć potrzeba, aby dawne jej składniki gruntownej poddać rewizji.

10. Ta rewizja podjęta w wieku XV nie wypadła na jej korzyść, bo pokazało się, że zarówno filozofia jak teologia wiele rzeczy nauczyć się powinny, zanim odważą się na nową syntezę. Ztąd rozłączono je, aby nie przeszkadzały sobie, a to rozłączenie wyszło im na dobre. Co do teologii, nie ulega to żadnej wątpliwości. Autor lepiej wie ode mnie, że dopiero pod umiejętną ręką Towarzystwa Jezusowego stała się samodzielną nauką w znaczeniu nowożytnem. Dawniej właściwie jej nie było. Ś. Tomasz i współcześni mu geniusze byli olbrzymami w dyalektyce, ale gdyby dzisiaj, po wiekach tylu, wracali na świat, powiedzieliby sami o sobie, że byli scholastykami, a nie teologami. Nie ubliża to ich wielkości, że dać nie mogli tego, czego podówczas nie mieli, że do najtrudniejszych traktatów zabierać się musieli bez znajomości starożytnych języków, bez krytyki i metody, bez zmysłu historycznego, bez owych nieprzejranych zasobów archeologii i filologii, które później tyle rzuciły światła na rozwój chrześcijaństwa i zrozumienie dogmatów. Aby ocenić głęboką przepaść, dzielącą scholastyków od nowoczesnej teologii, dosyć jest porównać to, co napisał św. Tomasz o Trójcy w swej Sumie z dziełem *Petawiusza „de theologicis dogmatibus“* lub traktatem *Franzelina „de Trinitate“*. Wymieniłem dwóch mężów genialnych, z których pierw-

szy († 1652) jest ojcem i założycielem teologii dogmatycznej, drugi największym jej żyjącym przedstawicielem. Obaj należą do Towarzystwa Jezusowego, którego specjalną chlubą jest utworzenie i gorliwa uprawa dogmatyki. Za jej przykładem inne także działy teologiczne ogłosiły się samodzielnymi dyscyplinami: powstała teologia moralna, exegeza, historia kościelna, archeologia. Tego wszystkiego nie było dawniej i być nie mogło, dopóki istniała scholastyka. Zrodziwszy naraz tyle dzieci, żyć przestała, bo przelała w nie swoje najlepsze soki żywotne. Taka jest prawdziwa i rzeczywista przyczyna jej śmierci, przez dziejopisarzów przemilczana. Wobec niej, deklaracye o pospolitem ruszeniu nowożytnych pogan przeciw duchowi chrześcijańskiemu mało mają znaczenia. Napady Platonczyków, Stoików, Giordana Bruna i wszystkich Helenistów razem byłyby rozbiły się bezsilnie o potężne mury starodawnego gmachu, gdyby zwolna Jezuici i pokrewne im tendencyą naukową zakony, nie były treści teologicznej, zawartej w scholastyce, przerobili w szereg samodzielnych nauk. Wtedy oczywiście nic z niej nie pozostało prócz filozofii, a że ta nie miała w sobie żadnych warunków życia, łatwo okazać.

11. Autor przyznaje (str. 232), że *scholastycy nie mieli we filozofii ani planu ani całokształtu*. Jeżeli przez filozofią rozumiemy samodzielne badanie przyczyn wszech rzeczy, o ile przystępne są rozumowi bez objawienia, to takiej filozofii wcale nie było w XIII stuleciu. To co się dało ochrzcić w Aristotelesie, połączono z dogmatami chrześcijańskimi i wszystkim, co podówczas wiedzano, w najdziwniejszą całość. Gdy połowa nadprzyrodzona tej wiedzy odłączyła się, aby odrębnym cieszyć się bytem, owdowiała jej połowica przyrodzona gwałtownie potrzebowała reformy, choćby dla tego, że w niej nie było ani ładu ani kształtu. Pytam autora, kto miał tej reformy dokonać? *Oczywiście tylko naturaliści*. Autor tego nie wie, dlatego wyrobił sobie zupełnie opaczne pojęcie o nowożytnej filozofii. Opowiada nam (str. 48 i nast.), jak zrazu wskrzesiciele pogańskich systemów filozoficznych usiłowali rozbić scholastykę, a gdy się to nie udało, gdy te „wulkaniczne wybuchy zabłysły i zgasły”, przyszli *Bakon i Kartezjusz*, ojcowie wszystkich szkół następnych. Odtąd rozwój myśli ludzkiej odbywa się sposobem szalonej huśtawki, na której raz

idealizm w górę idzie, drugi raz materyalizm, tak iż czytelnik w końcu odurzony tem nieustającym kołysaniem się najdziwniejszych paradoksów, jedyny ratunek w scholastyce widzi, w której wszystko odbywało się spokojnie i poważnie. „*Nie upadła scholastyka pod względem prawdy, w jej zasadach tkwiącej, bo prawda jest niespożyta. Okrzyczano te zasady, wyśmiano je, w końcu zapomniano o nich, ale ich nie pokonano, nie wykazano w nich fałszu.*” (str. 236). Piękne słowa; pełne uniesienia, ale czyż doprawdy filozofia scholastyczna ma tak niespożyte zasady? Jakież one były? *Któż nie wie, że są te same, co Arystotelesa*, że ziemia nieruchoma w środku świata, że do koła niej obiegają księżyc, słońce i pięć planet, każdy w swojej sferze, potem gwiazdy stałe w osobnej sferze, nareszcie sfera ostatnia *primum mobile*, za pomocą którego Bóg najwyższy całą machinę świata wprowadza w ruch wirowy. Świat od wieków istniejący zupełnie bez Boga się rozwija, według mechanicznych, nieodmiennych praw. Duszy ludzkiej jedna połowa śmiertelna, będąc wyrobem funkcji organicznych, druga połowa żyje dalej po śmierci, ale nie wiadomo, po co, gdzie i jak długo. Za to każda gwiazda jest istotą doskonałą, wieczną, myślącą. Prawda, że scholastycy wyrzucili z Arystotelesa wszystko, co wprost sprzeciwiało się objawionej religii. Atoli zasad jego kosmologicznych nie tknęli wcale, nawet je przesadzili. Ziemię mieszczą nieruchomie w środku świata, wszystkie ciała niebieskie powyżej księżyca uważają za wolne od zmian i zepsucia, a jeżeli u Stagiryckiego filozofa materya i forma, *ogólne* składniki wszech rzeczy, prawdopodobnie mają tylko metafizyczne znaczenie, to u nich zjawia się *materia prima*, która jest wszystkim i niczem, i całą mitologia form substancyalnych, które z owej niepojętej nicości przy danej okazji powstają, aby znowu w razie potrzeby do niej powrócić.

12. Otóż „*niepokonane*” zasady scholastyki. Każdy czytelnik, obeznany z dzisiejszą astronomią i fizyką, wie, że nie tylko są pokonane, lecz i zapomniane zupełnie. Czyż naukowa ich porażka jest tylko pozorną, jak zdaje się autorowi tylko urojoną w głowach nowszych filozofów, którzy naśmiewają się z wszystkiego, czego nie rozumieją? Dajmy na to, że tak jest, że od *Bakona* i *Kartezyusza* aż do *Hegla* i *Hartmana* pisali

ludzie same brednie, czyż stąd wynika, żeby scholastyczna nauka o świecie była prawdziwą? Bynajmniej, bo ona nie tylko z twierdzeniami pojedynczych filozofów lecz także z wyższym trybunałem liczyć się musi, a ten ją potępił nieodwołalnie. Mylą się często metafizycy, afirmując więcej, aniżeli dowieść potrafią, ale nie myli się fizyka nowożytna, pracująca w granicach ścisłej i trzeźwej obserwacji. Otóż fizyka, konieczna podstawa a zarazem kamień probierczy wszelkiej metafizyki, ¹⁾ ludziom starożytnym i średniowiecznym zupełnie była nieznana. Jak zamiast astronomii mieli astrologią, zamiast chemii alchemią, tak Arystotelesowa fizyka jest tylko fizykologią, dziwną mieszaniną rozumu i zabobonu, źle obserwowanych faktów a najdowolniejszych hipotez. W dwunastym wieku przyswoili sobie chrześcijanie tę fizykę, bo nie mieli lepszej, obejmowała zresztą wszystko, co podówczas wiedzano o świecie. Pod jej urokiem przyjęto także metafizykę perypatetycką i od biedy ochrzczono, choć wyższym umysłem nigdy nie była sympatyczną. Przez kilka wieków w nią wierzono, bo jeszcze nie nadszedł czas naukowej rewizji. Gdy zaś pod koniec XV wieku podróże zamorskie a za nimi idący rozwój nauk przyrodzonych zachwiały jej powagę, tem samem zaczęto niedowierzać także metafizyce, bo ta w Arystotelesie tak zrosła jest z jego fizyką, że bez niej ostać się nie może. Nareszcie trzech mężów genialnych, prawdziwie opatrnościowych,

¹⁾ Trafną daje radę filozofom katolickim *Ramière*, gorący zwolennik dawnych scholastyków: „Trzeba przeszkodzić za każdą cenę, aby nauczanie katolickie, biorąc na nowo w posiadanie prawnie sobie przynależną dziedzinę, nie zgorczyło świata nienaturalnym rozwojem między filozofią a naukami przyrodzonymi. Jeżeli mamy ponieść ofiary, w celu przywrócenia zgody, trzeba się zgodzić na nie z całego serca.“ (*L' accord de la philosophie de S. Thomas et de la science moderne*. Paris 1877. str. 11). Zdaje mi się, że najłatwiejszą będzie ofiarą, powiedzieć, że *Arystoteles* i *S. Tomasz* nie mieli wyobrażenia o nowszych naukach. Nie osłabi to w niczem ich powagi w teologii a nawet w kwestjach filozoficznych, gdy te nie mają związku z przyrodą, uwolni naturalistów od niepotrzebnych dyskusyj, a zostawi nam zupełną swobodę badania, bez której w naukach przyrodzonych nie poważnego zrobić nie można.

obdarzyło ludzkość nowym na świat poglądem, który się ma do dawnego, jak dzień do nocy, a dla nas Polaków szczególną jest chlubą, że jeden z nich naszym jest rodakiem. *Kopernik* naznaczył ziemi prawdziwe miejsce w przestrzeni, *Kolomb* dowiódł, że jest kulą i że są antypody, *Galilei*, *cujus fama in coelo lucet et terras peragrat*, jak mówi Urban VIII, nie tylko Kopernika nieśmiertelną hipotezę zamienił w prawdę dotykającą, lecz nadto stworzył owę ścisłą metodę naukową, bez której nauki przyrodzone nie byłyby zrobiły żadnego postępu. *Galilei* swoim teleskopem zburzył fizykę Arystotelesa, poczem metafizyka jego utraciła wszelkie znaczenie.

13. Autor nie o tem nie wspomina, bo musiałyby zmienić swój sąd o upadku scholastyki. Nie ludzie bezbożni ją rozbili, lecz z jednej strony pobożni teologowie, z drugiej strony nie mniej pobożni fizycy, którzy wcale nie myśleli o podkopywaniu prawd chrześcijańskich. Po tym fakcie niewątpliwym mówić dzisiaj o powrocie do scholastyki na jedno wychodzi, co zanegować wszystkie zdobycze nauk przyrodzonych aż do naszych czasów. Czy autor tego chce? Wątpię, bo zbyt jest rozumny, aby chciał rzeczy niepodobnej. Do czego więc mamy powrócić? czyż do metafizyki Stagiryty? Ależ należało wykazać wprzód, że *dzisiejsza fizyka zgadza się z jego metafizycznym systemem*. Dopóki tego autor nie uczyni, stronić będzie fizyka od nienaturalnego małżeństwa, z obawy, by nie porodziła centaury, który będzie ni to ni owo, ni koń ni człowiek. W żadnym zaś razie tak ważnej kwestyi, decydującej o losach nowożytnej fizyki, nie można rozstrzygnąć bez zezwolenia naturalistów, a ci najmocniej temu projektowi się opierają. Bez ich zgody nie ma on żadnych widoków powodzenia. Trudno nawet pojąć, jak on dzisiaj na seryo może przyjść komu do głowy. Małżeństwa zawierają ludzie dorośli, skończeni a dwóch tych przymiotów wcale nie posiada fizyka nowożytna. Ona jest dopiero, jak mówią scholastycy, *in fieri* a temu właśnie zawdzięcza swój postęp olbrzymi. Każda przedwczesna synteza skompromituje jej sławę a powstrzyma jej postęp z wielką szkodą prawdy. Czekajmy, dopóki nie będzie gotowa a gdybyśmy nawet setki lat czekać mieli, nic na tem ludzkość nie straci. Metafizyka zaś Arystotelesa mniej jeszcze kwalifikuje się do syntezy, przypuściwszy nawet, że prawdziwa.

Choć dawno umarła, zrozumienie jej ciągle postępuje. Dzięki zabiegom akademii berlińskiej studia Arystotelesowe przybrały w tym wieku dawniej nieznane rozmiary. Nagromadzono zasoby krytyczne i historyczne, o których jeszcze w przeszłym wieku nawet najśmielsza imaginacja marzyć nie mogła. Zdolni ludzie, z nadzwyczajnem poświęceniem, jak niegdyś *Trendelenburg*, dzisiaj *Zeller* i *Brentano* pracują nad tym materiałem i innych swoim przykładem do podobnych studyów porywają. Czekajmy aż nam powiedzą nareście, co *Arystoteles* rozumiał przez *actus* i *potentia*, *materia* i *forma*, cztery filary swojej metafizyki. Czy nowsza scholastyka odbyła, nie mówię gruntowne, lecz jakiegokolwiek studia na tem polu? Nie o nich nie słyhać, *żadnej* uczonej pracy o tym przedmiocie nie ogłosiła, choć mieni się spadkobierczynią Stagiryty. A co dziwniejsza, że w jej obozie tak wielka panuje niepewność co do czterech kardynalnych pojęć peripatetyckiej metafizyki, że każdy prawie je inaczej tłómaczy, a nawet według upodobania i kaprysu jedno lub drugie zupełnie odrzuca. Niechaj sam autor nam powie, czy godzi się nazywać scholastykami filozofów, którzy fizykę mają zupełnie odmienną od arystotelesowej, a metafizykę w głównych pojęciach także odmienną. ¹⁾

¹⁾ *Tongiorgi*, najlepiej i najjaśniej piszący po łacinie z jezuickich tegoczesnych filozofów, jest podobnie jak *O. Secchi* atomistą. Zbijając system schol. w osobnym rozdziale, przeprosza na wstępie, że podejmuje się pracy właściwie niepotrzebnej, skoro system ten *obsoletum jamdiu sit et a scholis eliminatum* (Institutiones philosophicae. Bruxellis 1869. Tom II str. 212), a dochodzi do konkluzji takiej, że między fizyką nowożytną a teorią scholastyków *tanta est oppositio, ut physicorum dogmatibus receptis, illico tota peripateticorum theoria corruat et vicissim, qui ejusmodi theoriam complectitur, ea dogmata respuat necesse sit* (str. 215). *Palmieri* zaś bardzo ciemno tłómaczący się autor pali na wstępie scholastykom komplement, że system ich prawdziwy, dopóki o nim mowa *in confuso* (Institutiones philosophicae. Romae 1875. Tom II. (str. 132) t. j. że w każdej rzeczy rozróżniać można dwa pierwiastki, materyalny i kształtujący, poczem niemiłosiernie system zbija (str. 140—159) a w końcu oświadcza się za umiarkowanym dynamizmem (str. 174.) *O. Secchi*, najkompetentniejszy w tej sprawie sędzia, oczywiście

14. Pragnąc dowieść, że prawda przebywa tylko w nowszej scholastyce, musiał autor wykazać, że wszystkie systemy inne są błędne lub do błędów koniecznie prowadzą. To jednak nie zupełnie mu się udało, gdyż jednych myślicieli nie zgłębił należycie, drugich zupełnie pomija. Co napisał o *Fich-tem*, *Szellingu* i *Heglu*, jest trafne i dobre, bo rzeczywiście systemy tych myślicieli były nieogłędnymi, przedwczesnymi syntezami. Ale trudno zgodzić się na jego sąd o *Kancie*. Królewiecki mędrzec, mimo swoich błędów i dziwactw, pozostanie na zawsze wielką potęgą umysłową, a jego krytycyzm otworzył filozofii nowe widoki. Trzej wspomniani idealiści mocno go skompromitowali podawaniem własnych swoich pomysłów za konieczny wynik jego systemu. Ztąd albo go lekceważono, gdy oni rośli w sławę, lub też gdy upadli, obejmowano go wspólną ku nim niechęcią. Dzisiaj umysły trzeźwe do niego wracają z upodobaniem, bo rzeczywiście wiele od niego nauczyć się można, tak samo od *Herbarta*, o którym autor wcale nie wspomina, choć jego system wielkiego używa poważania u przyrodników. Mniejsza już o *Schopenhauera*, choć on także do wielkich liczy się myślicieli, ale prawdziwie nie do darowania, że autor ignoruje zupełnie wszystkie szkoły pośrednie. Nie można twierdzić, żeby w Niemczech byli sami idealiści lub materyaliści, są tam umysły umiarkowane, które ostrożnie sterują nawą filozofii środkiem rzeki, by uniknąć rozbi-
cia. *Morawski* wciąż powtarzając, że prawda jest w środku między empirią a idealizmem, choćby dla tego był powinien wspomnieć o nich, żeby go nie posądzano o *jalousie du métier*. Jest n. p. szkoła młodszego *Fichtego*, która w psychologii, etyce i teologii przyrodzonej wielkie położyła zasługi: dlaczegoż ją autor pominął milczeniem? Jest znowu osobna klasa przyrodników, którzy, choć na empiryi polegają, nie zrywają przecież z idealnymi poglądami; ich także do środków we filozofii zaliczyć wypada. *Lotze*, *Zöllner*, *Fechner* i wielu innych albo wprost do nich należą, albo pokrewni chodzą drogami. Są znowu krytycyści, którzy zarówno brzy-

nie nie chce słyszeć o scholastyce. Wielka szkoda, że jego słynnego dzieła „o *jedności sił przyrody*“ nikt dotąd nie przyswoił naszej literaturze.

dząc się panteizmem jak materyalizmem, wyrobili sobie odrębny system tak zwany „*nowszy krytycyzm*,” który dzisiaj głośno w Niemczech dobija się palmy wyższości, a w każdym razie powinien być przypuszczony do głosu w kwestyi tak ważnej, czy nowsza scholastyka rzeczywiście zajmuje stanowisko pośrednie między skrajnemi frakcyami filozoficznego parlamentu.

15. Odpowie może autor, że wszystkie te prądy, nie wydawszy jeszcze głośniejszej syntezy, nie zasługują na uwzględnienie, a zostając zupełnie za obrębem Kościoła, prawdopodobnie w sobie nie wiele mają prawdy. Być może, należało jednak wspomnieć przynajmniej o wielkich pracach filozoficznych w obrębie Kościoła, które ze scholastyką nic nie mają wspólnego. „*Scholastyka jest faktycznie jedyną filozofią chrześcijańską i sama walczy z filozofiami dzisiejszych pogan*“ (str. 238). To zdanie nieogłędne może wyrodzić przekonanie, że Kościół żadnej innej nie uznaje filozofii i że katolikiem być nie może, kto na innej drodze szuka prawdy. Tak jednak nie jest, bo *faktycznie* istnieją wielkie systemy filozoficzne, wyznawane przez gorących chrześcian. Nie wiem, zkąd autor dowiedział się, że *ontologizm* wszędzie ustąpił miejsca Ś. Tomaszowi (str. 237). Może w Lowanium, ale we Włoszech *Rosminianizm*, który niezaprzeczenie jest odnogą ontologizmu, szerzy się w najlepsze, i w północnych Włoszech nie tylko po uniwersytetach gorliwych ma stronników, lecz nawet w seminariach biskupich publicznie wykładany bywa. *Pestalozza* i *Corte* ułożyli w tym celu wyborne kompendya, powszechnie używane. *Rosmini* jest jedną z największych ozdób filozofii chrześcijańskiej; a choć florencka *Civiltà Cattolica* niezmordowaną była w podejrzywaniu jego ortodoksyi, zaczepki te wyszły na większą jego chwałę, bo wywołały przed dwoma laty znaną odpowiedź Watykanu, że w pismach wielkiego myśliciela nic nie znaleziono przeciwnego wierze. Ta publiczna rehabilitacja jedna już zbija twierdzenie autora, że prócz scholastycznej nie ma filozofii katolickiej. Jeden *Rosmini* ogromem swoim równoważy wszystkie kompendya przeciwnego obozu.

16. Mogę szanownemu autorowi przytoczyć fakt jeszcze ciekawszy. Podczas gdy w słynnym „*Collegio Romano*,” wyklada się *Tomizm*, choć Dominikanie (n. p. O. Zigliara) bardzo

nad nim potrząsają głowami i nieraz z nim żywe mają sprzeczki — równocześnie niemniej sławne „*Seminario Romano*,” w którym nie tylko kler dyecezyalny rzymski, lecz i część prowincjonalnego wychowuje się, we filozofii trzyma się tak zwanej „szkoły rzymskiej.” Otóż przez „*filosofia romana*” nikt w Rzymie nie rozumie tomiżn.u, lecz prof. *Alojzego Bonelli* i uczniów jego. Uczą oni dziwnego eklektyzmu, w którym zalety sensualistów angielskich połączone są z filozofią *Galluppi*ego. A ten *Galluppi*, niech czytelnik nie przeraża się, jest umiarkowanym zwolennikiem *Kanta* i własny system sobie utworzył po przetrawieniu „*krytyki czystego rozumu*.” Nikt jednak we Włoszech nie podejrzewa jego ortodoksji. Mógłbym tu wielu jeszcze wymienić czy pisarzy, czy amatorów filozofii, a wśród nich niejednego biskupa i księcia Kościoła, mających własne swoje systemy a żadnego nie czujących skrupułu z tego, że nie zawsze są w zgodzie z „nowszym” perypatetyzmem. Zaszedłbym jednak dalej, aniżeli zamierzam w tej chwili, fakta przytoczone wystarczają na odparcie zbyt śmiałej insynuacji o *tożsamości scholastyki i katolickiej filozofii*. Niechaj jednak nie sądzi autor, abym miał małe wyobrażenie o szkole, do której on należy. Miło mi wyznać publicznie, że ona przyczyniła się niezmiernie do szerzenia zdrowych zasad i do rugowania błędów, a gruntowną uprawę logiki i dyalektyki zaślubiła sobie na trwałą wdzięczność. Nie małą także ma zasługę, że często odwołując się do Ś. Tomasza, a często go zbijając, zmusza uczniów do zabierania znajomości z tym duchowym olbrzymem, która im będzie głębsza, im poufalsza, tem lepiej dla umysłów wykształconych. Jeżeli się opieram czemu, to ekсклюzywności i wszystkiemu, co podobnem jest do kliki, do ducha partyi.

17. Sam autor nie chce stronnego podziwiania we filozofii, nie chce ubóstwiania ludzkiej powagi, jak to czynią dzisiejsi tomiści ze sumą św. Tomasza. Napisał „że Tomasz z Akwinu był olbrzymem, ale jakimże prawem przesądzać, że nie może w ciągu wieków powstać olbrzym jeszcze potężniejszy? A przypuściwszy nawet, że nikt już Tomaszowi nie miał wyrównać, to jednak nie można jemu przyznawać bezwzględnej nieomyślności, nie można przeczyć, że późniejsi, korzystając i z jego światła i z nowszych prac, znajdują w jego zda-

niach nie jedno. do poprawiania. Przecież i karzeł, wspinając się na barkach olbrzyma, dalej od niego zobaczy" (str. 228). Za piękne te słowa, których żaden tomista nie podpisze, niewymownie wdzięczny jestem autorowi; rozszerzmy je do wszystkich starszych i nowszych scholastyków, a będziemy mieli prawdę zupełną. System filozoficzny, podobnie jak styl w architekturze, jak szkoła w malarstwie lub rodzaj w poezji jest dzieckiem swego czasu, owocem licznych cywilizacyjnych czynników. Całość jego minęła niepowrotnie i nikt jej nie wydrze przeszłości, ale prawdziwych szczegółów jego, nakształt dobrych kamieni ciosowych, potomność z pewnością nie odrzuci, bo ona coraz nowsze i coraz wspanialsze stawiając gmachy, coraz więcej potrzebuje budowlanego materiału. Cieszymy się, że przeszłość Platona nam przekazała obok Arystotelesa, Tomasza obok Skota, Kartezjusza obok Leibnitza, ale nie polegajmy na żadnym z nich wyłącznie, raczej uczmy się od nich, jak całą treść naszej oświaty, wszystkie duchowe wyroby naszego stulecia ułożyć w nową, oryginalną syntezę. Inaczej postępując, zdradzimy prawdę, ściśnimy umiejętność a „*a takie ściśnienie umiejętności*, jak dobrze mówi autor, *musi niekorzystnie wpłynąć na jej rozwój*" (str. 228).

18. Książka szanownego autora w drugiej swej połowie, tam gdzie zakreślony plan nowej syntezy, pewną jest rękoiścią, że on także udział weźmie czynny, energiczny, w duchowej twórczości filozoficznego myślenia. Nie tutaj czas ani miejsce, mówić o szczegółach tego planu; zaczekajmy, dopóki nie będzie wykończony. O kilku punktach mniej zgodnych z mojem widzeniem rzeczy wspomniałem w przeszłym roku w rozprawie „*o podstawie i granicach filozofii*". Nie mogąc mieć pretensyi, aby wszyscy czytelnicy ją znali, powtórzę je pobieżnie, dodawszy kilka innych punktów godnych uwagi. Nasamprzód definicya filozofii jako *wiedza wszechrzeczy w pierwszych, najwyższych przyczynach* (str. 248) jest widocznie za szeroka, bo identyfikuje z jednej strony filozofią z teologią, a z drugiej strony wciąga do niej wiele nauk n. p. matematykę i historią, które do niej nie należą. Przyczyną zaś tej błędnej definicyi (której nadaremnie autor broni na str. 29) wyjętej żywcem z ust jakiego panteiście, jest wspólne z panteistami rozpoczynanie od idei *bytu*. Wiem dobrze, że autor panteistą

być nie chce, pozwoli jednak, że mu zrobię przyjacielską uwagę, iż każde filozofowanie *a priori*, zaczynające od jakiejś ogólnej kategorii myślenia, prędzej czy później panteizmem się staje. Przyczyna tego bardzo prosta: byt myślny jeden jest a wszystkie myśli lub pojęcia są tylko modyfikacjami jednego najwyższego pojęcia. Otóż system, mający na czele byt abstrakcyjny, podsumujący podeń zastępy pojęć niższych — a panteizm, snujący z wszechbytu szereg bytów szczegółowych są do siebie podobne jak dwie krople wody. Odpowie autor, że „*byt z natury rzeczy rozróżnia się na bezwzględny, sam przez się istniejący, ens a se, który nazywamy Bogiem i byt względny, zależny, ens ab alio, t. j. stworzenie* (str. 264). Wiadomo jednak, że tego *a priori* wiedzieć nie można. Tylko ontologisci i panteisci utrzymują, że *a priori* znać można Boga, wszystkie inne szkoły uważają to dzisiaj za rzecz niepodobną. W ogóle apriorystyczne rozumowanie, w którym autor zbyt wielkie ma upodobanie, nie przypadnie do smaku ludziom, wychowanym i pracującym w naukach ścisłych. Nie pochwalam oni zdania autora, że filozofia *a priori* musi mieć trzy działy: ontologią, logikę i etykę, i to dla tego, że „*byt w całej swej powszechności może być trojako uważany, jako byt sam w sobie, jako byt w wiedzy i jako byt w woli* (str. 249); powiedzą mu, jak niegdyś Gaunilo Anzelmowi, że ztąd, iż byt jakiś uważam jako istniejący w sobie, nie wynika wcale, aby istniał rzeczywiście. Wszak ilości urojone, chwalebny nabytek nowoczesnej matematyki, mogą być uważane *w sobie*, gdyż każda z nich reprezentuje ilość samoistną, mogą być uważane *we wiedzy*, gdyż cały szereg twierdzeń, wynikających z ich teoryi, jest niewątpliwie *prawdziwy*, mogą być uważane *we woli*, bo matematyk z ich pomocą rozwiązujący zagadnienie niewątpliwie dozna wielkiej satysfakcyi we własnej woli. Czyż ztąd jednak wynika, aby ilości urojone miały troiste istnienie, lub żeby w ogóle gdzieś istniały po za umysłem matematyka?

19. Przestaję na tych kilku uwagach, bo szczegółowo rozbierać plan, który następnie może uleść znacznym odmianom, byłoby pracą przedwczesną. Przyszłość i to nie bliska, bo filozofowie zazwyczaj przy schyłku życia ogłaszają swoje systemy, przyszłość, mówię, okaże, czy uda się autorowi całą

wiedzę nowożytną ująć w ramy apriorystycznej, średniowiecznej dyalektyki. Tymczasem książkę gorąco polecam uwadze publiczności, bo z niej nietylko o średniowiecznej filozofii, która u nas wcale jest nieznaną, lecz i o wielu niemieckich pisarzach, błędnie u nas ocenianych, dowiedzieć się można wiele trafnych sądów i ciekawych szczegółów. Ci nawet, którzy zupełnie zasad autora nie dzielą, przeczytają ją z wielkim pożytkiem, bo widząc, jak jemu na serwo chodzi o uprawę i rozkwit tej boskiej nauki, sami większą do niej miłością rozploną. Co do mnie, zawdzięczam jej kilka godzin przyjemnych, a gdy stanie się rzeczywistością to, co zapowiada w zarysie; gdy autorowi uda się nowa filozoficzna synteza, radość moja będzie szczerą i wielką. Wcale to jednak nie przeszkadza, żeby nie były podobne inne, oryginalniejsze syntezy, na innych oparte zasadach. Pięknie bowiem powiedział pisarz starożytny: I cóż na tem zależy, jakim rozumem kto prawdy szuka? jedną drogą nie dochodzi się do tak wielkiego sekretu. *Quid interest, qua quisque prudentia verum requirat? uno itinere non potest perveniri ad tam grande secretum.*

21 stycznia 1878.

Dr Stefan Pawlicki.

Do „Reformy Stosunków Wiejskich.“

X. *).

O PRZEMYŚLE DOMOWYM.

I.

Przy rozważaniu jakiejkolwiek ekonomicznej sprawy, potrzeba dzisiaj w Austrii cofać się jeszcze koniecznie do wystawy powszechnej wiedeńskiej z r. 1873 i przyspieszonego przez nią przcsilenia finansowo-ekonomicznego w całym państwie. Dwa te wydarzenia, których skutki państwo austriackie przez dziesiątki lat jeszcze odrabiać będzie, właśnie ujemną stroną swoją spowodowały następnie nie jedną zmianę na lepsze, a przedewszystkiem zwrot w pewnej mierze w zapatrywaniach ekonomicznych sfer rządzących. Po epoce *fałszywego* rozwoju ekonomicznego, to jest gründerstw opartych na ułudnych podstawach, na fikcyjnych wartościach, albo znowu na hiperpro-

¹⁾ Patrz „Przegląd Polski.“ Sierpień 1877. Szereg tych artykułów przerwany od dłuższego czasu, bynajmniej nie zamknięty.
(P. Red.)

dukcyi, forsowanej bez względu na warunki, w których się odbywała i bez oglądania się na popyt—rząd widząc dokoła spustoszenie, ruiny, upadek siły podatkowej, zastój wszelkich interesów dawnych, a niechęć i niemożność brania się do nowych, zwrócił uwagę swoją, po raz pierwszy (ale też i pierwszy) na inne, nietknięte dotąd źródła produkcyi, zarobkowości i dochodów.

Inicyatywę w tym nowym kierunku wziął rząd, co tem więcej przyznać i uznać należy, że jest to zjawiskiem wcale w Austrii niezwykłym, a w Galicyi pierwszym i jedynym, gdyż dopiero teraz, po kilku latach inicyatywy rządowej, zaczyna i kraj we wskazane ślady wstępować, lubo jeszcze nie z zupełną świadomością i znajomością sprawy. W poszukiwaniu za prawdziwemi źródłami produkcyjnej pracy przedstawiła się, jako najbliższa i najłatwiejsza sprawa *przemysłu domowego*, którego rozmaite *zarody* w Austrii się znachodzą, dla którego i u nas zdają się być odpowiednie warunki. Była już w programie wystawy powszechnej wiedeńskiej osobno oznaczona grupa: *przemysł domowy — Hausindustrie* — lecz w urzędzeniu wystawy zaniechano jej, raz z braku dostatecznej ilości okazów, powtóre i właściwie dlatego, że chciano czegoś, z czego sobie jeszcze nie zdawano sprawy, czego nie umiano należycie określić. Okazy też jakoby do tej grupy nadesłane rozdzielono między inne, gdzie się dało. I dotąd jeszcze, nie zdarzyło mi się nigdzie spotkać dokładnego określenia o co tu idzie, a zdaje mi się, że zajęcie się tą sprawą od tego rozpocząć się powinno. Inaczej bowiem niepodobna by uniknąć złudzeń, mniemań mylnych, lub mglistych, nadziei zawodnych i ofiar bezużytecznych; a złudzenia i pomyłki w zakresie ekonomii, mszczą się skutkami, bodaj czy jeszcze nie dotkliwszemi i trwalszemi, jak złudzenia w innych sferach działania. Złudzenia te, pod względem przemysłu domowego, już się nawet u nas szerzyć zaczynają, dzienniki pewne rozkosznie pływają na płytkim gruncie rozbujających frazesów o przemyśle domowym, bo to sprawa *modna*; wielu ludzi dobrej woli dobadauje się prawdy, nie żałuje i grosza, pojawiają się szlachetne usiłowania, wszyscy spodziewają się czegoś, — lecz wogóle panuje ciemność i macanie w ciemności. Trwa ten stan już rok czwarty, od chwili, gdy rząd wziął inicyatywę, więc jeżeli *ma*

być chleb z tej mąki, to czas już, żeby sprawę jasno postawić i ściśle określić, żeby się darmo nie bałamucić, nie łudzić i nie wmawiać w siebie pracy, jeżeli jej jeszcze niema.

Zbadanie sprawy nie jest zresztą rzeczą zbyt trudną — bo można ją śledzić tam, gdzie się już rozwinęła, za granicą; a zestawienie jej z naszymi stosunkami może wskazać, czy są dla nas widoki i jakie, jakie są potrzebne warunki, o co się starać należy, a czego unikać potrzeba.

II.

Przemysł domowy, n. b. ludowy, wiejski, taki jaki się gdzie niegdzie za granicą rozwinął, i jakim zresztą z natury rzeczy być musi, rozpoznać można po *czterech* charakterystycznych cechach; brak którejkolwiek z nich zmienia rzecz zupełnie.

Pierwsza cecha wskazana jest w samej nazwie, to jest że przemysł ten musi być wykonywanym w *domu*, a więc nie w warstatach, nie w fabrykach osobnych.

Druga cecha wynika już z pierwszej — mianowicie, że przemysł ten wykonywany jest w sposób *w domu możliwy*, więc przeważnie i głównie *ręcznie*, z użyciem tylko najprostszych narzędzi, lub maszyn; zupełnie bowiem obyć się bez tej pomocy żadna ulepszona, zdolna do konkurencyi i na wielką skalę prowadzona produkcya nie może.

Trzecią cechę stanowi: że setki i tysiące ludności w całych okolicach jakiś przemysł w powyższy sposób uprawiają. Tylko w takim razie można bowiem mówić o przemyśle domowym, jako o czynniku w ekonomii *kraju*. Są zajęcia, które do czasu, lub nawet i stale mogą przynosić pewien dochód i są wykonywane w domu, jak np. rozmaitego rodzaju prace kobiece; są to atoli zwykle pewne specjalności, których uprawa dalej się nie rozszerza, które zwykle mają raczej tylko *pretium affectionis*, które mogą stanowić dodatnią rubrykę w ekonomii pewnej rodziny, które są pożyteczne i moralne, jak każda praca, które jednak nigdy i nigdzie nie wchodzi w rachubę krajowej produkcyi. Właściwy przeto przemysł do-

mowy uprawiany być może tylko *na wsi*, przez *wiejską ludność*; w mieście jest niemożliwy.

Dlatego też *czwartą cechą* przemysłu domowego, *jeżeli ma być korzystnym dla kraju*, jest: że ludność uprawiająca przemysł domowy uważa go jako zajęcie poboczne, głównem zaś dla niej nie przestaje być *rola*; ludność ta zatem nie przestaje być przedewszystkiem rolniczą, a nie staje się wcale ani rękodzielniczą, ani fabryczną.

Zdaje mi się, że takie jasne określenie jest niezbędnie potrzebnem. Jeżeli pojedynczy przedsiębiorca przed rozpoczęciem interesu musi wiedzieć, czego chce, poznać warunki interesu, obliczyć widoki, stosunki, potrzeby i własne siły, gdyż jeżeli tego nie uczyni, czekają go zawody, straty, zniechęcenie i bankructwo — to tem bardziej staje się to potrzebnem, gdy idzie o przemysł domowy, w jego rozmaitych rodzajach, a w całym kraju, gdzie zatem cały kraj i rząd jest niejako przedsiębiorcą, a co najmniej inicjatorem. Tutaj niewolno zadawałniać się frazesami, ani luźnymi widokami i nadziejami, tutaj nie ma miejsca dla filantropii, ani dla sentymentalnej chłopomanii; lecz z góry trzeba przewidywać i obliczać nietylko możliwość, potrzebę, warunki, a to w tym celu, żeby sił i czasu nie tracić na rzeczy niemogące mieć przyszłości, ale nawet przy sprawach możliwych i rokujących korzyści, należy zdać sobie najściślejszy rachunek z ostatecznego rezultatu, który się chce osiągnąć, ażeby można czuwać nad tem, iżby nie było zwichnienia, spaczenia i skutków, jeżeli nie wręcz przeciwnych, to odmiennych od zamierzonych. — Słowem potrzeba zaraz przy narodzinach czegoś, co zapowiada się, że może być potęgą, *zapanować nad nią*. To zaś byłoby niemożliwem, jeżeliby kraj puścił się na te nowe drogi, a raczej popchnął na nie lud wiejski, nie zbadawszy ich poprzednio, nie utworzywszy sobie katagorycznego katechizmu ekonomicznego w kwestyi zupełnie dla nas *nowej*, jaką jest przemysł domowy.

Przemysł domowy, noszący na sobie wymienione cztery cechy, da się jeszcze według wyrobów swoich podzielić na dwa rodzaje. Pierwszy, którego wyroby zupełnie skończone wychodzą z rąk ludu; drugi, dla którego lud dostarcza tylko części składowe, np. rozmaite kawałki do zabawek dziecinnych, które dopiero w zakładzie centralnym pewnego przedsiębiorcy, w fa-

bryce, zostają składane, wykończane na towar handlowy. Nie potrzeba bliżej objaśniać, że tylko pierwszy rodzaj (np. koszyki, wyroby snycerskie, płótna, koronki), jest nie tylko ze względów finansowych dla pracowników swoich korzystniejszy, ale także pod względem oddziaływania na umysłowość ludu szlachetniejszy, więc pożyteczniejszy. Drugi zaś rodzaj musi się opierać o fabrykę, o przedsiębiorców, ztąd utrzymuje pracowników swoich w zależności, zwykle czyni ich stworzeniami wyzyskiwanymi, a przez jednostronną tylko wprawę mechaniczną utwierdza ich umysłową indolencyą.

Taki przemysł jest zwykle przeto tylko koniecznem złem, któremu *post festum* zapobiedz bardzo jest trudno. Mimo to są położenia w okolicach przeludnionych, gdzie brak ziemi i licha, niemogąca wyżywić swoich mieszkańców, gdzie zatem i ten drugi rodzaj ma swoją racją ekonomiczną, staje się pożądanym. Lecz i tam stopień jego pożyteczności, *najmniej* *sza jego szkodliwość* zależy od warunków, które można stworzyć, jeżeli się sprawę z góry ze świadomością urządzi. W ogóle ten rodzaj przemysłu domowego zasługuje na ostatnią dopiero uwagę, tem bardziej, że nigdy nie może dawać rękojmi stałości, utrzymania się; zależy to bowiem tylko od kapitału i przedsiębiorczości, ażeby przemysł taki *wyzwolić od ludu*, uorganizować go wyłącznie w fabryce przez podział pracy, zatem w danym razie i przenieść do miasta — podczas gdy lud ten rodzaj przemysłu uprawiający nigdy od przewagi kapitału do samodzielności i dobrobytu wyemancypować się nie może.

Pierwszy rodzaj może także korzystać z podziału pracy, ale dzieje się to w obrębie rodziny, wyrób niemniej przeto z rąk ludu wychodzi gotowy.

I ten przemysł musi się oprzeć o kapitał, lecz już nie fabryczny ale handlowy, nie o przedsiębiorców, ale o kupców, którzy gotowy wyrób nabywają. Jestto już stosunek nierównie dla ludu korzystniejszy, gdyż łatwiej zawsze znaleźć innego kupca na towar *popytny*, niż innego fabrykanta. Zależność przeto jest tu nierównie mniejsza, a nadto jest tu z natury rzeczy daną możność zupełnego nawet wyemancypowania się. Może wszelako i ten stosunek do kapitału handlowego, u nas zwłaszcza, pociągnąć za sobą niebezpieczeństwa, i już nawet

takoweni zagraża — i właśnie też dlatego tak ważnem jest zbadanie sprawy i jej warunków, ażebyśmy poznawszy niebezpieczeństwa, mogli je oddalić, nie dopuścić, dopóki jest jeszcze *tabula rasa*, dopóki nad sytuacją panujemy. W dalszym ciągu wzgląd ten wyłoni się dotykalnie.

III.

Odmienny, *niemniej ważny* przedmiot badania stanowią *rękodzieła wiejskie* — i granice łatwo tu pociągnąć.

Rękodzieło wymaga jednego majstra i jego pomocników, wymaga zwykle osobnego warstatu, n. p. kuźni, pieca, tak samo może być uprawiane w mieście, jak na wsi; nie wymaga wcale w jednym miejscu tak wielkiej liczby pracowników, wreszcie zwykle rękodzielnik przestaje być rolnikiem. Dotyczyć może przeto i ta sprawa ludności wprawdzie wiejskiej, ale już nie rolniczej, przestaje być sprawą rolniczą, a podpada wyłącznie pod warunki *przemysłowe*; nie jest domową, ale warstatową, albo nawet fabryczną. Warunki produkcji wymagają wprawdzie czasem, aby siedzibą pewnego rękodzieła była wieś, np. łatwość uzyskania materiału i jego taniać, n. p. drzewa, lecz dowóz kolejowy en gros może zawsze zapanować nad temi warunkami, można założyć wszelkie rękodzieło w pobliżu stacyi kolejowej lub w mieście, rozszerzyć je na skalę fabryczną, więc racją istnienia i dobrobyt rękodzielników wiejskich podkopać. Będą oni się niemniej na wsi utrzymywać, ale z nader ograniczonym zakresem działania. Utrzyma się zawsze, ale tylko w swoim najskromniejszym *staniku* i malarz wiejski, który według patronów robi hurtownie obrazy na rozwieszonych płótnach naprzód czoła, potem oczy, potem nosy etc., i kowal i bednarz, ale sprawa takich rękodzieł, jak kłodki w Świątnikach, gwoździe w Sułkowicach, zamierzonych jakoby na wielką skalę, zatrudniających po kilkudziesięciu majstrów, tak że przemysł taki jest niejako *sujet mixte*, niby rękodziłem, a poniekąd domowym — sprawa taka jest nader trudną do ubezpieczenia wobec produkcji fabrycznej i miejskiej — tem trudniejszą, że ci majstrzy u nas są tylko niewolnikami *żydów*, tych uniwersalnych entrepreneurów i jedy-

nych kapitalistów, którzy im dostarczają lichego materiału i narzędzi o 100 procent wyżej cen zwykłych i dla których oni wyłącznie pracują.

Sprawy rękodzieł i *wiejskich* i *miejskich* są niemniej dla kraju ważne, osobnego wymagają rozpatrzenia, odmiennych starań — tutaj wspominam o nich tylko nawiasowo, dla uwydatnienia właściwego przedmiotu. Dwie więc tylko jeszcze uwagi.

1) Zapewniano mnie, że rękodzieła wiejskie, mające za materiał drzewo, istnieją u nas w wielu okolicach tylko na podstawie przemysłu w swoim rodzaju osobnego, u nas niestety zbyt rozpowszechnionego, to jest *kradzieży*. Robią klepki lub konewki *pod lasem cudzym*, więc tanio; oto sekret, którego przeoczać nie można.

2) Przemysł domowy, w rozwoju swoim, przy szerokiej organizacyi, może wytwarzać pewnych *majstrów*, *starszych*, *pośredników*, *dysponentów*, którzy wyłącznie już, *porzuciwszy rolę*, zawodu tego pilnują. Okoliczność ta jednak istoty rzeczy nie zmienia, ścisłości podanych określeń nie narusza, wskazuje tylko, że *przemysł domowy* może się stykać, graniczyć z rękodzielniami lub pomagać sobie tylko w danym razie pewnymi warunkami, które przeciwnie u *rękodzieł* są rzeczą główną i jedyną.

Dla przykładu przytoczę tutaj, że garncarstwo i szkoły garncarskie w Galicyi mają na celu *rękodzielnicze uprawianie* — a reflektują nie wyłącznie na wsie, lecz w ogóle na okolice, gdzie są glinki, ily odpowiednie. To zaś wypada przeważnie na wsi, więc też i tradycja wyrobu i zdolności do niego przeważnie po wsiach się znajdują. Powtarzam wreszcie, że sprawa *rękodzieł wiejskich* wymaga osobnego opracowania.

IV.

Zapoznawszy się z *istotą* przemysłu domowego, wypada z kolei sprawdzić jego *znaczenie* i rozpatrzyć potrzebne dlań warunki. Doniosłość przemysłu domowego można ocenić zaraz na pierwszy rzut oka, jeżeli się zważy, że przedewszystkiem spożytkowuje on czynnik pierwszorzędny, który jednak u nas, a zwłaszcza u ludu wiejskiego wielce jest marnowany, to jest

czas. Lud wiejski może bowiem przemysłowi domowemu, *takiemu, jakiśmy wyżej określili*, oddawać się właśnie w tym czasie i w tych porach, kiedy wolny jest od zajęć tak około roli, jak około gospodarstwa domowego.

Dalsza ważność przemysłu domowego leży w tem, że otwiera pole do pobocznej, a korzystnej pracy także dla ludności *żeńskiej*, po części nawet dla dzieci. W ogóle daje sposobność do rozwinięcia zdolności, które inaczej leżałyby odłogiem.

Wreszcie spożytkowuje przemysł domowy materiały surowe, które często przyroda sama daje, które w krajach, gdzie nie ma przemysłu domowego, bądź wcale nie są używane, bądź tylko dla *pierwotnych* potrzeb zużywane, bądź stanowią przedmiot eksploatacyi zagranicznej. Wiadomo zaś, że kraje, które same swoich *zasobów* przyrodzonych nie przerabiają, ale pozwalają je w surowym stanie wywozić, stoją na najniższym stopniu ekonomicznego rozwoju, znajdują się w stanie niedołęztwa i zależności od krajów przemysłowych. O ile przeto przemysł domowy ten stan rzeczy zmienia, nabiera ogromnego znaczenia. Rozwój bowiem jego pociąga za sobą wzrastające zapotrzebowanie materiałów, wzmaga bogactwo kraju przez produkowanie nowych wartości, a równocześnie oddziaływa bezpośrednio na produkcją *rolniczą*. Dla tej bowiem otwierają się wtedy nowe źródła dochodów i to z powodów rozmaitych. Wzrost dobrobytu staje się zawsze powodem wzrostu ludności, więc wzrasta konsumpcya, popyt za płodami rolnictwa. Przemysł domowy nadto bezpośrednio też rolnictwu może dawać poparcie, potrzebując jego płodów jako materiału, otwierając n. p. korzystne widoki dla szerokiej uprawy lnu, wikliny koszykarskiej itp. Odślania nam się przeto i tutaj związek przemysłu domowego z rolnictwem i pewnik najważniejszy, najistotniejszy, który zwłaszcza u nas ciągle trzeba mieć przy tych sprawach na widoku jako kardynalne przykazanie, którego pod karą nieszczęsnych skutków przekraczać nie wolno, mianowicie, że *przemysłem domowym u nas należy się zajmować i zapatrywać się na niego nie ze stanowiska przemysłu, ale jedynie ze stanowiska rolnictwa*. Dotyczy on bowiem ludności *rolniczej*, która najwięcej ziemi ma w swoim posiadaniu od której uprawa tej ziemi zależy; ma się rozwijać w kraju,

który powinien i musi wkraczać w dalsze stadya rozwoju ekonomicznego, ale który dotąd jest przeważnie rolniczym, — jako taki przeto, tylko wtedy do pracy jakiejś szerokiej ręce może przykładać, jeżeli ma pewność, że dotychczasowy najważniejszy jego ekonomiczny i narodowy interes, rolnictwo szwanku na tem nie poniesie. I odwrotnie kraj taki ma obowiązek przeskadzać wszelkimi sposobami kierunkom nowym, jeśliby takowe groziły rolnictwu i mogły mu przynieść szkodę. Szkoda bowiem wyrządzona głównemu interesowi daje się we znaki całemu ustrojowi kraju. Niebezpieczeństwo tego rodzaju mogłoby zaś powstać, gdybyśmy przemysł domowy traktowali nie z rolniczego ale z przemysłowego stanowiska. Dlatego to między kardynalnymi cechami *pożytecznego* przemysłu domowego postawiliśmy warunek, żeby ludność trudniąca się nim nie przestawała wcale być ludnością rolniczą, uprawiającą rolę i z niej głównie żyjącą. Rozważmy bowiem, co by się działo, gdybyśmy sprawę tę traktowali ze stanowiska *przemysłowego*. Szłoby wtedy tylko o to, żeby dać ludowi nowy zarobek, żeby powstawało jak najwięcej producentów. Wówczas przemysł domowy przestawałby być zwolna domowym, gdyż lud miałby się go chcieć i ci nowi producenci, uprawiacze przemysłu zostaliby wydzieleni i oddzieleni z pomiędzy ludu; wytwarzaliby się z nich już wyłączni przemysłowcy, rękodzielnicy, ludzie inni, wyzbywający się zupełnie charakteru rolników. Że w naszych stosunkach krajby na tem źle wyszedł, bo ucierpiałoby rolnictwo, to nie może ulegać wątpliwości. Tym bowiem przemysłowcom rola i rolnicze zajęcia tylko by już ciążyły i zawadzały, i oniby się sami roli swej wyzbywali, (a są tacy, którzy na taką gratkę czyhają i mają to sobie za główne zadanie życia) i porzuciliby zupełnie pracę około roli. Rolnictwu zatem zagrażałaby utrata setek i tysięcy rąk, a zbytku w tej mierze wcale jeszcze nie mamy — gdy zaś mowa o przemysle domowym jako ważnym czynniku *krajowej* pracy, to co najmniej tylko tysiące muszą być brane w rachubę. Tysiące takie nowych przemysłowców weszłyby klinem pomiędzy dotychczasowe wiejskie stosunki, działanie więc tego klina musiałoby być rozprzegające. Ci nowi przemysłowcy, już nie rolnicy, weszliby na zupełnie odmienne drogi, zupełnie inne stosunki, poślubiając niebezpieczeństwa produkcji przemysłowej

czyniąc istnienie i dobrobyt swój zależnym *wyłącznie* i jedynie od powodzenia produkcji przemysłowej, od łatwości zbytu. Gdy zaś powodzenie każdego przemysłu podlega nieustannym fluktuacyom, doznaje często zastoju, tak z ekonomicznych jak i z politycznych przyczyn, w takich przeto razach, los tych tysiący przemysłowych, odwykłych już od roli i pozbawionych oparcia o rolę musiały być takim, jak wszędzie w czasach przesilen los robotników rękodzielniczych i fabrycznych — a zatem głód i nędza. Wiadomo, że są to źli doradcy, a zwłaszcza, gdy idzie o wielkie a ciemne tłumy, że puszczają się one wtedy na bezprawia, stają się przystępnymi złowrogim podszeptom; a jeżeli stan taki i usposobienie wszędzie jest złem, to cóż dopiero w naszym położeniu i w naszych stosunkach.

Niezmiernie przeto ważnem jest dodatnie i ujemne znaczenie przemysłu wiejskiego i dla rolnictwa i dla kraju; czwarta z wymienionych cech, jest nieobliczonej doniosłości tak, że gdyby przemysł wiejski mający u nas powstać miał być tej *rolniczej* cechy pozbawiony, to zaprawdę byłoby stokroć lepiej nie słyszeć, nie mówić, nie starać się o ten przemysł, owszem należałoby przeszkadzać mu wszystkimi siłami.

Nie trzeba bowiem zapominać, że własność ziemską, włościańską, ulega u nas coraz większemu rozdrabnianiu, a towarzyszy mu wyzuwanie nieustanne ludu wiejskiego z własności ziemskiej. Naturalnem następstwem tego procesu jest, że wzrasta i szkodliwie już srożyć się zaczyna *proletaryat wiejski*, bezziemny, komorniczy, najemniczy, który przecież z rodzinami żyje, a zaprawdę nie tyle z pracy, ile z fatalnego *przemysłu*, ze *szkodnictwa*, tak, że nawet krowy trzymają i nierogaciznę wypasają, nie mając ani kawałka roli, ani funduszów na zakupno paszy. Wiadomo, że ludność ta bezziemna właśnie jest najniechętniejszą do pracy około roli, choćby za dobrą zapłatą. Ta przeto ludność będzie chciwie chwytac za zarobek stosunkowo lekki, który jej przez przemysł domowy może być nastęrczany. Tem ważniejszymi przeto są warunki w jakich ten przemysł będzie szerzony, oraz z jakich rąk będzie podawany. Jeżeli to bowiem będą ręce obce, wyłącznie interesem własnym kierowane, bez względu na dobro ludu i kraju, to niechybnie musiałyby być taki skutek, że wyrobiły-

by się warstwy *nie rolniczej*, ale wyłącznie *przemysłowo-robo-
botniczej ludności wiejskiej*, która byłaby eksploatowaną i po-
stawioną w zupełnej zależności od obcych eksploatatorów,
a temsamem byłyby owym rozprzegającym klinem, którego
ruchy zależałyby od tych, w czyjem ręku spoczywałyby mo-
żność udzielania jej tego niebezpiecznego daru, jakim byłby
w tym razie przemysł domowy, szerzony bez względu na spo-
łeczne i na rolnicze interesa tak ludu wiejskiego jak i całe-
go kraju.

Okoliczności wskazane tu, są tem ważniejsze, ile że or-
ganizacya na szeroką skalę przemysłu domowego w najlepszym
nawet znaczeniu i najwłaściwszych warunkach, przecież pewną
liczbę ludzi, jak już wspomniałem, z pomiędzy ludu musi sta-
nowczo od zajęć rolniczych zupełnie oderwać, robiąc z nich
niejako majstrów i podmajstrzych, nauczycieli, dozorców, roz-
dzielaczy materyałów, odbiorców wyrobionego towaru, płatni-
ków i t. p. A nadto leży to w interesie kraju, więc niewątpli-
wie także sprawa rękodzieł wiejskich, ludowych będzie u nas
równocześnie popieraną. Te zaś rękodzieła i fabryki ludowe,
również znaczną liczbę swoich pracowników z pomiędzy ludu,
od zajęć rolniczych stanowczo odrywać muszą na majstrów,
pomocników i wyrobników, tem samem będą tworzyć i mno-
żyć proletaryat przemysłowy po wsiach — a na to *przy rę-
kodzielnach* już niema rady. Dwa te względy podnoszą ważność
wspomnianych warunków i niebezpieczeństwa.

Zanim na przykładzie tego niebezpieczeństwa się dotknie-
my, sądzę, że uwagi te usprawiedliwią konieczność dokładnych
określeń i ścisłego zdania sobie sprawy z przedmiotu, który
w całym kraju stoi na porządku dziennym, a dotąd tylko co
do *formalnej*, statystycznej strony został przez ankiety wy-
działu krajowego rozpatrzony — badaniem zaś natury jego
i warunków pożądaných nikt jeszcze się nie zajmował. Jest to
jednak koniecznem i nagłaczem — gdyż obecnie leży jeszcze
w mocy kraju zapanować nad sytuacją, stworzyć te pożądane
warunki i *wychować* przemysł domowy na taki, jaki nam po-
żytecznym być może. Nie idzie tu o dyalektykę, o definicje
dla definicyj, ale o możliwość *praktycznego* pokierowania spra-
wą, którą przeto wszechstronnie poznać należy. Leczą, pomija-
jąc nawet wskazane niebezpieczeństwo, mogące wyniknąć ztąd

gdyby kwestya niebacznie i niewłaściwie została stawiana, lub przeoczaną, nie waham się i bez tego powiedzieć, że w naszych dotychczasowych stóśunkach byłoby w ogóle najlepiej, gdybyśmy mogli o przemyśle domowym jeszcze nie mówić i nim się nie zajmować i gdybyśmy go nie potrzebowali, gdyż mamy, odnośnie do ludu wiejskiego, pilniejsze i ważniejsze sprawy do załatwienia, które zalegają. Gdyby następstwo prac ekonomicznych, systematyczne wcielanie szczegółowo wytkniętego programu ekonomicznego, od nas samych, od woli naszej wyłącznie zależało, nie moglibyśmy w takim razie inaczey kwestyi postawić, tylko tak:

Obok starań około sprawy naczelnej, jaką jest oświata i moralność, najważniejszą niezaprzeczenie sprawą jest podniesienie dobrobytu ludu wiejskiego. W tej mierze należy zwrócić usiłowania najpierw w tym kierunku, który jest najbliższy, do którego sama natura rzeczy dostarcza wszelkich danych, to jest w kierunku podniesienia i ulepszenia gospodarstwa rolnego, stajennego i domowego ludu wiejskiego. Wiadomo, że gospodarstwa włościańskie są prawie bez wyjątku dzikie, ograniczone, nieudolne, że możnaby je znacznie podnieść bez wielkich nakładów przez racjonalniejszą uprawę, przez trochę więcej pracy i trudu, których przecież lud wiejski dla żywicielki swojej żałuje, przez umiejętniejszą eksploatacyą produktów rolniczych, przez hodowlę bydła, drobiu, nierogacizny, handel jajami, wyrób sérów, przez sadownictwo, warzywa, pszczelnictwo i t. d. i t. d.

Mógłby przeto nie bez słuszności domagać się ktoś niechętny wszelkim nowościom, ażeby na razie dać pokój wymysłom o przemysłach domowych, a natomiast działać energicznie i szeroko, na największą skalę, w kierunku ulepszenia i podniesienia gospodarstw włościańskich i przemysłu bezpośrednio rolniczego, że praca ta około roli przyniesie niewątpliwie u nas jeszcze korzyści i zyski dla ludu większe, jak wszelki uboczny, nowowprowadzony zarobek, a zarazem najlepiej na jego usposobienie wpłynie. Zaczynamy więc od tego, co jest, ale zaniedbane i źle prowadzone — niechaj sobie będą obok tego zarody przemysłu domowego, tak jak dotąd były i przetrwały, ale zostawmy je w pokoju, aż kiedyś, uporawszy się z potrzebą najnaglejszą, z *rolą* i gospodarstwem, przyjdzie czas

i pora na inne także sfery działania, zwolna, stopniowo, po kolei.

Zdanie takie byłoby najzupełniej słusznem, gdyby właśnie nie ta okoliczność, że w ten sposób postępować nie możemy, a więc w inny sposób postępować *musimy*. Gdybyśmy nawet mieli szczegółowo opracowany program rozwoju kraju (czego niestety nie mamy) ¹⁾, to jednak ściśle systematyczne wykonywanie takiego programu przechodzi możność ludzką, w takim stopniu nad danemi stosunkami panować nigdy ani żaden rząd, ani żadne społeczeństwo nie potrafi, sprawy ekonomiczne wymykają się z rąk, dzieją się często same przez się, a nadto niema sposobu na stanowcze niedopuszczenie, żeby tego, czego się społeczeństwo jakieś nie ima i imać nie chce, nie wziął w rękę ktoś z poza społeczeństwa, więc tylko w własnym interesie. A dalej sprawa podniesienia gospodarstw o ile jest najbliższą i energicznie popieraną być powinna i zawsze stawianą na pierwszym planie, o tyle może jest najtrudniejszą przez to, że wymaga długiego czasu, odrazu skutecznici się nie da, a nadto spotykamy się tu z upornym konserwatyzmem, tradycjami, zwyczajami i przesądami ludu wiejskiego, których przełamać nie łatwo, a cóż dopiero wykorzenić.

Dlatego też wzajemne oddziaływanie rozmaitych, *równocześnie* podejmowanych zadań ekonomicznych, *byle każde z nich odbywało się w pożądanym warunkach i kierunkach*, nietylko nie jest szkodliwem, ale owszem nader zbawiennem, co właśnie w naszym wypadku stwierdzić możemy.

Wykazałem już poprzednio możność korzystnego oddziaływania przemysłu domowego na samą produkcję rolniczą, przez otwieranie dla niej sposobności do szerszej uprawy pewnych produktów dotąd zaniedbywanych, lub nieznanych i lepszego ich zbytu. Dalej, byle lud wiejski zajmując się przemysłem domowym, pozostał jednak sobą, to jest ludem rolni-

¹⁾ Program taki powinien być *owocem sejmowej ankiety ekonomicznej*. Ważność takiego programu polegałaby na tem, że mielibyśmy organicznie zestawione wszystkie nasze desiderata, więc łatwość pamiętania, jeżeli nie o wszystkim, to o najpilniejszym i możność traktowania spraw w związku ze sobą i z należnem uwzględnieniem ich wzajemnego oddziaływania.

czym, to niewątpliwie przemysł domowy, podnosząc dobrobyt ludu, spożytkowując jego zdolności, musiały go przez sam wpływ pracy umoralniać i uszlachetniać, zwalczając próżniactwo — rozpustę i tak głęboko już u ludu wiejskiego w wielu okolicach zakorzenione zubożenie na swój los. Zwiększony dobrobyt zwiększałby potrzeby, to rzecz codzienna, naturalna, a wiadomo, że zwiększanie się potrzeb jest do pewnego stopnia nader silnym czynnikiem cywilizacji. Zatem poszłoby, że zyski z przemysłu domowego i wpływ jego dałyby się zwolna uczuć i roli, gdyż lud przejrzałby, że ma w niej również pewne źródło dobrobytu, byle chciał z niego staranniej i rozumniej czerpać z taką pracą, jakiej także przemysł domowy wymaga.

Przemysł domowy ułatwiałby więc zyskami osiągniętemi i pewne wkłady dla roli i gospodarstwa i przyuczałby do korzystniejszej eksploatacji, okazując, że byle pracować, to zyski będą.

Taki wpływ na lud oddziaływałby też musiał na wszystkie wiejskie stosunki, i śmiało twierdzić można: *że stworzyć w jakiej okolicy przemysł domowy, znaczy to tyle, co pijaków, szkodników, złodziei i podpalaczy wytępić*. Ci bowiem tworzą się z młodzieży, która nie umie wcale zapełnić wolnego czasu pożytecznie i przyjemnie, która rośnie w próżniactwie, dla której ohydna karczma jest jedyną ucieczką i źródłem wszystkiego złego. Złe to staje się następnie nałogiem, zwyczajem, udziela się tradycyjnie, a niepomocze przeciw niemu ani szkoła, ani kościół, jeżeli działania ich popierać nie będzie wzwyczajenie i poślubienie uczciwej pracy. Ale powtarzam, że niemniej prace około podniesienia rolnictwa, gospodarstwa i przemysłu bezpośrednio rolniczego u ludu wiejskiego powinny zawsze stać na pierwszym planie, przemysł zaś domowy tylko taki, jak go określiłem, może przynieść spodziewane owoce. Inne warunki, inne też musiałyby mieć skutki. Tylko jeżeli całe okolice, jeżeli tysiące ludności wiejskiej nieporzucając roli, niestając się przemysłowcami nakształt proletariatu miastowego, przemysł ten uprawiać będą, tylko w takim razie będzie to nowość pożądana.

Takiego przemysłu, w tych warunkach nigdzie jeszcze u nas nie ma, ani się wcale na to nie zanoszą. Że natomiast przez nieopatrność naszą, przez niezdawanie sobie sprawy,

przez dziwną czy obojętność, czy powierzchowność zanosi się na co innego, i że mogą być wytworzone inne warunki, zdolne sprawę zwichnąć i na szkodę kraju obrócić, zobaczymy to na przykładzie, na koszykarstwie, w dalszym ciągu tych uwag.

Tutaj pora jeszcze dodać, że uwagi powyższe stosują się do wszelkich rodzajów przemysłu domowego, każdy z nich zaś ma oprócz tego swoje własne, odrębne, specjalne strony i potrzeby; *specyjalnego też każdy z nich wymaga rozpatrzenia*, uprzednio, przed przyłożeniem ręki do szerzenia go.

Wogóle zaś obok poprzednich zasadniczych pewników można postawić jako normę:

- 1) Osobnych badań wymaga sprawa ludowej eksploatacyi płodów bezpośrednich, rolniczych i gospodarskich, ziemnych, leśnych, ogrodowych, wodnych, stajennych, osobnego w tym kierunku działania, przez *Izby rolnicze* jako najwłaściwsze organa.
- 2) Przemysł domowy w regule tylko tam powinien być szerzony, gdzie już jego zarody pomiędzy ludem istnieją.
- 3) Odstąpić od tej reguły należy tam, gdzie ludowi brak ziemi i chleba, (w okolicach n. p. górskich), gdzie rolnicza eksploatacyja jest wielce utrudnioną, gdzie zatem stworzenie, choćby zupełnie nowego przemysłu domowego jest wskazanem. Warunki jednak zdolności, obfitości odnośnego materiału, muszą oczywiście w każdym razie z góry być dane, gdyż tego stworzyć niemożna.
- 4) Każdy przemysł domowy, jeżeli ma zatrudniać tysiące ludności (a tylko o takim może być mowa ze stanowiska *kraju*) potrzebuje organizacyi, przysposabiania materiałów en gros, rozdzielania ich, podziału pracy, nadzoru, ażeby mógł produkować towar co do ceny i co do jakości zdolny do konkurencyi. Sprzedaż tego towaru wymaga dalej obrotów handlowych hurtownych, tem bardziej, że produkcyja hurtowna tylko przez wywóz zagranicę może mieć odbyty zapewniony. Produkcyja, staranie się o materiały, dostarczanie ich przy prowadzeniu sprawy en gros, wymaga zatem ścisłej kalkulacyi kupieckiej, rachunkowości, znawstwa, organizacyi pracy i jej rozdziału, a wreszcie nakładów, czyli kapitału.

Otoż lud nasz (a i gdzieindziej jest tak samo) nie ma sposobu, ani możliwości, żeby sobie sam urządził te warunki produkcji i te obroty handlowe. Kto przeto stworzy dla ludu te warunki i nałoży go do nich, ten będzie go mieć po swojej stronie. Gdyby lud sam mógł to uczynić, to niejeden przemysł domowy, będący w zarodzie, byłby już dawno rozwinął się sam przez się, bez starań wychodzących z *po za ludu*. Wynika ztąd, że stworzenie, utrwalenie i ubezpieczenie przemysłu domowego, pod względem produkcji i handlu wymaga opieki z góry; bez niej sprawa postąpić nie może, albo zejdzie na bezdroża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Szczepański Alfred.

Przegląd Literacki.

Bracia Rywale, obrazy społeczeństwa wiejskiego z XVIII wieku przez J. I. Kraszewskiego. Warszawa 1878.

Kronika rodzinna dziwne ma szczęście w otrzymywaniu z rąk znamienitego naszego powieściopisarza coraz to wdzięczniejszych i ponętniejszych utworów płodnego jego pióra. Z kolei w jej szpaltach pojawił się ów *Powrót do gniazda*, tyle obfitujący w rzewne rysy, mianowicie z początku, dalej: *Ostatnie chwile księcia Wojewody*, gdzie nie rzadko trafiała się cała karta godna *Pamiętników Soplicy*, a w tym znów roku, w trzynastu z kolei poszytach otrzymaliśmy prawdziwe cacko artystyczne, w owych *Braciach Rywalach*, którzy z wiernością fotografii oddają nam ustrój społeczeństwa polskiego w minionym wieku.

Założenie nader proste, byłoby zużytem, gdyby nie świeżość barw, tudzież szlachetność nieposzlakowana występujących na tle wiejskiego życia charakterów. Dwóch braci, których poznajemy sierotami na probostwie u stryja, nie szczęsną zapala się miłością ku jednej i tej samej dziewczynie. Ta widzi że ich rozdziela i waśni, tłumi więc uczucia serca skłaniającego się ku starszemu, byle bratniej nie pomieszać zgody, nie naruszyć miłości, i obu daje odprawę smutną lecz stanowczą. Po wielu latach, młodszy spotyka dziewczynkę w której upatruje podobieństwo do owej pierwszej a niezapomnianej bogdanki. Zrazu w niej kocha tylko wymarzone czy istotne przypomnienie, powoli rzeczywiste uczucie zajmuje miejsce urojonego, nie wie sam czy kocha — czy tylko pamięta; psychologicznie owa przemiana serca mistrzowską oddana jest ręką. Ze ślubem młodsze go brata uchylają się zapory przeszkadzające szczęściu starszego, i oto dwie pary z kolei na ślubnym stawają kobiercu.

Założenie więc niemogło być prostsze, i oto na tem tle nie nowem p. Kraszewski umiał osnuć rzecz prześliczną, techną staropolską cnotą i pocziwością, a wdziękiem formy, który się dziś nie często spotyka w piśmiennictwie. Obraz po obrazie wychyla się z opowiadania, wszystkie zaś takie miłe, rodzinne, swojskie! Przysiągłbyś żeś się modlił w tym kościółku tak przedziwnie opisanym w najdrobniejszym szczególe wiejskich świątyń naszych, że bywałeś w tych dworach, a na tych godach weselnych „miód i wino piłeś.“

Wierność obrazowości w każdym uderza tu rysie, a przytem ileż wonnej świeżości w rozwijaniu przed nami tak krajobrazów wiejskich jak i zapałów młodocianego wieku. Nie bywałam wyjątkiem, żaden ujemny wprost charakter nie zacięcia harmonijnej całości, fałszywą nie brzmi nutą. Sami *dobrzy ludzie* przesuwają się przed oczyma naszymi, a wady niektórych nie umieją zatrzeć pocziwego gruntu. Nawet ów starosta, pieniacz zawołany, całe życie procesujący się dla przyjemności i honoru, uczciwym jest w duszy, i czynnego serca. Proboszcz Paczura, to ideał plebana wiejskiego, bez żadnej przesady i naciągnięcia fantazyi. Otoczenie jego również z życia wzięte, i podobieństwem uderza. Rysów swojskich pełno, żeby tylko wspomnieć narady małżeńskie w każdym kłopotcie. Pan starosta natychmiast starościny woła, pani sędzina spieszy się troską z mężulkiem podzielić: nigdy się z osobna o niczem nie postanowi, zgodne stadła za wspólnem zawsze działają porozumieniem. Charakterystyczne to po dziś dzień w Polsce rysy, i nie możemy powiedzieć aby od stu lat malowane przez p. Kraszewskiego społeczeństwo tak bardzo odmienić się miało. Tyle że nie chodzą w kontuszach, że wesołości i swobody źródło po części wyschło, ale też sama pocziwość została, ta sama w sercach bratnia miłość a do pewnego stopnia i uczynność, ta sama wiara, i wspólne choć wciąż zawodzone nadzieje, które stanowią silniejsze jeszcze nad inne węzły....

Jedno się odmieniło stanowczo, oto owe zgraje próżniaków dworskich, zalegających domy szlacheckie w charakterze rezydentów: zapewne, w tym przytułku chętnem sercem ofiarowanem uboższym krewnym lub znajomym, bywała czysta, szlachetna pobudka. Atoli podobne stosunki z natury rzeczy już by dziś niepodobieństwem się stały, dziś gdy każdy więcej niż kiedykolwiek czuje konieczność uczynienia zadość przeznaczeniu człowieka: iż w pocie czoła na chleb pracować trzeba. Praca, owa w formę miłosierną obleczone kara na upadek pierwszych rodziców naszych, w miarę postępu czasów i ludzkości, staje się konieczniejszą, i nikt się od niej uchylać nie potrafi.

Skruszylibyśmy nie jedną kopię w obronie naszych czasów, gdyby porównywanie ich z dawniejszą epoką nie było przymnożyło w niniejszej powieści najrzewniejszych myśli plonu nie małego. Zamiast tedy wojować z zniechęceniem ogarniającem szanownego autora *Braci rywalów*, przytoczymy tu kilka słów, które nas bardziej w tej mierze słusnością niezawodną uderzyły: Starosta proboszczowi oświadcza, że mu synowców własnym wychowa kosztem. Pleban przyjmuje i dziękuje. „Dawniej inaczej się dobrodziejstwa świadczyły i przyjmowały. Dziś jest więcej dumy w ludziach, bo miłości mniej jest. Dawniej dawał brat bratu, a prosił jak o łaskę, by przyjęto; przyjmowano bez sromu, bo każdy oddawał drugiemu co wzięł od pierwszego. Pojęcia i uczucia z obu stron niezmiernie się odmieniły w tym względzie. Duma nie dopuszcza od obcego przyjmować nie, a dziś i brat jest obcym, gdy dawniej obcy był bratem.“

A takich pereł wsnutych w tok nader zwawego opowiadania nie brak, i wiele innych dałoby się jeszcze zebrać. Wspomnijmy tu jeszcze dziwnie piękny i rzewny opis niepokojów rolnika, gdzie przebiegając cały rok gospodarski, autor daje tak szczegółową nomenklaturę wszystkich możliwych bied grożących ziemianinowi, jakby sam po roli za pługiem dotąd chodził. A tak ładnie maluje serdeczny związek, który wnet powstaje między ziemią a tym, który ją uprawia i obsiewa!

Jedno jeszcze podnieść nam wypada, żeby dać miarę wartości tej pięknej powiastki. Nic trudniejszego jak harmonijną całość w ciasne ująć ramy, a szkopał ten niebezpieczniejszym jeszcze być musi dla autora tak płodnego i nawykłego do trzechtomowego obrabiania pojedynczych przedmiotów. Tutaj, wymagania pisma tygodniowego nie pozwalały zbyt długą rzecz drukować. Pan Kraszewski ścieśnił tedy swe opowiadanie w granicach powiastki, nie powieści, a ta kondensacya bujnej fantazy wyszła mu na dobre, bo napisał rzecz śliczną, czytającą się bardzo przyjemnie, a zostawiającą nader miłe wspomnienie i wrażenie.

R. Natęcz.

Literatura w Galicyi (1772—1848). Ustęp z pamiętników Władysława Zawadzkiego. Lwów. Nakładem Władysława Webera. Z drukarni Wł. Łozińskiego w. 8. str. 160. 1878.

Przewodnik naukowy i literacki, pismo miesięczne wychodzące jako dodatek od *Gazety lwowskiej*, podał w ubie-

głym roku pomiędzy wielu pięknymi i użytecznymi artykułami dłuższą pracę, wydaną potem osobno, na którą chcemy zwrócić uwagę czytelników naszych. Pod tytułem: *Literatura w Galicyi* mieszczą zeszyty od Sierpnia do Grudnia ustęp z pamiętników p. Władysława Zawadzkiego rzucający nader jasne światło na literackie i naukowe stosunki naszej prowincyi w ciągu pierwszej połowy tego stulecia. Nie jest to monografia historyczna, lecz i pamiętnikiem w zwykłym znaczeniu nazwać jej nie można; raczej jakiś pośredni rodzaj monografii pamiętniczej, ale tak dokładnej i tak wyczerpującej przedmiot, iż mało pozostanie do uczynienia historykowi literatury późniejszemu, któryby chciał umiejętnie skreślić obraz tejże epoki. Pozwólmy autorowi własnemi słowy powiedzieć o co mu w tej pracy chodziło i jak się na swe zadanie zapatrywał.

„Pisać dzieje literatury nie jest mojem zadaniem. Rzeczą do uczonych badaczy. Zamiar mój o wiele skromniejszy. Nie kusząc się o pióro dziejopisarskie chcę w szczupłej pamiętnikowej ramce zamknąć parę uwag zawierających pobieżny pogląd na głównejsze punkta owego rozwoju, na charakterystyczne jego kierunki, na te wreszcie że tak powiem pozakulisowe, mało komu znane sprężyny, pobudki i wpływy nań działające, które ostatecznie sprawiły, że w tym a nie innym objawił się kształcie, że tem a nie innem popłynął łożyskiem. Będzie to ilustracją rzeczy, służącą do jej uwydatnienia. Przez długi lat szereg patrzyłem z bliska na te prace, znałem wszystkich tych co w tem krzątaniu się około podźwignienia literatury w tutejszem jej ognisku główną odgrywali rolę i miałem nieraz sposobność poznać ich bliżej i lepiej niż ktokolwiek inny, zdala patrzący.“

Z tego programu wywiązał się autor z całą sumiennością. Rzecz jego tyczy się samej tylko ściśle wziętej Galicyi. Kraków, przez cały prawie czas wspomnieniami objęty, stanowił osobne ciało polityczne i dopiero od połowy naszego wieku z Galicyą w ściślejsze wszedł związki, których niestety wielu jeszcze dotychczas za mezalians nie przestaje uważać, jak gdyby nie wiedzieli, że to nie nowe małżeństwo, lecz tylko powtórne połączenie po dłuższej przymusowej separacyi.

Dziwne są koleje ruchu umysłowego w tym nowo utworzonym kraju, który Galicyą nazwać opiekunom naszym się podobało, i odrębne też warunki im towarzyszą. Wyrasta z ziemi kilkomilionowa prowincya, nie mająca nawet żadnego większego miasta. Podczas gdy Kraków ma Uniwer-

sytet, bibliotekę, pamiątki i tradycje historyczne, podczas gdy Warszawa lubo początkowo bez uniwersytetu, żywi się długo jeszcze zasobami świetnej dla literatury epoki Stanisławowskiej i jako stolica a znaczne miasto gromadzi zawsze pierwsze narodu umysły, Lwów tylko jeden nie ma czem nęcić ludzi głową pracujących, nie ma żadnego ogniska życia umysłowego. Owszem odstraszyć tylko może swem umysłem przygnębieniem przez cenzurę, przez germanizację i przez długi szereg politycznych ucisków, które wraz z resztą Galicyi przechodzić musi, w przeciwieństwie do dwóch drugich zaborów cieszących się pomyślnemi stosunkowo dla nauk i narodowości warunkami.

A jednak ten zgwałcony Lwów „małe wojewódzkie miasteczko“ własną siłą odporną, własną zasługą podnosi się, wzrasta z czasem i staje się i moralną stolicą prowincyi. Cóż dziwnego że długiego dość trzeba było na to czasu? Cóż dziwnego że Galicya nie wzięła żywego udziału w trzęsącym Warszawą sporze klasyków z romantykami, że nawet 1830go roku nie odczuła tak jak inne części rozdartego kraju? Aby zbudzić uspione umysły, aby stworzyć życie intelektualne, którem nawet w lepszych czasach ta prowincya tak bardzo się nie odznaczała, trzeba było wielu lat, wielu usiłowań i wielu poświęceń. Zaszczycem to że i ludzie i ochota i siły się znalazły, i że wreszcie udało się, choć po roku 1830 dopiero, wydzwignąć Lwów do znaczenia ogniska umysłowego ruchu w kraju.

Zaczęło się od szkół, od drukarni i księgarni. Kilku uczciwych i szlachetnych nauczycieli zdołało podnieść poziom niektórych szkół niższych, średnich. Z wielką znajomością opowiada autor dzieje dwóch czy trzech firm księgarskich, które z prowincjonalnych nawet wydawnictw kalendarzy lub rządowych druków powoli przemieniły się w centralne bióra światła i wiedzy. Tak przesuwają się przed nami dzieje firm: Pfaffa, Milikowskiego, Wilda. Rzeczą charakterystyczną że w czasie zajęcia Lwowa przez rząd austriacki dwie tylko tam istniały drukarnie i to jedna bracka, druga klasztorna, że następnie dwie późniejsze Pillera i Sznajdra zaspakajały wszystkie potrzeby sporego już miasta gubernialnego aż do r. 1848. W treściwej historii uniwersytetu lwowskiego poznajemy nietylko okoliczności jego założenia, i jego początkową organizację, lecz i osobistości profesorów, z których wielu autor z własnych wspomnień *sine ira et studio* w sposób anegdotyczny portretuje. Po kilku arcyciekawie wyglądających Niemcach rzewną notatkę poświęca ukochanemu przez młodzież Strońskiemu.

Równocześnie prawie z założeniem uniwersytetu otrzymuje Lwów instytucją „wysokiego naukowego znaczenia

mającą przeznaczenia swego stać na czele umysłowego kierunku kraju.“ Uczony Józef Maksymilian Ossoliński dyrektor biblioteki nadwornej wiedeńskiej w r. 1817 na podstawie swych osobistych z dworem austryackim stosunków wyjednywa pozwolenie założenia publicznej we Lwowie biblioteki i układa dla niej statut mogący „służyć za wzór“ tak przeczności o zapewnienie materialnego bytu jak i dbałości o nadanie praktycznego znaczenia zakładowi. Prócz ustanowienia kuratorji, obmyślenia bogatych źródeł finansowych, włożył na dyrekcję wieczysty obowiązek wydawania czasopisma naukowego, wykładania publicznie bibliografii, oraz przyjmowania do pomocy w pracach bibliograficznych stale kilku akademików na czas dopóki odbywają studia uniwersyteckie. Chociaż urządzenia te nie dały się zawsze wykonywać w całej rozciągłości, pomysł ich okazał się w praktyce najzabawniejszym, a zwłaszcza postanowienie owych stypendyów z grona młodzieży naukowej, którzy za pobieranie stypendyów od zakładu obowiązani są w nim pracować codziennie po 2 godziny. Gdyby tych nie było „zakład miałby wprawdzie może jednego lub dwóch biegleszych urzędników, ale cel pierwotny o wiele rozlegleszy i pożyteczniejszy pozostałby uroniony“ bardzo trafnie dodaje p. Zawadzki.

Po historii Zakładu Ossolińskich i jego bibliotekarzy, przesuwamy przed nami autor dzieje teatru; dalej czasopism od pierwszej francuskiej „*Gazette de Leopold*“ (1776—1781) i pierwszego polskiego: „*Pisma uwiadamiającego Galicyi*“ 1783 aż do najnowszych czasów. Nader szczegółowy i z gruntowną znajomością rzeczy zrobiony jest obraz literatury zbiorowej i periodycznej belletrystyczno-naukowej, *Pamiętników*, *Polihymnii*, *Ziemonii*, *Haliczaninów*, *Dniestrzanek*, *Lwowianinów*, *Słowianinów*, *Albumów na pogorzelców*, *Rozmaitości* etc., w których między r. 1820 a 1850 ukradkowo, jakby kontrabandę przemycano artykuły jakiejś literackiej lub naukowej wartości. Dziś śmiesznymi może nam się wydają niektóre z tych zabytków, patrzymy na nie jak na *curiosa*, dziwimy się naiwności wydawców i pisarzy, i czytelników, a przecież te książki i pisma mają wielkie znaczenie w rozwoju ruchu umysłowego, przecież wielka jest zasługa Szczepańskich, Chłędowskich, Jaszowskich, Borkowskich, a nawet kolportera i redaktora w jednej osobie Zielińskiego, i owego sławnego krawca Kulczyckiego. Bez nich kto wie czy dziś moglibyśmy się szczycić takimi imionami jak Szajnocha, Bielowski, Siemieński, Pol. Zapewne oni poetów i uczonych nie stworzyli, ale nadali popęd literaturze i materialnie umożliwili egzystencję ludziom talentu i nauki.

Może do najciekawszych ustępów zaliczyć trzeba opowiadanie o powstaniu *Lwowianina* i *Dziennika mód paryskich*. Charakterystyczny to szczegół, że w czasie gdy Mickiewicz w Petersburgu wydawał *Konrada Wallenroda*, gdy Warszawa brzmiała echem śpiewu ballad i sonetów, Wilno i Żytomierz z swych drukarni rozszerzały dzieła pisarzy polskich, a w Poznaniu, Raczyński i Działyński rozpoczęli swe wydawnictwa historyczne, we Lwowie prócz Kamińskiego nikt nie drukuje, a ci nieliczni, którzy mieli ochotę pisać, nie mogli uzyskać na to pozwolenia. Muszą namawiać kupczyka Zielińskiego, aby postarał się o koncesyę na *Lwowianina*, gdyż tylke takie indywiduum daje rządowi rękojmię bezpieczeństwa dostatecznego. Że trudno było z *Lwowianina* zrobić pismo porządne, a z Zielińskiego porządnego redaktora, rzecz jasna. Nic też dziwnego, że „w artykułach historycznych układanych najczęściej z fantazyi, bez wielkiego mozółu powoływano się tam jakby na urzędowisko z czytelnika, dla potwierdzenia przytaczanych wypadków lub rozumowań, najczęściej na akta watykańskie lub inne po świecie znajdujące się archiwa, do których nikt ani z czytelników, ani z współpracowników *Lwowianina* wstępu nie miał. Wizerunki osób historycznych pochodawane w dołączonych do pisma rycinach bywały jedne do drugich jak dwie krople wody podobne, z różnicą mniej lub więcej podgolonej czupryny, mniej lub więcej zawiesistego wąsa.“

Pismem literackiem w gatunku lepszym był *„Dziennik mód paryskich.“* Gdy Bielowski z braćmi Borkowskimi uczuli potrzebę posiadania swego własnego organu, znów chęci rozbijały się o trudność znalezienia wydawcy, któryby rządowi był *persona grata*. „Żaden literat nie byłby otrzy-
mał koncesyi, albowiem literatów w czambuł podejrzrywano o ukryte cele rozszerzania pod płaszczem literatury zasad nie należących do jej zakresu i przekraczających granice bezbarwnej umysłowej rozrywki.“ Znalazł się wreszcie nakładea, odpowiadający wymaganym warunkom, w osobie Tomasza Kulczyckiego. „Miał on pierwszą podówezas we Lwowie pracownię krawiecką i dzielnie władał nożycami, ale pióra nigdy w swoim ręku nie miał. Wydał już był dawniej dobrze ułożoną broszurę: *O kroju sukien męskich*, zredagowaną przy pomocy jednego z literatów. Miał tedy już pewną powagę na polu teoryi krawieckiej, co się przyczyniło skutecznie do tego iż podawszy o koncesyę na wydawnictwo *Dziennika mód paryskich*, z dodatkiem rycin i wyzorów krawieckich, otrzymał żądane pozwolenie i pismo „wydawać zaczął.“ I stało się co zwykle widzimy w czasach zbytnich represyj. Jak spiski powstają tam, gdzie ja-

wnie niewolno się naradzać i zbierać, tak i cenzura, która nie chciała pozwolić na dziennik literacki, musiała ze zgrozą spostrzedz po niewczasie, że tytułem *Dziennika mód* dała się w pole wyprowadzić. Pierwszy wprowadził numer był wyłącznie modom poświęcony, lecz już w następnym pojawiła się część literacka, rozpierała się coraz szerzej, redakcją objął Bielowski, a Borkowski Józef aż do śmierci był duszą wydawnictwa. *Dziennik mód* stał się wkrótce bardzo znaczącym pismem, i prawdziwie ważną odegrał w piśmiennictwie naszym rolę. Borkowscy, Siemieński, Magnuszewski, Bielowski, Szajnocha należeli do najczynniejszych jego współpracowników. Tu zanotujmy ową historyczną sztuczkę na kamizelkę, którą jako pierwsze honorarium literackie we Lwowie, otrzymał od Kulczyckiego nieszczęśliwy literat Wagilewicz.

Od redakcyi do salonów literackich niedaleko. Opis tych salonów, jeśli salonami nazwać można zebrania literackie w jednym lub dwóch pokojach którego z pośród nich samych lub ich znajomych, należy do rzeczy najżywszemi barwami odmalowanych. Kogóż nie zajmie naprzykład następujący opis wieczorów u Augusta Wysockiego, rozpoczętych po r. 1831, który przytaczamy jako próbę interesującego sposobu opowiadania.

„Wysocki trudnił się adwokaturą. Sam nie był literatem z powołania, ale wielkim zwolennikiem literatury i sztuki, które umiłował tembardziej, ile że stosunki koleżeńskie wiązały go jeszcze z ławy szkolnej z Bielowskim i innymi literatami lwowskimi. Żył tedy Wysocki w ich kole, w atmosferze tego życia umysłowego, do którego rozbudzania przyczyniał się gorliwie wedle możliwości i stanowiska swego, usiłując być ogniwem łączącym rozpierzchnę żywioły i utworzyć u siebie grunt spólnego porozumienia się i zetknięcia. Kto zapamięta te czasy, z przyjemnością przypomni sobie dwa małe pokoiki w końcu ciemnego kurytarzyka, w narożnej kamienicy na Halickiem, pełne elegancji i smaku, w które wstępując pierwszym rzutem oka rozpoznawałeś cechę wyższego wykształcenia i szlachetnych usposobień gospodarza domu. Małeńkie miniaturowego rozmiaru pokoiki wypełnione były książkami, rycinami, odlewami bronzowymi. Znachodziły się tam najnowsze dzieła, najprzepyszniejsze ryciny, a wszystko odznaczało się wartością artystyczną, literacką lub pamiątkową. Każdą nowość pojawiającą się w dziedzinie literatury i sztuki spotkałeś tu pod ręką nim się jeszcze pojawiła na pulkach księgarskich i pocztą rozniosła w obieg publiczny. Ale i to wszystko czego na pulce księgarskiej znaleźć nie mogłeś i nie miałeś nadziei, czekało już na zaspokojenie twojej ciekawości u Augusta Wy-

„sockiego. Miał on bowiem swoje drogi i rozległe stosunki „po za kołem księgarskim, za pomocą których dostawał „wszystkie nowości i wydawnictwa zagraniczne z Lipska, „Paryża, Londynu, mianowicie polskie lub do rzeczy pol- „skich się odnoszące. Poczytywał on to sobie za chlubę, miał „w tem zamięłowanie i próżność szlachetną aby posiadać z tych „rzeczy wszystko, co tylko wychodziło a niedostępne było „komu innemu z powodu stosunków krajowych. Tym spo- „sobem utworzył sobie z czasem bibliotekę, złożoną z kil- „kunastu tysięcy tomów, dzieł wyborowych, pomiędzy któ- „remi znajdowały się komplety wydawnictw społecznych za- „granicznych polskich i w ogóle rzeczy, jakeimi się żadna „inna biblioteka pochlubić nie mogła. Gdy szczupłe pomie- „szkanie pomieścić nie mogło wzrastającej nieprzestannie li- „czby książek, tylko najnowsze dzieła pozostawały w biblio- „tece podręcznej, ułożone w szafach lub po prostu całemi „stosami w obu salonikach mieszkalnych, dawniejsze ustę- „powwały im miejsca, przenosząc się pakami do osobnego „składu. Biblioteka Wysockiego była jakby publiczną. Ko- „rzystali z niej obficie literaci miejscowi, mając tutaj wszyst- „kie nowości, których napróżno szukaliby byli gdzie indziej. „W tym też głównie celu zbierał ją Wysocki, poczytując to „sobie za największą przyjemność, gdy je mógł na użytek „literacki ofiarować swym przyjaciółom.

„Ale nie tylko literackie usługi wyświadczał literatom „Wysocki. Adwokatura zyskowniejszem była zajęciem od li- „teratury po wszystkie czasy, a zwłaszcza wówczas, kiedy „nie dawała stałego, choćby jakiego takiego dochodu, kiedy „jeszcze we Lwowie nie znano wcale honoraryów literackich. „Nie tylko biblioteka ale i kieszeń Wysockiego stała otworem „dla jego przyjaciół. Jedni pożyczali i oddawali, ale byli i ta- „cy, co zawsze tylko pożyczali, a nigdy nie oddawali. Nie „zrażał się tem wszelako i zawsze gdzie należało w szlache- „tnym celu gotów był podać pomocną rękę, czy to prywatnie „przyjaciółom, czy na potrzeby publiczne. Nie usuwał się od „żadnego przedsięwzięcia, mającego rozleglejsze publiczne „znaczenie, czy to ono wymagało funduszków, czy też czyn- „nego współdziałania. Jego to nakładem wyszły wydane przez „Bielowskiego we Lwowie *Pisma Seweryna Goszczyńskiego*, „w trzech tomach, z których pierwszy obejmuje *Zamek ka- „niowski* i poezye liryczne, a dwa następne *Przekład pieśni „Osyańa*.

„Zebrania towarzysko-literackie u Wysockiego, oprócz „że były same przez się bardzo przyjemne, miały jeszcze „z innej strony wielką doniosłość i ważne skutki. Tu w gro- „nie najwyższej inteligencji kraju wyrabiała się opinia, wy- „jaśniały zdania, tworzyły projekta, których spełnienie przy-

„nosiło nieraz wielkie korzyści literaturze i krajowi. Przez „wiele lat schodzono się tu regularnie na czarną kawę codziennie pomiędzy godziną drugą a czwartą, a oprócz tego „na dłuższe zebrania wieczorami. Aby dać miarę doniosłości tych zebrań, mających cechę niewymuszoną ściśle poufnej towarzyskiej pogadanki, dosyć będzie wymienić niektórych uczestników należących do zbierającego się tutaj „zazwyczaj grona. Codziennym gościem bywał tu za każdym „pobytem swoim we Lwowie Seweryn Goszczyński, bywali „August Bielowski i Lucyan Siemieński, Wacław z Oleska, „późniejszy gubernator Galicji, Józef i Leszek Borkowscy, „Jan Kanty Podolecki, Józef Dzierżkowski, ożywiający „wsze rozmowę błyskami dowcipu, pełnego werwy i trafnego „poglądu, Franciszek Smolka, dzisiejszy minister Ziemiałkowski i inni. Trwało to do roku 1848, w którym to „sie literatura w Galicji przybrała w ogóle cechę bardziej „polityczną i w znacznej części przeszła w inne ręce. Potworzyły się nowe koła i kółka literackie. Dawni Wysockiego znajomi rozpierzchnęli się lub poszli w nowym kierunku nowymi drogami. Wysocki usunął się odtąd zupełnie „od ruchu literackiego i politycznego. Żyjąc w osamotnieniu, „coraz mniej udzielał się światu, przynębiony ciężko troskami rodzinnymi. Nie przestał i później powiększać swej „biblioteki, powodowany dawnem zamiłowaniem, chociaż nie „wydawał już na nią tyle co przedtem. Po jego śmierci szanowna ta biblioteka, przeszedłszy w ręce nieumiejące należycie ocenić jej wartości, sprzedaną została dobrowolnie „za bezcen przez publiczną licytacją. Tym sposobem to, co „właściciel gromadził tak starannie przez lat wiele, rozpierzchło się niepowrotnie bez śladu. Aby dać miarę pomienionej straty, dosyć powiedzieć, że komplety wszystkich pism „peryodycznych polskich zagranicznych, jakich żadna nawet „publiczna biblioteka podobno nie posiada, sprzedano na malkulaturę na funty. Antykwarz lwowski Igiel wziął nazajutrz „za komplet jednego tylko z pism tam zakupionych tyle prawie, co za wszystko razem zapłacił“.

Wielką ochotę mielibyśmy mnożyć przykłady, i przytoczyć opisy zebrań męskich u Dzierżkowskiego, życia towarzyskiego w r. 1847, przyjęcia Liszta we Lwowie; lecz wybór tak trudny, iż trzeba by niemal wszystko przepisywać. Jakże wyśmienicie opowiedziana jest owa komiczna scena, gdy po wieczorze danym dla Liszta w Zakładzie Ossolińskich, wśród grona rozmarzonych literatów chłodzących się nocą po mieście przechadzką, ktoś zażartował z otyłego i znużonego Dzierżkowskiego, mówiąc, iż nie zdoła o własnej sile z Wysokiego Zamku dojść do domu. Dotknięty przycinkami „grubas“ zaproponował zakład, kto prędzej umówioną prze-

strzeń przebiegnie. „Propozycja się podobala; Pol i Szajnochą przyjęli zakład. Metę oznaczono od podnóża góry zamkowej do arcybiskupiego pałacu, i, o dziwo! rzecz zapewne po raz pierwszy i jedyny w świecie widziana — trzech najpoważniejsi mężowie w kraju, kierownicy opinii publicznej, reprezentanci poezji, literatury i nauki w serdecznej żakowskiej pustocie przeganiają się o lepsze jak proste młodziennaszkę, pozostawiwszy za sobą pedantyzm i prudencję uczoneści.... Jak proste i szlachetne musiały być dusze, co się dały uwieść pokusie tej serdecznej wesołości. Dzierżkowski wygrał zakład. Przy pałacu arcybiskupim pożegnaliśmy się i każdy poważnie poszedł swoją drogą, jedni na spoczynek, drudzy wprost do pracy codziennej“.

Wśród tych opowiadań, anegdot i obrazków, coraz bardziej uwydatniają się postacie aktorów w nich występujących, coraz plastyczniej występują typy i charaktery literatów i artystów samych. Od Zaborowskiego, Starzeńskiego, Deszkiewicza, Siarczyńskiego, Słotwińskiego, Kłodzińskiego, aż do Fredry, Pola, Szajnochy, Bielowskiego, Siemieńskiego, Magnuszewskiego, Dzierżkowskiego i Dobrzańskiego nie pominęto tu żadnego, tak jest, o ile twierdzić nam wolno, żadnego ze starszych ani z młodszych — z *minorum gentium*, ani z pierwszorzędnych nikogo, kto tylko choćby jak najskromniej przyczynił się pracą czy talentem, majątkiem czy wpływem osobistym do nadania popędu ruchowi umysłów, który nie musiał być tak mało znaczny, kiedy zapalił gwiazdy przyświecające przez ostatnich kilka lat dziesiątków całemu narodowi.

W tej galerii powag narodowych spotykamy niektóre postaci może na zbyt wysokim piedestale umieszczone, wolelibyśmy widzieć trochę surowsze zapatrywanie na tego lub owego, chcielibyśmy n. p. zmodyfikować admiracją dla Magnuszewskiego i pochwałą szczerze sypane niektórym dziennikarzom, którzy umieli zawsze przeczuć smak czytającej publiki, odgadnąć instynktownie, kiedy jej czego potrzeba — przeczem mimowolnie na myśl przychodzi, że społeczeństwa jak indywidua nie zawsze w tem smakują co jest najzdrowsze — tak jest, można w wielu szczegółach nie zgadzać się zbyt często różowem i prostodusznem zapatrywaniem autora — niepodobna jednak w ogóle nie podziwiać jego miłości, która wszystko i wszystkich radby obdzielić, nie skłonić się przed wszechstronnością i przed pamięcią zdolną tyle ogarnąć.

Powiedzą niektórzy: ależ to rzeczy znane, słyszane. Zapewne; każdy z nas znał Pola, Fredrę, Dzierżkowskiego lub Bielowskiego, może nieraz słyszał nie jedno z tego, co opisuje p. Zawadzki. Lecz czy wielu jeszcze żyje, co te czasy

zapamiętali, czy wielu, którzy je potrafią opowiedzieć. Rok za rokiem wyrywa ich z pośród nas, rok ubiegły może naj-
srożej przerzedził ich szereg, a nikt dotąd nie zużytkował
ich opowiadań. Wielu z nas, nawet z młodszego pokolenia
wie ten lub ów szczegół, zna nie jeden epizod, lecz całość
tej epoki któż objął dokładnie? Dla tego wdzięczność należy
się p. Władysławowi Zawadzkiemu, który dzieje owe nie-
tylko zna, lecz i zaznał ich i sam w nich czynną rolę ode-
grał, wdzięczność podwójna, że nietylko spisał to, co wie-
dział, a wie bardzo wiele i żył z wszystkimi, ale że to, co
wie, przyoblekł w formę nader wdzięczną, poczytną i prze-
jrystą. Ustęp ten z pamiętnika będzie kiedyś nieoszacowa-
nem źródłem dla fachowego historyka literatury — a jest już
dziś dla każdego książką miłą i nauczającą.

St. Tomkowicz.

Przegląd polityczny.

Kraków 28 lutego.

Przegląd polityczny z miesiąca lutego wypadłoby naj-
śnadniej rozpocząć aktem stanowiącym główny przełom w woj-
nie wschodniej, bo d. 31 stycznia podpisane zostały punkta
przedugodne rozejmu między Rosyą a Turcyą, a tem samem
wojna została zakończoną i układy o pokój rozpoczęły się.

Zanim jednak wypadek ten wszechstronnie rozważony
został, zaszedł fakt wielkiej wagi. Papież Pius IX zakończył
życie d. 7 lutego. Żywot jego na innem miejscu jest opo-
wiedziany w niniejszym zeszycie i to przez zdolniejszego i kom-
petentniejszego pisarza, a tu niech będzie wolno dotknąć
tylko znaczenia wielkiego wypadku, jakim był zgon tego zna-
komitego najwyższego pasterza w obecnem położeniu poli-
tycznem Europy.

Bywały różnemi czasy w ciągu kilkunastowiekowych
dziejów kościoła stokroć cięższe i groźniejsze niż obecna epoki,
ale wtedy, gdy papieństwo wydobywało się dopiero z ruin upa-
dającego Rzymu, gdy wyrastało jak kwiat lilii z bagniska
gnijącego poganizmu, przeznaczeniem jego było przewodni-
czyć szczupłej liczbie wiernych i męczeństwem swych arcy-
pasterzy utwierdzać wiarę. W późniejszych walkach z prze-
wagą cesarzów, albo chciwością republik włoskich, lub sa-
mowolą despotów feudalnych, znajdowali zawsze papieże po-
moc to w Gwelfach, to w ligach katolickich, to u samychże
cesarzów, albo u innych królów chrześcijańskich, a ileż razy
najpotężniejsi władcy korzyli się przed Głową kościoła,
albo wyzuci z tronu, służyli na świadectwo potęgi władzy

duchownej! A może było lepiej być sądzonym przez Papieża i poddawać się jego wyrokowi, a pokutą i poprawą, zadosyć uczynieniem krzywd uzyskiwać przebaczenie, niż być sądzonym przez trybunał rewolucyjny; może lepiej było, gdy głos z Rzymu wstrzymywał brutalną siłę, co nieznana innego hamulca nad klątwę kościelną, niż gdy przemoc rozszarpuje państwa i całe narody wyzuwa z praw i odnawia obyczaj pogańskiego Rzymu zamieniania całych narodów w helotów i niewolników.

Kiedy patriarchowie wschodni uznali przewagę nad sobą władzy świeckiej, zeszli wnet do pokornej roli sług na dworze cesarzów Bizantyńskich, to kościół rzymski oparł się wszelkim pokusom, uciskom i prześladowaniom, a dziś wśród zobojętnienia jednych, odszczepieństwa drugich, naprzeciw nienawiści trzecich i cheiwości czwartych, Pius IX w szczupłym obrębie swego Watykańskiego pałacu i ogrodu, mając przeciw sobie protestanckie Prusy, schizmatyczną Rosyę, bezwyznaniową republikę francuską, zaboreczy rząd włoski i cały poczet tych, co nie uznają innej zwierzchności nad tę, którą narzuca siła materyalna, był taką potęgą, że słowa jego miały moc gromu, jak w czasach największej potęgi pontyfikatu.

Dziwne zaiste zjawisko tego wątłego starca, od dawnego już czasu stojącego nad grobem, a który dla tego taką posiadał moc, choć nieposiadał władzy spełniania wyroków swoich, że żywił głębokie przekonanie o świętości swego urzędu, który miał sobie dany od Boga, i że dobro kościoła wyłącznie i jedynie miał na oku. Ażeby jednak mieć takie przekonanie i taką wiarę, aby nie powodować się żadnemi względami, aby mieć odwagę, jaką miał Pius IX, trzeba być nie tylko papieżem, ale i wielkim mężem. Tytuł ten przyznano mu też po śmierci i zachowa go historia, bo go nawet nieprzyjaciele odmówić nie śmia.

Wpływ Piusa IX na współczesne wypadki, mianowicie w ostatnich czasach, był potężny, zarówno, czy słał błogosławieństwo, lub gdy świętą zgrozą przejęty, nie wahał się powoływać przed sąd boży nowoczesnych Atyllów albo potępiać prześladowanie ludów uciśnionych. Jeśli wolno powiedzieć, Pius IX podniósł papieństwo do takiej wysokości, jaką ono miało w epokach najszcześniejszych, a to bez żadnych zewnętrznych środków, osobistemi tylko swemi przymiotami. Kiedy zdawało się wielom, że ze zgonem jego instytucja papieństwa zejdzie do poziomu patriarchatów wschodniego kościoła, wzniosła się ona do takiej wysokości, iż najpotężniejsi musieli przyznać jej majestat.

Czy nazwać to zrządzeniem bożem, czy zbiegiem okoliczności, jakby to nazwali racjonalści albo empirycy histo-

ryzoficzn, wszystkie od dawna naciągnięte sprężyny, które jeszcze nastawił był hr. Harry Arnim za swojego poselstwa w Rzymie a pragnął ich ks. Bismark użyć, pozbawiwszy tamtego prawa inicjatywy i autorstwa; wszystkie zabiegi ajenta rosyjskiego p. Kapnista, wszystkie podżegania radykałów, czy partji narodowej ze szkoły Mazziniego, czy kosmopolitycznej ze szkoły Ludwika Blanc, przygotowane na wypadek śmierci Piusa IX, w niwecz poszły. Albowiem kwestya wschodnia olbrzymimi krokami posuwając się właśnie w ciągu stycznia i pod koniec jego, kazała dyplomacy europejskiej zapomnieć o koalicji przeciw papiestwu a podstawy dla interesów każdego państwa szukać w jego stosunkach z Rosyą. Podróż Gambetty do Włoch, Crispiego do Berlina nie mogły na nie się przydać, gdy Rosyanie posuwali się szybkim krokiem pod Konstantynopol.

Kiedy więc Pius IX umarł, a wieść o możności przeniesienia *conclave* za granicę Włoch zaniepokoiła rząd włoski, który lękał się aby za *conclavem* nie poszła potem cała instytucja papiestwa, bo utrata papiestwa więcejby przyniosła szkody Włochom niż korzyści ustanowienie w Rzymie stolicy Włoch zjednoczonych, nie znalazł się w Europie ani jeden rząd, któryby chciał zakłócić spokój ciała wyborczego kardynalskiego, najmniej zaś sam rząd włoski chciał to uczynić. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że kwestya papieaska stałaby się osią nowego ugrupowania się państw albo zawiązkiem przyszłej koalicji.

Wybór więc nowego papieża nie napotkał żadnej ze strony obcych rządów przeszkody, a rząd włoski strzegł *conclave* wszystkimi zewnętrznymi oznakami opieki i nie dopuścił nawet demonstracji republikańskiej i antikościelnej. Zgon Piusa IX obudził zresztą w ludzie rzymskim gorącość uczuć dla kościoła i dla osoby zmarłego papieża, a wszelka demonstracya w duchu przeciwnym mogła być spowodzić starcie się, na które młoda monarchia włoska z nowym królem nie chciała się narażać. *Conclave* 18go lutego wieczór ukonstytuowane, po upływie 30 godzin ogłosiło d. 20 t. m. wybór nowego papieża w osobie kardynała Joachima Pecci, który przyjął imię Leona XIII. Wybór ten odbyty w całkowiciej nieznanych dawniej okolicznościach, pod strażą jedynie tak zwanych „rękojmij papiestwa“, ustawy uchwalonej przez parlament a nigdy nie przyjętej przez Stolicę apostolską, znalazł powszechne uznanie ze strony dworów i rządów a przez społeczność katolicką przyjęty został z całą czcią i wiarą, iż nowy papież stanie się godnym następcą swego poprzednika. Wybór Leona XIII jest pod względem prawa publicznego o tyle jeszcze ważnym, iż żaden rząd z tych, które sobie rościły prawo do *veto* przeciw niedogodnym lub

niemiłym sobie kandydatom na Stolicę apostolską, nie odnowił pretensyi żadnym aktem jawnym. I słusznie tak się stało, albowiem kwestya ta mogła być łącno stać się źródłem sporów i dochodzeń, z którychby wynikło, że nie istnieje żaden akt uprawniający *vetu*, a przeto jest ono przywłaszczeniem, lecz może nieraz zmuszonem było kollegium kardynałów uwzględnić je z tego prostego powodu, iż nowy papież potrzebował uzyskać jako monarcha państwa kościelnego niejako aprobatę innych dworów. Dziś zaś Leon XIII takiego uznania nie potrzebuje i żaden rząd nie domagał się go, poprzestając na prostej notyfikacji wyboru.

Z chwilą podpisania punktów przedugodnych rozejmu między Rosyą a Turcyą d. 31 stycznia, zakończyła się wojna, a sprawa wschodnia weszła na tor europejski. Zdawało się dawniej dyplomacyi, że przez zlokalizowanie wojny uniknie Europa niebezpieczeństwa rozpostarcia się tej wojny, że gdy Turcyja pozbawiona obcej pomocy, ulegnie w końcu sile, rząd rosyjski podda, jak przyrzekał, pod sąd Europy rozstrzygnięcie o losie państwa Ottomańskiego i stworzy z ludów słowiańskich dotąd mu podległych nowe organizmy polityczne, które tem mniej ulegać będą przewadze rosyjskiej, że pozostaną w lennictwie sułtana i że wypadnie im szukać bliższego, bo bezpośredniego punktu oparcia w Austrii. Do tego mniemania przyczyniły się zapewnienia gabinetu rosyjskiego, iż ani pędzi ziemi w Turcyi europejskiej nie przywłaszczy sobie.

Na ten lep dała się chwycić nie tylko Austrya, ale nawet Anglia. Zakłopotano się jednak mocno w Londynie, gdy punkta przedugodne, lubo przedłożone delegatom tureckim w głównej kwaterze rosyjskiej, pozostały tajemnicą dla posła angielskiego w Konstantynopolu, który przeto nie miał sposobności rozpatrzenia się w nich i poczynienia przeciw nim zastrzeżeń w imieniu swego rządu. Kiedy zaś ratyfikował je sułtan i cesarz Aleksander, wnet wykonanie ich weszło w życie, i temu wykonaniu nie zdołał rząd angielski przeszkodzić. Owszem jeszcze przed podpisaniem ostatecznem rzeczonych punktów, co miało nastąpić w Kazanlyku, komenda rosyjska uzyskała od Porty, że Adrianopol opuszczony przez Turków, zajęty został przez Rosyan bez oporu i do niego przeniosła się główna kwatera rosyjska. Tam też nastąpiło podpisanie protokołów i warunków mających być podstawą przyszłego pokoju.

Warunki te przyjęte przez obie strony wojujące, są:
1^o utworzenie księstwa Bułgarskiego, którego granice później będą oznaczone, z księciem na tronie podległym Porcie jako lennik opłacający haracz, z administracją własną i własną milicyą, i z Bułgaryi tej ustąpić musi wojsko tureckie;
2^o uznanie niepodległości Czarnogóry i rozszerzenie jej do

zdobytych przez nią granic; 3^o niepodległość Rumunii i Serbii również z powiększeniem posiadłości ich; 4^o Bośnia i Hercegowina otrzymają autonomię, a zarazem „wszystkie inne prowincye chrześcijańskie“ uzyskają podobne reformy; 5^o Porta wynagrodzi koszta wojenne bądź w pieniądzach, bądź w ziemi, lub też innymi ekwiwalentami. Cesarz rosyjski z sułtanem porozumia się z sobą pod względem praw Rosyi i opieki jej interesów w Dardanellach.

Taka jest główna treść tych preliminarjów, które ogólnikowo sformułowane, dają się rozszerzyć dowolnie, nigdzie bowiem ani co do granic terytoryalnych, ani co do praw przyznanych Rosyi lub pozostawić się mających Porcie, nie ma żadnego określenia.

Gabinet angielski przewidując potrzebę obrony interesów swego państwa na Wschodzie, szczególnie, aby nie dopuścić Rosyi do stania się potęgą morską, któraby mogła kiedyś zamknąć drogę do Indyj wschodnich albo choćby zmusić Anglię do trzymania w Levancie kosztem znacznym wielkiej liczby okrętów, wniósł jeszcze w styczniu przed parlament, w tym celu głównie zwołany wcześniej niż po inne lata, żądanie kredytu do wysokości 6 milionów funtów sterlingów. Kredyt ten lubo zbyt mały, aby mógł wskazywać zamiar rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, był z jednej strony demonstracją, z drugiej nakazany potrzebą wzmocnienia eskadr stojących u Malty i w zatoce Besika w pobliżu Dardanellów.

Rozprawy parlamentu nad tym kredytem, ciągnące się przez kilkanaście dni w obu Izbach, kosztowały tyle czasu, tyle argumentów, tyle mów i tak rozległych wywodów, że nie mógł gabinet rosyjski nie więcej życzyć sobie, bo w ciągu tego czasu bezpiecznie rozpościerał zagony swoje, pod same mury Konstantynopola wojsko swoje podsunął, odebrał twierdze naddunajskie i armeńskie, pierwsze z tytułu rozbrojenia Bułgaryi, drugie jako rękojmię wynagrodzenia kosztów wojennych, następnie odwłókł ostatnią decyzję względem konferencyi czy kongresu europejskiego, o którym później tu będzie mowa, a wreszcie przekonać mógł Portę, że nikt, ani nawet Anglia nie zdoła jej już ocalić, a zatem należy jej oddać się zupełnie na łaskę Rosyi. Jako parlamentarnego życia próbka, jako trzeźwości i oględności wzór, rozprawy te londyńskie były bardzo ciekawe i pouczające, zwłaszcza, że ministrowie przedłożyli Izbom mnóstwo depesz dyplomatycznych, rzucających światło na dyalektykę polityczną obu rządów, wojujących piórem u łoża konającej Turcyi. Obszerne te rozprawy były nawet więcej wyczerpujące od pamiętnych obrad parlamentu angielskiego, gdy szło o subsidia na wojnę przeciw Napoleonowi I, aby stworzyć przeciw niemu koalicję i zniweczyć jego system

celny kontynentalny, który zagrażał handlowi i przemysłowi angielskiemu ruiną. Ale szło teraz o zniweczenie zabiegów hr. Szuwałowa. który pod tytułem posła w Londynie prowadził dalej za granicą urząd swój dawny petersburski, zarządzającego policją polityczną i który znalazł w dawnych Whigach dogodnie narzędzie. Uzyskał wreszcie gabinet kredyt żądany, który mu pozwolił wysłać flotę kaletańską do Malty i uzbroić ją w ludzi i amunicję, nawet wtargnąć wbrew Porcie i wbrew traktatowi paryskiemu na morze Marmora, pod pozorem obrony poddanych angielskich w Konstantynopolu, a w rzeczy samej, aby nie sama tylko Rosya mogła zająć Stambuł, lecz także, aby wojsko angielskie wysiadło u Złotego Rogu i nie dopuściło okrętów tureckich, któreby miały przewieźć do Odessy część gwardyi rosyjskiej, przeznaczonej do odbycia wstępu tryumfalnego do przyszłego Carogrodu.

To ukazanie się floty angielskiej u wrót Bosforu wstrzymało pochód wojska rosyjskiego, które niemniej stoi pod murami stolicy tureckiej i ma swoją główną kwaterę w San Stefano, o jedną stację kolei żelaznej od Konstantynopola. Ani Rosya ani Anglia nie działają dla wywołania wojny obopólnej, oszczędzają się owszem, ale niemogą wojsku swemu i okrętom kazać stać na miejscu na przeczekaniego. Szukają przeto środka, aby zapewnić sobie pewne zastrzeżenia, a mianowicie Rosya nie jest przeciwną kompromisowi, którymby choć miłość własną Anglii zaspokoić mogła, bez szkody dla swoich planów, a o ile można szanując interesa i godność Anglii.

Skoro tylko nadeszła do Europy wiadomość o podpisaniu przedugodnych punktów rozejmu, natychmiast hr. Andrassy opierając się na zapewnieniach ks. Gorczakowa, iż rząd rosyjski podda chętnie pod orzeczenie Europy te sprawy dotyczące się stosunków wschodnich, które obchodzić mogą interesa innych państw europejskich, rozesłał noty do rządów reprezentowanych na traktacie paryskim z r. 1856, zapraszając je na konferencję do Wiednia celem uregulowania stosunków na Wschodzie, na podstawie traktatu paryskiego. Wszystkie rządy pospieszyły z oznajmieniem gotowości wzięcia udziału w tej radzie. Zachodziła tylko wątpliwość co do Turcyi, która należała do składu kongresu paryskiego, będąc przypuszczoną, jak ówczesna definicya brzmiała, do „koncertu europejskiego.“ Niebawem atoli ks. Gorczaków wyraził życzenie, aby zamiast konferencji, zebrał się kongres. Łubo lord Derby oświadczył w parlamencie, że nie widzi różnicy między konferencją a kongresem, różnica ta polega jednak tym razem na tem, że Rosya pragnęła w miesce pokoju paryskiego nowy ułożyć traktat, obowiązujący

wszystkie mocarstwa nie zaś konferencyjnym protokółem tylko zmodyfikować traktat paryski, a może chciała przy tem utworzyć całkiem nowe prawo publiczne, wykluczające Turcję z rzędu państw europejskich. Wniosek ks. Gorczakowa co do kongresu, został przyjęty niebawem. Ale kanclerz rosyjski inny jeszcze warunek przyłączył. Nie było mu to po myśli, aby hr. Andrassy, jako z natury rzeczy inicjator i gospodarz miejsca zjazdu, był jego przewodniczącym. Żądał więc wyznaczenia innego miasta, nie stołecznego, bądź w Niemczech, bądź w Szwajcaryi; w Niemczech dla tego, że kanclerz niemiecki mógłby temu zjazdowi przewodniczyć, w Szwajcaryi może on sam przyjąłby ten urząd na siebie — byle hr. Andrassy nie zasiadał na krześle przewodniczącego. Gabinet austriacki uległ temu żądaniu, popartemu przez Niemcy a przyjętemu w Paryżu i Rzymie. Ale gdy zapowiadano pierwszy tydzień marca na zebranie się kongresu, potem odroczone go do połowy marca, ks. Bismark rzucił wątpliwość co do potrzeby jego zebrania się, i rzecz idzie w odwłokę, bo zresztą, jeśli Anglia przystanie na kompromis, może nikt nie będzie naglił o kongres, a Rosya pocieszać się zechce argumentem użytym świeżo przez ks. Bismarka: „*beati possidentes*,” który jest tylko synonimem doktryny „*fait accompli*,” zastępującej dziś prawo publiczne w myśli innej doktryny Bismarka: „siła przed prawem.“ *Beati possidentes* jest też zastosowaniem praktycznem tej polityki, która wyzbyła się podstawy prawa i wyparła się moralności, hołdując sile, to jest przemocy.

Polityka rządów objawia się dwoma sposobami: słowem i czynem. Było też w tym miesiącu tyle mów i not politycznych, że sprawozdania stenograficzne z obrad parlamentów i zbiory not dyplomatycznych złożyłyby się na tomy druków. Parlamentarne formy wymagają, aby ministrowie kierujący polityką państw, albo tłumaczyli się z niej na zadane sobie pytania, albo przedstawiali w mowach tronowych w ciągu obrad budżetowych lub przy innej sposobności swoje programy. Ministrowie angielscy nie czekając nawet zebrania się parlamentu, miewali taki rodzaj wykładów na uczciach lub w kole swoich wyborców. Rosya sama jedna jest wolną od tej spowiedzi, która zresztą nie zawsze bywa szczerą, bo w dyplomacyi znany jest ten paradoks, że na to daną jest ludziom mowa, aby nie potrzebowali zdradzać myśli swoich. Z tego też powodu mowy ministrów bywają często albo zagadkowemi, albo dwuznacznemi, albo wybiegliwemi i ogólnikowemi; niekiedy zaś sami ministrowie dają do interpelacji skazówkę, aby mogli powiedzieć to, czego by nie mieli sposobności na innej drodze objawić. Wypierał się też ks. Bis-

mark, że nie zamówił sobie interpelacyi, na którą odpowiadał 19-go lutego.

W tym miesiącu dały się też słyszeć odpowiedzi ministrów na interpelacye o sprawę wschodnią w Wiedniu, Peszcie, Berlinie i Londynie, a szczególnie w Londynie niemal codziennie w obu Izbach zarzucani bywali ministrowie pytaniami, na które odpowiadali, a pytania te były niekiedy bardzo specyjalne, że niepodobna wyliczyć ich w krótkim przeglądzie.

W wiedeńskiej Radzie państwa i w sejmie peszteńskim pytania obracały się około warunków przedugodnych rozejmu rosyjsko-tureckiego i stanowiska Austrii ze względu na wpływ ich na monarchię austro-węgierską. W obu Izbach nastąpiła jednobrzmiąca odpowiedź d. 19 lutego bardzo krótka, raczej podobna do deklaracyi, niż do wywodu przedstawiającego politykę rządu. Odpowiedź ta na tem polega, że rząd austro-węgierski nie uznaje tych umów rosyjsko-tureckich za obowiązujące, które dotyczą interesów Austrii, albo w ogóle mocarstw podpisanych na traktacie paryskim, a to dopóki umowy te nie uzyskają sankcyi tych mocarstw. W tym też celu zawezwał rząd mocarstwa na konferencyę. Warunki rozejmu rosyjsko-tureckiego znane są tylko rządowi z ogłoszenia ich w pismach publicznych, a o ile takowe wiernie są podane, dostrzega on między niemi niektóre takie, że nie mógłby zgodzić się na nie, gdyż nie odpowiadają interesom monarchii. Rząd zastrzega się jednak, iż polepszenie losu chrześcian w Turcyi nie należy do tych warunków, którymby okazał się przeciwnym; sprzeciwiać się zaś będzie tym, które zmierzają do zmiany stosunków potęgi państw na Wschodzie.

Określenie to nie pozostawiałoby żadnej wątpliwości, że gabinet austro-węgierski okazał się przeciwnym tylko zabiorom terytoryalnym Rosyi na Wschodzie, albo zwierzchnictwu Rosyi nad ludami Turcyę zamieszkującemi i w ogóle wszystkim tym urządzeniom, któreby wpływ i potęgę Rosyi na Wschodzie zwiększały. Ani punkta przedugodne pokoju, ani deklaracya rządu austro-węgierskiego w Izbach złożona nie wchodziły w szczegóły, a przeto nie były dokładnie określone. Z tego powodu wiele zależy na bezpośredniem porozumieniu się Rosyi czy z Austryą poszczególnie, czy z konferencyjnemi mocarstwami w ogóle.

Tego samego dnia w parlamencie niemieckim odpowiadał ks. Bismark na interpelacyę postawioną przez naczelników partyi liberalno-narodowej, czyli partyi rządowej. Odpowiedź ministra była traktatem wielkich rozmiarów, w którym było mnóstwo rzeczy nienależących ani do sprawy wschodniej, ani do polityki zagranicznej w ogóle, ale służyły za tło zagwazdane, na którem właściwa polityka wschodnia

Niemiec niejasno się rysowała. Było tam o potędze dzisiejszych Niemiec, o przyjaźni Niemiec z Austryą, a nawet o osobistej przyjaźni ks. Bismarka z hr. Andrassym. Ale mimo tej przyjaźni, która ma cechę nieco protekcyjną, kanclerz niemiecki ani jednym słowem nie dał poznać, aby zamierzył powstrzymać rozpostarcie się Rosyi i wzrost jej wpływu na Wschodzie. O stanowisku Niemiec wobec kwestyi wschodniej nie chciał się rozwodzić kanclerz, naprzód zastrzegając sobie dawno zajętą postawę neutralną, powtórę tłumacząc się, że dopiero co przybywszy z Varzinu, nie obeznał się jeszcze z aktami. W jednym ustępie mowy kanclerza było pół jasne a pół ciemne wyrażenie, że jeśliby Rosya zwycięska musiała opuścić Turcyę na to tylko, aby ta znów zaprowadziła dawne swoje rządy, naówczas musiałyby się znaleźć ktoś, coby ją pozbawił korzyści wojny, i takowe objął na siebie. Było to aluzya do Austrii, a tą aluzyą chciał kanclerz dowieść, że wojna wschodnia dziś zlokalizowana, wyszłaby na szerokie pole wojny europejskiej; chcąc więc Rosyę pozbawić korzyści odniesionych, wywołanoby wojnę europejską. Atoli *beati possidentes* — kto wziął, niech trzyma, bo siła jest źródłem prawa: tak brzmi teorya ks. Bismarka. Nie można pominąć, że w mowie kanclerza niemieckiego nie było tym razem wzmianki o sojuszu trójcesarskim, którym się ks. Bismark dawniej zastawiać lubił; lecz tylko o stosunkach, w jakich Niemcy zostają wobec swoich sąsiadów, i to wszystkich, tak iż tym razem kanclerz dał do poznania, że przyjaźń swoją rozciąga również do Francyi, odkąd partya liberalna przyszła tam do władzy.

Mowę kanclerza niemieckiego komentowano na wszystkie strony i codziennie inaczej ją sądzono. W Wiedniu zrobiła ona początkowo przychylne wrażenie, a natomiast niemiłe dotknęła w Petersburgu, dopóki ją znano tylko z telegraficznego streszczenia, ale gdy ją przeczytano w całej osnowie, zdania wprost się zmieniły; podobała się w Petersburgu, a w Wiedniu nie chciało się z tem wydać, iż nie odpowiadała wcale oczekiwaniom. Polityka też kanclerza pozostała niejasną, jaką była dotąd. Oczekiwano, iż odpowiedź będzie objaśnieniem mowy tronowej przy otwarciu parlamentu niemieckiego d. 6 lutego, że uzupełni ją programowo i odejmie jej wobec ważnych faktów cechę abstrakcyi politycznej. Ale nie takie było zadanie kanclerza. Odmówił on nawet przyjęcia roli arbitra, o którą go posądzano, i sam wyznał, że chce być tylko pośrednikiem, faktorem przy załatwianiu interesu, to jest, że poprzestanie na pewnem za swe usługi od obu stron wynagrodzeniu. Od obu stron? więc od Rosyi i Turcyi; bynajmniej — od Rosyi i Austrii, bo tych dwóch

współzawodników miał on widocznie na oku, przyjmując rolę faktora.

Niepodobna było od samego początku zatargów na Wschodzie wyzbyć się naturalnego przypuszczenia, że na polu interesów wschodnich musi przyjść kiedyś do starcia się między Rosyą i Austryą. Nie wywołuje go ani jedna ani druga strona, ale siła interesów może sama taki wypadek sprowadzić. A wydaje on się bliskim i może oczekuje go kanclerz niemiecki.

Już w samych zawiązkach sprawy wschodniej usiłowała Rosya wciągnąć Austryę do udziału, przekonana będąc, że to najprostsza droga do rozbioru Turcyi, z któregoby przypadły Austryi same kłopoty, a dla niej bezpieczeństwo od obcej interwencji. Nie chciano o tem słyszeć w Wiedniu, tak jak Marya Teresa nie chciała podpisać aktu rozbioru Polski — wreszcie jednak podpisała go. Dla przeszkodzenia Rosyi, aby i w Turcyi nie zyskała wyłącznej przewagi, myśl zajęcia Bośni i Hercegowiny nie została w Wiedniu zaniechaną ze względów na własne bezpieczeństwo w obec zapowiedzianych rozszerzeń się Serbii i Czarnogóry. Czyż więc w oczekiwaniu tego udziału Austryi nie mógł ks. Bismarck liczyć na faktorne dla siebie? Postawił on swoją neutralnością i pozorną obojętnością Austryę na drodze rozstajnej między wojną a udziałem w rozbiorze Turcyi, choćby temu rozbiorowi nadać chciano imię mniej rażące i formę okupacji.

W chwili zamknięcia tego przeglądowego sprawozdania jeszcze pokój nie został podpisany ani też znane są dokładnie jego warunki. Flota angielska stoi na morzu Marmora, armia rosyjska obozuje pod murami Konstantynopola, Austrya przygotowaną jest do wtargnięcia każdej chwili do Bośni a jednak jeszcze nie można powiedzieć, żeby wojna była za pasem; albowiem zajęcie Bośni może się odbyć za porozumieniem się z Rosyą, Anglia może być wstrzymaną od zdobycia oręża deklaracją rosyjską pod względem cieśnin, a groźne warunki pokoju, jakie głoszone ze strony rosyjskiej, uledez mogą pewnemu złagodzeniu, które jednak nie zmniejszy korzyści osiągniętych przez Rosyę, a co więcej, nie ocali Turcyi, to jest panowania tureckiego w Europie. Tak Austrya jak Anglia gotowe dobrać oręża, przyjmą może złagodzone nieco warunki, przypisując swojej groźnej postawie ich złagodzenie, gdy gabinet petersburski właśnie dla tego był dotąd tak nieubłagany dla Turcyi, aby mógł coś ustąpić Anglii i Austryi dla zadosyć uczynienia ich miłości własnej.

Gdy kosztem Turcyi zbogacą się prowincye jej słowiańskie i lenne księstwa, sama jedna Grecya, która przed półwiekiem ofiarą krwi i mienia, a poniekąd pomocą trzech

opiekunów swoich, Rosyi, Anglii i Francyi dobiła się niepodległości i której rodacy zamieszkują te właśnie prowincje tureckie, w których rządy Porty zostaną zachowane nienaruszenie, bo Epir, Tesalia i Kandya, ta najpóźniejsza zdobycz turecka w Europie, — sama jedna Grecya nie jest uwzględnioną w warunkach pokoju rosyjsko-tureckiego, sama jedna Grecya musiała odwołać wojsko swoje z granic tureckich, gdy chciała za przykładem prowincyj słowiańskich zdobyć dawne swoje siedziby na Turcyi. Kiedy tworzone królestwo Greckie i powoływano na tron jej ks. Leopolda Koburskiego, późniejszego króla Belgów, ten nie chciał przyjąć korony greckiej, jeśli granice nowego państwa nie rozciągną się po za Attykę i przesmyk Koryneki. Anglia i Francya gotowe były, korzystając z porażki morskiej Turków, wymusić na Porcie szerszy pas ziemi, ale sprzeciwiła się temu Rosya. Dla Rosyi potrzebną była mała kolonia grecka niepodległa, ale nie państwo Greckie, któreby mogło kiedyś kusić się o Konstantynopol.

Czy te same powody wstrzymały teraz Rosyę od żądania jakiego nabytku dla Grecyi, choćby w zamian za to Bułgaria nie sięgała aż pod bramy Adryanopola? Nie chce bowiem Rosya wzmocniać na półwyspie Bałkańskim żywiołu greckiego, gdy żywioł słowiański w Bułgarii da się jako na pół dziki wychować na przyszłych wiernych poddanych carskich. Wszakże nie mogła Rosya przebaczyć Grecyi, że patriarcha grecki nie przyjął unii z kościołem prawosławnym petersburskim, to jest nie poddał się supremacji carskiej w kościele greckim, jaka panuje w kościele urzędowym rosyjskim. A może tylko powstanie greckie odroczonem być musiało w obawie przed flotą angielską i w oczekiwaniu, gdy flota turecka przeszedłszy pod rozkazy Rosyi, będzie mogła wypłynąć na morze Egejskie i aż do Kandyi dotrzeć. Rzecz to przyszłości — tu tylko natracić o niej wypadło.

Rzeń w Missolungi była jutrzeńką oswobodzenia Grecyi, bo ujęły się za nieszczęśliwym narodem mocarstwa europejskie a po wszystkich niemal krajach zawiązywały się komitety filhellenów. Od wyróżnienia zaś Pragi aż do wieszania lekarzy polskich w Sofii, nikt w Europie nie ujął się za Polską i Polakami, lubo ci przelewali krew swoją za obce sprawy, mniemając, że gdzie się biją za wolność, tam walczą o Polskę. Zostało nam tylko z tego wszystkiego pamiętać słowo wyrzeczone w Izbie francuskiej przez ministra Ludwika Filipa: „*l'ordre regne à Varsovie*“, którem sobie kupiło królestwo lipcowe uznanie ze strony Rosyi, oraz niemniej pamiętne słowo Palmerstona, że Anglia niema prawa mieszania się w wewnętrzne sprawy obcych krajów. Takie lub tym podobne były kroki interwencji europejskiej w sprawy pol-

skie aż do ostatnich czasów. Dopiero kiedy wypadło rządowi angielskiemu obudzić w kraju niechęć ku Rosyi z powodu wypadków w Turcyi, wydobyto z archiwów zachowane na przypadek potrzeby raporta konsula Mansfielda o rzeziach na Podlasiu, jak i świeżo d. 13 b. m. sekretarz stanu Bourke oznajmił Izbie, że Moskale wieszają Polaków w Turcyi, że władze konsularne nie mogą wziąć w opiekę obcych poddanych, lecz tylko tych nieszczęśliwych, którzy się schronią pod dach konsulatu lub na statki angielskie, tych zasłonić i ułatwić im mogą przewiezienie na bezpieczne miejsce. Ten sam jednak rząd angielski współ z innemi rządami odbył konferencyę w Konstantynopolu, aby polepszyć stan chrześcian w Turcyi, jak ten sam kazał niegdyś admirałowi swemu spalić flotę turecką aby dopomódz powstaniu Greków. Ale tak w Grecyi jak teraz w Bułgaryi interwencya była wypływem obawy, żeby sama jedna Rosya nie została oswobodzicielem uciśnionych, gdzie zaś idzie o Polaków, nie ma Anglia obawy, aby które mocarstwo europejskie ujęło się ich doli.

Reprezentanci polscy w parlamentach berlińskim i wiedeńskim wnieśli żądanie, aby sprawę polską poruszono na przyszłych konferencyach w ten przynajmniej sposób, jak sprawę bułgarską, ale ks. Bismark nie zechce, a hr. Andrassy nie odważy się zapewne dotknąć tej sprawy. Obowiązkiem jednak było rodaków zrobić krok ten a zrobić go w takich formach i w takich granicach, aby ministrowie nie mogli się wymówić czy to traktatami obowiązującemi ich rządy, czy też przekroczeniem przez wnioskodawców kompetencyi.

W parlamencie niemieckim przemówił w tej mierze w imieniu Polaków deputowany Komierowski d. 19 lutego, z powodu rozpraw nad interpelacyą o kwestyi wschodniej, a w wiedeńskiej Radzie państwa deputowany Grocholski dnia 22 t. m. Różnica ich przemówień wynikła z samej już różnicy nietylko właściwych stanowisk krajów polskich i ich reprezentacyj w zgromadzeniach prawodawczych, ale głównie stąd, że pan Komierowski brał udział w dyskusyi nad interpelacyą nie przez Polaków postawioną, a p. Grocholski wystąpił z samoistnym wnioskiem koła polskiego. Deputowany wielkopolski musiał prowadzić niejako bój polemiczny i upomnieć się u rządu o sprawiedliwość, w imie której zwywał go do działania, lubo mając z góry przekonanie, że znajdzie tylko szyderstwo w ustach naczelnika rządu; i dlatego, gdy go ten odesłał do socyalistów, zawołał z oburzeniem: „lituję się nad frazesami i conceptami p. kanclerza“; natomiast wniosek polski w Wiedniu miał cechę aktu politycznego, zamykającego się w granicach aktualnego położenia

i możności, bez zamiaru utrudnienia rządowi jego zadania. Żądało koło polskie pytając: czy rząd zechce i może postawić na konferencyach żądanie polepszenia doli Polaków pod berłem rosyjskiem, skoro konferencya ta zajmować się będzie polepszeniem doli Bułgarów?

Do tej chwili niema odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedź ta chyba nastąpi jako fakt albo na konferencyi, albo na polu interesów austriackich na Wschodzie, a jeżeli nie nastąpi, powiedzieć trzeba: *fais que dois, adviennne que pourra*. Bóg da, że Polacy nie będą czekali czterech wieków, jak Grecy lub Serbowie.

W uzupełnieniu tylko miesięcznego sprawozdania nadmienić należy, bo sprawy jeszcze się toczą, że w Niemczech zanoszą się na ważną zmianę napozór administracyjną a której następstwa będą polityczne: idzie bowiem o projekt dodania kanclerzowi zastępców, którzyby jako jego umocowani w Rzeszy, byli niejako ministrami niemieckimi, podzieliwszy się na dykasterye. Celem tego kroku jest stopniowe zdeprecyowanie ministerstw każdego oddzielnego kraju niemieckiego, a tem samem ściślejsze związanie części Niemiec przez wspólną administracyę. Jeżeli Rouhera nazwano wicecesarzem Napoleona, Bismark słuszniej mógłby się wtedy nazwać wice-cesarzem Wilhelma.

Sprawa ugody austriacko-węgierskiej mało postąpiła. lubo dla ułatwienia przyjścia jej do skutku zaszła pozorna kryzys gabinetowa. Sprawa długu 80 milionowego przyjdzie pod obrady deputacyj regnikolarnych, jeżeli sejm węgierski w tym duchu ją załatwi. Sprawa cel tak w Austro-Węgrzech jak w Niemczech ma cechę nie ekonomiczną, lecz fiskalną: tu i tam idzie o opodatkowanie w celu podniesienia dochodów konsumcyjnych. W Austrii skarb uzyska nieco na podwyższeniu opłat od kawy i nafty; w Niemczech mało jest nadziei, aby uchwalono regale tytoniowe, jakie rząd wniósł pod pozorną formą uregulowania podatku. Dotychczas głównie Włochy celowały w reformach podatkowych wyłącznie na fiskalności opartych; system szukania źródeł, gdzie zdarzy się je wykryć, jest ekonomicznie najniekorzystniejszy dla kontrybuentów, a przeto w konsekwencyi rujnujący.

Delegacye wspólne austriacko-węgierskie zbiorą się temi dniami: są one najwłaściwszem polem na mocy konstytucyi do traktowania spraw politycznych. Wystąpi też na nich żądanie kredytu 50 milionowego w przewidywaniu mobilizacyi — ale nie wojny.

Aleksander Szukiewicz.

Nowe książki.

Kilka myśli na czasie w sprawach publicznych. Skreślił H. Schmitt. „*Sine ira et odio*“ Nakładem autora. Lwów, z drukarni „narodowej“ W. Manieckiego. 1877. (Skład główny w księgarni Gubrynowicza i Schmidta) str. 93.

Autor wykazuje bieg polityki austriacko-węgierskiej w latach 1763—1772 i uważa ją za szkodliwą dla monarchii i zgubną, gdyż powinna była oprzeć się choćby siłą oręża rozbiorowi Polski — a potem wszelkimi siłami — jeśli chce siebie ocalić, starać się o jej odbudowanie. Rozumowania zwalające katastrofę na samą Polskę wyłącznie, uważa za niedorzeczne i cyniczne. Ocenia wypadki r. 1863 ze stanowiska polityki austr., wykazuje niebezpieczeństwo trójcesarskiego przymierza, gdyż Prusy i Rosya zamierzają Austrii taki sam los zgotować, jaki spotkał Polskę. Przechodzi następnie do wojny moskiewsko-tureckiej i żąda interwencji Austrii, dopóki jeszcze czas. Z tą wojną łączy sprawy krajowe a przede wszystkim sprawę legionów — uważa spór o nie za przedwczesny, gdyż rząd turecki nie wydał manifestu, ogłaszającego wojnę nie tylko w obronie swego kraju, ale i niepodległości Polski. Przy tej sposobności wiele mówi o reakcyi krakowskiej, której naciskowi uległ ogół (!), odwrócił się od dawnych ideałów (?) i wytrzeźwiał (dałby to Bóg) a raczej zobojętniał na wszystko (?), a co gorsza kłaniał się nawet obcym bogom. Konserwatyści krakowscy — powiada — chcieliby, *aby wszyscy Polacy przestali myśleć i marzyć o odbudowaniu ojczyzny (!)*. Chęć dania znaku życia w chwili obecnej jest tak naturalną, że gdyby nie przyszło do objawu, byłby to dowód niezbity, żeśmy nie tylko politycznej, ale i *narodowej ulegli już śmierci*. (Aż śmierci? — my wierzymy w życie).

Druga, większa, część broszury poświęcona odpowiedzi na artykuł prof. Szujskiego, umieszczony w wrześniowym zeszycie *Przeglądu Polskiego* p. t. „O fałszywej historii, jako mistrzyni fałszywej polityki“. „P. Szujski może nawet mimowolnie (!) wpada zwykle w *zaciekłość* odbierającą mu jasny pogląd na właściwy przedmiot sporu,

„z czego wynika, że miasto *uderzać* w samo jądro rzeczy, przeocza „takowe i z całym wyteżeniem sił (!) zwalcza *domniemalne* (?) zasady „lub twierdzenia przeciwnika, *które mu sam podsunął*“.

Nam się zdaje, że autor postępuje zupełnie, słowo w słowo, tak samo — a jeśli czyni to nie z zaciekłością lecz z chłodnym spokojem, to nie wiemy, czy to na jego korzyść wypada. Inaczej nie udawałby, że nie rozumie, co p. Szujski pisał o rządzie moralnym i nie mieszałby nowszej szkoły historyków z „*kuźnią*“ A. Walewskiego.

Następnie broni p. Schmitt dawniejszych historyków, twierdząc, że pracowali taksamo jak i dzisiejsi, ale pracowali z miłością, szerzyli ją i budzili, bo gdyby nie oni, jużby może nie było dla kogo pisać (?). „Nowa szkoła historyków utworzy z przeszłości ojczystej dla serc i dusz „naszych straszne pustkowienie“!

Na zakończenie pisze autor o odjęciu niektórych atrybucyj Radzie szkolnej krajowej i potępia stanowczo milczenie *delegacyi*. Milczenie to popierało stronnictwo krakowskie — to samo — które starało się *udaremnić* Wystawę, którą zapewne uważało za „jakąś niebezpieczną i straszną manifestację polityczną“ — równie jak „owe zamierzone niby dywersye, zjazdy, komitety bezpieczeństwa i legiony „polskie, które tyle krwi napsuły p. Szujskiemu i naraziły go „na formalne *halucynacje* (!)“, wśród których wyexpensował *niepotrzebnie* (a na cóż autor na ten niepotrzebny expens odpowiedział jeszcze hojniejszym) tyle słów i frazesów przeciw *straszącym* go upiorom mniemanym“.

Sprawozdanie z czynności Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich za rok 1877. We Lwowie, str. 103. Nakładem i drukiem Zakładu Nar. imienia Ossolińskich 1878. Zajmujące to sprawozdanie świadczy o ciągłym pomyślnym rozwoju zakładu. Zawiera ono między innymi spis nowych nabytków i żywot Augusta Bielowskiego napisany przez dyrektora dra W. Kętrzyńskiego.

Biblioteka Ossolińskich. Zbiór materyałów do historii polskiej. Zeszyt IV. *Dyaryusz Legacyi Jerzego Ossolińskiego*, posła na sejm Rzeszy niemieckiej w Ratyzbonie w r. 1636. Z polecenia zakładu Nar. imienia Ossolińskich wydał dr Aleksander Hirschberg, kustosz Bibl. Ossol. we Lwowie. Nakładem Zakładu Nar. imienia Ossolińskich 1877, str. 94. W przedmowie czytamy: „Główne znaczenie ma opis tej legacyi jako źródło do historii samego Ossolińskiego, jego stosunków z domem rakuskim, jako obfity materyał do jego charakterystyki“. Wydanie staranne.

Katalog Muzeum imienia Lubomirskich. Lwów 1877. Str. 158; tudzież *Katalog broni w Muzeum Lubomirskich* — wyszły staraniem Edwarda Pawłowicza, konserwatora Muzeum, a nakładem Zakładu Ossolińskich. Obydwa katalogi ułożone z największą starannością i dokładnością czynią zadość wszelkim wymaganiom zwiedzających, których podobno, pomimo że wejście bezpłatne, jest nie zbyt wiele.

Chłop polski za czasów polskich. Czy rzeczywiście tak źle było w dawnej Polsce, jak o tem pisze p. Roman Szymański w 13 i 15 nr. *Oređownika* z r. 1878. Kilka słów „serdecznych“ w tej sprawie dla ludu polskiego napisał Józef Chociszewski (cena 15 fen.) Poznań 1878. Str. 36. Pan Szymański napisał był w *Oređowniku*, „że chłopu polskiemu za czasów polskich źle było, że dopiero za pruskich czasów przyszedł do praw i dobrobytu jakiegoś“. Przeciw temu zdaniu wystąpił z zapalem p. Chociszewski; p. Szymański broni się, i polemika w tej sprawie, dość zawzięta i jak zwykle u nas osobistości dotykająca, trwa dotychczas. Że chłopu dziś jest lepiej, o tem nikt nie wątpi, ale nie jest to zasługą Prusaków, lecz stuletniego postępu. Inna rzecz czy w piśmie popularnem wypadało teraz tę kwestyę poruszać.

Psalterz Dawidowy przełożony wierszem polskim przez Kazimierza Bujnickiego. Toruń. Nakładem własnym. W komisie księgarni nowej (W. Małecki) 1878, 8vo, str. 303. Książka ta jest w całym znaczeniu tego słowa niespodzianką literacką, za którą winniśmy szczerą wdzięczność szanownej wydawczyni, raz dla tego, że wyszła bez żadnej zapowiedzi i reklamy, a powtórę dla swej treści. Nie można się było spodziewać nowego przekładu psalterza po niefortunnej próbie Karpińskiego, która dowiodła, że dorósł nieśmiertelnemu wieszczowi czarnolaskiemu w przekładzie Dawida jest bardzo trudno, a przerósć go prawie niepodobna. Rozbiór nowego przekładu, na jaki zasługuje ze wszech miar, wykaże, o ile p. Bujnicki szczęśliwszym był od Karpińskiego. Na dziś zapisujemy tylko, że przekład ten dokonany wierszem z wielką miłością i pracą a przytem najwierniejszy z wszystkich, zaopatrzony jest nadto w objaśnienia i uwagi krytyczne nad każdym psalmem podług dzieła znakomitego teologa niemieckiego ks. Thalhofera. Nie bez interesu będzie dla tych, którzy szanownego tłumacza nie znają, wiadomość, że dzieło swoje poświęcił swojej *prawnuczce*, pani Eugenii z Benisławskich Donimirskiej w dzień ślubu, że liczy przeszło 90 lat życia to jest wieku, jakim mało kto z autorów pochwalić się mógł, a o Karpińskim i Książninie mówi jako o współczesnych. Przekładu tego dokonał sędziwy autor w młodszych latach, na ogłoszenie dopiero teraz zezwolił. Wydanie jest staranne i ładne.

Johann Kochanowski (Joannes Cochranovius) und seine lateinischen Dichtungen. Ein Beitrag zur Literaturgeschichte der Slaven von Raphael Löwenfeld. Posen. Verlag von Joseph Jolowicz. 1878. Monografia ta, napisana nietylko ze znajomością rzeczy, ale i z miłością dla nieśmiertelnego wieszca czarnolaskiego, chociaż wyszła dopiero przed miesiącem, zwróciła na siebie powszechną w Polsce uwagę. *Gazeta Lwowska*, *Biblioteka Warszawska*, *Niwa* etc. podały obszernie recenzye, uznające życzliwie naukę i zasługę autora. I my, jakkolwiek później, wywiążemy się z tego obowiązku.

Mowa ks. Józefa Pelczara dra teologii, kanonika, prof. Uniw. Jag. na nabożeństwie żałobnem za duszę ś. p. Józefa Dietla d. 21 stycznia 1878. Kraków. W drukarni „Czasu“, str. 16. Ks. Pelczar

wstępnym bojem zdobył sobie serca słuchaczy. Mowa jego jest zwięzła, pełna myśli i ciepła.

Aleksander Wielopolski. Przedruk z „Czasu“ z d. 3 stycznia 1878. Kraków. Druk „Czasu“ 1878, str. 20. Jestto jeden z najświetniejszych nekrologów, jakie poświęcono pamięci ś. p. margrabiego.

Kościół archipresbiteralny N. P. Maryi w Krakowie, opisał według źródeł archiwalnych tegoż kościoła Wilhelm Gąsiorowski. W Krakowie. W drukarni „Czasu“ 1878. 8vo, str. 108, z dwoma drzeworytami. Autor tej pożądaney książki, znany nam z rzetelnej nauki i mrówczej pracy, ma przygotowany obszerny opis drogiego nam wszystkim kościoła. W przedmowie czytamy:

Kościół archipresbiteralny Najświętszej Maryi Panny w Krakowie już dawno zasługiwał na obszerniejszy jak dotąd opis swoich zażytków, na skreślenie dziejów swego powstania i fundacyj dlań uczynionych. Zajmowano się tylko jego szczegółkami, przeważnie rozprawiano o wielkim ołtarzu, jako dziele Wita Stwosza; powtarzano w opisie to, o czem już dawniej Pruszczy lub Grabowski powiedzieli; albo wylewano na papier marzenia archeologiczne o jego budowie i pomnikach. Nikt jednak nie chciał, czy nie mógł zajrzeć do jego archiwum, i na podstawie dokumentów piśmiennych ugruntować swojego opowiadania. Niniejszy opis jako przeznaczony pierwotnie do Kalendarza, a zatem pisma szczupłych rozmiarów, jest z wielu względów niewystarczający, wiele tu szczegółów zamilczano, nie powtórzono tego, co już było wiadomem. Z treści zaczerpniętej z dokumentów i aktów współczesnych złożyłem krótki zarys dziejów tego kościoła, w przekonaniu, iż pożądanym on będzie dla serca i umysłu każdego Polaka, a szczególnie dla mieszkańca Krakowa, którego wspomniany kościół jest niepospolitą ozdobą i chlubą.

Przewodnik naukowy i literacki. (Rok VI Redaktor Wł. Łoziński). Zeszyty 1 i 2 (styczeń i luty) zawierają: 1) Próba emancypacyjna polityki Augustowskiej i intryga Posadowskiego, rezydenta pruskiego w Warszawie r. 1720 przez K. Jarochońskiego. 2) Uniwersytet a nauka przez L. Ćwiklińskiego. 3) Droga króla Władysława do Badenu i kongres w Nikolsburgu opisany przez Jakóba Sobieskiego, przez L. Kubalę. 4) Z autografów biblioteki poturzyckiej przez K. Kanteckiego. 5) Lud i jego zwyczaje, przez E. Janotę. 6) Bunt Palejowe przez dra Antoniego J.

Przegląd Lwowski (Rok VIII) Zeszyty 1—4 za styczeń i luty zawierają 1) Pośmiertne poezye Z. Krasieńskiego. 2) Prawosławna (powieść) napis. *Facundus Verus*. 3) Kościół katolicki pod panowaniem rosyjsk. przez ks. Martynowa T. J. 4) Kółłataj w powstaniu Kościuszkowem przez M. Chylińskiego. 5) Listy z Włoch, z Wiednia, z Krakowa i ze Lwowa. 6) Z Przedburzy. 7) Rozkład Cerkwi ross. przez F. Lutrzykowskiego. 8) Marya Teresa i pierwszy rozbiór Polski przez ks. St. Załęskiego. 9) Nad trumną Piusa IX przez ks. W. Kalinkę. 10) Pius IX obrońca Polski przez ks. E. Podol-

skiego. 11) Kronika etc. etc. Poszyt IV poświęcony wyłącznie uczczeniu pamięci wielkiego Papieża.

Niwa. Dwutygodnik naukowy wychodzący rok VII w Warszawie w 4 zeszytach wydanych tego roku (73—76) zawiera: 1) Przyczynek do rozjaśnienia kwestyi Banku hipotecznego i w ogólności kwestyi kredytu ziemskiego w naszym kraju, napisał Młynarz z nad Warty. 2) Henryk hr. Rzewuski, studjum literackie Piotra Chmielowskiego. 3) Obraz pierwotnej Polski p. M. Bobrzyńskiego. 4) Pogodzeni z losem, komedia w 5 aktach p. E. Lubowskiego. 5) Krytyka dzieła prof. Kasparka p. A. Rembowskiego, i dzieła Loewenfelda o Kochanowskim p. P. Chmielowskiego. 6) Sprawy bieżące p. Jacka Soplicę. 7) Ruch literacki. 8) Pośmiertne wspomnienie o ś. p. A. Wielopolskim. 9) Obrachunek za rok 1877 przez J. Jeleńskiego. 10) Dobroczynność publiczna w Polsce p. prof. A. Okolskiego. 11) Na niwie literatury i sztuki przez K. Grzymałę. 12) Rozmaitości.

Kronika rodzinna. Wychodzi w Warszawie 1 i 15 każdego miesiąca. Jedno z najlepszych, najpożyteczniejszych i najstaranniej redagowanych pism. Nr. 3. (1 lutego) zawiera: 1) Magdalena, obrazek biblijny p. Maryą Bartusównę. 2) Z wiejskiego dworu. 3) Listy z podróży A. E. Odyńca. (Serya IV. list X). 4) Mettray i Studzieniec. 5) Korespondencya z Paryża. 6) Wiadomości literackie. 7) Pojedynek, powiastka Jana Zacharyasiewicza. 8) Silva rerum. 9) Nekrologia.

Biblioteka Warszawska. Pismo poświęcone naukom, sztukom i przemysłowi. 1878. Zeszyt II Luty zawiera 1) Zawisza Czarny, p. A. Prochaskę. 2) Zakład śmiertelny Ottona. Dramat w V aktach H. Spicera, tłum. z angielskiego F. Jezierski. 3) Wspomnienie moje o działaniach wojennych korpusu pod dowództwem J. H. Dąbrowskiego w r. 1813 przez Prota Lelewela. 4) Przegląd odrodzonej literatury prowanselskiej przez S. z Ż. Duchinską. 5) Pięć ustępów z cuklu powieści histor. Kraszewskiego. Ocenił E. Świeżowski. 6) Ustęp z życia Alberta Hohenzollern-Anspach p. E. Skrodzkiego. 7) Przegląd piśmienictwa. 8) Wiadomości bieżące.

Lech. Tygodnik ilustrowany, zaczął wychodzić 5 stycznia r. b. w Poznaniu pod redakcją Józefa Chociszewskiego. Dotąd wyszło 7 numerów. Głównem zadaniem „Lecha“ ma być „utwierdzenie polskiego domu, polskiej rodziny, polskiego ogniska“. Daj Boże żeby się to pismo stało pożytecznem. Na teraz nie chcemy się wdawać w ocenę. Początek bywa trudny. Dotychczasowe numera zawierają m. i: Powieść p. t. „Krwawa noc“ przez Z. L. Sulimę; 0 telefonie; biografią Adolfa Łączyńskiego, Andrzeja Zamojskiego i Piusa IX. *Bibliografią dotyczącą Kościuszki i czasów jego* zebraną przez E. Calliera. Słowiańskie (sic) listy z Czech etc. Równocześnie pod tą samą redakcją zaczął wychodzić *Dzwon Wielkopolski*, pismo miesięczne dla ludu i młodzieży. Obydwa pisma są bardzo tanie.

Dwutygodnik naukowy poświęcony Archeologii, Historii i Lingwistyce. Pod tym tytułem wychodzi od 1go stycznia b. r. piśmko w Krakowie, które, jak się zdaje, zamierza być areną dla młod-

szych i nieznanych dotychczas albo mało znanych zapaśników na polu archeologii i historyi. Na dwóch pierwszych numerach podpisany był jako redaktor p. A. Gruszecki, na dwóch następnych p. J. Gadowski. Każdy numer obejmuje 1½ do 2 ark. Dotychczasowe numera zawierają oprócz Wiadomości Bibliografii i Zapytań następujące artykułki. 1) Kamienna karta dziejów przez Ziemięckiego. 2) Hipoteza o Hałliczu Słowackim, szkic krytyczny z XII wieku przez M. Chylińskiego.¹⁾ 3) Pietniczany i ich dziedzice, przez Drwęcę. 4) Wykopaliska w Jabłównku przez T. Pileckiego. 5) Mapy archeologiczne przez A. Gruszeckiego i dwie recenzje 6) kilka słów z powodu artykułu prof. Bobrzyńskiego p. t. „Obraz pierwotnej Polski“. 7) Zabytki starożytne w ziemiach polskich etc.

Notatki drezdeńskie. Rok dziesiąty. 1878. Drezno, Nakładem hr. Engeströma (Cel dobroczynny). Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr W. Lebiński) w Poznaniu. Ładninka ta i bardzo praktyczna książeczka zawiera: Kalendarz, wykaz postów obowiązujących w Saksonii, spis nabożeństw katolickich, *adresy* Polaków, przebywających w Dreźnie, spis osób pochowanych na cmentarzu katolickim (a są tam nazwiska wszystkim nam drogie), dalej osobliwości w Dreźnie godne widzenia, adresy poselstw, konsulatów i władz, spis lekarzy, Notatki polskie i Firmy polskie i ogłoszenia. Z *notatek* dowiadujemy się, że są w Dreźnie następujące stowarzyszenia polskie: 1) Prywatne towarzystwo pomocy naukowej, 2) *klub* polski, przystępny jednakże tylko zamożniejszym rodakom, gdyż opłata roczna wynosi 108 marek — 3) Towarzystwo naukowe Polaków Politechników, które posiada i zbiera bibliotekę naukową i czytelnię. 4) Towarzystwo przemysłowców polskich, która posiada czytelnię liczącą przeszło 800 dzieł doborowych i otwarta dla publiczności.

Autorem monografii „Książę Józef Poniatowski,“ drukowanej w „Przeglądzie Polskim“ a następnie osobno w 100 egzemplarzach wydanej, nie jest T. Paszkiewicz, jak niedyskretnie doniósł Dwutygodnik naukowy, i takiego autora, o ile wiemy, wcale nie ma. Zresztą podpisane były litery *F. P.* a nie *T. P.* Czytelnicy nasi zapewne domyślili się autora, który chciał być bezimiennym, co należy uszanować, choćby się wiedziało, kto jest autorem.

Sprawozdanie Dyrekcji c. k. Gimnazjum w Przemyśle za rok szkolny 1877. Przemyśl 1877, 80 str. 71 zawiera: 1) Wiadomości szkolne, z których m. i. dowiadujemy się, że gimnazjum przemyskie miało z końcem ostatniego roku szk. 482 uczniów (Polaków 303, Rusinów 162 i Niemców 17) i 2) z talentem i znajomością rzeczy napisaną rozprawę prof. Józefa Cipsers „O autentyczności epilogu Cyropeydy“ (str. 51). Prof. Cipsers, którego rozprawę o *Horacjuszu* ogłosiło przed laty, jeśli nas pamięć nie myli, 20te sprawozdanie gimnazjum Stanisławowskiego, należy do najzdolniejszych w Polsce filo-

¹⁾ Praca ta wyszła i w osobnej odbitce. Nakładem autora 1878. str. 21.

gów. Cały zastęp młodzieży zawdzięcza mu prawdziwie humanitarne wykształcenie. Szkoda nieodżałowana, że taki talent bądź przez zbytnią skromność i nieśmiałość, bądź przez nieprzyjazne okoliczności, nie wydobyl się na jasnia i nie został w szerszych i wyższych kołach poznany i uznany.

Katalog nakładowy i komisowy księgarni *J. K. Żupańskiego* w Poznaniu (Ul. Nowa 2.). Poznań 1877. Z katalogu tego, zawierającego spory poczet wyborych książek, w znacznej części wydanych przez niestrudzonego i najzasłużeńszego z księgarzy polskich, dowiadujemy się, że niebawem opuszczą prasę następujące dzieła: 1) 1) Niemcewicz Pamiętniki. Tom III—V. 2) Lelewela Listy. 3) Kraszewskiego Studium nad Z. Krasińskim i Ad. hr. Sołtanem z listów jego. 4) Trentowskiego Panteon Tom III. 5) Listy Jana Śniadeckiego. 6) Pamiętniki Skarbka. 7) Siemieńskiego Varia. 8) Rocznik Tow. hist. liter. w Paryżu rok 1873—1877 itd.

Sprawozdanie z czynności Wydziału Czytelni akademickiej we Lwowie za rok 1877, str. 104. Do Sprawozdania dodana jest rozprawa członka Czyt. Henryka Biegeleisena *O Stanisławie Trembeckim*. Autor zamierzył dać *prawdziwy* obraz żywota tego poety i sądzi, że Siemieński przedstawił go „w *niezupełnie prawdziwym świetle*“. Brzmi to bardzo pretensjonalnie — i już dlatego warto tę pracę krytycznie ocenić. Że autor przystąpił do niej z naukowem przysposobieniem, widać już z pobieżnego jej przejrzenia. Ze sprawozdania Wydziału dowiadujemy się między innemi, że Czytelnia w ostatnim roku miała 355 członków (nie licząc 86 honorowych) 2,674 złr. dochodu, 2,428 rozchodu — 2,300 złr. funduszu żelaznego — urządziła 20 wieczorków naukowo-literackich; utrzymywała 72 czasopism (z tych wiele bezpłatnie), nabyła dla biblioteki 437 dzieł — wypożyczyła 2822 dzieł — słowem rozwijała się bardzo pomyślnie.

Kazimierz hr. Wodzicki, czł. Akad. lugańskiej etc. *Zapiski ornitologiczne*. IV. Kuropatwa. Kraków. Nakładem drukarni „Czasu“ 1878. str. 231. Praca ta jedyne go w swoim rodzaju autora nie była dotąd nigdzie drukowana, powinna więc tem większy znaleźć zastęp czytelników.

Vaterländisches Ehrenbuch. Geschichtliche Denkwürdigkeiten aus allen Ländern der österreichisch-ungarischen Monarchie. Herausgegeben von Albin Reichsfreiherrn *von Teuffenbach* zu Tiefenbach und Teschen. Wien und Teschen. Druck und Verlag von Karl Prochaska. 1877. Lieferung 2—13. O celu i wartości tej praktycznej książki pisaliśmy w grudniu, donosząc o ukazaniu się zeszytu pierwszego.

Wiara, nadzieja i miłość. Powieść z epoki terroryzmu. Z angielskiego tłómaczył S. O. Lwów 1878. Nakładem Wydawnictwa „Piasta“. Z drukarni zakł. nar. im. Ossolińskich 8ka str. 210.

Konkurs historyczny. Towarzystwo Przyjaciół nauk ogłasza dla chcących ubiegać się o nagrodę zadanie następujące: *Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami*

dawnej Polski, od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych. W rozwiązaniu tego zadania pożądanym jest szczególny wzgląd na: a) związek etnograficzny między pomienionymi plemionami słowiańskimi a ludnością Polski Piastowej; b) stan kultury tychże plemion w owej epoce, mianowicie z rzutem oka na religią, zwyczaje i obyczaje, ustroj polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnej w ogóle; c) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególnem uwypukleniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniej ostateczną zagładę rozmaitych plemion; d) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską. Praca wyczerpująca w zupełności przedmiot ten, oraz mająca odpowiednie zalety układu i stylu, a obejmująca przynajmniej 25 arkuszy druku w dużej ósemce, otrzyma 1500 marek nagrody. Jeżeliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra, to jest odpowiadająca przynajmniej głównym warunkom zadania otrzyma 900 marek nagrody. Pozostałe 600 marek zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzednim, albo też rozdziela się między rozprawy przynajmniej częściowo przedmiot wyczerpujące. Prace nagrodą uwieńczone pozostają własnością autorów, którzy jednak będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku, po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, Zarząd, jeśli uzna stosownem, ogłosi je swym kosztem na dochód Towarzystwa. Manuskrypt przeto musi pozostać w rękach Zarządu. Każdy rękopism opatrzone być winien dewizą lub jakim innym znakiem a nazwisko autora dołączone w zamkniętej kopercie z równem oznaczeniem. Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na dzień 1-go października 1879 roku, pod adresem: Hieronim Feldmanowski w Poznaniu, Mińska ulica 25. Wszystkie pisma nasze upraszamy o łaskawe powtórzenie powyższego ogłoszenia. Poznań w czerwcu 1877 r. Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznań.

Konkurs dramatyczny z zapisu ś. p. Norberta Bredkajca. Z funduszu przeznaczanego na konkurs dramatyczny poznański — rozstrzygnięty w czerwcu 1877 roku — pozostało 900 marek, ponieważ przyznano jedną tylko pieniężną i to najniższą nagrodę. Z tego powodu komisya konkursowa wynurzyła życzenie, aby sumę tę przeznaczono na nowy konkurs, którego przedmiotem byłaby komedya obyczajowa o dążności moralnej, wytykająca śmieszności lub wady obecnych czasów. W myśl tego polecenia ogłaszamy konkurs na komedya wierszem lub prozą, odpowiadającą powyższemu życzeniu, najmniej w 3 aktach, zdolną cały wieczór wypełnić. Komedya taka, uznana bezwzględnie dobrą, otrzyma całą nagrodę to jest 900 marek. W braku bezwzględnie dobrego utworu, komisya konkursowa podzieli powyższą sumę między inne sztuki, jeżeli te w przeważnej mierze odpowiadać będą wyłuszczonej warunkom, to jest między najlepsze i wedle ich wartości. W żadnym razie nagroda nie będzie niższą od 300 marek. Sztukom kwalifikującym się do pieniężnej nagrody ta ostatecznie przyznana nie będzie, aż dopiero po przedstawieniu w teatrze poznańskim,

to jest skoro się komisya przekona, że sztuka równie wydaje się na scenie jak przy czytaniu i że pozyskała przychylny sąd znawców. Sztuki, nie uwzględniające żądanych warunków, scenicznym nie odpowiadające wymaganiom i zaletom, ale odznaczające się trafnym pomysłem lub charakterystyką osób lub wzorowym stylem i udatnem opracowaniem, otrzymają pochwałę. Tłómaczone z obcych języków albo już grane lub drukowane, albo takie, co się już ubiegały o nagrodę gdziekolwiekindziej, nie będą przyjętymi. Komisya konkursową składać będą pp.: Dr Rymarkiewicz, Stanisław Motty, Józef Kościelski, Władysław Bentkowski, Marcei Motty, A. hr. Sołtan, B. Studniarski, Dr Cybichowski, J. K. Żupański, Stanisław Koźmian, Dr. W. Łebski, Hieronim Feldmanowski. W miarę ilości nadesłanych utworów powyższa komisya będzie upoważnioną do przybrania sobie nowych członków, a według liczby członków oznaczy komplet konieczny do prawomocnych uchwał. Utwór uwieczony pieniężną nagrodą autor zezwoli oprócz pierwszej próby, trzy razy odegrać miejscowemu teatrowi bez żądania honorarium. Zresztą zostanie jego praca tak co do ogłoszenia drukiem jak co do oddania na inną scenę zupełną jego własnością. Sztuki winny być nadesłane franco przed 1 października 1879 do Poznania, pod adresem: Hieronim Feldmanowski, 25, ulica Młyńska. Przesyłkom winien towarzyszyć list zapieczętowany, zawierający nazwisko i adres autora, a opatrzony tą samą dewizą co rękopis. Żadna z sztuk nadesłanych nie może być wycofaną przed rozstrzygnięciem konkursu. Żadna też autorowi zwróconą nie będzie, chyba że się sam po nią osobiście lub przez upoważnioną osobę zgłosi w przeciągu trzech miesięcy. Inaczej będzie zniszczoną, lub, jeśli ma jaką wartość, oddaną zbiorom teatru poznańskiego. W każdym razie listy zapieczętowane spalonymi wprzód zostaną. Wszystkie pisma nasze, mianowicie literaturze poświęcone, upraszamy o łaskawe powtórzenie niniejszego ogłoszenia. Poznań, w grudniu 1877. Zarząd Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego.

Złote myśli z dzieł J. I. Kraszewskiego zebrał i życiorysem opatrzył Stanisław Wegner. Będzie to zbiór myśli i zdań wyjętych z dzieł Kraszewskiego — na uczczenie jubileuszu jego 50-letniej pracy autorskiej, który przypada na rok przyszły — i o którym w swoim czasie dokładną podamy wiadomość. Prenumeratę na powyższą książkę (1 złr. 50 ct.) przyjmuje księgarnia Krzyżanowskiego w Krakowie.

Dobczyce. Monografia historyczna przez Ludwika Zarewicza. W Krakowie. W drukarni „Czasu“ 1878, str. 16.

Wspomnienie majówek młodzieży szkolnej za czasów Rzeczypospolitej krakowskiej, przez jednego z ówczesnych uczniów Liceum św. Anny. Kraków. W drukarni „Czasu“ 1878, str. 27.

Kościół św. Wincentego à Paulo XX. Misjonarzy w Krakowie na Kleparzu. W Krakowie. W drukarni „Czasu“ 1878, str. 8.